

Wstęp

Kłamie. I nieźle jej to wychodzi. Naprawdę nieźle, pomyślał T. John Wilson. Był zastępcą szeryfa od tylu lat, że od razu wyczuwał kłamstwo. Miał do czynienia z największymi przestępcami w okręgu: naciągaczami, złodziejami i mordercami. Wiedział, kiedy próbują wywieść go w pole.

Jest piękna. Piękna i bogata. I coś ukrywa. Coś ważnego. Te urocze koralowe usta kłamią.

W pokoju przesłuchań czuć było stęchliznę. Bładozielone ściany przybrały odcień brudnej szarości; ostatnie malowanie miało miejsce przed cięciami budżetowymi. Ale T. John czuł się tutaj jak w domu. Było mu dobrze na wysłużonym krześle. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po paczkę papierosów, ale przypomniał sobie, że przed dwoma miesiącami rzucił palenie. Niechętnie wyciągnął gumę do żucia, leniwie odwinął ją z papierka i włożył do ust. Nie mogła konkurować z camelem, ale musiała mu wystarczyć. Na razie. Dopóki nie porzuci walki z nalogiem i znowu nie zacznie palić.

- Przyjrzyjmy się temu jeszcze raz. - Oparł się na krzesło i założył nogę na nogę. Jego pomocnik, Steve Gonzales, wsparty ramieniem o framugę drzwi, uważnie przyglądał się ciemnymi oczami kobiecie, która na pewno wiedziała niejedno o morderstwie i podpaleniu. T. John niedbale wertował plik dokumentów. Znalazł zeznania, które przed kilkoma godzinami złożyła bez adwokata.

- Nazywa się pani...?

Jej bursztynowe oczy błysnęły z wściekłości, ale Wilson nie czuł się winny, że każe jej znowu przechodzić przez to samo. Gdyby sytuacja była odwrotna, ona by mu nie popuściła - zatopiłaby w nim zęby i pożarła żywcem. Dziennikarze nigdy się nie poddają. Zwłaszcza jeżeli rzecz dotyczy prawa czy prokuratora okręgowego. Miło jest móc się odegrać.

- Nazywam się Cassidy McKenzie. Dobrze pan wie, kim jestem.

- Cassidy Buchanan McKenzie.

Nie odpowiedziała. T. John potrząsnął głową, odłożył dokumenty i westchnął. Ściskając czubki palców wpatrywał się w dźwiękoszczelne kasetony na suficie, jakby marzył o tym, żeby spomiędzy belek wyjrzał sam Pan Bóg i zainterweniował.

- Wie pani, miałem nadzieję, że będzie pani wobec mnie szczerą.

- Jestem! Nic się nie zmieni przez to, że jeszcze raz to wszystko przerobimy. Wie pan, co się stało...

- Nie mam pojęcia, więc proszę nie wstawiać mi kitu! - Tupnął nogą. - Niech pani posłucha. Nie wiem, za kogo mnie pani ma, ale widziałem już lepszych kłamców niż pani i wsadziłem ich za kratki, o tak. - Pstryknął palcami tak głośno, że dźwięk odbił się rykoszetem po żelbetowych ścianach. - Nie wiem, czy pani zdaje sobie z tego sprawę, ale ma pani poważny kłopot. Poważniejszy, niż pani przypuszcza. Więc zacznijmy od nowa. Bez zalewania. Nienawidzę zalewania. A ty, Gonzales?

- Ja też nienawidzę - stwierdził Gonzales, ledwie poruszając wargami.

Wilson znów wziął teczkę do ręki. Czuł, że traci grunt pod nogami. Nie lubił, kiedy sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Zwłaszcza taka, od której zależała jego kariera. Jeżeli rozwiąże tę sprawę, będzie mógł kandydować na stanowisko szeryfa i wygryzie Floyda Doddsa, który i tak powinien iść na emeryturę. Floyd robił się coraz bardziej upierdliwy. Ale jeśli T. John nie znajdzie winnych... do cholery, nie ma nawet takiej możliwości. Wierzył w pozytywne myślenie. I wierzył w siebie.

Spojrzał na wiszący nad drzwiami zegar, który odliczał sekundy. Przez brudne okno do pokoju wpadały ostatnie promienie słońca, które sprawiały, że po ścianach pełzały cienie, chociaż jarzeniówki na suficie dawały ostre światło. Siedzieli nad tym od trzech godzin i byli zmęczeni. Zwłaszcza Cassidy Buchanan. Zbladła. Skóra na policzkach i wokół złotych oczu była napięta. Miała ognistokasztanowe włosy, przewiązane rzemykiem. Miała na sobie dzinsową kurtkę. Makijaż dawno zbladł. Maleńkie zmarszczki naznaczyły kąciki jej pełnych, zmysłowych ust.

T. John spróbował raz jeszcze.

- Nazywa się pani Cassidy Buchanan McKenzie, jest pani reporterką „Timesa” i wie pani o pożarze w tartaku tatusia o wiele więcej, niż mi pani mówi.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Siedziała sztywno.

- Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, może zechce mi pani powiedzieć, co pani na to: jeden człowiek umiera na oddziale intensywnej terapii w klinice Northwest, a drugi nie jest w stanie mówić. Lekarze twierdzą, że ten z intensywnej z tego nie wyjdzie.

Usta kobiety na sekundę wykrzywił grymas.

- Słyszałam - szepnęła. Zamrugnęła, ale nie rozplakała się. T. John spodziewał się tego. Jest przecież z Buchananów. A oni są podobno twardzi jak skała.

- To nie pierwszy pożar, jaki zdarzył się w posiadłości pani ojca, prawda? - T. John wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Żuł gumę w rytm swoich kroków po żółtym linoleum. - I jeśli dobrze pamiętam, po ostatnim wyjechała pani z miasta. Twierdząc, że nigdy pani nie wróci. Ciekawe, czemu zmieniła pani zdanie. Jasne, każdy ma do tego

prawo. - Posiał jej uśmiech grzecznego dużego chłopca. Najładniejszy, jaki mógł. Nawet nie drgnęła. - Wie pani, co mnie zastanawia? Rzuciła pani pracę, za którą wielu dałoby się zabić, wróciła do domu jako żona jednego z McKenziech, i co? Niespodzianka - mamy nowy cholerny pożar, jakiego nie widziano tu od prawie siedemnastu lat! Jeden facet mało nie zginął od wybuchu, życie innego wisi na włosku. - T. John uniósł ręce. - I co pani na to?

Gonzales odsunął się od drzwi, wziął z kartonu stojącego na stole styropianowy kubek i nalał sobie cienką strużką kawy ze szklanego czajnika, który stał na podgrzewaczu. Podniósł dzbanek i bez pytania dolał kawy kobiecie.

Wilson odwrócił krzesło oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem. Pochylił się i groźnie patrzył na Cassidy Buchanan. Nie odwróciła wzroku.

- Usiłujemy dociec, co się wydarzyło i kto przy tym był. Na szczęście pani mąż miał przy sobie portfel, bo inaczej byśmy go nie rozpoznali. Jest cały pokiereszowany. Ma spuchniętą i pokaleczoną twarz, spalone włosy, złamaną szczękę i zmiażdżoną nogę. Udało się uratować uszkodzone oko. Jeżeli trochę poćwiczy, może znowu będzie chodził. - Kobietą wstrząsnął dreszcz. A więc jednak mąż ją obchodzi... Przynajmniej trochę. - O drugim facecie nie wiemy nic. Nie miał dokumentów. Też ma niezłe poharataną twarz. Spuchniętą i sinoczną. Stracił kilka zębów i ma spalone ręce. Prawie zupełnie spaliły mu się włosy. Mamy twarde orzechy do zgryzienia. Chcemy się dowiedzieć, kto to jest, i myśleliśmy, że pani nam w tym pomoże. - Odchylił się na krzesło i wziął do ręki kubek z zimną już kawą.

- A... a co z odciskami palców?

- Facet ma spalone dłonie. Nie będzie odcisków. Przynajmniej na razie. Ma też powybijane zęby i uszkodzoną szczękę, więc trochę potrwa, zanim dostaniemy odlewy zgryzu... - Wilson wbił wzrok w kobietę i podrapał się w dwudniowy zarost. - Gdybym był niespełna rozumu pomyślałbym, że ten bydlak celowo spalił sobie ręce, żeby wyprowadzić nas w pole.

Kobieta skrzywiła się.

- Myśli pan, że to on podłożył ogień?

- Całkiem możliwe. - Wilson wziął do ręki wyszczerbiony kubek, wypił duży łyk, spojrzał na Gonzalesa i gestem poprosił, żeby dolał mu kawy.

- Mówiłam panu, że nie wiem, kto to jest.

- Spotkał się w tartaku z pani mężem.

Zastanowiła się.

- Skoro pan tak twierdzi... Nie mam nic wspólnego z interesami męża. Nie wiem, z kim się spotykał, ani po co.

T. John zmarszczył brwi.

- Jesteście nowoczesnym małżeństwem. On ma swoje sprawy, a pani swoje?

Gonzales krzątał się przy podgrzewaczu. Otworzył śmietankę w proszku - wstrętny biały puder, który nie ma nic wspólnego z krową.

- Myślmy o separacji - wyjaśniła kobieta niechętnie.

- Ach tak? - Wilson ukrył uśmiech. W końcu stanął na pewnym gruncie. Jest motyw albo przynajmniej trop. Tego właśnie potrzebował. - Dowódca straży pożarnej uważa, że przyczyną pożaru było podpalenie.

- Wiem.

- Tartak podpalono w identyczny sposób, co stary młyn siedemnaście lat temu. Pewnie to pani pamięta? - Twarz kobiety nieznacznie się wykrzywiła. - Tak, przypuszczam, że nie zapomniła pani o tym.

Odwróciła wzrok. W drżących rękach trzymała plastikowy kubek. Oczywiście, że pamiętała tamten pożar. Każdy w Prosperity pamiętał. Dla całej rodziny Buchananów była to straszliwa, bolesna strata, po której nie mogli się pozbierać. Stary Buchanan, ojciec Cassidy, zmienił się nie do poznania. Stracił kontrolę nad swoim życiem, firmą i upartą córką.

- Może pojechałaby pani do szpitala, żeby na własne oczy zobaczyć poszkodowanych? Ale ostrzegam, że widok nie należy do przyjemnych.

Spojrzała na niego oczami koloru mocnej whisky. Wilson przypomniał sobie, że Cassidy Buchanan jest przecież dziennikarką.

- Chciałam zobaczyć męża od razu po wypadku. Lekarze powiedzieli mi jednak, że nie mogę się z nim widzieć, dopóki szeryf nie wyrazi na to zgody, bo podobno jest podejrzany.

- Dobra, jedźmy, do cholery! - T. John wstał z krzesła, ale po chwili zmienił zdanie. - Najpierw jednak wyjaśnijmy jeszcze kilka szczegółów.

Kobieta zeszywniała. Usiadła z powrotem na zdezelowanym plastikowym krześle. Wilson musiał przyznać, że jest całkiem niezła. Co nie zmienia faktu, że kłamie. Że coś ukrywa. Gonzales napełniał stary kubek Wilsona, a T. John sięgnął do kieszeni i wyjął plastikowy worek. W przezroczystą folię zawinięty był zwęglony łańcuszek ze spalonym medalikiem świętego Krzysztofa. Prawie nie można było rozpoznać postaci. Medalik był powyginany i poczerniały od płomieni.

Cassidy otworzyła usta, ale nie westchnęła. Wpatrywała się w folię, którą Gonzales położył na odrapanym starym stole, przy którym siedziała. Ścisnęła mocniej kubek i wzięła krótki, płytki oddech.

- Skąd panowie to mają?

- Śmieszna sprawa. Ścisnął go w garści tamten facet i nie chciał wypuścić, chociaż potwornie cierpiał. Musieliśmy wyrwać mu go z ręki. Niech pani zgadnie, co wtedy powiedział? - spytał Wilson.

Kobieta spojrzała najpierw na jednego, potem na drugiego mężczyznę.

- Co?

- Chyba wyjęczał pani imię, ale to tylko domysł, bo stracił głos. Omal nie wypluł sobie płuc, ale i tak nie wydał dźwięku.

Cassidy przełknęła ślinę. Jej oczy zaszyły mgłą. Wilson się nie poddawał. Może Cassidy Buchanan przyparta do muru, w końcu się ugnie.

- Pewnie chce panią zobaczyć... A może widział panią w tartaku tamtej nocy?

Gonzales wbił w nią ciemne oczy.

Obliznęła nerwowo usta i odwróciła wzrok.

- Już panom mówiłam, że mnie tam nie było.

- Racja. Była pani sama w domu. Nie ma pani alibi. - Wilson odwrócił się do kolegi i wziął do ręki plastikową torbę. - Zdjęliście z tego odciski?

Gonzales lekko skinął głową.

- Zabawne. - Wilson, nie spuszczać wzroku z kobiety, wyciągnął poczerniały srebrny łańcuszek. - Wie pani, bardzo mnie ciekawi, dlaczego prawie spalonemu mężczyźnie tak zależało na tej tandecie.

Cassidy nie odpowiedziała. Wilson rzucił worek na stół i zadyndał jej przed nosem medalikiem ze świętym Krzysztofem, jak hipnotyzer wahadełkiem.

- Zastanawiam się, o co tu chodzi. - Dostrzegł złość w jej wielkich oczach, ale nie odezwała się. Położył szerniały łańcuszek na stole.

Cassidy Buchanan przez chwilę wpatrywała się w zwęglony metal. Zmarszczyła czoło i z trudem przełknęła ślinę.

- To wszystko? Mogę już iść?

Wilson nie chciał dać za wygraną. Wiedział, że ona coś ukrywa, a przecież chodziło o największą sprawę morderstwa i podpalenia, jaka trafiła im się od dziewięciu lat i była jego przepustką do tego, żeby wygryźć Floyda Doddsa.

- Nie zmieni pani zdania?

- Nie.

- Chociaż nie ma pani alibi?

- Byłam w domu.

- Sama?

- Tak.

- Pakowała się pani? Miała pani zamiar odejść od męża.

- Pracowałam na komputerze. Godzina wejścia do komputera jest zarejestrowana, może pan sprawdzić...

- Że ktoś na nim pracował albo, że skończył kursy komputerowe i potrafi się dostać do bebeczów maszyny, do jej pamięci i zmienić godzinę wejścia. Niech pani zrozumie, że igrasza pani z ogniem. - Chwycił łańcuszek i wrzucił go do plastikowej torebki. - Ale wie pani, że niezależnie od tego, co pani zrobiła, lepiej będzie się przyznać. A jeżeli pani kogoś kryje... Cholera, nie ma pani najmniejszego powodu, żeby dać się ukarać za coś, czego pani nie zrobiła.

Kobieta odwróciła wzrok.

- Pani nie... nie chroni swojego męża, prawda? Nie, to idiotyczne. Przecież mieliście się rozstać.

- Czy jestem oskarżona? - Na jej policzkach zakwitły rumieńce. W luźnej kurtce dżinsowej wyglądała tak, jakby w ciągu doby, która minęła od pożaru, schudła dwa kilogramy.

- Jeszcze nie, ale to dopiero początek.

Nie uśmiechnęła się.

- Wspomniałam, że chciałabym zobaczyć męża.

Wilson posłał spojrzenie Gonzalesowi.

- Pani McKenzie... Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, żebym zwracał się do pani w ten sposób, bo wobec prawa nadal są państwo małżeństwem. Myślę, że to świetny pomysł. Powinna pani zobaczyć też tego drugiego faceta. Może powie mi pani, kto to jest, chociaż w tym stanie chyba nie rozpoznałaby go jego własna matka.

Gonzales oparł się o drzwi.

- Doddsowi się nie spodoba, że pojedziecie bez niego.

- Zostaw to mnie.

- Kopiesz sobie grób, chłopie.

- Zadzwoń do starego Floyda. Kupisz mi ładny wieniec? - Wilson przeciągnął się na krześle. - Dodds i tak zawsze jest ze mnie niezadowolony.

Gonzales próbował powstrzymać T. Johna.

- Lekarze kategorycznie zabronili przeszkadzać pacjentom.

- Wiem, do cholery! - Wilson wziął kapelusz. - Ale im i tak nic nie przeszkodzi! Jeden facet jest nieprzytomny, a drugi... pewnie nie za długo zabawi na tym świecie. Przecież pani Buchanan jest żoną jednego z nich i chce się zobaczyć z mężem. W dodatku może nam pomóc. Pani pozwoli, pani McKenzie, idziemy.

Cassidy próbowała zapanować nad emocjami. W jej umyśle mnożyły się tysiące pytań. Nie spała prawie dwie doby, a kiedy udało jej się zdrzemnąć, dopadł ją przerażający koszmar o pożarze w tartaku. Złał się z innym potwornym ogniem, gorącym piekłem, które siedemnaście lat temu zniszczyło jej życie i życie jej rodziny. Ciałem Cassidy wstrząsnął dreszcz i ugięły się pod nią kolana... O Boże, to straszne wspomnienie... Czarne niebo, czerwone płomienie, białe rozżarzone iskry, które wzbijały się w niebo, jakby wypluwał je sam szatan, drwiąc z Boga. Zniszczenie i śmierć... Proszę, pomóż mi.

Zorientowała się, że zastępca szeryfa patrzy na nią i czeka. Przypomniała sobie, że chyba mówił coś o pójściu do szpitala.

- Możemy już iść? - Wybrnęła z sytuacji. O, Boże, proszę Cię, nie pozwól mu umrzeć! Łzy napłynęły jej do oczu i zawisły na rzęsach niczym krople rosy. Nie chciała jednak dać T. Johnowi Wilsonowi satysfakcji i pokazać, że jest załamana.

Powinna poprosić, żeby sprowadzono adwokata, ale to było niemożliwe. Jej adwokatem był mąż, który walczył o życie. Nie pozwolono jej się z nim zobaczyć, ale lekarze poinformowali ją, jakie odniósł obrażenia. Złamana szczęka i żebra, przebite płuco, zmiażdżona kość udowa, spalona rogówka prawego oka. Ma szczęście, że żyje. Szczęście!

Rzuciła ostatnie spojrzenie na zwęglony srebrny łańcuszek w plastikowym worku. Był poskręcany i wyglądał niczym zdechły wąż. Serce zabiło jej mocniej. To tylko zwykła biżuteria - przywołała się do porządku - w dodatku niedroga. Nic dla niej nie znaczy. Nic.

Cassidy nie słyszała szpitalnych hałasów - szczęku wózków i naczyń, dzwoniących telefonów ani kroków. Wydawało jej się, że wszystko umilkło, kiedy Wilson otworzył drzwi do szpitalnej sali, gdzie pod sterylnie białym prześcieradłem nieruchomo leżał jej mąż. Pół twarzy, włącznie z prawym okiem, miał osłonięte bandażem. Ciało posiniaczone i pokaleczone. Przy spuchniętym nosie biegły szwy, a wokół ran na skórze żółcił się środek antyseptyczny. Na widocznej części szczęki zaczynał pojawiać się ciemny zarost. Do żył sączył się płyn z kroplówki.

Cassidy poczuła mdłości. Zacisnęła zęby. A więc tak się to skończyło. Po co był wtedy w tartaku? Z kim się spotkał? Z tym człowiekiem, który umiera gdzieś w labiryncie szpitalnych sal? I dlaczego, o Boże, dlaczego ktoś próbował go zabić?

Jestem tutaj - powiedziała cicho, wchodząc do sali. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i uchronić go przed tymi męczarniami. Już dawno przestali się kochać, a może tak naprawdę nigdy nie było między nimi miłości, jednak zależało jej na nim. - Słyszysz mnie? - spytała. Nie dotknęła czystej poszwy, którą był przykryty, żeby niepotrzebnym ruchem nie przysparzać mu dodatkowego cierpienia.

Zdrowe oko miał otwarte. Nieruchomo wpatrywał się w sufit. Białkówka nabrała paskudnego czerwonego odcienia, a niebieska tęczęwka, ta błękitna jak niebo tęczęwka, wyglądała jakby rozpuściła się w okalającej tkance.

- Jestem tu z tobą. - Cassidy wiedziała, że w drzwiach stoi zastępca szeryfa. - Słyszysz?

Oko poruszyło się i spojrzało w jej stronę z taką nienawiścią, że niemal odskoczyła od łóżka. Mąż przyglądał się jej przez długą, pełną napięcia chwilę. Potem odwrócił wzrok, jakby zde gustowany i znowu wpatrywał się w sufit.

- Proszę cię...

Nie poruszył się.

T. John zrobił krok do przodu.

- McKenzie?

Nic.

Kobieta odezwała się miękko:

- Chcę ci powiedzieć, że mi zależy. - Na wspomnienie ostatniej kłótni i okrutnych słów, którymi się obrzucili, ścisnęło ją w gardle. Oko mężczyzny mrugnęło, wiedziała, że mimowolnie. Nie mógł jej słyszeć. Nie chciał. Nic się nie zmieniło. Nie chciał miłości, której ona i tak nie była w stanie mu dać. Będę przy tobie. Przypomniała sobie przysięgę małżeńską i poczuła bolesne ukłucie w sercu. Ten bezwładny mężczyzna był kiedyś tak silny...

Od samego początku wiedziała, że ich małżeństwo jest pomyłką, ale wierzyła, że znajdą sposób, żeby się pokochać.

Myliła się. Bardzo się myliła.

Czekała. W końcu oko zamknęło się. Nie wiedziała, czy mąż śpi, jest nieprzytomny, czy jak zwykle udaje, że jej nie zauważa.

Wyszła ze szpitalnej sali na nogach jak z waty. Dopadły ją wspomnienia. Wspomnienia o znalezionej i utraconej miłości, o nadziejach i marzeniach, które umarły na długo przed pożarem.

Wilson dotrzymał jej kroku.

- Opowie mi pani o łańcuszku z medalikiem świętego Krzysztofa?

Serce jej załomotało.

- Nie... nie mogę.

- Dlaczego?

Objęła się ramionami. Mimo upału trzęsa się z zimna, jakby był listopad.

- Nie należał do mojego męża.

- Jest pani pewna?

Nie odezwała się, bo nie miała pewności.

- O ile wiem, nigdy nie miał niczego takiego. Prawdopodobnie należał do... tego drugiego mężczyzny. Tego, który go trzymał.

- Czy domyśla się pani, kto to jest? - spytał Wilson.

- Sama chciałabym wiedzieć - odpowiedziała skwapliwie. Nie pozwoliła myślom przenieść się w inny czas i miejsce, ku innej miłości i błyszczącemu łańcuszkowi z medalikiem świętego Krzysztofa. - Bóg mi świadkiem, że chciałabym wiedzieć.

Przeszli korytarz i wsiedli do windy. Zjechali na oddział intensywnej terapii. T. Johnowi nie udało się przekonać dyżurującej pielęgniarki i lekarza dyżurnego, żeby pozwolili im zobaczyć drugą ofiarę pożaru. Wyszli ze szpitala. W palącym popołudniowym słońcu, Wilson pokazał jej fotografię zwięglonego mężczyzny. Zobaczyła twarz w pęcherzach i spalone włosy. Zamknęła oczy, bo zebrało jej się na wymioty.

- Już panu mówiłam. Nie znam go. A nawet gdybym znała, nie sądzę, to znaczy nie przypuszczam...

- W porządku. - Głos Wilsona był współczujący, jakby jednak był zdolny do ludzkich uczuć. - Mówiłem, że to niemiły widok. - Ujął ją pod ramię i zaprowadził na parking, do służbowego samochodu. Spojrzał przez ramię w stronę skrzydła szpitala, gdzie mieścił się oddział intensywnej terapii. Pokiwał głową.

- Biedny facet. Kto to, do diabła, jest?

Część pierwsza

1977

1

Więc tak żyją bogacze.

Brig McKenzie rzucił dzinsową kurtkę na siedzenie wysłużonego harleya davidsona. Mrużąc oczy w ostrym słońcu, spojrzął na wypielęgnowany trawnik, który tarasami pokrywał zbocze górskie, aż do olbrzymiego domu na szczycie. Każdy pas przystrzyżonej trawy okolony był kamieniami. Ciężkie od kwiatów krzewy róż zalewały ziemię kolorami i nasycaly powietrze zapachem. Zielonego dywanu Buchananów nie szpecił żaden chwast, oset ani koniczyna.

Posiadłości Buchananów nie dało się porównać z domem Briga - jednoizbowym barakiem, w którym mieszkał z matką i bratem. Za stopień służyła im ustawiona na ceglach skrzynka po pomarańczach, a zwirowy podjazd porastały wysuszone zielska i trawa. Kołyszący się przy oknie frontowym metalowy szyld, na którym czas odcisnął swoje piętno, zapraszał na wróżenie z dłoni i konsultacje psychologiczne u Sunny. Jego matki. Półkrwi Indianki Cherokee, półkrwi Cyganki. Najlepszej matki, o jakiej dziecko mogłoby marzyć.

Przyglądał się domowi Buchananów i nie czuł zazdrości, która trawiła jego starszego brata Chase'a.

- Na Boga, Brig, musisz to zobaczyć - mówił mu nieraz Chase. - To rezydencja. Prawdziwa rezydencja, pełna służących i kucharzy. Jest nawet szofer. Wyobrażasz sobie? W Prosperity, w stanie Oregon w Stanach Zjednoczonych, najprawdziwszy szofer. Chłopie, to jest życie. - Oparty o odrapany plastikowy stół kuchenny, wyszeptał: - Wiesz, dałbym się zabić, żeby mieć taką chałupę!

Na Brigu to miejsce nie wywarło wielkiego wrażenia. Wiedział, że stary Buchanan też ma zmartwienia, z którymi musi sobie radzić.

Brig wpatrywał się w masywną konstrukcję z szarego kamienia i cedrowego drewna, która była domem Reksa Buchananów. Trzy wysokie piętra, spadzisty dach, okna w kształcie łuków, ozdobne okiennice i tyle kominów, że nie można ich było zliczyć. Pomnik wystawiony królowi drewna.

Buchanan był właścicielem niemal wszystkiego i wszystkich w mieście i, zdaniem matki Briga, prawie bogiem na ziemi. Ale matka Briga mówiła wiele dziwnych i tajemniczych rzeczy, które go niepokoiły. Nie wierzył w astrologiczne bzdury, choć niejedna przepowiednia Sunny McKenzie sprawdziła się. To było niesamowite i przyprawiało go o gęsią skórę.

Nie chciał myśleć o swojej pięknej matce, którą mąż porzucił wkrótce po jego narodzinach. Wolał skupić się na niezmiernych hektarach ziemi, która należała do Buchananów. Ogromny obszar był podzielony białymi płotami na mniejsze pola, na których suchą trawę skubały konie, sądząc po wyglądzie, w większości rasowe. Ich brązowa, czarna, srebrna i kasztanowa sierść lśniła w późnopołudniowym słońcu. Zwierzęta ogonami opędzały się od much. Niepewnie stojące na nogach źrebaki usiłowały naśladować matki i skubały wyblakłą od słońca trawę.

Ranczo ciągnęło się kilometrami aż do podnóża gór, gdzie na ścieżce czekały grube pnie jodeł i cedrów, fundament interesu Buchananów. Samo drewno warte było fortunę.

Tak, Rex Buchanan był bogatym sukinsynem.

- McKenzie?

Brig obejrzał się przez ramię i zobaczył wysokiego mężczyznę o wysmaganej wiatrem skórze, ostrym nosie i ciemnoszarych oczach, który wyszedł ze stajni. Ubrany był jak na rodeo. Jeden kciuk zatknął za postrzępioną szlufkę brudnych dżinsów.

- Jestem Mac. - Zdjął kapelusz z głowy. Z czoła ciekł mu pot. - Szef mówił, że się zjawisz. - W głosie Maca była nieufność. Podał Brigowi zgrubiałą rękę, pewnie nią potrząsnął i nie puścił. - Jestem majstrem. Będę miał cię na oku. - Zacieśnił uścisk, sprawiając Brigowi ból. - Nie chcę kłopotów, chłopcze. - W końcu puścił jego rękę. - Sam zapracowałeś na swoją reputację w mieście i nie udawaj, że o tym nie wiesz. Szef ma dobre serce i pomaga innym, ale ja nie. Albo zajmiesz się tym, co trzeba, albo wynocha. Jasne?

- Jasne. - Brig zjeżył się w środku. Powinno go śmieszyć, że nikt nie spodziewa się po nim niczego dobrego, ale nie było to wcale zabawne. Nie dzisiaj. Nie podobał mu się pomysł pracy dla Buchanana, ale nie miał dużego wyboru, zwłaszcza, że stracił już więcej miejsc pracy, niż na niego przypadają. Miał dziewiętnaście lat i kiepską opinię. Zaciśnął zęby, tłumacząc sobie, że ma szczęście, że się w ogóle tutaj znalazł, ale jego buntownicza natura, nad którą nie był w stanie zapanować, mówiła mu, że popełnia największy błąd w życiu.

- Dobrze. - Mac poklepał go po ramieniu. - Więc rozumiemy się. A teraz chodź, pokażę ci, od czego zaczniesz. - Ruszył w stronę stajni, a Brig za nim. - Czekam tutaj na ciebie codziennie o wpół do szóstej rano. Czasami będziemy pracować do zmierzchu - do dziewiątej, dziesiątej wieczorem. Wtedy liczą się nadgodziny. Szef płaci ucziwie, ale będziesz musiał pracować, aż cała robota zostanie skończona. Zgoda?

- Nie ma sprawy. - Brig nie zdołał ukryć sarkazmu w głosie. Mac przystanął.

- Nie będą to sytuacje rzadkie. W lecie pracujemy prawie całą dobę, więc nie zostanie ci wiele czasu na picie czy kobiety. - Otworzył drzwi do stajni. W powietrzu wirował gęsty kurz, który mieszał się z zapachem koni, gnoju i uryny. Przy brudnych szybach bzycały muchy. Brig miał wrażenie, że temperatura w stajni podniosła się o pięć stopni. - Nie czarujmy się. - Mac ponownie odwrócił się do Briga i dźgnął go długim, kościstym palcem w pierś. - Słyszałem o tobie, McKenzie. Znam twoje przygody. Jak nie kradzieże, to pijatyki, jak nie pijatyki, to kobiety.

Mięśnie ramion Briga napięły się. Zaciśnął pięści, ale nie odezwał się ani słowem. Wytrzymał przenikliwe spojrzenie Maca.

- Kobiety stąd są damami i nie potrzebują, żeby oglądał się za nimi motłoch z za płota. Stary Buchanan jednego nie zdzierzy: jeśli jakiś napalony gówniarz będzie chciał się dobrać do jego córek. Nie mówiąc o tym, co zrobiłby wtedy ich starszy brat. Z Derrickiem lepiej nie zadzierać. Jest porywczy i zaborczy. Nie będzie zachwycony, że ktoś próbuje poderwać jego siostry. Panna Angela i panna Cassidy nie wchodzi w rachubę. Jasne?

- Jak słońce - odpowiedział Brig drwiąco. Wcale mu nie zależało na nadętych córkach Buchanana. Kiedyś w mieście w Burger Shed, restauracji fast-food, widział jak starsza flirtowała z napalonymi chłopakami, którzy się z niej nabijali i mieli niezły ubaw. Młodsza nie była tak ładna jak jej przyrodnia siostra, ale potrafiła przejrzeć faceta. Krążyły plotki, że jest postrzelona, że bardziej lubi konie niż chłopaków i nie panuje nad niewyparzoną językiem. Poza tym była za młoda. Miała dopiero szesnaście lat. To Briga nie interesowało.

Do tej pory nie miał okazji poznać córek Buchanana. Ciemnowłosa uwodzicielka została wysłana do katolickiej szkoły jakiejś tam świętej w Portland. Do domu przyjeżdżała jedynie na weekendy i wtedy paradowała przed chłopakami. A Cassidy była jeszcze naiwnym dzieckiem. Nie były w guście Briga. On lubił kobiety pociągające, porządne i z charakterem, na tyle mądre, żeby nie wiązać z nim żadnych nadziei. Nie obchodziły go kobiety bogate, bo były z nimi same kłopoty. Majętne dziewczyny, które szukały zabawy z niewłaściwymi facetami, zostawiał swojemu bratu. Chase miał pociąg do pieniędzy, drogich samochodów i bogatych kobiet. Briga to nie obchodziło.

Mac wyjaśniał, na czym będą polegały obowiązki Briga:

- ...jak też przerzucanie siana i pomaganie przy żniwach. Będziemy stawiać płot przy przełęczy Lost Dog, w miejscu gdzie graniczy z posiadłością Caldwell. Potem będziesz mógł pracować przy koniach. Z tego, co słyszałem, umiesz ujeździć nawet najdzikszą bestię. - Tylnymi drzwiami weszli do ciemnego budynku.

Na wybiegu obok brykał narowisty dwuletni źrebak. Trzymał głowę wysoko, łapał w nozdrza wiatr, który wiał od doliny i strzygł uszami, bo nadciągała chmara much. Podreptał po suchej ziemi, zarzucił łbem, głośno zarżał i przebiegł z jednego końca wybiegu na drugi, machając ogonem niczym flagą.

- Ten tutaj to Remmington... Sir George Remmington Trzeci czy jakiś tam inny. Miał być koniem panny Cassidy, ale jest cholernie narowisty. Zrzucił ją dwa tygodnie temu. Mało nie urwało jej ramienia, ale ona dalej się upiera, żeby go dosiąść.

Mac poklepał się po kieszeni na piersi i znalazł zmiętą paczkę Marlboro.

- Nie wiem, kto jest bardziej uparty, koń czy dziewczyna. Remmington będzie twoim pierwszym zadaniem. - Wsadził papierosa do ust, spojrzał na Briga i zapalił. Wypuścił dym nosem. - Masz pilnować, żeby panna Cassidy nie wsiadała na niego, dopóki nie będzie ujeżdżony.

- Mam ją powstrzymać, jeśli będzie próbowała?

Mac wyszczerzył zęby i mocno się zaciągnął.

- Jeżeli będzie chciała, to nikt jej nie powstrzyma. Ale miała poważny wpadek. Nie jest głupia. Poczekaj.

Żrebak, jakby wyczuwając, że jest obiektem zainteresowania, pogalopował na sam koniec wybiegu. Wzbił kopytami tuman kurzu i stanął dęba, wierzgając w powietrzu przednimi nogami.

Mac zmrużył oczy.

- To wcielony diabeł.

- Poradzę sobie.

- Dobrze.

Mac powiedział to bez większego przekonania. Brig postanowił udowodnić mu, że się myli. Dorastał wśród koni na ranchu wuja Luke'a. Tam nauczył się fachu, ale wuj musiał sprzedać interes. Od tamtej pory Brig miał się różnych zajęć. Zawsze kończyło się tym, że tracił pracę. Nie dlatego, że źle wykonywał robotę, ale dlatego, że nie potrafił panować nad sobą i rozwiązywał problemy za pomocą pięści. Najgorzej było ostatnio u Jeffersona, zaledwie dwa tygodnie temu. Wyleciał z pracy ze złamanym nosem i pokaleczoną ręką. Jakiś facet nazwał go synem taniej indiańskiej dziwki i chciał go uderzyć. Chłopak uniknął ciosu i porządnie draniowi wlał. Złamał mu dwa zębra. Nie wniesiono oskarżenia przeciwko Brigowi, bo bijatykę widziało wielu robotników, którzy mogli zaświadczyć, że był niewinny.

- Dobra, to wszystko. - Mac zgasił papierosa czubkiem starego kowbojskiego buta i wyciągnął z za drzwi stajni łopatę. - Dzisiaj możesz zacząć od sprzątnięcia stajni. - Mac łypnął złośliwie na Briga i rzucił mu łopatę. Ten chwycił ją w locie. - Dopóki będziesz robił, co ci każe, wszystko będzie w porządku. Ale jeśli dowiem się, że mnie oszukales, jesteś zwolniony.

Brig odwrócił się, żeby wejść do stajni, ale drogę zagroził mu chłopak niemal w tym samym wieku, co on. Był wysoki i umięśniony. Błękitne oczy patrzyły podejrzliwie na Maca.

- To jest Willie. Pomoże ci.

Brig wiedział, kto to jest Willie Ventura. Półgłówek z miasteczka. Chłopak opóźniony w rozwoju, którego Rex Buchanan wziął do siebie i dał pracę. Willie nie wyróżniał się wyglądem, ale zawsze był rozczochrany, chodził w brudnej koszuli i zwykle miał otwarte usta. Włóczył się po mieście, pił oranżadę w Burger Shed albo grał w bilard u Burleya, w miejscowej knajpie ze striptizem.

- Willie, od tej chwili będziesz pracował z Brigiem.

Wargi Williego nieznacznie drgnęły. Zmarszczył brwi. Widać było, że jest zmartwiony.

- Kłopoty. - Szybko podszedł do Briga, ale unikał jego wzroku.

- Nie, on teraz tu pracuje. To polecenie szefa.

Willie nie wyglądał na uszczęśliwionego. Przy jego grubych wargach utworzyła się zmarszczka.

- Wielkie kłopoty.

Mac potarł brodę i ponownie spojrzał na Briga.

- No, cóż, nic nie mogę na to poradzić.

Cassidy bolało ramię, ale nie miała zamiaru się poddać. Połknęła dwie aspiryny, popiła je wodą i wybiegła z łazienki. Głośno tupiąc, zeszła tylnymi schodami i szybko opuściła dom przez szklane drzwi, żeby matka nie zdążyła jej zatrzymać. Zbiegała ze wzgórza ku stajniom, nie zważając na to, że jest szaro, prawie ciemno. Nie miało dla niej znaczenia, czy jest dzień czy noc. Chciała niesfornego konia nauczyć porządku.

Na czole miała kropelki potu, bo w powietrzu, niczym kłątwa, nadal wisiał popołudniowy upał. Nawet wiatr nie przynosił ulgi. Temperatura sięgała prawie czterdziestu stopni. Od gorąca zaczęły więdnąć róże, mimo że spryskiwacze nie żałowały wody suchym krzewom. Przy kranach zbierały się spragnione ptaki.

Weszła do stajni. Nie zapalała światła, bo było jeszcze w miarę widno. Poza tym nie chciała, żeby matka wiedziała, że jest tutaj. Dena Buchanan wściekłaby się, że Cassidy zlekceważyła jej zakaz. Kolejny raz. Cassidy wiedziała, że Dena wolałaby, żeby jej córka była bardziej podobna do Angie, swojej przyrodniej siostry. Pięknej Angeli, za którą szaleją chłopcy. Która dba o figurę i szczotkuje długie czarne włosy aż będą lśniące. Nosi ciuchy z najlepszych sklepów w Portland, Seattle i San Francisco, gdzie czasami pracuje jako modelka. Angie Buchanan, z cerą bez skazy, wystającymi kośćmi policzkowymi, wydatnymi ustami i oczami błękitnymi jak niebo w lecie, była bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w całym Prosperity.

Mężczyźni za nią szaleli, a ona bezlitośnie ich zwodziła. Uwielbiała gdy ją adorowali, pożądali i odchodzili z kwitkiem. Wyglądało na to, że nawet Derrick jest oczarowany siostrą.

To przyprawiało Cassidy o mdłości.

Ściągnęła uprzęż z haka w kantorku z narzędziami i poszła do boksu Remmingtona. W półmroku dostrzegła iskiereki w jego jasnych oczach. Ten koń lubi wyzwania. Ona też.

- Dobra, ty żalosny stary głupku - powiedziała najbardziej przymilnym tonem, na jaki ją było stać. - Czas, żebyś się czegoś nauczył.

Wślizgnęła się przez bramkę do boksu. Żrebak wierzgnął nogą i prychnął. Jego oczy błyszczały w ciemności.

- Nic ci się nie stanie. - Cassidy wsunęła mu uzdę na głowę. Czowała drzenie jego napiętych mięśni, gdy zapinała uprząż. - Zrobimy sobie tylko małą przejażdżkę.

Poczuła czyjąś rękę na ramieniu.

Jęknęła. Serce w niej zamarło. Odwróciła się i krzyknęła. Rozpoznała Briga McKenziego. Nowego pracownika ojca. Była zawiedziona. Słyszała o nim niesamowite historie i podziwiała jego buntowniczą naturę. Nawet przez chwilę nie przypuszczała, że i on w końcu stanie się własnością Buchanana, jak wszyscy w mieście.

Był wysoki, barczysty, śniady. Jego nos nie raz musiał być złamany. Patrzył na nią, jakby zrobiła coś złego.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? - Usiłowała uwolnić ramię, ale jej się nie udało.

- Właśnie chciałem cię zapytać o to samo. - Patrzył na nią błękitnymi, pełnymi wściekłości oczami. Jego wąskie usta, sprawiające wrażenie okrutnych, zacięły się. W jednej chwili zrozumiała, dlaczego tyle dziewcząt w mieście uważa go za niebezpiecznie pociągającego.

- Przyszłam po mojego konia, chciałam się przejechać.

- Nie ma mowy.

- Myślisz, że mnie powstrzymasz? - Była onieśmielona tym, że ją dotykał i wściekła, że chce jej dyktować, co ma robić. Była zmieszana jego obecnością, ale nie miała zamiaru dać tego po sobie poznać.

- To moja praca.

- Pracujesz z Remmingtonem? Od kiedy?

- Od wczoraj - szorstko wyszeptał jej w twarz, łaskocząc ją o wiele za ciepłym oddechem. - Twój ojciec zatrudnił mnie i mam go ujeździć.

- Mój ojciec zatrudnił cię, żebyś pracował w polu.

- I ze źrebakiem.

- Nie potrzebuję pomocy.

- Słyszałem co innego.

- Więc źle słyszałeś. - Szarpnęła się i wykrzywiła, bo ból przeszył jej bark. - To mój koń i będę z nim robić, co mi się podoba.

Prychnął szyderczo.

- Z tego, co wiem, to ten koń robi z tobą to, co mu się podoba.

- Zejdz mi z drogi - rozkazała. Roześmiał się nisko, zmysłowo, bez emocji, ale nie ruszył się. Poczuła zakłopotanie. Stał między nią a zwierzęciem i wyglądał jak najprawdziwszy na świecie kowboj, zawzięty, gotów dopiąć swego. Trzymał głowę wysoko i mrużył oczy z determinacją. Pachniał potem, końmi i skórą. Czowała od niego mdły zapach dymu.

Serce zaczęło bić jej mocniej. Briga spojrział na jej szyję, w której burzliwie pulsowała krew. Nie wiedzieć czemu, miała wrażenie, że stajnie odpływają w dal, a w całym wszechświecie istnieje tylko ona i on. Wiedziała, że jej pierś unosi się i opada o wiele za szybko. Żałowała, że jest tak cholernie gorąco. Tak gorąco, że koszula lepiała się do pleców.

- Co tu robisz tak późno?

- Pilnuję porządku. - Pewnym ruchem odpiął uzdę, jakby robił to już tysiące razy. Wędzidło zadzwęczało, gdy zdjął ze źrebaka skórzane pasy. Remmington potrząsnął dostojnie łbem.

- Więc niedługo sobie pójdziesz?

Znowu ten bezduszny śmiech.

- Nie licz na to. - Otworzył bramkę i przytrzymał ją, żeby Cassidy mogła wyjść. Nie miała wyboru. - Mogę nawet tutaj nocować. - Odwiesił uprząż na miejsce.

- Ale nie będziesz.

- To się przekonaj - powiedział wyzywająco. Miała ochotę go sprać. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić. Zresztą, jeśli ojciec go zatrudnił, miał pełne prawo przebywać w stajni. Chyba że kłamie... Cholera, nie kłamie. Nie jest głupi. Słyszała wiele opowieści o Brigu McKenziem. Niektóre niesamowite, inne wprost obrzydliwe, ale nikt nie zarzucał mu głupoty. Pewnie, że zrobił kilka głupstw, ale po pijanemu albo przez kobietę. Gdy Cassidy wyobraziła sobie jego bandyckie, grzeszne ciało kochające się z kobietą, jej wnętrzości zareagowały dziwnym drżeniem, żołądek się skurczył, a twarz zalał rumieniec.

Od kiedy Rusty Calhoun pocałował ją za stadionem futbolowym, przyciskając plecami do twardej cementowej ściany, Cassidy zbyt wiele myślała o mężczyznach i kobietach i o rzeczach, które robią za zamkniętymi drzwiami. Rusty odważył się nawet rozpiąć jej bluzkę. Niezdarnie wsunął rękę do stanika i próbował ją pieścić, ale mu się wyrwała. Całowanie się nie było takie straszne, chociaż oboje byli niewprawnymi szczeniakami. Posunięcie się do czegoś więcej przerażało ją. Kusiło, ale wzbudzało lęk. Od tamtej pory Rusty dzwonił co wieczór, ale więcej się z nim nie umówiła. Nie była gotowa na taką rozrywkę, jakiej od niej oczekiwał. W dodatku podejrzewała, że Rusty wykorzystuje ją po to, by zbliżyć się do Angie.

Wszyscy chłopcy pragnęli Angie.

Dlaczego krążą jej po głowie zakazane myśli na temat Briga McKenziego? Przecież jest stary. Prawie tak stary jak jej brat Derrick.

Jest pracownikiem ojca. Nie ma prawa mówić jej, co ma robić. A jednak wracała wyprostowana do domu, wiedząc, że Brig odprowadza ją wzrokiem.

Na tylnym ganku zrzuciła buty z nóg, weszła po schodach i wślizgnęła się do swojego pokoju, Z radia w kuchni sączyła się muzyka, a z telewizora w sypialni dobiegał łagodny głos spikera czytającego wiadomości. Znajdzie jakiś sposób, żeby przechytryć Briga McKenziego. Przecież nie będzie pilnował Remmingtona dzień i noc. A może będzie?

Serce biło jej jak oszalałe. Zamknęła drzwi, ale nie zapaliła światła. Podeszła do otwartego okna i spojrzała w stronę wybiegów. Zmierzch malował pola odcieniami ciemnej purpury. Na wysuszonych przez słońce pastwiskach widać było tylko kilka ciemnych sylwetek koni, którym pozwolono zostać na noc na dworze. Był tam też Brig. Stał oparty o płot i wpatrywał się w jej okno. Zapalił zapałkę, która na sekundę oświetliła jego twarz, ukazując wyraźne, ostre rysy, grube czarne brwi i oczy o tajemniczym odcieniu błękitu. Wpatrując się w nią, zapalił papierosa i powoli zgasił zapałkę.

Cassidy zaschło w gardle. Trzymała się okna zeszywniałymi palcami. Zagryzając wargi, patrzyła w dal, gdzie stała samotna postać, oparta o białe ogrodzenie. Z czerwonego końca papierosa unosił się gryzący dym, którego zapach mieszał się z wonią świeżo skoszonej trawy, uschniętych róż i kurzu. Noc była ciepła. Owady bzywały niestrudzenie. Brig w ciszy palił papierosa, stojąc na straży. Był równie uparty jak żrebak, którego miała zamiar ujeździć Cassidy.

Przecież nie będzie tak stał do rana. Cassidy wiedziała, że musi poczekać, żeby go przechytryć. Odwracając się od okna, znowu usłyszała jego niski i wymuszony śmiech, który niósł się ku odległym wzgórzom.

Jed Baker zacisnął palce na rozgrzanej kierownicy nowej corvetty. Zaparkował przy Burger Shed, zostawił kluczyki w stacyjce i włączone radio. Sączył colę i patrzył na miejsce za restauracją, gdzie w cieniu trzech rozłożystych dębów ustawiono kilka stołów. Siedziała tam Angie Buchanan ze swoją najlepszą przyjaciółką, Felicity Caldwell. Strząsały keczup z frytek i leniwie popijały wodę sodową, jakby nie wiedziały, że on i Bobby siedzą w kabriolecie i im się przyglądają. Z głośników samochodu dobiegały znajome dźwięki piosenki The Eagles *Hotel California*, ale Jed prawie ich nie słyszał. Zmrużył oczy w słońcu.

- Angie Buchanan jeszcze o tym nie wie, ale to ja pozbawię ją cnoty. - Na tę rozkoszną myśl jego oczy otworzyły się szeroko. Leniwie wstrząsnął kostkami lodu w coli.

- A ja jestem papieżem - zaszydził Bobby Alonzo. Jednym łykiem dokończył swój koktajl czekoladowy i wyglądał przez szybę, nie spuszczać wzroku z Angie.

Angie i Felicity. Co za para! Najstarsza córka najbogatszego człowieka w mieście i jedyne dziecko najbardziej wpływowego sędziego w okręgu. Dziewczęta śmiały się i szeptały sobie sekrety. Chichotały jak niegrzeczne dziewczynki i zgrabnie układały różowe usta na słomkach do napojów.

Jed podniecał się na sam widok Angie. Niech Bobby nie wierzy, ale on zrobi to z Angie, zanim skończy się lato.

- Moim zdaniem, ona już to zrobiła. - Bobby wyrzucił kubek przez okno. Trafił w pojemnik na śmieci. Płyn oblał boki plastikowego kubła. Do słodkiej kałuży od razu zleciały się pszczoły i muchy.

Palce Jeda zacisnęły się na kierownicy.

- Z kim?

- Nie wiem, ale wygląda jakby była... napalona. - Bobby oblizwał usta. - Na pewno nie jest dziewicą.

- Akurat się na tym znasz. - Jed nie umiał ukryć irytacji. Sama myśl o tym, że dotykał jej ktoś inny, doprowadzała go do szału. Miała wszystko, czego szukał w kobiecie. Była ładna, miała zmysłowy uśmiech, wielkie cycki i kupę forsy. Była ukochanym dzieckiem Reksa Buchanana i niewątpliwie dziedziczką fortuny, gdy stary się przekreśli, ale i bez tego była niesamowitą kobietą.

Podmuchał wiatru porwał serwetkę ze stołu i Angie schyliła się, żeby ją podnieść. Krótka spódniczka uniosła się, ukazując uda, które mogły mężczyznę przyprawić o obłęd. Różowy materiał czarująco podkreślił jej pupę, ukazując koronkę majtek. Na ten niebiański widok Jed aż jęknął.

- Jest moja - wymruczał pod nosem. Zaschło mu w gardle, więc łączywie pociągnął ostatni łyk napoju. Był tak napalony, że wydawało mu się, iż eksploduje. Pragnął tylko Angie. Całe mnóstwo dziewczyn zrobiłoby to z nim bez zastanowienia, ale one go nie obchodziły. Były łatwe.

Przekreślił kluczyk w stacyjce. Silnik samochodu zawył, budząc się do życia, a Jed wyobraził sobie, jak by to było z Angie w łóżku. Jej czarne włosy opadałyby jak jedwabisty czarny obłok, niebieskie oczy przymykałyby się sennie, różowe usta pożądliwie i ulegle szeptałyby jego imię. Wyobrażał sobie, jak będzie się pod nim wila, błagając o więcej i chcąc z nim robić takie rzeczy, o jakich mógł jedynie marzyć.

Ruszył z parkingu z piskiem opon i we wstecznym lusterku dostrzegł, że Angie na niego patrzy. Tak, ona też tego chciała. Nie mógł się doczekać, żeby jej to dać.

- Marzenie - powiedział Bobby. Jed przerzucił biegi i ruszył przez miasto.

- Chcesz się założyć?

Minęli stare sklepy z witrynami stylizowanymi na dziewiętnastowieczne. Zapaliło się żółte światło i Jed dodał gazu. Samochód wyjechał na skrzyżowanie, gdy światło zmieniało się na czerwone. Mignął im przed oczami stary

zabytkowy młyn, należący do Buchananów.

Bobby roześmiał się, ukazując równe białe zęby.

- Jesteś maniakiem, ale zgoda. O co?

- Dwadzieścia dolców.

- Pięćdziesiąt.

Jed nie stracił zapału.

- Dobra.

- Ale muszę mieć dowód.

- Jaki?

- Jej zdjęcie nago.

- Ej, przestań...

- Albo niech mi sama opowie. - Bobby wyszczerzył się złośliwie, a Jed nabrał przekonania, że jego najlepszy przyjaciel też pragnie Angie. Spoglądając na biegi, rzucił okiem na rozporek Bobby'ego. Jasne, podniecenie uciskało go w dzinsy. Cholera. Minęli tablicę witającą turystów w mieście.

- A może zmienimy nieco zakład? - Bobby spojrzał tak, że zmięczyłby serce niejednej pensjonarki. - Kto ją weźmie pierwszy, ten wygrywa?

Jed nacisnął hamulec. Samochodem szarpnęło. Corvette z piskiem opon zjechała na żwirowe pobocze drogi okręgowej.

Ciężarówka, która jechała tuż za nimi, zatrąbiła ogłuszająco, zjeżdżając na prawy pas. Kierowca był czerwony z wściekłości i kłął przez szybę, ale Jed prawie go nie słyszał. W jego głowie dudniły słowa Bobby'ego.

- Nie wchodź mi w drogę - warknął Jed i tak zacisnął zęby, że poczuł ból. Był wściekły. Nozdra mu drgały. - Ona jest moja. - Złapał Bobby'ego za koszulkę. Zgniół miękką bawełnę w mięsistych dłoniach. - Zrozumiałeś? Nikt inny jej nie dotknie. Nikt! Ja nie chcę jej tylko zaliczyć. Ona zostanie moją żoną.

Bobby roześmiał się z trudem.

- O, kurczę, facet, ty masz fioła.

Jed mocno nim potrząsnął, ale Bobby się nie przestraszył. Wprawdzie Jed był wyższy i ważył o piętnaście kilogramów więcej, ale Bobby był sprawniejszy, bo od lat uprawiał sport. Był gwiazdą drużyny futbolowej i najlepszym w okręgu zapaśnikiem w swojej kategorii. Wygrał nawet zawody zapaśnicze w stanie Waszyngton. Gdyby doszło do bójki, Bobby z pewnością wygrałby, ale Jed absolutnie się tym nie przejmował. Gotów był dać z siebie wszystko.

- Jest moja - powtórzył Jed. - Tylko jeszcze o tym nie wie.

- A kiedy masz zamiar ją o tym poinformować? Zanim pozbawisz ją dziewictwa, czy potem? - W ciemnych oczach Bobby'ego widać było wesołość, ale wcale nie było do śmiechu.

Jed był śmiertelnie poważny. Przez ostatnie dwa miesiące zastanawiał się, czego chce od Angeli Marie Buchanan. Odpowiedź brzmiała: wszystkiego. Kochał ją.

- Niedługo. Powiem jej niedługo.

Jed puścił koszulkę Bobby'ego. Jego wściekłość rozplynęła się w nieznośnym żarze, który lał się z nieba.

Bobby prychnął.

- A przyszło ci do głowy, że ona może ci się roześmiać w twarz? Że może dać ci kosza? Słyszałem, że wybiera się na jakiś znany uniwersytet. Jak się nazywała ta szkoła w Love Story... Radcliffe, czy jakoś tak?

A może ma inne plany?

Jed uśmiechnął się chytrze.

- Więc będzie musiała je zmienić.

- Jed ma na ciebie chętkę - wycedziła Felicity, gdy Angie wjeżdżała do garażu sportowym datsunem.

- To chyba nie nowina?

Odgarniając ciężkie, proste rude włosy z karku, Felicity potrząsnęła głową i spojrzała na przyjaciółkę.

- Jest tak napalony, że nie może wytrzymać.

Angie to nie obchodziło. Jed Baker to idiota. Wielki, przerośnięty samiec.

Wysiadły z klimatyzowanego srebrnego samochodu i Angie poczuła, że późnopołudniowe powietrze parzy ją w skórę. Boże, co za upał. Bluzka przykleiła jej się do ciała, włosy przy skórze były mokre i nie obchodził jej żaden Jed Baker. Smarkacz. Dziewiętnastolatek. Jej rówieśnik.

- Wydaje mi się, że jest w tobie zakochany. - Felicity zatrzasnęła drzwiczki datsuna i obrzuciła wzrokiem parking przy garażu.

Szukała ciężarówki Derricka, ale gdy nie dostrzegła czarnego samochodu, kąciki ust lekko jej opadły. Wyglądała na załamana. Angie aż za dobrze знаła to uczucie. Wpadała w rozpacz za każdym razem, gdy patrzyła w lustro. Ale nie chciała o tym myśleć. Nie teraz.

- Jed Baker kocha pokera. Kocha pijatyki. Ale nie kocha mnie. - Angie usiłowała skupić się na rozmowie. - A poza tym, nie chcę chłopaka. - Rozejrzała się po stajniach. Jej wzrok zatrzymał się na gołych plecach Briga

McKenziego. Pracował z koniem, który nie dawał się okiełznać. Oczy żrebaka błyszczały. Zarzucał masywnym łbem, próbując się uwolnić. Brig zaparł się obcasami. Im bardziej koń opierał się, tym mocniej Brig ciągnął za postronek. Na ramionach chłopaka lśnił pot, a na kamiennej twarzy malowała się zawziętość. Nie widział nic poza zwierzęciem. W Angie coś drgnęło. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby to na nią Brig patrzył tak jak na krnąbrne zwierzę. Brig McKenzie nie był od niej dużo starszy, ale był bardziej doświadczony niż jego rówieśnicy z miasta. Mógłby dać jej to, czego chciała. Czego potrzebowała.

Odgarnęła włosy z twarzy, przeszła po rozgrzanym asfalcie i oparła się o płot. Z zadowoleniem przyglądała się grze mięśni barków i ramion chłopaka.

Gdy Brig przemawiał do żrebaka cichym, łagodnym, ale stanowczym głosem, Angie dostała gęziej skórki.

- Co on tu robi? - spytała Felicity, podchodząc do Angie.

- Tata go zatrudnił w zeszłym tygodniu.

- Po co?

- Do pracy na ranczu. - Pytania Felicity i zaczepny ton jej głosu irytowały Angie. Ostatnio w ogóle Felicity ją drażniła, bo od kilku tygodni była w kiepskim nastroju. - Podobno jest najlepszym jeźdźcem w okręgu.

- Tak, kiedy nie siedzi w więzieniu - mruknęła Felicity pod nosem. - Albo nie śpi z czyjąś żoną.

- Nigdy nie siedział - odparła ostro Angie, zaskoczona, że tak wiele wie o Brigu McKenzie i zakłopotana, że poczuła się w obowiązku go bronić. - A te opowieści o kobietach... są pewnie przesadzone. - Powędrowała wzrokiem w dół po zagłębieniu jego kręgosłupa, poniżej łagodnego wcięcia w pasie. Jego biodra luźno oplatał pasek z grubej skóry. Dżins na pośladkach był cienki i wyblakły, a przez jedną postrzępioną dziurę widać było centymetr umięśnionego uda. Angie ścisnęło w żołądku. Przeszedł ją dreszcz i zaparło jej dech w piersiach. - Wiesz? - powiedziała szeptem, do Felicity - Jest niezły.

- Jeśli lubisz prostaków.

Brig odwrócił się, jakby ją usłyszał. Miała wrażenie, że leniwe błękitne oczy chłopaka rzucają gromy w jej stronę.

- Co mogę dla was zrobić? - spytał niecierpliwie.

- Przyglądamy ci się tylko - wyjaśniła Angie z uśmiechem, który zwykle roztopiał męskie serca.

- I jak wam się podoba?

Nie mogła się powstrzymać i oblizwała wargi.

- Może być. Widziałam lepszych.

Brig zmarszczył czarne brwi i posłał dziewczynie szelmowski, wyzywający uśmiech, którym mówił jej, że kłamie. - Więc nie ma się na co gapić, prawda? - Odwrócił się do konia, a Angie poczuła, że jej szyję powoli zalewa rumieniec.

Felicity nie zdążyła ukryć uśmiechu. Angie odwróciła się na pięcie, czerwona jak burak.

- Bezczelny bydlak - wycodziła przez zęby.

Pobiegła alejką wyłożoną płytkami, która prowadziła na szeroki frontowy ganek. Czuła się upokorzona. Otworzyła zamasyżycie drzwi i wpadła do sieni. Jak on śmiał ją obrazić! Przecież jest nikim. Bękartem. Nie ma grosza przy duszy. Złapała się na tym, że chyba robi się taką samą snobką jak Felicity.

Poszła do łazienki, spryskała twarz wodą i wróciła do Felicity, która czekała w kuchni. W zielonych oczach najlepszej przyjaciółki Angie widać było rozbawienie, ale Felicity miała tyle zdrowego rozsądku, żeby jej teraz nie drażnić.

- Chcecie się czegoś napić? - spytała Mary. Przysadzista kobieta, która lubiła przyrządzane przez siebie jedzenie, od lat gotowała dla rodziny Buchananów. Została zatrudniona na długo przed śmiercią matki Angie, zanim jej ojciec poślubił Denę. Na myśl o macosze Angie zmarszczyła czoło. W porównaniu z pierwszą panią Buchanan, Dena była anemiczna i nijaka. - Jest mrożona herbata albo lemoniada. - Mary już sięgała do lodówki po dwa dzbanki z chłodnym napojami.

- Poproszę herbatę - powiedziała Felicity.

- Może być - zgodziła się Angie. Patrzyła przez małe okienko na stodoły i wybieg, na którym Brig próbował poskromić upartego konia. Jego czarne włosy lśniły w blasku słońca, a skóra błyszczała od potu. Wyglądał bardzo zmysłowo. Harmonijne, twarde mięśnie, wąskie biodra, szeroka szczęka i przeszywający wzrok pociągały ją. Był dla niej wyzwaniem.

Mary postawiła na blacie dwie szklanki z lodem i wróciła do przerwanej pracy. Usiłowała oddzielić kość od ogromnego schabu. Zaczęła uderzać w twarde mięso ostrym toporkiem na drewnianym trzonku. Angie wzięła szklankę i wyszła na zewnątrz.

- Kiedy wróci Derrick? - spytała od niechcienia Felicity, ale w jej głosie słychać było niepokój. Szły kamienną ścieżką przez ogrody Deny do basenu. Przeszły przez różaną altanę.

Angie wzruszyła ramionami i poczuła coś w rodzaju współczucia dla przyjaciółki. Derrick przestał się interesować Felicity kilka miesięcy temu. Denerwował się, że cały czas za nim łązi. A ona, córka Sędziego, chciała z nim sypiać, mimo że tak ją traktował.

- Kto wie? - Angie założyła okulary przeciwsłoneczne i usiadła na leżaku obok glinianego kwietnika z fuksjami.

Spomiędzy liści wystawały purpurowe i różowe kwiaty. Dziewczyna upiła nieco napoju i przyjrzała się kostkom lodu pływającym wokół plasterka cytryny.

- Na twoim miejscu, gdybym chciała Derricka... - Angie wyczuła, że jej przyjaciółka zjeżyła się - ...poszłabym na całość.

- Na to już trochę za późno - odpowiedziała Felicity.

- Nigdy nie jest za późno. - Angie przyglądała się gładkiej powierzchni wody w basenie, w której odbijało się słońce. Kątem oka zerknęła na Williego, który kręcił się przy rozłożystych rododendronach na drugim końcu basenu. Zaciśnęła zęby. Ten głupek zawsze łąził koło niej, szpiegował i bez przerwy ślinił się.

- Nie mogę ścierpieć, że on się tak płacze. - Wskazała głową w kierunku drzew. Willie udawał, że jest zajęty rozrzucaniem kompostu. - Przyprawia mnie o dreszcze.

- Nie jest groźny. - Felicity oparła się na krześle. - A może i jest? Damy mu popatrzeć?

- Co masz na myśli? - Angie poczuła dreszcz podniecenia. Felicity miała dziwaczne pomysły, które przyprawiły jej ojca o siwiznę.

Chichocząc, zadarła podkoszulek. Białe piersi osłaniał głęboko wycięty koronkowy biustonosz, który ledwie zakrywał brodawki. Pod przejrzystą, mocno naciągniętą koronką widać było linię opalenizny.

- To. - Ścisnęła piersi razem. Utworzył się między nimi rowek. - Chcesz, żebym pokazała, co mam niżej? - Sięgnęła do rozporka džinsów.

- Przestań! Co będzie, jak zobaczy to Dena? Często krąży koło domu! - Angie zagryzła dolną wargę i spojrzała w stronę okna sypialni rodziców. Z ulgą stwierdziła, że macocha nie patrzy przez żaluzje.

Felicity westchnęła, odgarnęła grzywkę z oczu i naciągnęła podkoszulek.

- Chciałam się tylko przekonać, co zrobi ten półgłówek, gdy zobaczy prawdziwą kobietę.

- A czego się spodziewałaś? - Angie ponownie zerknęła w stronę zacienionego miejsca, gdzie wcześniej sterczał Willie. Nie było go. Zobaczyła jedynie rozkołysane jego pośpieszną ucieczką liście rododendronów.

- Przestań się nim bawić.

Felicity zachichotała i przez dekolt podkoszulka wyciągnęła włosy.

- A ty co robisz z Jedem i Bobbym?

- To co innego.

- Dlaczego? Bo mają współczynnik inteligencji większy niż dwadzieścia?

- Myśl, co chcesz - odparła Angie z uśmiechem, wracając myślami do Burger Shed i pożądanego spojrzenia Jeda.

- Zrobiliby dla ciebie wszystko. - W słowach Felicity pobrzmiwała nuta zazdrości.

- Tak myślisz? - spytała, przyznając w duchu, że jest w tym dużo racji.

Felicity pokiwała głową.

- Wszystko.

- To niedobrze, bo ich nie chcę. - Angie zrzuciła sandały z nóg i oparła się o pomarańczowe obicie leżaka.

- Dlaczego?

- Bo podoba mi się ktoś inny. - Uśmiechnęła się rozmarzona, dając Felicity wiele do myślenia.

- Kto?

Angie milczała przez chwilę, patrząc, jak przyjaciółkę zżera ciekawość.

- Brig McKenzie.

- Nie!

- Dlaczego nie?

- Jest milion powodów! - Felicity uśmiechnęła się w duchu. - Po pierwsze, są z nim same kłopoty i... sędzę, że może być niebezpieczny.

- A może ja lubię kłopoty i niebezpieczeństwo?

- Na miłość boską, przecież on mieszka w baraku, a jego matka jest czarownicą.

- Psychologiem.

Zdegustowana Felicity zmarszczyła patrycjuszowski nos.

- Jest półkrwi Indianką, półkrwi Cyganką, więc on jest...

- Interesujący - weszła jej w słowo Angie. Spodobała jej się myśl, która przyszła jej do głowy. - Założę się, że jest świetnym kochankiem. Mówiłaś, że miał mnóstwo kobiet.

- A ty mówiłaś, że to tylko plotki.

- Może powinnam się przekonać - droczyła się Angie.

- O Boże... - Felicity zaparło dech w piersi i z trudem przełknęła ślinę. - Chyba nie myślisz o...

- Dlaczego nie? - Angie odgarnęła włosy z twarzy i poczuła ciepły dotyk słońca na policzku. - Myślę, że Brig McKenzie doskonale nadaje się do tego, by zrobić ze mnie kobietę.

Brigu McKenziem są prawdziwe.

Cassidy, która z ręcznikiem i radiem szła na basen ścieżką za różaną altanką, omal nie upadła, gdy dotarły do niej słowa siostry. Zdołała jednak złapać równowagę. Przystanęła, żeby Angie i Felicity nie zauważyły jej. Jakie plotki? Wyglądało na to, że na temat Briga McKenziego codziennie pojawia się nowa.

Felicity zaśmiała się złośliwie.

- Lepiej, żeby były tego warte, bo jak twój tata dowie się, że masz zamiar uwieść jego pracownika...

- Ej, chwileczkę. Źle mnie zrozumiałaś. To on mnie uwiedzie. Tylko jeszcze o tym nie wie.

- A czego się spodziewasz? Ma mięśnie, ale nie ma szarych komórek.

Cassidy nie mogła uwierzyć. O czym ta Angie myśli? Czy ona naprawdę ma zamiar to zrobić? Z Brigiem? Zrobiło jej się niedobrze, ale nie dlatego, że Brig był robotnikiem ojca. Dlatego, że ktoś chciał się nim zabawić, a on o tym nie wiedział. Może niepotrzebnie się przejmuje. Przecież był dla niej niemiły. Jednak myśl o tym, że on i Angie całują się, dotykają i czują do siebie, przyprawiła ją o mdłości.

- Kiedy? - spytała Felicity, pochylając się bardziej.

- Niedługo.

Felicity uśmiechnęła się chytrze.

- Nie domyśli się, co go czeka.

Cassidy wystarczyło to, co usłyszała. Głośno kaszłąc, przeszła przez altankę. Miała wrażenie, że jej bosa stopy łomoczą o kafelki.

Rozmowa ucichła. Angie i Felicity wymieniły znaczące spojrzenia.

- Czemu się tutaj kręcisz? - Angie uniosła szklankę i z niezadowoleniem spojrzała na roztopiające się kostki lodu.

- A jak myślisz? Chciałam popływać.

- Nie sądzisz, że najpierw powinnaś wziąć prysznic? - Angie lekko zmarszczyła nos, patrząc na brudną skórę siostry.

- Nie. - Cassidy nie miała zamiaru dać się wciągnąć w kłótnię. Przynajmniej nie teraz, gdy w uszach pobrzmiwały jej słowa Angie.

Felicity zmierzyla wzrokiem obcięte, postrzępione na brzegach dzinsy Cassidy, smugi kurzu na nogach, bluzkę w czerwono-białe pasy, która rozchyłała się ukazując kostium kąpielowy. Cassidy omal nie splonęła rumieńcem. Natura nie obdarzyła jej tak hojnie jak obie dziewczyny. Od paru lat czekała, aż urosną jej piersi. Zaczęły się wprawdzie zaokrąglać, ale nic więcej.

- Uważaj - ostrzegła ją Felicity. - Stary biedny Willie się tutaj kręci, żeby sobie za darmo popatrzeć.

- Mówiłam ci, że jest niegroźny. - Angie zamieszła napój.

Felicity przewróciła oczami.

- Jest dorosłym mężczyzną z mózgiem dziesięciolatka. Wątpię, czy to niegroźne.

Cassidy nie martwiła się Williem. Zdjęła bluzkę i dzinsy, związała włosy w koński ogon i wskoczyła do wody. Nigdy nie lubiła Felicity Caldwell i nie rozumiała, co Angie widzi w tym rudzielcu. Felicity nie dorównywała Angie urodą, ale była córką sędziego Caldwell, dobrego przyjaciela ich ojca. Rex i Sędzia - któremu naprawdę było na imię Ira, ale wszyscy nazywali go Sędzią, razem grywali w golfa, razem polowali i razem pili. Znali się od zawsze, więc ich córki wychowywały się razem. W dodatku Felicity zakochała się w Derricku i świata poza nim nie widziała.

Cassidy wynurzyła się z wody, otrząsnęła włosy i zaczęła pływać. Felicity i Angie już nie było. Poszły pewnie porozmawiać na osobności o swoich sprawach. Cóż. Cassidy nie chciała już myśleć o Brigu i Angie i o tym, co będą robili, jeśli siostra dopnie swego. A co mogłoby ją powstrzymać? Nic. O Brigu McKenzie krążyły legendy. Sama Cassidy słyszała parę. Jeśli wierzyć plotkom z miasta, Brig McKenzie wygrał więcej łóżek niż wszystkie koce w Prosperity razem wzięte. Cassidy nie wiedziała, ile w tym jest prawdy. Sama jednak zauważyła, że Brig jest zniewalający, męski i wyniosły. Słyszała, że jest niebezpieczny, a jego mroczna przeszłość jakby to potwierdzała. Niektórym znudzonym kobietom imponowały pieniądze, inne szukały odrobiny dzikiej namiętności. Cassidy miała wrażenie, że Brig McKenzie świetnie nadawał się do tej roli.

Przeszły ją dreszcze, które nie miały nic wspólnego z temperaturą. Zła na siebie, zaczęła mocniej uderzać wodę rękami. Przepływała każdą długość basenu tak, jakby chciała pobić rekord. W końcu dotknęła brzegu i na wpeł wynurzyła się z wody, usiłując złapać oddech.

Wtedy go zobaczyła.

Na krawędzi kamiennego kwietnika, z którego wylaniała się głęboka czerwień i biel petunii, siedział Brig. Kolorowe kwiaty mocno odcinały się na tle jego brudnej, opalanej skóry i twardych mięśni. Przyglądał się jej uważnie. Po wielu godzinach pracy jego ubranie było brudne. Miał na sobie dzinsy i koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi guzikami.

Chciała zniknąć. Zapaść się pod ziemię. Ukryć się przed drwiącymi błękitnymi oczami.

- Pomyślałem, że może chcesz wiedzieć, jak tam twój koń - rzucił.

Jęknęła cicho. Serce łomotało jej jak oszalałe, ale wyszła z basenu z taką godnością, na jaką mogła się zdobyć. Stała przed nim, ociekająca wodą.

- Daj mi się najpierw wytrzeć.

Wzruszył ramionami i patrzył jak dziewczyna idzie na koniec basenu. Wytarła się, założyła bluzkę, przewiązała tasiemki pod drobnymi piersiami i włożyła brudne dżinsy. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że Cassidy dumnie zadziera głowę, jakby miała do czynienia z wrogiem. Zastanawiał się, czy o nim słyszała, ale doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Czekał, aż się odwróci. Miała niesamowicie długie nogi i była wyższa od swojej siostry, która z kolei miała bardziej kobiece kształty. Wyglądała dumnie jak paw, który nie ma zamiaru ustąpić.

- Ujeździłeś konia? - spytała, podchodząc do niego. Zmęczyła się pływaniem i miała zarumienioną od wysiłku twarz. Piegi, które zdobiły jej nos, teraz były prawie niewidoczne. Zamykała duże oczy koloru złotej whisky, żeby strząsnąć z rzęs krople wody.

- Niezupełnie. Trzeba się przy nim nieźle naharować.

- Przecież mija tydzień...

- Pięć dni - poprawił ją Brig. - Zajmie mi to o wiele więcej.

- Dlaczego? Nie wiesz, jak go złamać?

Przyglądała się, jak jego zarośniętą twarz leniwie wykrzywia sarkastyczny uśmiech.

- Nieraz potrzeba czasu. - Przeszył ją wzrokiem. - Nie można się śpieszyć, jeżeli chce się coś zrobić dobrze.

Ścisnęło ją w żołądku. Oczami wyobraźni zobaczyła Briga niespiesznie kochającego się z Angie, która się wiała, rozpaczliwie go pragnąc. Cassidy z trudem przełknęła ślinę, a potem odkaslnęła.

- Wydaje mi się, że wiesz, co robisz...

- Wiem.

- Więc możesz zrobić to szybciej.

- A goni mnie coś? - Odchylił się nieco do tyłu i zmrużył oczy.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Lato... Lato się prawie kończy. Chcę spędzić tyle czasu... - Mówiła jak rozkapryszona, zepsuta, bogata dziewczyna, która nie może się doczekać, żeby postawić na swoim. - Po prostu chciałabym pojeździć, to wszystko.

- Przecież twój ojciec ma inne konie. Całe mnóstwo.

- Ale ten jest wyjątkowy.

- Dlaczego?

Znowu poczuła się jak głupia smarkuła, ale nie było sensu go okłamywać. Podejrzewała, że chłopak rozpozna, że kłamie.

- Tata wiedział, że szaleję za końmi i chciał mi jednego podarować. Wyjątkowego. Więc pozwolił mi wybrać klacz i ogiera na jego rodziców. To był prezent na moje trzynaste urodziny.

Brig prychnął i pokiwał głową, jakby nie był w stanie zrozumieć bogatych ludzi.

- Wybrałam najmądrzejszą klacz i najdzikszego ogiera.

- Więc to wszystko tłumaczy. - Rzucił jej drwiące spojrzenie i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. - Nie mów mi, że stary pozwolił ci patrzeć, jak konie biorą się do roboty.

- To nic wielkiego - skłamała. Przypomniała sobie, jak podniecony ogier, czując zapach klaczy w rui, staranował swój boks, ugryzł ją w kark i wspiał się na nią. To był dziki, zwierzęcy, brutalny seks. Cassidy odkaslnęła.

- Hodujemy tu konie. Cały czas się to dzieje.

- I ty się przyglądasz? - Zapalił papierosa i wypuścił dym.

- Czasami.

- Jezu! - Zaciągnął się, wstał i popatrzył na piaszczystą drogę, która wiała się między drzewami i wokół domu.

- Trzymaj się z daleka od Remmingtona jeszcze przez tydzień. Do tego czasu będzie gotów.

- Nie chcę, żebyś złamał w nim ducha.

- Co? - Brig odwrócił się i kątem ust wypuścił mgiełkę dymu.

- Nie zrób z niego potulnego kucyka, dobra? Nie bez powodu wybrałam jego rodziców. Mam to, co chciałam.

Więc nie schrzaj tego. Nie chcę mieć kuca na pokaz.

Usłyszała, że Brig klnie pod nosem. Zniknął za rogami domu.

Sunny McKenzie zamknęła oczy, opuszką palca dotknęła linii wielkiej kobiecej dłoni i lekko zadrżała. Nic nie mogła wyczytać z mięsistych rąk Belvy Cunningham, bo kobieta była ciężko chora.

- Po prostu mi powiedz, czy nam się uda. - Belva wyrwała Sunny z zamyślenia. - Muszę wiedzieć, czy w tym roku stado...

- Cóż... - Sunny zmarszczyła czoło, ale nie z powodu stada, którym tak martwiła się Belva. Nie... Czowała coś innego. - Będziesz miała gości... z daleka. Jeden mówi z akcentem.

- To Rosie i jej nowy mąż, Juan. Jest Meksykaninem. Ona zawsze była dzika. Nigdy nie umiałam jej poskromić. Poznała Juana w Juarez, związała się z nim i przywiozła go do Stanów. Mieszkają w Los Angeles, ale zamierzają się tu przeprowadzić.

- Przywiozą ze sobą kłopoty. - Sunny poczuła chłód na kręgosłupie.

- Kłopoty? - Słowo zawisło w powietrzu. - Jakie kłopoty? Och, Boże, chyba nie dziecko...

- Nie, chodzi o coś innego. - Sunny skupiła się. - Mają jakieś kłopoty z prawem.

- O nie, Juan pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Wiesz, z rodziny bogatych Meksykanów. Na szczęście. Ale ojciec Rosie wcale nie jest zadowolony, że wyszła za brudasa. Carl tak ich wszystkich nazywa. Musiałam z nim walczyć, żeby tego nie robił. Juan to dobry chłopak.

Odwieczne uprzedzenia. Sunny zbyt dobrze wiedziała, jak rodzą się i panują w miasteczku wielkości Prosperity. Wiele razy zastanawiała się, dlaczego nie wyjechała z tej prowincjonalnej dziury, choć w głębi duszy wiedziała. Nie okłamywała się. Została z powodu mężczyzny, który był dla niej dobry i miły.

Skupiła się na wrażeniach, które odebrała z ciepłej ręki Belvy.

- Ścigają ich. Mężczyźni w mundurach i z bronią... Rząd.

- O Boże - wyszeptwała Belva, gdy Sunny otworzyła oczy. Korpulentna kobieta z trudem przełknęła ślinę. Zmarszczyła brwi. Po jej twarzy spływał pot.

- Chyba nie myśli pani, że oni uciekają i że do naszych drzwi zapuka szeryf.

- Przykro mi, ale nie potrafię pani powiedzieć. Proszę spytać Rosie, gdy zadzwoni.

- Oczywiście. Z tą dziewczyną zawsze były kłopoty. Jeżeli wpakowała się w tarapaty, ojciec żywcem obedrze ją ze skóry. A o zwierzętach nic pani nie wie?

- Nie.

- A co z prostatą Carla?

- Też nie wiem. Gdybym mogła go dotknąć albo z nim porozmawiać...

- O Boże, nie. Gdyby Carl wiedział, że pieniądze na życie wydaję na wróżby, chyba by mnie zabił. Przykro mi to mówić, bo pani wie, że ja w to wierzę, ale w mieście są ludzie, którzy twierdzą, że jest pani oszustką. Carl też tak uważa. Byłabym więc wdzięczna, gdyby się nie rozniosło, że byłam u pani.

Sunny uśmiechnęła się. Podobne słowa słyszała z ust większości klientów. Między innymi od Carla Cunninghama. To właśnie Sunny poradziła mu, żeby poszedł do lekarza, bo zobaczyła nad jego organami ciemną plamę, która mogła się powiększać. Ale Belva nigdy się nie dowie, dlaczego zeszej wiosny jej mąż po raz pierwszy od trzydziestu lat zdecydował się iść do lekarza.

Belva sięgnęła do torebki i zostawiła na stole dwudziestodolarowy banknot.

- Zadzwonię do pani. - Jej szerokie biodra ledwie zmieściły się w drzwiach starego baraku. Choć była otyła, radziła sobie z prowadzeniem gospodarstwa. Jej mąż pracował u Rekxa Buchanana.

Po charczącym, dwutonowym fordzie Belvy został niebieski obłok spalin i kurzu. Samochód zniknął za rozłożystymi dębami i jodłami, które odgradzały porośnięty kawałek ziemi od drogi stanowej. Sunny spędziła tutaj większość dorosłego życia i nie chciała się przeprowadzić, chociaż stary barak był zbyt mały dla jej rodziny.

Na początku miała wielkie marzenia. Wychowała się na piaszczystym ranczu za miastem. Jej ojciec, Isaac Roshak, zarabiał tak niewiele, że ledwie starczało na życie. Jej piękna matka, Lily, półkwi Indianka Cherokee, cierpiała zniewagi ze strony małej społeczności. Isaac poślubił Lily z powodu jej niezziemskiej, egzotycznej urody, ale nigdy jej nie szanował, a gdy sobie podpił, często nazywał ją suką, a potem ciągnął do sypialni i zamykał drzwi. Zza cienkiej dykty dochodziły krzyki, jęki i odgłosy rozkoszy albo bólu, których Sunny, ich jedyne dziecko, potwornie się bała.

Gdy skończyła trzy lata, Sunny zaczęła mieć wizje i sny, które najczęściej się sprawdzały. O nadprzyrodzonym darze wiedziała tylko jej matka. Nie powiedziała o tym mężowi.

- Musisz zachować w tajemnicy to, co widzisz - pouczyła córeczkę Lily.

- Ale tatuś...

- Tylko cię wykorzysta, kochanie. Zrobi z ciebie widowisko, będzie ci kazał mówić do obcych za pieniądze. - Lily uśmiechnęła się wtedy smutno. Radość nigdy nie gościła na jej twarzy. - Niektóre rzeczy musisz zachować w sercu.

- Masz tajemnice? - spytała Sunny matkę.

- Kilka. Małe, ale nie zwracaj sobie tym głowy.

Później Sunny odkryła sekrety matki. Okazało się, że rzeczywiście nie było to nic wielkiego. Isaac zawsze chciał mieć syna, a Lily delikatnie mu odmawiała. Nie mieli więcej dzieci. Tylko Sunny.

Isaac był przekonany, że jego żona stała się bezpłodna, a Lily pozwalała mu wierzyć, że nie może zająć w ciążę. Ich kłótnie stawały się coraz gwałtowniejsze. Często oskarżał żonę o to, że nie jest kobietą i nazywał ją starą spróchniałą Indianką. Dla niego bezużyteczną. Chciał mieć synów, i to wielu, którzy pomagiliby mu na ranczu. Gdyby nie to, że był bogobojnym katolikiem, rozwiódłby się z nią natychmiast, jak tylko znalazłby prawdziwą kobietę, która urodziłaby mu chłopców i patrzyłaby na niego z uwielbieniem.

Lily nie urodziła Isaakowi syna.

W szafce z kosmetykami, pilnikiem do paznokci i innymi kobiecymi drobiazgami Lily trzymała kilka fiolek i butelek z ziołami, proszkami i lekarstwami, z których sporządzała śmierdzący napój, który często piła. Przez jeden dzień było jej niedobrze, a potem dostawała okres. Dużo później Sunny domyśliła się, że to, co piła matka, zabezpieczało ją przed ciążą.

Isaac spędzał coraz więcej czasu w mieście, pijąc i łajdacząc się. Wracał do domu pijany i przechwalał się swoimi

podbojami. Mówił, że porządne białe kobiety cieszą się, że idą z nim do łóżka i nie leżą sztywno jak boskie figury. Potem zaczął wrzeszczeć, aż w końcu zaciągał żonę do sypialni albo rzucał na kanapę.

Gdy wracał, w małym domu zawsze panowała ciężka atmosfera. Ale tylko raz posunął się do tego, że pobił córkę. Miała wtedy pięć lat i przez nieuwagę rozlała wiadro mleka, które miało być odstawione na śmietanę. Sunny gonila kota, potknęła się i wpadła na odrapany stół, na którym stało naczynie. Chciała złapać wiadro, ale nie zdążyła. Mleko, niczym fala oceanu, wylało się z chlupotem na porysowane linoleum i rozlało się na wszystkie strony.

Ojciec palił papierosa w pokoju stołowym i czytał magazyn łowiecki. Usłyszał hałas i jęk dziecka. Był w paskudnym nastroju, bo zdechła mu krowa. Zaklął, gdy zobaczył bałagan na podłodze.

- Ty mała fujaro! Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

- Przepraszam, tatusiu.

- Przepraszanie nic nie zmieni. Pieniądze za masło i śmietanę przepadły! Na Boga, sprzątaj to! - wrzeszczał, wyciągając butelkę whisky, którą trzymał w kredensie nad zlewem. Na twarzy miał czerwone plamy. Wyrzucił papierosa do zlewu i nalał alkoholu do szklanki.

Malutka Sunny wzięła szmatę, ale tylko rozmazała mleko po podłodze.

- Do diabła, dziewucho, jesteś taka sama jak twoja matka. To przez tą indiańską krew, która w tobie płynie. - Poszedł na ganek i wziął mopa. - Zaczniij od nowa. - Rzucił szczotkę w jej stronę. Ledwie złapała drewniany kij małymi paluszkami. - I zrób to porządnie. Nieźle mnie dzisiaj kosztowałaś.

Sunny cała się trzęsła. Potarła mopem podłogę, ale szczotka była sucha i mleko rozmazywało się, spływało pod stół i między stare porysowane klepki.

- Czy ty nic nie umiesz? - wrzasnął Isaac, klnąc na głupotę córki.

- Tatusiu, staram się. - Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Więc staraj się bardziej! - Opróżnił szklankę bursztynowego płynu. Na jego twarzy malowała się czysta nienawiść. - Nie powinienem był się z nią zenić. Ale była w ciąży i myślałem, że będziesz chłopcem. - Jego usta wykrzywiły się w grymasie. - A ty jesteś dziewczyną i w dodatku niezdara. Podłogi nawet nie umiesz zetrzeć! Lepiej się tego naucz, Sunny, bo tylko do tego się nadajesz. Babska robota. Dla Indianki. Jezu, ale ja byłem głupi, że się z nią ożeniłem! - Wlał w siebie resztę wódki, a Sunny zagryzła wargi, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Ojciec nigdy nie zwracał się do niej tak surowo. Wiele razy przeklinał swoją żonę za to, że była taka piękna, że zaciągnęła go do ołtarza, że okazała się bezpłodna i nie mieli więcej dzieci. Sunny słyszała ich kłótnie. Ojciec przysięgał, że matka chciała tego jeszcze przed ślubem, a Lily krzyczała, że ją zgwałcił i ożenił się z nią tylko dlatego, żeby jej ojcu nie pękło serce.

Kłótnie były straszne i gwałtowne. Sunny kulila się w łóżeczku i zatykała uszy rączkami. Czuła się tak, jakby to ona była przyczyną wszystkich nieszczęść w domu. Ojciec jej nie chciał, a matka, chociaż kochała córkę, była zmuszona żyć z mężczyzną, do którego czuła wstręt.

Sunny z trudem przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle. Jeszcze raz przesunęła mopem, a ojciec, widząc jej daremne wysiłki, zaczął się śmiać złośliwie, jak zawsze, gdy mama mu się sprzeciwiała.

- Jesteś do niczego. - Pokiwał głową. Kot zeskoczył z parapetu i zaczął rozmazywać mleczną rzekę. Isaac zaklął po nosem i z całej siły kopnął kota.

- Nie! - krzyknęła Sunny.

Kociak, miaucząc rozpaczliwie, poleciał nad stołem i uderzył o ścianę. Piszcząc i jęcząc opadał za furkoczącą lodówkę.

Isaac odwrócił się do córki, która rzuciła szczotkę i chciała dobiec do zwierzaka.

- Dokąd się wybierasz?

- Kiciuś...

Złapał ją za kołnierzyk sukienki.

- Nic mu nie będzie - warknął. Jego oddech był gorący od whisky i dymu. - Rób, co ci kazałem i sprzątnij ten bałagan albo cię zleję, słyszysz?

- Nie! - krzyknęła, a on uśmiechnął się.

Sunny usiłowała się wyrwać, ale jej bosa stopy ślizgały się na mokrym linoleum. Ojciec jej nie puszczał. Trzymając ją za kołnierz, powoli zaczął odpinać pasek.

- Nie, tato, nie! - krzyczała Sunny.

- Czas, żebyś się dowiedziała, gdzie jest twoje miejsce. Odwróć się!

Drżała. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Proszę, nie...

- Wierz mi, dziewczyno, to będzie mnie bolało bardziej niż ciebie.

Wyciągnął pasek ze spodni. Sunny zauważyła w jego ciemnych oczach złe błyski. Pod wąsami zebrała mu się ślina. Nagle... Sunny zobaczyła, że ojciec upada na ziemię, trzymając się za klatkę piersiową wywracając oczami. Jego skóra posiniała. Nad nim stała matka. Nie kwapiła się, żeby sięgnąć po telefon, chociaż Isaac nie mógł złapać oddechu. Przeklinał ją i krzyczał, żeby wezwała pogotowie. Widzenie było tak realne, że Sunny przypomniała sobie, gdzie jest, gdy poczuła uderzenie pasa. Krzyknęła głośno i wizja zniknęła w przyływie bólu. Ugięły się pod

nią kolana, ale ojciec postawił ją na nogi.

- Nie bij mnie!

Znowu dostała pasem. Poczula potworny ból.

- Tatusiu, nie! - Szlochała i błagała, ale nie chciał jej puścić.

- Nareszcie oberwiesz!

Podniósł prawą rękę, ale zamarła w powietrzu, bo otworzyły się szklane drzwi. Jego dłoń głucho uderzyła o ścianę. Do domu wpadła Lily z wiadrem fasoli z ogrodu w jednej ręce i nożem rzeźniczym w drugiej. Była wściekła. Ciemne oczy błyszczały ze złości.

- Puść ją. - Lily ledwie poruszyła wargami. Nozdra drżały jej od tłumionej furii.

Isaac prychnął.

- Nie będziesz mi grozić, Indianko.

- Puść ją. - Lily zacisnęła usta. Wpatrywała się w niego z taką nienawiścią, że Sunny była przerażona zachowaniem obojga rodziców, chociaż to ojciec cały czas trzymał ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- Ona mnie nie słucha. Uczę ją posłuszeństwa.

- A ja cię tak nauczę, że już nigdy nie zrobisz jej krzywdy.

Roześmiał się, ale nieco rozluźnił uścisk. Sunny odwróciła się. Mogła swobodnie poruszać nogami. Wywinęła się ojcu z rąk, ale poślizgnęła się i upadła twarzą na lepką podłogę. Isaac wyładował złość na żonie.

- Zapłacisz mi za to, Indianko.

- To, jak mnie traktujesz nie ma nic wspólnego z nią. - Wiadro wyślizgnęło się Lily z rąk. Długa błękitna fasola rozsypała się po brudnej podłodze. Ciemne palce matki ścisnęły nóż.

- Zabiję cię. - Usta ojca wykrzywiły się w złowieszczym uśmiechu. - I co ona wtedy zrobi, co? - Wskazał kciukiem na córkę. - Będzie musiała zająć się tym, co ty, prawda? Odwalać brudną robotę. Ja się ożenię z miłą białą kobietą. Młoda, która będzie robić to, co jej każę i urodzi mi synów, a twój dzieciak będzie naszym małym niewolnikiem.

Lily chwyciła nóż obiema rękami, zaciskając długie palce na kościanej rękojeści. Patrzyła na niego zimnym wzrokiem. Zaczęła powtarzać indiańskie słowa, których Sunny nie rozumiała. Z twarzy Isaaka zniknął głupkowaty uśmiech. Cofnął się o krok i upuścił pasek. Sprzączka uderzyła o podłogę. Dziwna litania trwała.

Sunny wyciągnęła rękę i podniosła wstrętny stary pasek.

- Nie rzucaj na mnie swoich indiańskich przekleństw - wymamrotał Isaac, odsuwając się od żony. Potknął się o krzesło.

Słowa płynęły dalej. Były ciche i łagodne. Toczyły się jak głaz ze wzgórza.

- Na miłość boską! Kobieto, co ty mi robisz?

Isakiem szarpnęło do tyłu, jakby pchnęła go niewidzialna siła. Zachwiał się na nogach. Jęknął przeraźliwie i złapał się za klatkę piersiową.

- O Boże - wyszeptał. - Słodki Jezu, ona zwariowała. Ratuj mnie. - Kolana ugięły się pod nim i upadł na zalaną mlekiem podłogę. Miał siną twarz. Trzymał się za serce. - Zadzwoń po pogotowie! - wystękał, ale Lily, nie przerywając litanii, cofnęła się o krok. Bosymi stopami rozdeptała fasolę. Trzymała w górze nóż i zawodziła rytmicznie.

- Sunny, pomóż mi! - krzyknął Isaac. - Cholera, pomóż mi!

Nie mogła tak stać i patrzeć jak ojciec umiera. Podbiegła do telefonu i wykręciła numer.

- Mój tatuś umiera - krzyknęła do słuchawki. - Proszę! Pomóżcie nam! - szlochała tak, że ledwie można było ją zrozumieć. - Mój tatuś umiera!

Lily nie zrobiła nic, żeby ją powstrzymać, ale też nie pomogła jej. Przyglądała się walczącemu o życie mężowi.

- Przekleń mnie!

Gdy przyjechała czerwona karetka na sygnale z ochotnikami ze straży pożarnej, Isaac już nie żył. Reanimacja nic nie pomogła.

- Miał słabe serce - powiedziała spokojnie Lily, nawet nie udając żalu. Mocno przytulała Sunny. - Ale dzisiaj bardzo się zdenerwował. Stracił krowę i cielaka. Wrócił do domu i wściekł się na Sunny, bo rozlała mleko. Byłam w ogrodzie i zbierałam fasolę, kiedy dostał ataku. Zadzwoniliśmy natychmiast po pogotowie. Nie dało się go uratować.

- Tak było? - spytał Sunny wysoki, szczupły mężczyzna, który palił papierosa. Zapłakana dziewczynka pokiwała głową, choć wiedziała, że to kłamstwo. Myślała, że za karę padnie trupem albo Bóg uczyni ją niemową. Skłamała, bo inaczej matka poszłaby do więzienia, a ona zostałaby sama.

Lily nie zmieniła swojej wersji. Trzy dni później Isaac Roshak został pochowany w grobowcu rodzinnym. Sunny nigdy nie zapomniała, Jaką moc miała jej matka. Od tego czasu z szacunkiem traktowała fiołki z proszkiem w szafce matki, swoje wizje i indiańsko-cygańskie pochodzenie. Nie miała wątpliwości, że to matka zabiła ojca. Tak, jakby wbiła magiczny nóż w jego serce.

Teraz, czterdzieści lat później, Sunny stała w dusznym baraku, w który można było oddychać jedynie dzięki małemu wiatrakowi. Patrzyła przez okno, jak rozgrzane powietrze drży na tle jodeł. Serce Sunny zaczęło bić

mocniej, w skroniach poczuła szum, a po chwili dudnienie. Przytrzymała się oparcia krzesła, żeby nie upaść. Miała wizję, której nie była w stanie zrozumieć przy Belvie. Nie chodziło o córkę Belvy ani o tegoroczne zbiory. Widziała swoich synów. Stali na występie stromej granitowej skały, nadzy jak w dniu narodzin. Ich skóra lśniła w słońcu. Ścieżka była za wąska, żeby po niej chodzić, jednak oni szli. Bardzo powoli próbowali wspiąć się wyżej i pokonać skaliste zbocze. Mieli zakrwawione ręce i stopy, byli spoceni, ale posuwali się do góry. Przystawali i podawali sobie ręce, pomagając sobie nawzajem. O wiele niżej, w dolinie, zobaczyła siebie. Na próżno do nich wołała, żeby zeszli w bezpieczne miejsce. Nie zwracali na nią uwagi. Zmierzali ku niechybnemu końcowi.

Ziemia zatrzęsała się i krawędź się rozstąpiła. Sunny z przerażeniem zobaczyła w zwolnionym tempie, że jej synowie z krzykiem spadają, a ich ręce i nogi zanurzają się w gorących płomieniach.

- Nie! - usłyszała swój własny głos. Zamrugnęła oczami i wizja zniknęła. Rozwiała się w dusznym powietrzu baraku. Sunny poczuła mdłości. Opadła na krzesło. Nie mogła się pozbierać po tym, co zobaczyła.

Ta przerażająca wizja nawiedziła ją nie po raz pierwszy. Obraz zaczął się pojawiać dwa tygodnie temu. Wkradał się do jej snów i włamywał do podświadomości.

Na ścianie przy lodówce wisiał stary kalendarz, który dostała w warsztacie Ala. Sprawdziła umówione i odwołane wizyty. Jej palec zatrzymał się na czwartym. Tego dnia miała pierwszą wizję. Tego dnia Brig dostał pracę u Buchanana.

3

Co ty tu robisz?

Słyszając głos Briga, Cassidy mało nie upuściła szczotki, którą czesała zmierzwioną grzywę Remmingtona. Żrebak prychnął, przewrócił oczami i zarzucił łbem.

- A jak myślisz? - Czują, że jej policzki zalewa rumieniec. Obejrzała się przez ramię i spojrzała w oczy, które w półmroku stajni niemal płonęły.

- Męczysz konia.

- Przecież trzeba go wyczesać - odpowiedziała zgryźliwie i skrzywiła się, bo dotarło do niej, że mówi jak rozpuszczona bogata dziewczynka. - Ja, uch, myślałam, że tak będzie dobrze.

- A ja myślałem, że nie chcesz mieć kucyka na pokaz.

- Bo nie chcę.

- A czy sądzisz, że jemu zależy na tym, żeby mieć wyczesany ogon i grzywę? - Prychnął i potrząsnął głową. - Do diabła, jego obchodzi jedynie to, żeby zrzucić cię z siodła, żeby wyrwać mi się z ręki i wejść na kłaczki stojące na południowym wybiegu. Powinnaś zobaczyć, jak się popisuje przed damami. - Uśmiechnął się szyderczo i cynicznie. Jego niski głos miał bardzo zmysłowy timbre. - Zachowuje się jak Jed Baker i Bobby Alonzo, gdy w pobliżu pojawia się twoja siostra. - Brig z miną znawcy wspiął się po metalowych szczeblach drabiny na poddasze z sianem. Po kilku sekundach snopy siana zaczęły spadać na betonową podłogę.

Cassidy nie chciała, żeby jej przypominał o przyrodniej siostrze. Od prawie dwóch tygodni miała w pamięci rozmowę Angie i Felicity przy basenie i obserwowała, jak Angie wprowadzała w życie swój plan. Była zła, że siostra kręci się przy stajniach, od kiedy pracuje tam Brig, że rozmawia z nim i uśmiecha się do niego. Angie żartowała i usiłowała go oczarować. Cassidy chciała wierzyć, że Brig jest po prostu miły dla córki szefa, ale sądziła, że to jest coś więcej. Reagował na zaloty Angie jak wszyscy mężczyźni w Prosperity. Niedługo się dogadają!... Cassidy oczami wyobraźni widziała dwa lśniące od potu ciała.

Gorycz wezbrała w jej sercu.

Brig nie zwracał sobie głowy drabiną i zeskoczył z poddasza. Miętko wylądował na nogach.

- A co z tobą? - spytała.

Brig wyciągnął scyzoryk, pochylił się i przeciął sznurek, którym związane były snopki.

- Jak to: co ze mną?

- Też się popisujesz przed Angie.

Prychnął, podszedł do następnego snopa i przeciął sznurek. Siano się rozsypało. W górę wzbił się tuman kurzu.

- Ja się przed nikim nie popisuję, Cass. Tyle powinnaś już wiedzieć.

Zabolało ją, że zwrócił się do niej zdrobniale. Jakby była robotnicą. Albo dzieckiem.

- Popisujesz się. Jak każdy facet.

- Ja nie jestem jak każdy facet. - Prychnął, usiadł okrakiem na balu i patrzył na nią. Ich oczy spotkały się. Wpatrywał się w nią uporczywie. Kąciki ust opadły jej. Na twarzy Briga leniwie pojawił się nieznośny uśmiech. - Myślisz, że jestem napalony na twoją siostrę?

- Nie powiedziałam...

- Ale to miałaś na myśli - mruknął zde gustowany i zamknął scyzoryk. - Kobiety... - mruknął pod nosem. Zdjął ze ściany widły i zaczął wrzucać siano do boksów.

Cassidy wrzuciła zgrzebło i szczotkę do wiadra i wspięła się na bramkę. Remmington zaczął skubać siano, które wrzucił mu Brig. Chłopak zawzięcie wrzucał siano do boksów. Cassidy patrzyła jak się poruszał - powoli i pewnie. Zauważyła, że gdy stawał, pochylał się, przecinał sznurek i wrzucał siano do boksów, jego uda i pośladki napinały się pod wyblakłymi od słońca lewisami. Chodził powoli wzdłuż boksów, od czasu do czasu spoglądając na Cassidy,

co przyprawiało ją o szybsze bicie serca.

Kręciła się w pobliżu i czekała, aż skończy i podejdzie do drzwi.

- Wszystko przy nim zrobione? - Brig wskazał głową w stronę boksu Remmingtona, odwieszając widły na hak. - Nie będzie kokardek?

Cassidy zatrzęsło ze złości, ale zdołała się opanować.

- Dzisiaj nie. Może w niedzielę.

Roześmiał się. Wyszli na dwór. Letnie słońce leniwie wędrowało ponad szczytami gór na zachód, a gzy i osy latały nad rozlaną przy żłobach wodą. Dzień był bezwietrzny i Cassidy czuła, że jej ubranie lepi się od potu.

- Niedługo będziesz mogła dosiąść swojego konia. - Brig wyjął papierosy z kieszeni. - Chyba już ci mówiłem, że chcę go ujeżdżać powoli.

- Powoli?

- Tak. Żeby nie złamać w nim ducha. Wytrząsnął jednego camela, spojrział na zachodzące słońce i wsunął papierosa do ust.

- Chcę go dosiąść teraz.

Potań zapalką o podeszwę buta.

- Bądź cierpliwa.

- Jest mój.

- Nie słyszałaś, że cierpliwość jest cnotą? - Uśmiechając się półgębkiem, zapalił papierosa i wpatrywał się w nią przez chmurę dymu. - Problem chyba w tym, że nie pałasz miłością do cnót.

Ich oczy znowu się spotkały. Cassidy poczuła, że wszystko jej się kotłuje w środku.

- Po prostu chcę jeździć na moim koniu.

- I będziesz. W swoim czasie.

- Nie mogę czekać wiecznie.

- Dwa tygodnie to nie wieczność. - Westchnął ciężko i wypluł tytoń. - Wiesz, Cass, na najlepsze rzeczy w życiu warto poczekać. Przynajmniej tak mówił mój stary, zanim się urwał. Ja go nie znałem, ale Chase często powtarza złote myśli faceta, który doszedł do wniosku, że nie ma ochoty tkwić w jednym miejscu i troszczyć się o dzieci i żonę. - Zaciągnął się papierosem. Zmarszczył czarne brwi. Przyglądał się jodle samotnie rosnącej w rogu wybiegu, ale Cassidy wiedziała, że myślami jest daleko stąd, w dzieciństwie pełnym biedy i bólu.

- Moim zdaniem wszystko, co mówił Frank McKenzie to stek bzdur, ale Chase najwyraźniej uważa, że nasz ojciec był bogiem. - Zachichotał bez cienia radości w głosie. - Chase jest optymistą. Myśli, że któregoś dnia będzie tak bogaty, jak twój stary. Że będzie miał dom większy niż wasz. Wyobrazasz sobie?

- A dlaczego nie? - zdziwiła się Cassidy.

Odwrocił się do niej. Tym razem jego oczy nie błyszczały. Wyrzucił papierosa i zgasił go obcasem.

- Bo jest pewna hierarchia. Są ci, którzy mają i ci, którzy nie mają. Chase po prostu nie wie, gdzie jest jego miejsce. Jest marzycielem.

- A ty nie?

- To strata czasu, Cass. - Zaciśnął usta. - Koniec przerwy. - Nagle zdał sobie sprawę z tego, że rozmawia z córką właściciela. - Czas wracać do pracy.

- Każdy marzy.

- Marzą tylko idioci.

Nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię, jakby nie chciała, żeby odchodził. Spojrział na jej dłoń, a potem powoli podniósł głowę. Ich oczy spotkały się.

- Musisz... musisz mieć marzenia. - Musiała coś zrobić, żeby rozmowa nie urwała się, żeby intymny nastrój i uczucie mrocznego pożądania, jakie zaczęło się w niej budzić, nie przysły.

Usta Briga wykrzywiły się cynicznie.

- Wierz mi, nie chciałabyś wiedzieć, o czym marzę - powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Cassidy oblizwała wargi.

- Chcę. Chcę wiedzieć.

- Och, Cass, daj spokój. - Delikatnie zdjął jej palce ze swojego ramienia, ale nie spuszczał z niej wzroku. Po raz pierwszy w jego ciemnoniebieskich oczach zobaczyła tajemniczy błysk, głęboko skrywane uczucie, iskierkę pożądania. - Wierz mi, im mniej o mnie wiesz, tym lepiej.

Po pięciu godzinach naciągania siatki ogrodzeniowej i dwóch godzinach wygarniania gnoju ze stajni dla ciężarnych klaczy Briga bolały wszystkie mięśnie. Śmierdział, źle się czuł i nie mógł się doczekać końca roboty, ale cieszył się, że będzie pracował z narowistym koniem Cassidy. Remmington był uparty i zawzięty, ale powoli się oswajał. Za tydzień będzie na tyle ułożony, że będzie mogła go dosiąść córka Reksa Buchanana. A wtedy może przestanie go zdręzczać. Nie przeszkadzało mu to za bardzo, ale Cassidy miała dopiero szesnaście lat i nie zdawała sobie sprawy z tego, że z dziecka staje się kobietą. Zaciśnął zęby, gdy przypomniał sobie ciepły dotyk jej dłoni i błysk w jej złotych oczach. Śmieszne. Nigdy wcześniej nie patrzył jej w oczy, nigdy nie sądził, że piegi rozsiane

wokół nosa mogą być tak pociągające. Na miłość boską, o czym on myśli? Cassidy jest córką szefa. I ma dopiero szesnaście lat. A on jest napalony jak diabli. Powinien znaleźć sobie kobietę do łóżka. Wtedy przestanie myśleć o Cassidy.

Akurat. Od kiedy to możesz nie myśleć o kobiecie?

Od kiedy skończył czternaście lat żył jak przeklęty - bez przerwy myślał o seksie.

Zrobił sobie przerwę, zapalił papierosa i zaciągnął się. Stał oparty o twardy pień jodły samotnie rosnącej przy stajniach. Spojrzał na dom Buchanarów i prychnął. Pięcioosobowa rodzina mieszkała w rezydencji, której nie powstydziliby się król; bez problemu pomieściłaby pięćdziesiąt osób.

- Dziwne, że cię tu spotykam. - Usłyszał miękki kobiecy głos. Brig nie oglądając się za siebie, wiedział, że znowu znalazła go Angie. Trzeci raz w tym tygodniu. Musiał przyznać, że jest piękna. Ładniejsza niż jej młodsza siostra, ale mogą z nią być same kłopoty.

Oparty o drzewo, odwrócił głowę i zobaczył, że dziewczyna, mrużąc niewiarygodnie błękitne oczy, przygląda mu się. Miała na sobie mocno wycięte białe spodenki, które ledwie przykrywały krok. Piersi wcisnęła w stanik dwuczęściowego czarnego kostiumu kąpielowego, który był o kilka rozmiarów za mały.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Zaciągnął się camelem.

Dotknęła ust czubkiem języka.

- Wiele rzeczy przychodzi mi do głowy. - Przymknęła kusząco oczy, rzucając spojrzenie w rodzaju: nie wiesz, co tracisz. Przechyliła głowę na bok i czarne włosy związane w koński ogon opadły do przodu, dotykając jednej piersi. - Ale teraz trzeba zanieść drabinę do domu. Przepaliło się kilka żarówek w żyrandolu.

- Mam zanieść drabinę? - Mało się nie roześmiał, bo pomyślał, że to idiotyczny pretekst, żeby zagaić rozmowę.

Angie się uśmiechnęła.

- Moja macocha o to prosi. Wszystko jedno, czy ty to zrobisz, czy ktoś inny. Ciebie pierwszego zobaczyłam. - Odgarnęła włosy i spojrzała na jego brudne od gnoju buty. - Lepiej je zdejmij, zanim wejdiesz do domu. Dena ma bzika na punkcie czystości. - Zamrugła oczami, odwróciła się i odeszła wyprostowana, kołysząc biodrami.

Brig wziął drabinę z garażu. Przed wejściem na schody tylnego ganku zdjął buty i przez kuchnię zaniósł drabinę na korytarz. Cztery i pół metra nad marmurową podłogą wisiał kryształowo-mosiężny żyrandol.

Dena była podenerwowana. Mieli się zjawić goście, a tu przepaliło się kilka żarówek, a reszta mrugała.

- Nie wiem, jak to się stało. - W kącikach ust Deny utworzyły się małe zmarszczki. - Sprzątaczkę powinny być mi powiedzieć. - Spojrzała na Briga i nieznacznie zadrżała jej broda. Zmierzyła go wzrokiem i jej oczy spoczęły na jego białych dziurawych skarpetach. W chłodnych oczach kobiety pojawił się cień pogardy.

Brig nie przejął się jej zachowaniem. Rozstawił drabinę. Dena Miller pochodziła z biedoty. Wprawdzie nie miała cygańskich ani indiańskich przodków w swoim rodowodzie, ale była córką farmera i szwaczki. Skończyła szkołę handlową. Potem dostała pracę w tartaku Buchanana i przez kilka lat była osobistą sekretarką Reksa. Gdy ubóstwiana przez niego pierwsza żona pożegnała się z tym światem, Dena nie odstępowała wdowca. Pomogła mu się pozbierać. Stary Buchanan był zdruzgotany. Dena skorzystała ze sposobności i zbliżyła się do niego. Pobrali się niecały rok po pogrzebie Lucretii Buchanan. Osiem miesięcy później urodziła się Cassidy. Dena Miller z pewnością widziała w życiu mnóstwo dziurawych skarpet.

Brig wymienił żarówki. Wiedział, że przyglądają mu się kobiety. Dena z pogardą, którą starała się ukryć, Angie z zainteresowaniem, a Cassidy, która chowała się na drugim piętrze - z ciekawością. Unikała go od paru dni, od czasu ich rozmowy przy stajni. Gdy kończył wkręcać ostatnią żarówkę, odchylił głowę i dostrzegł jej zaskoczone spojrzenie. Mrugnął do niej.

Przełknęła z trudem ślinę i chociaż wyglądała jak przestraszony królik, którego w środku nocy osaczyło światło reflektorów, wytrzymała jego spojrzenie. Nie schowała się.

Musiał przyznać, że jest odważna.

Zeskoczył na ziemię i złożył drabinę. Angie położyła mu rękę na ramieniu, pewnie po to, by zdenerwować macochę.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się łagodnie - Może odwzajemnimy ci się zimnym napojem? Może być cola? Albo coś mocniejszego? Tata ma w lodówce zapas piwa. Przywozi je z...

- Pan McKenzie jest w pracy.

Nie tyle zobaczył, co wyczuł stanowczość Deny. Chciała mu przypomnieć, gdzie jest jego miejsce.

- Dziękuję. Robota czeka - wycedził przez zęby, spoglądając na Denę. - Może innym razem.

Angie uniosła ładną brew.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała, dotykając palcem jego koszuli.

Miał wrażenie, że pod delikatnym dotykiem jej dłoni skóra pod bawełnianą koszulą mu płonie. Zastanawiał się, czy Cassidy to widziała, ale doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Wyniósł drabinę za drzwi. Przy garażu zauważył lśniąca corvette. Czerwona karoseria samochodu wyglądała tak, jakby się rozpląwała w popołudniowym słońcu. Przy zderzaku ze skrzyżowanymi nogami i z założonymi rękami stali Jed Baker i Bobby Alonzo. Opierali się pośladkami o błyszczącą karoserię.

Brig nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Założył buty i odniósł drabinę do garażu. Usłyszał szybkie, drobne

kroczeni Angie. Dogoniła go i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała.

- Nie ma sprawy.

- Och, to był poważny problem. Prawdziwa katastrofa. Prawie tak straszna jak niekompletna srebrna zastawa czy błoto rozbryzgujące się na oponach jadącego samochodu. - Przewróciła oczami. - Dena nieustannie zmagają się z katastrofami.

- Wygląda na to, że masz towarzystwo.

Zerknęła w stronę błyszczącego samochodu i dwóch chłopaków, którzy się na nią gapili.

- Wymarzone - powiedziała z nutą sarkazmu w głosie.

- Myślałem, że się z nimi przyjaźnisz.

Westchnęła.

- To są niedojrzali zepsuci chłopcy. - Jed oderwał się od samochodu i jej pomachał. - Wiesz co? Oni się założyli.

- Jej wdzięczne usta ułożyły się w dziubek. Nie zadała sobie trudu, żeby odmachać.

- O co?

- To jest właśnie interesujące. - Przynurzyła do niego głowę. Ich oczy spotkały się. - O to, który z nich pierwszy się ze mną prześpi.

- Powiedzieli ci o tym?

- Bobby mi powiedział. - Zrobił jej się dołek w policzku. - Chyba po to, żeby nie zrobiła tego z Jedem.

Wyobrażasz sobie?

Brig prychnął, jakby go to nie obchodziło.

- Więc którego wybierzesz?

- Żadnego. - Zrzuciła lśniąca kitką. - Oni najwyraźniej nie rozumieją, że gdy nadejdzie pora, to ja będę wybierać. I pewno nie spośród dwóch zarozumiałych gówniarzy, którzy my ślą tylko o seksie, piłce nożnej i samochodach. Wiesz, są tak wulgarni, że mówią na piersi kobiece zderzaki? Zderzaki! - Prychnęła z oburzenia. - Chłopaczki. - Niechętnie wysunęła dłoń z ramienia Briga. Opuszkami palców musnęła go w rękę. - Na razie! - Pomachała mu uwodzicielsko.

Brig patrzył, jak odchodzi. Miał mieszane uczucia. Powinno mu ulżyć, że zostawia go w spokoju, ale jako mężczyzna nie był obojętny na jej wdzięki: kołyszące się biodra, kształtne łydki, wcięcie w tali i podskakujące piersi. Jeszcze raz się odwróciła. Uśmiechnęła się. Zderzaki, tak? Cóż, ona bez wątplenia miała swoje na miejscu. Nie wiedział, jaką grę prowadzi ani dlaczego chce go w nią wciągnąć. Domyślał się, że drażni się z nim jak bogata dziewczyna przyzwyczajona do adoracji mężczyzn. Popatrz, co mam, ale nie dla ciebie, bo jesteś nikim.

Kto chciałby to znosić?

Może jego brat Chase. On lubił pieniądze. I kobiety. Bogate kobiety.

Ale Chase był idiotą. Dobrodusznym idiotą, który wypruwał sobie flaki, żeby żyło mu się lepiej i żeby zadbać o rodzinę. Brig skrzywił się. Gdyby nie Chase, Brig sam musiałby troszczyć się o matkę, a to nie wychodziło mu najlepiej. Nigdy nie umiał okazywać uczuć.

Angie podeszła do Jeda i Bobby'ego. Brig nie słyszał, o czym rozmawiają, ale wystarczyło mu to, co zobaczył. Chociaż Angie zarzekła się, że nie jest zainteresowana gówniarzami, popisywała się przed nimi, zaśmiewała się i szeptała z Jedem. Pozwalała, żeby obejmował ją w tali. Odwracała się co chwilę, żeby sprawdzić, czy Brig na nią patrzy.

Nie był w nastroju. Coś go do Angie ciągnęło jak każdego mężczyznę. Ale wiedział, że ta dziewczyna może przysporzyć najgorszych kłopotów. Jeśli ma odrobinę oleju w głowie, powinien się od niej trzymać jak najdalej. Ona coś kombinuje i bawi się Jedem i Bobby'm, którzy są tak potwornie naiwni. Ślinię się na jej widok, a ona robi ich w konia.

Brig odwiesił drabinę na kołki. Usłyszał warkot silnika i dźwięczny śmiech Angie. Przez brudne okno patrzył, jak odjeżdżają. Jed prowadził, a Angie siedziała między chłopakami. Śmiała się bez troski, uwieszona jednym ramieniem na szyi Bobby'ego, a drugim na karku Jeda.

Brig wyszedł z garażu i niemal wpadł na Williego Venturę, który znalazł niezły punkt obserwacyjny między gałęziami bujnego żywopłotu oddzielającego dom od garażu.

- Angie... - Willie poruszył ustami, patrząc na odjeżdżający samochód.

- Co: Angie?

Willie podskoczył i spojrzał na Briga tak, jakby spodziewał się lama. Z trudem przełknął ślinę, odwrócił oczy od przenikliwego spojrzenia Briga i zadrżał.

- Ona... odjechała.

- Tak, z tymi palantami. Wiem.

Willie przestał szaleńczo strzelać oczami.

- Nie lubisz Bobby'ego?

- Nie znam go. I nie chcę znać.

- Jest zły.

- Tak? - Briga niewiele to obchodziło, ale podtrzymywał rozmowę, bo wydawało mu się, że Willie chce się przełamać i porozmawiać. Chłopak niewiele mówił i unikał wzroku Briga. Cały czas patrzył za samochodem.

- Będą kłopoty.

- To samo powiedziałeś o mnie, kiedy się tu zjawiłem.

Willie pokiwał głową i patrzył, jak samochód znika z pola widzenia. Ruszył się dopiero, gdy opadł tuman kurzu, który wzbiły koła corvetty.

- Z tobą też będą kłopoty. - Wciągnął powietrze. - Ale inne. - Spojrzał na Briga nagle zakłopotany, a potem wziął kosiarkę. - Robotę czeka.

- Na mnie też.

Cassidy była znudzona. Jej najlepsza przyjaciółka, Elizabeth Tucker, wyjechała na obóz, a ona była z matką w mieście dłużej niż zamierzała. Dena stwierdziła, że Cassidy powinna znaleźć się z dala od domu i stajni i zabrała ją do Portland. Zjeździły całe miasto, przeszukały wszystkie sklepy z antykami w Sellwood i obeszły wszystkie sklepy w centrum. Zjadły lunch w restauracji hotelu Danvers, a potem wróciły do domu, stojąc w korkach.

Przyjechały kilka godzin temu. Cassidy zaczynała boleć głowa. Była zmęczona i czuła się idiotycznie. Chciała dosiąść Remmingtona i pognać przez pola do podnóży kanionu Bottienc, gdzie swe źródło miała rzeka Clackamas. Tam mogłaby zrzucić ubranie i zanurkować w krystalicznie czystej wodzie.

Może wziąć innego konia, ale to nie będzie to samo. Słońce chowało się za zachodnimi wzgórzami i w dolinie kładły się długie cienie. Młode źrebaki brykały przy stajniach pod czujnym okiem klaczy, które odganiały ogonami muchy.

Był piątek. Matka z ojcem pojechali do Portland na kolację, żeby się trochę rozerwać, Derrick umówił się z Felicity, a większość robotników poszła do domu. Z wyjątkiem Briga. Siedział na Remmingtonie i próbował zmusić niesfornego konia do posłuszeństwa. Pewnie gdzieś w pobliżu kręcił się też Willie, chociaż nie widziała go przez całe popołudnie.

Cassidy podeszła do płotu i wspięła się na sztachety. Brig ją zobaczył, podniósł głowę i skinął na powitanie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, że mu się przygląda.

Klasnął i koń zareagował. Biegł przez chwilę kłusem. Potem stanął jak wryty.

- Rusz się, ty żałosny koński dupku!

Mięśnie gniadego konia zdrząły. Zastrzygł uszami i przewrócił i oczami.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł Brig.

Za późno. Remmington chwycił wędzidło zębami, zarżał i zaczął wierzgać, wzbijając tuman kurzu. Ptaki uciekły. Cassidy ścisnęło w żołądku. Koń parsknął ze złością i pogalopował po suchej ziemi. Brig zaklął. Był cały spięty. Utrzymał się w siodle.

Cassidy patrzyła zafascynowana.

Remmington zawrócił i pogalopował na drugi koniec wybiegu. Brig mocno trzymał lejce. Przy płocie, pod samotnym cedrem, koń stanął dęba i rzucił ogromnym łbem. Brig ścisnął uda. Źrebak ruszył galopem. Chłopak się pochylił.

Cassidy zacisnęła ręce na sztachecie. Patrzyła na nie dającego za wygraną Briga i na uparte zwierzę.

Remmington zarżał na znak sprzeciwu i wyrwał do przodu. Stanął dęba. Brig trzymał się kurczowo. Koń ponownie przebiegł długość płotu. Był spieniony. Brig miał koszulę moką od potu. Pot ściekał mu po twarzy.

- No, dalej, spróbuj mnie zrzucić, ty żałosny sukinsynu. - Koń zarzucił łbem i stanął jak wryty.

Cassidy wstrzymała oddech. Kurz opadł. Znowu zleciały się muchy. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Brigowi udało się. I dobrze. Niedługo znowu będzie mogła dosiąść Remmingtona. Ale czy będzie to ten sam narowisty źrebak, który jej imponował, czy zwykły potulny koń? Ta myśl nie dawała jej spokoju.

- Już lepiej. - Brig się rozluźnił i poklepał Remmingtona po szyi.

- Tak?

- Nie odzywaj się, dobrze? Ja tutaj pracuję.

Zawrzało w niej. Wskoczyła na wybieg.

- Nie chcę, żeby się z niego zrobił pokorny...

- Wynoś się stąd - rozkazał Brig spokojnym tonem, żeby nie spłoszyć konia. - Chcesz, żebym stracił robotę?

- Z tego, co słyszałam, sam się o to starasz!

- Na miłość boską, Cassidy, wyjdź stąd. Pracuję. Tutaj jest niebezpiecznie. Nie wiadomo, co ten koń wywinie.

Siedział na Remmingtonie.

- Nie masz prawa mi rozkazywać! - Zauważyła, że zwykle promienne oczy Remmingtona straciły blask. Była rozczerwona. - Złaż z niego!

- Jeszcze nie, Cassidy. - Obrócił się w siodle, żeby ją lepiej widzieć. Jego usta zacięły się.

- To mój koń. Powiedziałam ci, żebyś...

Kasztanowe ciało skręciło się. Remmington wyczuł, że jego wróg nie jest czujny. Stanął dęba i zaczął wierzgać przednimi nogami. Cały drżał. Brig starał się utrzymać w siodle, ale mu się nie udało. Koń stanął i wierzgnął

tylnymi nogami. Brig poleciał w powietrze i upadł z hukiem na spękaną ziemię przy kupie gnoju.

- Sukinsyn!

Nic mu się nie stało.

- Nic ci nie jest? Nie chciałam...

- Wynoś się stąd! - ryknął na Cassidy, a jej chciało się śmiać.

- Chyba jeszcze z nim nie skończyłeś?

Brig się podniósł, otrzepał spodnie z piachu i spojrzał na żrebaka.

- Daj nam spokój, Cass.

- To ty daj sobie spokój, McKenzie.

- Nigdy. - W jego niebieskich oczach pojawił się ogień, taki jak w oczach Remmingtona.

Koń zarżał zwycięsko i pogalopował wzdłuż płotu prosto na Cassidy.

- Cassidy! Odsuń się! - Brig zerwał się na ratunek. - O, cholera...

Dziewczyna wskoczyła na płot, ale koń tak mocno uderzył ciałem w sztachety, że puściła się i spadła. Potworny ból przeszył jej ramię.

- Rany boskie!

Chciała się podnieść, ale Brig znalazł się przy niej w mgnieniu oka i zanim zdążyła się odezwać, wziął ją na rękę. Otworzył furtkę kolanem. Na jego brudnej twarzy malowała się złość. Włosy miał mokre od potu, ramiona brudne i zapiaszczone. Krew na szyi pulsowała mu z wściekłości.

Zamknął bramę kopniakiem i położył Cassidy na ziemi.

- Nie waż się...

- Nie będziesz mnie pouczał! - przerwała mu. Skrzywiła się, gdy dotknął jej ramienia. - Ten koń jest mój, ty z nim tylko pracujesz!

- Mógł cię zabić, nadepnąć, kopnąć albo wszystko naraz.

- Na pewno nie, bo...

- Pieprzenie! - Wydał wargi, a potem wciągnął głośno powietrze. - Mogło być gorzej. Przez ciebie to mogłoby spotkać mnie. - Wycelował w nią palcem. - Trzymaj się ode mnie z daleka, kiedy pracuję z tym i cholernym żrebakiem!

- Nigdy więcej nie mów mi, co mam robić.

Zamknęła oczy. Oddychała z trudem. Brig dotknął łańcuszka z medalikiem świętego Krzysztofa, który nosiła pod bluzką. Wyciągnął go delikatnie i płaski kawałek metalu znalazł się w jego dłoni. Ściskając go mocno, przyciągnął twarz Cassidy tak blisko swojej, że czuła jego wściekły, śmierzdzący dymem oddech i widziała pory w jego skórze. Po raz pierwszy zauważyła, że niebieskie oczy Briga mają szare plamki.

- Mam robotę, księżniczko - warknął. - Możesz odgrywać władczynię, ale nie wchodź mi w drogę, bo może ci się coś stać.

Serce waliło jej tak mocno, że miała wrażenie, że słycać je w całym stanie.

- Zaryzykuję.

- To nie będzie mądre. - Ledwie poruszył wargami.

Nieznacznie uniosła brodę.

- Jestem na tyle dorosła, że mogę sama o sobie decydować.

- Igrasz z ogniem, Cass.

- To znaczy?

- Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Dlaczego?

- Muszę się skupić. A nie mogę, gdy muszę się martwić o upartą dziewczuchę, która wchodzi mi w paradę.

- Ale ja nie...

- Idź stąd. - Szybko wypuścił łańcuszek z ręki. Cassidy o mało się nie przewróciła. Brig podszedł do konia. Był spięty. Wyglądał tak, jakby chciał udusić żrebaka. - Dobra, bydlaku - warknął. - Próbujemy dalej.

Przez kilka następnych dni Cassidy starała się trzymać z daleka od Briga, ale cały czas widziała, jak jeździ na traktorze, naprawia płot, zagania stado i pracuje z Remmingtonem. Ukradkiem obserwowała, jak rozmawia, śmieje się i pali papierosy z innymi pracownikami. Zauważyła, że kiedy koło niego pojawiała się Angie, nie starał się jej spławić. Coraz częściej widywała ich razem. Ona uśmiechała się do niego, a on był dla niej bardzo wyrozumiały.

Cassidy nie miała pojęcia, o czym rozmawiają. Ale z Angie nie trzeba było rozmawiać. Mężczyznom wystarczyło, że mogli być blisko niej.

Po tygodniu Cassidy była niespokojna, znudzona i zastanawiała się, dlaczego to lato jest inne. W zeszłym roku bawiła się dobrze, ale tego lata było tak nieznośnie gorąco... Patrzyła na wybieg, gdzie Brig pracował z Remmingtonem. Żrebak był już mniej uparty. Brigowi chyba szło coraz lepiej. Są tacy, co potrafią ujarzmić konia szybciej, w ciągu kilku dni, ale on nie śpieszył się, i chyba powinna być mu za to wdzięczna. Było jej jednak przykro, że wszyscy w rodzinie traktują ją jak małą dziewczynkę, która nic nie może zrobić sama, nawet ujeździć

własnego konia.

Przeszła przez płot i zeszła do strumyka, gdzie w dzieciństwie łowiła raki. Wpatrywała się w potok. Kilka lat temu bawiła się tutaj z Angie i Derrickiem. Brodzili w strumyku, chlapali się wodą i rzucali błotem. Wtedy Derrick uwielbiał robić psikusy. Śmiał się i ciągnął Cassidy za włosy albo próbował obrzucić młodszą siostrę mułem, który wyrzebywał z dna strumyka. Tutaj ona i Angie przyłapały go na pierwszym papierosie, co wywołało prawdziwą burzę w domu. Innym razem wysłedziła go, jak spocony i zdyszany całował się i turlał pod drzewami z ciemnowłosą dziewczyną. Cassidy szybko się ulotniła. Zniknęła za zasłoną wierzbowych gałęzi i nigdy nie dowiedziała się, która to dziewczyna pozwoliła mu rozebrać się ze skąpego staniczka.

To wtedy wszystko się zmieniło. Derrick zaczął się interesować dziewczynami. Inaczej na nią patrzył i nie bawił się z nią jak dawniej. Zawsze był z niego wcielony diabeł, ale od kiedy pojawił mu się zarost, a jego głos raz brzmiał nisko, a innym razem skrzeczał, stał się wprost nieznoszny. Był sfrustrowany i zły. Kiedyś zbił konia batem do krwi i dla rozrywki zastrzelił kota sąsiadów. Za każdym razem dostawał burę od Rekxa, a potem szedł z ojcem do stajni, gdzie na koźle do rżnięcia drewna dostawał od ojca batem. Wrzeszczał, jęczał i kłął. Wracał do domu czerwony na twarzy i spocony, zalany gorącymi łzami upokorzenia, wydymając dumnie wargi w złośliwym buncie.

Potem Rex zawoził go do miasta, kazał rozmawiać z księdzem, ale bez względu na to, ile „Zdrowaś Mario” czy „Ojczy nasz” musiał zmówić, był coraz gorszy. Nie ugiąłby się nawet, gdyby bez przerwy odmawiał różaniec i zrobił dziurę w kłęczniku.

Tak. Derrick się zmienił, ale Cassidy nie wiedziała, dlaczego.

Zdjęła buty i zakopała palce w błocie na brzegu potoku. Latem strumyk był tylko pluszczącą strugą, która płynęła po wygładzonych kamieniach.

Cassidy opłotła ramionami kolana i znowu poczuła niepokój. Ogarnęło ją to samo niespokojne uczucie, które obudziło ją zeszłej nocy. To lato było inne. Naprawdę nie była już dzieckiem, a jej siostra i brat byli dorośli od dawna.

Wyrwała garść trawy znad brzegu i sapnęła. Nad jej ramionami przesunął się cień, który rozciągnął się przed nią na ziemi.

- Co ty tu robisz?

Brig. Ten głos poznałaby wszędzie. Serce w niej podskoczyło.

- Nic. - Odwróciła się. Próbowała nie dostrzegać, że chłopak ma rozpiętą koszulę z podwiniętymi rękawami. Wytarte dzinsy wisiały tak nisko na jego smukłych biodrach, że widziała pępek i ciemne włosy na brzuchu. Cassidy poczuła, że robi jej się gorąco. Odgarnęła włosy. Wstydziła się, że od wilgotnej ziemi ma czarne stopy. - Zastanawiam się, kiedy będę mogła wsiąść na mojego konia.

- Płyta ci się zacięła?

- Kiedy?

- Jak będzie łagodny jak baranek.

- Jakbym chciała baranka, poszłabym do owczarni. - Wstała i wytarła stopy o trawę. Starła się ukryć zmieszanie.

- Chyba powinieneś już zostawić Remmingtona w spokoju. Cieszę się, że taki jest.

- Dziki.

- Tak, dziki.

Brig mruknął zdegustowany.

- Już ci mówiłam, że lubię konie z temperamentem, z charakterem.

- Które cię zrzucają i kopią na dokładkę? - Bawił się scyzorykiem. W kowbojkach wydawał się wyższy niż boso. Słońce przedzierało się między poruszającymi się na wietrze liśćmi, których cień przesunął się po regularnych rysach twarzy Briga. Zamknął scyzoryk z trzaskiem.

- Wydaje mi się, że to ciebie zrzucił?

Uśmiech rozjaśnił jego oczy. Brig wsunął nóż do kieszeni.

- Zgadza się, ale mam nadzieję, że nie będziesz o tym rozpowiadać. Nie chciałbym, żeby ludzie się ze mnie nabijali.

- To będzie nasza tajemnica - zapewniła Cassidy z uśmiechem.

- Tak?

- Przysięgam. - Dziecinny gestem uderzyła się w piersi. Zobaczyła, że jego wzrok podąża za jej ręką i zamarła.

- Wiesz, co mam na myśli.

Wydał dolną wargę i pokiwał głową. Nigdy wcześniej nie był taki skłonny do zgody.

- I tak uważam, że już powinnam na nim jeździć.

- Będziesz - obiecał Brig. - Niedługo.

- Potrafię nad nim panować.

- W takim razie, skąd masz to? - Dotknął jej posiniaczonego ramienia. Omal nie wyskoczyła ze skóry. Czowała, że przebywanie z nim sam na sam jest kuszeniem losu, chociaż nie wiedziała, dlaczego. Gdy był przy niej, odnosiła wrażenie, że nadciąga błyskawica, zwiastując uderzenie pioruna.

Uniosła pytająco ramiona.

- Ostatnio, kiedy na nim jeździłam, popełniłam błąd.
 - I twój tata nie chce, żebyś go powtórzyła.
 - Może nie wie, co jest dla mnie najlepsze.
 - A ty wiesz? - Brig zmarszczył ciemne brwi. Cassidy zorientowała się, że kpi z niej.
 - Dlaczego traktujesz mnie jak dziecko?
 - Bo jesteś dzieckiem.
 - Nie jesteś wiele starszy.
 - Nie chodzi o wiek, kochanie.
 - A o co? - Zadarła wyzywająco głowę. - O twoje doświadczenie?
- Uśmiechnął się półgębkiem.

- Poniekąd.

Serce jej łomotało. Zauważyła, że Brig ma ciemne włosy na rękach i kilkudniowy zarost na brodzie. Był pewny siebie, co ją fascynowało i przerażało.

Pochylił się. Przez ułamek sekundy myślała, że ją pocałuje, ale - tak jak kiedyś - chwycił łańcuszek, który miała na szyi. Medalik wiszący między piersiami palił ją w skórę.

- Zawsze go nosisz.

Pokiwała głową.

- Dlaczego?

- Nie... nie wiem.

- To jakiś szczególny święty w twoim kościele? A może dostałaś go od chłopaka?

- Od żadnego chłopaka.

Wypuścił łańcuszek z ręki, odwrócił na chwilę wzrok i westchnął.

- Przyszedłem tutaj za tobą, żeby cię przeprosić - przyznał się. - Trochę mnie ostatnio poniosło.

- Nie ma sprawy.

- Nie. Chcę to wyjaśnić. Widziałaś moją porażkę. Rozkojarzyłem się, koń to wyczuł i mnie zrzucił.

- Ale to ja ci przeszkodziłam. - Powietrze zrobiło się ciężkie. Cofnęła się o kilka kroków. Dotknęła pośladkami twardego pnia wierzby.

- Nie powinienem był ci na to pozwolić.

- E tam.

Pochylił się nad nią, a Cassidy miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Przez kilka sekund tylko cichy szmer strumienia zakłócał ciszę. Czowała, że Brig chce ją pocałować i że zaciska pięści, żeby wygrać z samym sobą.

- Muszę iść...

- Nie! - rzuciła szybko i poczuła, że jej policzki zalewa rumieniec. - Ja... uch...

Mięśnie twarzy chłopaka zadrgały w rytm bicia serca. Ich oczy spotkały się. Milczeli, ale Cassidy wiedziała, że on też to czuje. To gorące, niecierpliwe pragnienie, które zawisło między nimi. Obliznęła wargi. Jęknął cicho, a potem odezwał się surowym i oschłym głosem.

- Będzie lepiej dla nas obojga, jeśli będziesz się trzymać z dala ode mnie i od konia.

- Lubię być blisko ciebie.

Zacisnął powieki, jakby starał się zapomnieć, że Cassidy jest przy nim.

- Lepiej nie, Cass. Lepiej, żebyś mnie nie lubiła. - Gdy otworzył oczy, znowu panował nad sobą. Na rękach i szyi już nie występowały mu żyły. - Uwierz mi, dziewczyno, najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli będziesz się trzymać ode mnie z daleka.

- I jak się pracuje dla najbogatszego człowieka w okręgu? - Chase wyjął z lodówki butelkę piwa i podał Brigowi. Na koszuli i we włosach miał trociny.

- Ty mi to powiedz. - Brig był wyczerpany duchotą panującą w baraku. Mały wiatraczek na próżno próbował obniżyć temperaturę poniżej trzydziestu stopni. Chłopak otarł ręką spocone czoło i zdjął koszulę, ale i tak było mu gorąco. Nie opuszczał go też obraz córek Buchanana. Myśli bawiły się w berka w jego głowie. - Ty też dla niego pracujesz.

- Jak pół miasta. - Chase postawił dwie butelki na zagraconym stole, otworzył je i jednym haustem opróżnił pół butelki. - Ale ciebie spotkał zaszczyt... Możesz przyglądać się, jak żyją, co robią...

- Wywalam gnój. - Brig pociągnął długi łyk piwa. - A to nie jest wcale takie wspaniałe.

- Nie? Ale pewnie lepsze niż wyrąb drzewa, kiedy przecierają się rękawice i ręce zaczynają krwawić. - Chase potrząsnął czarną czupryną i odrzucił włosy z czoła. Wbił w brata niebieskie oczy, takie same jak oczy Briga. Od razu było widać, że są braćmi. Byli bardzo podobni - tego samego wzrostu i podobnej postury. Mieli ciemne włosy i szaroniebieskie oczy, ale Chase miał subtelniejsze rysy twarzy. Brig często mu mówił, że jest ładniejszy, co wyprowadzało starszego brata z równowagi. Wtedy zaczynali się siłować i zawsze wygrywał Chase. Ostatnio jednak role się zmieniły i nie mogli już wyładowywać na sobie złości. W każdym razie - nie przy użyciu siły.

- Dobra. - Chase rozsiadł się na krześle. - Opowiedz mi o domu i samochodach. I o córkach. - Wykrzywił usta w półuśmiechu. - Lubisz kobiety, co, Brig?

- Te dziewczyny są rozpieszczonymi dzieciakami.

- Nie podobają ci się? - Chase oparł łokcie na stole.

- Nie.

- Pieprzenie. - Pociągnął długi łyk piwa, nie spuszczać wzroku z brata. - Byłem u nich w domu, bo stary chciał, żebym podpisał papiery na pożyczkę. Dobrze się przyjrzałem. Czuję się jak w niebie. Znajdę sposób, żeby któregoś dnia to wszystko było moje. Ten dom przy wzgórzach i drugi dom w Portland, a może nawet letnia rezydencja. Kupię samolot i zainwestuję w drewno, kamieniołomy i w tartak. Muszę tylko odpracować pożyczkę, pójść do szkoły i nauczyć się przymilać odpowiednim paniom. W końcu dojdę tam, gdzie jest Rex. To ja będę rozdawał nieoprocentowane pożyczki. Będę najbogatszym facetem w okręgu. I nie będę się przed nikim płaszczył.

To był drażliwy temat. Chase nie chciał pożyczać pieniędzy na studia, ale chciał je skończyć i nie miał wyboru. Rex Buchanan kolejny raz okazał wspaniałomyślność rodzinie McKenziech i zaproponował pożyczkę.

- Tak, staremu się nieźle żyje. I córki ma nie najbrzydsze, co?

Brig chciał odpowiedzieć, że nie wie, ale Chase zarzuciłby mu kłamstwo.

- Wiesz, fajnie byłoby ożenić się z którąś i odziedziczyć kawałek własności Buchanana.

- Chyba mi radziłeś, żebym się od nich trzymał z daleka? Cassidy jest jeszcze nieopierzona.

- Może i tak, ale wiecznie nie będzie. A Angie! Rany, człowiek nie może wytrzymać na samą myśl o niej. Chyba jest na tyle dorosła, że wie, czego chce.

Brigowi nie podobał się tok myślenia brata.

- A co z Derrickiem? - spytał Brig, choć wcale nie był ciekawy. Tak naprawdę w ogóle nie myślał o synu Reksa Buchanana. - Sukinsyn z niego, jakich mało. Chyba nie ucieszy się, że ktoś się wkręca do rodzinnego interesu.

- Co z tego? To, że ma nadzianych rodziców nie znaczy, że wszystko po nich dostanie. Poza tym, jestem od niego sprytniejszy.

- Ale on się nazywa Buchanan.

Chase'a nie przekonało rozumowanie Briga.

- Dziewczyny też dostaną swoją część. Stary Rex zawsze chce być w porządku, choćby po to, żeby robić dobre wrażenie. Na pewno się zatroszczy o córki i zięciów.

- Wszystko zaplanowałeś. - Brig nie ukrywał irytacji.

- I to jak! - Chase uśmiechnął się, pociągnął duży łyk z butelki i oskarżycielko wbił palec w brata. - Trzeba tylko odnosić się do tych dziewczyn z szacunkiem. Tylko tak się do czegoś dojdzie.

- Wchodząc w dupę bogaczom.

Chase zacisnął zęby.

- Jestem realistą, Brig. Zrobię wszystko, co będzie trzeba. Powinieneś się ode mnie uczyć.

- Mam to gdzieś - powtórzył. Myślami wrócił do Cassidy. Tak, ją można było szanować. Angie była inna. - Ja nie pójdę z tobą tą wymyśloną ścieżką do bogactwa. Możesz wziąć sobie wszystko. Ale wierz mi, źle skończysz. Derrick Buchanan nie da ci złamanego centa z tego, co uważa za swoje. - Wyjrzał przez okienko nad zlewem. - Zresztą to tylko pusta gadka. Obaj tylko pracujemy dla Buchanana.

- I chcielibyśmy, żeby jeszcze przez chwilę tak było. Więc cię ostrzegam, braciszku. Masz u Buchanana jak w raj, ale się pilnuj. W tym mieście jesteś przegrany. Ostatnie zdarzenie z Tamarą Nichols było dla ciebie gwoździem do trumny. Masz szczęście, że Rex Buchanan cię zatrudnił, bo strasznie trzęsie się o córki.

Brig pociągnął duży łyk piwa. Zimny płyn spłynął mu do żołądka. Nie miał pojęcia, dlaczego Buchanan dał mu pracę, ale stary Rex słynął z filantropijnych gestów, zwłaszcza wobec McKenziech. Kiedy mama była w dołku finansowym, kilka razy przychodził im z pomocą. Z powodu tej troskliwości Reksa krążyło wiele plotek. Może jednak Buchanan naprawdę uważał, że Brig potrzebuje pomocy? Ta myśl wprawiła go w zdenerwowanie. Zachciało mu się zapalić.

- A właściwie, dlaczego Buchanan cię zatrudnił? - Chase chyba odgadł, co dręczy brata.

Brig położył nogę na siedzeniu sąsiedniego krzesła.

- Też się zastanawiam. - Na jego twarzy pojawił się wszechwiedzący uśmiech, taki sam jak na twarzy brata. - Chyba go oczarowałem moją osobą.

- Tak. Racja. - Chase nie krył sarkazmu. - Tylko nie zepsuj tego wrażenia. Ciężko pracowałem, żeby zacząć spłacać Buchananowi pożyczkę. Nie zrób niczego, co mogłoby zepsuć jego opinię o mnie albo o mamie.

- Nie martw się.

- Dobrze. - Chase odchylił głowę i wpatrywał się w brudny sufit. - Przykro mi to przyznać, ale zrobiłbym wszystko, żeby choć trochę zbliżyć się do pieniędzy Buchanana.

- Tak?

- Wszystko. - Chase westchnął i uśmiechnął się szeroko, jakby przypomniało mu się coś miłego. Brig domyślił się, że znowu marzy. - To nie jest życie. - Chase pokazał ręką barak, który z trudem wystarczyłby dla jednej osoby, a był domem dla Sunny i jej dwóch dorosłych synów.

Brig uważał, że pora się przeprowadzić, ale Chase nie miał czasu albo pieniędzy. Pracował w tartaku na pełnym etacie i studiował, i nie miał nawet czasu na sen. Na razie mieszkanie z matką było mu na rękę, ale wiedział, że jak tylko skończy szkołę w Portland, na zawsze pożegna się z pracą w tartaku i wyjedzie do miasta. Chyba, że tu, w Prosperity, znajdzie szybki sposób na zabicie kasy.

Prosperity. Powodzenie. Co za nazwa dla miasta. Głupi żart. Może Buchananom, Alonzom, Bakerom i Caldwellom powodzi się znakomicie, ale do pozostałych mieszkańców pasowałaby raczej nazwa: Bieda albo Poddani Buchanana. Albo jakaś podobna.

Brig nie wyprowadził się ze starego baraku, bo Chase rzadko bywał w domu, a ktoś musiał pilnować obejścia. Matka wierzyła, że ma nadprzyrodzoną moc i nie była lubiana w okolicy. Kilka grup kościelnych otwarcie wystąpiło przeciwko niej, twierdząc, że ma konszachty z diabłem. Pastor Spears zjawiał się kilka razy, żeby nawrócić Sunny ze złej drogi i nakłonić ją, żeby zaczęła przychodzić regularnie na nabożeństwa niedzielne.

Brig uważał go za skończonego hipokrytę i był przekonany, że facet jest przebiegły jak lis. W Prosperity było kilku kaznodziei, ale Spearsowi wiodło się najlepiej.

Chase odsunął krzesło i wyjął następne piwo z lodówki.

- Opowiedz mi o dziewczynach. Że są bogate i zepsute, to wiem. Opowiedz coś więcej o Angie.

Brig wzruszył ramionami. Nie był głupi. Wiedział, że Angie się nim bawi. Że go kusi i prowokuje. Ale nie miał zamiaru się w to pakować.

- Dalej, cały dzień gapilem się na paskudne gęby Floyda Jonesa, Johna Andersena i Howarda Springera. Z przyjemnością bym sobie popatrzył na Angie Buchanan. Nie mogę wytrzymać na samą myśl o niej.

- Dlaczego? - spytał Brig, jakby jego nie podniecał widok Angie leżącej prawie nago przy basenie i smarującej się oliwką do opalania. - Dlatego, że jest niezła, czy dlatego, że ma kasę?

Chase oparł się na krzesło.

- Z obu powodów. Oba mnie podniecają. Bardzo. Niesamowicie mnie podniecają.

- Będziesz się musiał ustawić w kolejce. Już za nią lata kilku chłopaków z wywieszonymi do ziemi jęczorami. Są tak napaleni, że ledwie mogą oddychać.

- Ty też?

- Skąd.

Chase zmrużył oczy. Umiał przejrzeć Briga.

- Twierdzisz, że nic nie chcesz od Angie Buchanan?

- Twierdzę, że jest z nią za dużo kłopotów.

Chase zastanowił się przez chwilę, napił się piwa i obrócił w dłoniach brązową butelkę. - Chociaż raz chciałbym zobaczyć, jak to jest z nią być... A jak nie z nią, to z jej młodszą siostrą. Kiedy dorośnie, będzie...

Brig opuścił nogi na podłogę. Krew się w nim wzburzyła. W mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie stołu, twarzą w twarz z bratem.

- Nawet o tym nie myśl. To jeszcze dziecko.

Chase wyszczerzył zęby w uśmiechu. W jego oczach pojawiły się iskry.

- Chyba mi nie powiesz, że masz coś do tej łobuziary? - Zachichotał.

- Niech mnie diabli. Lepiej uważaj. Już ci mówiłem, że jest nieopierzona.

Brig złapał brata za koszulę. Strącił łokciem butelkę z piwem. Piana rozbryznięła się po podłodze. Brig nie zwrócił na to uwagi.

- Dlatego nie wchodzi w grę. Rozumiesz?

- Ale ty byś ją chciał, co? Boże, nie mogę uwierzyć. Jest całkiem ładna, ale prawie nie ma cycków.

- Zostaw ją w spokoju!

- Weź ją sobie. Wolę starszą.

- Od niej też się trzymaj z daleka. - Brig puścił Chase'a i wyprostował się. Wziął szmatę, stał piwo z podłogi i wrzucił butelkę do kartonu na wpół wypełnionego odpadkami. - Nie chcę żadnych kłopotów ze starym Buchananem ani z jego córkami.

4

Angie opalała się na leżaku, nie zwracając uwagi na upał. Smarowała oliwką ramiona, brzuch i nogi, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Przy Brigu. Miała mało czasu. Caldwellowie, jak co roku, urządzali w ogrodzie przyjęcie na zakończenie lata. Zapraszano na nie nie tylko współpracowników Sędziego z całego okręgu Clackamas. Na liście gości znajdowały się też ważne osobistości z Portland - przedstawiciele władzy i wszyscy, którzy coś znaczą w Prosperity. Było to wydarzenie roku, na równi ze świątecznym przyjęciem u Buchananów.

Angie odrzuciła zaproszenia od kilku chłopaków, także Bobby'ego i Jeda, bo chciała iść z Brigiem. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jakie wywoła poruszenie, gdy wejdzie uwieszona na ramieniu Briga McKenziego. Ludzie będą plotkować, marszczyć brwi i wdychać ze zgorzienia, zakrywając usta dłońmi.

Wiele kobiet będzie jej zazdrościło, choć nigdy by się do tego nie przyznały. Inne będą stały jak wryte. Niewątpliwie znajdzie się w centrum zainteresowania. Wszyscy będą myśleć, że spotyka się z Brigiem od kilku tygodni... Wystarczająco długo. Ale nie może tracić czasu.

Wytarła rękami nadmiar oliwki i wciągnęła szorty. Założyła przezroczystą białą bluzkę, nie zawracając sobie głowy zapinaniem guzików. Podwinęła rękawy. Wsunęła sandaalki, rozpuściła włosy i zmierzwiła je. Hebanowe loki spadły jej na oczy i policzki i niczym kaskada spłynęły do połowy pleców.

Kończył jej się repertuar wymówek, którymi usprawiedliwiała to, że kręci się przy stajniach. Jeżeli zjawi się tam bez powodu, będzie to grubymi nićmi szyte. Nie mogła pokazać, że jest zrozpaczona. Chciała dać Brigowi do zrozumienia, że jest nim zainteresowana. Zagadnęła go już o lekcje jazdy konnej. Mogła go poprosić, żeby ją zabrał do miasta albo żeby sprawdził, co jej stuka w samochodzie, albo pojechał z nią na przejażdżkę konną...

Nigdy nie musiała zadawać sobie tyle trudu, żeby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Na ogół było na odwrót. Ale Brig był inny niż wszyscy mężczyźni z Prosperity. A nawet z Portland. Chociaż całe cztery lata spędziła w internacie katolickiej szkoły dla dziewcząt imienia świętej Teresy, miała wiele sposobności, żeby spotykać się z chłopcami od jezuitów i z uczniami Głównej Szkoły Katolickiej, jak też ze studentami z Uniwersytetu Stanowego w Portland, który znajdował się o kilka przecznic od murowanego internatu szkoły dla dziewcząt.

Zatrzymała się przed drzwiami stajni, pociągnęła wargi szminką i weszła do środka. Zmarszczyła nos, bo śmierdziało moczem i łajnem.

- Brig? - zawołała. - Brig? Jesteś tu?

Usłyszała tylko ciche parskanie, rzenie i szelest kopyt w sianie. Kątem oka zobaczyła, że coś się porusza. Przestraszona odwróciła się i zobaczyła, że przy worku z owsem stoi Willie. Trzymał w rękach uprzęż i wpatrywał się w nią zamglonymi niebieskimi oczami.

- Jezu, Willie, śmiertelnie mnie przeraziłeś.

Obliział nerwowo wargi.

- Przepraszam.

- Wiesz, gdzie jest Brig?

Zmarszczył brwi w skupieniu. Angie miała ochotę nim potrząsnąć. Czasami robił się głuchy jak pień. Jąkał się i nie chciał odpowiadać na pytania. Wyglądał na zażenowanego. A czasem sprawiał wrażenie sprytniejszego i bardziej rozząranego niż wielu parobków. Angie zastanawiała się, czy naprawdę jest głupi. Wyglądało na to, że wykorzystuje swoje upośledzenie, jak mu wygodnie. Ale to chyba niemożliwe.

- Mac jest z krowami.

- Nie obchodzi mnie Mac. Pytałam o Briga.

Willie zagryzł wargi i odwrócił wzrok. Miał lekko kręcone ciemnobrązowe włosy, które były matowe i potargane. Jego oczy miały nieokreśloną barwę, między szarością i błękitem.

- Brig pracuje.

- To wiem.

- Nie chce, żeby mu przeszkadzać.

- Dobrze, Willie. - Angie westchnęła w duchu i przysunęła się o krok do chłopaka. - Muszę się z nim zobaczyć - powiedziała miękko, przymilnym głosem.

- Po co?

Cholera, ten wielki kretyn był irytujący. Ale można się z niego chwilę ponatrząsać. Położyła ręce na biodrach, podkreślając szczupłą talię. Wypięła piersi. Willie żywo zareagował. Spojrzał na zagłębienie między piersiami dziewczyny, a potem skierował wzrok na krokwie, żeby się na nią nie gapić. Podeszła do niego powoli.

- Daj spokój, Willie - wyszczebotała. - Mam mało czasu. Więc gdzie jest Brig? - dotknęła rękawa jego brudnej koszuli.

Williemu krew pulsowała w skroniach. Nagle w stajni zrobiło się ciasno i duszno. Chłopak spojrzał Angie głęboko w oczy. Przebiegł ją dreszcz strachu i oczekiwania, bo Willie nie starał się ukryć pożądania. Zastanawiała się, czy tym razem nie posunęła się za daleko. W końcu był mężczyzną. Sądząc po ciemnym zarostcie, szerokich ramionach i kędzierzawych włosach wystających spod koszuli, był młodym, fizycznie silnym i zdrowym mężczyzną.

- A co chcesz? - spytał chrapliwym szeptem, tak cichym, że serce Angie zaczęło łomotać. Chłopakowi świeciły się oczy. Odkasznęła i cofnęła się o krok, bojąc się, że jej uwodzicielskie zachowanie może wywołać zwierzęcą reakcję. Nagle dotarło do niej, że biedny, głupi Willie mógłby jej pomóc.

Ale te myśli były niebezpieczne.

- Po prostu muszę z nim porozmawiać.

- To go znajdź. - Willie odsunął się od niej, oddychając nierówno. Zaciśnął palce na uprzęży, którą miał naprawić. Wyszedł tak szybko, że prawie potknął się o grabie. Był przerażony nie mniej niż dziewczyna.

- Cholera - mruknęła Angie, gdy poszedł. Pot wystąpił jej na czoło i trzęsły jej się ręce. Willie nie był tak niewinny, na jakiego wyglądał. Angie przypomniała sobie, jak Felicity zdjęła przy basenie koszulkę i pokazała Williemu piersi. Popatrzył sobie. Pewnie poszedł potem w krzaki, zamknął oczy, przypomniał sobie białą skórę Felicity i jej wielkie cycki i się spuścił. A może myślał wtedy o niej?

Nie mogła się pozbyć wrażenia, że niechcący rozbudziła coś, co może mieć poważne konsekwencje. Przez piętnaście minut zawzięcie chodziła po stajniach, ale w końcu jej się znudziło. Brig mógł być właściwie wszędzie.

Mógł sprawdzać ogrodzenie, zaganiać stado kilka akrów dalej, mógł przycinać krzaki po pomocnej stronie posiadłości albo z innym pracownikiem robić zakupy w mieście.

Zawiedziona, odgarnęła włosy z ramion. Miała nadzieję, że uspokoi się, gdy wiatr schłodzi jej kark. Przeszła obok pomieszczenia z maszynami i tam natknęła się na Briga. Starał się znaleźć dziurę w grubej czarnej oponie, obracając kołem w przepołowionej starej beczce po ropie, która miała metalowe nóżki, oszlifowane brzegi i rurkę u dołu, odprowadzającą wodę do ścieku. Wodę doprowadzał gumowy wąż, przytwierdzony do kranu. Brig miał rozpiętą koszulę i rękawy podwinęte do łokci. Marszczył w skupieniu brwi.

Może i słyszał, że Angie się zbliża, ale nie dał tego po sobie poznać. Podniósł głowę dopiero, gdy jej cień padł na beczkę. Znalazł miejsce, gdzie z opony uchodziło powietrze i narysował kredą znak na czarnej gumie.

- Myślałam, że masz pracować z końmi. - Angie oparła się o murowane ścianę. Czują na plecach ciepło rozgrzanych przez słońce czerwonych cegieł.

- Nie wiedziałem, że mnie pilnujesz.

Podniosła lekceważąco ramię.

- Bo nie pilnuję.

- To dobrze. - Odwrócił się do niej plecami i wyjął brudną szmatę z kieszeni spodni. - Więc to nie mnie szukasz.

- No niezupełnie.

Wyprostował się i szelmowskim uśmiechem dał jej do zrozumienia, że kłamie.

- Zabawne. Myślałem, że kogoś szukasz, bo tak biegałaś po wszystkich stajniach i stodołach. I pomyślałem, że może mnie.

- Nie pochlebiaj sobie.

Zachichotał.

- Nie mam takiego zwyczaju.

Przerzucił koło przez ramię i wszedł do magazynu. Angie z największą przyjemnością zadarłaby dumnie głowę i odwróciła się na pięcie, ale weszła za nim.

- Dlaczego tak mnie nie cierpisz? - spytała, gdy znaleźli się w środku. Choć przez otwarte drzwi i kilka małych okienek wdzierало się światło słoneczne, które drażniło jej wzrok, duszne pomieszczenie było ciemne i tajemnicze. W powietrzu unosił się zapach ropy i smarów. Brig wciągnął koło na warsztat i szukał kleju do gumy i czegoś na łatę.

- Ja cię nie cierpię? - Odwrócił się przez ramię. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo mnie unikasz.

- Mam robotę.

- Ale z Cassidy rozmawiasz.

- Ona się interesuje końmi - odpowiedział pośpiesznie i lekko zacisnął zęby.

- A może interesuje się tobą?

- Przecież to dziecko.

- Ma szesnaście lat.

- Mówię, że dziecko.

- O mnie myślisz tak samo?

Zaśmiał się i zmierzył wzrokiem jej krągłe biodra, kobiece wcięcie w talii i pełne piersi, ściśnięte pod rozpiętą bluzką czarnym stanikiem kostiumu kąpielowego. Na chwilę cynicznie zatrzymał wzrok we wgłębieniu między piersiami Angie, w którym zebrał się pot i kurz.

- Ciebie nie można wziąć za dziecko. - Wypiął biodro i wyjął z kieszeni koszuli paczkę cameli. - Czego ode mnie chcesz? - Zapalił papierosa i wydmuchnął chmurę dymu.

Wyjęła mu papierosa z ust i zaciągnęła się, zostawiając na białej bibule ślad szminki. Wypuściła dym nosem, tak jak na starych filmach robiła to Bette Davis.

- Dlaczego myślisz, że czegoś chcę? - Poprawiła włosy i oddała mu papierosa.

- Bo taką masz naturę.

- Niewiele mnie znasz. - Wydęła lekko usta.

- I to mi wystarczy.

O Boże, on jej daje kosza. Żaden chłopak nigdy nie dał jej kosza. Większość za nią latała, a jej - z natury uwodzicielskiej i kuszącej - bardzo podobało się, gdy widziała pożądanie w ich oczach. Ale Brig był inny. Musiała go skłonić, żeby ją chciał. Krew w niej wrzała. On, syn zwariowanej półkrwi Indianki i robotnika z tartaku, który uciekł w siną dal, ma czelność zachowywać się tak, jakby jej wdzięki w ogóle na niego nie działały. Ona jednak wiedziała swoje.

- A nie chciałbyś mnie poznać troszkę lepiej? - Przysunęła się do niego tak blisko, żeby musiał patrzeć na przedziałek w jej biuście.

Z papierosem w ustach wydawał się nieprzystępny jak niepokromiony kowboj. Mrużył oczy od dymu, ale nie odwrócił głowy.

- Mam robotę. Muszę cię przeprosić.

Wyglądało na to, że plan nie wypali. Brig nie miał zamiaru dać się nabrać na jej uwodzenie. Cofnęła się szybko i odwróciła.

- Słuchaj... przepraszam. Nie chciałam... żebyś myślał, że za tobą latam.

- A nie latasz?

Odwróciła się znowu.

- Ja... chcę być twoją przyjaciółką. Chłopaki w moim wieku mnie nudzą. Szczerze mówiąc, są jak wrzód na dupie. - Podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej oczy nie były już tak zadziorne. - Wydawało mi się, że jeśli będę się zachowywać jak... no właśnie tak, to zwrócę twoją uwagę. Ja... potrzebuję kogoś takiego jak ty.

Prychnął i spojrzał na oponę.

- Ciężko mi z Bobbym i Jedem.

- Tak?

- Mówiłam ci, że się założyli.

Na twarzy Briga pojawił się cień odrazy.

- Myślałem, że żartujesz.

- Nie. - Westchnęła i przeczesła palcami włosy. - Wiem, że niektórzy ludzie myślą, że lubię... flirtować. I pewnie tak jest, ale nie sypiam z chłopakami, bo jestem córką Reksa Buchanana. Chyba jestem dla nich jakimś celem. Niektórzy się zastanawiają, kto pierwszy zrobi to z Angie Buchanan. Dlatego ojciec wysłał mnie do liceum świętej Teresy w Portland. A przynajmniej był to jeden z powodów. Ale już skończyłam szkołę i teraz idę na studia. A w mieście znowu zaczęli gadać o tym samym.

Brig zachował niewzruszony wyraz twarzy, jakby nie wierzył, że dziewczyna mówi prawdę.

- Więc pomyślałam, że może zostalibyśmy przyjaciółmi. Bo ty jesteś... trochę... twardszy. To chyba właściwe słowo. I chłopaki daliby mi areszcie spokój.

Brig rzucił papierosa na podłogę i zgasił go obcasem.

- Wiesz, Angie, niewiele kobiet oczekuje ode mnie przyjaźni. Mężczyźni i kobiety... jako przyjaciele... to się nie udaje.

- A nie możemy spróbować? - Instynktownie wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Nie czekając na to, jak zareaguje, wybiegła z magazynu. Zauważyła, że na bocznej murowanej ścianie poruszył się cień. Pewnie znowu Willie. Boże, ten kretyn doprowadzał ją do szału. Nie miała pojęcia, dlaczego ojciec go trzyma.

Ale jej ojciec zawsze był obrońcą pokrzywdzonych, czego najlepszym dowodem był Brig McKenzie.

- Ja tylko mówię, że nie uważam tego za rozsądne. - Dena spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką w sypialni i zmarszczyła czoło na widok siwych nitok, które zaczynały się wyraźnie odznaczać między ciemnymi włosami. Włosy zawsze były jej dumą i radością, a teraz nawet one były przeciwko niej. Tak samo zresztą jak twarz i szyja, na których było o wiele za dużo zmarszczek. A te worki pod oczami... Była spięta i zmartwiona, bo niepokoiła się o córki. Martwiła się i tym, czy zdoła zrobić się na bóstwo do przyszłego weekendu, żeby na przyjęciu u Caldwellów wyglądać kwitnąco. Potrzebna jej była nowa suknia, buty i coś więcej niż mała operacja plastyczna. Skończyła szcztokować włosy i wzięła paczkę papierosów.

- Nie mogę pojąć, dlaczego zatrudniłeś tego prostaka.

Rex stał za przymkniętymi drzwiami łazienki.

- Potrzebował pracy. Świetnie sobie radzi z końmi, a ogier Cassidy już raz ją zrzucił. Nie chciałem ryzykować i czekać, żeby zrzucił ją znowu.

- A nie pomyślałeś, że ryzykujesz, biorąc go do pracy? Że narażasz na niebezpieczeństwo nasze córki? - Kątem oka zobaczyła, że Rex wiesza szlafrok. Został w samych bokserkach. Nadal był pociągającym mężczyzną. Owszem, trochę mu się zaokrąglił brzuch, ale był silnie umięśniony. Dzięki temu, że spędzał na polu golfowym długie godziny, miał szczupłe i wysportowane nogi. Jego śnieżnobiałe włosy kontrastowały z czarnymi brwiami i opaloną twarzą o bardzo męskich, regularnych rysach. Jednak na policzkach przy szczęce zaczynały się już tworzyć pierwsze zmarszczki. Starość to przekleństwo. Zapaliła wiceroya, zaciągnęła się i zobaczyła, że w kącikach jej ust również robią się małe zmarszczki.

- Nie ryzykuję bezpieczeństwa dziewczynek. O czym ty mówisz? - Zamiast welurowego wiśniowego stroju do joggingu, który kupiła mu w zeszłym roku na rocznicę ślubu, założył zwykły szary dres. Ale nie miała czasu się z nim kłócić. I tak nikt go nie będzie widział, a ona ma teraz inne problemy - ogromne problemy związane z Brigiem McKenzie. Dzikim synem Sunny.

Gdyby Rex wziął do pracy na ranczu Chase'a, drugiego syna Sunny, Dena też nie byłaby zachwycona, ale to jeszcze mogłaby zrozumieć. W tartaku mówiło się, że chłopak jest odpowiedzialny, poważnie myśli o przyszłości, trzyma ręce przy sobie i zna swoje miejsce. Przynajmniej starał się zachowywać właściwie i był subtelniejszy niż jego młodszy brat. O Brigu mówiło się natomiast, że to wcielony diabeł i że nie zważa na nic ani na nikogo. Nosił skórzaną kurtkę i jeździł na motorze jak szatan. Dena otuliła się szlafrokiem.

Rex nic nie rozumiał. Czasami trzeba było przestać się bawić w subtelności, żeby coś dotarło do jego zakutego łba.

- Już wystarczy, że zatrudniłeś tego półgłówka. Łazi za dziewczynkami jak...
- Słuchaj, Dena. Jestem szanowanym obywatelem, jednym z najbogatszych ludzi w Prosperity i spoczywa na mnie pewna odpowiedzialność. Dlatego czasem robię rzeczy, które z ekonomicznego punktu widzenia mogą uchodzić za akty miłosierdzia. Liczy się też kościół. Ojcu Jakubowi się wydaje... Och, i tak nie zrozumiesz. Chodzi o to, że nikt inny nie zatrudni Williego, a jest dobrym pracownikiem. Nigdy nie miałem z nim najmniejszego problemu. - Zaciśnął zęby.

Rex był dumny ze swojej dobroczyńności. I nie miał zamiaru tłumaczyć, dlaczego zatrudnił Williego. Dena zrozumiała to już dawno, gdy Rex przygarnął tego półgłówka. Dostała wtedy szału, ale jej mąż był niewzruszony. Od tamtej pory, zawsze gdy ginęły narzędzia albo części zapasowe, nakłaniała Rexa, żeby zwolnił chłopaka, ale bez skutku. Rex nie miał zamiaru zmienić zdania.

Zaciągnęła się papierosem. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła w lustrze. Wyrzuciła wiceroya do srebrnej popielniczki przy umywalce. Powinna rzucić palenie, bo od mrużenia oczu przed dymem zrobiły jej się kurze łapki.

- Oboje wiemy, z czego słynie Brig McKenzie. Pije, chociaż jest niepełnoletni, i wdaje się w bójki. Bóg jeden wie, ile razy wyrzucili go z roboty. Idzie do łóżka z każdą kobietą, która mu się nawinie.

- Nie wiesz, czy to prawda. To tylko małomiasteczkowe plotki.

- Nie ma dymu bez ognia, Rex. Nie zapominaj, z jakiej rodziny pochodzi. Z rynsztoku.

- Sunny McKenzie...

- Jest brudną Indianką, a jej mąż, czy tam były mąż, był pijakiem z charakterkiem. - Odwróciła się od umywalki i spojrzała na męża. - Im więcej robisz dla tej rodziny, tym więcej się gada o tobie i tej... - Załamał jej się głos i zdrzżała.

- To też tylko plotki.

- Ale ja to słyszę bez przerwy. Kiedy gram w brydża w klubie, siedzę u fryzjera, a nawet po mszy. Mówię ci, Rex, musisz przestać nadskakiwać Sunny i jej synom.

- Innym rodzinom też pomagam. Kiedy mężowie nie mają pracy albo kiedy małe dzieci chorują...

- ...albo się topią.

Spojrzał na nią surowo.

- To było dawno temu. Sunny potrzebowała pomocy. Mąż od niej odszedł.

- Wiem, ale ludzie swoje gadają. - Wstrętne plotki dręczyły ją zawsze. - Wystarczy, że co tydzień chodzisz na grób Lucretii, ale...

- Jej do tego nie mieszaj - powiedział tonem, którym zwracał się do niej tylko wtedy, gdy był naprawdę zły. Było w nim lekceważenie, zarezerwowane wyłącznie dla niej.

Dobrze, da mu spokój z Lucretią, ale w sprawie Briga będzie nieugięta.

- Posłuchaj, Rex. Oboje wiemy, że jedyną zaletą Briga McKenziego jest jego wygląd. Do tego jest cholernie sprytny. Wie, jak manipulować ludźmi, żeby dostać to, czego chce. Zobacz, jak okręcił sobie ciebie wokół palca.

- Nie okręcił mnie - mruknął Rex, wchodząc do sypialni.

Spojrzała na niego jak na idiotę.

- Ten chłopak dobrze wie, co robi. Zapamiętaj moje słowa: będą z tego kłopoty, o jakich ci się nie śniło. - Wsunęła na nogi różowe pantofle i poszła za nim. Siedział na rowerze do ćwiczeń i pedałowal jak szalony. Pot ciekł mu z czoła. Drzwiczki do szafki, w której stał telewizor, były otwarte. Za chwilę miał się zacząć ulubiony film Reksa, *Aniolki Charliego*.

- Nie chcę, żeby Cassidy się koło niego kręciła. Chyba coraz bardziej jej się podoba.

- Cassidy? Przecież to jeszcze dziecko!

- A przyjrzałeś się jej dobrze, Rex? - Dena poczuła się dotknięta. Cassidy zawsze będzie dla Reksa tylko drugą córką, która nie dorównuje Angie. Nigdy wprowadzie tego nie powiedział, ale widać to było przy wielu okazjach. Denę to irytowało i raniło.

- Nie interesuje się chłopakami.

- Chłopakami nie. Tylko Brigiem. Łazi za nim jak cień.

- Przez konia. To nie ma nic wspólnego z McKenzieem.

Rex, kiedy ty przejrzysz! Ona ma szesnaście lat i... Pamiętam, kiedy ja byłam w jej wieku.

- Nie możesz jej zabronić chodzenia do stajni.

Dena westchnęła.

- Nie, ale mogę mieć ją na oku i dopilnować, żeby trzymała się z daleka od tego mieszańca. Angie nie mogę niczego zakazać, bo to twoja córka. Ale na twoim miejscu, zabroniłabym jej kręcić się przy nim.

- Przecież tego nie robi.

Dena potrząsnęła głową.

- Rex, nigdy nie sądziłam, że jesteś idiotą, ale chyba myliłam się. - Usiadła na ogromnym łożu i poprawiła poduszki.

Dena starała się nie krytykować Angie, bo Rex ją ubóstwiał i traktował jak księżniczkę. Było rzeczą oczywistą,

że jest bardziej przywiązany do Angie niż do Cassidy. Nikt w domu nie miał co do tego wątpliwości. Dena wiedziała, dlaczego. Angie była córką Lucretii. Choć pierwsza żona Rekxa nie żyła już od wielu lat, on o niej nie zapomniał. Zapalał dla niej świeczki na mszy, mówił o niej z namaszczeniem i zachowywał się tak, jakby była świętą.

A przecież wszyscy wiedzieli, że odebrała sobie życie. A samobójstwo jest grzechem. Jednak Rex nie zapomniał o Lucretii. Dla Deny na pewno nie zapalałby świeczek, nie modliłby się za nią i nie wspominałby jej przez prawie dwadzieścia lat.

- Angie spędziła cztery lata w liceum świętej Teresy. Siostry dały jej porządną szkołę moralności. To dobra dziewczyna. - Zaczął się zdrowo pocić. Rower tak hałasował, że nie było słycać dialogów w telewizji. Zanim zdążyła się odezwać, Rex nacisnął pilota i sypialnię wypełnił głos Charliego.

- Derrick już wrócił? - Angie, w płaszczu kąpielowym i w rozpiętych sandałkach, weszła do pokoju Cassidy i usiadła na brzegu łóżka.

Cassidy przeglądała czasopismo.

- Nie wiem.

- Wyszedł z Felicity?

Cassidy wzruszyła ramionami. Od kiedy Angie postanowiła zdobyć serce Briga, Cassidy nie potrafiła być uprzejma dla starszej siostry. To prawda, że Brig jest dorosły i wie, co robi. Podobno miał wiele kobiet. Ale żadna z nich nie była tak ładna ani nie miała takiej pozycji społecznej jak Angie. Nic dziwnego, że tak trudno się jej oprzeć. O ile w ogóle jest to możliwe.

- Jakby się tu pokazał, to usprawiedliwisz mnie jakoś?

- Czemu? - Cassidy nagle zrobiła się podejrzliwa.

- Nie lubi, jak spotykam się z Brigiem.

- Spotykasz się? Na randce? - Cassidy zamurowało. Zauważyła, że Angie lata za Brigiem. Widziała nawet, jak całuje go w policzek, ale nie nazwałaby tego spotykaniem się.

- No, niezupełnie tak jak na randce. Jeszcze nie. Ale już niedługo go poproszę, żeby poszedł ze mną na przyjęcie do Caldwellów w Country Club. Będzie sensacja, co? - Zachichotała, a w jej oczach pojawił się blask. - Mam się z nim spotkać wieczorem przy basenie. Mama i tata pójną spać po wiadomościach o jedenastej, więc nimi nie muszę się przejmować. Służących nie będzie, ty o wszystkim wiesz, więc pozostaje jedynie Derrick.

- Zaprosiłaś już Briga? - Cassidy ścisnęło w żołądku.

- Nie, jeszcze nie.

- Ale myślisz, że z tobą pójdziesz?

- No pewnie. To jedno z najważniejszych wydarzeń sezonu. Biedne dzieciaki z miasta zrobiłyby wszystko, żeby tam być.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby Brigowi na tym zależało.

Angie zmarszczyła brwi.

- Co to, Cassidy? Jesteś zazdrosna?

- Skąd!

- Hmmm. - Angie wykrzywiła pełne usta we wszechwiedzącym uśmiechu. - Nie martw się, ma brata. Podobno jest jeszcze przystojniejszy niż Brig. Chase McKenzie na pewno dałby wszystko, żeby ktoś go zaprosił na przyjęcie.

- Więc dlaczego jego nie zaprosisz?

- Dlatego, że jest za bardzo napalony i niecierpliw. Jak Bobby i Jed. Ale Brig... - Wyrzała przez otwarte okno i westchnęła głośno. - Chyba dlatego tak mnie pociąga, że jest zarozumiały i pewny siebie. I ma swoje zdanie. Robi, co chce i kiedy chce i z niczym się nie liczy. - Spochmurniała i zagryzła dolną wargę. - Pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni.

- Ty i Brig? - prychnęła Cassidy. - Daj spokój.

Melancholijny nastrój Angie nie trwał długo. Na jej twarzy szybko pojawił się chytry uśmieszek, który przyprowadził Cassidy o mdłości. Krew w niej wrzała. Cassidy włączyła pilotem mały telewizor stojący na biurku. Miała nadzieję, że hałas odwróci jej myśli od Briga i Angie.

- To wymyślisz coś, tak? Jakby Derrick albo ktoś inny się o mnie pytał, odwróć lampkę z biurka w stronę okna. Dobra?

- Ale po co?

- Będę miała czas, żeby po drodze do domu wymyślić jakąś historyjkę. Na przykład, że nie mogłam zasnąć i poszłam popływać.

- Dobra - powiedziała Cassidy, chociaż w duchu przeżywała katusze.

Angie wzięła do ręki sandałki, wstała z łóżka i lekkim krokiem podeszła do drzwi.

- Pamiętaj o sygnale. O nic więcej cienie proszę. - Rzuciła Cassidy promienny uśmieszek. - Jestem twoją dłużniczką, Cass. - Prawie bezgłośnie otworzyła drzwi. Wyszła na korytarz i zniknęła. Cassidy wypełniło uczucie

beznadziejnej rozpacz.

Skakała po kanałach, ale nie widziała nawet ekranu telewizora. Przed oczami miała obraz mokrych, nagich ciał Briga i Angie w basenie.

Zrobiło jej się niedobrze. Angie nie żartowała. Ona naprawdę miała zamiar uwieść Briga. A on dawał się na to nabrać.

Cassidy walnęła pięścią w poduszkę. Przez otwarte okno sypialni widziała ciemne, usiane migoczącymi gwiazdami niebo. Nad horyzontem leniwie świecił księżyc. Wstała z łóżka i wpatrywała się w ciemność. Wiał ciepły wiatr, który poruszał jej nocną koszulę. Cienka bawełna przylegała do jej ciała.

Usiłowała sobie wmówić, że nic ją nie obchodzi, co robi Brig ani z kim to robi. W końcu to nie jej sprawa. Ale nie mogła ścierpieć ze Angie z przerażającą konsekwencją realizuje swój plan.

Jej starsza siostra niespodziewanie zainteresowała się końmi i zawsze, kiedy Brig pracował ze zwierzętami, wynajdywała powód, żeby znaleźć się koło stajni. Przerzucała ręce przez płot, rozmawiała z Brikiem i uśmiechała się, gdy się do niej odwracał. Gdy nie dzielił ich płot, stawała najbliżej niego, ale tak, żeby go nie dotknąć. Zapraszała go na wspólne pływanie i przejażdżki, ale zawsze odmawiał, wymawiając się pracą. Cassidy triumfowała. Może nie chciał, żeby z nim pogrywała jak z innymi chłopakami, którzy krążyli wokół rancza jak dokuczliwe muchy.

Lato się kończyło, a przy Angie kręciło się coraz więcej chłopaków. Pewnie dlatego, że z końcem września miała wyjechać na studia.

Cassidy wiedziała, że Brig McKenzie nie różni się od innych mężczyzn. Słyszał nawet z tego, że jest łasy na kobiece wdzięki. A Angie zawsze dostawała to, czego chciała.

Cassidy spojrzała na łóżko i zmarszczyła czoło. Nie mogła zasnąć. W pokoju było za gorąco. Miała mokrą pościel. W jej głowie wirowały obrazy Angie i Briga. Musiała coś zrobić - chciała wyjść, znaleźć się z daleka od domu.

Przyszła jej do głowy świetna myśl. Minęły trzy tygodnie od upadku z konia. Ramię prawie jej nie bolało. A wyglądało na to, że Brig nigdy nie pozwoli jej dosiąść Remingtona. Musiała więc zrobić to za jego plecami. Dostanie za swoje. Za to, jak patrzy na Angie!

A z jakiej to niby racji ma siedzieć w domu i kryć siostrę? Niech ją w końcu przyłapią. Czas najwyższy, żeby ojciec, dla którego ziemia, po której stąpa Angie jest święta, dowiedział się prawdy. Gdyby Rex złapał ją z Brikiem, przestałaby w jego oczach uchodzić za boginię. Dla Cassidy w zasadzie nie miało to większego znaczenia. Nie zależało jej na tym, żeby ojciec darzył ją takimi względami jak Angie. Nigdy nie zazdrościła siostrze pozycji księżniczki, bo to zobowiązywało. Nie. Cassidy wystarczała taka więź z ojcem, jaką miała. Chciała tylko, żeby matka, która zawsze dawała jej starszą siostrę za wzór, dała jej spokój.

Włożyła stare dzinsy i sweter. Związała gumką niesforne, rozczochrane włosy. Wzięła stare buty, wymknęła się po cichu z pokoju i zeszła tylnymi schodami. Wszyscy spali, tak jak przewidywała Angie.

Wyszła po cichu z domu. Skuliła się, bo zawiasy tylnych drzwi głośno zaskrzypiały. Bones, stary owczarek szkocki ojca, podniósł głowę i szczeknął.

- Ćśś. To tylko ja.

Pies pomerdał ogonem, waląc nim w podłogę ganku. Cassidy chciała od razu iść do stajni, ale zatrzymała się przy rododendronach.

Była ciekawa, czy Angie nie zmyślała. Zacisnęła kciuki. Cicho przemknęła kaflową alejką, prowadzącą do ogrodu różanego, jeszcze pełnego ciężkich kwiatów. Przeszła pod altanę, zeszła po kilku stopniach i znalazła się przy basenie.

Nad wodą słychać było cichy chichot. Gdy oczy Cassidy oswoiły się z ciemnością, zobaczyła, że Angie pływa całkiem nago. Na jej opalonym ciele widać było białe ślady po kostiumie. Jej ubranie leżało na brzegu basenu.

Cassidy prawie zamarło serce, gdy zobaczyła Angie w basenie. Była piękna i kobieca. Na białej skórze piersi wyraźnie było widać ciemne brodawki, a między nogami wdzięczyła się kępka czarnych włosów. Była taka kobieca. Taka pociągająca.

W Cassidy zaczęła wzbierać żołąć.

Usłyszała trzask zapalanej zapalki. Omal nie wyskoczyła ze skóry.

Łagodny wiatr przyniósł kwaśny zapach spalonego fosforu. Świadomość, że Brig nie jest w stanie oprzeć się uwodzieńskim zabiegom Angie, przyprawiła Cassidy o mdłości.

Spojrzała na patio przy basenie i zobaczyła go przy desce do skakania. Czubki butów kowbojskich wystawały nad wodę. Jego twarz mieniła się złotem. Pochylił się, osłonił koniec papierosa ręką i zapalił. Zaciągnął się, zgasił zapalkę i mały strumień światła zniknął.

Angie wynurzyła się z wody tuż przy jego stopach. Próbowwała się zakryć i schować pod wodę, ale i tak było widać jej pośladki i piersi.

- Ja... Nie spodziewałam się, że przyjdiesz tak wcześnie - wyszeptwała.

Spojrzał na zegarek, ale nie powiedział słowa. Palił.

- Poczekaj chwilkę. Ubiorę się. - Podpłynęła do brzegu basenu, wynurzyła się z wody, otrząsnęła włosy i szybko

założyła kostium i płaszcz kąpielowy, jakby rzeczywiście była zmieszana.

Cassidy z łomoczącym sercem przyglądała się, jak Angie podchodzi do Briga.

- Czego chcesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Niejednego. - Odważnie złapała go za rękę i westchnęła.

Chwycił ją i odsunął na odległość ramion. Przyglądał się jej badawczo.

- Mogłabyś mówić jaśniej? Chciałaś się ze mną widzieć, bo podobno chodzi o coś ważnego.

- Chcę się umówić - wyrzuciła z siebie.

Parsknął.

- Ty? Umówić się? Miałaś więcej randek niż twój stary ma pracowników w tartaku.

- Wiem, ale to coś wyjątkowego i nie chcę iść z byle kim. - Odgarnęła wilgotne włosy z twarzy i spojrzała na niego. Jej twarz jaśniała w blasku księżyca. - Chcę, żebyś poszedł ze mną na przyjęcie do Caldwellów. - Zrzuciła mu rękę na szyję i westchnęła. - To niecodzienne wydarzenie i nie mogę znieść myśli, że miałabym się pokazać z którymś ze znajomych chłopaków. - Wspięła się na palce, wyjęła mu papierosa z ust i rzuciła go na wilgotną posadzkę przy basenie. Pet zasyczał i zgasł. Delikatnie dotknęła jego ust swoimi.

- Brig, powinieneś być zachwycony. Zepsułbyś przyjęcie, i to nie byle jakie przyjęcie. To jest najważniejsze wydarzenie towarzyskie.

- I ja mam na nie pójść z tobą.

Uśmiechnęła się promiennie.

- A to takie straszne? Będą ci zazdrościli wszyscy faceci z miasta.

- A może mnie to nie obchodzi?

- A może cię obchodzi - wyszeptła i znowu go pocałowała. Tym razem się nie opierał. Objął ją tymi samymi rękami, którymi przed chwilą ją odsuwał. Przyciągnął do siebie jej spragnione ciało, mruczac nisko i głęboko. W Cassidy wzburzyła się krew. Brig całował Angie z dziką pasją, która nie była niczym innym, jak tylko zwierzęcym pożądaniem.

Krzyk protestu uwiązał Cassidy w gardle, gdy Angie objęła nogą udo Briga. Nie mogła na to dłużej patrzeć. Odwróciła się. Potknęła się o wystający korzeń i uderzyła chorym ramieniem w drzewo. Ból przeszył jej rękę, ale biegła, nie zważając, że ma wilgotne policzki. Płakała. Jak idiotka.

Z powodu Briga McKenzie, który traktował ją jak małe niezdolne dziecko.

Była wściekła i zrezygnowana. Niech Brig i Angie robią sobie, co chcą. Nie obchodzi ją to. Nie będzie się kręcić i śledzić starszej siostry. Wiedziała, co robi. Pobiegła do stajni. Ramię nie przestawało ją boleć, ale była pewna, że uda jej się zapanować nad Remmingtonem. Pogałopuje na nim tak szybko, że obraz Angie i Briga zamaze się w jej umyśle.

Niech robią, co im się podoba. Otworzyła stajnię. Chciała, żeby to ją Brig trzymał w ramionach, chciała go całować i czuć, jak przyciska ją do ziemi swoim ciałem. Bo szesnastoletnia Cassidy, w przeciwieństwie do Angie, była pewna, że jest zakochana w Brigu McKenzie i nienawidziła się za to.

5

Felicity założyła stanik. Nie było sensu uwodzić Derricka, gdy był w takim nastroju. Nie zauważał jej. Zaciągnął ją do Portland pod pretekstem, że zabierze ją do kina. Oczywiście wylądowali w obskurnym motelu. Kochali się, ale Derrick był z nią tylko ciałem. Nie tak jak kiedyś. Ale jeszcze o tym nie wiedział.

Leżał z włosami rozrzuconymi na poduszce i palił papierosa. Oglądał wiadomości. Dziennikarz opowiadał o tym, jak długo będzie trwała i jak niebezpieczna dla zbiorów jest fala upałów i że ludzie nie powinni podlewać trawników.

Ale kogo to obchodzi?

Wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Naprzeciwko motelu tętniła życiem restauracja, która, jak głosił szyld, oferowała prawdziwe chińskie dania. Przy wejściu tłoczyli się roześmiani ludzie. Mężczyźni i kobiety trzymali się za ręce. Zakochani.

Kiedy ostatnio Derrick wziął ją za rękę? Albo gdzieś ją zaprosił? Przelknęła ślinę. Płacz na niego nie działał, tylko jeszcze bardziej go złościł. Derrick był bardziej porywczy niż ona. Zasłoniła żaluzje i zastanowiła się nad tym, jak wyglądałoby jej życie bez Derricka Buchanana. Ta myśl była przerażająca. Głęboko w duszy dręczyła ją obawa, że go straci.

Miała rozdarte serce. Kiedyś byli w sobie zakochani. Wtedy Derrick był gotów zrobić wszystko, żeby się z nią zobaczyć. A teraz... Spojrzała na łóżko. Leżał z przymkniętymi oczami i najwyraźniej zapomniał o papierosie, który zamieniał się w popiół. Derrick - wysoki i smukły, umięśniony i opalony - był pierwotnym synem Lucretii i Reksa Buchananów. Po ojcu dobrze zbudowany, urodę odziedziczył po matce.

Był pewny siebie, bo wiedział, że synowi najbogatszego człowieka w Prosperity każda dziewczyna wskoczy do łóżka. Tak jak ona. Córka Sędziego. Ale ona nie sypiała z nim dlatego, że był bogaty. Po raz pierwszy kochała się z nim na tylnym siedzeniu jaguara dlatego, że nieprzytomnie go kochała.

Nie musiał jej nawet zapraszać na randkę.

Była potwornie zawstydzona, bo przed Derrickiem nie pozwoliła się nawet dotknąć żadnemu chłopakowi. Kilku próbowało wepchnąć spocone łapy w jej stanik, ale ona nie pozwoliła z powodu Derricka. Kiedy miała jedenaście lat, wiedziała już, że jest w nim zakochana. Zwierzyła się z tego Angie i powiedziała jej, że kiedyś za niego wyjdzie.

Angie ją wyśmiała. Kto chciałby jej brata? Miał wtedy szesnaście lat i był pokraczny. Miał długachne ręce i nogi i był fatalnie zbudowany.

Ale Felicity wiedziała swoje. Już wtedy. I dla niego zachowała dziewictwo. Chciała za niego wyjść i wspominała o tym parę razy. Ostatnio jednak Derrick nie miał dla niej czasu.

Dzisiaj kochali się przy brzęczącej wentylacji i ściszym telewizorze. Raz. I przypominało to raczej ciężką pracę. Niemal obowiązek.

Z początku Derrick nie miał na nic ochoty. Myślni był zupełnie gdzie indziej. W końcu Felicity przekonała go, żeby choć przez chwilę zajął się czymś innym. Pomógł jej w tym czarny stanik i podwiązki. A teraz leżał i oglądał telewizję. Obraz z ekranu rzucał na jego twarz niebieskie smugi. Nawet gdyby Felicity była całkiem naga, Derrick nie zwróciłby na nią uwagi. Coś go trapiło i nie pierwszy raz nie chciał jej o tym powiedzieć.

Spróbowała jeszcze raz. Lekkim krokiem podeszła do łóżka, wślizgnęła się pod rozrzuconą pościel i ułożyła się między nogami Derricka. Jej piersi, którymi kiedyś się zachwycał, wypełniały miseczki stanika. Dziewczyna oblizwała wargi.

- Może byśmy gdzieś wyszli? - spytała cicho i uwodzicielsko. Jej oddech łaskotał go w brzuch.

Derrick rzucił jej obojętne spojrzenie.

- Później.

- A dlaczego nie teraz? - Pocałowała go w pępek, ale wcale go to nie podniecało.

- Chcę obejrzyć wiadomości, jasne? - Nawet nie starał się ukryć irytacji. Zgasił papierosa.

- Możesz obejrzyć jutro. A teraz moglibyśmy się trochę zabawić. - Przejechała językiem po jego torsie i zaczęła drażnić brodawkę, ukrytą w ciemnych włosach klatki piersiowej.

- Naprawdę jesteś aż tak napalona?

- Na ciebie? - Zmarszczyła brwi i zmierzwiła gęste rude włosy. - Zawsze.

Derrick poruszył delikatnie ustami.

- To mi to udowodnij.

- Co?

Zmrużył oczy.

- Udowodnij to, Felicity. - Podniósł ją tak, że musiała usiąść mu okrakiem na klatce piersiowej. - Pokaż, co potrafisz.

- Nie... nie rozumiem.

- Oczywiście, że rozumiesz. Zrób coś, żebym cię chciał. Tak, żebym nigdy nie pomyślał o innej kobiecie. Pokaż mi, co takiego masz w sobie, że jesteś wyjątkowa. - Chwytał zębami jej podwiązkę. Podskoczyła. Wsunął palec za zapięcie stanika z przodu i przyciągnął ją do siebie. Drażnił oddechem brodawki jej piersi osłonięte czarną koronką. - Pokaż co potrafisz. Zachowuj się wulgarnie i nieprzyzwoicie.

- Ja... ja cię kocham. - Lekko drżał jej głos. Czasami ją przerażał, kiedy tak bardzo pożądał czegoś... czegoś więcej niż ona mogła mu dać.

Oparł się na poduszce, założył sobie ręce za głowę i wpatrywał się w nią.

- Więc to udowodnij. - Patrzył na nią z okrucieństwem. - Dalej, kochanie. Do roboty.

Cassidy księżyc służył za przewodnika. Nie osiodłała konia. Jechała na oklep, nisko pochylona. Przyciskała mocno nogi do boków Remmingtona i poganiała go obcasami. Ogier, zagryzając wędzidło, galopował po suchej trawie. Dudnił kopytami, wzbijając tuman kurzu z ziemi. Wiatr smagał Cassidy po twarzy, rozwiewał jej włosy i sprawiał, że łzy napływały jej do oczu.

Wiedziała, że niebezpiecznie jest jeździć po polach na nieosiodłanym koniu, ale się tym nie przejmowała. Myślała jedynie o tym, żeby wymazać z pamięci obraz Briga i Angie, którzy całują się i kochają. Obraz, który ją prześladował.

Koń ciężko dyszał, więc zwolniła i puściła go stępa pod dębami i klonami. Światła rancza zostały daleko. Cassidy wpatrywała się w czarne niebo, usiane niezliczoną ilością migoczących gwiazd.

Remmington pociągnął za wędzidło, zarzucił łbem i szarpnął frędzlami, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że to on nadal rządzi, ale Cassidy nic sobie z tego nie robiła. Dzięki Brigowi koń stał się łagodniejszy, ale ciągle był uparty. Cassidy nie pozwalała mu za bardzo zbliżyć się do gałęzi, obawiając się, że znowu zrzuci. Jeszcze bolała ją ręka po poprzednim upadku i nie chciała, żeby znowu coś jej się przytrafiło.

- Dalej. - Klasnęła na konia. Jechała zarośniętym szlakiem. W suchym powietrzu zapach kapryfolium i chwastów mieszał się z unoszącym się kurzem. Cassidy splunęła i skierowała konia na małe wzgórze, na którym znajdowały się pozostałości starego tartaku. Zniszczone i zapuszczone budynki miały powybijane okna i zapadnięte dachy.

Były to stare baraki, w których kiedyś mężczyźni cięli drewno na kłody, obrabiali je, a potem dzielili na cztery części. To było dawno temu. Potem wyrąb przesunął się dalej na wzgórze, a przy starym tartaku został pusty, wyschnięty rów. Zmierzała właśnie do tego płaskiego jak patelnia i szerokiego na pół kilometra dołu po stawie wykopanym kiedyś przez ludzi. Koń będzie mógł galopować po płaskiej powierzchni, a ona nie będzie się bała, że wdepnie w krecią dziurę albo potknie się o gałąź leżącą w suchej trawie.

- Dalej! - Cassidy ścisnęła Remmingtona kolanami. Koń przeszedł w galop. Cassidy brakowało tchu. Wiatr szumiał jej w uszach. Tętent kopyt ogiera niósł się niczym echo bicia jej serca.

- Dobrze. - Koń pędził po dnie starego stawu. Wzdłuż brzegu biegł porośnięty trawą rów, przez który do pustego stawu przedostawała się rwąca woda. Cassidy pociągnęła za wodze i złapała oddech. Remmington zawrócił. Wrzasnęła co sił w płucach, żeby go pogonić. Żrebak ruszył z kopyta, dudniąc po twardym dnie.

Odżyła. Zmrużyła oczy i patrzyła na pola ozłoczone blaskiem księżyca. Łzy zamgliły jej wzrok. Miała jedynie świadomość tego, że siedzi na potężnym zwierzęciu. Wszystko inne przestało istnieć. Czowała napięte mięśnie konia. Galopował pod wiatr, coraz szybciej i szybciej.

- Wio, wio, ty diable! - Ziemia pod nimi płynęła. Serce waliło jej jak młotem. Czowała spoconą skórę konia pod nogami. Oddychał z trudem. W końcu przy brzegu stawu kazała mu zwolnić i pozwoliła iść przy porośniętej chwastami wydmie. Zatrzymała się przy podupadłych barakach.

- Dobry koń. - Poklepała go po mokrym karku. - Jesteś najlepszy. - Zeskoczyła na ziemię. Kępki ostu i trawy połaskotały ją w stopy, ale prawie tego nie poczuła. Remmington parsknął i zarżał. Zarzucił łbem i wodze wypadły jej z dłoni. Zabolalo ją ramię.

- Hej, stój. Prrr. - Zignorowała przeszywający ból i zrobiła krok, żeby chwycić wodze. Remmington zarżał triumfalnie i zawrócił. Nie zdążyła. - Hej, Remmington! - Koń wyskoczył do przodu i ruszył z kopyta. Zniknął w zarośniętym rowie. - A niech to wszyscy diabli! - krzyknęła zdenerwowana Cassidy. Kopnęła ziemię znoszonym adidasem. Pięknie. Ma za swoje. Pewnie nie uda jej się znaleźć konia w środku nocy. Ranczo miało tysiące hektarów, i chociaż każda część była oddzielona płotem, Remmington mógł spacerować po sąsiednim polu albo wzgórzu, porośniętym gęsto dębami i krzakami. W biały dzień trudno byłoby go znaleźć.

O świcie, kiedy Mac będzie robił obchód i zobaczy, że nie ma Remmingtona, zrobi się piekło. Cassidy wzdrgnęła się na samą myśl o tym. Jeżeli wróci niepostrzeżenie do domu, to za ucieczkę konia obwinia Briga. Miałby poważne kłopoty. I dobrze mu tak. Za to, że pozwolił się Angie... wodzić za nos.

Zakłęła pod nosem. Wiedziała, że nie może tego zrobić. Straciłby pracę, a to nie byłoby w porządku. Zimnej, mściwej części jej serca sprawiała przyjemność myśl, że on i Angie nie mogliby się spotykać tak łatwo jak teraz, kiedy Brig u nich pracuje. Nie mogła go jednak winić za swój głupi błąd.

- Ty sukin... - Wydawało jej się, że usłyszała prychnięcie. Dostała gęsiej skórki. Zmrużyła oczy w ciemności, zastanawiając się, czym może się obronić. Czasami po wzgórzach łazili włóczędzy. Na noc, dwie zadowalali się schronieniem, jakie dawał stary tartak. Zaszło jej w gardle.

- Szukasz czegoś?

Niski głos Briga sprawił, że łomoczące serce Cassidy zaczęło bić jeszcze mocniej. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi oparty o belkę podtrzymującą spadzisty dach ganku starej kuchni.

- Co ty tutaj robisz?

- To chyba ja powinienem cię o to zapytać.

Odgarnęła włosy z twarzy. Próbowała zachować się z godnością.

- Zachciało mi się wybrać na przejażdżkę.

- I zrobiłaś to?

- Tak! Skoro nikt nie chce mi pozwolić jeździć na moim koniu...

- Bo nie umiesz nad nim zapanować.

- Umiem!

- Nie wydaje mi się. - Uśmiechnął się szeroko i zaświecił białymi zębami, doprowadzając ją do wściekłości.

- Chyba go przestraszyłeś. - Wiedziała, że nie ma racji, ale się z nim droczyła, bo straciła panowanie nad upartym koniem.

- Tak, rzeczywiście. - Brig ryknął śmiechem. Cassidy usłyszała brzęk uprząży. Przez krótką chwilę pomyślała, że Remmington wrócił. Zobaczyła kasztanowego wałacha przywiązanego do słupka przy starej studni.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Jechałem za tobą.

- Co? - Jej serce waliło jak oszalałe. Brig odsunął się od słupa i podszedł do niej.

- Należało ci się. Szpiegowałaś, Cass. - Jej imię zabrzmiało znajomo w jego ustach. Stał tuż przed nią. Nagle poczuła się jak szczeniara.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie szpiegowałam.

- Szpiegowałaś. Zobaczyłaś mnie z Angie przy basenie i różne myśli przyszyły ci do głowy.

Dobry Boże, on chyba nie słyszy, jak łomocze mi serce? Chciała zaprzeczyć, powiedzieć mu, że się myli, ale

słowa uwięzły jej w gardle.

- Ja... ja nie...

- Nie kłam, Cass. To nie w twoim stylu.

Na wzgórzu wiał gorący wiatr, który poruszał trawę. Gdzieś w gęstwinie drzew cicho zahukała sowa. Odpowiedziało jej tylko rzenie konia. Remington! Powinna pójść i spróbować go złapać, ale była zahipnotyzowana polami ozłoconymi blaskiem księżyca, nocnymi cieniami i Brigiem McKenziem.

Westchnęła.

- Dobrze, więc cię widziałam.

- I się wściekłaś.

- Nie.

- Óóó. - Przycisnął twardy palec do jej ust i zaprzeczył ruchem głowy. - Znowu kłamiesz. - Powiedział to tak cicho, że ledwie usłyszała jego słowa.

- Ale skąd ty...

Wpatrywał się w nią przeciągle i uporczywie.

- To dziwne. Poczulem, że ktoś nas obserwuje. Pomyślałem, że to Willie. Wiesz, że zawsze się kręci koło domu. Albo że twój stary sprawdza córkę. Coś wisiało w powietrzu. A zresztą nie wiem, do cholery. Ale usłyszałem, jak uciekasz. Potknęłaś się i zakłęłaś pod nosem.

- Nie odezwałam się ani słowem.

- Tak? - Jego palec przesunął się powoli, kreśląc kontur jej ust. Zaczęło ją ścisnąć w dole brzucha.

Bezwiednie oblizła wargi i dotknęła językiem opuszki jego palca. Smakowała tytoniem. Przez chwilę nie poruszył się, tylko patrzył na nią, mrużąc oczy w blasku księżyca.

- Co ci do tego, że jestem z twoją siostrą?

Zatkało ją.

- Ja nie...

Odchylił głowę. Wiedziała, że znowu wpada w pułapkę kłamstwa, żeby ratować swoją godność i dumę.

- Ja... ja chyba... Nie podoba mi się, że ona tobą manipuluje.

- Nie musisz się tym martwić.

- Nie znasz jej.

- Może jeszcze nie. Ale poznam.

Serce Cassidy ścisnęło się.

- Zrani cię i wykorzysta, i...

- Nie sądzę. - Opuścił rękę, a jego wzrok jakby trochę złagodniał. - Jeszcze raz pytam. Co cię to obchodzi?

- Po prostu nie lubię, gdy próbuje owijać mężczyzn wokół palca.

- Nie owinęła mnie wokół palca.

- Jeszcze nie.

- Poprosiła mnie, żebym z nią poszedł na to wielkie przyjęcie u sędziego Caldwell.

- Słyszałam. Powiedziałeś, że pójdziesz.

Uśmiechnął się nieśmiało.

- Ja i Sędzia. Cofamy się w czasie.

Cassidy słyszała historię, oczywiście to były plotki, o dziecku młodości Briga. Kiedyś omal nie zabił brata strzałem z pistoletu. Chłopcy myśleli, że nie jest naładowany. Do tej pory Chase ma na ramieniu ślad od kuli. Mały rewolwer, który niechcący zostawił u Sunny któryś z jej przyjaciół, oddano właścicielowi. Krążyły też inne opowieści. Ale z jakichś powodów Brig nie został oskarżony.

- To chyba nie jest dobry pomysł, żebyś poszedł tam z Angie - wyrzuciła z siebie niespodziewanie.

- Nie? - Brig zacisnął pięść i uniósł nią jej podbródek. Patrzyła mu w oczy. - A dlaczego nie? Bo nie pasuję?

- Nie o to chodzi. - Prawie nie mogła oddychać. Noc obejmowała ich coraz mocniej.

- A o co? - Spuścił głowę. Był teraz bliżej niej i wpatrywał się w nią tak uporczywie, że Cassidy miała wrażenie, że zaczyna płonąć. - Może jesteś zazdrosna?

- Nie - wyszeptła i uśmiechnęła się.

- Znowu kłamiesz, Cass. Chyba ci mówiłem, że to do ciebie nie pasuje?

Cassidy wiedziała, że ją pocałuje, ale nie była przygotowana na to, że jego usta delikatnie dotkną jej warg. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Był tak blisko niej. Pachniał ziemią i sobą.

Mruknął, chwycił ją mocno i przyciągnął gwałtownie do swojego napiętego ciała. Usta, które były tak czułe, stały się dzikie. Skronie Cassidy zaczęły pulsować. Brig wsunął koniec języka między jej zacisnięte wargi i rozchylił jej usta. Jęknął i przyciągał jej spragnione ciało do swojego. Piersi Cassidy spłaszczyły się, gdy dotknęły twardej ściany jego klatki piersiowej.

Serce waliło jej jak młotem, a krew zaczęła wrzeć. Wcale się nie zdziwiła, kiedy klęknął i popchnął ją na ziemię. Jego pocałunki stały się niecierpliwe. Wodził językiem po jej podniebieniu. Dreszcz podniecenia przebiegł Cassidy aż po końce włosów.

- Cass - wyszeptał Brig w jej otwarte usta.
Swobodnie przesunął dłońmi po swetrze dziewczyny i wsunął je pod spód. Dotknął kciukiem małej brodawki. Westchnęła. Miała wrażenie, że żołądek przywarł jej do kręgosłupa.

- Tego chciałaś? - Do kciuka dołączyły pozostałe palce. Delikatnie zaczął miętosić mały wzgórek. Nie mogła odpowiedzieć. Bała się nawet oddychać. Podniósł jej sweter, zdjął go przez głowę i odsłonił piersi Cassidy. Zamknęła oczy w bladym świetle księżyca.

Poczuł pod palcami łańcuszek z medalikiem świętego Krzysztofa.

- Ciągle go nosisz?
- Zawsze.

Wziął do ręki płaski krążek, który błysnął w blasku księżyca. Położył go między jej piersiami, przyciskając wytłoczoną powierzchnię do skóry. Zamknął oczy i potrząsnął przecząco głową, jakby chciał przywołać się do porządku. Jakby miał zamiar przestać. Cassidy z łomoczącym sercem przyciągnęła jego twarz do swojej i pocałowała go. Niecierpliwie wciskała do jego ust niedoświadczony język. Jęknął w proteście.

- Cassidy...
Przesunęła palcami po miękkim materiale koszuli Briga, instynktownie szukając płaskich brodawek.

- Nie... - wyszeptał.
- Proszę...
- Nie wiesz, o co prosisz.
- Wiem, że jestem z tobą. - Pocałowała go mocno. Zareagował, poddając się swojemu ciału. Szorstkie dłonie przesuwały się pewnie po jej skórze. Przeszedł ją dreszcz po kręgosłupie, wzniecając w niej ogień. Czarny słodki ogień, który on tak dobrze znał.

- Powiedz mi, żebym przestał, Cass... - Nie przestawał jej dotykać, wywołując w niej błogie uczucie. - Na miłość boską. - Objął ją i pociągnął do góry, odrywając jej plecy od ziemi. Zaczął drażnić brodawkę jej piersi końcem języka. Przeszył ją dreszcz. Jęknęła, czując na wilgotnej skórze gorący oddech chłopaka. Wygięła się, gdy ujął wargami jej pierś i zaczął ją smakować i łakomie ssać.

Cassidy przyłgnęła do niego. Zanurzyła palce w gęstych włosach Briga. Głęboko między nogami zaczęło się w niej budzić dziwne pragnienie.

Świat wirował. Brig jeszcze mocniej przycisnął do siebie jej pośladki. Wyczuła sztywny wzgórek pod jego rozporkiem. Miękki, znoszony dzins nie był w stanie ukryć jego podniecenia. Ocierał się o jej spodnie.

Wsunął jedną rękę przez nogawkę szortów. Poczuł materiał majtek. Ułożył się tak, żeby móc wsunąć palec pod cienką tkaninę.

Cassidy zaschło w gardle. Krzyknęła, kiedy rozchylił palcami jej intymność, badając ją i dotykając. Przyciągnęła do siebie jego głowę. Zaciśnięła zęby na jej brodawce, jednocześnie dotykając tej części jej ciała, o której istnieniu do dziś nie wiedziała. Świat wokół wirował coraz bardziej. Brig ją dotykał, a ona poruszała się w rytm jego dłoni. Dyszała. Trzymała go mocno. Krew w niej kipiała. Myślała tylko o tym, żeby poruszać się z nim. Miała wrażenie, że wybuchnie. Brig nie przestawał. Zanurzał w niej palec i wyciągał, liżąc jej ciało.

- Co za dziewczyna... - wyszeptał w jej brodawkę. Oddychała szybko. - Dalej.
- Brig..
- Już, kochanie. Dobrze. Jestem tutaj.

Ciałem Cassidy wstrząsnęły konwulsje. Ziemia się pod nią zakręciła. Miała wrażenie, że się roztapia. Gwiazdy migotały jej przed oczami.

- Boże... - wyszeptała. Poczuła, że Brig wycofuje rękę. To, co było rozpalone do czerwoności, stało się lodowate.

- O Boże, o Boże... - Nagle wszystko się skończyło. Oddychała nierówno. Brig, klnąc, odsunął się od niej. Pozostawił ją bez tchu.

- Brig? - Jej serce powoli się uspokajało. Usłyszała, że zapala zapałkę. Patrzyła, jak płomyk oświetla jego twarz.

- Jesteś dziewczicą. - Zaciągnął się papierosem, którego koniec błyszczał w ciemności.

Dlaczego to zabrzmiało jak obelga?
- Przecież mam szesnaście lat.
- Do diabła. - Otarł czoło i wydmuchnął kłęb dymu.
- Wiedziałaś, ile mam lat.

Palili w milczeniu. Cassidy poczuła się niezręcznie. Jakby go zawiodła.

- Ubierz się, dobrze?
Spojrzała na swoje piersi. Brodawki były większe niż normalnie. Zrobiło jej się wstyd. W porównaniu z Angie jej piersi były takie małe i... Ze złością wciągnęła sweter.

- Czego ode mnie chcesz?
- Niczego!
- Niczego? Po tym, co się stało?
- Nic się nie stało.
- Jak możesz tak mówić po... - załamał jej się głos.

- Doszłaś. Wielka rzecz.
Była w szoku. Więc to się stało? Doszła? Miała orgazm?

- Ale... ale ty nie. - Wiedziała dostatecznie dużo o ogierach i bykach i o tym, co robili mężczyźni. Wiedziała, że w jakimś sensie Brig sobie przeczy. A może nie chciał tego z nią zrobić.

- Słuchaj, Cass, jeżeli będziesz podniecona, możesz sama sobie ulżyć. Nie potrzebujesz mnie.

- To znaczy...? - Odsunęła się zgorszona.

- To nic takiego. - Wstał, otrzepał ręce i wytarł je w spodnie.

- Ja nie chcę...

- No to nie. To nie moja sprawa. - Przyglądał się jej. Wykrzywił usta z niesmakiem. - Możemy wracać? - Rzucił papierosa na pniak i zgasił go czubkiem buta. - Chyba powinniśmy znaleźć twojego konia.

- I zapomnieć o tym, że prawie...

Wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać.

- Powiedziałem ci już, że nic się nie stało. Nic wielkiego. Trochę mnie poniosło. Pomyślałem, że przynajmniej powinnaś spróbować, jak to jest.

- Bzdura! Ty też to czułeś!

- Czułem to z wieloma dziewczynami.

- Nie wierzę ci.

- Również z twoją siostrą.

Cassidy myślała, że szloch rozedrze jej gardło. Odskoczyła od niego.

- Jak możesz! - krzyknęła. - Teraz. Teraz, kiedy dopiero...

- Widziałaś nas przy basenie.

- Ale...

- Powinnaś postać dłużej, to byś sobie popatrzyła. - Gorzki grymas wykrzywił jego usta. - Może byś się czegoś nauczyła. Twoja siostra jest naprawdę gorąca.

Sapiąc, Cassidy odchyliła się i uderzyła go w twarz z taką siłą, że aż echo poniosło.

Chwycił ją za ręce i podniósł je nad głowę dziewczyny.

- Nie bij mnie - ostrzegł. Jego twarz nabrała dzikiego wyrazu. - I niech ta noc będzie dla ciebie nauką. Nie dawaj tego za darmo byle komu.

- Nie dam.

- Ale prawie to zrobiłaś.

Podniosła głowę.

- Myślałam, że nic się nie stało.

Parsknął.

- Tylko dlatego, że jestem tak cholernie szlachetny.

- Kocham cię!

Zamarł. Nad osłoniętą nocą ziemią zaległa głucha cisza. Cassidy patrzyła Brigowi prosto w oczy.

- Cassidy - odezwał się łagodniej. - Spróbuj nie mieszać pożądania z miłością. Ty... chciałaś przeżyć i zobaczyć, jak to jest się z kimś przespać. I nic w tym złego, o ile nie stanie się to obsesją jak u twojej siostry. Ale, do cholery, nie możesz mówić facetowi, że go kochasz tylko dlatego, że wsadził ci rękę w majtki.

- Nie pozwoliłabym na to nikomu, gdybym go nie kochała.

- Do licha...

- Kocham cię, Brigu McKenzie, i bardzo mi przykro z tego powodu. - Spuściła oczy. Brig potrząsnął głową. Jego twarz nie była już tak surowa, ale w oczach pojawił się cień smutku.

- Nie kochasz mnie, a ja nie kocham ciebie, i nigdy, nigdy więcej nie będziemy już o tym rozmawiać. - Powoli opuścił jej ręce. - To, co się stało przed chwilą, już się nie powtórzy. Popełniłem błąd. Myślałem, że robię ci przysługę...

- Cholerną. Pragnąłeś mnie!

- Tylko dlatego, że facet się podnieca...

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go z nową pasją, która zrodziła się z rozpacz. Próbował się od niej uwolnić, zanim będzie za późno.

- Kocham cię, Brig.

Jego ciało napięło się, ale jej nie odepchnął. Odpowiedział na pocałunek. Objął ją i przyciągnął do siebie. Ciało przy ciele, serce przy sercu. Podał się z jękiem i pociągnął ją na ziemię.

- Nie! - wrzasnął, odpychając ją od siebie tak, że prawie się przewróciła. - Nie rozumiesz, Cassidy? To jest nieuczciwe. Ty jesteś jeszcze trzpiotem, a mnie zatrudnił twój ojciec na okres próbny. - Wskoczył na konia, chwycił wodze i spojrzął na nią przez ramię. - Jedziesz?

Ze wstydu paliły ją policzki. Ścisnęła ją w gardle, łyzy cisnęły się do oczu. Zachowała resztki godności i kiwnęła głową.

- Dobrze. - Podał jej wodze do rąk. - Jedź do domu i idź spać. Ja poszukam Remmingtona.

- Nie, ja...

- Nie bądź głupia, Cass. Inaczej nam się nie uda. Zaciśnęła palce na miękkich skórzanych paskach. Straszliwie ponizona wsiadła na konia. Spojrzała na Briga.

- Wiesz, Brig, możesz mówić, co chcesz i myśleć, co ci się podoba, ale ja cię kocham i chyba zawsze będę cię kochać.

Popatrzył na nią, ale się nie odezwał.

Koń odwrócił się i zarżał.

- I na przyszłość proszę cię: nie wyświadczać mi już żadnych przysług!

6

Choć słońce jeszcze nie wzeszło, na odległej farmie na wzgórzach zapał pierwszy kogut. Świt wstawał powoli, odsłaniając na wschodzie grzbiety gór. Koń był śmiertelnie zmęczony. Stał w rogu pola z nisko spuszczoną głową i strzygł uszami.

- Ty żałosny sukinsynu - wymruczał Brig. Zwykle lśniąca skóra Remmingtona była brudna, a oczy miał dzikie. - Twoje szczęście, że nie mam broni, bo bym cię własnoręcznie zastrzelił i poszedłbyś na karmę dla psów!

Remmington parsknął wyzywająco.

- Tylko się rusz, a przysięgam, że cię dopadnę i zabiję.

Koń był zmordowany. Brig bez trudu chwycił lejce i dosiadł ogiera. - Może następnym razem porządnie się zastanowisz, zanim uciekniesz. Nie jesteś wart tyle zachodu.

Brig klasnął, spiął konia piętami i pomyślał, że wiele mają ze sobą wspólnego. Obaj byli zbuntowani, zawsze gotowi sprzeciwić się tym, którzy mieli nad nimi władzę. Koń truchtem mijał pola. Chłopak chciał wrócić, zanim Mac i pozostali robotnicy zjawią się w pracy.

Gdy Brig dotarł do wybiegu przy stajni, dostrzegł światło w wielkim domu. Pewnie kucharz i służący byli już na nogach, żeby przygotować wszystko na nadchodzący dzień dla ich wysokości Buchananów. Zaraz na dziedziniec wjedzie Mac. Chociaż Brig pracował cały dzień i nie zmrużył oka przez całą noc, będzie musiał przepracować kolejnych osiem, dziesięć albo dwanaście godzin.

Ale nie to było najgorsze. Zastanawiał się, jak spojrzy Cassidy w oczy. To było nie lada wyzwanie. Zeszłej nocy zachował się jak idiota. Pozwolił, żeby emocje wymknęły mu się spod kontroli. Wcale nie zamierzał jej całować ani dotykać, ani tym bardziej pozbawić dziewictwa. Ale Bóg mu świadkiem, że nie był w stanie się powstrzymać. Tak mało brakowało, a przecież ona ma tylko szesnaście lat i jest zepsuta, bogatą córką jego szefa.

Dziwnie go pociągała. Była dzieciakiem, który nie ma zielonego pojęcia o mężczyznach i o seksie. W przeciwieństwie do Angie. Zaciśnął zęby i skarcił się za to, że tak go podniecają kobiety Buchanan. A raczej dziewczęta. Chociaż krzykliwa zmysłowość Angie budziła w nim niesmak, nie mógł się jej oprzeć.

Boże, gdyby Chase go teraz widział!

Nigdy nie przypuszczał, że będzie miał takie problemy z kobietami. Uwodzi go dziewczyna, która ma największe powodzenie w Prosperity, a jego pociąga jej zadziorna młodsza siostra. Czy on jest normalny?

Nie zapalając światła, wprowadził Remmingtona do stajni. Wyczuł, że ktoś tam jest. Pewnie Willie. Mieszkał w pokoju nad stajnią.

- Co ty tu robisz tak wcześnie? - Brig wyciągnął rękę po wiadro, żeby nalać koniowi wody.

- Ty draniu! - Dostał pięścią w twarz.

Odechylił głowę. Poczul potworny ból szczęki. Splunął na ścianę. Ledwie oddychał. Instynktownie zaciśnął pięści

- Co jest, do cholery...? - Odwrócił się na pięcie. Nie przyszedł jeszcze do siebie, gdy dostał drugi raz. Mężczyźnie strzeliło w palcach. Brig znowu zarobił w szczękę. Z hukiem upadł na podłogę. Instynktownie odwrócił się do drzwi.

- Trzymaj się od niej z daleka!

Gdy oczy Briga oswoiły się z ciemnością, rozpoznał Derricka. Miał czerwoną, wykrzywioną z wściekłości twarz. Z jego oczu wyzierała nienawiść. W powietrzu czuć było zapach whisky.

- Słyszałeś, McKenzie? Trzymaj fiuta z daleka od mojej siostry!

Przed oczami stanął mu obraz Cassidy.

- Ja nie...

- Widziałem cię, bydlaku. Przesadziłeś. - Chciał kopnąć Briga, ale tym razem chłopak był na to przygotowany. Chwycił Derricka za wypastowany but i mocno wykręcił mu nogę.

- Au! - Derrick stracił równowagę i z hukiem runął na ziemię. Uderzył głową o ścianę. - Zabiję cię! - ryknął. - Obetnę ci jaja!

Konie zarżały. Brig pomógł Derrickowi się podnieść. Buchanan sięgnął do kieszeni. Z głośnym trzaskiem otworzył scyzoryk, który złowieszczo połyskiwał w ciemności.

Brig zamarł.

- Najpierw wytrzeźwiej, Buchanan - poradził mu Brig, ocierając krew, która poszła mu z nosa. Nie spuszczać oczu z noża, obserwował, jak Derrick próbuje utrzymać się na nogach. - Bo inaczej zrobisz mi krzywdę.

- Że co? - Derrick uśmiechnął się złośliwie. - No to spróbuj, McKenzie! Tylko spróbuj!
- Daj spokój, Derrick.
- Byłeś z nią? Włożyłeś jej łapę w majtki...
- Zamknij się! - Brig poczuł wyrzuty sumienia.
- Wiem. Widziałem cię. Nie tylko zresztą ja. Półgłówek też cię widział. Wygadał się. - Derrick machnął nożem. - Ty przeklęty bękartie z tej indiańskiej dziwki! Trzeba cię nauczyć porządku, mieszańcu! - Skoczył do przodu, ale Brig był na to przygotowany. Stojąc pewnie w rozkroku, sięgnął do kieszeni po swój nóż.

Derrick przeszył nożem powietrze. Brig uchylił się, ale dopiero, gdy ostrze rozdarło mu koszulę i drasnął go koniec scyzoryka. W jednej chwili wskoczył Derrickowi na plecy i przytknął mu nóż do gardła.

- Ty gnoju! - Zwinnym kopnięciem podciął Derricka. - Boże!
Przeważył go i powalił na ziemię. Przyciskał go do podłogi, nie odrywając noża od gardła.
- Ty nadziany bydlaku, nigdy więcej nie powiesz...
- Co tu się, do cholery, dzieje? - Drzwi stajni otworzył się szeroko. Włącznik prądu pstryknął i nagle pomieszczenie zalało drgające, jaskrawe światło. Do środka wpadł Mac. Na jego śniadej twarzy malowała się wściekłość.

- Nie mówiłem ci, McKenzie, że nie chcę kłopotów?
- Ten bydlak próbował mnie zabić! - jęknął Derrick.
- Złaż z niego!
Brig zawahał się.
- Dalej, McKenzie! Ruszaj się!
Brig zamknął scyzoryk, zszedł z Derricka i schował nóż do kieszeni. Grzbietem dłoni otarł krew z kącika ust i wytarł rękę w koszulę.

Derrick podniósł się. Czuć było od niego alkoholem i dymem.
- Skoczył na mnie, gdy przyszedłem sprawdzić, co z końmi.
- To prawda? - Mac zmrużył oczy, jakby badał, czy Derrick nie kłamie. - A od kiedy to obchodzą cię zwierzęta?
- Przecież muszę doglądać dobytku. Kiedyś to wszystko będzie moje.
- Jedzie od ciebie jak z gorzelni.
- Wypiłem kilka drinków. I co z tego? Ten sukinsyn tu na mnie czekał. Skoczył na mnie od tyłu.
- Tak było, McKenzie? - Mac spojrzał na koszulę Briga, odstłonił rozerwany materiał i zmarszczył czoło na widok zakrwawionego zadrażnienia na piersi.

Brigowi nie pierwszy raz zdarzyło się coś takiego, więc się tym nie przejął.
- Było tak, jak powiedział, tylko nie do końca. To on mnie napadł.
- Kłamiesz, bydlaku! Wiesz, jak było!
- Zamknij się, Derrick. Niech opowie swoją wersję. - Mac nie dawał się nabrać na żadne bzdury. Wlepił oczy w Briga. - Co tu robiłeś o tej porze?

Mógł skłamać i powiedzieć, że przyszedł wcześniej do pracy, ale Derrick znał prawdę, bo widział go z koniem. Poza tym jego motor nie stał tam, gdzie zwykle i miał na sobie te same ciuchy, w których pracował poprzedniego dnia. Ale gdyby powiedział prawdę, wpędziłby w kłopoty Angie i Cassidy.

- Koń Cassidy zgubił się zeszłej nocy. Trochę trwało, zanim go znalazłem.
Zmarszczki na twarzy Maca pogłębiły się.
- Gdzie się zgubił?
- Na północnym pastwisku, przy starym tartaku. Cassidy dręczyła mnie, że chce się na nim przejechać. Chciałem najpierw sprawdzić, czy już może. Ale koń natknął się na węża i mnie zrzucił. Szukałem go przez całe dziewięć godzin.

- Zgubiłeś konia wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - Mac nie dawał za wygraną.
- Ale go znalazłem. Całego i zdrowego.
- Rany boskie! - Mac zdjął kapelusz i przeczesał włosy sztywnymi palcami.
- Tak to właśnie jest, kiedy się zatrudnia pieprzonego brudasa - warknął Derrick. - Nawet nie umie się utrzymać w siodle. McKenzie, co z ciebie za pracownik?
- Dość tego! - W stajni rozległ się głos Reksa Buchanana. Usta Derricka wykrzywiły się nienaturalnie. - Co tu się, na miłość boską, dzieje? Robicie taki hałas, że obudzilibyście martwego. Matko Najświętsza! Spójrz na siebie! - Rex zobaczył syna. Derrick był rozczochrany, a od tarzania się po ziemi do włosów poprzyklejały mu się pajęczyny, piach i gnój. Podbite oko zaczynało mu sinieć. - Co się stało? - Spojrzał na Briga i zamarł. - Derrick?
- Napadł na mnie, gdy wszedłem do stajni.

Rex zmarszczył brwi.
- To prawda, McKenzie?
- Było dokładnie odwrotnie.
Mac przypatrywał się chłopakom.
- McKenzie twierdzi, że zgubił wczoraj konia Cassidy i całą noc go szukał. Gdy wrócił, w stajni czekał na niego

Derrick.

- Wierzysz mu? - spytał Maca Rex.

Majster spojrział na Briga, potem na Derricka, a potem znowu na Briga.

- Któryś z nich kłamie. - Podrapał się w brodę. - McKenzie nie jest głupi i nie sądzę, żeby ryzykował tyłkiem i napadał na pana syna. Derrick trochę wypił i...

- W porządku, wyżyłem się na nim - przyznał ze złością Derrick. - Ale sobie zasłużył. Widziałem go z Angie, tato. Całował ją i dotykał i, do cholery, mógł już...

- Nawet tak nie myśl - warknął Rex, ale jego oczy zrobiły się czarne jak noc, a usta zbieleły mu z wściekłości. - Co masz na swoje usprawiedliwienie? Dałem ci pracę, powierzyłem ci najcenniejsze konie, a ty co? O mało nie straciłeś zrebaka Cassidy.

- To się zgadza.

- A moja córka? - drążył Rex.

Brig pomyślał o Cassidy. Nie mógł opanować pożądania i niewiele brakowało, żeby ją wziął. Mało nie uległ żądzy i wiele go kosztowało, żeby się z nią nie kochać. Kiedyś by go nie powstrzymało to, że była dziewicą. Po raz pierwszy w życiu poczuł szczerze wyrzuty sumienia z powodu kobiety.

- Przespałeś się z Angie? - Głos Rekxa był zimny i szorstki.

- Nie. - Brig patrzył mu prosto w oczy.

- A dlaczego niby mam ci wierzyć?

- Może pan nie wierzyć. Ale powinien mieć pan więcej zaufania do córki.

- To nie jest odpowiedź na pytanie. - Twarz Derricka była sina z nienawiści. - Powinienem ci odciąć ten kłamliwy język, a potem oderznąć jaja.

- Dość! - Rex tak mocno popchnął syna do ściany, że wiadro, które wisiało na wieszaku przy drzwiach, spadło na podłogę. - Zmień słownictwo i idź się wyspać. - Rex pchnął Derricka w stronę drzwi. - A ty, Mac, zostaw nas samych. To sprawa osobista.

Mac skinął głową i wyszedł ze stajni. Brig został sam z człowiekiem, który dał mu pracę i który pomagał jego rodzinie, gdy inni się od nich odwrócili. Z mężczyzną, który ubóstwiał swoje córki.

Z oczu Rekxa biła wściekłość. Drgały mu nozdrza. Grubym kciukiem dotknął brody Briga.

- Nigdy, przenigdy więcej nie waż się do niej zbliżyć. Słyszałeś? Dałem ci pracę, bo myślałem, że jej potrzebujesz. Dobrze ci idzie z końmi. Ale jeśli tylko dotkniesz Angie, przysięgam, że sam obetnę ci jaja.

W stajni zrobiło się bardzo duszno, choć dopiero zaczynało dzień i świt nieśmiało sączył się przez otwarte drzwi, rozjaśniając plecy najważniejszego człowieka w okręgu.

- Bierz się do roboty. Ale pamiętaj. Będę cię miał na oku. Nawet, gdy nie będziesz o tym wiedział. I możesz mi wierzyć, że lepiej nie mieć ze mną do czynienia. - Zaciskając zęby, wyszedł ze stajni. Brig czuł niesmak. Wiedział, że od tej pory, jeśli coś stanie się na ranchu, winny będzie on.

Cassidy nie mogła zasnąć. Myślała o Brigu i o tym, co się stało. Wywołał w niej podobne podniecenie jak jazda na oklep na Remmingtonie, a jednak trochę inne. Zaparło jej dech w piersiach, zupełnie jakby przejechała galopem kilometry. Krew w niej wrzała. Przenikał ją dreszcz do szpiku kości.

Stała nago przed lustrem. Miała smukłe, ładnie zbudowane ciało, szczupłe biodra, małe i jędrne piersi. Przekrzywiła głowę i przyglądała się sobie krytycznie. Zastanawiała się, co on w niej widzi. Była przecież chudym trzpiotem, który w ogóle nie przypomina kobiety. Wprawdzie miała dosyć szczupłą talię i płaski brzuch, ale gdyby nałożyła czapkę baseballową, dzinsy i luźną koszulę flanelową, nikt by się nie domyślił, że jest dziewczyną.

Ale Brigowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. A może? Może tylko była łatwą namiastką Angie? Nagle wydało jej się, że lustrzane odbicie z niej szydzi. Poczula się jak idiotka. Chwyciła ubranie i próbowała zapomnieć o tym, że brodawki jej piersi kurczyły się, gdy myślała o pocałunkach Briga i o tym, że obudziło się w niej nowe, ciepłe pragnienie.

- Cassidy? - W hallu rozległ się głos Angie. Cassidy szybko wciągnęła majtki, założyła biustonosz i wskoczyła w dzinsy wranglera. - Mogłabyś tu przyjść na moment?

- Chwileczkę! - Włożyła ręce w rękawy ulubionej koszulki i przelożyła ją przez głowę.

- Musisz mi pomóc.

- Dobra.

- No, chodź...

Boso pobiegła do pokoju Angie. Siostra siedziała na parapecie z wyciągniętymi rękami. Palce miała pooddzielane kawałkami waty. Na jej paznokciach sechł błyszczący lakier brzoskwiniowego koloru.

Ona też nie była ubrana. Miała na sobie tylko koronkowy stanik i figi. Piersi wylewały się z czerwonego biustonosza. Jej skóra była brązowa. Angie nie miała tak płaskiego brzucha jak Cassidy, za to bardziej kobiece kształty.

- Dzięki. Nie zawracałabym ci głowy, ale muszę się wyszykować. Felicity nie ma, a twoja matka nie lubi mnie na tyle, żeby mnie czesać.

- Lubi cię... - Angie ucięła kłamstwo ostrym spojrzeniem.
- Obie wiemy, że za mną nie przepada. To nic. Ale nie będę prosić, żeby mnie czesała. - Uważając na paznokcie, wstała i podeszła do toaletki. W lustrze dostrzegła spojrzenie Cassidy. - Wiem, że moje włosy to moja sprawa, ale czy mogłabyś zapleść mi warkocz. Francuski. Nie pomyślałam i najpierw pomalowałam paznokcie. Mam jechać do miasta z Felicity.

- Nie wiem, czy umiem.

- Proszę cię. Wiesz, że nie zawracałabym ci głowy, ale... Jesteś mi potrzebna. - Angie miała szeroko otwarte oczy.

Cassidy przeszła przez biało-różowy pokój. Koronkowe zasłony idealnie pasowały do baldachimu zabytkowego łoża. Narzutę z surowego jedwabiu w odcieniu zgaszonego różu zdobiły haftowane poduszki, które doskonale komponowały się z zasłonami. Na ścianie wisiał portret Angie z matką. Roczna dziewczynka siedziała na kolanach Lucretii. Miała czarne kręcone włosy i niebieskie oczy i była uroczym dzieckiem. A dwudziestokilkuletnia Lucretia była piękną kobietą. Miała takie same oczy i włosy jak Angie. Przez lata portret wisiał w gabinecie ojca, ale Dena zrobiła remont i wyrzuciła obraz. Wzięła go Angie i, mimo protestów Deny, powiesiła na widocznym miejscu w pokoju.

Angie miała rację. Dena nie przepadała za przybraną córką, która była żywą kopią ukochanej pierwszej żony Reksa.

W oszklonej szafce dumnie prezentowała się kolekcja lalek Angie. Od Charty Cathy i Betsy Wetsy do całej serii lalek Barbie. Angie miała wszystkie wyprodukowane do tej pory modele. Chińskie laleczki uśmiechały się ręcznie malowanym uśmiechem, a szmaciane przytulanki z plastikowymi głowami mrugały oczami. Były nawet lalki, które płakały i susiały, zależnie od nastroju właścicielki. Ale Angie najbardziej lubiła Barbie. Stały dumnie na przedzie półki, ubrane w suknie balowe, kostiumy kąpielowe, stroje sportowe, sukienki wieczorowe i nieodłączne pantofle na szpilkach. Wielu kształtnym lalkom towarzyszyli plastikowi mężczyźni - Kenowie w smokingach, garniturach i ciuchach sportowych. Wszyscy się uśmiechali, bo byli doskonale przygotowani na swoją randkę marzeń.

Cassidy rzuciła okiem na lalki z wydatnym biustem, szczupłą talią i długimi nogami. Nigdy nie cierpiała Barbie. Kena też nie.

- Pośpiesz się. Nie ma czasu. - Angie odgarnęła włosy na plecy.

- Nie lubię tego.

- Wiem, ale najwyższy czas, żebyś zaczęła przykładać wagę do kobiecych spraw...

- Jak te? - Cassidy spojrzała na lalki.

- Mogłabyś się od nich wiele nauczyć.

- Lepiej nie. - Zanurzyła palce w gęstych włosach Angie. - Nie wiem, czy potrafię to zrobić tak, jak byś chciała...

- Wyobraź sobie, że jestem koniem i że czeszesz mi ogon. - Na twarzy Angie malowała się pogarda. - Wiesz, Cassidy, życie nie kręci się tylko wokół stajni. Byłabyś całkiem ładna, gdybyś choć trochę zadbała o siebie. Jeżeli chcesz, to ci pomogę. Pożyczę ci szminek i lakier do paznokci. Mogę cię też uczesać.

- Dziękuję, ale...

- Nie chcesz, żeby chłopcy zwracali na ciebie uwagę?

Tylko Brig.

- Nie obchodzi mnie to.

- Dziwna jesteś.

- Chcesz, żebym cię uczesała, czy nie?

- Jasne. - Angie była rozdrażniona. - Po to cię zawołałam.

- To nie praw mi kazań. Jestem zadowolona z mojego wyglądu. - Niezupełnie było to zgodne z prawdą, ale Cassidy nie miała zamiaru upodabniać się do siostry ani do plastikowego tworu firmy Mattel.

- W porządku - burknęła Angie i zagryzła dolną wargę. W jej oczach pojawił się tajemniczy cień rozpacz, którego Cassidy starała się nie zauważać. - Próbowałam ci tylko pomóc, ale jak nie, to nie. Zabierz się do czesania.

Cassidy zacisnęła zęby i wzięła do ręki grzebień. Zręcznie przebierała palcami i wkrótce na plecach Angie pojawił się lśniący czarny warkocz. Cassidy związała go na końcu gumką.

- Już. Też się do ciebie zgłoszę po przysługę.

- Po dwie. - Angie przechyliła głowę i dotknęła szczotką grzywki. - Jeżeli już o tym mowa, to dwie. Pomogłaś mi wczoraj wieczorem, pamiętasz?

Cassidy ugryzła się w język.

- Tak, racja - przytaknęła z poczuciem winy.

- Naprawdę. Gdyby tata przyłapał mnie z Brigiem, obdarłby nas żywcem ze skóry.

- Pewnie. - Cassidy przypomniała sobie magiczny dotyk dłoni Briga i jego zaborcze wargi. Jej wnętrzości zaczął trawić płomień pożądania. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego dziewczyny ryzykowały i były gotowe narazić na szwank swoją reputację, żeby być z chłopakiem. Ona też zrobiłaby dla Briga wszystko. Odwróciła się i zobaczyła, że Angie ma na piersi siniaka. Choć częściowo zakrywał go czerwony jedwabny stanik, nie można go było nie

zauważyć. Cassidy domyśliła się, że to malinka i ścisnęło ją w żołądku. Ktoś tak mocno ssał piersi Angie, że zostawił ślad na delikatnej skórze.

Cassidy poczuła, że krew odpłynęła jej z twarzy.

Angie tego nie zauważyła. Pochyliła się i zaczęła dmuchać na paznokcie. Wtedy Cassidy dostrzegła następny siniak, na wewnętrznej stronie uda. Może po prostu się uderzyła? A może ten idealnie okrągły ślad zostawiły wargi Briga, który z dziką pasją ssał skórę Angie?

Zebrało jej się na wymioty.

- Dzięki wielkie! - rzuciła Angie.

Cassidy bez słowa odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, trzymając się za brzuch. Żałowała, że zobaczyła ślady, które mówiły same za siebie. Ale co z tego, że Angie ma malinki? Przecież umawiała się z tysiącami chłopaków.

Tak, ale zeszłej nocy była z Brigiem. Cassidy widziała ją wcześniej, kiedy pływała nago w basenie i wtedy jeszcze nie miała malinek. Wprawdzie było ciemno, ale... O Boże, nie chciała myśleć o tym, że Brig najpierw kochał się z Angie, a potem z nią. To było chore. Pobiegnęła do łazienki i zwymiotowała.

Idiotka! Zrobiła z siebie idiotkę. Brig musi mieć teraz niezły ubaw. Wydało się, że Cassidy jest w tych sprawach kompletnie zielona. Wystarczyło tylko, że jej dotknął, a zaczęła się wyginać, błagając go w milczeniu, żeby zrobił z nią to, co ogiery robią z kłaczami. Zachowywała się jak podniecone zwierzę.

Spuściła wodę, a potem pochyliła się nad umywalką i tak mocno szorowała zęby, że pewnie zdrapała z nich trochę szkliwa.

Poszła do stajni, ale Briga tam nie było. Na wybiegu pasł się Remington. Cassidy miała wrażenie, że wszystko jej się tylko przyśniło. Że to jedynie głupia fantazja nastolatki. Postanowiła, że będzie się zachowywać tak, jakby między nią a Brigiem nic się nie zdarzyło.

- Wyglądasz, jakby cię przekęcili przez maszynkę. A z bliska, to nawet jakby cię przekęcili dwa razy. - Chase, ubrany w wyblakłe dżinsy, w zniszczonych skórzanych rękawiczkach wysypywał żwir na podjazd, zapelniając nim wyrwy. W kąciu ust miał wykałaczkę. Jego skóra świeciła od potu.

Brig zsiadł z motoru. Strzyknęło mu w krzyżu.

- I mniej więcej tak się czuję.

Bolały go wszystkie mięśnie i stawy. Marzył o butelce zimnego piwa i o tym, żeby walnąć się do łóżka tak jak stoi. Gdyby mógł, spałby całą dobę. Może wtedy pozbyłby się gryzącego poczucia winy wobec Cassidy. Może wtedy przestałby marzyć, że leży nago obok niej i kocha się z nią godzinami, przez całą noc. Cholera, podniecał się na samą myśl o niej. Struzka potu spłynęła mu po kręgosłupie.

A co z Angie? Do cholery, co z nią zrobisz?

- Upolowałeś coś w nocy?

Brig zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Zbiegłego kuca. Ten uparty osioł Cassidy mnie zrzucił. - Wykrzywił się i wyprostował rękę.

- Akurat. - Chase przechylił taczki i wytrząsnął z nich żwir, a potem grabiami wyrównał powierzchnię.

- Pomóc ci?

- Już kończę.

- Jednym słowem, wiem, kiedy przyjść.

Chase wsparł się na drążku grabi i podrapał się w brodę.

- Wiesz, widziałem dziś w mieście Angie.

- Tak?

- Tak. - Chase sprawiał wrażenie zamyślnego. Gdzieś zniknęła jego zadziorność. - To straszne, ale muszę przyznać, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- Podoba ci się dlatego, że ma pieniądze - przypomniał mu Brig.

- To jej kolejna zaleta - przyznał Chase. - Ale jej uroda nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. - Uśmiechnął się ponuro, jakby się wstydział tego, że zwraca uwagę na coś więcej niż wszechmocnego dolara. - Boże, chyba nie wiem, co mówię. Zresztą, co tu dużo gadać, jest piękna.

- Jeżeli lubisz kłopoty...

Oczy Chase'a nie były promienne jak zwykle, ale uśmiechał się szeroko, ukazując równe zęby.

- A od kiedy ty nie lubisz?

- Kłopoty bywają różne. Ja mówię o takich, które ciągną się za człowiekiem do grobowej deski. Z Angie Buchanan mogą być takie.

- Pewnie masz rację, ale zrobiłbym wszystko, żeby była moja. - Pociągnął taczki z powrotem i zaczął przerzucać żwir łopatą. Kamyki uderzały o metalowe dno.

Brig wcisnął ręce do dziurawych kieszeni lewisów.

- Chce, żebym z nią poszedł na przyjęcie do Caldwellów.

- Jezu... - Chase zamarł na chwilę, a potem wrócił do pracy. - Pójdziesz?

- Nie wiem.

- Przepuścisz taką okazję? - Chase odstawił łopatę. - Nie możesz, Brig. Musisz pójść.

- Dlaczego?

- Bo poznasz tam wielu ludzi. Może trafisz na kogoś, kto ci poradzi, jak wyrwać się z tego grajdoła.

- Czy w ten sposób powinno się mówić o rodzinnym mieście?

- To nie pora na żarty. Pójdiesz na to przyjęcie, Brig. Cholera, sam się staram zdobyć zaproszenie. Gdybym mógł, poszedłbym z Velmą Henderson. Ale ona ma z osiemdziesiąt pięć lat.

- Dziewięćdziesiąt.

- Co z tego. Mógłbym zabić, żeby się tam dostać. A ciebie zaprasza Angie Buchanan. Cholera, Brig, czy ty masz rozum?

- Tym się różnimy, studencie. Widzisz, tobie zależy na tym, żeby piąć się wyżej, bywać w towarzystwie, zarobić kupę pieniędzy.

- A tobie nie?

Brig sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął paczkę cameli. Wytrząsnął papierosa, zmrużył oczy i spojrzał na horyzont.

- Myślę, że tu jest tak samo jak wszędzie. Gdzieś jest mniej ludzi, gdzieś więcej. Jedni są dobrzy, inni źli. Ale miasto zawsze jest w rękach bogatych, a biedni robią wszystko, żeby związać koniec z końcem. - Zapalił papierosa i wypuścił w powietrze kłęb dymu.

- Chciałbym zobaczyć, jak to jest po tej drugiej stronie. - Chase zaczął wyrównywać żwir grabiami. - Pewnie, że ciężko się zgina plecy, gdy się dla kogoś pracuje. - Zmarszczył lekko czoło i wyjął wykałaczkę. - A nie masz dosyć tego, że znają cię jako syna półkrwi Indianki, wróżki?

- Jakoś mnie to nie martwi.

- A powinno, Brig, bo z nią jest coraz gorzej. Dzisiaj, zanim wyszła do miasta, miała klientkę. Mamę zaczęła boleć głowa. A potem miała jedną z tych swoich wizji, czy jak tam je nazywasz. Matka była przekonana, że wszystko się dzieje naprawdę, bo obraz był tak realny. Mówiła, że tobie i mnie grozi niebezpieczeństwo.

- Zawsze tak mówi.

- Wiem. - Spojrzał na Briga z powagą w oczach. - Ale z nią jest źle. Mało nie dostała hysterii. Jakby była na LSD albo opium, albo jakimś innym gównie. Mówię ci, Brig, ona czasami zachowuje się jak nie z tego świata. Pojechała po coś do miasta, cholera wie, po co. Pędziła jak szalona. Nie widziałem jej od tamtej pory.

- Daj jej spokój.

- Myślę, że powinna pójść do szpitala.

- Co?! - Brig zaciągnął się camelem. Stary metalowy szyld zaskrzypiał na wietrze. „Przepowiednie. Wróżenie z ręki. Tarot”.

- Wiele przeszła. Przecież wiesz. Nigdy nie było z nią dobrze, ale odkąd straciła Buddy’ego...

- To było wiele lat temu...

- Ale pamiętam to tak, jakby wydarzyło się wczoraj. Widzę, jak Buddy wpada do strumienia i krzyczy, a ja nie mogę go wyciągnąć. - Chase zrobił się bladej jak ściana. Patrzył gdzieś w dal, jak zawsze, kiedy myślał o bracie, którego Brig nie znał. Był tylko dwa lata młodszym od Chase’a.

- Ciągłe się obwiniasz.

- Nic nie mogę na to poradzić. - Chase chwycił łopatę i wbił ją w mniejszą już kupę żwiru. Przez lata próbował wymazać to z pamięci, ale koszmar nie przestawał go dręczyć. Dopadał go w snach, a czasem i na jawie, w środku dnia.

- Miałeś tylko pięć lat, nie umiałeś pływać.

- Nie mówmy o tym - burknął Chase. Brig strząsnął popiół z papierosa na świeżo wysypany żwir.

- Napiłbym się piwa. Chcesz?

- Później. - Chase popchnął taczkę. Usłyszał, że Brig wchodzi po schodach do domu. Nie obwiniaj się. Ile razy słyszał ten wyświechtany frazes? Od matki, nawet od starego, gdy jeszcze z nimi mieszkał. Szkolny psycholog też powtarzał te same puste słowa, ale Chase wiedział, jak było. Chociaż zdarzyło się to prawie dwadzieścia lat temu, nie mógł zapomnieć tego zimnego wiosennego dnia, zupełnie jakby to było wczoraj.

Matka była w baraku. Wracała do siebie po urodzeniu Briga. Miała trudne porody. Ten musiał się odbyć przez cesarskie cięcie i trzeba było za niego drogo zapłacić. Był to ostatni poród Sunny. O mało przy nim nie umarła, ale Chase wtedy o tym nie wiedział. Wiedział tylko, że on i Buddy zostali pod opieką ojca. Kiedy Frank McKenzie pracował w tartaku u Buchanana, pilnowały ich jakieś kostyczne kobiety z kościoła. Uśmiechały się do niego promiennie, ale gdy myślały, że nie słyszy, plotkowały przez telefon i gadały jak nakręcone. O tym, że Jezus jest dobry i że Bóg jest miłosierny. Chase miał tylko pięć lat, ale wspomnienie tego dnia zawsze budziło w nim grozę.

Sunny wróciła ze szpitala, ale była słaba. Wiele lat później Chase dowiedział się, że wypuścili ją za wcześnie, bo nie mogła zapłacić rachunków za lekarstwa. Gdy wróciła do domu, nie chciała korzystać z pomocy kobiet z kościoła.

- Dziękuję bardzo, ale jakoś sobie poradzimy - powiedziała do żony pastora, Earlene Spears, kościstej kobiety o

surowej twarzy, która nie była stara, ale zmarszczki i zbyt chude ciało dodawały jej lat.

- Nie da sobie pani rady z chłopcami. - Earlene się uśmiechnęła, ale jej uśmiech był wymuszony i ponury, jakby coś ją bolało.

- To moi synowie. Poradzimy sobie - upierała się Sunny. Nie wiedziała jednak, że dostanie krwotoku ani tego, że karmiąc niemowlę zaśnie, a Chase i Buddy uciekną z baraku.

Była wczesna wiosna, cieplejsza niż zwykle. Topniejący śnieg sprawił, że strumyki i rzeki wezbrały. Południowo-wschodni kraniec posiadłości Buchananów przecinał potok Lost Dog. Zazwyczaj było w nim wody jak na lekarstwo. Tam Chase spotkał o rok starszego Andy'ego Wilkesa. Postanowili zbudować tamę w przewężeniu i łapać raki i jaszczurki.

Chase zapomniał kurtki i nie pamiętał, że zostawił otwarte drzwi do baraku i że nie zamknął furtki do ogrodu. Buddy wyszedł za nim i włóczył się po wertepach i po polach.

- Po co go zabrałeś? - spytał Andy. Klęczał w strumyku i układał kamyki zebrane przy brzegu. Miał czerwone ręce i ciekło mu z nosa.

Chase odwrócił się i zobaczył brata.

- Wracaj do domu. - Był zły, że Buddy włóczy się za nim jak pies. Od kiedy mama wróciła do domu z niemowlakiem, Chase musiał się zajmować bratem.

- Nie. - Buddy wlaź do wody za Chasem. Starszy brat zamoczył w strumyku tenisówki. Mama go za to zabije, ale się nie przejmował. Po długiej przerwie wreszcie mógł się bawić ze swoim najlepszym przyjacielem. Gdy pilnowała ich pani Spears, nie pozwalała im wychodzić na dwór.

- Wyłaź! Nie chcemy się z tobą bawić. Jesteś za mały. - Twarz Buddy'ego wykrzywiła się i łzy napłynęły mu do oczu. Gdyby teraz pobiegł do domu i wszystko wypaplał, Chase nieźle by oberwał. - Dobra, zostań. Ale nie podchodź do wody. - Odwrócił się do Andy'ego. - Nie zwracaj na niego uwagi. To dzieciak.

Andy się roześmiał, wytarł nos w rękaw i wrócił do pracy. Chase przeszedł wodę w bród i zaczął budować tamę od drugiej strony strumyka. Zapomniał o Buddym. Potok zaczął się robić coraz głębszy, bo zaporą zatrzymywała wodę. Andy i Chase, zachęceni sukcesem, dokładali kamienie tak szybko jak mogli.

Andy zaczął opowiadać nieprzyzwoite kawały, których Chase nie rozumiał, ale się śmiał, żeby zrobić wrażenie na starszym koledze. Kątem oka zobaczył, że Buddy wchodzi do strumyka za tamą, tam, gdzie woda była głęboka.

- Ej, stój!

Ale było za późno. Buddy zrobił następny krok i stał po kolana w wodzie.

- Buddy, wracaj do domu! - Głupi dzieciak stał i się gapił, a woda przybierała. - Mama cię zleje, a jak ona tego nie zrobi, to ja cię spiorę - krzyknął Chase, używając ulubionej groźby ojca, żeby zrobić wrażenie na Andym.

- A ja ci pomogę!

Buddy poślizgnął się i stracił równowagę. Z krzykiem wpadł do wody.

Chase oniemiał z przerażenia. Przeskoczył tamę, zrzucając kilka kamieni z górnej warstwy, i ruszył lodowatym strumykiem pod prąd. Buddy się wynurzył, krzyknął i jego głowa znowu zniknęła pod powierzchnią wody.

- Nie! - Chase biegł szybko, rozdzierając wodę. Andy brnął przez fale, żeby wyciągnąć chłopca. - Buddy, trzymaj się, Buddy!

- Chase! - Usłyszał, jak wiatr niesie jego imię i kątem oka zobaczył matkę, stojącą w drzwiach z niemowlakiem na ręce. - Czy Buddy jest...

- Mamo! Pomocy!

- O Boże! - Jej krzyk był pełen bólu. Biegła z rozwianymi włosami, trzymając niemowlę w ramionach. - Ratujcie go, błagam, ratujcie!

Dziecko zaczęło płakać. Buddy'ego nie było widać. Chase się zanurzał, przewracał i nabierało mu się wody do ust, ale brnął do przodu. O rok starszy Andy wspiął się na brzeg i zaczął biec, usiłując wyprzedzić tonącego chłopca. Ale było już za późno. Buddy zatrzymał się dopiero na płocie, który przecinał strumyk. Jego małe ciało zderzyło się z metalową kratą. Andy z płaczem wyciągnął chłopca z gąszcza trzciny, liści i gałęzi, które woda zniosła aż do tego miejsca.

- Buddy, Buddy, och, dziecko! - płakała mama. Weszła do wody w koszuli powiewającej na wietrze. Tuląc do siebie małego Briga, objęła i Buddy'ego ramieniem. - Biegnij do domu - krzyknęła do Andy'ego. - Powiedz mamie, żeby zadzwoniła po pogotowie! Sprowadź pomoc! Szybko!

Blady jak ściana i śmiertelnie przerażony Andy wspiął się na druciany płot i zeskoczył jednym susem.

Chase płakał przeraźliwie. Mama starała się wyjść na brzeg.

- Idź do domu i się przebierz. Zabierz Briga i włóż do łóżeczka - rozkazała, układając niemowlę w mokrych ramionach Chase'a.

- Ale mam, przepraszam, przepraszam!

- Idź!

- Buddy...

- Ja się zajmę Buddym!

Miała dziki wyraz twarzy. Chase zauważył, że po nogach cieką jej strużki krwi. Koszula przykleiła jej się do

ciała. Jej usta nabrały dziwnego odcienia purpury.

- Leci ci krew. - Drżała mu broda, a z oczu kapąły łzy.

- Idź! - powiedziała surowo, kładąc Buddy'ego na ziemi.

Był siny, miał otwarte oczy i nie ruszał się. Jego klatka piersiowa nie unosiła się. Zabiłem go! Zabiłem mojego brata! Chase był przerażony jak nigdy dotąd. Mama pochylała się nad Buddym, jakby chciała go pocałować w usta, a potem przez kilka sekund mocno wdychała w niego powietrze i nacisnęła jego maleńką pierś. Spojrzała mu w oczy. Na jej twarzy malował się niezwykle spokoj.

- Chase, pomóż mamie. Zaopiekuj się niemowlakiem i zadzwoń do tartaku. Powiedz sekretarce, żeby przysłała ojca do domu. Że to pilne. I... i powiedz sekretarce, żeby przekazała Keksowi Buchananowi, że McKenzie mają kłopoty.

- K... komu?

- Szefowi taty. Szybko!

Znowu pochylała się nad Buddym i próbowała tchnąć życie w jego małe usta. Chase pobiegł niczym strzała. Przyciskał dziecko do przemoczonej piersi.

Zabił Buddy'ego. Nie miał wątpliwości. Był tego tak pewien, jakby go zastrzelił. Chase spojrzał na szare niebo i zrozumiał, że Bóg go karze za jego beztroskę. Przecież pani Spears codziennie mu powtarzała, że Bóg karze małych złych chłopców, którzy nie są posłuszni. A dzisiaj, postępując wbrew matce, rozwścieczył Boga. Potężnie go rozwścieczył.

Buddy'ego zabrała pogotowie i Chase nigdy więcej go nie zobaczył. Matka mu wytłumaczyła, że Buddy jest w szpitalu, że niedługo wróci do domu, ale nie wrócił nigdy. Ale też nie umarł. A przynajmniej Chase nic o tym nie wiedział. Nie był na pogrzebie, a matka nigdy nie zabrała go na cmentarz. Gdy pytał o Buddy'ego, Sunny zawsze zachowywała się chłodno i odpowiadała tylko, że z jego bratem wszystko jest w porządku i że ma opiekę.

Gdy Chase dorósł, doszedł do wniosku, że Buddy pewnie żyje, ale jest sparaliżowany albo poważnie upośledzony, albo nie potrafi sam się o siebie zatroszczyć i jest w jakimś zakładzie.

Cały czas dręczyło go poczucie winy. Może dlatego jeszcze się nie wyprowadził z domu, chociaż miał dwadzieścia cztery lata. Czuł, że jest matce coś winien. Wypadek Buddy'ego zmienił życie ich rodziny. Frank McKenzie nie mógł się pogodzić ze stratą syna i z depresją żony po kolejnym pobycie w szpitalu, kiedy to usunięto jej macicę. Pewnego dnia wyszedł do pracy i nigdy nie wrócił.

Zostawił rodzinie małe poletko, które odziedziczył po ojcu, starego wysłużonego chevy i plik rachunków za leczenie Sunny, których nie była w stanie spłacić. Przez lata w mieście szeptano, że Brig i Chase zostaną odebrani matce, bo nie stać jej na utrzymanie synów. Co miesiąc odwiedzali ją ludzie z opieki społecznej.

Chase i Brig dorastali w świadomości, że w każdej chwili mogą zostać pozbawieni matki. Słyszeli, co się mówi w mieście. Że Sunny nie jest zdolna do wychowywania dzieci, skoro przez własną nieuwagę niemal straciła syna. I że mąż od niej odszedł, bo krążyły plotki, że nie była mu wierna. I że nie jest w stanie utrzymać rodziny. Gdy Chase miał siedem lat, zaczął roznosić gazety, a matka zajęła się wróżeniem z ręki.

Chłopcy chodzili do szkoły w wysłużonych i połatanych ubraniach, dziurawych butach i z gołymi głowami.

- To żaden wstyd być biednym - powtarzała zawsze matka. - Ale dla brudu nie ma wytłumaczenia.

Dlatego ich nędzne ubrania były zawsze czyste i wyprasowane, połatane dzinsy wyprane, a za małe buty lśniły.

Sunny robiła, co mogła. Chase, prawdopodobnie z powodu wyrzutów sumienia, nie odstępował matki na krok. Może chciał ją chronić przed złośliwymi językami. Ale nie mógł uchronić jej przed nią samą i szaleństwem, jakie z każdym dniem coraz bardziej ją ogarniało.

Ściągnął rękawice, otarł pot z czoła i odpędził osę. Nienawidził wracać myślami do przeszłości. To go wpędzało w depresję. Usłyszał warkot silnika starego cadillaca matki. Odsunął na bok taczki, żeby mogła wjechać po świeżo wysypanym żwirze. Pomachał jej, a ona uśmiechnęła się i zahamowała przy podjeździe, jaki on i Brig zbudowali dla jej samochodu. Na tylnej półce długiego srebrnego cadillaca leżały rybnie płetwy i pluszowy kot, który mrugał oczami, gdy zmieniały się światła. Sunny uwielbiała to. Chase wzdrygnął się, patrząc na kota. Jego matka była pośmiewiskiem miasteczka.

A Brig się zastanawiał, dlaczego on zazdrości Buchananom.

7

Rex Buchanan wierzył w Boga. Wierzył w niebo i piekło, i w to, że człowiek zostanie ukarany, jeśli nie będzie starał się czynić dobrze tutaj, na ziemi. Był katolikiem i mimo że w społeczeństwie amerykańskim katolicy są mniejszością pośród metodystów, luteranów, baptystów i wszystkich innych odłamów religii protestanckiej, trzymał się mocno wiary, która towarzyszyła mu od czasów, gdy jako chłopiec uczęszczał do elitarniej szkoły jezuitów.

W życiu kierował się zasadą, że trzeba robić to, co jest dobre dla większości. Chociaż miał takie same pokusy jak wszyscy, zawsze odpokutowywał winę. Spowiadał się z grzechów księżom, dawał mnóstwo pieniędzy na kościół, a i tak czuł się bardziej winny niż inni.

Nigdy nie podważał Bożego Słowa. Nigdy nie wątpił w swoją wiarę. Nigdy się nie zastanawiał, dlaczego

przechodzi próby. Tak już po prostu musiało być. Rex Buchanan starał się robić na ziemi wszystko, co w jego ludzkiej mocy, żeby przejść obok świętego Piotra przez wspaniałe bramy niebios, gdy nadejdzie jego godzina.

Ale był tylko człowiekiem, i to czasami niezbyt silnym. To było jego przekleństwem.

Nalał sobie brandy i wychylił drinka.

Filantropia była mile widziana nie tylko przez Boga, ale i przez ludzi. Ci, którzy dla niego pracowali, dobrze czuli się wiedząc, że troszczy się o tych, którym nie dopisało szczęście. Czasami jednak ta troska o biednych była dla niego niezmiernie kłopotliwa.

Taki na przykład Brig McKenzie. Z tego chłopaka nie wyrosło nic dobrego, ale zdaniem Reksa nigdy nikt nie dał mu najmniejszej szansy. W tym samym tygodniu, gdy się urodził, jego brata porwały wezbrane wody strumyka Lost Dog, a potem jego ojciec, tchórz, zmył się. Niewiele brakowało, żeby Sunny McKenzie umarła. Piękna, niewierząca Sunny. Rex zastanawiał się, jakim cudem przeżyła. Nie wierzyła w Boga, nie bała się zemsty Wszechmocnego, nie przejmowała się diabłem, gdy rozkładała na stole karty tarota albo odczytywała linie dłoni swoimi zmysłowymi palcami.

Przez lata ludzie starali się jej pozbyć z Prosperity. Nawet strzelano do starego baraku, a szylid informujący, że czyta z ręki, który wisiał nad drzwiami wejściowymi, nie jeden raz był podziurawiony z rewolweru. Ktoś nawet przypiął im zdechłego kota do skrzynki pocztowej. Chłopcy byli wyśmiewani w szkole, ale Sunny była dumną kobietą, która nie przejmowała się szykanami.

Nawet Wielebny Spears odwiedził ją osobiście i próbował przekonać o tym, że kroczy złą drogą. A Spears wiedział wszystko na temat zła. On też był tylko człowiekiem, chociaż sądząc po tym, jak jego wierni lgnęli do niego, Rex Buchanan był przekonany, że uważa się za jakiegoś świętego. Spears nawet twierdził, że rozmawia z Bogiem.

A ludzie mu wierzyli.

Rex prychnął. Nalał sobie następną szklaneczkę brandy i zastanawiał się nad powodami, dla których Sunny została w mieście. Tylko on je znał. Wiedza ta ciążyła mu niczym ładunek cegieł, ale był przyzwyczajony do ciężaru. Dźwigał go od lat.

Opróżniając szklaneczkę, Rex poczuł znajome, ciepłe palenie brandy w gardle. Niedługo przeniknie do krwi. Lubił, gdy lekko szumiało mu w głowie, a na twarzy pojawiał się rumieniec. Nie przyjmował do wiadomości, że alkohol jest jedną z diabelskich pokus. Nie. Powoli sączył drugiego drinka, powoli, bez pośpiechu, bo nie chciał się upić. Gdy za dużo wypił, nie był w stanie rozsądnie myśleć i zastanawiać się nad konsekwencjami swoich uczynków, a wtedy kontrolę przejmowały nad nim demony. Diabeł, który bez przerwy siedział mu na ramieniu. Gdy za dużo wypił, działy się złe rzeczy. Uważał więc na to, ile alkoholu w siebie wlewa, nie chcąc igrać z szatanem. Zapraszał go po to, żeby zatrzaskać mu drzwi przed jego przebrzydłym nosem, zamykając butelkę.

Dena wyjechała do miasta, robotnicy pracowali i Rex myślał, że jest sam. Odstawił pustą szklankę i wyszedł na główny korytarz. Skierował się schodami do pokoju Angie, jednego z ulubionych w tym olbrzymim domu - domu, który zbudował dla Lucretii. Gdy stanął przed drzwiami, zabolowało go stare serce. Otworzył.

Czuł się winny jak jakiś podglądacz. Stał w korytarzu i zaglądał do środka. Przyciągnął go gęsty obłok perfum. Kolekcja flakonów na toalecie Angie przypomniła mu o jej matce. Niemal wszystko, co robiła Angie przypominało mu Lucretię - piękną, rozpieszczoną, słabą Lucretię. Wszedł do sypialni i spojrzał na portret, który przedstawiał Lucretię i Angie. Ścisnęło go w gardle, gdy patrzył na przepiękne rysy swojej żony. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Była nieśmiałą debutantką na przyjęciu bożonarodzeniowym w Waverley Country Club. Miała szesnaście lat, a on zbliżał się do trzydziestki. Poczuł do niej nieprzewycięzoną i gorącą namiętność, która graniczyła z bluźnierstwem. Ożenił się z nią dwa dni po jej osiemnastych urodzinach. Jej rodzice byli zadowoleni, bo gwarantował ich córce stabilizację - chociaż tak tego wtedy nie nazywano.

Lucretia, dziewczica, znalazła się w jego łóżku.

Zamknął oczy i zadrżały mu usta, gdy przypomniał sobie miesiąc miodowy. Nie chciał, żeby się przebrała w nocną koszulę, którą kupiła na noc poślubną. Uparł się, żeby miała na sobie suknię ślubną. Na weselu wypili prawie całą butelkę szampana, a drugą w hotelu. Nie mógł już dłużej wytrzymać i powoli zaczął wyjmować spinki z jej włosów. Czarne loki opadły na śnieżnobiałą suknię. Wiedział, że jest tak blisko nieba, jak nigdy.

Bardziej pijany niżby wypadało, zaniósł ją do łóżka. Paciorki na jej sukni odbijały blask z marmurowego kominka. Niewinnymi, szeroko otwartymi oczami, patrzyła na niego zafascynowana, gdy zsunął jej suknię do pasa. Cały czas w smokingu, bawił się jej pięknymi piersiami. Całował je, obejmował ustami duże ciemne brodawki, którymi był oczarowany. Czuł, że lada moment eksploduje. Próbowała zareagować, ale szło jej niezdarne. Nigdy wcześniej tak jej nie dotykał. Pożądanie tętniło w jego krwi, doprowadzało go do szaleństwa. Zapomniał o jej strachu. Po prawie dwóch latach celibatu, kiedy onanizował się w nocy, fantazując o tym, jak słodko będzie w nią wejść, nie mógł czekać ani sekundy dłużej.

- Rex! - krzyknęła, gdy stał się trochę bardziej brutalny niż zamierzał. - Rex, nie! C...co robisz...

Zamroczony szampanem, zadarł koronkowe warstwy sukni i szybko rozpiął spodnie. Jego nabrzmiały członek był twardy jak skała.

- Robię z ciebie moją żonę.

Spojrzała na jego męskość i szarpnęła się z obrzydzenia.

- Nie, Rex, proszę, poczekaj...

- Już i tak za długo czekałem. - Pijacka gadka. Mruczając z przyjemności, wbił się w nią. Była spięta i sucha. Była dziewicą, a on nie mógł się powstrzymać. Czekał tak długo, płonął, a krew tętniła mu w skroniach.

- Rex, o Boże, nie... - Była przerażona. Próbowwała go od siebie odepchnąć, ale przycisnął ją ciężarem swojego ciała. Pocałował ją w usta, a potem wcisnął swój język między jej zęby i prawie wepchnął go jej do gardła.

Nacisnął mocniej, poczuł, że się poddaje. Gdzieś w otumanionej alkoholem świadomości usłyszała, że Lucretia krzyczy. Przeżyje. Dziewice zawsze są suche i spięte na początku.

- Neeee... - krzyknęła.

Ale Rex już się nie kontrolował. Zaczął się poruszać, wbijać w nią, przyciskając do siebie jej wijące się ciało. Miał już przedtem dziewicę i wiedział, że niedługo się rozluźni, że ogarnie ją podniecenie i będzie dyszeć, błagając o więcej, wyginając się w jego rytmie i wbijając pomalowane na różowo paznokcie w jego pośladki. Że rzuci się na niego, będzie go całować, smakować, a może nawet weźmie go do ust i doprowadzi do szczytu. Och, to było niebo. Setki dzikich koni galopowały w jego umyśle i chociaż próbował powstrzymać swój wspaniały finisz, wbijał się w jej suchość, przyciskając się do niej.

Spocony, sapiąc opadł na nią, prawie nieprzytomny z ekstazy, zgniatając jej piersi swoim ciężarem. Miał ochotę robić to cały czas, bez przerwy, jak ogier, który chce zapłodnić klacz. Będzie ją brał od przodu, od tyłu, pod prysznicem, na podłodze, w każdy sposób i w każdym miejscu, jakie był sobie w stanie wyobrazić. Ona wymaże z jego umysłu wszystkie inne kobiety. Będzie zmysłowa, gorąca. Będzie chciała się z nim kochać o każdej porze dnia.

Gdy w końcu zaczął oddychać miarowo i serce przestało mu łomotać z miłości do niej, poczuł, że smoking przykleił mu się do spoconego ciała. Podniósł głowę, żeby ją pocałować, ale odwróciła się. Miała łzy w oczach.

- Ty bydlaku! - syknęła. - Ty obrzydliwy, wstrętny bydlaku! - Zepchnęła go z siebie i wstała z łóżka. Jej bujne, piękne piersi wznosiły się i opadały w furii. Próbowwała osłonić je gorsetem sukni, zawstydzona swoją nagością. Krew poplamiła ślubną suknię. Jej młoda twarz pałała nienawiścią i wściekłością. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj. - Zadarła wysoko podbródek. W jej oczach lśniło oskarżenie. Powstrzymywała łzy. - Nie waż się zachowywać wobec mnie jak odrażające zwierzę.

Nie wierzył własnym uszom. Wyciągnął do niej rękę.

- Lucretio, nie. Kocham cię.

Cofnęła się w stronę ognia buzującego w kominku. Trzęsła się z obrzydzenia.

- Daj mi spokój, Rex. Nie będę twoją dziwką.

Był zmieszany i bardziej niż trochę pijany.

- Nie, oczywiście, że nie. Jestem twoim mężem. A ty moją żoną...

- Więc traktuj mnie z szacunkiem. To, co się przed chwilą stało było... - jej piękne usta wykrzywiły się z niesmakiem. - ...było ordynarne i tandetne. Chore! Jak dwa kopulujące zwierzęta. Matka mi mówiła, że tak będzie, mówiła, że będę musiała leżeć pod tobą, a ty będziesz sapał i dyszał i że to mój obowiązek, ale myślałam, że ty... że mnie szanujesz i że nie będziesz mnie traktował jak jakąś sprośną zdzirę.

- Nie, Lucretio, nie. Boże, przepraszam... - Co się stało? Dlaczego ona się tak zachowuje? Czyżby kochanie się ze mną nie sprawiło jej radości?

- Wykorzystałaś mnie! Wykorzystałaś moje ciało jak jakiś przedmiot. - Wstrząsnęła nią potężny szloch. Wpatrywała się w niego ze złością, która raniła mu duszę.

- Wiedziałaś, że to się stanie - odpowiedział zmieszany. O co jej chodzi? Może jest oziębła? Gdyby tylko dała mi szansę, byłbym bardziej delikatny i postarałbym się, żeby ona przeżyła orgazm.

- Myślałam, że będziemy się kochać jak dwoje ludzi, którym na sobie zależy. Że nie będzie to... po prostu... pieprzenie - wypowiedziała to słowo z taką miną, jakby smakowało tak samo paskudnie jak brzmiało. Jej oczy były wielkie, a głos drżał z wściekłości. - To jest różnica.

- Och, kochanie... - Wstał z łóżka w zmiętym smokingu, z rozpiętym kołnierzykiem. Umysł miał zamroczony od szampana. Zapiął rozporek, potykając się. - Przepraszam, powinienem być bardziej delikatny. Wróc do łóżka, obiecuję, że będzie ci dobrze.

- Nie dotykaj mnie nigdy więcej, Reksie Buchananie. - Była już na dobre rozhisteryzowana. Wyciągnęła zza siebie pogrzebacz, gotowa go użyć. - Spróbuj mnie jeszcze raz zgwałcić, a przysięgam na Boga, że cię zabiję.

- O, Jezu, Lucretio, ja nie...

Pomachała mu pogrzebaczem przed nosem.

- I nie wzywaj imienia Boga nadaremnie, nawet go nie wymawiaj w tym strasznym miejscu! Będę twoją żoną, Rex, bo właśnie ślubowałam, że będę. Złożyłam przysięgę i będę ją szanować. Ale nie pamiętam, żebym ci przysięgała, że będę tanią dziwką, spełniającą twoje perwersyjne zachcianki.

- Perwersyjne? Nie, Lucretio, ty nie rozumiesz...

- Oj, rozumiem doskonale. Ożeniłeś się ze mną po to, żebyś mógł mnie rzucić na łóżko, rozchylić mi nogi i sapać nade mną jak... któryś z twoich drogich ogierów na klaczy, którą dla niego sprowadziłeś. To się więcej nie

powtórzy!

To było wariactwo. Musiał powiedzieć jej coś mądrego i wytłumaczyć, że popełnił błąd. Że już nie będzie takim grubiańskim prostakiem, że ją zadowoli. Ale gdy się do niej zbliżał, ona kuliła się i odsuwała, aż w końcu uderzyła ramionami o kominek. Tren jej ślubnej sukni dotknął rozżarzonych węgli. Materiał zapalił się z przyprawiającym o mdłości sykiem. Ogień biegł w górę sukni jak szybki złodziej. Błyskawicznie pochłaniał materiał.

W jednej chwili jej ciało objęły płomienie. W płonącej białej sukni wyglądała jak zjawą z nieba, chociaż wrzeszczała, jakby była w piekle.

Rex rzucił się na nią, pchnął ją na podłogę i tarzał się z nią, tłumiąc płomienie. Szybko ugasił ogień. Lucretia przerażona przyłgnęła do niego, szlochając. Szybko zaniósł ją do łazienki, zdjął z niej to, co pozostało z sukni i wsadził do balii z zimną wodą. Miała niewielkie poparzenia na nogach i rękach. Gdy stała drżąca, naga w balii o kształcie serca i patrzyła na niego ciemnymi, pełnymi nienawiści oczami, zrozumiał, że dotyk nieba był krótki i już się skończył. Na zawsze. Przerażonym wzrokiem popatrzyła na spaloną, poplamioną krwią suknię.

- Zadzwoń po lekarza.

- Nie. - Zakryła dłońmi piersi i krok. Boże, jaka była piękna. Doskonała. Chciał jej znowu. Mimo tragedii, jaką przed chwilą przeżyli.

- Ale jesteś ranna... - Nie chodziło tylko o poparzenia, ale i o urazy psychiczne.

- Nikt się nigdy o tym nie dowie, Rex. Obiecuj mi, że dopóki żyję będziemy udawać, że jesteśmy najszczęśliwszą parą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi.

Rozległo się pukanie do drzwi ich apartamentu.

- Halo. Czy wszystko w porządku? - krzyknął niski męski głos.

Rex przełknął ślinę z trudem.

- Nie wiem...

- Obiecuj mi! - Ścisnęła go za ramię. Jej piersi przez chwilę były nagie, a różowe brodawki wydawały się zeglować po wodzie.

Nie mógłby jej odmówić niczego. Czuł na barkach niewiarygodny ciężar winy. To przez niego była poparzona. Dlatego, że myślał tylko o sobie. Przez jego zachłanność już nigdy nie będzie się z nim kochać.

- Lucretio, proszę cię... Myślę...

- Obiecuj mi, bydlaku, że dopóki żyję nikt się nie dowie o tym, co mi zrobiłeś!

- Hej, wszystko w porządku? - Ponownie zapytał stłumiony głos za drzwiami. - Może powinniśmy wyłamać drzwi albo wezwać szefa...

Rex z trudem przełknął ślinę.

- Nic się nie dzieje! - odkrzyknął przez zęby. - Proszę nas zostawić!

- Na pewno? - Głos nie był przekonany. - Słyszałem krzyki.

Naprawdę, nic się nie dzieje - krzyknęła Lucretia, zadziwiająco spokojnym głosem. - mamy miesiąc miodowy.

- Jezu! - Głos był pełen grozy i zdziwienia.

- Proszę się nie martwić - dodał Rex.

- Przepraszam, że przeszkodziłem. Jezus!

W pokoju zrobiło się cicho.

- Obiecuj mi - nalegała Lucretia. Jej oczy były twarde jak diamenty.

Rex Buchanan ostatni raz płakał, gdy był dzieckiem. Teraz łzy zamazały mu obraz Lucretii, zasłaniającej się i odsuwającej od niego w różowej wannie.

- Dobrze, Lucretio. Obiecuję. - Jego słowa brzmiały pusto.

W noc poślubną został poczęty ich syn Derrick. Rex trzymał się z daleka od swojej młodej żony przez całą ciążę. Później domagał się swoich praw małżeńskich, więc się poddała, ale leżała pod nim nieruchomo jak głaz. Nie dotykała go, nie całowała, wykonywała swój obowiązek tak, jak ją matka uprzedzała. Czuł się jak krety, gdy próbował ją rozpalić. Jej zimna obojętność zmieniała się w odrazę, kiedy całował jej piersi, wodził językiem wokół pępka albo kiedy po pijanemu chciał, żeby dotknęła jego członka, a nawet wzięła go do ust.

- No, dalej. - Zanurzył palce w jej włosach, próbując skłonić ją do tego, by go zadowoliła. - To nie takie straszne.

- To najbrzydliwsza rzecz, jaką słyszałam.

- Jestem twoim mężem.

- A ja nie jestem twoją dziwką. Znajdź sobie kogoś innego.

- Nie mówisz poważnie.

- Nie? - Spojrzała na niego uwodzicielskimi błękitnymi oczami. Zsunęła się z łóżka i wydawało się, że go posłucha, ale splunęła na niego pogardliwie. - Jestem w ciąży, ty zбочony bydlaku.

Zamarł ze zdumienia i poczuł radość. Kolejne dziecko może odmienić ich życie. Zapomniał o swojej złości. Oczy mu się zaszklily od łez.

- To dobrze, Lucretio. To dobrze.

- Chcę usunąć ciążę.

- Co? Nie myślisz chyba...

- Właśnie, że myślę, Rex. Nie chcę następnego dziecka. Masz już syna. Nie potrzebujesz drugiego.

- Ale to grzech...

To ją powstrzymało. Jej oczy patrzyły żałośnie. Wyślizgnęła się z łóżka. Ona też była katoliczką i wiedziała, że odbieranie życia, nawet komuś, kto nie byłby w stanie żyć sam, jest grzechem tak strasznym, że nie można dostać rozgrzeszenia.

- Dobrze. - Wzięła szlafrok z brzegu łóżka i szybko go założyła. - Ale to już ostatnie. - Kochanie, posłuchaj...

- Nie. - Siedziała sztywna i wyprostowana. Przewiązała paskiem swoją szczupłą, doskonałą talię. - Urodzę to dziecko, ale żadnych więcej nie będzie.

- Nie mogę obiecać...

Odwróciła się, patrząc mu z wściekłością w oczy.

- Oczywiście, że możesz. Możesz się przenieść do innego pokoju i zostawić mnie w spokoju. Na zawsze.

- Lucretio...

- Już rozmawiałam z doktorem Williamsem. Decyzja należy do ciebie. Jeżeli chcesz tego dziecka, to mi obiecaj, że dasz mi spokój. Jeżeli nie, idę do lekarza.

- Jak możesz?

- To dziecko jest dla ciebie, Rex. Jeżeli go chcesz.

- Ale możesz poronić.

Wzruszyła ramionami.

Wiara walczyła w nim z pożądaniem, ale w końcu zwyciężyła. Przeniósł się do innego pokoju w odległym końcu korytarza. Lucretia zapłaciła ślusarzowi za nową zasuwę w drzwiach sypialni i dotrzymała słowa. Urodziła Angie niecałe siedem miesięcy później. Od dnia, w którym dziecko przyszło na świat, Rex nie żałował swojej decyzji. Nigdy też nie zapukał, nie podsłuchiwał ani nie dobijał się do drzwi sypialni żony.

Znalazły się inne kobiety, tak jak przedtem, zanim poznał Lucretię. Nienawidził się za swoją słabość i składał większe ofiary na rzecz kościoła. Miał nadzieję, że datki i działalność dobroczynna uwolni go od poczucia winy.

Ale to nie skutkowało. Im więcej dawał pieniędzy, tym bardziej czuł, że musi dać jeszcze więcej. Im większej liczbie fundacji przewodniczył, tym więcej musiał otwierać nowych.

Przez cały czas trwania małżeństwa był niewierny. Nie chciał, ale był zdrowym mężczyzną i potrzebował seksu - dzikiego, zwierzęcego seksu. Takiego, jakiego żona nie chciała mu dać. Taki mógł przeżyć tylko z innymi kobietami, a zwłaszcza z jedną, z którą spotykał się przez ponad dwadzieścia lat.

Której nie przestał odwiedzać.

Teraz, gdy patrzył na portret Lucretii, miał łzy w oczach. Boże, jak za nią tęsknię. Była jedyną kobietą, która się przed nim nie ugięła, jedyną, która była dla niego wielkim wyzwaniem, jedyną, która go nie chciała. A Angie była do niej tak podobna... To było przekleństwo, które musiał dźwigać do końca swoich dni.

- Brig nie zgubił Remmingtona - powiedziała Cassidy, stojąc twarzą do ojca na korytarzu, tuż przy schodach. Rex w jednej ręce trzymał teczkę, a przez drugie ramię miał przerzuconą marynarkę.

- Jeżeli nie on, to kto? Ty? - Uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Tak - powiedziała wdychając. Była zdenerwowana. - Byłam wściekła, bo nikt nie pozwalał mi jeździć na moim koniu, więc tamtej nocy wyprowadziłam go ze stajni, przejechałam przez stary staw przy tartaku. Zrzucił mnie i uciekł. Brig mnie znalazł, wysłał do domu na innym koniu, na tym, na którym przyjechał, a sam zaczął szukać Remmingtona. - Mówiła szybko. Bała się, że ojciec jest wściekły i że zwolni Briga. Nie mogła do tego dopuścić. Nie chciała, żeby ponosił konsekwencję za jej błąd.

- Wiem, że byłam głupia, robiąc to bez twojej zgody. - Cassidy naprawdę czuła skruchę. - Ale zrozum, że byłam już zmęczona tym czekaniem bez końca.

- Chyba nie mówisz tego, żeby go osłaniać? - Rex zmarszczył czoło. Cassidy chciała schować spocone dłonie do tylnych kieszeni spodni.

- A dlaczego miałabym to robić? - Serce waliło jej jak młotem, bo kochała Briga i chociaż tym razem mówiła prawdę, gotowa byłaby dla niego skłamać. Jakimś cudem udało jej się zachować niewzruszoną twarz.

- Nie wiem. Twoja matka myśli, że ten chłopak cię fascynuje.

- Przecież jest tylko naszym pracownikiem. - Cassidy wiedziała, że nie może się zdradzić. Nie spodobał jej się ton wyższości we własnym głosie. Brig był kimś o wiele ważniejszym niż pracownik. O wiele, wiele ważniejszym.

- To, że jest pracownikiem nie przeszkadza ci się koło niego kręcić. - Angie, która najwidoczniej usłyszała rozmowę, zbiegła po schodach w krótkiej białej spódniczce i wiązonym na szyi topie. Przechyliła głowę na bok i zapięła złoty kolczyk.

- Zajmuje się moim koniem - odpowiedziała nerwowo Cassidy.

- Akurat. - Angie uśmiechnęła się wymownie.

Wyjęła z torebki okulary słoneczne. Cassidy starała się nie zauważać tego, że ojciec zawsze rozpromieniał się, gdy w pobliżu pojawiała się Angie. Jego twarz łagodniała tak samo jak wtedy, gdy klękał przed figurką Maryi w kościele.

Angie stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Gdzie idziesz?

- Jadę z Felicity do Portland. Chcemy kupić coś do ubrania na przyjęcie. - Angie uśmiechnęła się szeroko. - Podróżuj z kartą kredytową!

Rex roześmiał się z ulgą.

- Chcesz jechać z nami, Cass? Przydałoby ci się coś nowego.

- Nie, dziękuję.

Angie zmierzyła wzrokiem dzinsy, podkoszulek i bluzę w kratę siostry.

- Nie możesz iść na przyjęcie jak wieśniaczka.

- Dlaczego nie?

- Bo to oficjalne przyjęcie, a sędzia Caldwell jest dziwakiem. Lubi, jak wszystko idzie po jego myśli. A wiadomo, że na przyjęcie nie chodzi się w dzinsach i podkoszulku.

- Nie obchodzi mnie to. - Cassidy nie miała ochoty na towarzystwo.

Angie wyduła pogardliwie usta.

- Dobrze. Rób, jak uważasz. Tylko nie mów, że się nie starałam. - Wyszła, tupiąc po zimnej posadzce białymi sandałkami i zostawiając po sobie zapach perfum Chanel nr 5.

Cassidy wolała nie myśleć o przyjęciu u Caldwellów. Będzie przeżywała tortury, koszmarnie tortury, patrząc, jak Brig trzyma Angie w ramionach.

Ogień i woda. Te dwa żywioły zawsze będą nadawały bieg życiu jej synów. Sunny skurczyła się, bo przed oczami miała wizję góry w płomieniach i katafalku olbrzymich rozmiarów. Wiele lat temu Buddy o mało się nie utopił, a teraz chłopcy przejdą przez prawdziwe piekło, rozpalone i dzikie, które na zawsze zmieni ich życie i skończą tragicznie. Będzie ból i śmierć. W jej wizji czarny dym unosił się do nieba. Zaczęła kasłać.

- Nie! Nie! Nie!

- Mamo, co ci jest?

Chase momentalnie znalazł się przy niej. Potrząsnął nią, żeby oprzytomniała. Błękitne oczy Sunny były pełne troski. Prawie zasnęła na kanapie. Znowu. Doszła do siebie, ale nie mogła pozbyć się obrazu śmierci, który jej nie odstępował jak wstrętny demon.

- Nie możesz iść na to przyjęcie - powiedziała stanowczo.

Zatroskanie Chase'a przerodziło się w złość.

- Rozmawialiśmy już na ten temat. Idę...

- Mówię poważnie. Nie możecie iść. Ani ty, ani Brig. - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Nie ma mowy. To zbyt niebezpieczne. Nie mam zamiaru dyskutować na ten temat. - Jednak jej zakazujący ton najwyraźniej nie zrobił wrażenia na Chasie. Zadarł przekornie brodę. Tak bardzo przypominał swojego ojca. Podobieństwo było przerażające.

- Nie zaczynaj znowu z tymi bzdurami, mamo. Od wielu lat marzyłem, żeby iść na to przyjęcie i w końcu ktoś mnie poprosił. Nie mam zamiaru zbyć Mary Beth Spears. - Uśmiechnął się do matki łagodnie. Ten uśmiech zawsze ranił jej serce. - Poza tym, jestem już za duży, żebyś mi rozkazywała.

- Idziesz z córką pastora? - Sunny skrzyły się wnętrzości.

- Tylko dlatego, że jest spokrewniona ze starym Bartolomeo...

- O Boże, już nawet Angie Buchanan jest lepsza niż córka Spearsów.

- Ale nie miałem wyboru - odpowiedział niecierpliwie. - I nie mów nic na Angie. Wiem, co o niej myślisz. Nie chcesz, żeby Brig miał z nią cokolwiek wspólnego.

- Pewnie, że nie. Ale Mary Beth jest córką pastora. A on, chociaż stara się uchodzić za męża Bożego, jest wcielonym diabłem. Słyszysz mnie? Diabłem.

- Idę, mamo. To ważna sprawa. Potrzebne mi było zaproszenie i Mary Beth okazała trochę serca i mi je dała. - Jego głos był pełen sarkazmu i zgorzknienia. - Poza tym, mogę tam poznać ludzi, którzy pomogą mi w karierze. Właściciele firm prawniczych mogą potrzebować studenta prawa albo aplikanta do swoich kancelarii. Wierz albo nie, ale nie mam zamiaru spędzić życia pracując dla starego Buchanana i podlizując się wszystkim w mieście.

Nie załamała rąk, ale potrząsnęła głową. Kłopoty. Ogromne kłopoty. Mary Beth Spears i Angie Buchanan. Góra ognia znowu stanęła jej przed oczami.

- Nie mogę uwierzyć, że Earlene pozwoli jej pójść z tobą.

- Ta kobieta jest jak plastelina. Robi wszystko, co każe jej mąż.

- Dobrze. Więc dlaczego on pozwala swojej córce, żeby się z tobą spotykała?

- Powiedz to głośno, mamo. Aż takie ze mnie zero? - Zachichotał.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Sunny z dumą. - Jesteś najlepszy.

- Więc nie ma problemu.

- Mogę mieć tylko taką nadzieję - jej głos wcale nie brzmiał pewnie.

- Nie bądź takim prorokiem złych wieści. Może się okazać, że to najważniejsza noc w moim życiu. Spójrz... -

wszedł do pokoju, który dzielił z Brigiem i wyciągnął smoking zapakowany w folię. - To wielka chwila, mamó. Więc przestań gderać i życz mi powodzenia.

- Zawsze ci tego życzę. Ale wizja...

Oczy Chase'a spochmurniały, ale Sunny nie lekceważyła tak jak on swoich przepowiedni. Zaciśnęła palce na jego rękach i trzymała go mocno, wbijając paznokcie w jego skórę jak zęby węża. Smoking zatrzęsł się na wieszaku.

- Posłuchaj, Chase. Nie lekceważ mnie. Pamiętasz, że widziałam wodę przed tym, jak Buddy...

- Nie chcę słuchać tych bujdy, mamó. - Odskoczył od niej, prostując się. Przeszył ją zjadliwym wzrokiem. - Znowu zaczynasz mówić jak wariatka.

- Mówię tylko prawdę.

- O Boże drogi. Wróżysz. Połowa z tych wróżb się nie sprawdza. Większość ludzi ma cię za wariatkę.

- A ty?

- Nie wiem. - Szczerłość odbiła się na jego twarzy. - Nie chcę tak myśleć.

- Więc mi uwierz, Chase. Stanie się tragedia.

- Chyba że zrezygnuję z najlepszej w życiu okazji?

- Tak.

- Boże, ratuj.

Odwiesił smoking na pręcie do wieszania ubrań i przeczesał dłońmi włosy. Był zdenerwowany. Sunny rozumiała jego emocje. Wyśmiewano go od lat, nazywano synem stukniętej indiańskiej dziwki, która nie potrafiła zatrzymać przy sobie męża albo oskarżano go, że jest maminsynkiem, a jego matka jest niespełna rozumu, a często też, że jest wysłannikiem diabła. Chase znalazł zdechłego kota przywieszzonego do skrzynki pocztowej i sam go pochował, powstrzymując łzy, gdy wykopywał szpadlem ziemię. Zastanawiał się, dlaczego miał takiego pecha, że urodziła go taka dziwna kobieta.

Sunny westchnęła głośno i wstała. Rozumiała, dlaczego zazdrościł bogatym pieniędzy; bo oni nie musieli tyrać tak jak on, żeby pomóc w utrzymaniu domu. Zaczął roznosić gazety, gdy miał zaledwie siedem lat, ustawiał kręgle na torze do gry, zanim wprowadzono automaty. Był za młody, żeby legalnie dostać pracę, więc skłamał tylko po to, żeby zarobić trochę więcej i został pomocnikiem kierowcy autobusu. W końcu zaczął pracować w tym samym tartaku, co jego ojciec, ale to Chase'owi nie wystarczało. Spał po trzy godziny na dobę między ósmio- lub dziesięciogodzinnymi zmianami. Dostawał najlepsze stopnie, doczekał się stypendium, a teraz kończył studia licencjackie. Od zimowego semestru miał zamiar iść na studia prawnicze.

Sunny była z niego dumna. Był jej pierworodnym synem. Rozumiała doskonale, że poświęcił wszystko - dumę i życie towarzyskie, żeby wspiąć się wyżej. Musiał uczyć się kilka lat dłużej, bo poświęcił się dla niej. Czuli się z tego powodu trochę winna.

Powinien zacząć samodzielne życie z jakąś porządną dziewczyną i założyć rodzinę.

Siedział przy stole z posępną miną. Nawet ona, choć znała przyszłość, nie mogła mu odmówić tej odrobiny radości.

- Tylko uważaj jutro. - Stała przy zlewie, odkręciła kran i nalała wody do szklanki.

- Dopadnie mnie zły duch? - zakpił.

- Mam nadzieję, że nie. - Wyrzała przez małe okno i zagryzła dolną wargę. - Mam nadzieję, że się mylę.

- A co z Brigiem? On też? - Nie zawracał sobie głowy, żeby ukryć sarkazm.

- Któryś z was. Nie potrafię powiedzieć, który.

Chase zaklął pod nosem.

- Mamó...

Wiedziała, co powie, zanim zdążył wyrzucić z siebie znienawidzone słowa. Położyła mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić.

- Nie pójdę do żadnego psychologa. Chcą mnóstwo pieniędzy i zazwyczaj mają więcej problemów niż ich pacjenci.

- Są profesjonalistami.

Oparła się biodrem o zlew i łyknęła wody ze szklanki.

- To oni powinni przychodzić po radę do mnie.

- Mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś uparta?

- Tylko bezczelny, przemądrzały syn, któremu się wydaje, że zostanie wziętym prawnikiem.

Kąciaki ust Chase'a unosiły się. Gdy się uśmiechał, był nieziemsko przystojny.

- Mnie się nie wydaje, mamó. Ja to wiem.

- Ja też, synu - odpowiedziała z dumą. - Ja też.

Brig dodał gazu. Usłyszał długie i głośne wycie silnika harleya i dopiero wtedy zmienił bieg. Wiatr rozwiewał mu włosy i szumiał w uszach. Brig nisko pochylony patrzył na pola, które migwały mu przed oczami.

Od czasu bójki z Derrickiem udawało mu się go unikać, ale to nie będzie trwało wiecznie. Zobaczy go na tym

cholernym przyjęciu, a przecież będzie tam z Angie. To na pewno wkurzy jej starszego brata. Ojca zresztą też. Bobby i Jed też się wściekną. Od poniedziałku zostanie bez pracy i najprawdopodobniej będzie leczył złamany nos. Jednak gdy wyobraził sobie, że Jed Baker i Bobby Alonzo usiłują mu wlać, uśmiechnął się pobłaźliwie. Niech spróbują.

Ale co z Cassidy?

Zacisnął zęby. Z nią będzie kłopot. Jest jeszcze dzieckiem. Trzpiotem. Nie ma nawet biustu. Ale nim zawładnęła. W najgorszy sposób. Nie tylko dlatego, że jest smukła i dobrze zbudowana, ma mały okrągły tyłeczek i szczupłą talię. Jest też sprytna i niepokorna, a to zawsze go pociągało. Zmrużył oczy na wietrze. Żałował, że jej dotknął i że ją pocałował, bo teraz jej pragnął. Straszliwie. A szanował ją na tyle, żeby trzymać ręce przy sobie. Zasługiwała na coś lepszego, niż on mógł jej dać.

A Angie... Cóż, to zupełnie co innego. Ona się o to prosiła. Nie miał pojęcia, dlaczego. Nie ufał jej. Była z tych, co to potrafią owinąć sobie faceta wokół palca, a on nie miał zamiaru dać się na to nabrać. Ale cholernie dużo go kosztowało, żeby nie wziąć tego, co tak chętnie chciała mu dać. Ona też była piękna. Zabójczo piękna. Miała nieskazitelne ciało. Problem w tym, że o tym wiedziała.

Brig nie należał do ludzi, którzy myślą o przyszłości. To zmartwienie zostawiał bratu. Pójdzie na to przekłete przyjęcie tylko na chwilę, a potem się ulotni.

Ale najpierw zatańczy z Cassidy Buchanan. Co go to obchodzi, że jest dzieckiem. Będzie ją trzymał w ramionach. A potem niech się dzieje, co chce.

Na korytarzu przy pokoju Angie Cassidy usłyszała cichy szloch, stłumiony przez poduszkę i drzwi. Zapukała delikatnie.

- Odejdź! - Angie pociągnęła głośno nosem.

- Co się stało? - Cassidy nie miała pojęcia, dlaczego jej starsza siostra, która zawsze miała wszystko, płacze.

- Zostaw mnie w spokoju.

Cassidy zawahała się, wzięła głęboki oddech i przekręciła klamkę w drzwiach. Klamka nie drgnęła.

- Przestań, Angie, wpuść mnie.

- Mówię ci, żebyś sobie poszła! Boże, za co? Poczekaj chwilę. - Minutę później Angie stała boso w drzwiach.

Była w szlafroku. Trzymała rękę na biodrze. Była zirytowana.

- Czego chcesz? - Miała czerwone oczy i rozpaloną twarz.

- Co się stało?

- Nic.

- Ale płakałaś...

- Na miłość boską! - Chwyliła Cassidy za ramię, wciągnęła ją do środka i zatrzasnęła za nią drzwi. - Nie płakałam!

- Przecież słyszałam.

- Mam alergię... - Angie wzięła chusteczkę higieniczną z toaletki i wytarła oczy.

- Nieprawda.

Angie westchnęła i podeszła do okna, trzymając ręce na biodrach.

- Nic się nie stało.

- Jasne.

- Dostanę okres, wiesz, jak to jest. A jutro to przyjęcie i w ogóle. Po prostu się denerwuję.

- Czym?

- Bo diabli wzięli zabawę. Wystarczy? - Wysmarkała nos teatralnie. - Dena i tata dowiedzieli się, że poprosiłam Briga, żeby poszedł ze mną do Caldwellów i podnieśli raban. Powiedzieli, że nie mogę z nim iść. A tata niby tak szanuje prostych ludzi. Tylko na pokaz jest dobroczynny. Wielkie gadki, a jak przyjdzie co do czego... Kupa gówna.

- Jejku. - Cassidy współczuła siostrze, ale jej serce skakało z radości, że Brig nie pójdzie z Angie na przyjęcie. - To... to bardzo źle.

- Tak? - Angie odwróciła się. Znowu miała oczy pełne łez. - Widziałam, jak się koło niego kręcisz. Sama jesteś w nim po uszy zakochana.

Cassidy westchnęła.

- Nie. Nie jestem.

- Powiedz to komuś, kto ci uwierzy. - Pociągnęła głośno nosem, otarła łzy i zadarła dumnie głowę. - Ale to nic. - Wzruszyła ramionami. - Nieważne, co czujesz. Nie obchodzi mnie też, co myśli Dena i tata. Pójdę z Brigiem.

- Zabiją cię.

- Nie sądzę. - Oczy Angie pociemniały. Cassidy poczuła przedsmak grozy. Angie przełknęła głośno ślinę. Do jej oczu znowu nabiegły łzy. - Widzisz, Cassidy, tak naprawdę nie mam wyboru. - W jej głosie pobrzmiwała gorycz.

- Brig i ja... - Potarła skroń drżącą dłonią, jakby próbując odegnać ból głowy.

- Co: ty i Brig? - spytała Cassidy jakby z oddali. Serce łomotało jej rozpaczliwie, mijały sekundy, a Angie toczyła

przegraną bitwę ze łzami.

Odkaszlnęła, zdobyła się na błąd uśmiech i spojrzała siostrze prosto w oczy.

- Brig i ja weźmiemy ślub.

8

Cassidy bolały stopy, dudniło jej w głowie i od wczoraj ją młilo. Od kiedy Angie oświadczyła, że pobierze się z Brigiem.

Brig i Angie małżeństwem? Nie! Nie! Nie! Nie uwierzy w to. To tylko wymysł Angie.

Ale dlaczego płakała?

- Będziesz się świetnie bawić - odezwała się Dena z przedniego siedzenia lincolna. Odwróciła się i uśmiechem próbowała dodać Cassidy otuchy. - Będzie mnóstwo chłopców i dziewczyn w twoim wieku. No już, przestań się dąsać.

- Ja się nie...

Dena zmarszczyła idealnie wyregulowane brwi.

- Widzę przecież. Słuchaj, Cassidy. Wejdiesz tam i będziesz się świetnie bawić. Pamiętaj, że Sędzia i Geraldine mają to zauważyć.

Rex podjechał do głównego wejścia ogromnego domu i podał kluczyki lokajowi. Cassidy ze strachem wysiadła z samochodu ojca. Marzyła, żeby znaleźć się gdziekolwiek indziej, tylko nie w posiadłości Caldwellów. Dwupiętrowy śnieżnobiały dom wyglądał jak przeniesiony z planu *Przeminęło z wiatrem*. Był najwierniejszą kopią Tary, jaką Cassidy w życiu widziała. W oknach wisiały długie zielone zasłony. Przez całą długość budynku ciągnął się szeroki ganek z werandą. Po kilku kominach z czerwonej cegły piał się bluszcz. Ogromny trawnik odgradzony był rododendronami, azaliami i różami. W nocnym pachnącym powietrzu rozbrzmiewały stare piosenki i modne melodie.

- Chodź, chodź - ponagliła Dena córkę.

Matka pewnie myślała, że Angie jest z Felicity, ale Cassidy podejrzewała, że jej przyrodnia siostra jedzie na motorze z Brigiem, obejmując go w pasie ramionami, przyciskając policzek do jego pleców.

Nie pobiorą się. To kolejne kłamstwo Angie! Miej więcej wiary.

Wyprostowała ramiona i weszła za rodzicami do hallu. Murzyn w wykrochmalonej białej koszuli, czarnym garniturze, z bielutkimi zębami i z błyskiem w oczach, które jednak nie były promienne, zaprowadził ich na tyły domu, gdzie otwarte drzwi zapraszały gości do ogrodu.

- Rex! - Sędzia przywitał starego kumpla.

Ira Caldwell był postawnym mężczyzną. Miał wielki brzuch i kiedy nie kryła go sędziowska toga, musiał zapinać pasek na ostatnią dziurkę. Włosy miał rzadkie, a oczy głęboko osadzone. Uśmiechnął się szeroko.

- Zastanawiałem się, kiedy się zjawicie. Dena... - Scisnął rękę matki Cassidy, ujmując ją energicznie w swoje dłonie - Wyglądasz olśniewająco, jak zawsze. - Dena zarumieniła się i sięgnęła do torebki po złotą papierośnicę.

- Jak zwykle mi pochlebiasz - powiedziała, biorąc do rąk papierosa. Sędzia błyskawicznie podał jej ogień.

Zaśmiał się i zamknął złotą zapalniczkę.

- A to kto? Dziewczęca Cassidy. W sukni nigdy bym cię nie rozpoznał. Ale się wystroiłaś. Boże, jesteś tak ładna jak twoja siostra.

- Ładniejsza - sprostowała Dena, wypuszczając chmurę dymu w sufit.

Cassidy chciała umrzeć. Nienawidziła, gdy porównywano ją z Angie, a przyjaciele rodziców robili to zawsze. Gdyby mogła, uciekłaby po wyłożonej marmurem podłodze. Może wymówi się bólem brzucha albo powie, że idzie się przejść po ogrodzie? Potem zadzwoni do rodziców i powie, że jest w domu. Co by jej zrobili? Wróciliby do domu i zaciągnęli ją z powrotem na przyjęcie? Raczej nie chcieliby wzbudzać sensacji. Nikt, nawet Jezus Chrystus we własnej osobie, jeśli byłby zaproszony, nie odważyłby się zakłócić miejscowego wydarzenia roku. Oznaczałoby to towarzyską śmierć. Cassidy niecierpliwiła się, że matka i ojciec tak długo rozmawiają. Mama sprawiła sobie kremową koronkową garsonkę, zmieniła odcień rudych włosów i błyskała nowym pierścieniem z rubinem, który dostała od ojca. Paliła papierosy, śmiała się i flirtowała w skandaliczny sposób.

- Gdzie dziewczynki? - spytała Dena, a Geraldine wzruszyła ramionami.

Zmarszczki na jej twarzy się pogłębiły.

- Felicity wspominała coś, że przyjedzie później, z Derrickiem.

- Wyszedł z domu kilka godzin temu. - Uśmiech Reksa nieco zbladł. - Angie też.

- Nie widziałam jej w ogóle. - Geraldine była zakłopotana, ale Cassidy wyczuła, że matka Felicity powiedziała to z zadowoleniem. Dziewczęta, chociaż były przyjaciółkami, rywalizowały ze sobą. Geraldine cieszyłaby się, gdyby Angie znalazła się w tarapatkach.

- Przyniosę drinki! - Sędzia poklepał Reksa po plecach. - Cassidy, przy basenie jest mnóstwo dzieciaków. Wszystkie dziewczyny oglądają się za chłopakami. - Mrugnął do niej okiem.

Cassidy błagała matkę, żeby pozwoliła jej zostać w domu, ale Dena nie dała się uprosić.

Zależało jej na tym, żeby Cassidy znalazła się w towarzystwie rówieśników. Dlatego była na tym cholernym przyjęciu dzisiaj wieczorem. Dena posunęła się nawet do tego, że kupiła Cassidy śmieszny suknię z białych

koronek, między którymi przeciągnięte były kolorowe tasiemki. Musiała ją założyć.

Teraz, w tej paskudnej sukni, czuła się tak, jakby naśladowała którąś z idiotycznych lalek Barbie. To było kretyńskie. Udało jej się wymknąć spod oka rodziców. Wyszła na dwór. Rześkie wiejskie powietrze prześlizgnięte było dymem z grilla. Na paleniskach, doglądanych przez wynajętych kucharzy, skwierczały żeberka i kurczaki, steki i kotlety wieprzowe. Na przenośnym barku przy schodach stały drinki.

Przy stolikach pod parasolami siedziały kobiety. Paliły papierosy i plotkowały. Ich mężowie oblegali barek zastawiony drogimi alkoholami. Pod namiotem ozdobionym lampkami ustawiono stoły, na których znalazły się sałatki, desery i przystawki.

Cassidy kątem oka obserwowała Bobby'ego i Jeda, którzy stali za namiotem. Co chwilę zerkali przez ramię, zanurzali ręce w kieszeniach i ukradkiem popijali z butelek. Mieli rozwiązane krawaty, oczy jak szparki i szukali zaczepki.

- Dziś wieczorem. - Głos Jeda był ledwie słyszalny. - Poczekaj tylko, McKenzie. Dostaniesz za swoje.

Serce Cassidy zamarło.

- Nazbierało się temu bydlakowi - przytaknął mu Bobby i umilkł jakby się przestraszył, że ktoś może ich usłyszeć. Cassidy zbliżyła się do nich o krok.

- Cassidy? - Odezwał się męski znajomy głos. Odwróciła się, pewna, że zobaczy Briga. Ale stał przed nią Chase McKenzie w smokingu. Podchodził do niej uśmiechając się.

- Ty jesteś Cassidy Buchanan, prawda? A ja jestem...

- Bratem Briga.

Zaciął lekko usta.

- Chase.

- Wiem. - Ugryzła się w język, bo zauważyła, że chłopak nie był szczególnie zachwycony tym, że rozpoznała go tylko dlatego, że był podobny do brata. Rozumiała go, bo ona też nie lubiła, gdy porównywano ją z Angie.

- Dobrze się bawisz? - Jego uwaga była skupiona tylko na niej. Oczy Chase'a były tak samo przenikliwe błękitne, jak brata. Był niemal tej samej postury. Ale miał bardziej subtelną urodę niż Brig. Tak twierdzili wszyscy, nawet jej matka.

- Jak inni.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Cóż... W końcu to wydarzenie sezonu. - Nie miała ochoty na pogawędkę. Czekwała. Na Briga.

- Nadal nie wiem: tak czy nie. - Pochylił się i wyszeptał: - Może nie wiesz, że za kilka lat będę najlepszym prawnikiem w historii tego stanu i nie pozwolę się nikomu zbyć. Nawet ładnej dziewczynie.

- Ale ja nie składam zeznań, prawda?

- A ja jeszcze nie jestem prawnikiem. - W jego oczach pojawiły się iskry. - Może zatańczymy?

Zatkało ją. Tańczyć? Z Chase'em McKenzie? Na oczach całego świata? Spociła się i nie mogła myśleć.

- Nie wiem... To znaczy, nie wiem czy mogę...

- Chodź, będzie fajnie - nalegał.

- Ale chyba z kimś przyszedłeś? - Ugryzła się w język, bo dotarło do niej, że właśnie mu wytknęła, że on sam nie dostał zaproszenia wypisanego złotymi literami. W jego oczach błysnęła złość. Nagle zrobił się całkiem podobny do Briga. Cassidy zaszczoła w gardle. Nie mogła sobie wyobrazić, że brat Briga miałby ją trzymać w ramionach. Chase był od niej o wiele starszy. Miał pewnie ze dwadzieścia pięć lat.

Podrapał się w brodę z namysłem i przyglądał się jej, jakby była zagadką, którą usiłuje rozgryźć.

- Moja para nie tańczy.

- Dlaczego?

- Jestem tu z córką pastora Spearsa. Jego zdaniem taniec jest rodzajem seksualnego rytuału czy coś w tym stylu. Podobno fokstrot jest grzechem mniejszego kalibru. Ale tańczących disco pozamykałby w więzieniu i wyrzucił klucz. - Chase wyszczerzył się do niej groźnie. Zaśmiała się.

- To po co tu przyszedł? - Cassidy przemierzyła wzrokiem morze głów i zobaczyła pastora. Był w koloratce. Siedział przy stole z talerzem pieczonych żeberk i kolb kukurydzy. Po bakach spływały mu krople potu. Jadł łakomie, jakby przez ostatnie dni pościł. Obok niego siedziała żona, Earlene, i obserwowała ludzi. Wydęła usta z niesmakiem. W ogóle nie była umalowana. Włosy związane miała przy karku w kitkę. Swoją brązową garsonką i bluzką ze sztywnym białym kołnierzykiem chciała najwyraźniej skrytykować okazałe i błyszczące kreacje innych kobiet.

Chase spojrzał tam, gdzie ona.

- Wiesz, długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że wielebny pastor przychodzi tylko po to, żeby sobie popatrzeć na swoich wiernych. Obserwuje, ile piją, kto tańczy nie tylko z małżonkiem, kto z czego się śmieje i kto znika na szybki numer. Założę się, że po przyjeździe do domu robi notatki. Jutro wstanie rano, zje święty tost, czystą kawę i błogosławioną owsiankę i pójdzie do kościoła. Po drodze wepnie sobie w klapę kwiat róz, stanie za kazalnica i palnie kazanie o ogniu piekielnym, potępieniu i karze za grzechy.

- To bez sensu. Po co miałby to robić?

- Będzie miał pełne skarby. Wszystkich będzie gryzło sumienie. I pewnie dzięki temu wpadnie mu trochę grosza do kieszeni.

- Mówisz jak Briga.

- Tak? - Uniósł mu się kącik ust. - Muszę to sprawdzić. Powiedz mi w końcu, Cassidy Buchanan, po co tu w ogóle przyszłaś?

Żeby zobaczyć Briga! Żeby z nim porozmawiać.

- Matka mi kazała.

- To brzmi niewiele mądrzej od moich wynurzeń na temat starego Bartolomea Spearsa. Ja tu jestem dlatego, że to jest ważne wydarzenie w Prosperity. Pojawienie się tutaj jest właściwym towarzyskim zagranem.

- A czy to ważne? - Nie zdołała ukryć pogardy w głosie.

- Tak. - Nagle poczuł się niezręcznie. - Jeśli czegoś bardzo pragniesz, dobrze jest tego posmakować. Ale ty nie masz takich problemów. Tobie nic nie brakuje...

Tylko twojego brata..., pomyślała i zagryzła wargę. Jej perfumy już zdążyły wywietrzeć. Noc była parna. Księżyc zaczęły przesłaniać gęste, groźne chmury.

- Może dla ciebie to jest tylko kolejne nudne przyjęcie, ale dla mnie jest to wspaniała okazja, którą mam zamiar wykorzystać. Nie daj się prosić, Cassidy. Zatańcz ze mną.

Uśmiechnął się łagodnie i Cassidy dała się zaprowadzić na ceglane schody, które wiodły na miejsce koło basenu, gdzie przygotowano parkiet do tańców. Lampiony, podczipione na otaczających drzewach, odbijały się w wodzie na czerwono, żółto i zielono. Paliły się też pochodnie, które miały odciągnąć owady. Na parkiecie, na podwyższeniu, ustawiono błyszczący fortepian. Muzyka niesła się po wzgórzach. Pianista we fraku i muszce grał piosenki na życzenie. Kilka par tańczyło. Pozostali, w małych grupkach, popijali drinki, rozmawiali i śmiali się.

- Nie umiem tańczyć - wyszeptala Cassidy, gdy dołączali do paru śmiałków, którzy z lekkością poruszali się na parkiecie.

- Ale ja umiem. - Objął ją i przycisnął do siebie. Nie opierała się. Był bardzo podobny do Briga, ale jednak inny. Pachniał wodą kolońską i mydłem. Włosy miał schludnie uczesane. Ciepłym oddechem łaskotał ją w głowę. Zaczęli tańczyć. Ale to był brat Briga, a nie chłopak, którego kochała.

Gdzieś za górami uderzył piorun.

Cassidy czuła się jak niezdara, ale Chase nie miał zamiaru pozwolić, żeby zakłopotanie wzięło górę i żeby chciała zejść z parkietu.

- Nieźle ci idzie - zapewnił, gdy po raz szósty przeproszała, że omal nie nadepnęła na swoje własne stopy.

- Na pewno. Gdzie jest mój Anioł Stróż, kiedy go potrzebuję?

Chase zaśmiał się szczerze na całe gardło. Cassidy się trochę rozluźniła. Nie był Brigiem, ale czuła się przy nim bezpieczna. Trzymał ją mocno, jakby miał świadomość, że dziewczyna ma ochotę zwać, gdzie pieprz rośnie. Wiedziała, że może mu zaufać.

Cały czas czekała jednak na Briga. Nie dawały jej spokoju pełne nienawiści słowa Jeda: McKenzie dostanie za swoje. O Boże, musi go jakoś ostrzec. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Chase'owi, ale ugryzła się w język. Napotkała wzrokiem spojrzenie Mary Beth Spears. Zesztywniała, bo córka pastora gapiała się na nią z nieskrywaną pogardą.

Cudownie. Jeszcze jeden wróg, pomyślała Cassidy. Ten wieczór niewątpliwie upływał pod znakiem nienawiści.

- Przyszła chyba reszta rodziny - wyszeptał Chase. Serce Cassidy zabiło gwałtowniej na myśl, że zobaczy Briga. Spojrzała niecierpliwie przez ramię Chase'a i zobaczyła Felicity, uwieszoną zaborczo ramienia Derricka. Miała na sobie jedwabną zieloną sukienkę, a na szyi kolia z diamentów.

- Felicity! - krzyknęła Geraldine. - I Derrick.

- Rychło w czas się zjawiacie - zagrzemiał Sędzia.

Felicity, nie puszczając ramienia Derricka, przywitała się z matką i z ojcem. Miała rozpalone policzki, błyszczące oczy i była tak samo przejęta jak ojciec Cassidy, gdy ubił dobry interes, kupując nowego drogiego konia. Derrick był podpity, ale starał się sprawiać wrażenie trzeźwego. Przebiegł wzrokiem tłum gości i dojrzał Cassidy. Strząsnął z siebie ramię Felicity i ruszył w stronę parkietu.

- Gdzie ona jest?

- Kto?

- Angie. Gdzie ona jest?

- Tutaj jej jeszcze nie ma.

- Chyba jest z moim bratem - Chase mocno obejmował Cassidy.

Oczy Derricka pociemniały.

- Z tym gnojkiem! Ukręcę mu łeb i...

Chase zareagował natychmiast. Chwytał Derricka za klapy.

- Zostaw Briga w spokoju - ostrzegł go cicho. Puścił go i znowu wziął Cassidy w objęcia. - Ma prawo tu przyjść. Został zaproszony. Przez twoją siostrę. Więc możesz przestać się o niego martwić i dać nam spokój. Dziewczyna

na ciebie czeka. Na twoim miejscu nie robiłbym jej dzisiaj przykrości.

Derrick rozejrział się. Zdarzenie zauważyło jedynie kilka par tańczących w pobliżu.

- Jesteś śmieciem, McKenzie. Białym śmieciem z domieszką indiańskiej krwi.

Chase uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie prowokuj mnie, Buchanan. - Chase, mimo że uchodził za spokojniejszego od brata, nie miał zamiaru znosić obelg.

- Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie jest moja siostra.

- Daj spokój, Buchanan. Angie jest dużą dziewczynką. Da sobie radę.

- Gówno, a nie radę.

Podeszła do nich Felicity. Westchnęła. Jej twarz była tak czerwona jak włosy. Derrick nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Przeczesał włosy palcami obu dłoni i ciągnął dalej:

- Jest niespełna rozumu i tyle. Jak się tylko pokaże Brig, to przysięgam, że pogonię go stąd kopami.

- Może to on cię skopie.

- A ty oberwiesz potem. - Znowu zmierzył Chase'a od góry do dołu, prowokując go, żeby zaczął bójkę. Mięśnie Chase'a napięły się. Zaciśnął zęby i zamrugał nerwowo, ale się powstrzymał. Felicity próbowała odciągnąć Derricka z parkietu. Odepchnął ją.

- Ma problem - zauważył Chase, gdy Derrick zażądał kolejnego drinka.

- Nie tylko jeden - rzuciła Cassidy.

Chase utkwiał wzrok w jej bracie.

- Szuka zaczepki.

- Jak zawsze - wyjaśniła z zakłopotaniem Cassidy.

- Dlaczego tak nie cierpi Briga?

- Nie mam pojęcia. On jest zawsze zły. - Nie umiała wytłumaczyć zachowania brata i nie wiedziała, dlaczego tak się zmienił.

- Miły z niego chłopak - zadrwił Chase.

- Kiedyś był miły.

Ale to było dawno temu, kiedy byli mali.

Groźne chmury przysłoniły księżyc i gwiazdy. Podmuch wiatru ochłodził parne powietrze. Wśród dźwięków muzyki dał się słyszeć warkot motoru, który nagle ucichł.

Cassidy zeszytniała. Wiedziała, że to Brig przyjechał. Po kilku minutach zobaczyła, jak przechodzi przez oszklone drzwi z Angie u boku. Jej siostra miała rozwiane włosy, rozpalone policzki i błyszczące oczy. Ubrana była w różową suknię bez ramiączek, która podkreślała talię i przechodziła w spódniczkę, która wiła się wokół kolan. Szyję i nadgarstek dziewczyny zdobiły brylanty i perły.

Wszystkie oczy patrzyły na ukochaną córkę Reksa Buchanana i zbuntowanego chłopaka w czarnych dżinsach, marynarce i rozpiętej pod szyją białej koszuli.

Pod Cassidy ugięły się kolana. Z twarzy Chase'a zniknął uśmiech.

- Można było się tego spodziewać - wymamrotał pod nosem. - Nawet nie kupił sobie garnitur. I nie zawracał sobie głowy krawatem.

Brig przemierzył wzrokiem tłum i znalazł Cassidy, której zaparło dech. Miała wrażenie, że ktoś ścisną jej płuca imadłem i że ten uścisk z każdą sekundą zacieśnia się. Przez długą, pełną napięcia chwilę patrzyli sobie w oczy. Wydawało się, że świat wokół nich przestał istnieć. W skroniach Briga pulsowała krew. Cassidy skoczyło ciśnienie. Prawie zapomniała, że tańczy.

Angie szepnęła coś Brigowi do ucha. Na jego twarzy pojawił się leniwy, perfidny uśmiech. Splótł palce z jej dłońmi i pociągnął ją na parkiet. Za nimi niósł się śmiech Angie. Cassidy w jednej chwili poczuła się jak głupia gówniara, naiwna dziewczynka.

- Muszę porozmawiać z twoim bratem.

- Czemu?

Spojrzała na Chase'a. Przyglądał się jej w skupieniu. Zmarszczył brwi, a z jego oczu biła wściekłość. Zastanawiała się, czy zrozumiałby jej fascynację Brigiem.

- Bo usłyszałam, że dwóch chłopaków chce go pobić.

Chase roześmiał się ponuro.

- To zakrawa na kpinę.

- Oni mówili poważnie.

- Tylko dwóch? - Chase znowu spojrzał na Angie i Briga, którzy wirowali przy pianinie. - Da sobie z nimi radę.

Dlaczego on nie rozumie?

- Ale oni nie grają fair.

- Brig też nie. Nie martw się. Spojrzał na nią i zamiast wściekłości zobaczyła w jego oczach głęboką troskę. Na czole Chase'a pojawiły się zmarszczki. - Tylko nie mów mi, że masz na niego chrapkę.

Chrapkę. Miała jedynie dziewczęce marzenia.

- Ja... Ja tylko nie chcę, żeby coś mu się stało.
- Sam potrafi się o siebie troszczyć.
- Bobby Alonzo i Jed Baker...
- Robią tylko dużo szumu i tyle. - Westchnął jej we włosy i objął ją mocno, jakby chciał ochronić przed całym światem. - Nie przejmuj się nimi. - Potem, jakby czytając w jej myślach, dodał: - I nie patrz na Briga. To szkodzi. Uniosła głowę i chciała zaprotestować, ale surowy wzrok Chase'a ją powstrzymał i nie odezwała się.
Chłopak zawahał się, jakby ważył słowa, a potem zaklął pod nosem.

- Jesteś dla niego za młoda, Cassidy. Dla mnie też jesteś za młoda. Różnica polega na tym, że on złamie ci serce, a ja nie. Szanuję cię, twój wiek i to, kim jesteś. Mam honor. Brig nawet nie wie, co to słowo oznacza. A może dla niego oznacza zupełnie co innego. - Spojrzał na nią z powagą i pocałował ją delikatnie w skroń. Piosenka się skończyła. - Chyba powinienem zająć się moją towarzyszką.

Zostawił ją. Cassidy poczuła zarazem ulgę i rozczarowanie. Intuicja jej mówiła, że Chase Buchanan jest jak skała, a Brig jak wydmy - ciągle w ruchu, nieobliczalny, niebezpieczny. Ale przecież nie była w stanie zmienić swoich uczuć.

Może jednak będzie musiała, jeśli Angie i Brig się pobiorą.

Chase poszedł do barku i próbował stłumić w sobie zazdrość, która nim zawładnęła. Nie tylko Angie Buchanan interesowała się jego krnąbrnym bratem. Młodszej siostrze najwyraźniej też wpadł w oko.

- Poproszę podwójnego burbona z wodą i shirley temple. - Czekał na drinki, obserwując Angie i Briga. Chyba go prosiła, żeby zatańczył z nią jeszcze raz, ale on poszedł na patio, oparł się o balustradę, wytrząsnął papierosa z paczki i zapalił. Był zły, a to oznaczało kłopoty.

Chase nie mógł uwierzyć własnym oczom, Angie łąsiła się do jego brata, obejmowała go w pasie, ocierała się piersiami o jego marynarkę. Wtedy go olśniło. Angie i Brig byli kochankami. Poczł zazdrość i wściekłość. A potem strach - zniewalający, wszechogarniający strach. Jeżeli Brig sypia z Angie Buchanan, jego dni są policzone. Jej stary go zabije.

Ale Chase rozumiał brata. Cholera, myśl o seksie z Angie była podniecająca. Wiedział, że nie można jej się oprzeć. I że gra jest warta świeczki.

Chase odwrócił od nich wzrok i zignorował palenie w trzewiach. Podniecało go samo patrzenie na Angie, na jej piersi ściśnięte stanikiem bez ramiączek, wylewające się nad głęboki dekolot różowej sukienki. Boże, co on by dał, żeby spróbować tego z Angie Buchanan... Był tak samo napalony jak jego beztroski brat. Z tą tylko różnicą, że Chase był odpowiedzialny i poświęciłby życie, żeby móc kochać się z Angie.

- Pańskie drinki. - Głos barmana wyrwał go z marzeń. Jednym haustem wypił burbona z wodą. Zamówił następnego, żeby ugasić pragnienie, które nagle poczuł.

Zaniósł drinki do stolika, gdzie siedziała Mary Beth z rodzicami.

- Dziękuję. - Brązowe oczy Mary Beth przepelniała wdzięczność, którą raczył odwzajemnić. Wyczuł coś jeszcze, co jednak szybko udało jej się ukryć. Poczł się jak cham, przez to, że zostawił ją samą.

- Taniec... - oznajmiła matka Mary Beth, zaciskając wargi tak mocno, jakby musiała utrzymać w nich pasek torebki - ...to jest wymysł diabła.

Chase uśmiechnął się.

Na pani miejscu nie mówiłbym tego tak głośno. Chyba wielu z obecnych tu lubi tańczyć. Może im się nie spodobać zarzut, że tańczą na chwałę diabła.

- To straszne, ale muszę ci przyznać rację - przytaknął Chase'owi pastor. Poklepał swoją żonę po kościstym ramieniu, jakby była psem, który potrzebuje uznania. - To nie czas ani miejsce. Skorzystaliśmy z gościnności sędziego Caldwell'a i nie będziemy krytykować pewnych jej aspektów.

Zbuntowana Earlene Spears spojrzała na swoje złożone ręce. Szeptala do siebie, jakby się modliła. Chase przypomniał sobie lekcję wychowania fizycznego, kiedy burknął, że trener jest idiotą. Nauczyciel to usłyszał i kazał mu zrobić pięćdziesiąt pompek przed całą klasą. Za każdą nieudaną pompkę musiał zrobić pięćdziesiąt następnych. Skończyło się na trzystu. Wydawało mu się, że umrze. Tak został ukarany za wyszeptane słowa. Zastanawiał się, czy modlitwa Earlene, którą mruczała pod nosem, była pokutą, jaką musiała znieść za swoje głośno wypowiedziane zdanie. Nagle zrobiło mu się żal kobiety.

- Napije się pani? - Szybko podniosła wzrok, przełknęła głośno ślinę i spojrzała na męża, jakby pytała o pozwolenie.

Z twarzy Bartolomea zniknął uśmiech. Chase nie zwrócił na to uwagi.

- Może kieliszek wina albo piwa imbirowego?

- Bardzo chętnie. Wodę sodową - odpowiedziała nerwowo.

- Już się robi. - Uśmiechnął się do niej szeroko i złapał Mary Beth za ramię. - Chodź, pomożesz mi.

Twarz Mary Beth nabrała pąsowego koloru. Rumieniec dodał wyrazu jej twarzy. Była przeciętnej urody dziewczyną. Miała mały nos i małe oczy, którymi cały czas mrugała, pewnie z powodu szkieł kontaktowych, które nosiła zamiast grubych okularów. Miała wystające kości policzkowe. Chase sądził, że gdyby się lekko umalowała, byłaby całkiem ładna. Miała dwadzieścia dwa lata i niedawno skończyła szkołę biblijną, ale ciągle zachowywała

się tak, jakby była nieśmiałą, zahukaną siedemnastolatka.

Był zaskoczony, gdy wpadł na nią w aptecę, gdzie kupował parę opakowań aspiryny i tubkę maści dla matki. Z grzeczności powiedział jej: cześć, a ona podchwyciła rozmowę, a potem patrząc na niego nieruchomo, zaprosiła go oschle i bardzo nieśmiało na przyjęcie do Caldwellów. Zgodził się tylko dlatego, że chciał poznać elitę Prosperity, Portland i Oregonu. Teraz czuł się jak ostatni cham. Zostawił ją już dwa razy. Raz, żeby porozmawiać z Jakiem Berticellim, właścicielem największej kancelarii prawniczej, a drugi raz, żeby zatańczyć z Cassidy.

Przypomniał sobie, że najwyższa pora zająć się nią. Uśmiechać się i okazać jej trochę zainteresowania... Choć przez chwilę. Jego wzrok znowu pobiegł w stronę Angie. Boże, jaka ona była piękna... Jak księżniczka.

W barze zamówił piwo imbirowe, a dla siebie kolejnego burbona z wodą, starając się nie widzieć, że Cassidy stoi sama. Nie pasowała do tego miejsca, a przecież powinna się wyśmienicie bawić. Była na swój sposób interesująca. Dość ładna, ale w porównaniu z przyrodnią siostrą przeciętna. Sprawiała wrażenie osoby błyskotliwej i o wiele mądrzejszej od Angie, chociaż była jeszcze kościstym dzieciakiem i kuśtykała w pierwszych pantoflach na wysokich obcasach. Z wiekiem pewnie wyładnieje i będzie pociągająca. Problem w tym, że ona najwyraźniej była zafascynowana Brigiem. Jak Angie. Chase zacisnął zęby, bo bardzo go to zabolalo.

- ...gdzieś tutaj, w okolicy Portland? - spytała Mary Beth, mrugając. Dotarło do niego, że znowu ją zlekceważył. Spojrzała tam, gdzie on i zamarła, gdy rozpoznała Cassidy.

- Słucham?

- Pytałam, czy chcesz podjąć praktykę prawniczą gdzieś w okolicy.

- To zależy. - Wyciągnął rękę i odebrał dwa drinki.

- Od czego?

- Chyba od propozycji.

- Myślałam, że będziesz chciał tu zostać z powodu mamy.

Coś w jej głosie przykuło jego uwagę. Ten sam świętoszkowaty ton, który słyszał od kobiet z kościoła, które próbowały pomóc, gdy jego brat Buddy niemal się utopił. Nagle czas przestał istnieć i Chase cofnął się myślami o kilkanaście lat. Przypomniało mu się, jak jechał na rowerze i zobaczył zdechłego kota przywiązanego do ich skrzynki na listy. Zwierzę miało wytrzeszczone oczy, a do smrodu zlatywały się muchy. Zebrało mu się na wymioty. Chyba z tysiąc razy zastanawiał się, czy sprawcą tego morderstwa nie był pobożny pastor albo któryś z jego naśladowców.

- Mama potrafi się sama o siebie zatroszczyć. - Ścisnęło go w gardle. Nie miał zamiaru się bronić. Nie tutaj, nie teraz.

- To dobrze. - Mary Beth uśmiechnęła się szczerze, ale Chase w dalszym ciągu czuł fałsz. - Mój ojciec się troszczy o wszystkich, niezależnie od tego czy są chrześcijanami, czy nie.

- A mama nie jest?

- Nie wiem. - Pociągnęła łyk drinka. - A jest?

Pomyślał chwilę o swojej zwariowanej matce i o tym, że sam chciał ją wysłać do psychiatry.

- Mama jest po prostu niekonwencjonalna. - Usłyszał, że jego głos jest ostry. Poczł pot w dole kręgosłupa. Chociaż dorastał we wstydzie i poniżeniu z powodu ekscentrycznej matki, nie pozwolił jej nikomu krytykować. - Ale jest najuczciwszą i najporządniejszą istotą, jaką znam.

Mary Beth uniosła brwi ze zdziwienia.

- To dlaczego twój ojciec... - Urwała, zarumieniła się i pokiwała głową. - Nieważne,

- Nie. O co chciałaś zapytać? - Nie dawał za wygraną, nie zauważając, że zmieniała się muzyka i że płyną dźwięki piosenki Eltona Johna.

- O nic.

- Dalej, powiedz.

- Naprawdę, Chase, to tylko głupia myśl.

Szczęka zadrżała mu w nerwowym tiku.

- Co chciałaś wiedzieć o moim ojcu?

Nerwowo oblizła wargi, spuściła wzrok, a potem podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Z jej oczu można było wyczytać ciekawość i coś jeszcze, coś mrocznego i poważnego.

- Dlaczego twój ojciec odszedł?

To pytanie dręczyło Chase'a przez całe życie. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Nosił w sobie poczucie winy. Przez niego? Dlatego, że nie udało mu się uratować brata?

- Nie wiem - przyznał. Poczł się tak samo bezsilny jak wtedy, gdy miał pięć lat. - Ale to chyba miało jakiś związek z Buddym, moim młodszym bratem...

- Tak, wiem...

- Buddy się prawie utopił. I wtedy tata zniknął. Któregoś dnia po prostu wyszedł do pracy i nigdy nie wrócił.

- Nie miałeś od niego żadnych wiadomości? Przecież jest twoim ojcem.

Chase poczuł znajomy ból. Poradził sobie z nim tak jak umiał. Wychylił drinka i nie odpowiedział. Nie chciał myśleć o tym, dlaczego Frank McKenzie porzucił rodzinę. Często się nad tym zastanawiał, tak samo jak

zastanawiał się nad tym, co się stało z Buddym. Ale nigdy o to nie pytał. Te tematy były w ich domu tabu. Za każdym razem, kiedy ktoś ośmielił się wspomnieć o Franku albo Buddym przy Sunny, zamykała się w sobie i na długie dni zatracala się w jakimś ciemnym, odległym świecie.

- Chodź, bo zagrzeje się napój dla twojej matki. - Z uśmiechem, który wyćwiczył w ciągu lat, zaprowadził Mary Beth do namiotu, gdzie w dalszym ciągu siedzieli państwo Spearsowie. Podał wodę pani pastorowej.

- Dziękuję. - Spodobało jej się, że ktoś zrobił dla niej coś miłego.

- Nie ma za co. - Chase wytłumaczył samemu sobie, że musi się uspokoić, przestać zaprzętać sobie tym głowę, zapomnieć o zdenerwowaniu, któremu jego brat zawsze dawał się ponieść. To było najgorsze miejsce na roztrząsanie przeszłości. Wspomnienia dopadły go jednak, gdy zobaczył z jakim zainteresowaniem Mary Beth pyta o jego rodzinę. Przypomniał mu się zdechły kot i panie z kościoła pastora Spearsa, które usiłowały skłonić Sunny, żeby oddała dzieci, przekonując ją szeptem, że nie nadaje się na matkę. Zastanawiał się, tak jak przez całe lata, czy to nie Spears stał za ostrzelaniem ich szyldu i czy zdechły kot... Całą jego samokontrolę diabli wzięli. Z uśmiechem zwrócił się do pani Spears:

- Jeżeli można, chciałbym zatańczyć z Mary Beth.

- Wykluczone! - Pastor rogiem serwetki otarł z ust sos.

- Skończyła już osiemnaście lat i jest na tyle dorosła, że sama może o sobie decydować, nie sądzi pan? - Znowu zaprezentował wystudiowany uśmiech.

- Ona nie będzie uczestniczyła w żadnych hedonistycznych rytuałach. - Zbielały mu wargi. - To szatańska sprawa, chłopcze.

- Mary Beth, siadaj - nakazała łagodnie Earlene.

Mary Beth usiłowała wyzwolić dłoń z ręki Chase'a, ale chłopak trzymał ją mocno, jak w śmiertelnym uścisku.

- Co ty na to. Mary Beth? Nie powinniśmy o tym decydować za twoimi plecami. Zatańczysz ze mną?

Dziewczyna zawstydyła się.

- Proszę cię, Chase...

- Nie chcesz ze mną zatańczyć?

- Nie o to chodzi, ale...

- Dość tego! - syknął pastor. Uderzył rękami o stół i wstał, prezentując się w całej okazałości. Miał metr osiemdziesiąt trzy wzrostu. Wyglądał imponująco. Jego rysy były ostre, dłonie wielkie, a głos jednocześnie szeptał i grzmiał. Spojrzał na Chase'a z góry. Awantura wisiała w powietrzu.

- Słyszałeś, co ona powiedziała, chłopcze. Nie chce z tobą tańczyć.

- Chyba może mówić sama za siebie.

W tłumie rozległ się szmer, rozmowy umilkły, kostki lodu przestały dzwonić w szklankach. Ludzie zamarli na parkiecie i nawet dźwięki starego przeboju Beatlesów umilkły, bo pianista zdjął palce z klawiatury.

Chase czuł, że wszyscy na niego patrzą. Spojrzenia prawie paliły materiał wypożyczonego smokingu. Rex Buchanan, jego szef, najbogatszy człowiek w Prosperity, sędzia Caldwell, gospodarz przyjęcia i ludzie, do których mógłby się zgłosić, gdyby zdał egzamin na aplikację adwokacką - Jake Berticelli i Elliot Barnes, znani miejscowi prawnicy. Wszyscy tu byli. I patrzyli na niego. Wkrótce miał się zjawić gubernator i nowo wybrany senator. Uważaj, ostrzegał go wewnętrzny głos. Nie schrzań tego! Zbyt długo pracowałeś na to, żeby się tu znaleźć. Nie rób zadymy tylko dlatego, że temu gnojnikowi wydaje się, że jest lepszy od ciebie i twojej matki.

- Mary Beth, zbieraj się - nakazał cicho pastor. Spojrzał na tłum i zorientował się, że wszyscy na niego patrzą. - Earlene, chyba powinniśmy już pójść.

- Dopiero, kiedy dostanę mój taniec. - Palce Chase'a wbiły się w dłoń dziewczyny.

- Wykluczone, synu. Chyba nie wydaje ci się, że moja córka zatańczy z synem kobiety, która zajmuje się czarami i satanizmem... - Ugryzł się w język i odkaslnął. Szybko ukrył złość pod maską dobrotliwej troskliwości. - Posłuchaj, chłopcze. Nie powinniśmy robić scen. To jest przyjęcie pana Caldwell'a i jego cudownej żony.

- Obraził pan moją rodzinę - wypomnił mu Chase.

- Nie chciałem. Modlę się za twoją matkę i wszystkie zbłąkane dusze, które przychodzą do niej po radę zamiast szukać prawdy naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Każdej nocy klękam przed ołtarzem naszego ukochanego Ojca i modlę się, żeby porzuciła szatańskie praktyki i przestała oddawać hołd Lucyferowi.

- Nie ma pan o tym zielonego pojęcia.

- Ona ma problemy, synu.

- Idź do diabła!

Brigowi wystarczyło to, co usłyszał. Widział Chase'a z Mary Beth i zauważył ogień w oczach brata. Zakładał sobie pętlę na szyję. Ci ludzie z przyjemnością na zawsze przekreślą Chase'a McKenziego. Jeżeli wywoła awanturę na przyjęciu u Caldwell'a, może pożegnać się z karierą prawniczą w Prosperity i pewnie w Portland. Idiota. Brig podniósł się z krzesła i podszedł do brata.

- Uspokój się.

- To nie twoja sprawa.

Brig uśmiechnął się szeroko.

- Nie przepuszczam żadnej awantury.
- No, dość chłopaki, dajcie spokój - wtrącił się Sędzia, rozkładając ręce w geście łagodnej prośby, ale z jego oczu biła wściekłość. Jego żona, Geraldine, podeszła szybko do pianisty, udzieliła mu instrukcji i po chwili w parnym nocnym powietrzu rozległy się dźwięki *In the Mood*.
- Zapłacicie za to, obaj - zapowiedział pastor Spears i poprowadził żonę i córkę przez tłum. - Sąd Ostateczny jest blisko.

Brig prychnął.

- No to do zobaczenia. - Wziął winogrono z sąsiedniego stołu i wsadził sobie do ust. Spojrzał na brata. - Chłopie, nie masz pojęcia, jak robić wrażenie.

- Przestań. - Chase niecierpliwie zanurzył palce we włosach. - Chyba właśnie poderznięłem sobie gardło. - Spojrzał na prawników, którzy pracowali dla Jake'a Berticellego, ale oni zdążyli odwrócić wzrok. A do cholery z nimi!

- Może nie - pocieszył go Brig. - Może niektórym spodoba się krewki prawnik, który potrafi postawić się temu nadętemu dupkowi.

- Ale niektórym się nie spodoba. - Ludzie powrócili do przerwanych rozmów. Chase trochę się rozluźnił. - Chyba zostałem sam.

Mary Beth obejrzała się przez ramię, ale ostro ponaglona przez matkę, przyspieszyła kroku.

- Jej strata.

- A co z tobą? Gdzie Anioł?

Brigowi lekko zadrżały usta.

- Angie? W łazience.

- Pomyślałem, że może mógłbym z nią zatańczyć.

- Będziesz się musiał ustawić w kolejce. - Brig wyjął papierosy z kieszeni. Miał rację; nie powinien tu przychodzić.

- Martwisz się tym?

Brig wyjął camela.

- Wszystkim się martwię.

Osuł koniec papierosa i zapalił. Zobaczył, że przy różanym ogrodzie porusza się biała suknia. Zakotłowało się w nim, bo rozpoznał Cassidy z jakimś chłopakiem, Rustym jakimś tam. Rusty najwyraźniej miał ochotę na rozmowę, ale Cassidy chyba chciała, żeby zostawił ją w spokoju.

- Interesuje cię młodsza? - spytał Chase.

Brig wypuścił z niesmakiem chmurę dymu.

- Młodsza, to niby kto?

- Nie obrażaj mnie i nie rób ze mnie durnia. Wiesz, o kim mówię. O Cassidy Buchanan. Rozglądałaś się za nią, jak tylko wszedłeś, chociaż u twojego ramienia wisiała jej siostra. Kiedy zobaczyłaś, że tańczy z Cassidy, wyglądałaś jakbyś chciał mnie pobić.

- Jesteś dla niej za stary.

- Ty też.

- Ale ona mnie nie obchodzi.

- Akurat. - Chase podrapał się w brodę. - Lepiej uważaj, Brig. Siostrą może się nie spodobać, że facet nie potrafi się zdecydować. A przy okazji, ona się o ciebie martwi. Twierdzi, że Jed i Bobby chcą cię sprać.

- A czy to nowina? - Brig nie przejął się.

- Jej na tobie zależy.

- Powiedziałem ci, że nie interesuje mnie żadna z córek Buchanana.

- Jasne - przytaknął mu Chase z nieskrywanym sarkazmem. - A ja jestem pierwszym kandydatem do kanonizacji na liście pastora Spearsa.

Cassidy poczuła ciepłą dłoń na ramieniu. Zamknęła oczy.

- Zatańczymy? - Palce Briga rozpały jej skórę.

- Nie - rzuciła szybko. - Lepiej idź stąd. Jed i Bobby wykopali topór wojenny.

- Słyszałem.

Odwróciła się i spojrzała na niego błagalnie.

- Oni są niebezpieczni.

- Tylko dużo gadają. To smarkacze.

- Tylko im tego nie mów.

- Więc jak, zatańczymy?

Serce zabiło jej mocniej, ale natychmiast sobie przypomniała, że Angie ma zamiar za niego wyjść. Jej marzenia prysnęły.

- Chyba nie.

- Z Chasem zatańczyłaś.
- Wykręcił mi rękę.
- Brig się uśmiechnął.
- A więc tak z tobą trzeba? - Zacieśnił uścisk.
- Serce łomotało jej jak szalone. On chciał z nią być.
- A co... co z Angie? - Odwróciła się do niego twarzą. Miał dziwny wzrok, jakby był na torturach.
- Jej karnet tańców jest już pełen.
- Myślałam, że chce być z tobą.
- Do końca życia.
- Poczekaj.

Zamiast zaprowadzić Cassidy na parkiet, zaciągnął ją za gęste zarośla, do ogródka i wziął ją w ramiona. Czubkiem palca podniósł jej brodę, zaklął, a potem przywarł ustami do jej warg. Smakował tytoniem i wódką. Trzymał ją tak blisko siebie, że czuła kształt jego napiętego i czekającego ciała. Zamknęła oczy i przyłgnęła do niego. Całowała się z nim namiętnie. Serce waliło jej jak młotem, nie mogła oddychać, nic nie słyszała i nie była w stanie myśleć. Głęboko w niej obudziło się palące pożądanie.

Muzyka ucichła, a cienie wokół nich stały się ciemniejsze. Trzymał ją przy sobie, całował łakomie i przesuwiał dłońmi po jej plecach, gładząc jej skórę.

Oderwał od niej wargi. W jego oczach znowu pojawiło się cierpienie. Brig dotknął czołem jej czoła i westchnął.

- Nie, nie, nie.
- Co? - Była oszołomiona i podniecona tym, że ją znalazł, zaciągnął do ogrodu i przytulał, choć pewnie tego nie chciał. Teraz walczył sam z sobą.
- Chciałem ci powiedzieć, że to koniec.
- Koniec czego?

Westchnął ciężko. Spojrzał jej w oczy. Poczula paraliżujący strach.

- Wszystkiego. To, co jest między nami, jest złe. Oboje o tym wiemy. Ty chcesz rzeczy, których nie mogę ci obiecać, a mimo to jestem gotów ci je obiecać. Do diabła, Cass. Nie jestem dla ciebie odpowiedni. Nie powinniśmy nawet o tym rozmawiać.

Usiłowała zaprotestować, ale on potrząsnął przecząco głową, zanim zdążyła wydobyć z siebie słowo.

- Przestaję pracować dla twojego ojca.
- Nie!
- Ale dlaczego...?
- Są pewne rzeczy... - załamał mu się głos. Spojrzał w niebo, po którym bezgłośnie przesuwwały się chmury, zasłaniając gwiazdy. - ...rzeczy, których o mnie nie wiesz. Rzeczy, których nie chciałabyś wiedzieć. Rzeczy, które...
- Nie obchodzi mnie to.
- Mylisz się. - Wiatr poruszył gałęziami nad ich głowami i uniósł szept Briga. W ciemności wyglądał na starszego niż w rzeczywistości.
- To mi powiedz i pozwól, żebym sama osądziła.

Ale nie chciała wiedzieć. To znaczy nie chciała słuchać ohydnych wyznania o tym, co robił z Angie. O tym, że od tygodni są kochankami, że zabawił się z Cassidy i popełnił wielki błąd. I że ożeni się z jej przyrodnią siostrą. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że on się zakochał w Angie. Nie tylko dał się jej uwieść, ale sam się w niej zakochał. Jak wszyscy inni.

- Jesteś za młoda, Cass.
- A ty się boisz. - Odsunęła się od niego. Czuła się ponizona i upokorzona. Gorące łzy zaczęły ją palić w oczy, a potem popłynęły po policzkach.
- Boję się? Czego?
- Mnie. - Wbiła kciuk w swoją kruchą klatkę piersiową.

Chwycił ją dużymi dłońmi za nadgarstek. Uśmiechnął się sardonicznie, ale nie zaprzeczył.

- Chciałem się tylko pożegnać.

Poczula się odrzucona. Jej dziewczęce marzenia prysnęły. Wyszarpnęła rękę z dłoni Briga.

- Idź do diabła - powiedziała szeptem, zaskoczona swoją porywcznością. Odwróciła się i zniknęła w ciemności.
- Wierz mi, że już tam jestem.

Słowa Briga pomknęły za nią, ale się nie zatrzymała. Nie słuchała. Myślała tylko o tym, jak przebiec przez ogrody w tych cholernych szpilkach. Dałaby wszystko, żeby cofnąć czas. Żeby nie znać Briga McKenzie, nigdy go nie pocałować i nie być tak głupią, żeby oddać mu serce.

Łup!

Ból mało nie rozsadził głowy Briga. Tętniło mu w skroniach. Spadł z motoru. Upadł twarzą na ostry żwir. Harley

odskoczył na drugą stronę podjazdu i wylądował przy płocie. Brig poczuł krew, ale nic nie widział.

- Gdzie ona jest? - rozpoznał głos Jeda Bakera.

Walczył, żeby odzyskać świadomość. Zamroczony, spojrzął w górę. Stał nad nim Jed. Oświetlało go nagle światło z okien baraku. Chłopak ciężko dyszał, a z jego twarzy biła nienawiść. Wrzeszczał na Briga. Jego zęby błyszczały w ciemności. W umięśnionej ręce trzymał kij baseballowy.

- Gdzie jest Angie?

- A co ci do tego?

- Ty kundlu, mów! Gdzie ona jest?

Brig próbował wstać, ale kręciło mu się w głowie.

- Nie twoja sprawa.

- Raczej nie twoja. Zostaw ją w spokoju. Słyszysz, koleś? - Jed mocniej ścisnął kij. Brig przewrócił się na bok. Dostał w ramię. Kij uderzył o ziemię. - Nie weźmiesz jej. Ona jest moja.

- Może powinienes jej o tym powiedzieć? - Brig skulił się, ale Jed walnął go z całej siły kijem w plecy. Poczul ból wzdłuż kręgosłupa. Zahuczalo mu w głowie. Upadł na kolana. Żwir przebił mu dzinsy.

Jed roześmiał się i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Trzymaj się od niej z daleka, synu indiańskiej dziwki.

Brig zerwał się na równe nogi. Był wściekły. Splunął, zdrętwiałymi palcami chwycił koniec kija baseballowego i kopnął Jeda w krocze.

Chłopak z jękiem upadł na ziemię. Brig wyszarpnął mu kij z ręki i zamachnął się.

- Uważaj!

Kij ze świstem uderzył Jeda w ramię. Chłopak wrzasnął jak skopany kot. Był ogłuszony. Następne uderzenie. Jed oberwał w zębra. Z kija poleciały drzazgi. Dał się słyszeć przeraźliwy jęk.

- McKenzie, nie daruję ci tego!

Brig nie przejął się pogrozkami Jeda. Uderzył go w nos. Chłopak skowycząc, upadł na ziemię. Zakrywał rękami usta i nos. Płakał jak niemowlę i błagał Briga, żeby przestał. Krew ciekła mu przez mięsiste palce, którymi ścisnął nos.

- Zasłużyłeś sobie, ty bezczelny sukinsynu! - Brig dyszał. Pot ciekł mu po twarzy. Zamachnął się kijem zza głowy. Chciał mu zamknąć gębę na zawsze.

- Przestań! - W ciemności rozległ się głos Sunny. - Brig! Przestań natychmiast!

Z nieba spadły pierwsze krople deszczu.

Brig zacisnął palce na śliskim drewnie.

Jed zasłonił się i wybełkotał:

- Nie możesz tego zrobić. Nie możesz. - Szlochał histerycznie. Miał mokre spodnie. Krew leciała mu z nosa i z ust. - Ty pieprzony łajdaku! Indiański skurwielu!

Kij wyślizgnął się Brigowi z rąk.

- Wynos się stąd.

- Zapłacisz mi za to!

- Zjeżdżaj!

Sunny zbiegła ze schodów i przyjrzała się obu chłopakom. Długie czarne włosy przyprószone siwizną opadały jej na ramiona. Skórzany płaszcz powiewał na wietrze.

- Zadzwoń po pogotowie.

- Nie! - Jed się poderwał. Mało nie upadł, ale jakoś utrzymał się na nogach.

- Jesteś ranny. Obaj jesteście ranni.

- Nie potrzebuję od ciebie pomocy, Indianko. Ani od żadnego szarlatańskiego lekarza. To pić na wodę - zadrwił. Jego oczy pociemniały. Kapały z nich łzy. - Doniosę o tym szeryfowi. Oskarżę cię, McKenzie. Nie możesz bezkarnie napadać ludzi.

- Spróbuj tylko.

- No spróbuj - rzuciła Sunny i zanim Jed zdążył zareagować, chwyciła go z całej siły za rękę.

- Puszczaj! - Usiłował się wyrwać.

W oczach Sunny pojawił się dziwny blask.

- Dobrze. Idź i donieś władzom, a oni dojdą prawdy. O Brigu. O tobie. O Angie Buchanan... Ta krew... - otarła kroplę z jego brody - ...udowodni, że kłamiesz. Lekko drżał jej głos. Wysokim tonem zaczęła coś nucić, chyba w języku Indian Cherokee, ale Brig nie był pewien. Sunny zamknęła oczy i zaczęła się kołysać w rytm monotonnej litanii.

Jed się wzdrygnął. Przewrócił oczami ze strachu.

Gdy Sunny śpiewała, chłopak otrzeźwiał.

- Puszczaj mnie, ty indiańska czarownico! - wrzasnął. Oczy niemal wyskoczyły mu z orbit. - Co ona wyprawia?

- Nie wiem, ale to brzmi jak przekleństwo - odpowiedział Brig, nieźle się bawiąc. Mama kpiała sobie z Jeda. I bardzo mu dobrze, bo sobie na to zasłużył.

- Zostaw mnie w spokoju!

Śpiew nie ustawał. Zagłuszał przejmujący wiatr, którego podmuch sprzątnął spod ich nóg pierwsze suche liście. Był nawet głośniejszy niż warkot silnika motoru, którego koła nie przestawały się kręcić.

Jed się wyrwał, ale wpadł do dziury, którą Chase zapomniał zasypać. Szybko się jednak pozbierał.

- Niech was wszyscy diabli! - wrzasnął, dobywając głos ze ściśniętego z przerażenia gardła. - Niech was szlag trafi!

W ciemności przemknął kot. Jed uciekał co sił w nogach. Chwilę później rozległ się dźwięk zapalnego silnika corvetty Jeda. Samochód zawył przeciągle i ruszył z piskiem opon. Silnik ucichł, a zawyły zmieniane biegi. Po chwili hałas ucichł w ciemności.

- Krzyż na drogę - powiedziała Sunny.

- Co zrobiłaś? - spytał matkę Brig.

Wyciągnęła ręce i dotknęła jego czoła. Skrzywił się.

- Musisz się nauczyć walczyć z przeciwnikiem głową, a nie pięściami.

- Jesteś oszustką, mamó.

- Tylko wtedy, gdy muszę. - Jej oczy były spokojne i ciemne. - Ale widzę wokół ciebie kłopoty, Brig. Naprawdę. Znacznie poważniejsze niż ten pętał.

- Zobacz, mamó. Zaczynasz wierzyć we własne bajki.

- To nie bajki.

- Bzdura.

- Zakpiłam z syna Bakerów, ale to wcale nie znaczy, że to bajki. Jeda trzeba było porządnie przestraszyć. Ale to, co widzę wokół ciebie i Chase'a jest najprawdziwszą prawdą.

- Chyba nawet za bardzo przestraszyłaś Jeda.

- I dobrze. - Spojrzała na drogę. Na jej gładkim czole pojawiły się zmarszczki. - Już więcej nikogo nie napadnie.

- Słuchaj, nie martwię się o siebie ani o Chase'a - skłamał Brig, ocierając pot z czoła. Poczul, że rzęsisty deszcz pada mu na głowę.

- A powinieneś.

- Muszę iść...

- Poczekaj. - Spojrzała w niebo i zmarszczyła brwi, widząc chmury, które przesłaniały księżyc. - Musisz mi opowiedzieć o przyjęciu u Caldwellów. Wcześniej wróciłeś.

- Było nudno.

- I były problemy.

- Zgadujesz, czy masz wizję?

Założyła ręce pod biustem

- Następnym razem przeklnę ciebie - zażartowała, ale nie było jej do śmiechu. Zagryzła wargi, patrząc na zakrwawiony kij.

- Było trochę zamieszania, ale nic poważnego się nie stało - skłamał. - Nikt się nawet nie pokwapił, żeby wezwać policję. - Otrzepał kurtkę i podniósł motor. Miał poważne kłopoty. Naprawdę poważne. Nie chodziło tylko o kilka obelg pod adresem Sunny ani parę uderzeń kijem baseballowym. Pomyślał o Cassidy i poczul wyrzuty sumienia. Cholera, ta dziewczyna dała mu się we znaki. Na dodatek miał urwanie głowy z jej siostrą. Angie. Dziwnie się dzisiaj zachowywała. Nie kokietowała go. Była chyba przygnębiona. Nie odstępowała go na krok, a po chwili flirtowała i tańczyła z innymi chłopakami, którzy łazili za nią watachą. Kiedy Brig miał już dosyć wystawnego przyjęcia i snobistycznych gości, namówił ją, żeby wyszli. Zgodziła się. Poszli ścieżką między drzewami przy domu. Angie się rozplakała. Zaciągnęła go do składziku przy szklarni.

- Co ci jest? - spytał podejrzliwie, bo jej nie ufał.

- Nic.

Nie wierzył jej. Angie Buchanan kręciła całym światem wokół siebie. Jednak po jej ładnej twarzączce spływały łzy. Czul, że ma jakieś kłopoty. Kłopoty, których on nie potrzebował.

- Pomóż mi, Brig.

- Jak?

- Przytul mnie.

- Angie, chyba pora wracać do domu.

- Jeszcze nie. - Była zrozpaczona. Opuściła górę różowej sukni, odsłaniając kusząco jedną pierś. Chciała mu się oddać.

- Na miłość boską, załóż to na siebie!

- Proszę cię, Brig... - Chwyciła go za rękę i położyła ją na swoim jędrnym ciele. Patrzył, jak brodawka jej piersi stwardniała w oczekiwaniu. Pozwalała mu czuć ogień i płomienie, które w niej płonęły. Miał dziewiętnaście lat. A ona była taka pociągająca. - Pozwól, żebym cię zadowolila - wyszeptala. - Jak wtedy... Pamiętasz?

W skroniach Briga pulsowało pożądanie. Jej skóra była gładka jak jedwab. Musiał włożyć wiele wysiłku, żeby oderwać od niej ręce. Angie była nieugięta. Przyciągnęła palce Briga na drugą stronę sukni. Pomogła mu zsunąć z

siebie materiał. Piękne wypukłości piersi oświetlał blady księżyc.

- Lubisz mnie. Wiem, że mnie lubisz. Pamiętam...

Poczuł wstyd, ale serce płonęło mu w niecierpliwym oczekiwaniu. Jego męska natura go zdradziła, gdy Angie przysunęła się do niego i pocałowała go namiętnie w usta, ocierając się nagimi piersiami o jego koszulę. Była kusząca i pociągająca. Krew w nim wrzała. Wszystko przestało się liczyć. Chciał się tylko w niej zatracić. Wobec Cassidy zachował się jak szlachetny rycerz, mówiąc jej, że się więcej nie zobaczą. Więc dlaczego miałby nie skorzystać z tego, co Angie tak chętnie chciała mu dać? Pociągała go. Już raz ją przecież pieścił, kiedy okazała się na tyle głupia, żeby pokazać mu się nago.

Boże, zachował się wtedy jak napalony ogier. Ale wtedy jeszcze nie wiedział, że Cassidy go pragnie. Od tamtej chwili jego myśli kręciły się tylko wokół szesnastolatki. Ale ona była dla niego za młoda, zbyt naiwna. Zasługiwała na coś lepszego. Nieważne, co on do niej czuł... A Angie... Cholera, była niezła. Zaciśnął zęby i odsunął ją od siebie.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Jest.

- Ubierz się. Odwiozę cię do domu. - Zamknął oczy, starając się otrzeźwieć i oczyścić umysł z palącego pożądania. Usłyszał zapraszający odgłos rozpinanego zamka.

- Nie...

Otworzył oczy i zobaczył, że suknia Angie leży na trawie u jej stóp niczym różana kałuża. Dziewczyna stała przed nim tylko w jedwabnych figach, które zachodziły jej nisko na biodra, ukazując linię opalenizny. Różowa koronka ledwie przesłaniała włosy na łonie.

- Ubierz się. - Jego głos był szorstki, ale nie stanowczy.

Podeszła do niego, rozchylając pełne i wilgotne usta. Wspięła się na palce i objęła go ramionami za szyję. Wyginała się i ocierała o niego piersiami. Zaczęła go całować.

- Ożeń się ze mną, Brig - wyszeptła mu w otwarte usta. Przywarła do niego. Majtki uwodzicielsko przesuwały się po wybrzuszeniu jego dżinsów. Objęła nogą jego udo i zaczęła przesuwać ją w górę i w dół, zostawiając gorący, wilgotny ślad na jego dżinsach, którego zapach czuł do tej pory. - Ożeń się ze mną, a będę na zawsze twoja.

Teraz, kiedy odchodził od matki, żeby podnieść motocykl, już wiedział, co powinien zrobić.

- Brig, nie...

- Później, mamó. - Nie przejął się tym, że pada deszcz. Wsiadł na harleya i wjechał na drogę do miasta. Musiał wyjaśnić kilka spraw.

- Przysięgam, że uduszę go gołymi rękami. - Cassidy po raz pierwszy widziała tak pijanego Derricka. Przeszedł przez gabinet do pokoju ojca, w którym na ścianach wisiały rzadkie okazy broni.

- Kogo? - Serce jej łomotało. Szła za nim przez dom. Przed chwilą z piskiem opon wjechał na podjazd i narobił takiego hałasu, że szybko zbiegła po schodach. Stał w korytarzu, kłął i darł się, zamroczony złością.

- McKenziego, a kogo! - Usiłował otworzyć gablotę, ale była zamknięta. - Sukinsyn! - Wrócił do gabinetu, wysunął szufladę biurka, wyrzucił z niej długopisy i dokumenty i w końcu znalazł pęk kluczy. Wtoczył się z nimi do pokoju z bronią.

Cassidy była przerażona. W domu nie było nikogo. Wymówiła się bólem głowy i państwo Taylor odwieźli ją do domu. Ledwie zdążyła się przebrać, gdy usłyszała jak Derrick z hukiem wpada do domu, potykając się, przeklinając i przyrzekając, że się zemści.

Na Brigu.

Wsadził klucz do drzwiczek. Nie ruszył się.

- Cholera!

- Dzwonię do taty - ostrzegła go.

- No to dzwoń. Gdy się dowie, że Brig McKenzie pieprzy się z Angie, to też mu dowali.

Cassidy poczuła mdłości. Mało nie zwymiotowała. Oparła się o framugę drzwi.

- Nie wiesz, że...

- Nie? - Wsadził w zamek inny klucz i nic. - Niech to diabli! - Trzeci i czwarty klucz nawet nie zmieścił się do dziurki. - Angie sama mi powiedziała. To się ciągnie między nimi, odkąd się tu zjawił, a może nawet wcześniej, nie wiem. Pewnie dlatego chciał u nas pracować, żeby się do niej zbliżyć.

- Nie...

- O, Boże, Cassidy, dorośnij! Wiesz, jakim wielkim człowiekiem mógłby się poczuć, mając córkę Buchanana? Byłby najszcześniejszy na świecie. Po latach płaszczenia się przed naszym ojcem, wreszcie by mu dorównał. Przeliczył się, bo Angie się tylko wydaje, że za niego wyjdzie. - Wyszczерzył zęby. Krew pulsowała mu w skroniach. Kopnął w drzwi. Posypało się szkło. Sięgnął ręką przez potłuczoną szybę i wyciągnął strzelbę.

Przerażenie ścisnęło Cassidy za gardło.

- Nie...

- On się z nią nie ożeni. Nigdy więcej jej nie dotknie. Już ja się o to postaram. - Jego oczy miały błyskawice. -

Tym razem przeleciała niewłaściwą kobietę.

Cassidy chwyciła go za ramię i rzuciła się na niego. Ręka Derricka opadła pod ciężarem jej ciała. Rozluźnił palce. Strzelba upadła na podłogę.

Cassidy w mgnieniu oka podniosła broń i wycelowała z dwururki w klatkę piersiową brata. Drżały jej nogi, ale strzelbę trzymała pewnie.

- Idź na górę, Derrick. Jesteś pijany i bredzisz bez sensu. Prześpij się wytrzeźwiej.

- Co? Ty masz zamiar mnie zastrzelić, gdy ja chcę bronić honoru naszej siostry? Ludzie!

- Niech Angie broni się sama.

- Boże drogi, Cassidy, przecież ty ryczysz, gdy strzelam do jaskółki czy jakiegoś cholernego kota. Nie strzelisz do mnie.

- Strzelę. Przysięgam, Derrick! - Serce łomotało jej w piersi. Miała spocone dłonie. Zaciśnęła palce na spuście. - Jeśli myślisz, że będziesz ścigał Briga z tą strzelbą i... oj!

Derrick chwycił broń za lufę i wyrwał ją z zaciśniętych palców siostry.

- Jesteś tak samo zła jak ona - warknął. - Bez przerwy łazicie za tym mieszańcem. Daj mi spokój.

- Nie możesz...

- No to patrz! - Wypadł z pokoju i zbiegł na dół, na korytarz. Cassidy miała na nogach pantofle na obcasach. - Zostanę miejscowym bohaterem, jeśli załatwię McKenzię. Wyświadczam przysługę tobie, sobie, Angie i całemu temu cholernemu miastu.

- Zadzwoń po mamę i tatę.

- No to dalej.

- I na policję. Jeżeli coś się stanie Brigowi, przysięgam, że cię wydam i...

Odwrócił się i spojrzał w wykrzywioną z wściekłości twarz Cassidy. Jego oddech był przeniknięty alkoholem i dymem.

- Ty chyba nic nie rozumiesz? Brig zgwałcił Angie.

- Zgwałcił?

- A jak? Myślisz, że chciałaby tego z nim? - Derrick wykrzywił się z niesmakiem.

- Ale ona...

- Flirtowała z nim. Ze wszystkimi flirtuje. Ale nie chciała zrobić tego z Brigiem. Zmusił ją.

- Chyba... chyba było odwrotnie. Słyszałam, jak rozmawiała z Felicity. Powiedziała jej, że ma zamiar uwieść Briga.

- Kłamiesz - warknął, trzęsąc się z wściekłości.

- Nie, nie kłamię. Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj Felicity.

Oczy Derricka zmieniły się w wąskie szparki.

- Ją ostatnią bym o to pytał.

- No to porozmawiaj z Angie! Sama ci powie.

Z wściekłości drżały mu nozdrza.

- Skłamię, żeby go chronić. Ale już za późno. Najwyższy czas, żeby Brig McKenzie zapłacił za wszystko. - Podrzucił strzelbę w ręce i otworzył drzwi.

Cassidy została sama, przytulona do ściany. Derrick odjechał. Myślała, że się przewróci. Była bezradna. Ani rodzice, ani policja nie potraktują jej poważnie. Brig słyszał z tego, że zadzierał z prawem, a Derrick miał opinię chłopaka, który jeszcze nie dorósł. Więc czasem sobie wypił i rozbił parę samochodów. Wywołał awanturę, może dwie. Sypiał z kim się dało. Nikt nigdy na tym nie ucierpiał, z wyjątkiem Felicity Caldwell, która popełniła błąd i zakochała się w nim na zabój. Poważniejszych problemów nigdy z Derrickiem nie było, bo Rex Buchanan chętnie płacił za wybryki swego syna.

Ale za Brigiem McKenziem kłopoty ciągnęły się jak pioruny za błyskawicą. Władze nie uwierzyłyby, że mówi prawdę.

Usłyszała warkot samochodu Derricka.

- O Boże.... - Modliła się w duszy, żeby jej brat nie znalazł Briga i Angie razem.

Wnętrznosci Cassidy ścisnęły się boleśnie. Zbyt często była świadkiem wybuchów Derricka. W dodatku w ciągu kilku ostatnich lat zrobił się gorszy. Okładał konie batem do krwi, strzelał do jaskółek i traktował koty jako doskonały cel treningowy. Przypalał Willię papierosami. Chłopak nigdy nie poskarżył się ani słowem, ale Cassidy domyśliła się prawdy i spytała brata wprost. Ostrzegła, że jeżeli to się powtórzy, powie ojcu.

Derrick się wtedy roześmiał.

- Chyba żartujesz? - Zgasił ją, gdy mu zagroziła. - Jeżeli ojciec będzie miał do wyboru twoją wersję i moją, to komu uwierzy, jak myślisz? Twoich słów nie potwierdzi nawet ten półgłówek.

- Jak to nie? Przecież wie, co mu zrobię.

Derrick leniwie wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Wie, ale nic nie powie.

- Dlaczego?

- Bo jest zbrojcem. Dlatego. Jeżeli mnie wyda, to ja wydam jego. A on nie chce, żeby nasz słodki, urny tatuś dowiedział się, do jakiego stopnia ten cymbał jest chory. Bo skończyłby w zakładzie dla psychicznie chorych, gdzie zresztą jest jego miejsce.

- Jesteś straszny.

- To jedna z moich zalet.

- Willie nie jest zbrojcem!

- Nie? - Derrick zmarszczył brwi. - Na twoim miejscu, siostrzyczko, zasłaniałbym żaluzje i zamykał okna. Nigdy nie wiadomo, kiedy Williego przestanie bawić podglądanie i zabierze się do roboty. On obserwuje. Widzi wszystko, co się tu dzieje. Widział cię taką, jak cię Pan Bóg stworzył, tylko z medalikiem świętego Krzysztofa. Angie też widział. Chyba mu się podoba ten czerwony stanik, w którym paraduje twoja siostra.

Cassidy się wzdrygnęła. Myśl, że ktoś ją podglądał, przyprawiła ją o gęsią skórę.

- Więc Willie nie piśnie nawet słówka, chyba że będzie chciał skończyć w wariatkowie.

- Groziłeś mu? - Do Cassidy dopiero wtedy dotarło, jak bardzo zepsuty jest jej brat.

- Tylko uświadomiłem mu kilka faktów. Ale on nie jest takim kretynem, na jakiego wygląda. Od razu pojął, że musi trzymać gębę na kłódkę, jeżeli chce tu mieszkać. A wierz mi, że on chce tu zostać, bo myśli, że szpital psychiatryczny jest rodzajem dwudziestowiecznego więzienia z torturami. Jest przekonany, że czeka go tam lobotomia albo leczenie elektrowstrząsami. A to boli. Bardzo boli. On się tego śmiertelnie boi.

- Ty mu to powiedziałeś?

- Ja mu tylko wymieniłem parę możliwości.

- Mówię ci, Derrick, jeżeli jeszcze coś mu zrobisz... Jeżeli go tylko dotkniesz, będziesz go denerwował albo go skrzywdzisz, to powiem o tym tacie i on mi uwierzy.

- Tata nawet nie pamięta o tym, że żyjesz. Przykro mi, że cię ranie, ale tatę obchodzi tylko Angie, bo przypomina mu mamę. A tak a propos zbrojcy. Wiesz, czasami się o niego martwię. To chyba niemożliwe, żeby chciał to zrobić z własną córką?

- Nie! - wrzasnęła Cassidy i zatkała uszy.

- Mam nadzieję, że nie, bo to raczej obrzydliwe. - Derrick, poza nieodpartą chęcią szokowania, miał w sobie coś ponurego, groźnego i złego. - Ale jeżeli jej dotknie, to przysięgam, że go zabiję.

A teraz ściga Briga. Na miłość boską, nie może pozwolić, żeby go dopadł. Podbiegła do telefonu w gabinecie i wykręciła numer do domu Briga. Telefon dzwonił i dzwonił. Dziesięć razy. Dwanaście. Piętnaście. Dwadzieścia. Zrozpaczona cisnęła słuchawką i zaczęła szukać dodatkowej pary kluczyków do samochodu. Przed stajniami stały ciężarówki. Jeżeli znajdzie kluczyki... Nie miała jeszcze prawa jazdy, ale umiała prowadzić. Dalej, dalej... Przewracała palcami ołówki, pióra, temperówki i gumki. Kluczy nie było. Potem sobie przypominała, że pęk kluczy zabrał ze sobą Derrick.

Zrozpaczona wybiegła na dwór. Wiatr się wzmagał. Przeszukała wszystkie samochody, ale nie znalazła dodatkowych kluczyków. Nie było szans, żeby uruchomić ciężarówkę. Ale nie mogła zawieźć Briga. Musiała go ostrzec. Tylko jak? I gdzie on może być?

Z Angie.

Czuła ołowiany ciężar na sercu, ale nie mogła pozwolić, żeby jej uczucia powstrzymały ją przed ostrzeżeniem go. Tylko jak? Pieszko daleko nie zajdzie. Zagryzła wargę. Przebiegła wzrokiem parking i garaże. Spojrzała na stodoły i już miała odpowiedź na swoje modlitwy. Remmington. Na nim dojedzie wszędzie. Tylko gdzie? Gdzie jest Brig? Gdzie go może znaleźć?

Nie miała pojęcia. Zaczęła biec, szybko przebijając nogami. Serce łomotało jej ze strachu. Nie miała pojęcia, dokąd ma jechać, ale wiedziała, że musi się tam znaleźć szybko.

Nie zapalając świateł, zdjęła cugle z haka przy boksie Remmingtona. Nikt, nawet Willie, nie mógł wiedzieć, że wyjechała. Kilka koni zarżało i zaszeleściło siano.

- Wszystko w porządku - wyszeptła Cassidy.

Czyjaś ręka wynurzyła się z ciemności i zakryła Cassidy usta.

Krzyk uwiązł jej w gardle.

- Ćśś... Cass, to ja. - Usłyszała głos Briga i serce zaczęło jej walić jeszcze mocniej.

- Brig?

Opuścił rękę i położył jej na ramieniu. Próbowwała nie zwracać uwagi na dotyk ciepłych palców, które paliły ją przez koszulę.

- Co... co ty tu robisz?

- Miałem się spotkać z Angie.

Serce jej zamarło.

- Ale przecież ona była z tobą na przyjęciu.

- Rozstaliśmy się kilka godzin temu. W mieście, tam gdzie zostawiła samochód. Tam się umówiliśmy na przyjęcie. Nie chciała, żebym przyjechał tutaj po nią na harleyu, ani żebym odwoził ją na motorze do domu.

- Dlaczego?

- Pokłóciła się z Derrickiem. Twój brat chyba wypowiedział mi wojnę. Zagroził Angie i poparł go nawet twój ojciec.

- Ale i tak wyszła.

- Tak. Wymknęła się z domu pod błahym pretekstem. Miała iść wcześniej do Caldwellów. A potem spotkać się ze mną w mieście.

- A ty się na to zgodziłeś.

Mięsień drgnął mu w kąciku ust.

- Twoja siostra... potrafi być przekonująca.

- Więc nie jesteś taki odporny?

- Po prostu lubię dokuczać bogatym chłopcom.

Cassidy wszystko osunęło się w środku. Usiłowała się od niego odsunąć, ale trzymał ją mocno za ramię.

Starła się, żeby w jej głosie nie było słycać bólu.

- Angie nie wróciła jeszcze do domu, a Derrick jest wściekły.

- Na mnie?

Najwyraźniej się z tego ucieszył.

- To nie żarty. Ma broń i jest przekonany, że wyświadczy przysługę wszystkim, włącznie z Angie, jeżeli cię...

- Co?

- Zabije.

- Błazenada bogatego chłopca. Nie przejmuj się nim.

- On mówił poważnie. - Serce dudniło jej ze strachu. - Możesz mi wierzyć, on cię zabije.

- Niech spróbuje. - Westchnął. - Gdzie Angie?

- A potrzebna ci do czegoś?

- Nie, do cholery. - Opanował się. - Chciała, żebyśmy się z nią tutaj spotkali.

- W stajni?

- Tak powiedziała. Kłopot w tym, że trochę się spóźniłem, bo Jed Baker chciał mnie sprać. Cieszę się dużą popularnością tej nocy.

- Derrick nie żartuje.

- Jed też nie żartował.

On chyba nie rozumie. Zupełnie nie przejął się jej bratem. Było ciemno. Cassidy widziała tylko kontury twarzy Briga, które oświetlało nagle światło wpadające przez okno. Na czole miał ślady krwi po bójce z Jedem.

- Słuchaj, Brig. Derrick jest pijany. Lepiej, żebyś trzymał się od niego z daleka. - Nie mogła przestać myśleć o tym, że jej dotyka.

- Może ktoś powinien dać mu nauczkę.

- Nie. To nic nie da. Byli już tacy, co próbowali. - Potrząsnęła gwałtownie głową. Chciała go przekonać, że grozi mu niebezpieczeństwo. - On jest naprawdę zawzięty. Czasami... czasami wydaje mi się, że lubi krzywdzić ludzi. Sprawia mu to przyjemność.

- Więc pora to zmienić.

- Nie. Ty się do tego nie mieszaj. Nie dzisiaj. - Zrozpaczona chwyciła go za ramiona. - Idź do domu. Albo nie, idź w jakieś bezpieczne miejsce, gdzieś daleko. Niech Derrick wytrzeźwieje.

- Żeby mnie stuknął, kiedy sobie popije następnym razem?

- Wyżyje się na kimś innym.

- Na kim? Na tobie? - Uniósł jej głowę.

- Dam sobie radę.

- A ja sobie nie dam? - W jego głosie pobrzmiwała drwina. Cassidy poczuła się jak głupia smarkuła, która zachowuje się jak dorosła.

- Derrickowi... na mnie zależy. Nie zrobi mi krzywdy. Nawet jeśli by mnie nie lubił, to nic mi nie zrobi ze strachu przed ojcem. Już on by mu dał, gdyby się dowiedział, że Derrick mnie dręczy.

- A Angie? - spytał szeptem Brig.

- Też. Tata... on by nas ochronił. - Bolało ją to, jak Brig mówił o Angie. - Dlaczego zgodziłeś się z nią tutaj spotkać?

- Źle zrobiłem - wyrzucił jednym tchem. - Ale ona była... - załamał mu się głos. - ...przerażona.

- Czym?

- Nie wiem.

- Może udawała. - Cassidy dość dobrze знаła swoją starszą siostrę i chociaż zupełnie nie miała pojęcia, czego mogła się bać, była pewna, że Angela Marie Buchanan tak naprawdę nigdy w życiu nie była przerażona.

- Może. - Brig nie był przekonany. Zapadała cisza. Krople deszczu bębniły o dach. W powietrzu czuć było ciepły zapach koni.

- A w ogóle, co ty tu robisz?

- Chciałam... się przejechać.

- W środku nocy? W deszczu? - Nie starał się nawet udawać, że jej wierzy. - To idiotyzm. Nawet jak na ciebie.

- Ja...

- Co? - Twarz Briga była tak blisko niej, że jego gorący oddech pachnący dymem, pieścił jej twarz.

- Miałam zamiar jechać cię szukać. - Dotarło do niej, że cały czas go trzyma. Jej ręce spoczywały na ramionach chłopaka. Przynął się bliżej, zmniejszając i tak niewielką odległość między nimi.

- Mnie?

- Żeby cię ostrzec. Przed Derrickiem.

- Dam sobie radę z Derrickiem.

- Mówiłam ci, że on... on ma broń.

Brig przesunął dłonią po jej szyi. Cassidy poczuła mrowienie, gdy palce chłopaka dotknęły jej skóry.

- Chciałaś mnie ochronić? - Jego głos był niski. I zmysłowy.

- On jest niebezpieczny.

Brig był tak blisko niej, że ledwie mogła oddychać. Słyszała bicie własnego serca.

- Ja też. - Długim palcem zadarł jej brodę i pocałował ją. Jedna chwila wystarczyła, żeby Cassidy stopniała. Jego język przyparł szturm do jej ust, a ona chętnie je rozchyliła. Jak kwiat, który otwiera w słońcu kielich. Brig otoczył ją ramionami. Nogi się pod nią ugięły i prawie się rozplynęła. Usta Briga były szorstkie, łakome i zachłanne.

Było jej gorąco, strasznie gorąco, a ręce Briga tylko wzmagaly ogień, który płonął pod jej skórą. Kochaj mnie, błagała w milczeniu. Proszę, Brig, kochaj mnie. Przywarła mocno do niego, chcąc więcej. Wiedziała, że tylko jego dotyk jest w stanie wzbudzić w niej pragnienie, które przyprawia ją o dreszcze. Niecierpliwie zdarł z niej bluzkę, a ona zajęła się guzikami jego koszuli. Jej piersi wyskoczyły ze stanika i ocierały się o jego owłosioną klatkę piersiową.

- Cassidy - wyszeptał zdławionym głosem, jakby chciał przestać, ale nie mógł znaleźć w sobie tyle siły. Rozpiął jej biustonosz i piersi Cassidy znalazły się w jego spragnionych szorstkich dłoniach. - Cassidy, słodka, kochana Cassidy.

Zaczął pieścić kciukami brodawki, które stwardniały i nabrzmiały. Krew w niej wrzała. Uklęknął i zaczął ją całować, a potem ukrył twarz w jej piersiach, przyciskając miękkie ciało do swoich policzków.

Cassidy zaczęła odczuwać ból głęboko w środku.

Z jej ust wydobył się jęk. Zmierzwiała jego włosy i przyciągnęła go bliżej do siebie. Jego gorący oddech dotknął brodawki. Brig ujął ją w usta. Cassidy miała nogi jak z waty. Całował ją, dotykał i obejmował jej pośladki.

Ból przerodził się w nieodparte pragnienie, które wzbierało między jej nogami.

Poczuła, że Brig odpina guzik jej szortów i usłyszała odgłos rozpinanego zamka, który chętnie poddał się jego ręką. Spodenki Cassidy opadły na ziemię. Brig ukrył twarz w jej łonie, drażniąc oddechem delikatną skórę. Dłonią pieścił wewnętrzną stronę jej ud.

- Pragnę cię - powiedział ochryplym głosem. Jego wilgotne usta niosły ze sobą obietnicę. Czule dotykał jej jedwabistej skóry, a gorący oddech przenikał przez delikatną tkaninę majtek. Drżała w środku.

Jej serce wrywało się do niego.

- Chcę cię, Brig.

- Nie! Nie masz nawet pojęcia, czego chcesz. Ty masz... ty masz... Boże, ty masz dopiero szesnaście lat!

- Kochaj się ze mną.

- Ja... ja... nie mogę. - Oderwał od niej ręce i odchylił głowę, mrużąc oczy. Wzdrygnął się i wziął głęboki oddech, chcąc stłumić w sobie palące go pożądanie.

- Przez Angie?

- Co? Angie? - Otworzył szeroko oczy. - Nie... - Ugryzł się w język.

- Nie? - Nie miała odwagi uwierzyć, że oparł się jej siostrze. Chciała dać mu siebie, swoje dziewictwo, swoją miłość, a na drodze stała Angie. Łzy wstydu nabiegły jej do oczu.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Ale przecież powiedziałaś, że ty i ona...

- Skłamałem - przyznał się, niecierpliwym ruchem odgarniając włosy z twarzy. - Skłamałem. Żebyś dała mi spokój.

- Ale widziałam was razem przy basenie...

- Widziałaś to, co chciałaś widzieć.

Rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć. Z całej siły uchwyciła się tych słów. Osunęła się na kolana, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go, długo i namiętnie.

- Nie rób tego, Cassidy - ostrzegł ją.

Nie przestała. Jej palce błądziły po umięśnionych ramionach Briga, zsuwając z nich koszulę, odsłaniając jego opięte skórą żebra. Mruknął, zaklął pod nosem i wziął ją w ramiona. Ich usta zwały się w szaleńczym pocałunku. Opadli na podłogę pokrytą sianem. Nie było odwrotu, nie było strachu przed odmową. Wziął to, co dawała z taką ochotą. Jego ręce błądziły po jej piersiach, pieściły je, gniotły, składały ciche obietnice. Usta Briga przemierzały jej skórę. Zakreślił językiem obszar pępka, przewracając ją na plecy. Zadrżała. Zaczęło w niej wzbierać gorące

pragnienie. Jej skóra płonęła. Cassidy nie była w stanie myśleć o niczym poza tym, że nieodparcie pragnie, żeby ich ciała się złączyły.

Zsunął z niej majtki i cisnął je w kąt. Potem zdjął buty i dzinsy. Całował jej uda, pośladki, a potem przesunął się wyżej. Jego oddech był gorący, język wilgotny, a usta uparte. Zamknęła oczy i poczuła, że ziemia zaczyna pod nią wirować, kiedy całował ją w najbardziej zakazanym miejscu. Między jej nogami zaczęło się rodzić ciepłe, wilgotne pragnienie. Brig się poruszał, przyprowadzając ją o zawrót głowy. Cassidy wygięła się niecierpliwie. Pragnęła czegoś więcej, czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Oddychała nierówno i szeptała jego imię.

Nagle znalazł się nad nią - nagi, gorący, twardy i spocony. Spojrzała mu prosto w błyszczące oczy.

- Powiedz mi, żeby tego nie robił - błagał. Oddychał niepewnie. Zagryzł wargi.

- Nie mogę.

- Na miłość boską, Cassidy...

- Brig, kocham cię.

- Nie...

Zawsze będę cię kochać.

Jego twarz wykrzywiła się w męczarniach.

- Cass... Nie mogę składać obietnic. Cholera. Powinni mnie za to zabić.

Kolanem rozchylił jej nogi i poddał się pożądaniu, które widziała w nabrzmiałych żyłach na jego szyi.

- Nie! - krzyknął, ale jego ciało robiło swoje. Zagłębił się w niej, przełamując barierę jej dzieciństwa, czyniąc z niej kobietę. - Nie! Nie! Nie!

Na ułamek sekundy zaparło jej dech z bólu. Zrozumiała, że oddała mu nie tylko ciało, ale swoją dziewczęcość. Przywarła do niego. Poruszał się z początku wolno, doprowadzając ją do granicy wytrzymałości. Oddech wiązał jej w gardle. Jej umysł wirował niczym kalejdoskop. Oderwała biodra od ziemi, poddając się jego rytmowi. Pot stapał ich ciała. Z ust Cassidy wychodziły jęki rozkoszy. Miała wrażenie, że świat kręci się coraz szybciej i szybciej. Nagle księżyc, słońce i gwiazdy nad stacją rozprysnęły się w fontannę światła, która zalała noc.

Zadrzała, a on razem z nią.

- Brig! Och, Brig! - krzyknęła, obejmując go i szepcząc głosem, który wydawał jej się obcy. Opadła wycieńczona na podłogę.

- Cass... - Przeszedł go dreszcz. Opadł na nią, oddychając szybko i płytko. Ich pot zmieszał się. Brig objął ją opiekuńczo ramionami. Serce waliło mu jak oszalałe. Uniósł się na łokciach i wpatrywał się w nią umęczonymi oczami. Przelknął ślinę i odgarnął kosmyk włosów z jej policzka.

Przez kilka sekund słyszała jedynie wycie wiatru, gwałtowne bicie własnego serca i krople deszczu, uderzające w dach i w ściany. Wtuliła się w Briga, opierając głowę na jego ramieniu.

Jego mięśnie rozluźniły się.

- O Boże, co ja zrobiłem? - Jego głos był szorstki. Czuł obrzydzenie do samego siebie. - Cholera! Niech to szlag! - Walił w podłogę wolną pięścią.

- Brig...?

Zachowywał się tak, jakby stało się coś złego, jakby był zły na samego siebie. Na nią.

Wstał, chwycił swoje dzinsy i spojrzał na nią tak wrogo, że miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie. - W jego słowach słychać było niesmak. Ubrał się. - Nie zasługuję na to, żeby mnie zastrzelić. Powinni mnie powiesić za jaja. - Kopnął z wściekłości snop siana. - Cholera, gdzie ja miałem głowę?

- Brig...

- Byłaś dziewczicą - rzucił oskarżycielsko, jakby to było grzechem.

- Ja... oczywiście... ja nigdy... Wiedziałaś...

- Tak, ale mnie to nie obchodziło. Boże drogi! Szesnastoletnia dziewczica! - Odchylił głowę i wpatrywał się w krokwie. - Jestem idiotą, Cassidy. Cholernym idiotą. - Znowu kopnął, tym razem puste wiadro na wodę. Potoczyło się, z hukiem uderzając o ściany. Konie zarżały nerwowo. - Cholera, taki błąd!

- Błąd? - wycedziła. Podniecenie opadło. Zamiast niego pojawił się wstyd. Znalazła koszulę i się nią przykryła. Mogła się nie wysilać, bo i tak nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wyglądał przez okno, marszcząc czoło na widok burzy.

- Cass, nie chciałem.

- Możesz sobie gadać.

- To znaczy, to znaczy, chciałem i nie chciałem.

- Już lepiej - warknęła dotknięta.

- Ale to był błąd.

- Cały czas to powtarzasz. - Rozsadzała ją złość i wstyd.

- Bo wiem.

- Co wiesz?

Uśmiechnął się chłodno, otrzepał koszulę z siana i wsunął ręce w rękawy.

- Jakiego zamieszania może narobić seks.

- To było coś więcej niż seks.
- O tym właśnie mówię. To nie było...
Rzuciła ciuchy na ziemię i podeszła do niego całkiem naga. Położyła mu palec na ustach. - Nie kłam, Brig. Wszystko inne możesz robić. Ale nie kłam.
- Ja nie...
- Gówno! - Dotknęła kciukiem swojego mostka. - Ja też tu byłam. Wiem, co czułam i wiem, co ty czuleś. - Ku jej przerażeniu załamał jej się głos.
- Nie masz pojęcia. To był twój pierwszy raz, ale nie mój.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - Bała się oddychać ze strachu przed tym, co usłyszy.
Głos Briga był szorstki i stanowczy.
- Przeżyjesz jeszcze wiele orgazmów, ale nie ja cię do nich doprowadzę. To był tylko seks, Cass. Nic więcej. Zrobisz to z tuzinem innych chłopaków...
Zareagowała od razu. Zamachnęła się i uderzyła go w twarz. Odgłos poniósł się echem po stajni.
- Nigdy!
- Akurat. - Potarł policzek. Dostrzegła ból w jego oczach. Całym swoim naiwnym sercem wierzyła, że stara się być szlachetny.
- Brig, przepraszam. Nie chciałam...
- Dorośnij, Cassidy. - Odwrócił się do drzwi. - Ale nie licz, że ja ci w tym pomogę.
- Bo kochasz Angie? - Poczuała się tak szczeniacko, tak głupio...
Całe jego ciało napięło się, a kręgosłup zeszytywniał. Odwrócił się twarzą do niej. Wyglądał jakby postarzał się o dziesięć lat.
- Nie kocham Angie - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Ciebie też nie kocham. Nikogo nie kocham i jest mi z tym dobrze.
Poczuała się tak, jakby to ona dostała policzek. Łzy dławily ją w gardle i paliły w oczy.
- Przeżyjesz to.
- Nie.
- Na pewno tak. I któregoś dnia, kiedy będziesz starsza, wyjdiesz za kogoś, kto ma takie same marzenia jak ty. Za kogoś, kogo zaakceptują twoi rodzice i kto na ciebie zasługuje.
- Brig...
- Ja cię nie kocham, Cassidy. Więc nie wciągaj mnie w swoje dziecinne fantazje. Nic z tego nie będzie.
Przyglądała się, jak wychodzi. Jak odchodzi z jej życia. Część jej - ta część naiwnej nastolatki - zwiędła i umarła. Deszcz pluskał i chlupotał w piaszczystych rowach. Konie nerwowo wierzgały nogami w boksach. Cassidy poczuała, że ma w oczach łzy. Pozbierała swoje rzeczy. Czego się spodziewała? Przysięgi dozgonnej miłości? Od Briga McKenziego? Była marzycielką. Przecież on tutaj czekał na Angie.
Usłyszała ryk silnika harleya. Żwir się rozbryztał, biegi zawyły przeraźliwie. Motor odjechał i dźwięk ucichł w deszczu.
- Szczęśliwej drogi. - Wcale tak nie myślała. Gdyby wrócił, znowu całowałyby się z nim i kochałyby się z nim jeszcze raz.
Kochała się. Zrobiła to. Zamiast siostry. To ona uwiodła Briga McKenziego. Ta myśl napawała ją goryczą. Założyła majtki i pomyślała o Angie. Gdzie ona jest? Dlaczego chciała się spotkać z Brigiem? Wciągnęła spodenki i już znała odpowiedź. Angie miała zamiar uwieść go jeszcze raz. Zamiast niej zrobiła to młodsza siostra.
Cassidy zamrugała oczami, zapięła bluzkę i postanowiła, że nie będzie o tym więcej myśleć. Kochała Briga całym sercem, ale on nigdy jej nie pokocha.
Derrick cały czas był na dworze. Z bronią. Zdrętwiała.
Założyła buty, chwyciła uprząż Remmingtona i wybiegła ze stajni. Zobaczyła, że coś się porusza przy drzwiach. Omal nie krzyknęła. Warkot silnika samochodu słycać było coraz bliżej. Cassidy zalały światła reflektorów. Stanęła bez ruchu, jak w pułapce. Nieznajomy samochód zatrzymał się i wysiadła z niego matka. Potknęła się.
- Dziękuję za podwiezienie.
Otworzyła parasol. Samochód odjechał, zostawiając ją w ulewie twarzą w twarz z córką.
- Co ty wyprawiasz?
Musiała skłamać.
- Sprawdzalam, co z Remmingtonem.
- Aha. I co? - Dena była zgryźliwa. - Z nim pewnie wszystko w porządku, ale tobie nie wolno na nim jeździć. Zwłaszcza w nocy, i to w deszczu.
- Wiem, ale... - Była szalona. Musiała ratować Briga. Przed Jedem. Przed Derrickiem. Przed Angie. Przed nim samym.
- Nie sprzeciwiaj się. - Dena pomachała palcem przed nosem Cassidy. - Odlóż lejce na miejsce i zmiataj z tego deszczu. - Wyjęła z włosów Cassidy słomkę siana. Jej wargi zacisnęły się podejrziwie.
Cassidy nie miała wyboru. Musiała zrobić to, co kazała jej matka. Serce waliło jej jak młotem, kiedy szły do

domu.

- Ojciec wrócił?

- Nie. Był tylko Derrick, ale wyszedł.

Żeby zastrzelić Briga. O, Boże, proszę cię, uratuj go.

- A Rex się nie pokazał?

- Nie.

Kto by się teraz przejmował ojcem. Brigowi grozi niebezpieczeństwo!

- Zakłamanym gnojkiem! Wiesz, co zrobił? Zostawił mnie samiutką na przyjęciu u Caldwellów. Powiedział, że idzie sobie zapalić i odjechał. W całym moim życiu nikt mnie tak nie poniżył. - Otrząsnęła parasol na ganku, weszła do hallu i potknęła się na pierwszym stopniu. - Dobrze wiem, gdzie jest. Możesz mi wierzyć, że zrobię mu rano karczemną awanturę. A ty... - spojrzała na nią przez ramię - ...idź natychmiast do łóżka. Jest późno.

Racja. A Derrick poluje na Briga.

Dena zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Co się stało? - Otworzyła torebkę i zaczęła szukać kluczyków.

Pewnie, że się stało! Dłonie Cassidy były mokre od potu.

- Nie...

- No to idź spać. - Dena upuściła kluczyki. Schyliła się, żeby je podnieść. - Niedługo wrócę.

- Mamo, nie możesz jechać w takim stanie. Za dużo wypijaś i...

- Nie kłóć się ze mną - Dena wyprostowała plecy. Starła się wyglądać na trzeźwą.

- Gdzie jedziesz?

- Znaleźć twojego ojca.

- Dlaczego po prostu na niego nie poczekaasz? - Jeżeli Dena pójdzie na górę i zaśnie głęboko, Cassidy będzie mogła wymknąć się z domu i pojechać za Brigiem.

Twarz Deny spochmurniała.

- Bo mam dosyć czekania. - Uśmiechnęła się smutno. - O wiele za długo czekałam na to, żeby twój ojciec zaczął się wobec mnie zachowywać właściwie. Chyba najwyższy czas, żeby się o tym dowiedział. - Wyprostowała się i chwyciła za klamkę. Kluczyki zabrzączały jej w dłoni. - Nie czekaj na mnie, kochanie. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Mamo, nie! Nie możesz jechać w takim stanie...

- Odejdź, Cassidy. Idź natychmiast na górę i połóż się. - Wyminęła córkę, która wyciągała rękę po kluczyki.

Ulotniła się w mgnieniu oka.

Cassidy nie traciła czasu. Wiedziała, co musi zrobić. Niezależnie od tego, jakie czekają ją konsekwencje.

10

Rex stał na deszczu i mrugając mocno powiekami, położył na grobie Lucretii jedną białą lilię. Miał łzy w oczach. Uświadomił sobie zbyt późno, że chyba za dużo wypił. Powinien uważać. Kiedy wypijał za dużo, zawsze były z tego kłopoty.

Wpatrując się w nagrobek, zagryzł drżącą dolną wargę. Kocham cię, pomyślał. Zawsze cię kochałem. Ale nie był jej wierny. Nawet kiedy żyła. Głęboko w sercu wiedział, że Lucretia zabiła się z powodu jego niewierności. Miała godność i, chociaż nie chciała go w swoim łóżku, nie mogła znieść, że szukał sobie innych kobiet, z których większość nic dla niego nie znaczyła.

Oprócz jednej.

A teraz... Codziennie przeżywał męczarnie, gdy widział jak Angie zamienia się w kobietę tak bardzo podobną do matki. Czasami, gdy wchodziła do pokoju, zapierało mu dech w piersi, bo był pewien, że widzi pierwszą żonę albo ducha zmarłej żony w swojej córce. W tych bolesnych chwilach czas się cofał i Rex zapominał o rzeczywistości, a prawda mieszała się z fantazją. Chciał, o Boże, jak bardzo chciał, żeby ona naprawdę była jego ukochaną żoną.

- Przebacz mi. - Zawsze szeptał te słowa, kładąc kwiaty na grobie Lucretii. - Zhańbiłem cię, postąpiłem okrutnie. Przysięgam, że to się już nigdy nie powtórzy.

Odkasznął i wrócił do samochodu. Zostawił Denę samą na przyjęciu. Myślała, że po prostu idzie się przejść i zapalić cygaro. Na pewno straciła poczucie czasu. Spojrzał na zegarek, wsiał do lincolna i wyjechał przez otwartą bramę cmentarza.

Wybuch wstrząsnął ziemią. Sunny poczuła go pod bosymi stopami, Zmroził ją strach. Padał deszcz, obmywając podjazd z kurzu. Zobaczyła pierwsze iskry. Płomienie wzbily się ku zasnutemu ciemnymi chmurami niebu Prosperity niczym pociski w nocy. Jasne języki ognia wdzierały się coraz wyżej, dosięgając nieba.

Deszcz i płomienie. Ogień i woda. Oparła się o ścianę baraku. Brig. Chase. Buddy. Wszyscy umrą. Wiedziała o tym. Wizje, które wyrwały ją ze snu przez kilka ostatnich miesięcy ułożyły się w całość.

Nie myślała o tym, że jest w kapciach i w szlafroku. Wsiadła do samochodu. Może jeszcze nie jest za późno. Może uda jej się ocalić chociaż jednego syna.

- Pomóż mi - modliła się, włączając wsteczny bieg. - Pomóż mi, Boże.

Ale wiedziała, że On jej nie wysłucha. Przez całe życie był głuchy na jej modlitwy. Kiedy wycofywała samochód z podjazdu, światło reflektorów zalało stary barak. Zobaczyła szyld nad drzwiami. Kołysał się na wietrze i kpił z niej wyblakłymi literami. Wróżenie z ręki. Karty tarota. Przepowiednie. W jej głowie dźwięczał śmiech i krzyki. Oddałaby swoje życie, żeby uratować swoich synów.

- Weź mnie - modliła się, zawracając starym cadillakiem. - Weź mnie albo kogoś innego, ale oszczędź moich synów!

Cassidy szła do stajni. Nagle w oddali rozległ się huk, tak głośny, że serce w niej zamarło. Ale teraz nie mogła się tym przejmować. Teraz musiała odnaleźć Briga. Po wyjściu Deny odczekała dwadzieścia minut. Gdy dochodziła do stajni, usłyszała w oddali pierwsze przenikliwe wycie syreny wzbudzające trwogę. Po chwili dołączył do niej sygnał innych samochodów.

Serce tłukło jej się w piersiach.

Brig.

Derrick go dopadł. Pewnie leży zakrwawiony i umiera przez jej brata. Dlatego, że jej nie posłuchał. Dlatego, że go nie ocaliła.

- O Boże, nie - wyszeptała. Założyła Remmingtonowi uprząż i wyprowadziła go ze stajni. Syreny wylły nieprzerwanie. Wyszła na wybieg. Żrebak się wyrwał.

- Nie mam na to czasu - ostrzegła go. Podbiegła do płotu i dosiadła konia. Krople deszczu ciekły jej po twarzy. Pociągnęła za wodze, pochyliła się, ale koń wierzgnął i bez trudu ją zrzucił. Ziemia mignęła jej przed oczami. Wyciągnęła ręce, żeby złagodzić upadek. Bum! Ból przeszył jej ramię. Głową i ręką uderzyła w twardą ziemię.

Jęknęła. Próbowwała się ruszyć i odzyskać jasność umysłu. Poczula ból w nadgarstku. Przez chwilę leżała nieruchomo. Wciągnęła powietrze i z trudem usiadła.

Remmington pogalopował na drugi koniec wybiegu. Rżał, parskał i wierzgał nerwowo. Cassidy poczuła smród. Z początku nierozpoznawalna, a potem już wyraźna woń gryzącego dymu przenikała zapach powietrza po deszczu. Cassidy zamknęła na chwilę oczy. Przecież nikt nie pali, jest środek nocy i...

Pożar!

Zahuczało jej w głowie. Wykręciła szyję i spojrzała w stronę domu. Ale w domu nikogo nie było. Zresztą nikt nie rozpalał ognia w kominku w gorący letni dzień. Jednak dym wisiał w powietrzu niczym ponury śmiech. Cassidy poderwała się na nogi. Sprawdziła wszystkie zabudowania, szukając śladu ognia czy choćby iskry. Nic nie znalazła.

Czuła dotkliwy ból w ręce. Oparła się o płot. Miała świszczący oddech. W ustach czuła smak spalonego drewna.

Coś się pali. Niedaleko. Zdrętwiała ze strachu. Nie może dosięść Remmingtona. Najpierw musi opatrzeć sobie nadgarstek. Wyszła z wybiegu i podtrzymując ostrożnie ramię poszła w stronę wzgórza. Nigdy dotąd nie zauważyła, że dom leży tak daleko od stajni. Nie mogła się jednak poddać. Ktoś musi ostrzec Briga...

Przystanęła na ganku i odwróciła się, żeby przyjrzeć się posiadłości ojca. Ze wzgórza widać było wszystko. Spojrzała ponad wierzchołkami jodeł i zobaczyła pomarańczową lunę nad miastem. Ujrzała płomienie i serce zaczęło jej łomotać. W powietrze wzbijała się ogromna ściana ognia.

Brig!

Chociaż umysł mówił jej, że to niemożliwe, wiedziała, że Brig jest w niebezpieczeństwie. W większym, niż przypuszczała. Może coś mu się stało. Może zdarzył się wypadek przy stacji benzynowej. Albo kula z broni Derricka trafiła w coś łatwopalnego. Na przykład w motor Briga, zaparkowany samochód albo...

Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, pobiegła z powrotem na wybieg. Nie czuła już przeraźliwego bólu ręki, bo jej umysłem i ciałem zawładnął potworny strach. Wpadła do stajni i usiłowała wymazać z myśli wszystkie obrazy Briga. Nie chciała myśleć o tym, że leży ranny, nieprzytomny, że płomienie igrają wokół jego twarzy... O Boże. Powtarzała modlitwę za modlitwą. Obryzgiwała ją woda, ale biegła dalej, potykając się i płacząc.

Biegnij! Biegnij! Biegnij!

Konie parskwały i tupały nerwowo. Cassidy zdrową ręką wzięła trochę siana i wybiegła na zewnątrz. Mrużąc oczy w deszczu, otworzyła furtkę i zamknęła ją z trzaskiem.

- Nie mam teraz czasu. - Podeszła do konia, który najwyraźniej miał ochotę jej uciec. - Nie teraz - ostrzegła go. - Na miłość boską, Remmington, nie teraz!

Wyciągnęła do niego rękę z sianem. Krnąbrny koń zastrzygł smutno uszami i nieśmiało zrobił krok do przodu. Wziął siano, dotykając dłoni Cassidy miękkimi wargami. Nie czekała. Jednym ruchem chwyciła wodze, kopniakiem otworzyła furtkę, wskoczyła na mokry od deszczu grzbiet żrebaka i zanurzyła palce w jego grzywie.

- Dalej! - krzyknęła. Koń pogalopował drogą, rozbryzgując błoto i kałuże. Pędził, jakby sam diabeł siedział mu na ogonie.

- Rozejść się! Boże, ludzie, co wy tutaj robicie? Rozejść się! - Komendant straży pożarnej był bardzo zdenerwowany. Wrzeszczał, starając się przekrzyknąć trzask potężnych płomieni, huk pompowanej ogromnymi wężami wody, która łukiem spadała na poczerniały teren starego tartaku. Czarny dym tworzył olbrzymie chmury.

Żar zalewał tłum.

Ludzie kaszleli i krzyczeli, a ogień szalał mimo wysiłków ochotniczej straży pożarnej. Powietrze przesiąknięte było gryzącym dymem, a piekielne płomienie, wzbijające się z zajętych ogniem belek, dosięgały blaszanego dachu. Pożar był niczym oddech piekła. W końcu wiatr zmienił kierunek. Dopiero wtedy strumień wody pompowanej z wozów strażackich przemógł szalejący żywioł, który ryczał i huczał. Cassidy stała w tłumie nieznanym ludzi i przyglądała się strażakom, którzy niezmordowanie usiłowali zdławić ogień.

Przywiązała Remmingtona do słupa wspierającego balkon domku należącego do jej ojca i przez tłum precyzyjnie się bliżej piekła. Serce jej kołatało. Trzęsła się ze strachu. Ale palił się tylko stary pusty tartak. Wprawdzie był to zabytkowy budynek, który ojciec chciał odrestaurować, ale Cassidy poczuła ulgę. Nie płonął motor Briga ani samochód matki. Pożaru nie spowodowała broń Derricka ani nikt znajomy. Cassidy stała w tłumie gapiów - ludzi z miasteczka, którzy przyszedli w pośpiesznie założonych dzinsach albo w szlafrokach, żeby pomóc albo tylko popatrzeć na szalejący żywioł.

Do barierki pchali się dziennikarze i ekipa telewizyjna, nie przejmując się ulewą. W ciemności migotały niebieskie, czerwone i białe światła.

- Panie Lents, co, pana zdaniem, było przyczyną pożaru? - Dziennikarz usiłował przekrzyknąć hałas.

- Za wcześniej, żeby o tym mówić. - Komendant straży pożarnej zapalił papierosa. Miał osmaloną i brudną twarz.

Żółty płaszcz przeciwdeszczowy ociekał wodą.

- Podpalenie? - spytał inny dziennikarz.

- Powiedziałem już, że za wcześniej, żeby o tym mówić. Proszę się odsunąć. - Odwrócił się i zaczął krzyknąć do jednego ze swoich ludzi. - Garrison, usuń ten samochód z drogi. Niech czwarty wóz podjedzie bliżej...

- Czy był ktoś w środku? - spytała dziennikarka.

- O ile nam wiadomo, to nie. Nie mogliśmy się dostać do środka, bo ta stara hubka z krzesiwem paliła się jak pudełko zapalek. Ale właśnie sprawdzamy.

- Co spowodowało wybuch?

Komendant nie zwrócił uwagi na dziennikarza.

- Kazałem przestawić ten cholerny samochód! - warknął. - Na Boga, to nie piknik!

Z właścicielem auta blokującego drogę zaczął rozmawiać kolejny strażak. Samochód powoli wycofał się między tłumem.

- Czy Rex Buchanan już wie, że budynek stanął w płomieniach?

- Zawiadomiliśmy go.

Ktoś obok Cassidy zaśmiał się złośliwie.

- Założę się, że znaleźli go zalanego w pestkę na przyjęciu u Caldwellów.

Cassidy odsunęła się krok do tyłu, żeby dwaj mężczyźni nie widzieli jej twarzy.

- Jeden budynek mniej czy więcej nie sprawi mu różnicy - stwierdził niższy.

- A czy jego w ogóle cokolwiek obchodzi? Należy do niego pół miasta. Ta rudera pewnie była mniej warta niż ubezpieczenie.

Stojąca obok kobieta w wytartym wełnianym szlafroku i z wałkami we włosach, przytaknęła z przekonaniem.

- Jeżeli da się z tego wyciągnąć pieniądze, już Rex Buchanan na pewno to zrobi.

Cassidy odsunęła się od plotkarzy, przedarła się między ludźmi i przyglądała się budynkowi, z którego zostały jedynie tłące się zgłiszczka. W deszczu unosił się z nich złowróżbny dym.

Z trzech wozów strażackich na czarne resztki domu i popiół nadal lała się woda.

Jakiś dziennikarz, usiłując przepchnąć się do przodu, niemal zgniótł Cassidy.

- Szefie, moglibyśmy podejść trochę bliżej?

- Słuchajcie, chłopaki. Odsuńcie się, a za kilka godzin udzielę wam wszelkich wyjaśnień. Ale teraz dajcie nam spokojnie pracować, dobra?

Dwóch strażaków wyważyło kopniakiem osmalone drzwi i weszło do zwęglonego domu.

- Boże, co za bałagan. - Komendant wyrzucił peta do kałuży. - Mamy szczęście, że zaczęło lać i że wiatr zmienił kierunek. Inaczej pewnie poszedłby z dymem sklep żelazny i piekarnia w sąsiednim budynku.

Dziennikarz coś zanotował i nagrał na magnetofon. Gapie zaczęli się ruszać, ale się nie rozeszli. Rozmawiali z sąsiadami, zafascynowani piekłem, które w końcu ujarzmiono.

- Hej! - krzyknął strażak ze środka szerniałego budynku. Jego ochryple głos pełen był niedowierzania. - Będzie nam potrzebna pomoc!

- O, cholera! - Szef odwrócił się do strażaków. - Blackman i Peters, wy dwaj idźcie zobaczyć, o co chodzi...

- Boże, przecież prosiłem o pomoc! Dalej! Gdzie jest to cholerne pogotowie?

Wszystkie oczy zwróciły się na strażaka. Cassidy mało nie krzyknęła, gdy strażak wyniósł osmalone ciało. Zemdlilo ją i musiała powstrzymać wymioty, które podeszły jej do gardła.

- O, cholera... - wyszeptał ktoś z tłumu. - Wezwijcie lekarza.

Cassidy cała się trzęsła. Nic nie pomoże pogotowie ani żaden lekarz na świecie.

- Nie! - krzyknęła. Cisza wydawała jej się rozdzierającym wrzaskiem. - Boże, nie!

Było to ciało kobiety. Trudno ją było rozpoznać, bo miała zwęgloną skórę. Jednak Cassidy od razu wiedziała, że patrzy w nieruchome, martwe oczy swojej przyrodniej siostry.

- Ej, jest następny!

Pod Cassidy ugięły się nogi. Odwróciła się, żeby nie patrzeć.

- Mężczyzna.

Zaczęła biec jak szalona, ze ściśniętym gardłem i ze łzami w oczach. Ślizgała się na mokrej drodze i niewiele widziała. Dławiący szloch uwiązał jej w gardle. Ludzie się zatrzymywali i patrzyli na nią, ale jej to nie obchodziło. Nie była w stanie myśleć. Nie mogła uwierzyć, że straciła i siostrę, i Briga.

- Proszę Cię, Boże, nie! Zrób coś, żeby on żył! A Angie... Jezu, Angie! - Cassidy chciała krzyknąć. Skręciła i za rogiem zobaczyła Remmingtona przywiązanego do słupa. Jego oczy były wielkie ze strachu. - O Boże, o Boże, o Boże... - szeptała Cassidy, odwiązując wodze drżącymi rękami. Jej myśli boleśnie krążyły wokół Briga i Angie. W końcu supel ustąpił. Wsiadła na Remmingtona. Musi stąd odjechać. Odjechać z miasta. Od pożaru. Od prawdy.

Łzy kapały jej z oczu. Ścisnęła Remmingtona kolanami. Koń pogalopował na oślep w głęboką ciemność.

- Gdzie byłeś? - spytała Dena z tonem oskarżenia w głosie, gdy przemoczona i brudna Cassidy weszła do domu.

- Jeździłam. - Zauważyła, że twarz matki jest ziemiście biała. Spodziewała się porządnej bury, ale matka przytuliła ją mocno i zaczęła szlochać. Nie zważając na to, że niszczy sobie jedwabną suknię, trzymała Cassidy w mocnym uścisku.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Był pożar...

- Wiem.

Dena przywarła do niej.

- Znaleźli dwa ciała.

Cassidy zamknęła oczy. Nie chciała myśleć o zwęglonych zwłokach, które strażak wyniósł z tartaku. Angie i Brig. O Boże, tylko nie to.

- Jeszcze ich nie zidentyfikowali, ale to mężczyzna i kobieta. Nie ma Angie ani Derricka i... O Boże, Cassidy, nie wiem, co zrobimy... co zrobi Rex, jeżeli oni nie żyją.

- Angie? - powtórzyła sztywna z przerażenia. Nie pamiętała, jak wróciła do domu. Koń instynktownie dotarł do domu, ale ona przez całą drogę nie miała pojęcia, gdzie jest, ani co robi. Nagle znalazła się na podwórku... Nie pamiętała nawet, jak zsiadła z konia... O Boże, proszę... proszę...

- Samochód Angie stał dwie przecznice dalej - powiedziała Dena łamiącym się głosem.

- Nie. - Cassidy potrząsnęła przecząco głową i zaczęła się cofać, jakby usiłowała odpędzić od siebie przerażający obraz. - To nie Angie. Nie. - Trzęsła się i szczekała zębami, a strach boleśnie ścisnął jej serce. Jeżeli będzie to bez przerwy powtarzać, jeżeli przekona samą siebie, że Angie żyje, to może obudzi się z tego śmiertelnego koszmaru i...

- Mam nadzieję, że masz rację. - Dena zanurzyła drżące dłonie we włosach Cassidy. - Twój ojciec jest teraz na policji, a Derrick... - głos kobiety załamał się. Zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy. Rozmazał jej się tusz do rzęs, zostawiając czarne smugi na policzkach.

Cassidy przypomniała sobie wykrzywioną z wściekłości twarz brata i nienawiść bijącą z jego oczu. Trzymał broń i chciał zabić.

- Ja nie mogę... - Cassidy nie mogła mówić. - Ja w to nie uwierzę. Derrick i Angie. Wrócą do domu. Muszą.

I Brig. On też musi żyć. Wszyscy muszą żyć.

Dena jęknęła żałośnie.

- Och, kochanie, mam nadzieję.

- Nic im się nie stało! - krzyknęła Cassidy. Nie chciała uwierzyć w tragedię, której była świadkiem. Ale nie dawało jej spokoju to, co powiedział Brig. Szukał Angie dziś w nocy. Chciała się z nim spotkać, mimo że byli razem na przyjęciu u Caldwellów.

- Módl się, żeby to nie była prawda. - Dena pociągnęła nosem. Powoli się uspokajała. - Dzięki Bogu, że tobie nic się nie stało. Wchodź do środka i... się umyj. Zaparzę herbatę, zrobię kawę i kakao. A może powinnaś raczej iść do łóżka... O Boże, gdzie jest Rex? Wyszedł godzinę temu, a załatwianie spraw na policji nie trwa chyba tak długo. - Znowu zaczęła płakać, szepcząc, że to wszystko przez nią.

Cassidy była przerażona. Zaprowadziła matkę do schodów.

- Muszę zapalić. - Dena zaczęła szukać torebki na korytarzu.

Za oknami błysnęły światła. Cassidy zobaczyła, że na podwórko wjeżdżają trzy samochody. Wyglądały jak kondukt pogrzebowy. I rzeczywiście nim były. Cassidy zaczęło piec w gardle. Cały czas czuła zapach dymu. Zaczęła się trząść. Pierwszy jechał samochód policyjny. Za nim lincoln Reksa Buchanana i mercedes sędziego Caldwell.

Cassidy otworzyła drzwi i na nogach jak z waty wyszła na ganek. Matka ścisnęła ją za ramię.

- O Boże, nie. Proszę, nie - wyszeptała Dena.

Cassidy z przerażeniem patrzyła, jak ojciec niepewnie wysiada z samochodu. Twarz miał szarą, a włosy splątane

od deszczu. Kulił szerokie ramiona, zdradzając, że boli go serce.

Dena jęknęła.

Gorycz dławiała gardło Cassidy. Prawie nie poczuła bólu, gdy matka ścisnęła ją mocno za obolały nadgarstek.

Rex, wspierany przez szeryfa Doddsa i Sędziego, podszedł wolno do drzwi. Zanim zdążył się odezwać, na podjeździe pojawił się samochód Derricka. Zatrzymał się z piskiem opon. Chłopak wyskoczył z auta. Nos drżał mu z wściekłości. Zmoknięte włosy przykleiły się do głowy. Pognał do domu.

- Ukręcę mu ten pieprzony łeb. - W rękach trzymał broń. Miał podartą koszulę, a ręce i strzelba były brudne od błota. Ze zmrużonych oczu biła nienawiść.

- Co...? - spytała męża Dena. - Nie Angie...

Rex tak mocno zacisnął powieki, że się zachwiał. Cassidy była pewna, że ojciec zemdleje.

- Nie, tato, to niemożliwe. - Nie chciała usłyszeć prawdy, nie chciała uwierzyć w śmierć, którą wyczytała z oczu ojca. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała na własne oczy. - Nie...

- Idź na górę, Cassidy - powiedział.

- Ale Angie...

Z oczu ojca popłynęły łzy.

- Jest już ze swoją matką.

Derrick zawył, nie mógł uwierzyć. W bólu wycelował strzelbę w zasłonięty chmurami księżyc. Trach! Wystrzelił. Łuski spadły na podwórko.

- Odlóż to, synu - nakazał stanowczo Sędzia. Szybko przeskoczył przez trawnik, wyciągając rękę po broń.

- Dajcie mi spokój!

- Derrick... - upomniał go ojciec ledwie słyszalnym na wietrze głosem. - Do domu.

- Nie! Ona nie żyje, tato, nie żyje. To ten bydlak McKenzie ją zabił.

- Przestań, synu. Rób, co ci każe ojciec - zwrócił mu uwagę Sędzia.

Broń znowu wystrzeliła w niebo. Derrick upadł na kolana i zaczął rozpaczliwie szlochać.

Cassidy nie mogła się poruszyć, nie była w stanie mówić.

Dena objęła męża i mocno go przytuliła, jakby się bała, że Rex może się rozpląnąć.

- Już dobrze - wyszeptwała. - Wszystko się jakoś ułoży. Przetrzymamy to.

Rex Buchanan zachwiał się. Żona go podtrzymała. Sędziemu udało się przekonać Derricka, żeby wszedł do domu. Szeryf, postawny mężczyzna z rudymi włosami i perkatym nosem, sprawiał wrażenie skonsternowanego.

- Może przyjdzie pan później? - zasugerował Sędzia, gdy znaleźli się w domu.

- Przykro mi. To mój obowiązek.

- Ale doktor Williams jest już w drodze i pewnie da Reksowi środek uspokajający...

- Tym lepiej. Proszę posłuchać, Sędzio. Wiem, że chce pan być miły, ale ja muszę wykonywać swoją robotę.

Jeżeli policzyć dziecko, to nie żyją trzy osoby i...

- Dziecko? - Dena podniosła głowę.

- Tak, pani Buchanan. Lekarze przygotowali wstępny raport. Wygląda na to, że pani pasierbica była od kilku miesięcy w ciąży.

- Nie...

Rex opadł na swój ulubiony fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- Angie... - szeptał bez przerwy. - Angie, Angie... Moje dziecko.

Cassidy oparła się ciężko o framugę drzwi. Miała nogi jak z waty. Zbierało jej się na wymioty, gdy myślała o tym, że Angie nie żyje, że nigdy już nie będzie się śmiała, że nie będzie nieprzyzwoicie flirtować, że nigdy już nie wypomni Cassidy braku gustu, nigdy nie poprosi jej, żeby ją uczesała... Łzy spływały jej po policzkach. Angie była w ciąży. Nic dziwnego, że miewała humory. Cassidy dostała mdłości. Nikt nie musiał jej mówić, kto był ojcem dziecka. Na pewno Brig. I na pewno to on był z nią, kiedy wybuchł pożar.

Nie! - krzyknęła w myśli. Ugryzła się w język i nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

- Nie wiemy, kim był mężczyzna, który spłonął razem z nią, ale mamy kilka tropów. Nie ma Bobby'ego Alonzo i Jeda Bakera. Nie ma też Briga McKenziego.

Cassidy drgnęło serce.

- McKenziego? - powtórzyła Dena.

- Tak. Jego motor stał przy samochodzie Angie.

- Nie! - krzyknęła Cassidy. Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

- Dlaczego nie? - spytał szeryf.

- Bo... bo... on tutaj był i nie zdążyłby dojechać do tartaku i...

- Co ten bydlak tu robił? - ryknął Derrick i doskoczył do Cassidy. - Co?

- On... szukał Angie.

- To sukinsyn!

- Przestań! - rozkazał szeryf. - Więc nie zdążyłby dotrzeć do tartaku?

- Nie sądzę. - Cassidy bała się oddychać. Wbrew rozsądkowi miała nadzieję, że się nie myli. Że Brig żyje i że ani

Angie, ani jego nie było w tym potwornym piekle.

- To bzdury. To stek kretyńskich, obrzydliwych bzdur. - Derrick podszedł do barku i otarł oczy grzbietem dłoni. Od stóp do głów był brudny od sadzy i kurzu. - Powiniennem był go zabić, gdy miałem okazję.

- Derrick! - Ochryplý głos Reksa zwrócił uwagę wszystkich. - Nie chcę słyszeć takich głupstw.

- Możliwe, że on już nie żyje - powiedział szeryf Dodds. - Jego matka jest w mieście. Bez przerwy zawodzi i płacze. Twierdzi, że miała wizję i widziała ogień. Wiesz, jak z nią jest - czasami nie jestem pewien, czy nie należałoby jej zamknąć. Teraz jest w klinice i próbują ją uspokoić. Jest z nią Chase, drugi syn. Alonzowie i Bakerowie odchodzą od zmysłów z przerażenia.

Derrick zaklął głośno.

- Słuchaj, durniu! On ją zabił! To on! Widziałem Jeda i był cały zakrwawiony. McKenzie pobił go do nieprzytomności kijem baseballowym. Musi go pan dorwać, szeryfie. A jeżeli się panu wymknie, to wszyscy w mieście się o tym dowiedzą.

- Syn Sunny nie zrobiłby Angie krzywdy... - Głos Reksa załamał się. Sam nie był pewien tego, co mówił.

- Nie wymknie nam się. - Szeryf był niezadowolony, gdy dotarły do niego słowa Derricka. - Już wysłałem samochód do domu McKenziech i rozstawiłem ludzi na wszystkich wylotówkach z miasta.

- Więc jednak go pan podejrzewa?

- Po prostu nie wiem, co o tym myśleć. Dopóki wszystko się nie wyjaśni, każdy jest podejrzany. Nawet ty. - Zmrużył oczy i spojrzał na Derricka.

- I bardzo dobrze. Niech prawda wyjdzie na jaw. Mam nadzieję, że wtedy McKenziego powieszą za jaja.

Dena wzdygnęła się, słysząc wulgarne słowa.

Cassidy nie mogła tego dłużej znieść. Miała wrażenie, że dom ją osacza. Wyszła z hallu, bo i tak nikt nie zwracał na nią uwagi. Wybiegła tylnymi drzwiami i zeszła po schodach. Nie potrafiła nad sobą zapanować. Pochyliła się, szarpana nudnościami. Ból pulsował jej w skroniach.

Niedowierzenie przesyłało jej umysł.

Otarła ręką usta i pobiegła do stajni, gdzie zawsze szukała schronienia. Wsiądzie na Remmingtona i będzie jechała, jechała, jechała, dopóki tylko będzie mogła. Dopóki nie pozbędzie się dręczącego ją bólu.

Potknęła się, wchodząc do stajni. Niewiele widziała przez łyzy. Nie mogła ustać na słabych nogach. Zaczęło ją boleć ramię, ale nie zwróciła na to uwagi. Ból, który czuła w sercu był większy niż ból ręki. Zdjęła siodło i podeszła do furtki.

- Cassidy?

- Brig? - Musiało jej się zdawać, że usłyszała jego głos. To pewnie dlatego, że nie chce uwierzyć w to, co się stało. A może oszalała? - Brig?

- Óóó... To ja. - Znalazł się obok niej. Przyciągnął ją do siebie silnym ramieniem. Przytulił do niej twarz, pachnącą popiołem i dymem.

- Zujesz - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. Łzy popłynęły jej po policzkach. Był cały! Cały i zdrowy! - Ale jak... - Zresztą to nie miało znaczenia. Przywarła do niego, wbijając palce w jego ciało. Jej usta niecierpliwie błędziły po mokrej od deszczu twarzy chłopaka. - Myślałam... O Boże... - Zaczęła płakać. Wstrząsał nią rozdzierający szloch.

Trzymając ją w ramionach, ukrył twarz w jej szyi. Czuła przy sobie jego napięte mięśnie. Przez chwilę myślała, że wszystko będzie dobrze. A potem znowu poczuła ciężar, potworny ciężar prawdy.

- Ty... musisz uciekać. Angie nie żyje.

Wyprostował się.

- Wiem.

- I ktoś zginął razem z nią.

- Baker.

- Skąd...? - Przełknęła z trudem ślinę i odsunęła się od niego. Na posiniaczonej twarzy miał ślady sadzy. Pachniał dymem. - Skąd wiesz?

- Byłem tam.

Jęknęła zdławionym głosem.

- Tam było jak w piekle - powiedział nieobecny głosem.

- Oni mówią, że ty to zrobiłeś... - Dotknęła zadrapania pod jego okiem. Odrzucała podejrzenia, które zaczęły ją dręczyć.

- To nie ja.

Strach uruchomił alarm w jej głowie. Jak tylko policja się dowie, że to Jed był z Angie, jak tylko szeryf stwierdzi, że Jed i Brig rzeczywiście wcześniej się pobili... Wnioski nasuwały się same.

- Widział cię tam ktoś?

Brig wpatrywał się w ciemność. Trzymał ręce na jej bluzce. Czuła, że jej ciało reaguje na jego dotyk i wiedziała, że uwierzy we wszystko, co usłyszy.

- Ja nikogo nie widziałem.

- Musisz uciekać. - Zmusiła się, żeby to powiedzieć. Czuli się tak, jakby zabijała własną duszę. Wiedziała, że jeśli Brig wyjedzie, to już nie wróci i nigdy więcej go nie zobaczy, a jej miłość do niego powoli umrze.

- Ja nie uciekam od...

- Ale musisz. - Płakała, rozpaczliwie chcąc go ocalić. - Ale nie masz motoru. Już go znaleźli. - Myślała gorączkowo. Tylko jedno przychodziło jej do głowy. - Weź Remmingtona. Powiem, że jeździłam na nim, że mnie znowu zrzucił i uciekł. Zanim się zorientują, że go nie ma, ty będziesz już daleko...

Brig zaciskał zęby.

- Nie chcę, żebyś przeze mnie kłamała.

Łzy uwięzły jej w gardle. To naprawdę było pożegnanie.

- Będę... będę musiała. Inaczej wsadzą cię do więzienia.

- Skąd wiesz? - Z jego oczu wyczytała, że się poddał. Zrozumiał, że ma rację. Chyba że... chyba że...

- Cassidy, ja nie podpalilem tartaku. Nie obchodzi mnie, co myśli całe pieprzone miasto, ale ty musisz mi uwierzyć.

- Ja... ja ci wierzę - powiedziała, wpatrując się w niego naiwnymi, ufnymi oczami. - Nie wiesz? Zawsze będę ci wierzyć.

Z jego gardła wydobył się jęk. Przyciągnął ją bliżej.

- Nie zasługuję na ciebie. - Jego wargi przylgnęły do jej ust w brutalnym, rozpaczliwym pocałunku.

- Nie mogę tego zrobić. - Opuścił głowę. - Szeryf jest tutaj. Porozmawiam z nim. Powiem mu prawdę...

- Nie! Brig, ty nic nie rozumiesz. Oni cię już skazali. Byłam tam i słyszałam, co mówili. Derrick opowiedział o twojej bójce z Jedem. Wiedzą, że byłeś w tartaku. Szeryf musi kogoś oskarżyć... - Łzy spływały jej po policzkach. Nie wiedziała, czy były to jej, czy jego łzy. Czuli, że długimi palcami głaszcząc jej włosy. - ...proszę, zrób to. Uratuj się. Co komu z tego przyjdzie, że resztę życia spędzisz w więzieniu?

- Nie wierzysz w sprawiedliwość?

- W Prosperity? Kiedy zginęli córka Reksa Buchanana i syn Bakerów? Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Ja nigdy nie wierzyłem w system.

- Więc jedź! - Odsunęła się od niego. Serce łomotało jej ze strachu i nie mogła założyć siodła na grzbiet Remmingtona. Brig jej pomógł. Po chwili podała mu zmoknięte wodze. Jego palce na moment zacisnęły się na jej dłoniach. Cassidy walczyła ze łzami.

- Zabierz mnie ze sobą. - Poczuli, że Brig zeszytniał. - Tylko do południowej granicy posiadłości. Potem pojedziesz na zachód, przez góry. Ja...ja udam, że tam spadłam z konia.

- Nie ma mowy.

- Proszę cię, Brig. Zrób to dla mnie.

Zacisnął zęby, ale pomógł jej wsiąść na konia. Jechali przez pola w ciszy, w ulewnym deszczu. W powietrzu cały czas unosił się zapach spalenizny. Za godzinę zacznie świtać.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedziała, gdy znaleźli się na południowym pastwisku. - Tutaj. - Odwróciła się w siodle, odpięła łańcuszek z szyi i przełożyła go przez głowę Briga. - Na szczęście.

Zamarł na chwilę, a potem po raz ostatni wziął ją w ramiona. Ukrył głowę w zagłębieniu jej szyi. Jego twarde ciało drżało.

- Źle robimy.

- Ale nie mamy wyjścia. - Pocałowała go, nie zważając na piekący ból w sercu. Zeskoczyła na ziemię. Stała i wpatrywała się w niego, siedzącego na koniu, którego próbował ujeździć. Potem się schyliła, podniosła kamień i rzuciła nim w Remmingtona. Żrebak zarżał i pogalopował jak szalony w stronę pograżonych w ciemności wzgórz.

- Kocham cię - wyszeptła. Dotarło do niej, że już więcej go nie zobaczy, już nigdy nie usłyszy jego śmiechu i nigdy nie spojrzy mu w oczy. Jej słowa zagłuszył szum deszczu i echo oddalających się końskich kopyt.

11

Cassidy siedziała na parapecie w gabinecie ojca i chciała wykrzyknąć, że podejrzenia szeryfa Doddsa to same kłamstwa. Kłamstwa i nic więcej. Wymyślane przez ludzi, którzy chcieli szybko znaleźć sprawcę tragedii. Kogokolwiek. Najlepiej oczywiście, gdyby nazywał się McKenzie. Od pożaru minęło zaledwie kilka dni, ale Brig McKenzie; czarna owca miasta, został już osądzony i skazany.

Dodds zajmował cały fotel. Na przemian patrzył na milczącą córkę Reksa i spoglądał w stronę drzwi, na pokój z bronią, gdzie wisiała gablotka z rozbitą szybą. Wytarł dłonie w spodnie, które i tak już były wyswiechtane.

Ojciec zrezygnowany siedział za biurkiem. Zapomniał o cygarze, które paliło się w popielniczce.

- McKenzie nie uciekłyby, gdyby był niewinny. Chyba jest tak, jak mówił pański syn. Jed Baker i McKenzie pokłócili się o Angie. Zanim się to wszystko stało, pobili się przed domem McKenziech na oczach Sunny. Przypuszczam, że młody Baker nieźle dowalił McKenziemu kijem. Ten chłopak nigdy nie grał fair. McKenzie przegrał. Gdy doszedł do siebie, chciał oddać Bakerowi za swoje.

- Cassidy mówiła, że Brig szukał Angie - zauważył obojętnie Rex Buchanan. Od kilku dni niewiele go interesowało. Snuł się jak błędny cień. Trzymał się na nogach dzięki lekarstwom.

- Może tak było, a może nie.

- Cassidy nie kłamie. - Ojciec rzucił jej krótkie spojrzenie. Dziewczyna wyglądała przez okno. Słońce ozłacało wzgórze w popołudniowym upale.

- Wiem, ale nastolatki czasami ubarwiają rzeczywistość. Z tego, co słyszałem, Cassidy ma chyba słabość do McKenziego.

- To śmieszne. - Głos ojca był nieobecny.

Cassidy poczuła, że podejrzliwy wzrok szeryfa wbija jej się w plecy.

- Tańczyła z nim na przyjęciu u Caldwellów.

Cassidy milczała. Bała się, że jeśli zacznie mówić, szybko wyjdą na jaw jej kłamstwa, a gdy dowiedzą się prawdy, szybko odnajdą Briga i go oskarżą. Plotka, że Brig był sprawcą podpalenia i podwójnego morderstwa szerzyła się jak zaraza. Co do tego, kto był ojcem dziecka Angie, każdy miał swoje przypuszczenia, ale na czele listy znajdował się Brig McKenzie.

Rex westchnął.

- Ja tańczyłem z Geraldine Caldwell. I to nie znaczy, że - jak pan to ujął? - że mam do niej słabość.

Cassidy obejrzała się przez ramię. Szeryf się spieszył.

- Pan nie jest nastolatką z głową pełną romantycznych fantazji. - Szeryf machał rękami, jakby chciał odegnać argumenty Rexa. - Zresztą nieważne. Niezależnie od tego, czy McKenzie tutaj był, czy nie, wylądował w mieście, szukając Angie albo Jeda, albo ich obojga. Pewnie natknął się na samochód Jeda. Potem poszedł do tartaku, gdzie Jed miał się spotkać z Angie. Wszyscy dobrze wiemy, że miał fioła na jej punkcie. McKenzie pewnie napadł na Bakera, złamał mu kilka żeber, skopał go, a potem podpalił budynek.

- Nie zabiłby Angie - powiedział ponuro Rex.

- Pewnie nie wiedział, że tam była. Albo... - Szeryf zmrugał oczy. - A może wiedział. Może usłyszał rozmowę o dziecku. Widywano go z Angie, a myśl, że się puszczała...

Rex zacisnął pięść na poręczy fotela.

- Ona się nie puszczała! - Jego głos był cichy, ale stanowczy. Niewielu potrafiło mu się sprzeciwić. - Bardzo kochała mężczyznę, którego dziecko nosiła.

- Mógł to być McKenzie.

Cassidy kątem oka przyglądała się ojcu. Jego twarz wykrzywiła się z wściekłości.

- Niech pan się liczy ze słowami. Rozmawiamy o mojej córce.

- Której zdarzyło się zająć w ciążę.

Cassidy poczuła ból w żołądku. Dziecko. Dziecko Angie. I Briga. Zaczęły jej się trząść ręce. Złożyła dłoń. Chciała uciec z pokoju, ale nie mogła. Musiała dowiedzieć się wszystkiego o Brigu.

Dodds nieco spuścił z tonu.

- W porządku, w porządku. Powiedzmy, że McKenzie nie chciał tego zrobić. Pali. Mógł nieopatrznie rzucić zapalniczkę i stary tartak się zajął. Pewnie miał ze sto lat...

- Sto dwadzieścia.

- Tak, był jak podpałka. Jak benzyna dla iskry. Przypuszczam, że McKenzie nie wiedział, że w środku była Angie. Może się tam przed nim chowała, bo nie chciała spotkać się z dwoma chłopakami.

- Nie wiem...

- Dobra, Buchanan. On nie za bardzo pana lubił, prawda? Kilka tygodni temu chciał go pan zwolnić.

Rex wziął cygaro i przytaknął.

- Pobił się z Derrickiem.

- No i widzi pan. Nie miał oporów, żeby spalić ten zabytek, bo miał z panem na pieńku.

- Bójkę chyba sprowokował Derrick.

- Ale przecież syna nie może pan zwolnić? Niech pan da spokój i spojrzysz prawdzie w oczy. Nie podobało się panu, że McKenzie włóczył się za pana córką.

Rex zaciągnął się cygarem, wypuścił dym w sufit i patrzył, jak popiół zmienia się w biały pył.

- Domyślam się, że uciekł pieszo albo ukradł pańskiego konia, tego, który zginął.

- To koń mojej córki - wyjaśnił Rex, podnosząc wzrok na Cassidy. Zaczerwieniła się lekko, odwróciła twarz i znowu wyjrzała przez okno. Na dworze było gorąco. Burza ucichła dzień po pożarze. Muchy zleciały się do okna. Wszystkie kałuże po ulewie obeschły, a nad zaschniętym błotem latały szerszenie.

Angie i Jed po sekcji zwłok zostali pochowani. Odbyły się dwie ceremonie pogrzebowe według obrządku dwóch różnych wyznań. Na pogrzebie Angie kościół pod wezwaniem świętego Jana był pełen. Ludzie stali nawet na schodach. Mieszkańcy miasta ustawiali się w kolejce, żeby złożyć kondolencje i wyrazy współczucia. Dom do tej pory był pełen kwiatów, mimo że Rex prosił, żeby pieniądze przeznaczono na szkołę dla dziewcząt imienia świętej Teresy w Portland. Zapach kwiatów wypełniał każdy zakamarek i każdy kąt domu. Codziennie przychodzili ludzie z kondolencjami i żaławionymi oczami. W okrytym żałobą domu Buchananów przyjmowano wszystkich mieszkańców miasta.

Wszystkich, oprócz Sunny McKenzie. Przyszła w indiańskim stroju i mówiła od rzeczy. Zawrócono ją przy

drzwiach i powiedziano jej grzecznie, ale stanowczo, że jej osoba nie jest mile widziana w tym domu. Cassidy zauważyła ją przez okno nad schodami i wybiegła na zewnątrz, ale zobaczyła tylko szeroki tył odjeżdżającego cadillaca.

Przybita dziewczyna wróciła do domu. Starła się nie zwracać uwagi na to, że w hallu ogromnego domu, wśród bukietów róż, goździków, lilii i chryzantem, stał długi błyszczący stół. Stało na nim prawie sto świec wotywnych, które płonęły pod ogromnym portretem Angie, która uśmiechała się skromnie, a jej oczy błyszczały niewinnie. Wśród kwiatów dyskretnie umieszczono kosz na kartki i datki na szkołę imienia świętej Teresy.

Ojciec James składał codziennie wizyty. Doktor Williams również. Jeden szafował błogosławieństwami i znajomością Boga, przynosząc ukojenie duszy, a drugi przepisywał tabletki i zalecał odpoczynek, próbując ulżyć zmęczonemu ciału. Obaj mieli pomóc Reksowi pokonać ból.

- Cassidy twierdzi, że to ona jeździła na koniu tamtej nocy. - Rex uparcie bronił Briga przed szeryfem.

- Tak - potwierdziła Cassidy. Podtrzymywała sobie rękę z opatrunkiem na nadgarstku i przedramieniu. - A tu jest dowód.

- Żreback znowu ją zrzucił. - Oczy Reksa nagle wydały jej się stare.

Strząsnął popiół z cygara. - Ta uparta bestia...

- Ale może McKenzie znalazł konia i na nim uciekł albo... - Szeryf podejrzliwie przyglądał się Cassidy.

- Albo co? - spytał Rex.

- Albo sam sobie załatwił pomoc.

Serce Cassidy niemal zamarło. Miała ściśnięte gardło. Pot ciekł jej wzdłuż kręgosłupa. Szeryf Dodds był sprytniejszy, niż można było sądzić po jego wyglądzie.

- I kto niby miałby mu pomóc? Cassidy? - Rex prychnął zdegustowany.

Dodds wstał.

- Dowiemy się tego. Najlepsi ludzie i psy w stanie przeszukają góry. Znajdziemy go. - Stanął za Cassidy i wpatrywał się we wschodnie wzgórze. - Daleko nie ucieknie.

- Minęły już cztery dni - przypomniał mu Rex.

- Jest bez pieniędzy i ma tylko dwie nogi. Koń już długo nie pójdzie, o ile w ogóle McKenzie go ma. Dopadniemy go. - Podciągnął spodnie na wielkim brzuchu. - Ale to trochę potrwa.

Cassidy drżała, ale starała się sprawiać wrażenie spokojnej. Gdy zaczynała myśleć o tym, co się stanie z Brigiem, jak go złapią, zbierało jej się na wymioty.

- Przecież nie ma pewności, że to McKenzie.

- Może jeszcze nie, ale chyba znaleźliśmy naocznego świadka.

- Co? - Rex nagle się ożywił. - Kto to?

Cassidy zaparło dech w płucach. Szeryf odwrócił się, nie spuszczać oczu z dziewczyny.

- Willie Ventura. Znaleźliśmy go przy rzece. Siedział i gapił się w wodę. Wygląda na to, że tamtej nocy był przy tartaku. Ma osmalone brwi.

- Dobry Boże - wyszeptał Rex. - Willie?

O Boże, nie. Proszę, nie.

Cassidy pamiętała twarz Williego, wyglądającą spomiędzy czerwonych i złotych płomieni ognia.

- Myśli pan, że on może mieć z tym coś wspólnego?

- Przesłuchujemy go na wszystkie sposoby. Nie zmienia zeznań. Widział tam Briga, Angie i Jeda. Powtarza w kółko to samo: Ona się spaliła! Ona się spaliła! - Szeryf zmarszczył nos z niesmakiem. - On wie coś strasznego.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziano? - spytał Rex. Oczy mu błyszczały z ciekawości. - On tutaj mieszka. Nad stajnią. Pracuje dla mnie.

- Właśnie panu mówię. Znaleźliśmy go dziś po południu. Miał szczęście, że nie zginął razem z tamtymi. Pewnie nieźle się przestraszył i schował się w lesie. Znalazły go psy, gdy szukaliśmy McKenziego.

- Gdzie on jest teraz?

- W biurze okręgowym. Myją go i opatrują mu twarz. Jest... to znaczy, chciałem powiedzieć, że wszystko z nim w porządku, ale zawsze brakowało mu piątej klepki.

- O Boże. - Rex ukrył twarz w dłoniach.

- Więc stuknięty Willie widział całe zajście. - Dodds był najwyraźniej przekonany, że zeznanie Williego będzie gwoździem do trumny Briga.

- Willie opowiada dużo różnych rzeczy. - Cassidy nie mogła dłużej milczeć. Podejrzewała, że szeryf próbuje z niej coś wycisnąć, ale nie mogła się powstrzymać i nie przyjąć Brigowi z pomocą. - Lubię Williego, ale jego słów nie można traktować poważnie.

- Dlaczego?

Musiła trzymać się swojego kłamstwa, ale mogła w nie wpleść trochę prawdy.

- Bo Brig nie zrobiłby Angie krzywdy. Szukał jej tamtej nocy. Przyszedł tutaj. Powiedział mi, że pobił się z Jedem i że jego własną bronią porachował mu gnaty. - Jak szalona zwróciła się do ojca. - Musisz uwierzyć, że Brig nie zabiłby jej.

- Dlaczego? - spytał Dodds.
- Bo... bo... on ją chyba kochał. - To wyznanie rozdarło jej serce. - Chciał się z nią ożenić. - Głos jej się rwał, a z jej ust wychodziły strzępy słów. - To było chyba jego dziecko.
- Nie! - Rex zerwał się na równe nogi. - Nie uwierzę w to..
- A niech mnie! - Szeryf gapił się na Cassidy, drapiąc się w brodę. - Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej?
- Bo nikt mnie nie pytał, a poza tym... to tylko moje przypuszczenia.
- Jeżeli twoje przypuszczenia są prawdziwe, Brig powinien wrócić, poddać się przesłuchaniom i opowiedzieć nam dokładnie, co się stało. Inaczej będziemy musieli uwierzyć Williamu i dowodom, które potwierdzają jego słowa.
- Brig McKenzie nie jest ojcem dziecka! - Rex potrząsnął głową, jakby przeczenie prawdzie mogło ją zmienić.
- Tato...
- Ona w ogóle nie zwracała na niego uwagi.
- Boże, czy to ma teraz jakieś znaczenie? Angie nie żyje.

Cassidy miała wrażenie, że ściany pokoju ją osaczają. Wybiegła z gabinetu najszybciej, jak mogła. Minęła setki płonących świec i weszła po schodach do pokoju Angie. Drzwi były zamknięte, ale otworzyła je siłą. Prawie odskoczyła, gdy poczuła zapach perfum - zapach Angie, który unosił się za progiem. Mała Angie z wielkiego portretu spoglądała na nią i na lalki - Barbie i Kenów. Pozostałe rzeczy siostry stały posegregowane w pudłach.

Cassidy poczuła rozdzierający ból. Szybko zamknęła drzwi.
Oparła się o ścianę przy schodach. Walczyła ze łzami. Ugięły się pod nią kolana. Gdzie on jest, zastanawiała się, osuwając się na podłogę. Gdzie? Zobaczyła szeryfa Doddsa, jak mrużąc oczy sięgał do tylnej kieszeni spodni po paczkę tytoniu. Patrzył ponad katafalkiem na miejsce, gdzie upadła Cassidy. Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

Cassidy spojrzała na kalendarz. Od pożaru minął prawie tydzień, a w domu nadal panował żałobny nastrój.

Postanowiła uciec ze swojego pokoju. Zatrzymała się na schodach, bo dwie przyjaciółki jej matki: Geraldine Caldwell i Ada Alonzo czekały w korytarzu, przekonane, że są same.

- Śmierć Angie zabije Reksa - powiedziała Geraldine szeptem. Kobiety trzymały w rękach pudła. Wyglądało na to, że wpadły przynieść potrawy domowej roboty i gotowaną szynkę, tak wielką, że można by nią nakarmić wszystkich głodujących Trzeciego Świata. A w domu nikt nie miał apetytu. - Kochał tę dziewczynę do szaleństwa.

- Przecież wiem. - Ada, matka Bobby'ego, przeżegnała się szybko i skłoniła głowę. Cassidy z góry dostrzegła na jej głowie siwe włosy, które na próżno starała się ukryć pod farbą. Czy ci wszyscy dobroczyńcy nie mogliby im dać wreszcie spokoju i przestać krążyć jak sępy? Przychodzili z cierpiącym wyrazem twarzy o każdej porze dnia i nocy, składali kondolencje i udzielali rad. Klepali Cassidy po plecach, jeśli była w pobliżu. Uważała ich wszystkich za obłudników. Zjawiła się nawet Earlene Spears, żona pastora. Chociaż Rex Buchanan był przez całe życie gorliwym katolikiem, Earlene poczuła się w obowiązku złożyć kondolencje jako przedstawicielka kościoła swojego męża. Wstąpiła do nich wczoraj, sztywna jakby połknęła kij od szczotki. Zaciśnęła usta, gdy zobaczyła płonące świece w korytarzu.

- Wstyd... taki wstyd - stwierdziła z politowaniem. Kościstymi palcami dotykała krzyżyka, który miała na szyi. - Taka miła dziewczyna. Mam tylko nadzieję, że znajdą tego McKenziego. Zawsze z nim były problemy. Od dziecka. Wiem, bo przecież zajmowałam się jego starszym bratem, kiedy on się urodził... Och, ale przecież nie po to tu przyszłam. Chciałam złożyć najszczerze kondolencje w imieniu swoim, pastora i całej kongregacji...

Cassidy nie mogła oddychać, gdy ta kobieta była w domu. A teraz w korytarzu szeptały Ada i Geraldine. Odsunęła się od balustrady i schowała się w pokoju, który od czasu pożaru stał się jej schronieniem. Odwiedziło ją kilka przyjaciółek, ale powiedziawszy tylko, że przykro im z powodu Angie, szybko się ulotniły, bo przekonały się, że Cassidy jest jeszcze w szoku i nie ma ochoty na towarzystwo.

- Dena - odezwały się jednocześnie kobiety, gdy zobaczyły, że matka Cassidy wychodzi z pokoju. Pewnie Mary otworzyła im drzwi. Ostatnio pełniła w domu obowiązki lokaja, kucharza i gospodyni.

- Byłyśmy chore ze zmartwienia. - Głos Ady. Szczery. Nosowy.

- Tak. Czy mogę jakoś... czy możemy jakoś pomóc? Sędzia wychodzi z siebie. Przysięga, że ten, kto to zrobił, dostanie za swoje, jeżeli tylko go przed nim postawią. Możesz mi wierzyć.

- Mam nadzieję, że zgnije w piekle - powiedziała Dena. Cassidy poczuła mdłości. - To diabelskie nasienie. Zawsze był zły. A Angie... niech spoczywa w pokoju.

- Felicity jest ledwie żywa - oznajmiła Geraldine. - Były tak blisko z Angie... Straciła najbliższą przyjaciółkę. - Westchnęła. - Oprócz własnego żalu, ma jeszcze na głowie Derricka.

- Biedny chłopak. - To znowu Ada.

- Nie można z nim wytrzymać - stwierdziła Dena, bez obaw krytykując swojego pasierba. - Chce, żebyśmy zatrudnili prywatnego detektywa. Chce dopaść McKenziego i powiesić go jak psa. Ta rodzina się rozpada.

- A jak to znosi Cassidy? - spytała Ada.

- Pozbiera się. Zawsze daje sobie radę. Oczywiście, bardzo przeżywa śmierć Angie. A tak między nami mówiąc, cieszę się, że McKenzie zniknął z naszego życia. Zaczynał okazywać Cassidy względy, a wiesz jak to jest z takimi

typami. Zawsze starają się znaleźć przyzwoite dziewczyny, zamiast zadawać się z plebsem, chociaż tam ich miejsce.

- Jego brat jest taki sam - zgodziła się Geraldine.

- Nie, Chase jest trochę inny - zauważyła Dena. - Zna swoje miejsce i ciężko pracuje. Rex pożyczył mu pieniądze na studia. Chłopak pracuje u niego, żeby spłacić pożyczkę. Nabral rozumu. Szkoda, że Brig jest jego bratem. Zawsze będzie stał mu na drodze.

- A Rex się pozbiera? - spytała grzecznie Geraldine.

- Nie wiem. Uwielbiał Angie. Prawdę mówiąc, była jego ulubienicą. Mam tylko nadzieję, że teraz uświadomi sobie, jakie to szczęście, że ma Cassidy.

Ada przyznała jej rację.

- To cudowna dziewczyna. Może powinnam zasugerować Bobby'emu, żeby zaprosił ją na randkę?

- Byłaby zachwycona.

Cassidy wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

- Mogliby sobie nawzajem pomóc przez to przejść.

Nie ma mowy!

- Racja. Tak jak Felicity i Derrick - zauważyła Geraldine.

Cassidy oczami wyobraźni widziała uśmiech matki.

- Dobrze byłoby przekonać Rekxa, żeby zwolnił tego półgłówka Williego. Wiesz, że on widział ten pożar? Podobno był świadkiem całego zajścia. Ale kto to może wiedzieć? On lubił Briga. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby się okazało, że Brig go w to wszystko wciągnął.

- Powinniście go oddać do zakładu - stwierdziła Geraldine.

- Gdzie jest miejsce dla upośledzonych umysłowo - dodała Ada.

- Rex nie chce o tym słyszeć. Uważa, że jest temu chłopakowi coś winien. Nie chce przyznać, że Willie jest naprawdę poważnie upośledzony. Powiem wam, że czasami Rekxa nie da się przekonać. Wejdźcie. Napijemy się mrożonej herbaty. Przecież nie będziemy stały w korytarzu.

Zdenerwowana Cassidy zamknęła drzwi. Randka z Bobbym Alonzo? Zaaranżowana przez jej matkę? Nie ma mowy. Zdjęła buty i włączyła radio. Z głośników popłynął stary przebój Rolling Stonesów. Zamknęła oczy i słuchała, jak Mick Jagger narzeka, że coś jest pomalowane na czarno. Rozumiała go.

Nie usłyszała pukania. Gdy otworzyły się drzwi, zasłony przywarły do okien. Odwróciła się i zobaczyła Derricka.

- Mogę wejść?

Miał posępną minę i wyglądał mizernie, jakby schudł z dziesięć kilogramów.

Wzruszyła ramionami i patrzyła, jak brat zamyka za sobą drzwi.

- Boże, czuję się potwornie. - W jego zamglonych oczach pojawiły się łzy. - Angie na to nie zasłużyła.

Cassidy nie odpowiedziała. Bała się, że głos jej się załame.

- Wiesz, kochałem ją. Była jak wrzód na dupie, ale ją kochałem.

- Wiem.

Derrick zamrugał oczami.

- Przepraszam za... za tamtą noc z bronią. Nie zrobiłbym ci krzywdy.

- Nie bałam się o siebie.

Podszedł do regału. Stało na nim zdjęcie Cassidy i Remmingtona. Wziął je do ręki, zmarszczył brwi i spojrzął w lustro, gdzie napotkał wzrok siostry.

- Tata nie powinien był zatrudniać McKenziego. - Usta Derricka zacięły się na wspomnienie Briga. - Nic by się nie stało.

- Skąd wiesz.

Nagle zgniół zdjęcie.

- Nie mogę uwierzyć, że jej nie ma. - Spojrzął w sufit, jakby tam szukał odpowiedzi.

- Ja też nie.

Odetchnął płytko i wbił wzrok w Cassidy.

- Zabiję go. Przysięgam, że go zabiję gołymi rękami.

- Nawet jeżeli jest niewinny?

- Nie jest. - Derrick prychnął. - Ten bydlak jest winny i któregoś dnia za to zapłaci.

Cassidy czuła się jak kryminalista, gdy przywiązywała starą klacz do drzewa w pobliżu tartaku. Czekwała w ukryciu na koniec zmiany. Brudni mężczyźni, oblepieni trocinami, zdejmowali kaski, palili papierosy, śmiali się i żartowali. Przez bramki zamykane na łańcuch wychodzili na parking.

Po drugiej stronie stał ogromny szyld informujący, że „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i że „Bezpieczne miejsce pracy to szczęśliwe miejsce pracy”. Na wyboistym asfalcie stały gruchoty wszelkich rozmiarów i kształtów - jeepy, ciężarówki, wagony mieszkalne i samochody osobowe. Piły warkotały, a dźwigi przenosiły ciężki ładunek drewna nad hałdami trocin.

Cassidy przyglądała się wychodzącym mężczyznom. Młodszy wyjeżdżali z parkingu lśniącymi sportowymi samochodami, a starsi w brudnych, zdezelowanych ciężarówkach.

Schodzili się pracownicy z drugiej zmiany. Cassidy dostrzegła pick-upa, którego wypatrywała. Stary dodge, kiedyś turkusowy, teraz miał na zderzakach i bagażniku szare łaty. Samochód należał do Chase'a McKenziego.

Wysiadł i wyjął z bagażnika ciuchy robocze. Gdy go zobaczyła, serce zaczęło jej bić trzy razy szybciej. Był bardzo podobny do Briga, a jednak inny. Powiedziała sobie, że teraz albo nigdy, poczekała, aż grupa mężczyzn przejdzie przez bramę i zawołała go.

- Chase!

Odwrócił się, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu.

- Tak?

- To ja...

Na jego prostokątnej twarzy pojawił się uśmiech.

- Cassidy. Co ty tu robisz? Tylko mi nie wmawiaj, że twój ojciec chce, żeby wszyscy członkowie rodziny zapoznali się z pracą przy wyrębie.

Potrząsnęła przecząco głową. Musiał dostrzec smutek w jej oczach, bo uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

- Chodzi o Angie i Briga, tak?

- Myślałam... myślałam, że może miałeś od niego jakieś wiadomości.

Jego oczy pociemniały i nabrały odcienia ciemnego błękitu.

- Ja nie. A jeżeli mama coś wie, trzyma to w tajemnicy.

- Och. - Nie umiała ukryć rozczarowania. Kopnęła żwir czubkiem buta.

- Ja... ja wiem, że się nim interesowałaś.

Podniosła gwałtownie głowę. Myślała, że się z nią drażni, ale był poważny.

Zawahał się, spojrzął w dal, a potem, jakby rozważając wszystkie możliwości, dodał:

- Jeżeli będę coś wiedział, dam ci znać.

- A twoja matka?

- Sama musisz ją zapytać. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Ale nie rękę za to, co ci powie. Ona... ona to ciężko przeżywa.

- Och. Przykro mi.

- Mnie też.

Chciała się odwrócić, ale Chase chwycił ją za zdrowy nadgarstek mocnymi, twardymi od pracy rękami. Miała wrażenie, że opuszkami palców bada jej puls.

- Słuchaj, wiem, że to trudne i... i pewnie nie ja powinienem to mówić, ale zrobię dla ciebie, co będę mógł i... jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. Wiem, że to pewnie brzmi głupio, biorąc pod uwagę moją i twoją sytuację, ale jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, możesz na mnie liczyć.

Przełknęła z trudem ślinę i spojrzała w jego zakłopotane oczy.

- Dziękuję... Nie będę cię fatygować. Chcę się tylko dowiedzieć czegoś o Brigu.

Na twarzy Chase'a pojawił się cień. Lekko zacisnął zęby.

- Załatwione.

Puścił ją, przeszedł przez parking i wszedł na teren tartaku, wciskając kask na głowę.

Barak kiedyś wyglądał lepiej, ale teraz zaczynał rdzewieć. Cassidy poczuła się winna, że dorastała w domu, który ojciec zbudował dla Lucretii, a Briga i Chase całe życie spędzili tutaj, w rozpadającym się starym baraku.

Z sercem w gardle wjechała samochodem matki na zwirowany podjazd i zatrzymała się za cadillakiem Sunny. Pluszowy kot zmierzył ją obojętnym, szklanym wzrokiem. Cassidy wrzuciła kluczyki do torebki. Wzięła samochód bez pozwolenia. Dena i Rex byli w Portland, a ona nie mogła wytrzymać bez wieści o Brigu. Całą drogę modliła się, żeby nie zatrzymała jej policja, bo jeszcze nie miała prawa jazdy. Udało się. Na razie.

Ze zdenerwowania spocił jej się kark. Odczekała, aż kurz osiadzie na szybie. Ale nie mogła zwlekać dłużej. Nie miała wiele czasu. Rodzice mogli wrócić w każdej chwili.

Do domu McKenziech wchodziło się po metalowej skrzynce, która służyła jako stopień.. Nad drzwiami kołysał się zardzewiały szyld, wyblakły i podziurawiony od kul.

- Teraz albo nigdy. - Podniosła pięść, żeby zapukać do drzwi.

Sunny otworzyła, zanim Cassidy zdążyła zapukać. Miała ciemne i dzikie oczy. Wokół ust - zmarszczki ze zmartwienia.

- Jesteś córką Buchananów. - To było stwierdzenie, a nie pytanie.

- Tak. Chciałam z panią porozmawiać i przeprosić za to, jak została pani potraktowana w moim domu. Przepraszam.

Drzwi otworzyły się szeroko.

- Twój ojciec wini Briga za pożar. I za śmierć twojej siostry.

- Nie, to szeryf i mój brat... - Jaki to miało sens? Podniosła jasne oczy i spojrzała na kobietę. - Ja nie.

Uśmiech zagościł na twarzy Sunny.

- Ale twój ojciec uwielbiał twoją siostrę i teraz czuje się tak, jakby stracił część własnej duszy. Musi kogoś winić.
- Chyba... chyba tak. - Cassidy przebiegł dreszcz. Spojrzała w intensywnie brązowe oczy Sunny.
- Wejź, proszę.

W środku barak był tak samo zniszczony jak na zewnątrz. Na linoleum jaśniała wydeptana ścieżka, a wykładzina była cienka i brudna. Cassidy nie mogła sobie wyobrazić Briga - wolnego, dzikiego i zbuntowanego - mieszkającego tutaj, w tej klitce. Z radia przy zlewie płynęła muzyka gospel. Sunny ją wyłączyła.

- Chcesz coś o nim wiedzieć? - Sunny podeszła do plastikowego krzesła przy stole. - O Brigu.
- Tak.

Oczy Sunny rozblęły.

- Wszyscy chyba chcemy. Nie zadzwonił, nie pisał i jest gdzieś daleko. Może już nie żyje. Nie potrafię powiedzieć.

- Żyje. - Cassidy nie była w stanie uwierzyć, że Brig nie żyje.
- Mam nadzieję, że jest tak jak mówisz. - Znowu uśmiechnęła się ze smutkiem. - Ale widzę nad nim wielki ból i... - potrząsnęła głową - ...i śmierć. Ogień i wodę.
- Proszę posłuchać, nie wiem nic o pani wizjach, ani nie rozumiem ich znaczenia. Przyjechałam tutaj, bo chciałam, dowiedzieć się, czy wszystko w porządku z Brigiem, więc jeżeli będzie pani miała od niego jakieś wieści... Oj!

Sunny nagle pochyliła się i złapała Cassidy za zdrową rękę. Ścisnęła ją kościstymi palcami i zamknęła oczy. Dziewczyna chciała uciec, wyrwać rękę, ale nie miała odwagi się poruszyć. Ciemnonoka kobieta zaczęła wpatrywać się w dal przez ramię Cassidy widząc coś, czego nie mogli widzieć inni.

Cassidy przeszły ciarki. Zagryzła dolną wargę. Ta kobieta była całkiem inna niż jej synowie. Była obezwładniająca. Na dworze zerwał się wiatr i szyld reklamujący czytanie z dłoni głośno zaskrzypiał.

Cassidy zamarło serce.

Sunny westchnęła.

- Ja... zawsze będę wierzyć, że Brig żyje - oznajmiła Cassidy, uwalniając rękę. - Żyje i nic mu nie jest. Wróci do Prosperity i udowodni, że jest niewinny.

Sunny spojrzała na nią zmęczonymi brązowymi oczami.

- W przyszłości widzę tylko ból. - Kobieta nagle posmutniała. - Ból i śmierć. I ty będziesz tego przyczyną, Cassidy Buchanan.

- Nie... - Cassidy była już przy drzwiach. Żle zrobiła, że tu przyszła. Szeryf miał rację. Sunny powinno się zamknąć w zakładzie dla psychicznie chorych, żeby opowiadała o swoich wizjach innym pacjentom. - Proszę powiedzieć Brigowi, że mi na nim zależy i że chciałabym wiedzieć, czy wszystko w porządku i...

- To już zapisane. Wyjdiesz za mojego syna.
- Wyjdę za niego? - powtórzyła Cassidy. - Ale przecież wyjechał. Mówiła pani nawet, że może nie żyje. - Chwyciła za klamkę i mocno pociągnęła. Podmuch wiatru wyrwał jej drzwi z ręki. Z hukiem uderzyły o ścianę.
- Nie mówię o Brigu.
- C...co? Nie o Brigu?

Mówiła z przekonaniem. Cassidy zeskoczyła z prymitywnego stopnia i pobiegła do samochodu matki, ale głos Sunny podążał za nią niczym cień, którego nie można się pozbyć.

- Cassidy Buchanan. - Głos unosił się na wietrze. - Wyjdiesz za mojego syna.

O Boże, nie! Zabierz mnie stąd!

Cassidy zaczęła gorączkowo szukać kluczyków.

- Kiedyś, córko, zostaniesz żoną Chase'a.

Część druga

1994

12

To Brig umiera, pomyślała Cassidy.

Nie było innego wytłumaczenia.

Czuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w żołądek. Położyła kolczyki na półce. Doszła do wniosku, że niezależnie od tego, jak wygląda cała prawda, jedno jest pewne: Brig McKenzie leży na oddziale intensywnej terapii w klinice Northwest i walczy ze śmiercią. Bo skąd by się wziął medalik świętego Krzysztofa? Wprawdzie nie był niczym niezwykłym i pewnie wielu ludzi w Prosperity nosi podobne, ale nie mogło być jedynie zbiegiem okoliczności to, że poparzony mężczyzna spotkał się z Chase'em w tartaku, ścisnął w ręce medalik i bezgłośnie wołał jej imię. To musi być Brig.

Brig. Przez lata robiła wszystko, żeby wymazać go z pamięci. Chciała przestać wierzyć, że wróci, przestać go kochać. Na początku nie przychodziło jej to łatwo, ale po latach, nie mając o nim żadnych wieści, zrozumiała, że niezależnie od tego czy żyje, czy umarł, nie będzie częścią jej życia. Kiedy dorosła, jakoś się z tym pogodziła, zapierając się swoich uczuć, Jakby były tylko szczeniacką fascynacją, w której górę wzięły niedojrzałe emocje i seks. Wtedy była przekonana, że nie mogłaby się przespać z mężczyzną, którego nie kocha i któremu nie będzie oddana przez resztę życia.

Była taka dziecinna. Tak naiwnie dziecinna. Lepiej, że Brig uciekł bez niej.

Ale wrócił. I umiera. Spotkał się z jej mężem, który pewnie przez cały ten czas wiedział, jak się z nim skontaktować i okłamywał ją, utrzymując, że ani on, ani jego matka nie mieli żadnych wiadomości od Briga i że jego zdaniem Brig nie żyje.

- A nawet, jeśli żyje - powiedział jej wiele lat temu Chase, zanim się pobrali - dla nas jest martwy. Wie, gdzie mieszka mama. Ona, wierząc, że Brig zadzwoni, nie przeprowadziła się ani nie zmieniła numeru telefonu. Moje nazwisko jest w książce telefonicznej. On nie żyje albo chce, żebyśmy tak myśleli. Na jedno wychodzi.

Ale Chase kłamał. Dlaczego? Żeby ratować ich małżeństwo? Zmarszczyła brwi. Czuła się zdradzona i śmiertelnie zmęczona. Ostatnie dwa dni wyczerpały ją. Już przed pożarem były problemy. Poważne problemy. Między nią i jej mężem. Spojrzała na obrączkę ślubną. Prostą złotą obrączkę z diamentem, która znała jej tajemnicę, że jej małżeństwo nigdy nie stało się pełnym miłości i serdeczności związkiem, o jakim marzyła. Chase tego nie chciał.

Pobrali się z niewłaściwych powodów i oboje o tym wiedzieli. Westchnęła i zanurzyła palce we włosach. Małżeństwo zawarli na dobre i złe, ale nie zanosilo się, że w najbliższym czasie coś się zmieni. Nie może jednak siedzieć beczynn timer i się zamartwiać. Powinna coś zrobić. Będzie wierna Chase'owi, pomoże mu dojść do siebie, a potem jeszcze raz zastanowi się nad swoim małżeństwem. Najpierw musi porozmawiać z Brigiem. Zanim umrze.

Miała ochotę rzucić się na łóżko, zasnąć i obudzić się z tego koszmaru. Poszła jednak do garderoby wyłożonej cedrową boazerią, godną żony Chase'a McKenziego. Wzięła dzinsową kurtkę. Czas się pozbierać. Ktoś przecież musi. Chase leży w szpitalu, ojciec ma słabe serce, Dena załamuje ręce, a Derrick, jak zwykle, niczym się nie przejmuje. To ona musi panować nad sytuacją.

Była w końcu niezłą reporterką, zanim zamieniła dyktafon na obrączkę i bezpieczną, ale cholernie nudną pracę w lokalnej gazecie.

Zmarszczyła czoło, myśląc o zmianach, jakie zaszły w jej życiu. Szybko zeszła po kaflowych schodach. Mieszkała w domu ze szkła i czerwonego drewna, który zbudował dla niej Chase rok po tym, jak powiedzieli sobie tak. Wystroju dopełniały mosiężne baterie w łazienkach, włoski marmur, kryształowe lampy i ręcznie rzeźbione meble, na życzenie Chase'a. Dom był urządzone z przepychem i przypominał bardziej muzeum niż mieszkanie. Na lakierowanych parkietach leżały perskie dywany. Pod złotymi i mosiężnymi kranami, znajdowały się porcelanowe umywalki sprowadzone z Anglii. Ozdobne zasłony nadawały pomieszczeniu wyraz. Europejski rzemieślnik prawie przez rok rzeźbił i montował poręcze, które wiły się od drugiego piętra do parteru w trzech oddzielnych kłatkach schodowych.

To był ostentacyjnie wielki dom. Tego chciał, a właściwie pragnął Chase. Cassidy zgodziła się, żeby go zbudować, bo myślała, że nowy dom i meble uszczęśliwią męża.

Oczywiście, tak się nie stało. Chase'a nic nie było w stanie uszczęśliwić.

Zadzwonił telefon. Cassidy przystanąła przy szklanych drzwiach gabinetu i słuchała, jak włącza się automatyczna sekretarka. Odkąd wróciła ze szpitala, telefon zadzwonił co najmniej piętnaście razy. Kilku zatroskanych przyjaciół, kilku robotników z tartaku i dziennikarze - jej koledzy, żądni sensacji i skandalu. Nie miała zamiaru oddzwaniać. Jeszcze nie.

- Cassidy? Jesteś tam? Mogłabyś odebrać telefon? - To głos Felicity, pełen troski i nieco porywany. Przerwa. - Słuchaj, wiem, że tam jesteś, więc odbierz telefon. Powiem szczerze: Derrick i ja bardzo się martwimy. Dzwonili do mnie z dwóch stacji telewizyjnych, z lokalnej gazety i z „Głosu Oregonu”. Wszyscy oczekują jakiegoś oświadczenia, a... Derrick nie ma do tego głowy. Ty... pewnie wiesz, jak postępować z tymi ludźmi. Lepiej niż ktokolwiek z nas. - Zawahała się. Cassidy wyobraziła sobie Felicity, zagryzającą dolną wargę ze zmartwienia. - Cassidy? Na miłość boską, nie będę tego znosić. Jeżeli tam jesteś, to odbierz ten cholerny telefon!

Cassidy wiedziała, że popełnia ogromny błąd, ale podniosła słuchawkę.

- Dobra, jestem. - Oparła się biodrem o biurko. - Nie przejmuj się dziennikarzami. Jeżeli jeszcze ktoś zadzwoni, to powiedz, że jutro z nimi porozmawiam...

- Dzięki Bogu. Odchodziłam od zmysłów. Ci ludzie to istne hieny. Nie chciałam cię urazić - dodała pośpiesznie, jakby Cassidy mogła poczuć się urażona, taką oceną swoich kolegów po fachu. - Słyszałam, że oblegali szpital i że nie dali spokoju Denie i Keksowi nawet w Palm Springs. Wyobrażasz sobie?

Bardzo dobrze sobie wyobraża. Przecież nie raz sama brała udział w podobnym polowaniu na sensację, całymi dniami tkwiła na schodach sądu, nocami czekała przed więzieniem i w bezsenne godziny planowała ważne wywiady. Teraz wydawało jej się, że ta część jej życia jest bardzo odległa.

- Złe wieści chyba szybko się rozchodzą - stwierdziła chłodno Cassidy. Dotarły nawet do Palm Springs.

- Wiesz, jak współczujemy Chase'owi - ciągnęła Felicity. - Derrickowi i mnie jest bardzo przykro z powodu

wszystkiego, co...

Kłamstwa. Felicity i Derrick uciekli do Lake Tahoe, jak tylko ostygły popioły po pożarze, który zabił Angie. Troska Felicity brzmiała nieszczerze. Ślepo naśladowała męża, a Derrick nie cierpiał wszystkiego, co miało związek z rodziną McKenziech. Wychodząc za męża za Chase'a, Cassidy wprawiła Derricka i Felicity w osłupienie. Cała rodzina była w szoku, a jej przyrodni brat i bratowa nigdy nie kryli, jak bardzo byli zdegustowani jej wyborem. Może był to jeden z powodów, dla którego Cassidy zdecydowała się na ten związek? Przez kilka pierwszych miesięcy, kiedy byli szczęśliwi, Chase żartobliwie nazywał siebie nowym bękartem, a nie szwagrem. Ale to było tak dawno...

- ...Nie martw się - Cassidy usłyszała swój głos. - Wkrótce poczuje się lepiej.

- Na pewno? To znaczy, wiem, że jest z nim źle...

Cassidy wróciła do rzeczywistości.

- Doktor Okano jest zdania, że Chase wyzdrowieje.

- Rozmawiałaś z lekarzem? Myślałam, że byłaś u zastępcy szeryfa.

Cassidy nie miała czasu, żeby spowiadać się przed Felicity.

- Byłam. Pojechałam z Wilsonem do szpitala, a potem, gdy skończył mnie przesłuchiwać, wróciłam tam i zostałam z Chase'em. Później rozmawiałam z lekarzem. - Owinęła kabel telefonu wokół palca. - Doktor Okano jest dobrej myśli. Wypiszą Chase'a przed końcem tygodnia.

- I wróci do domu?

To samo pytanie zadawała sobie tysiące razy.

- A gdzie miałyby wrócić?

Felicity westchnęła głośno.

- Nie gniewaj się. Po prostu wszyscy wiemy, że macie problemy.

Mięśnie karku Cassidy napięły się. Bez względu na to, jak źle się działo w ich małżeństwie, nigdy się nikomu nie zwierzała - ani matce, ani bratu i jego żonie. Małżeństwo było wyłącznie jej sprawą.

- Słuchaj, Felicity. Chase zdrowieje i wróci do domu. Kropka.

Felicity nie naciskała.

- A co z tym drugim mężczyzną?

Ból ścisnął Cassidy za gardło. Brig.

- Nie wiem. - Bawiła się kablem telefonicznym. - Nie można go zobaczyć, ale chyba nie wygląda dobrze.

- Kto to jest, do cholery?

Czy to jej serce tak głośno bije?

- Nie wiem. Policja cały czas próbuje to ustalić.

- Mam nadzieję, że niedługo się dowiedzą - powiedziała szybko Felicity. - Poczuję się bezpieczniej, gdy będzie wiadomo, kto to jest i dlaczego chciał spalić tartak.

- Myślisz, że to on zrobił?

Brig? Po co miałyby tu wracać i palić tartak?

- A któżby inny?

- Każdy.

- Oj, daj spokój, Cassidy. Twój mąż walczy o życie, o mało nie zginął w pożarze, a ty bronisz włóczęgi, którego nie może zidentyfikować policja. Oczywiście, że to jego sprawka!

- Tego nie wiemy. Na razie nic nie wiemy. - Starła się nie okazać, że jest urażona. Lepiej, żeby Felicity nie domyśliła się, że Brig wrócił. - Poza tym, jeżeli jesteś przekonana, że to on spalił tartak, to nie masz się czym martwić. - Na czoło wystąpiły jej krople potu, a do gardła podeszły wymioty. - On... on raczej tego nie przeżyje.

- No i dobrze. Przynajmniej wymiar sprawiedliwości i stan zaoszczędzi kilka tysięcy dolarów - powiedziała Felicity z ulgą. - Wiem, że ty jesteś miłosierna i wyrozumiała, ale myślałabyś inaczej, gdybyś miała dzieci i dzień w dzień martwiła się o ich bezpieczeństwo.

Serce zakłuło Cassidy boleśnie. Zarezerwowała w nim miejsce na macierzyńskie uczucia, ale na zawsze pozostanie ono puste.

- Słuchaj, muszę iść...

- Nie będę cię zatrzymywać. Ale pamiętaj, że nie jesteśmy bezpieczni. Kto wie, co ten facet chciał zrobić? Może miał współników. I może któryś z tych szaleńców nadal jest na wolności. To mnie martwi. Może to jakiś idiota, który ma coś do naszej rodziny. Jestem przekonana, że zamieszany jest w to Willie Ventura. Zniknął, prawda?

- Willie nie...

- Jest nienormalny. Wiem, że całe życie go broniłaś, ale to półgłówek. Psychika chłopca w ciele mężczyzny. Kto wie, co mu chodzi po głowie? Nie pozwoliłabym moim córkom się z nim zdawać. Nie ufam mu. To zboczenie. Ciągłe krąży i podgląda.

Cassidy przypomniała sobie, jak przed laty przy basenie Felicity odważyła się zdjąć koszulkę i obnażyć piersi, żeby zobaczyć, jak zareaguje Willie.

- Mam nadzieję, że sprawa się wkrótce wyjaśni. Twój ojciec na pewno bardzo to przeżywa. Dzwonił do nas,

rozmawiał z Derrickiem. Jutro przylatują z Deną.

- To dobrze. - Cassidy nie była gotowa na spotkanie z rodzicami ale to było nieuniknione. Po pierwszym pożarze Rex Buchanan zestarzał się w oczach. Zupełnie jakby uszło z niego życie. Dena zrobiła się nerwowa, skakała wokół męża, spełniała wszystkie jego prośby, korzystała z wolnego czasu i narzekała, że nie ma wnuków. Wprawdzie Angela i Linnie, córki Felicity i Derricka, były czarujące, ale nie płynęła w nich jej krew. Dena cieszyła się, że oddała interes rodzinny w ręce Derricka, Chase'a i Cassidy.

Cassidy znalazła wymówkę i zakończyła rozmowę. Ona i Felicity nigdy za sobą nie przepadały. Były tylko dla siebie grzeczne. Przewiesiła torebkę przez ramię i wyszła. Musiała wstąpić do redakcji gazety, w której pracowała, a potem pojechać do szpitala.

Wiał gorący wiatr. Pogoda była piękna, jak na koniec sierpnia przystało. Cassidy wsiadła do jeepa i pojechała do Portland.

Dudniło jej w głowie. Na myśl o Brigu zaczynała ją łupać w skroniach. Ile lat się modliła, żeby go znowu zobaczyć? Ale on umiera. Zanim zadasz mu jedno pytanie, zanim go dotkniesz, zanim nawet dowiesz się, czy to na pewno Brig, on umrze.

- Jak to jest być w centrum uwagi? - spytała Selma Rickert, opierając się o ściankę działową, która odgradzała jej miejsce pracy od biurka Cassidy. Na nadgarstkach dziennikarki pobrzękiwały złote bransolety. Dzięki nowym soczewkom kontaktowym jej oczy błyszczały żywym odcieniem zieleni. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, jak zawsze, od kiedy w redakcji ogłoszono zakaz palenia. Ona i kilku innych dziennikarzy zmuszeni byli wychodzić na papierosa na dwór. Nie mogli już zostawiać palących się papierosów w popielniczkach, które nadal walały się na biurkach.

- Mówiąc prawdę, raczej wolę zadawać pytania.

- Tak, wiem, co masz na myśli. - Podrapała się po ramieniu pomalowanymi paznokciami i dodała: - Lepiej uważaj na Mike'a. Jest na wojennej ścieżce z władzami, które mają się zająć, jak to się mówi, kierunkiem i poglądami „Timesa.” W nowym zarządzie ma zasiąść Elmira Milbert, właścicielka „Valley Timesa”, którego przejęła w zeszłym roku po mężu. Poza tym Mike robi wszystko, żeby dowiedzieć się najdrobniejszych szczegółów o pożarze, nie muszę ci chyba mówić, od kogo.

- Ode mnie? A ja je niby znam? - Cassidy potarła skronie. Marzyła o aspirynie.

Selma pokiwała głową i spojrzała w stronę oszklonych drzwi gabinetu szefa.

- Jesteś żoną jednego z rannych.

- Ale nic nie wiem.

- Wiesz więcej niż my, moja droga. Tylko to się liczy.

Cassidy poczuła ucisk w żołądku.

- Czego chce?

- Jak to, czego chce? Informacji. Od kogoś, kto ma z tym związek. - Selma wzruszyła ramionami. - Znasz Mike'a. Chce mieć różne wersje. W końcu w gazecie o to chodzi, o różne punkty widzenia.

- I nie miałby nic przeciwko małej sensacji.

Selma uśmiechnęła się szeroko, ukazując lekko nieprawidłowy zgryz.

- Nie, jeżeli dzięki temu gazeta sprzedawałaby się lepiej.

Mrugnęła i usiadła za biurkiem. Cassidy przyglądała się bałaganowi na swoim biurku. Nie było jej tylko kilka dni, a miała wrażenie, że cały świat stanął na głowie.

Przejrzała pocztę i wiadomości, dokończyła artykuł o nowej grupie teatralnej, który zaczęła pisać kilka dni temu, a potem zadzwoniła do szpitala, żeby dowiedzieć się, jak się czuje Chase. Dała sobie spokój z następnym zleceniem, które miała dopiero na następny tydzień. Przejrzała wszystkie artykuły prasowe o pożarze i kopię raportu policji, który komuś udało się zdobyć z Biura Departamentu Szeryfa.

Godzinę później przy jej biurku stanął Mike Gillespie. Spojrzał na kopię raportu.

- Współczuję ci z powodu Chase'a. - Jego oczy przesłonięte okularami wyglądały na zmartwione. Postawny mężczyzna, któremu zaczynał robić się brzuszek, pachniał dymem cygara i kawą.

- Wszystko będzie dobrze. Potrzeba tylko trochę czasu.

- Swoją drogą, niezła historia.

Mike nigdy wcześniej nie działał jej na nerwy, bo do tej pory grali w jednej drużynie. Tym razem, z powodu pożaru, znaleźli się po przeciwnych stronach, a przynajmniej na to wyglądało.

- Jeżeli chcesz jeszcze kilka dni wolnego... - Przerwał, pozwalając jej odpowiedzieć, zanim skończy myśl.

- Chciałabym pracować więcej w domu, kiedy Chase'a wypuszczą ze szpitala. Będę przysyłała artykuły faksem.

Podwinął sobie rękawy koszuli.

- Daj mi tylko znać. Znajdą się ludzie, którzy cię zastąpią.

- Doceniam to. - Ścisnęła ją w żołądku. Coś nie dawało jej spokoju. Instynkt ostrzegał ją: Uważaj, nie pozwól się ogłupić.

- Bill pracuje nad artykułem o pożarze.

Bill Laszlo był jednym z najlepszych dziennikarzy gazety. Cassidy nie odpowiedziała. Czekala, aż Mike przejdzie do sedna sprawy.

- Pewnie chciałby zadać ci kilka pytań. Wiesz, w końcu to twój ojciec jest właścicielem tartaku, a prowadzi go twój mąż i brat...

- I mój mąż o mało nie zginął w pożarze.

Zdawał się być bardzo zmartwiony.

- Chodzi o informację, Cassidy. To poważna sprawa. Tym się zajmujemy. Chyba nie spodziewasz się, że to przemilczymy?

- Oczywiście, że nie. Tylko nie chcę być źródłem informacji. Nie mam zamiaru wywlekać rodzinnych spraw przed mediami.

- Cudze nieszczęścia mniej boją, co?

- Powiedz Billowi, że wiem tyle, co i on. Policja mi się nie zwierzała.

Zawahał się i wydał dolną wargę.

- Z tego co słyszałem, podejrzewają również ciebie.

Patrzyła na niego tak, jakby wyrosły mu rogi i ogon.

- Tak ci powiedzieli?

- Nie, ale wezwano cię na przesłuchanie.

- Bo mój mąż został ranny. To wszystko! - Prawie krzyknęła, oburzona. Co ten Mike sugeruje? - Rozmawiali z wieloma osobami.

- W Prosperity wszyscy wiedzą, że tartak przynosił starty i że był ubezpieczony na wysoką kwotę.

Nie miała zamiaru się sprzeczać.

- Tak mówią? To są czyste spekulacje. Myślałam, że ta gazeta zajmuje się wyłącznie faktami.

- Mieliliśmy nadzieję, że poznamy je dzięki tobie.

- Ale ja nic nie wiem.

- A co z nieznanym?

Serce w niej zamarło. Usiłowała się powstrzymać, żeby nie warknąć.

- Wiem tylko, że leży na intensywnej terapii i że jest z nim kiepsko.

- Myślisz, że to on był podpalaczem?

Potrząsnęła przecząco głową. Myślę, że to brat mojego męża, chłopak, któremu oddałam serce i dziewictwo.

- Nic o nim nie wiem.

- Ale jeżeli się dowiesz, to daj nam znać.

Zmarszczył brwi.

- Jasne. Najpierw jednak zadzwonię do wiadomości telewizyjnych.

- Bardzo śmieszne, Cassidy - powiedział z sarkazmem, odrywając ręce z jej biurka. Odwrócił się. - Bardzo śmieszne.

- Chase, słyszysz mnie? - Cassidy siedziała przy mężu na krześle w szpitalnej sali. Od dwóch dni chciała z nim porozmawiać. Wiedziała, że z jego słuchem jest wszystko w porządku i że tylko udaje, że jej nie słyszy. Pielęgniarki twierdziły, że nie odezwał się ani słowem, a policja zdołała z niego wydusić zaledwie jedną sylabę, ale przecież reagował. Zjadł trochę i napił się przez słomkę. Nadal był owinięty bandażami i mógł patrzeć na nią tylko jednym zaczerwienionym okiem. Możliwe, że był ogłuszony przez środki uśmierzające ból i dlatego nie mógł jej odpowiedzieć, jednak Cassidy przypuszczała, że jest po prostu uparty i odgrywa tę samą scenę, jak zawsze, kiedy się kłócili.

Zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek go kochała. Po pożarze, w którym zginęła Angie i po wizycie u Sunny McKenzie, nigdy nie miała zamiaru związać się z bratem Briga.

Sunny przepowiedziała jej tamtej nocy, że wyjdzie za Chase'a. Dręczyło ją to przez całą drogę do domu, ale potem odpędziła od siebie tę głupią myśl. Przecież kochała Briga. A nie jego starszego, bardziej subtelniejszego brata. Przez następnych kilka lat widziała Chase'a zaledwie parę razy. On poszedł na studia prawnicze do Salem, ona kończyła liceum w Prosperity, myśląc nieustannie o Brigu i powtarzając sobie, że musi o nim zapomnieć. Prawie nie brała udziału w życiu towarzyskim. Matka się o nią martwiła, a ojciec w ogóle jej nie zauważał.

Wraz z Angie odeszła z tego świata część Reksa Buchanana. Życie nie sprawiało mu radości. Częściej zaczął bywać na cmentarzu. Zamykał się w swoim gabinecie, pił brandy i wpatrywał się posepnie w ogień. Cassidy była przekonana, że Rex nawet by nie zauważył, gdyby skuliła się w kłębek i umarła.

Jej konia nie znaleziono. Nigdy też nie natrafiono na ślad Briga. Cassidy poszła na studia, szczęśliwa, że znajdzie się daleko od Prosperity i zwęglonych duchów, które ją dręczyły. Przestała się interesować końmi i schowała buty kowbojskie na dno szafy. Żarliwie studiowała dziennikarstwo, rzadko umawiała się na randki, zaprzyjaźniła się z kilkoma osobami. Po skończeniu studiów dostała pracę w małej stacji telewizyjnej w Denver. Potem przeprowadziła się do San Francisco, a potem do Seattle, gdzie po latach ciężkiej pracy została cenioną dziennikarką. Chase, prawnik z kancelarii, zobaczył ją w wiadomościach, zadzwonił i poprosił o spotkanie.

Zgodziła się, bo chciała dowiedzieć się czegoś o Brigu. Umówiła się z nim w irlandzkim pubie na Pioneer Place. Śmiali się i rozmawiali. Ujął ją uśmiech Chase'a, łagodniejszy niż Briga, a jednak zapierający dech w piersiach. Tak się zaczęło. Nie śpieszyli się. Żadne z nich nie chciało zobowiązań. Po kilku miesiącach Cassidy w końcu pogodziła się z myślą, że z jej dziewczęcej fascynacji Brigiem zostało tylko blade wspomnienie, które powinna wymazać z serca i z pamięci.

Teraz, kiedy patrzyła na Chase'a leżącego na szpitalnym łóżku, uświadomiła sobie, że bardzo jej pomógł. Pomógł jej zapomnieć o Brigu, który ją zostawił.

Będzie mu za to dozgonnie wdzięczna. Odkasznęła i odezwała się do milczącego mężczyzny, przykrytego sztywną pościelą. Przynajmniej tyle była mu winna - pomóc mu dojść do siebie. W końcu, była jego żoną. Delikatnie ujęła w dłonie palce jego zdrowej ręki.

- Chase? Słyszysz mnie? Myślałam...

Nie poruszył się. Oddychał z trudem i nie dał żadnego znaku, że usłyszał, co powiedziała, chociaż nie był w śpiączce, przynajmniej tak twierdził doktor Okano.

Nie miała do niego pretensji, że nie odpowiada. W nocy, kiedy wybuchł pożar, strasznie się pokłócili. To była ich najgorsza kłótnia. Cassidy zaproponowała rozwód. Wtedy wydawało jej się, że to jedyne rozwiązanie, ale teraz... O Boże, jak oni mogli się do tego doprowadzić?

- Jestem przy tobie. - Zagryzła dolną wargę i wpatrywała się w spuchniętą twarz męża. - Naprawimy to. Obiecuję.

13

Cassidy przekonała T. Johna Wilsona, że musi zobaczyć mężczyznę, który leży na oddziale intensywnej terapii. Chciała zobaczyć Briga, o ile jeszcze żyje. Wystarczyło tylko, żeby T. John pociągnął za odpowiednie sznurki, porozmawiał z lekarzem i przeprowadził ją przez podwójne drzwi pokoju pielęgniarek, z którego wchodziło się do kilku szpitalnych sal. Zza biurka, które wyglądało jak tablica rozdzielcza statku gwiazdowego „Enterprise”, pielęgniarki widziały aparaturę i pacjentów, chyba że dla odrobiny prywatności rozstawiono parawan.

Tylko spokojnie, powiedziała sobie Cassidy, patrząc na łóżka. Leżało w nich trzech mężczyzn i dwie kobiety. Spali albo drzemali. Z ich ciał wystawały rurki, przewody i cewniki.

- Tędy - powiedział łagodnie T. John i wprowadził ją do małej sali.

Miała wrażenie, że szpik zastygł jej w kościach. Ten... ten połamany człowiek to Brig? Prawie bez włosów, ze zmiażdżoną, spuchniętą twarzą był nie do poznania. Oddychał z trudem. Szczęka trzymała się dzięki drutom. Miał obandażowaną głowę, ręce i nogi. Cassidy zagryzła wargi, kiedy przypomniła sobie, jak wyglądał w młodości. Był zdrowym, krzepkim, silnym mężczyzną. Miała przed oczami Briga odchylającego głowę, kiedy się śmieje, jego napięte mięśnie, błyszczące w słońcu, kiedy ujeżdża Remmingtona i groźny błysk w jego oczach, kiedy zapala papierosa. I obraz Briga całującego ją w deszczu.

Zdusiła krzyk rozpacz, chciała się odwrócić i jak najszybciej stamtąd uciec. Zmusiła się jednak, by zostać. Podeszła wolno do łóżka. Zbierało jej się na wymioty. Łzy paliły ją w oczy.

- Odzyskał przytomność? - spytał T. John pielęgniarkę.

- Nie.

- Jakie są rokowania?

- Musi pan porozmawiać z lekarzem.

T. John zmarszczył czoło i przyglądał się umierającemu mężczyźnie. Cassidy walczyła, żeby zachować twarz. To nie może być Brig!

- Zna go pani?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie można przecieżyć...

- A domyśla się pani, kto to może być?

- Nie. - Postanowiła, że nawet jeżeli okaże się, że ten mężczyzna jest Brigiem, ona nie zdradzi jego sekretu, przynajmniej na razie. Tak długo uciekał... To ona przed laty pomogła mu uciec. Tak naprawdę, nie miała pewności. To, że był z Chasem i że miał na wpół spalony medalik świętego Krzysztofa, nie było wystarczającym dowodem. Gdyby otworzył oczy i na nią spojrział. Może wtedy rozpoznałaby w nim człowieka, którego знаła dawno temu.

- Przepraszam, ale jeżeli chcą państwo zostać dłużej, muszę spytać o zgodę doktora Maloya.

T. John spojrział na Cassidy, ale ona potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, pójdziemy. - Wziął Cassidy pod rękę i przeprowadził przez pokój pielęgniarek do drzwi na korytarz. Czuli się tak, jakby miała nogi z ołowiu. W środku cała się trzęsła.

Zastępca szeryfa wyjął z kieszeni paczkę gum.

- Chce pani? - Cassidy podziękowała ruchem głowy. Krew tak pulsowała jej w skroniach, że ledwie słyszała słowa Wilsona. - Niezbyt miły widok, prawda?

- Tak.

Odwinął gumę z papierka, zwinął ją w kulkę i włożył do ust.

- Lekarze się dziwią, że on jeszcze żyje. Ich zdaniem już dawno powinien umrzeć. Trzeba przyznać, że jest cholernie mocny. Jeszcze żyje. Nie jest bardzo poparzony, ale ma poważne obrażenia wewnętrzne. Stracił cholernie dużo krwi. Runęło na niego drzewo. Powiedziałbym, że ma szczęście, że to przeżył, ale...

- Nie wygląda na to, żeby miał szczęście. - Cassidy w końcu udało się coś z siebie wydusić, ale jej głos brzmiał obco i dziwnie, jakby mówiła zza szyby.

T. John spojrzął na nią z uwagą.

- Może chce pani usiąść?

Nie protestując, opadła na krzesło w małej poczekalni, gdzie siedzieli i dreptali inni zatroskani ludzie, pewnie przyjaciele i rodziny pacjentów z oddziału intensywnej terapii. Byli bladzi, na twarzach mieli zmarszczki, w dłoniach gniętli chusteczki i czekali na informacje o stanie zdrowia tych, których kochają i którzy walczą o życie. Jak Brig. Ale ten mężczyzna to na pewno nie Brig!

- Przyniosę pani wody. A może kawy?

- Nie. - Nie chciała od niego niczego. Przypomniała sobie, że nie powinna mu ufać. T. John Wilson był jej wrogiem. Przynajmniej na razie. - Zaraz mi przyjdzie.

- Na pewno?

- Tak.

Czekał, opierając się o framugę. Założył ręce na piersiach, skrzyżował nogi. Cassidy usiłowała się pozbierać. Starła się ujarzmić wybujałą wyobraźnię. Jeżeli to naprawdę Brig, to co robił w tartaku? Dlaczego spotkał się z Chase'em? Od kiedy Chase wiedział, że Brig żyje? Od niedawna, czy okłamywał ją od miesięcy, a może nawet od lat? Może nawet od czasu pierwszego pożaru, od którego upłynęła cała wieczność.

Miała wrażenie, że ziemia wiruje jej pod stopami. Czy kiedy Chase umawiał się z nią po raz pierwszy, wiedział, że jego brat żyje i już wtedy zataił prawdę? Zaczęło ją mdlić. Przelknęła dwa razy ślinę i w końcu stanęła niepewnie na nogach.

- Na pewno nic pani nie jest?

Jest! Już nigdy nie będę taka sama... O Boże...

- Nic - skłamała z przekonaniem w głosie. - Chyba... chyba odwiedzę męża.

T. John wpatrywał się w nią tak uporczywie, że miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Myślałem, że są państwo w separacji? Tamtej nocy chyba poważnie się pokłóciliście?

- Już panu tłumaczyłam...

Wyciągnął rękę.

- Ja tylko przypominam, że tej nocy, kiedy omal nie został zabity, pokłócili się państwo, a pani zasugerowała rozwód, zgadza się?

Cassidy westchnęła i pokiwała głową. Starła się być wobec Wilsona na tyle szczerą, na ile mogła.

- A potem on wyszedł w pośpiechu. Był zdenerwowany. A pani? Co pani zrobiła? Została w domu i pracowała nad artykułem?

- Tak.

Rzecz jasna, że jej nie uwierzył.

- Mam nadzieję, że pani mnie nie okłamuje, pani McKenzie, bo ja nie lubię, jak się mnie okłamuje.

- Ja też nie. I nie lubię, gdy się mnie podejrzewa, że utrudniam dochodzenie. Nie poszłam za mężem do tartaku, jeżeli to pan chciał zasugerować.

- Tartak jest ubezpieczony na ogromną sumę.

Cassidy przyjrzała się mężczyźnie.

- Nie zależy mi na pieniądzach.

- Och, to na pewno. Jest pani jedną z niewielu kobiet na świecie, która ma ich pod dostatkiem. I mimo że chciała pani rozwodu...

- Nie chciałam. Czułam, że... nie mam wyboru.

- A teraz czuje się pani w obowiązku tkwić przy jego łóżku i trzymać go za rękę? - Wilson nie starał się ukryć niedowierzania.

- Chcę.

Drżała mu lekko dolna warga. Zmrużył oczy i w skupieniu żuł gumę. Wydawało się, że nic nie umknie jego uwagi. Mimo że zachowywał się, jakby mu się nie spieszyło i jakby wszystko było mu obojętne, był czujny. Nie, na pewno nie można mu ufać.

- Jestem żoną Chase'a.

- Tak, wiem.

- On mnie teraz potrzebuje.

- Z tego, co słyszałam, pani mąż nigdy nikogo nie potrzebował.

Zamurowało ją, ale nie mogła dać się ponieść emocjom.

- Nie zna go pan.

- Ale poznam, droga pani - zapewnił ją, odwracając się do windy. - Zanim to wszystko się skończy, mam zamiar

go dobrze poznać.

Niech pan na to nie liczy. Nikt naprawdę nie poznał Chase'a McKenziego. Może mi pan wierzyć. Ja próbowałam.

W pokoju było jeszcze więcej kwiatów. Między plastikowymi meblami, umywalką i łóżkiem stały ogromne kosze róż, goździków, tulipanów, w których utonęła szpitalna sala na czwartym piętrze. Spod sufitu zwisały balony na wstążkach. Ale mimo mnogości kolorów i życzeń od przyjaciół i pracowników firmy Buchanana, Chase wyglądał tak samo. Leżał bez ruchu. Cassidy usiadła przy nim i wzięła go za rękę przez metalowe pręty łóżka.

- Oni mówią, że nie chcesz współpracować - powiedziała łagodnie.

Żadnej odpowiedzi.

- Są zdania, że jesteś przytomny, tylko nie chcesz mówić.

Jedno oko nieruchomo wpatrywało się w sufit.

Odrzuca ją. Znowu. Jak przez te wszystkie lata.

- Miałam nadzieję, że poprawi ci się na tyle, że będziesz mógł wrócić do domu.

Nic.

Nie poddawała się. Spróbowała inaczej.

- Mama i tata mają przylecieć dziś po południu. Bardzo chcą cię zobaczyć. Jutro odwiedzi cię też twoja matka. Załatwiłam, żeby jej pielęgniarka...

Oko mrugnęło, a potem znowu spojrzęło w sufit.

- Brenda, pamiętasz ją, jest nową prywatną pielęgniarką twojej mamy. Zatrudnili ją w szpitalu kilka miesięcy temu. Brenda mówi, że twoja matka jest bardzo niespokojna od wypadku...

Była bardziej niż niespokojna. Brenda przyznała, że kiedy Sunny usłyszała o pożarze w tartaku i obrażeniach syna, dostała hysterii. Wrzeszczała i rzucała się, rozbiła kilka naczyń i chciała, żeby ją wypuścić, a potem płakała za synem. Co gorsza, przewidziała ten pożar. Jej psychiatra, doktor Kemp, łysiejący mężczyzna, który związywał przeredzone włosy w koński ogon i nosił trzydniowy siwy zarost, był zaniepokojony i musiał Sunny uspokajać. Zajmował się nią od lat, próbował wyleczyć ją z chorobliwej nadwrażliwości, która była przyczyną ciągłych lęków, ale nie na wiele się to zdało.

- Sunny ma wizje coraz częściej. Cały czas powtarza, że to musiało się stać. - Cassidy zdjęła rękę z pościeli i wzięła do ręki torebkę. Czowała się niezręcznie, kiedy mówiła o swojej teściowej. Szanowała ją, ale jej nie ufała. - Przywiozę ją jutro po południu i...

- Nie! - Jego głos był chrapliwy i ledwie słyszalny, ale zaciekły i zawzięty.

Cassidy podskoczyła i upuściła torebkę. Klucze i portfel wypadły na kaflową podłogę. Więc jednak słyszał. Tylko udawał. Poczowała ulgę i złość. Podniosła torebkę i pozbierała rzeczy. Wyciągnęła rękę przez pręty metalowego łóżka, żeby dotknąć palców, które wystawały z bandaża.

- Jednak mnie słyszysz!

Cisza. Upiorna, martwa cisza.

- Sunny bardzo chce cię zobaczyć, dotknąć cię i upewnić się, że wszystko w porządku...

- Powiedziałem - nie! - Głos był przytłumiony i rwał się, bo Chase'owi przeszkadzała złamana szczeka i druty.

- Na miłość boską, Chase, to twoja matka! Martwi się o ciebie śmiertelnie i chociaż czasami nie jest w stanie oddzielić rzeczywistości od fantazji, musi cię zobaczyć na własne oczy, musi się przekonać, że z tego wyjdiesz!

- Ale nie teraz!

Ta jego cholerna duma. Jednak Cassidy podejrzewała, że chodzi o coś więcej. Chase czuł się winny wobec matki, że zmusił ją, żeby wyprowadziła się ze starego baraku przy strumyku, z domu, który kochała. Dla jej dobra. W każdym razie tak twierdził.

Którejś nocy, niedługo po tym, jak się pobrali, Chase znalazł matkę nieprzytomną w małej wannie. Z pociętych nadgarstków płynęła krew, tworząc w rdzawego koloru wodzie czerwone smugi. Chase zadzwonił na pogotowie. Kiedy przyjechała karetka, Sunny była nieprzytomna.

Od tamtego czasu Sunny McKenzie przebywała w prywatnej klinice, ogromnym domu, po którym piał się bluszcz. W szpitalu pracował doborowy zespół lekarzy. Co tydzień donosili, że stan Sunny - od początku niezbyt stabilny - raczej nie rokuję nadziei na poprawę. Przestała zadawać sobie ból, jednak istniała obawa, że znowu stanie się niebezpieczna. Dla samej siebie i dla innych. Chase niechętnie zgodził się zostawić matkę w szpitalu. Podpisywał dokumenty z zamglonymi oczami. Potem zbiegł szybko szerokimi schodami kliniki. Chwycił Cassidy za rękę i pobiegł na oślep przez malowniczy ogród, między pięknymi stawami. Odezwał się dopiero, gdy znaleźli się na parkingu.

- Znienawidzi to miejsce - powiedział przygnębiony. Zręcznie wślizgnął się za kierownicę swojego porsche i włożył kluczyki do stacyjki.

- Dlaczego nie możemy jej zabrać do domu? - Kiedy Cassidy po raz pierwszy odwiedziła Sunny po śmierci Angie, była śmiertelnie przerażona. Zlekceważyła jej przepowiednię, ale po latach nauczyła się, że Sunny McKenzie trzeba szanować.

- I dopuścić do tego, żeby jeszcze raz podcięła sobie żyły? Albo się powiesiła? Albo odkręciła gaz? Boże,

Cassidy, chciałabyś tego? - Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik głośno zawył.

- Oczywiście, że nie. Ale powinna być wolna.

- Może później. - Jego twarz miała zacięty wyraz. Był blady jak ściana. - Tutaj będzie bezpieczna. Nie polubi tego miejsca, ale będzie bezpieczna.

I tak zostało. Przez lata Cassidy podsuwała różne propozycje. Zaproponowała nawet, żeby Sunny zamieszkała z nimi. Chase w ogóle nie chciał o tym słyszeć. Czasami Cassidy miała wrażenie, że mąż wstydzi się matki wróżbitki. Kiedy indziej wydawało jej się, że on naprawdę wierzy, że Sunny znalazła się w najlepszym dla niej miejscu, że Chase martwi się o bezpieczeństwo matki i o jej zdrowie psychiczne. Przecież mieszkał z nią bardzo długo i nie wyprowadził się nawet po tym, jak Brig zniknął. Chase był dobrym synem.

Ze smutkiem pomyślała, że jej mąż jest skomplikowanym mężczyzną, którego trudno zrozumieć. Czasami trudno było go kochać.

- Chase - wyszeptala łagodnie. Chciała, żeby odpowiedział. Ale wyglądało na to, że znowu się wyłączył. - Pan Wilson z Biura Szeryfa chce ci zadać kilka pytań. Dużo pytań. O pożar i o człowieka, z którym byłeś.

Nie drgnął. Chciała go jakoś sprowadzić na ziemię. Nie słyszy jej? Nie obchodzi go to?

Spróbowała jeszcze raz.

- Chyba słyszałeś, jak rozmawialiśmy o tym, że on prawdopodobnie tego nie przeżyje. Stracił za dużo krwi i chyba ma poważne obrażenia wewnętrzne. - Tak naprawdę, nie wiedziała, jak ciężko ranny jest drugi mężczyzna. Dotarło do niej tylko, że z tego nie wyjdzie. Wykrzywiła usta. - Kto to jest?

Oko mężczyzny zamknęło się.

- Chase, proszę. Wydaje mi się, że wiesz. - Ujęła jego dłoń. Drgnął. - Chase...

Oko się otworzyło.

- Nie! - prawie zawył chrapliwym, zmienionym nie do poznania głosem. - Nie dotykaj mnie. - W końcu spojrział na nią przeraźliwie jaskrawoniebieskim okiem, którego kolor kontrastował z zaczerwienioną twarzą. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Zabrzmiało to opryskliwie i grubiańsko. Nie mógł poruszyć szczęką, ale słowa raniły jak nóż.

- Powiedz mi tylko, z kim byłeś - nalegała. Nie chciała się poddać, chociaż serce biło jej tak mocno, że ledwie oddychała. Przeszył ją wzrokiem i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to, czego się domyśla, jest prawdą. - To Brig, prawda? Wiem, że przed laty powiedziałaś mi, że bym o nim zapomniała i że on nie żyje, przynajmniej dla ciebie i dla mnie, ale... ale ja nigdy w to nie uwierzyłam, a teraz... - Głos jej się załamał. - ...a teraz myślę... O Boże, nie wiem, co myśleć, ale z jakichś powodów spotkałeś się z Brigiem i...

- Brig nie żyje.

- Jeszcze żyje! Leży na oddziale intensywnej terapii i walczy o życie...

- Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. Myślałem, że zrozumiałaś. - Jego głos był cichy i przytłumiony. Dłonie, mimo tego, w jakim był stanie, zacisnęły się w pięści.

- Chyba celowo pozwoliłeś mi wierzyć, że Brig umarł, chociaż wiedziałeś, że żyje.

- Na miłość boską, Cassidy, przestań! On nie żyje. Nie żyje od siedemnastu lat. Pogódź się z tym.

Podniosła się na drżących nogach i chwyciła poręcz łóżka tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Patrzyła na Chase'a z góry. Próbowwała sobie przypomnieć, dlaczego za niego wyszła, dlaczego porzuciła dla niego swoje dziewczęce marzenia i karierę.

- Więc kto to jest?

- Nie wiem.

- Nie wierzę Chase. Znowu robisz mnie w konia. Jeżeli ten mężczyzna nie jest Brigiem, to chciałabym wiedzieć, kim jest. Dlaczego go kryjesz? Wiesz, że agencja ubezpieczeniowa już rozpuszcza pogłoski, że mogłeś chcieć spalić tartak? Mogą udowodnić, że to było podpalenie. Szukają tylko sprawcy.

- Po co miałbym chcieć spalić tartak?

- Żeby zarobić i nie uchodzić za złego faceta, który wywala ludzi z pracy. Przecież pracowałeś z nimi przed laty, a teraz są od ciebie zależni. Ze swoich pensji utrzymują rodziny. Na parceli Buchanana jest niewiele drewna. Prowadzący śledztwo, biorąc pod uwagę prawo federalne dotyczące ziemi, doszli do wniosku, że bardziej opłacało się podpalić tartak.

- I zginąć w płomieniach? - Od wysiłku po jego czarnosinym czole ciekł pot.

- Może popełniłeś błąd. Albo zaryzykowałeś, żeby oddalić od siebie podejrzenia.

- To jest niewiarygodne.

- I najwyraźniej ci się to udało. Wilson zasugerował, że to ja podpaliłam tartak.

- Wilson jest idiotą.

- Chcę usłyszeć odpowiedź.

- Wiem. Jak to dziennikarka.

Puściła poręcz i nagle poczuła, że dławi ją w gardle. Co ona robi? Przecież Chase jeszcze nie doszedł do siebie. Jego ciało było sine i spuchnięte, jedno oko, nogi i ręce w bandażach, a ona go nęka, żeby powiedział jej prawdę. Musi być cierpliwa. Powinna zachować się z wyczuciem.

Boże, pomóż nam. Pomóż nam obojgu.

Na miękkich nogach podeszła do okna i wyjrzała na parking. Słońce zalewało światłem dachy i maski samochodów zaparkowanych w równych rzędach. Cassidy policzyła w milczeniu do dziesięciu.

- Przepraszam, Chase. Nie chciałam cię dręczyć... po prostu się martwię. O ciebie. O wszystko. Wilson jest nieugięty. Zawzięty. - Poruszyła odruchowo palcami. - Będzie chciał cię przesłuchać. Powinieneś być na to przygotowany.

- Myślisz, że to ja podpaliłem tartak? - spytał głucho.

Cassidy skuliła ramiona.

- Nie. Przepraszam. Jestem po prostu zła i załamana. Wydaje mi się, że dużo wiesz i że coś przede mną ukrywasz.

- Lekko zadrżała jej broda. - Nie sądzę, że podpaśliłbyś tartak, ryzykując własnym życiem. Ale policja nie będzie tak wyrozumiała, a specjaliści z agencji ubezpieczeniowej będą bezwzględni. Więc uważaj, Chase. - Przewiesiła torebkę przez ramię i stanęła przy jego łóżku. Zmuszała się, żeby patrzeć na jego nieruchomą postać. Serce rozdzierał jej ból samotności. Kiedyś byli szczęśliwi. Nawet jeżeli było to ulotne.

- Jeżeli chcesz, załatwię ci adwokata...

- Ja tego nie zrobiłem - powtórzył. - Jesteś moją żoną i oczekuję, że mi uwierzysz.

- A ty jesteś moim mężem i oczekuję, że będziesz wobec mnie szczery. - Zatrzymała się przy drzwiach. - Zdaniem władz ten pożar może mieć coś wspólnego z tym, który przed laty zabił Angie i Jeda. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć. Do widzenia, Chase. Przyjdę później.

- Cass...

Słyszając swoje imię, zatrzymała się.

- Tak.

- Zawołaj lekarza. Powiedz im, że chcę stąd wyjść.

- Przecież nie możesz jeszcze wrócić do domu. - Roześmiałyby się, gdyby sytuacja nie była tragiczna. - Jesteś...

- Wiem, co mi jest, Cassidy, ale muszę stąd wyjść.

- W odpowiednim czasie...

- Teraz!

- Na miłość boską, Chase, daj spokój! Wypuszczacie, kiedy twój stan się poprawi.

- Wtedy może być za późno.

- Na co?

Wpatrywał się w nią tak uporczywie, że mało nie odskoczyła. Jego krtań drgała. Cassidy przypomniała sobie, że kiedyś jej na nim zależało.

- Muszę stąd wyjść - oznajmił. - Im szybciej, tym lepiej.

Tartak został ogrodzony. Śliska żółta taśma policyjna odgradzała rumowisko spalonych pniaków i stopionego aluminium, z którego zrobione były ściany baraków. Po biurze pozostała sterta potłuczonych szyb i spalonych ścian, potrzaskanych dachów, stosów szafek, komputerów, biurek i krzeseł, z których zostały jedynie czarne zgliszczka. Ocalało trochę nieobrobionego drewna, ale płomień i tysiące litrów wody, którymi gaszono szalejące piekło, zniszczyły całe stopy drewna pociętego, posortowanego, ułożonego i gotowego do przewozu. Znowu podpalenie. Jak kiedyś.

Ogień i woda.

Jak przepowiedziała Sunny.

Chociaż było prawie trzydzieści stopni, Cassidy przebiegły dreszcze. Nie wysiadła z jeepa. Silnik pracował, a ona jednym uchem słuchając radia, wpatrywała się w to, co pozostało po firmie ojca.

Chase by tego nie spalił. Mimo załamania w przemyśle drzewnym, tartak Buchanana radził sobie świetnie, a inne firmy Buchanana notowały rekordowe zyski. Kto przy zdrowych zmysłach spaliłby jeden z niewielu tartaków w stanie, który pracował pełną parą i obróciłby w popiół tysiące ton drewna, które każdego dnia zyskiwało na wartości, bo jego ceny szły w górę? Chase nie jest idiotą. Zna się na ekonomii. Wyrastał w biedzie i to go nauczyło gospodarowania pieniędzmi.

Przez zakurzoną szybę Cassidy przyglądała się ludziom, którzy krzątali się przy ruinach tartaku. Zaglądali przez ogrodzenie, nie zważając na stary zakaz wstępu, na którym od gorąca wyblakły litery. Ludzie rozma wiali i żartowali, wskazując sflaczałe i roztopione opony dźwigu, który przetrwał płomienie. Zęby koparki były czarne jak węgiel, obite siedzenia spalone, a silnik do niczego.

Usłyszała brata dopiero, gdy zastukał palcami w szybę. Otworzyła okno.

- Gówno, co? - Wskazał głową w stronę spalonego tartaku. Do jeepa dostało się ciepłe, lepkie powietrze. Ciemne chmury przesłoniły słońce. Z głośników popłynęła piosenka Elvisa Presleya.

Derrick skinął w kierunku radia.

- Wyłącz to.

- Dlaczego?

- Nie znoszę Elvisa. Przecież wiesz.

To prawda. W dzieciństwie szalał z wściekłości i prawie odchodził od zmysłów, gdy Angie albo Cassidy puszczały którąś z płyt znalezionych na strychu razem z ubraniami i książkami Lucretii.

Wyłączyła radio.

- Co ty tutaj robisz?

- Gapię się. Jak wszyscy. - Derrick podrapał się w brodę z namysłem. Miał szpakowate włosy. Kiedy był trzeźwy, był całkiem przystojnym mężczyzną, coraz bardziej podobnym do ojca. - Boże, to jedna wielka ruina.

- Fakt - przytaknęła bratu.

- Felicity mówiła, że Chase z tego wyjdzie.

- Tak. - Głos Cassidy był pełen optymizmu. Przed bratem zawsze pokazywała się od najlepszej strony. On od początku był przeciwny jej małżeństwu z Chase'em. Cassidy zawzięła się, że nigdy nie da bratu satysfakcji z tego, że miał rację. Nawet jeżeli rozwiedzie się z Chase'em, miała nadzieję, że Derrick będzie wiedział jedynie tyle, że nie pasowali do siebie i że się od siebie oddalili. Że nikt nie zawinił, że nie było między nimi kłamstwa, podejrzliwości, a na pewno nienawiści.

- Wraca do domu? - Derrick zanurzył rękę w kieszeni, szukając papierosów.

- Tak. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, wypiszą go dzisiaj.

- A co ty masz zamiar zrobić? - Znalazł marlboro i wsunął go w usta.

- Chyba się nim zajmę. Dopóki nie wydobrzeje. To nie potrwa długo. Zajęcia rehabilitacyjne pięć razy w tygodniu przez pół roku albo rok.

- Nie spodoba mu się to. - Derrick potrząsnął głową i zmrużył oczy w zachodzącym słońcu. - Kolejny raz prosisz się o kłopoty.

- Potrzebuje pomocy.

- Od ciebie. Jak zwykle. Wiesz, Cassidy, nigdy nie sądziłem, że jesteś... Jak to się teraz mówi? - Wazeliną. - Zapalił papierosa i zaciągnął się. Wypuścił dym nosem. - To jest chyba dobre określenie dla kobiety, która robi z siebie podnózek. Która zrobi wszystko, żeby zatrzymać przy sobie mężczyznę. Pozwoli mu nawet deptać po sobie, gardzić i pomiatać swoimi uczuciami. A on robi, co chce, bo kobieta mu na to pozwala.

Wyglądało to tak, jakby opisywał swoją żonę. Felicity była zakochana w Derricku, odkąd Cassidy pamiętała. Latała za nim w liceum, zaprzyjaźniła się z Angie, żeby być bliżej niego, aż w końcu złapała go na dziecko. Teraz, chociaż Derricka ciągnęło do Jacka Danielsa i słychać z zamięłowania do kobiet, tkwiła przy nim jako wzorowa żona.

Cassidy zbyła milczeniem jego uszczypliwą uwagę.

- Szukasz tutaj czegoś?

- Właściwie to nie. - Zmierzył wzrokiem pobojuwisko. Zerwał się wiatr i w jeepie był wyczuwalny zapach zwęglonego drewna i spalin z pracującego na wolnych obrotach silnika. - Jadę z domu. Tata i Dena wreszcie przyjechali. Opowiedziałem ojcu, co się tu dzieje, a potem pojechałem do miasta i zobaczyłem twojego grata. Pomyślałem, że powinienem się zatrzymać, złożyć ci wyrazy współczucia, czy jak to się tam zwie, i powiedzieć ci, że Dena na ciebie czeka.

Cassidy westchnęła. Nie była gotowa na spotkanie z matką. Jeszcze nie.

Derrick zmarszczył czoło.

- Nie musisz tkwić przy Chasie tylko dlatego, że jest twoim mężem.

- Oczywiście, że muszę.

- On na to nie zasługuje, Cassidy.

Włączyła pierwszy bieg.

- Ja chyba wiem lepiej.

- Wiesz, przez to, że jest unieruchomiony, przysparza mi kłopotów.

- Przysparza ci kłopotów? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Chase leży w szpitalnym łóżku, połamany i poparzony, a ty mówisz, że tobie przysparza kłopotów?

- Oczywiście, że tak. Musiałem zatrudnić ludzi na jego miejsce. Kilku prawników i kilka tęgich głów...

- Nie śpieszyłabym się z zatrudnianiem ludzi na miejsce Chase'a.

Derrick zaciągnął się papierosem.

- Jest kaleką, Cassidy. Nie może mówić ani chodzić. O ile wiem, jego mózg jest prawdopodobnie martwy.

Nie zdołała powstrzymać się od śmiechu, ale był to gorzki śmiech.

- Chciałbyś. Zapewniam cię, że jego mózg nie jest martwy i że Chase już mówi. I zacznie chodzić szybciej, niż przypuszczasz.

- Zastanów się nad tym. Nie będzie mógł wrócić do pracy, a ja nie mogę z tego powodu wstrzymać całej produkcji. Mogę wykupić jego udziały. Ma tyle akcji, że bylibyście zabezpieczeni do końca życia.

- A co z moimi udziałami? - Wiedziała, że Derrick był oburzony tym, że Cassidy była właścicielką części spółki. Wprawdzie nie była to wielka część, ale wystarczała, żeby Derrick pamiętał, że nie jest jedynym dziedzicem fortuny ojca.

- Je też mogę wykupić.

- Po moim trupie. - Cassidy nacisnęła pedał gazu. Samochód ruszył z piskiem opon. Wymanewrowała kierownicą

i wyjechała z parkingu. Nie wiedziała, dlaczego nagle zaczęło jej zależeć na kilku papierach, ale nie miała zamiaru dać się wykorzystać. Pomyśl wykupienia części udziałów jej i Chase'a tak szybko po pożarze był nie na miejscu. Wyglądało na to, że Derrick chce wykorzystać katastrofę.

Spojrzała we wsteczne lustro i zaskoczyła ją zawziętość, jaką zobaczyła w swoich oczach. W Derricku było coś, co sprawiało, że stawała się opiekuńcza wobec męża, którego od tak dawna nie kochała i chciała chronić udziały, które kiedyś oddała bez wahania.

- Przegrasz - powiedziała do złotych oczu, które patrzyły na nią z lusterka. - Zapewniam cię, że przegrasz.

- Umieramy ze zmartwienia. - Denie załamał się głos, gdy w korytarzu zobaczyła Cassidy. Otworzyła drzwi i rzuciła się córce na szyję. - Przylecieliśmy pierwszym samolotem. Och, kochanie, niech ci się przyjrzę! - Odsunęła Cassidy na odległość ręki i uważnie przypatrzyła się córce. Wokół ust, na których miała jeszcze ślady brzoskwińowej pomadki, zarysowały się zmarszczki. - Co z Chase'em?

- Wszystko będzie dobrze. Na razie nie wygląda najlepiej, ale lekarze są dobrej myśli.

- Cassidy! - Ojciec wyszedł sztywno na korytarz. Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. - Miło cię widzieć.

- Ciebie też, tato. - Mówiła szczerze. Potwornie się bała spotkania z rodzicami, ale teraz, kiedy byli tutaj, cieszyła się, że są w domu.

Chwycił ją za rękę.

- Jak to znosisz?

- W miarę dobrze.

- Chcesz się napić?

Cassidy potrząsnęła głową. I tak była roztrzęsiona. Jej wyobrażenia szalała i nie mogła zapanować nad emocjami. Potrzebowała teraz trzeźwej głowy.

- Nie, dziękuję.

- A ja się napiję.

Dena spojrzała na niego z wyrzutem i odezwała się lekko karcącym tonem:

- Rex, chyba nie powinienesz...

Rex jednak nie słyszał żony, a jeżeli słyszał, to nie zwrócił uwagi na jej radę i poszedł prosto do gabinetu.

- To go zabija - powiedziała Dena, gdy wchodziły do kuchni. - Te potworne stare wspomnienia... - poruszała nerwowo rękami - ...cały czas wracają. - Jej twarz nagle zrobiła się blada i stara, jakby przez całe życie toczyła przegraną bitwę. - Myślałam, że to już jest poza nami, ale nie. Wiesz, że całą drogę nalegał, żebyśmy pojechali na cmentarz? Po podróży! Nawet nie mogliśmy wstąpić do domu i przebrać się! Nie było mowy. Zaciągnął Derricka na cmentarz i spędził dwadzieścia minut na modlitwie przy grobach Lucretii i Angie. - Lekko zadrzał jej podbródek. Usiadła na kuchennym krześle przy oknie. Jej ramiona opadły pod ciężarem smutku, że mąż nie kochał jej tak bardzo jak pierwszej żony. - On jej nigdy nie zapomni. - Potarła długim palcem cień, który padał na płytkę na drewnianym stole.

- Angie?

- Lucretii. - Dena wyjęła z torebki paczkę papierosów. - Angie też nie. Były takie podobne. On... wiesz, co do niej czuł. - Zadrzała lekko. Wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. - Zawsze traktował ją jak księżniczkę. Była żywą repliką matki. Czasami zastanawiałam się, czy... - Przelknęła z trudem ślinę, a potem potrząsnęła głową, jakby zaprzeczając samej sobie.

- Zastanawiałas się, czy co? - Cassidy poczuła, że serce jej łomocze.

- Nic... nic... - powiedziała szybko Dena, siląc się na uśmiech. Przytknęła złotą zapalniczkę do papierosa. - Myślałam, że się zmieni. Że zapomni o Lucretii - wyznała zza chmury dymu. Zamknęła zapalniczkę i westchnęła głośno. Trzymając papierosa w jednej ręce, drugą objęła się w talii. - Ale stracił Angie. To jeszcze pogorszyło sytuację.

Ich wzrok spotkał się na ułamek sekundy. Oczy matki były ciemne od burzy uczuć, które nią szarpały. Cassidy zamarła.

- Czasami się zastanawiam, dlaczego za niego wyszłam.

- Twoja matka chyba miała dzisiaj męczący dzień. - rozległ się głos Reksa Buchanana. Wydawało się, że w kuchni zrobiło się chłodniej. - Jesteś zmęczona, Dena.

Dena zeszywniała.

Rex, obracając w dłoni szklaneczkę z bursztynowym płynem, uśmiechnął się smutno.

- Twoja matka przeżywa ciężki okres...

- Wcale nie!

- Nie odróżnia fantazji od rzeczywistości.

- Na miłość boską, Rex, nie mieszaj Cassidy w głowie. Ona się na to nie nabierze. Jest mądrą dziewczyną i pamięta jak było. Jak ją traktowałeś.

- Przestań! - syknęła Cassidy. - Co się z wami dzieje? - Potem, żeby załagodzić sytuację, podniosła rękę i

powiedziała: - Nie wracajmy do tego, dobrze? Angie i ja byliśmy inne. Tata odnosił się do nas inaczej i ja się mu nie dziwię.

Rex Buchanan patrzył pod nogi.

- Tato, naprawdę, ja nigdy nie chciałam, żebyś traktował mnie tak jak Angie. Bałam się, że po... że po jej śmierci zaczniesz... zmienisz się i zaczniesz traktować mnie tak jak ją. Ulżyło mi, że tak się nie stało.

- To nie było sprawiedliwe! - Dena nie dawała za wygraną. - Powinien cię adorować tak samo jak...

- On mnie kocha, mamó. Wiem. Nie jestem Angie i dzięki Bogu za to.

- Wyjechałaś po śmierci Angie przez to, jak cię traktował.

- Wyjechałam, bo przyszła na to pora. Żeby dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Żeby wycofać się z tej... z tej ciągłej walki. Dajcie spokój, to już poza nami. Na razie.

- Dena nie lubi, gdy chodzę na cmentarz. - Rex pociągnął długi łyk drinka. - Robi z tego większe halo niż to warte.

- Nie lubię, kiedy krzątasz się wokół nieżyjącej żony i martwej córki. To trwa już za długo. Nowy pożar wcale nie daje ci prawa do tego, żebyś znowu zachowywał się jak w amoku. Cały czas żyjesz w żalu po stracie Lucretii. Do tego włożyłaś żałobę po Angie, i starałam się to zrozumieć, ale to już trwa za długo, Rex, o wiele za długo. Nie będę tego dłużej znosić. - Zamrugała oczami i wyciągnęła papierosa.

- Problem w tym, że jesteś zazdrosna.

- Masz rację, jestem zazdrosna. Ja jej nie dorównuję, prawda? Nigdy nie byłam tak dobra jak Lucretia. Zbyt długo grałam w tę grę. Myślałam, że w końcu o niej zapomnisz, ale tak się nie stało. Jestem zmęczona wysiłaniem się, żeby to zrozumieć, udawaniem, że nie boli mnie, gdy spoglądasz na jej portret, że nie wspomnę o tym, jak ignorowałeś Cassidy, gdy w pobliżu była Angie...

- Mamó! - Nie mogła tego słuchać. Nie teraz, kiedy Chase walczy o życie, a Brig... dobry Boże, nie mogła wyrzucić z umysłu obrazu jego okaleczonego ciała. - To nie jest odpowiedni moment.

- Cassidy ma rację. Mamy inne problemy.

- Tak? Czasami nie jestem pewna. - Obejrzała się przez ramię i spojrzała pogardliwe na męża, a potem wyszła dumnie z pokoju.

Rex dokończył drinka i wstawił szklankę do zlewu.

- Przesadza. - Odwrócił się i posłał córce wymuszony uśmiech. - Opowiedz mi, jak się miewa Chase. Jakie są rokowania?

Poinformowała go na tyle, na ile mogła. Zasugerowała, że Rex i Dena powinni go odwiedzić i porozmawiać z T. Johnem. Rozmawiali o podpaleniu, ale nie poruszyli oczywistego faktu, że obydwa pożary były podobne.

Rex dokończył drinka.

- Domyślają się, kim jest ten drugi mężczyzna?

- Nie.

- A Chase nie wie?

- Mówi, że nie.

- Aha. Następną tajemnicą. - Potarł skroń. W jego oczach pojawił się smutek. - Willie zniknął, prawda?

- Niestety, tak. Nie ma go w domu ani w pracy.

- Cholera. - Obrócił szklankę w dłoniach i wyjrzał przez okno. - Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

- Willie to chuligan.

- Ale nieszkodliwy. Jest naiwny. Chyba zanosi się na burzę. - Przyjrzał się w zamyśleniu ciemnym chmurom. - I nie wygląda to na letnią burzę. - Potarł kark. - Cassidy, wierzysz w przekleństwa?

- W co? Nie. - O czym on mówi? Skąd ta nagła zmiana tematu? Wydało jej się to dziwne, bo w końcu nie byli sobie szczególnie bliscy. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz rozmawiali tylko we dwoje.

- Dobrze. To dobrze. - Mówił łagodnie, patrząc w dal przez okno.

- A ty, tato?

Do czego on zmierza?

- Oczywiście. - Nie wahał się ani minuty. - I chyba od wielu, wielu lat ciąży na mnie przekleństwo. Chciałbym tylko, żeby nie dotknęło ono ciebie, twojego brata ani matki. Wystarczy, że zniszczyło Lucretię i Angie.

- O czym ty mówisz?

- Chyba pora, żebyś dowiedziała się o mnie kilku rzeczy.

Spowiedź? Teraz? Czują, że huczy jej w uszach.

- O Boże - wyszeptał niemal takim tonem, jakby się modlił. - Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... - Jego palce zacisnęły się na pustej szklance tak mocno, że zadrżała mu ręka. - Zginęły przeze mnie. To wszystko moja wina. - Zamrugał szybko oczami, starając się powstrzymać łzy.

- Przecież ich nie zabiłeś. - Bała się oddychać. On chyba nie chce powiedzieć, że...

- Nie, celowo nie. Ale to ja je zniszczyłem. Tak samo, jakbym to ja włączył stacyjkę w samochodzie Lucretii albo przyłożył zapalnik do starego tartaku. - Łzy napłynęły mu do oczu.

- Ale jak? Tato, to bez sensu.

- Dlatego, że nie byłem wierny. Mężczyzna zawsze powinien być wierny.
- Zegar dziadka w gabinecie zaczął wybijać godzinę. Rex spojrzął na zegarek. Wyglądało na to, że wziął się w garść.
- Boże, zobacz, która godzina. Chyba powinniśmy jechać do Chase'a.
- Chwileczkę. Co to znaczy, że nie byłeś wierny? Nie możesz powiedzieć czegoś takiego i po prostu sobie wyjść.
- Chyba nie. - Spochmurniał i zamknął oczy. - To proste, Cassidy. Zdradzałem Lucretię. Miałem inne kobiety. Na jednej mi naprawdę zależało. Nie tak, jak na Lucretii, bo nie kochałem tych kobiet, ale na tej jednej mi zależało.
- Chodzi ci o mamę? - Cassidy skrzywiły się wnętrzości.
- Zamknął oczy. Jego wargi poruszały się lekko, jakby się modlił.
- Nie. - Wykrzywił usta.
- To o kogo?
- Co za ironia - powiedział Rex i odstawił pustą szklankę na stół. - Tą kobietą, na której mi zależało i do której chodziłem, gdy czułem się samotny była Sunny McKenzie.

14

Niebo nabrało grafitowego koloru. Ciemne chmury przesłoniły słońce, jednak lepki upał nie dawał za wygraną. Cassidy prowadziła samochód tak, jakby od tego zależało jej życie. Jakby dzięki temu, że samochód ojca zostanie w tyle, to, co usłyszała przestanie być prawdą.

W jeepie było gorąco. Parne letnie powietrze było ciężkie od nadszycającego deszczu. Cassidy się spociła. Serce waliło jej jak młotem. Nie chciała wierzyć. Czowała odrazę. Milion razy na minutę jej myśli krążyły wokół ciemnych zakamarków, do których nie śmiała się zbliżyć.

O brudną szybę zaczęły uderzać pierwsze krople deszczu i ściekając zostawiały na niej ślady. Cassidy nie chciało się włączać wycieraczek, chociaż ledwie widziała wąski sznur samochodów na krętej drodze.

Jej ojciec miał romans z Sunny? Z matką Chase'a i Briga. Od której odszedł mąż, bo miał wątpliwości, czy to on jest ojcem jej dzieci. To tylko plotki. Domysły. To, że Rex Buchanan sypiał z Sunny wcale nie znaczy, że jest ojcem... o Boże! Zaschło jej w gardle. Poczowała smak żółci w ustach.

Przez lata nauczyła się reagować powściągliwie, patrzeć oczami dziennikarki i nie angażować się emocjonalnie w wiadomości, niezależnie od tego, jak były straszne, przerażające i potworne. Chociaż współczuła ofiarom przestępstw i wypadków, potrafiła obiektywnie zrelacjonować każde wydarzenie. Potem, późno w nocy w domu, mogła się zwierzyć Chase'owi, dać upust emocjom, ale kiedy była na wizji czy pisała reportaż, umiała opanować wściekłość i smutek.

Jednak kiedy chodziło o jej własną rodzinę, nie była w stanie zachować wewnętrznego spokoju. Kiedy ojciec przyznał się do romansu z Sunny, zaparło jej dech w piersiach. Chociaż próbowała dowiedzieć się od niego czegoś więcej, zamknął się w sobie jakby nagle pożałował, że wyznał jej prawdę. Wymówił się, że musi iść na górę i zobaczyć, co dzieje się z matką. Jakby go to obchodziło!

Może to był tylko pijacki bełkot. Od lat podejrzewała, że ojciec ucieka w alkohol przed rzeczywistością, przed problemami, z którymi nie miał odwagi się zmierzyć. Pił whisky, żeby omamić umysł. Podobnie traktował spowiedź. Wierzył, że jest w stanie usunąć wszystkie jego grzechy.

W jej głowie pojawiały się coraz to nowe mroczne myśli. Wślizgiwały się niczym jadowite węże, przed którymi nie mogła uciec.

Jeśli Rex był z Sunny podczas swojego pierwszego małżeństwa, to może być ojcem Chase'a. Albo Briga. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Zaciśnęła dłoń na kierownicy i zwolniła pedał gazu, bo zbliżała się do zakrętu. Gdyby był ojcem Chase'a na pewno wyznałby to córce i nie dopuściłby, żeby spotykała się z mężczyzną, który może być jej przyrodnim bratem.

Na miłość boską! Przyrodnim bratem!

Może Rex nie wiedział. Może myślał, że Frank McKenzie naprawdę jest ojcem Chase'a.

Miała pełno śliny w ustach. Pokręciła kierownicą i zjechała na pobocze. Podwozie jeepa ukryło się w wysokiej, wyschniętej trawie. Opony zapisały na żwirze. Samochód zatrzymał się. Cassidy otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta. Podbiegła do rowu i zwymiotowała. Zawartość jej żołądka wylądowała w chwastach i śmieciach przy drodze.

- Boże, to nie może być prawda - wyszeptwała i otarła usta grzbietem dłoni.

Uklękała, Poczwała, że grube krople deszczu padają jej na kark i ramiona.

Może to nie Chase. Jeżeli Rex jest ojcem kogoś z McKenziech, to raczej Briga. Przecież Frank McKenzie odszedł od Sunny kilka dni po narodzinach Briga. To wtedy zaczęły krążyć plotki, że ojcem jej syna jest kochanek. To dla Briga Rex robił wszystko, co mógł. Zatrudnił go, kiedy nikt inny nie dałby Brigowi nawet czarnej owcy do pilnowania.

Znowu zaczęła zbierać jej się w ustach ślina. Wypluła ją i znowu zwymiotowała. Tylko nie Brig! Boże, tylko nie Brig!. Ale jeśli Rex jest ojcem Briga, to chyba należy mu powiedzieć, że jego syn umiera w szpitalu. Sunny też miała prawo odwiedzić go po raz ostatni.

Cassidy pochylała się, ale nie zwymiotowała. Łzy płynęły jej po twarzy. Całe jej życie legło w gruzach. Nawet jeśli Brig ani Chase nie są synami Rekse, nic już nie będzie takie samo. Klęcząc, odchyliła się do tyłu i usiadła pośladkami na piętach. Deszcz padał jej na twarz. Ojciec i Angie? Ojciec i Sunny? Świat zaczął wirować. Wzdrygnęła się. Pociemniało jej w oczach, jakby miała stracić przytomność. Znowu ją zemdliło. Pochyliła głowę nad suchą trawą. Nie! Nie! Nie!

Łzy paliły ją w oczy. Zwymiotowała i wytarła sobie nos grzbietem dłoni. Wstała powoli.

- Weź się w garść - powiedziała sobie, ocierając usta. Splunęła na ziemię. - To nie koniec świata.

Ale właśnie tak się czuła.

Było zimno. Bardzo zimno. Sunny nie mogła się ogrzać. Miała dreszcze. Przez chłopców. Jej synów. Wirowały jej przed oczami obrazy jak byli dziećmi, chłopcami, a potem młodymi mężczyznami. Przystojni. Muskularni. Dobrze się zapowiadający.

Briga nie widziała od lat. Jeszcze wcześniej niechętnie oddała Buddy'ego. Chase od dawna jej nie odwiedzał. Liczyła na niego, ale w głębi duszy wiedziała, że pewnego dnia się od niej odwróci. Dawno temu wejrzała w jego serce. Starła się nie czuć żalu. Przecież miał prawo opuścić matkę i związać się z żoną.

Potarła rękami cienkie bawełniane rękawy koszuli, mając nadzieję, że dzięki temu zrobi jej się cieplej. Była naiwna. Wiedziała, że zaufała niewłaściwym ludziom. Mimo że patrząc im w oczy, wiedziała o nich wszystko.

Rex Buchanan był pomyłką. Sunny była młoda i zauroczona. Jej mąż, Frank McKenzie, dobry i porządny mężczyzna, chciał jedynie zjeść ciepły obiad po powrocie z pracy i w spokoju oglądać telewizję. Miał jasnoniebieskie oczy, które były zwierciadłem szczerości. Nie stawiał jej wielkich wymagań. Nigdy nie podniósł na nią ręki, nigdy nawet na nią nie krzyknął. Był porywczy, ale panował nad sobą. Dopóki sobie nie wypił. Wtedy Frank McKenzie z sympatycznego robotnika tartaku zmieniał się w okrutną bestię z muskularnymi ramionami.

Wtedy uprawiał hazard. Stawiał część wypłaty na walkę kogutów albo psów. I wtedy się kłócili. Frank wracał śmierdzący dymem, trocinami i krwią, z błyskiem w oku, gdy wygrywał albo ze zmarszczkami goryczy wokół ust, gdy przegrywał. Zdarzyło się to kilka razy. Wtedy stawał się wcielonym diabłem, ziejącym nienawiścią jak jej ojciec.

Sunny gardziła słabością Franka. Wierzyła, że życie każdego stworzenia jest święte i nie mogła w milczeniu znosić, że jej mąż pije, robi zakłady i przygląda się walkom zwierząt wyszkolonych do zabijania się i okaleczania. Krzyczała na męża tylko wtedy, gdy tam chodził. Walki zwierząt nie tylko były niehumanitarne, ale i nielegalne. Sunny wielokrotnie dzwoniła do władz. Za każdym razem likwidowano miejsce walk, ale po kilku tygodniach wynajdowano nową polanę albo jedną ze starych szop, którymi usiane były podnóża gór.

Nigdy nie przypuszczała, że może być niewierna. Chociaż nie była kobietą religijną, przysięga małżeńska była dla niej święta i miała zamiar jej dotrzymać. Nie chciała zakończyć się w Reksie Buchananie. Zresztą on w niej też nie. Ale stało się. Gwałtownie. Namiętnie. Grzesznie. Owocem pożądania był syn. Z powodu tego pożądania jej małżeństwo się skończyło.

Była przekonana, że byli sobie przeznaczeni. Że tak im było pisane. Rex nigdy by jej nie poznał i nigdy nie przekroczyłby zakazanej linii, gdyby nie zbieg okoliczności.

Na trzydzieste piąte urodziny kilku pracowników podarowało mu, w formie żartu, zaproszenie na wróżenie z ręki i przepowiednie Sunny McKenzie. Sunny wypisała je kredkami na kartonie, przekonana, że to tylko dla żartu, że pośmieją się z niej i tyle. Wiedziała, że noga Rekse Buchanana, pana wszystkiego w Prosperity, nigdy nie postanie w jej rdzewiejącym baraku na brzegu strumyka Lost Dog. Potrzebowała pieniędzy i tylko dlatego zgodziła się. Włożyła zaproszenie do koperty i zalakowała ją purpurową pieczęcią. Dwa miesiące później Rex nieśmiało zapukał do jej drzwi. Była zaskoczona i zadowolona. Zaprosiła go do środka i ujęła jego silne ręce w swoje dłonie.

Natychmiast zobaczyła jego duszę. Czasami dusza była ukryta pod wieloma warstwami dobrze ułożonej osobowości, ale z Reksem było inaczej. Jego ręka była ciepła, uścisk silny, a palce zdolne do czułości i przemocy. Gdy wpatrywała się w jego zniewalająco niebieskie oczy, od razu wyczuła, że jego żona jest zimna i oschła.

- Nie jest pan szczęśliwym mężczyzną.

- Nie wierzę w to.

- Wiem.

Próbował uwolnić ręce z jej dłoni, ale trzymała go mocno, bardzo zaabsorbowana tym wpływowym mężczyzną.

- Ale nie jest pan szczęśliwy.

- Oczywiście, że jestem. Dlaczego miałbym nie być?

Puściła jego rękę.

- Kocha pan swoją żonę i syna, ale nie jest pan szczęśliwy. - Zauważyła, że jego oczy stają się wąskie i że rumieniec złości zalewa mu szyję. - Od dawna nie jest pan szczęśliwy.

- Przecież pani nic o mnie nie wie.

- Czuję smutek i podejrzliwość.

- Kto to załatwił? Roy? Nie, Harold. Zakładam się, że to Harold, prawda? - Nie dawał za wygraną. Sunny nie odpowiedziała. Chwycił ją za ramiona i popchnął do tyłu, lekko nią potrząsając. - To Harold Curtain, prawda? Co

za idiota! Niech diabli wezmą tego nadętego drania. Powinienem go zwolnić...

- On nie ma z tym nic wspólnego. Mówię panu prawdę prosto z serca.

- Jest pani szalona.

- Przyszedł pan do mnie - powiedziała po prostu. Jego palce, które mocno wbijały się w jej ciało, rozluźniły uścisk. - Przyszedł pan do mnie dlatego, że jest pan nieszczęśliwy. Dlatego, że chce pan znaleźć sposób, żeby zmienić stosunki między panem i żoną, zrobić coś, żeby pana pokochała, obdarzyła zaufaniem i zechciała z panem sypiać.

Wstrzymał oddech i zacisnął pięści.

- Nie wie pani...

- Wiem, co pan zrobił. W noc poślubną i... i jak pożar... spalił jej suknię.

- Dobry Boże... - wyszeptał Rex. Złość ustąpiła miejsca zadziwieniu. - Ale przecież nikt nie wie... - Rozejrzał się nerwowo po pokoju, jakby się obawiał, że ktoś może ich usłyszeć. Krew pulsowała mu w szyi. Ledwie poruszał ustami. - Lucretia tu była. Boże, ona się pani zwierzyła.

- Nigdy nie rozmawiałam z pana żoną.

- Ale ona obiecała i kazała mi przysiąc, że nie pisnę słówkiem...

- Widzę ból w pana oczach, Reksie Buchananie.

- Na miłość boską, co się tu dzieje? - Cofnął się i wpadł na krzesło. Jego wiara w Boga zachwiała się.

- Chce pan poznać przyszłość?

Zawahał się.

- Mówiłem już pani. Nie wierzę w czary. To wszystko...to tylko stek bzdur. Co tydzień chodzę na mszę. - Jego głos był bliski hysterii. Wycelował kciukiem w swoją pierś. - Ja wierzę w Boga.

- Wiem. Widzę w pana oczach, że jest pan pełen wiary. To, co robię, nie ma nic wspólnego z Bogiem ani z szatanem. Ani z ciemnością, której tak się pan obawia. Nie ma tutaj Lucyfera. Ja nie jestem czarownicą.

- Mam nadzieję!

- Nie potrafię nawet wytłumaczyć tego, co widzę. Wzdrygnęła się. - Jeżeli chce pan z powrotem pieniądze...

- Nie. Proszę je zatrzymać. I tak nie ja za to płaciłem. To tylko żart kilku facetów. Głupi żart.

- Więc skoro jest już zapłacone, dlaczego nie chce pan spojrzeć w przyszłość? - Uśmiechnęła się, próbując go ośmielić, bo ten bogaty mężczyzna był przybity poczuciem winy. - Może to panu pomoże.

Zobaczyła na jego czole kropelki potu. Wyczuła, że się boi.

- Jeśli pan w to nie wierzy, to nic się nie stanie od tego, że pan posłucha. Przecież to tylko żart, prawda? Niewinny żart.

Ich wzrok spotkał się. Sunny dostrzegła, że Rex się waha. Przyglądała się jego walce z demonem, który mocno trzymał go za serce. Wyprostował się i przysunął krzesło. Odzyskał panowanie nad sobą. Znowu był bogatym mężczyzną, który ma władzę. Uśmiechnęła się pewnie.

- Jasne. Dlaczego nie? Może być zabawnie.

Usiadł znowu na krześle, wyciągnął pewnie rękę, a Sunny ujęła ją w swoje dłonie. Od razu poczuła ciepło i niespożytą energię, która pulsowała w jego krwi, karmiona poczuciem winy i pokusą, żeby przekroczyć linię pomiędzy dobrem a złem.

Trawił go ból. Obraz był tak jasny, jakby na powierzchni wody było zaledwie kilka zmarszczek. Poczuła jego smutek.

- Żona pana nie kocha - powiedziała bez ogródek. Współczuła mu.

Chciał cofnąć rękę, ale tego nie zrobił.

- To kłamstwo.

- Kiedyś jej na panu zależało, ale coś się stało w noc poślubną. - Sunny zobaczyła jedwab, kwiaty i krew, zmiętą pościel i wannę w kształcie serca. Była pewna, że czuje się winny. Przeszłość osłonił ciemny, brzydki welon. Była tego tak pewna, jakby była z nim w hotelu w jego noc poślubną. - Zrobił pan coś...

- Nie. Ona...

- Myśli pan, że pana odrzuciła, bo... - Skuliła się, gdy zobaczyła pełne przemocy zachowanie pijanego Reksa i młodą, przerażoną Lucretię. Potem przed oczami Sunny pojawiła się skorupa, w której Lucretia ukryła swoje serce.

- Och, starał się pan to odpokutować - wyszeptwała. Żałowała, że nie może ulżyć mu w męczarniach, ale wiedziała, że nikt nie jest w stanie mu pomóc.

- To nie tak!

Sunny nie sprzeczała się, nie powiedziała, że widziała, jakie tortury przeszła jego dusza i jakie rany powstały w jego sercu, gdy odrzuciła go żona. Pod maską twardych mięśni, dumy i ciętego języka Sunny zobaczyła innego człowieka. Delikatnego mężczyznę spragnionego miłości. Zranione, niezrozumiane serce, takie jak jej. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Ich wzrok spotkał się. Czowała, że Rex drży. Czowała, że jej serce bije gwałtownie:

- Ona nigdy pana nie pokocha, ale będzie miał pan z nią jeszcze jedno dziecko.

Zmarszczył brwi.

- Tylko jedno?

- Tylko jedno z nią, ale będą też inne.
- Nie! - Rex wyrwał rękę z jej dłoni, jakby nagle poparzył się w palce. Zerwał się na równe nogi i podszedł do drzwi. - Ja kocham moją żonę. - Był wstrząśnięty. - Słyszysz mnie pani? Kocham ją! I zawsze będę kochał!
- Wiem - odpowiedziała uprzejmie.
- To wszystko... - machnął zamasyżycie w stronę stołu. - ...nic nie znaczy, to tylko jakaś sztuczka. Pewnie kazano tak pani powiedzieć. Tak było, prawda? Wciągnął w to panią Harold i chłopaki z tartaku.
Nie miała ochoty się sprzeczać. Przejrzała go na wylot. Widziała wszystko.
- Moja żona mnie kocha. Naprawdę.
- Skoro pan tak twierdzi...
- Cholera, w ogóle nie wiem, co ja tu robię! - Chwycił za klamkę.
- Zastanawia się pan nad swoim życiem.
- To tylko żart, jasne? Jakiś cholerny żart. Wszyscy się pośmiali i wystarczy. - Pchnął mocno drzwi i wybiegł z baraku. Drzwi trzasnęły w odrapaną biało-różową ścianę baraku.

Wróci. Był zaintrygowany. Sunny była pewna, że Rex Buchanan wróci, tak samo jak tego, że po nocy nastaje dzień. Nie miała zamiaru temu przeszkodzić.

Zjawił się niecały miesiąc później. Rozmawiali, pili kawę, słuchali muzyki i przepowiedziała mu przyszłość. On drwił z jej przepowiedni, ale się uśmiechał. Zaczął odwiedzać ją częściej. Sunny widziała siebie w jego przyszłości. Wiedziała, że jeśli mu się nie oprze, będzie z nim związana przez całe życie.

Nie potrafiła mu się oprzeć. Zaczął przychodzić do niej regularnie. Zjawiał się tylko wtedy, gdy była pewna, że będą sami. Rozmawiali całymi godzinami. W nieskończoność mogła słuchać opowieści ze świata bogactwa i władzy i dyskutować o tym, co dzieje się poza Prosperity, w kraju i na świecie. Rex miał o wiele szersze horyzonty niż jej mąż i interesował się wieloma rzeczami. Chociaż wiedziała, że stąpa po niepewnym gruncie, nie mogła się powstrzymać. Nie chciała.

Walczyła z uczuciem do Reksa, nie mogła jednak zmienić przeznaczenia. W nocy przez długie bezsenne godziny leżała u boku chrapiącego Franka. Tęskniła za mężczyzną, który nie był dla niej. Wpatrywała się w małe okno baraku i w milczeniu przeklinała pokusę, której nie była w stanie się oprzeć.

Frank był dobrym człowiekiem, solidnym pracownikiem, który - o ile sobie nie popił - nie podnosił głosu. Uważał Rocky'ego Marciano za Boga, Marilyn Monroe za najseksowniejszą kobietę na świecie i nie mógł się doczekać dnia, kiedy będzie go stać na czarno-biały telewizor.

Rex był dobrym człowiekiem, mądrym pracodawcą. Nigdy nie przestanie uwielbiać swojej żony. On i Sunny nie mogą być razem. Była żoną mężczyzny, który nie uznawał rozwodów. On był mężem kobiety, którą ubóstwiał. Z niecierpliwością wyczekiwał dnia, kiedy Lucretia mu przebaczy, chociaż Sunny wiedziała, że taki dzień nigdy nie nadejdzie.

Na początku lekceważyła pożądlive myśli. Nie chciała się przyznać, że go pragnie. Ale z czasem zaczęła nasłuchiwać delikatnego dźwięku silnika jego samochodu na podjeździe, wpatrywała go w tłumie ludzi w mieście i czuła, że serce zaczyna jej mocniej bić, gdy słyszała znajome pukanie do drzwi.

Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego ją fascynował. Jej uczucia były spontanicznie i dzikie. W snach widziała twarz Rexa. Gdy kochała się z Frankiem, wyobrażała sobie, że to Rex przywiera do niej swoim ciałem. Palił ją wstyd, ale nic nie mogła na to poradzić. Wierzyła w przeznaczenie. Wiedziała, że losu nie da się przechytrzyć.

Toteż nie sprzeciwiła się, gdy pocałował ją po raz pierwszy w obskurnym małym baraku. Poddała się, gdy popchnął ją delikatnie na kanapę. Kochał się z nią gwałtownie, bez czułości. Jak wygłodniały mężczyzna, któremu dano pierwszy posiłek. Sapał, dotykał jej wszędzie i wciskał się w nią głęboko.

Wiedziała, że popełnia błąd. Wiedziała, że ryzykuje wszystkim, co ma. Jednak małżeństwo z Frankiem nie dawało jej satysfakcji. Nie byłoby jej żal, gdyby straciła barak, chociaż był jej domem.

Rex odwiedzał ją często i przynosił jej prezenty - złotą bransoletkę, pierścionek z turkusem, nową jedwabną suknię, ale Sunny ich nie przyjmowała. Nawet kwiaty, które od niego dostawała, nie pozostawały w domu. Zakładała błyskotki od niego tylko wtedy, gdy byli razem. Kwiaty rozsiewały zapach tylko dopóki nie wyszedł. Rozpinał perłowe guziki pięknej sukni, której nikt inny nie widział. Gdy odchodził, musiał zabierać ze sobą wszystko, co przyniósł. Nie chciała przyjąć zapłaty, choćby nawet małego wyrazu uczuć, za to, że się z nim kochała.

Bo wiedziała, że on jej nie kocha. Gdy go dotykała, czuła jego pragnienie, a nawet wdzięczność. Ale nie zależało mu na niej tak, jak na swej uwielbianej żonie. A Sunny nie chciała być dla niego dziwką. Będzie go kochać, ciesząc się z romansu, dopóki Rex się nią nie znudzi. Obiecała sobie, że wtedy pozwoli mu odejść.

Gdy Rex po śmierci Lucretii poślubił Denę Miller, Sunnyomal nie umarła z bólu. Chociaż wobec prawa była mężatką, w rzeczywistości była wolna - Frank od niej odszedł. Jednak Rex znalazł sobie inną kobietę. Nigdy nie czuła się bardziej zdradzona.

Od tamtej pory upłynęło prawie czterdzieści lat. Sunny wpatrywała się w ściany maleńkiego szpitalnego pokoju, w którym Chase postanowił ją zamknąć. Był schludny i porządny, w odcieniu pastelowej zieleni. Miał wbudowane regały na książki, dwuosobowe łóżko, stolik i kolorowy telewizor i był o wiele ładniejszy niż stary barak położony

na skrawku ziemi przy Prosperity. Ale to nie był jej dom. I nigdy się nim nie stanie.

Okno było otwarte. Powietrze pachnące różami wpadało do pokoju pomiędzy ozdobnymi stalowymi kratami, które miały kojarzyć się z dziełami sztuki, choć założone były dla bezpieczeństwa.

Przez cały zeszły tydzień każdego ranka wyglądała przez okno. Patrzyła na wysokie siatkowe ogrodzenie za wypielęgowanymi trawnikami, przyciętymi rododendronami i rzędami dębów i czuła, że zbliżają się kłopoty. Obserwowała słońce wschodzące ponad grzbietami gór, widziała pierwsze złote promyki, odbijające się w porannej mgle i przebiegał ją po plecach zimny dreszcz. Wiedziała, że jej synowie są w niebezpieczeństwie. W myślach widziała pożar, który zniszczył tartak. Obrazy płomieni i śmierci były bezładne, jakby jej umysł zaćmiły fale migoczącego gorąca i czarny dym.

Wzdrygnęła się znowu. Chciała stąd uciec. Nie było z nią tak źle, jak twierdzili. To prawda, że częściej miała wizje, które były wyraźniejsze, ale gdy mijały, wiedziała, kim jest i dlaczego ją tutaj zamknęli.

Zdrada Chase'a była trucizną dla jej duszy. Ufała mu, wierzyła w niego, myślała, że pragnie dla niej i dla siebie tego, co najlepsze. Ale okazało się, że jest inaczej. Stała się dla niego ciężarem, gdy zaangażował się w interesy Buchanana. Przestał odwiedzać ją tak często jak kiedyś i nie mógł jej spojrzeć w oczy, bo myślał o tym, żeby ją oddać, żeby się jej pozbyć. Nie musiałby już tłumaczyć, że ta zwariowana kobieta mieszkająca w baraku przy strumyku jest jego matką, nie musiałby jej zabrać do nowego pięknego domu. Rex też się od niej odwrócił. Nie miała ani dzieci, ani kochankę, pomyślała więc, że czas odejść z tej ziemi.

Wykrzywiła się, gdy spojrzała na nadgarstki. Blizny były prawie niewidoczne na ciemnej skórze. Będzie nosić te blizny niczym ordery za udział w wojnie. Wojnie, w której będzie walczyć do ostatniego dnia swojego życia.

Ale tutaj nie mogła walczyć. Musiała się stąd wydostać. Często śniła o ucieczce. Zeszłej nocy we śnie wyglądała przez okno, za którym roztaczała się przyszłość. Zobaczyła siebie, biegnącą po znajomych polach i stojącą twarzą w twarz z demonami przeszłości. Tymi, które ją zwiodyły.

Uśmiechnęła się ponuro. Stawi czoło im wszystkim. Niedługo. To tylko kwestia czasu.

- To cię chyba zainteresuje. - Gonzales rzucił na biurko T. Johna osmalony portfel. - Nie martw się, zdjęliśmy odciski palców. Zobacz, co jest w środku.

T. John odstawił kubek z kawą i wziął do ręki nadpalony przedmiot.

- Nieznajomego?

- Już niedługo przestanie być nieznajomym. - Gonzales uśmiechnął się szeroko. Podszedł do okna i wyjrzał z pierwszego piętra biura na parking, gdzie na słońcu smażyły się samochody osobowe, ciężarówki i motory.

- A to co? - Wilson otworzył to, co zostało ze skózanego portfela i przerzucił palcem spalone banknoty, w większości setki. Ponad tysiąc pięćset dolarów i coś, co kiedyś było prawem jazdy. - Z jakiego to stanu? Z Alaski?

- Na to wygląda. Sprawdzamy.

Jeśli w dokumencie było zdjęcie, zniszczył je pożar. Brakowało kilku cyfr, ale to wystarczało, żeby przy współpracy z Wydziałem Komunikacji Alaski ustalić tożsamość mężczyzny, który umierał na oddziale intensywnej terapii w klinice Northwest.

- Skontaktuj się z policją i dowiedz się, czy nie znaleźli porzuconego samochodu na numerach z Alaski. Albo w ogóle jakiegoś porzuconego samochodu. Mógł wynająć wóz tutaj albo kupić jakąś bryczkę, skoro miał tyle kasy. Sprawdź w wypożyczalniach samochodów. Zobacz, czy nie brakuje samochodu w wypożyczalniach w Portland i... - przyjrzał się dokumentowi, mrużąc oczy, ale adres się spalił... we wszystkich większych miastach Alaski.

- Robi się. Wysyłamy to do laboratorium kryminalistyki w Portland, żeby zobaczyć, czy da się to zrekonstruować.

Dobrze. W końcu coś się ruszyło. Prawie każdy w mieście miał alibi na tę noc, gdy wybuchł pożar, a zwłaszcza ci, którzy znajdowali się na początku listy podejrzanych: Rex Buchanan, Dena Buchanan, Felicity i Derrick Buchanan, Sunny McKenzie, Bobby Alonzo, nawet rodzice Jeda Bakera. Sprawdził. Jedynymi osobami, które nie miały dowodu na swoją niewinność była Cassidy i dwie ofiary pożaru. Szukanie sprawców było mordegą.

- Skąd to, do cholery, wytrzasnąłeś? Myślałem, że chłopaki skończyli już przeszukiwać tartak? - Zmarszczył czoło, patrząc na nadpalony portfel.

Gonzales uniósł ręce nad głowę i przeciągnął się.

- To jest właśnie dziwne. Od takiego jednego.

Wilson zadarł głowę i spojrzał ostro na Gonzalesa. Skoczył mu puls. Gonzales się nim bawi. Gówniarz. Uwielbia takie gierki.

- Od kogoś stąd?

- Tak. Mieliśmy szczęście.

- Jak to? - T. John oparł się na krzesło, aż zatrzeszczało. Założył sobie ręce za głowę i czekał.

- Nasz człowiek popił sobie u Burleya. Ktoś nazwał go idiotą, więc się wkurzył. Zasunął mu prawy sierpowy w szczękę.

- Kto... kto to, do cholery, jest nasz człowiek? - T. John tracił cierpliwość.

- To jest właśnie ciekawe. Portfel nieznajomego znaleziono w tylnej kieszeni spodni Williego Ventury. -

Gonzales uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby, których miał nieprzyzwyczajenie dużo. - Tak, sze fie, wygląda na to, że wiejski idiota będzie musiał nam cholernie dużo wyjaśnić.

Cassidy wyłączyła komputer i pokręciła głową. Dotarła do domu po prawie godzinnej jeździe w deszczu. Wzięła długą kąpiel i wypita szklaneczkę wina, zanim się położyła.

Jednak nie mogła zasnąć. W jej umyśle krążyły obrazy Briga, Chase'a, Rekxa, Sunny i Deny. O wpół do piątej przestała walczyć z bezsennością. Wstała i napisała na komputerze plan artykułu, a potem pojechała do redakcji. Włączyła światła, nastawiła ekspres do kawy i zaczęła przeglądać stare pliki. Wydrukowała wszystko, co znalazła na twardym dysku na temat pożaru, w którym przed laty zginęła Angie. Jej też nie dawała spokoju myśl, że pożar sprzed lat i ten ostatni mają ze sobą coś wspólnego. Policja twierdziła, że podpalenia dokonano w podobny sposób. Poza tym obie posiadłości należały do jej ojca. Chase nie chciał nic powiedzieć, więc postanowiła przeprowadzić dochodzenie na własną rękę. Szczegóły pierwszego pożaru już знаła. Zebrała je wkrótce po tym, jak przeprowadziła się z powrotem do Prosperity. Teraz zapisze w komputerze uwagi o każdym najmniejszym dowodzie i wszystkie hipotezy na temat pożaru w tartaku.

Wydało jej się, że słyszy kroki. Odwróciła się, ale nikogo nie było.

Weź się w garść - powiedziała sobie, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że ktoś ją śledzi. Może to przez Chase'a. Wiedziała, że jest niespokojny. Ten, kto podpalił tartak, nadal jest na wolności.... Spojrzała przez ramię i upewniła się, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Co wiedziała o pożarze?

Chase pracował do późna, co nie było niczym niezwykłym, zwłaszcza ostatnio. Był znany ze swojej pracowitości. Derrick zawsze wyrzucał mu, że nie poświęca Cassidy wystarczająco dużo uwagi, że podlizuje się staremu, że jest pracoholikiem.

Cassidy domyślała się, że był tam sam. W tartaku nie było nocnej zmiany. Nie było nawet strażnika ani psa. Chase często powtarzał, że najlepiej pracuje mu się w nocy, gdy wszyscy, również sekretarka, pójdą do domu, gdy nie dzwonią telefony, a do biura nie przychodzą ludzie i nikt mu nie przeszkadza.

Ale tym razem skłamał.

Może wcześniej też kłamał?

Czuła się zdradzona, ale starała się być obiektywna.

Ten drugi mężczyzna na pewno był z nim. Zagryzmoliła czystą kartkę papieru firmowego, który zawsze miała pod ręką. Na kartce w linii narysowała wielki znak zapytania.

Brig?

Choć była przekonana, że Chase był ze swoim bratem, wiedziała, że musi spojrzeć na wszystko bez emocji i uprzedzeń. Mógł się przecież spotkać z kimś innym. Ale z kim?

Czy podpalaczem był umiarkowany mężczyzna, a może to Chase zdecydował się podpalić tartak? A może ktoś zupełnie inny? Zwolniony pracownik, który chciał się zemścić na Buchananie? A może to jakieś osobiste porachunki? Może to ktoś, kto nienawidzi Chase'a? Albo Rekxa? Albo kogoś innego, kto nazywa się Buchanan?

Uderzała w kartkę ołówkiem z gumką. Próbowwała sobie wyobrazić, co zdarzyło się tamtej nocy. Czy było to podpalenie, czy może próba zabójstwa? Ta straszna myśl poraziła ją niczym prąd. Czy ktoś celowo chciał zabić Chase'a?

Dostała gęsiej skórki na rękach.

Omam nie spadła z krzesła, gdy otworzyły się drzwi. Okazało się, że to dziennikarze i sekretarki, które lubią zjawiać się w pracy kilka minut wcześniej. Pomachała ręką fotografowi, który wszedł do redakcji razem z recepcjonistką.

- Dalej - wyszeptala do siebie. Nie ma czasu na załamywanie rąk. Przeszukała teczek z dokumentami, znalazła prasową kopię policyjnego raportu i zrobiła sobie kserokopię.

Gdy wróciła do biurka, czekał na nią Bill Laszlo. Był wysoki i smukły. Widać było po nim, że co tydzień biega czterdzieści kilometrów, czym się bardzo szczycił. Ostatnio stał się ekspertem od ćwiczeń i diety tłuszczowej. Przez ostatnie dwa lata schudł dwanaście kilogramów, co dowodziło słuszności jego filozofii.

- Unikasz mnie - zarzucił Cassidy.

- Skąd. Po prostu jestem zajęta.

- Skoro tak twierdzisz... - Miał na sobie wykrochmaloną, białą koszulę, czarne spodnie, szelki i krawat. Nie wyglądał na przekonanego. - Mam napisać artykuł o pożarze i dochodzeniu.

- Wiem. Widziałam zapowiedź w ostatnim numerze.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. - Oparł się biodrem o jej biurko.

- Nic nie wiem o pożarze.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując pociemniałe od papierosów zęby, chociaż rzucił palenie kilka lat temu, kiedy dostał bzika na punkcie zdrowia.

- Czy to znaczy to samo, co bez komentarza?

- Pewnie wiesz więcej niż ja.

Spojrzał na jej biurko, na którym leżały notatki.

- Ale się nad tym zastanawiasz.
- Mój mąż o mało co nie zginął.
- Wiem. Miał pecha. - Podrapał się w brodę i przyjrzał się jej gryzmołom. Podążyła za nim wzrokiem i zobaczyła znak zapytania i imię Briga. Bez wyjaśnień schowała arkusz do segregatora.
- Wiesz, chciałbym porozmawiać z Chase'em.
- Nie tylko ty. Każdy dziennikarz w tym stanie by chciał.
- A może wpadłbym po południu do szpitala?
- Nie.

Spojrzał na nią błagalnie, ale nie dała się nabrać.

- Słuchaj, Bill, rozumiem, że musisz to napisać. Rozumiem to lepiej niż inni, ale Chase jeszcze nie doszedł do siebie. Mogą go odwiedzać jedynie członkowie najbliższej rodziny.
- A policja?
- To oczywiste.

Bill wziął ołówek z jej biurka i zaczął się nim bawić.

- Wiesz, Cassidy, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że coś ukrywasz.
- Na przykład, co?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Cały czas się nad tym zastanawiam.
- To się nie zastanawiaj zbyt długo. Tracisz czas.
- Opowiedz mi tylko trochę o Chasie, dobrze?
- Chyba mamy już o nim cały plik.
- Wiem, ale ja nie mówię o jego życiorysie, na miłość boską. O tym, że jest prawnikiem i że zaczął pracować u Buchanana po waszym ślubie. To nudy, które i tak wszyscy znają. Potrzebuję czegoś więcej.
- Nie ma nic więcej.

Wydał usta i zaczął ścisnąć nerwowo ołówek.

- Nie? A o nieznanym?

Zaskoczył ją ostry ton jego głosu.

- Co?
- Wygląda na to, że policja wkrótce go zidentyfikuje.

Zamarła.

- Jak?
- Chyba w końcu coś się ruszyło. Dziś rano znaleźli portfel, chociaż nie chcą o tym mówić. Ale moje źródła...
- Kto jest twoim źródłem?
- Nie mogę powiedzieć. - Potrząsnął głową. - Powinnaś wiedzieć. - Mrugnął do niej, doprowadzając ją do granic wytrzymałości. - Chodzą słuchy, że wkrótce się dowiemy, kim jest mężczyzna z intensywnej terapii. Nie sądzisz, że to będzie cholernie interesujące? - Rzucił ołówek na biurko i wstał. - Pewnie wtedy cała sprawa wyjaśni się.

15

Williemu nie podobało się w więzieniu. Już raz tu był, dawno temu, i nie cierpiał tego miejsca. Trochę się bał człowieka, który siedział w celi obok. Był to potężny, krępy więzień z tatuażami i węsami. Miał małe świńskie oczka. Willie leżał na pryczy, z daleka od tego faceta i od śmierdzącego siuszkami sedesu. Chciał, żeby Rex przyszedł po niego jak zawsze, i nasłuchiwał odgłosu butów na cementowej podłodze, brzęku klucza w zamku, męskich głosów. Dlaczego strażnicy nie wracali ze skruszonym wyrazem twarzy, żeby powiedzieć, że przykro im i że się pomylili, zamykając biednego półgłówka. Nie miałby nawet nic przeciwko obelgom, byleby tylko mógł się stąd wydostać. Podrapał się w ramię. Żeby nie zwariować, starał się myśleć o miłych rzeczach. Bał się, że wariuje. A wariatów zamyka się w zakładach, które są jak więzienie. Takie jak to.

Gdzie jest Rex? Zagryzł wargę i poczuł smak soli. Był spocony i brudny. Zrobiłby wszystko, żeby się stąd wydostać. Wszystko. Gotów był nawet skłamać. Żeby tylko wyjść na wolność. Ale Rex Buchanan zakazał mu kłamać, zmyślać czy mówić cokolwiek policji. Miał czekać i nie odzywać się. Miał trzymać gębę na kłódkę.

Drzwi w końcu korytarza otworzyły się z trzaskiem. Głosy mieszały się z odgłosami kroków. Willie w jednej chwili zerwał się na równe nogi i stanął przy drzwiach. Miał nadzieję, że to Rex po niego przyszedł. Wiedział, co go czeka. Rex go zwymyśla jak małego chłopca, a on mu obieca, że już będzie grzeczny. I sobie stąd pójda. Wiedział, że Rex musi komuś zapłacić, ale tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego, i niewiele go to obchodziło. Chciał stąd wyjść.

Jego palce zacisnęły się na metalowych prętach. Przycisnął twarz do krat. Czuł, że żelazo wciska mu się w policzki. Zobaczył dwóch mężczyzn.

- Proszę, proszę. Wygląda na to, że ktoś bardzo chce stąd wyjść - odezwał się mężczyzna ubrany w skózaną kurtkę i dzinsy. Chociaż nie miał na sobie munduru, Willie mu nie ufał. To był ten sam człowiek, który przyszedł

do nich do domu i wypytywał o pożar. Willie widział zza stajni, jak wysiadał z samochodu w świetle reflektorów. Mężczyzna uśmiechnął się do niego, wkładając gumę do ust. Nie, nie można mu ufać.

Był z nim kościsty facet z czarnymi oczami i długimi włosami, który już Williego odwiedził i udawał, że jest jego przyjacielem.

- Słyszałem, że dowaliłeś Marty'emu Fiskusowi? - odezwał się pierwszy mężczyzna.

Willie zmieszał się. Nie odpowiedział. Nie kłam. Nie kłam. Zostaniesz tutaj, jeśli skłamiesz.

- Marty Fiskus to dupek - rzucił więzień z tatuażami i posklejnymi włosami z sąsiedniej celi.

- Nie wtrącaj się, Ben - ostrzegł go kościsty facet.

Ben stoczył się z brudnej pryczy. Willie instynktownie skulił się. Nie lubił się bić, ale czasem, kiedy za długo zabawił u Burleya, wdawał się w bójki. Ben stanął przy kratkach, oddzielających jego celę od celi Williego.

- Chcę się widzieć z moim adwokatem.

- Tak, jasne. A ja chcę się widzieć z papieżem, a na to się nie zanosi.

- Mam prawo, Wilson.

- Nie za wielkie, Ben.

- Kiedy stąd wyjdę...

- Jeżeli, Ben. Jeżeli.

- Do diabła, wezwij mojego adwokata. - Twarz Bena nagle poczerwieniała, a usta wykrzywiły się w grymasie.

- Uspokój się. Już do niego zadzwoniliśmy. Nie może się doczekać, żeby znowu się z tobą zobaczyć. Chodzi o jakiś niezapłacony rachunek. Wcale mu się nie dziwię. - Mężczyzna z powrotem zwrócił się do Williego. - Przepraszam. Nazywam się Wilson. Pamiętasz mnie? A to jest mój współpracownik, Gonzales. Byliśmy u was w domu dzień po pożarze.

- Powiedziałem, że chcę zadzwonić. - Ben nie dawał za wygraną. - Jesteście świnię i nie macie prawa mnie tutaj trzymać. Kiedy skontaktuję się z moim adwokatem, pożałujecie, że wsadziliście mnie do pierdła.

- Możesz mi wierzyć, że już żałujemy.

- Gnój!

Wilson westchnął.

- Ben, czy tak się rozmawia z urzędnikiem państwowym? - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę gum. Powoli rozwinął jedną z papierka i dodał: - Lepiej uważaj, bo mogę się obrazić.

- Wal się, Wilson.

- Chodź, Willie, pójdziemy gdzieś, gdzie nie będziemy musieli słuchać tych zniewag. - W zamku zadźwięczały klucze i drzwi otworzyły się szeroko. Willie poczuł, że metalowe pasy, które ścisnęły jego klatkę piersiową nieco się rozluźniły. Wreszcie mógł oddychać. Ale nie przestał być czujny. Rex go ostrzegał. Nie kłam. Nie kłam.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Wilson, zaprowadził go do pokoju bez okien. Znajdowały się w nim jedynie krzesła i stół z ciemnego drewna, na którym leżała teczka z dokumentami. Willie zaczął się pocić i denerwować. To nie wróżyło nic dobrego. Myślał, że stąd wyjdzie. Gdzie jest Rex?

- Usiądź. - Mężczyzna wskazał mu ręką metalowe krzesło. - I opowiedz mi wszystko, co o tym wiesz. - Rzucił portfel na stół. Willie odwrócił wzrok. Nie chciał patrzeć na spaloną skórę. Przypominała mu o pożarze. O obu. Obliznął wargi.

- Byłeś w tartaku tamtej nocy?

Willie zagryzł wargę.

- Nie kłam.

- Wiesz, do kogo to należy? - Wilson przysunął portfel bliżej. Willie się cofnął. Dudniło mu w głowie.

- Nie jest twój, prawda?

Nie kłam.

- Skąd go wzięłeś? Znalazłeś go? Zabrałeś komuś, czy...

- Nie ukradłem go! Nie ukradłem! - wrzasnął gwałtownie. Ostre łsy twarzy Wilsona złagodniały. Uśmiechnął się.

- Wierzę ci, Willie. Więc skąd go masz?

- Wszystkie pieniądze są w środku! Ja nic nie zabrałem! - Willie kichnął i wytarł nos grzbietem dłoni. Trzęsły mu się ręce.

- Nikt nie twierdzi, że zabrałeś, chłopcze. Ale portfel nie jest twój, prawda?

Zmarszczył czoło. Był tak przerażony, że chciało mu się płakać. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie.

- Więc pytam tylko, czy wiesz, do kogo należy.

Willie chciał coś powiedzieć, ale mu się nie udało. Pot ciekł mu po twarzy. Było gorąco. Ciasno. Wilson mu nie wierzy. Wsadzi go z powrotem do więzienia. Na długo. Serce Williego łomotało jak oszalałe. Oddychał nierówno.

- Nie może oddychać - ostrzegł Gonzales.

- Uspokój się, Willie. - Wilson otworzył teczkę.

Willie nie wiedział, dlaczego, ale czuł, że ogarnia go przejmujący strach, taki sam jak zawsze, gdy był sam z

Derrickiem. Nerwowo potarł ramię, to, które Derrick przypalał przed laty papierosami.

- Willie, to są twoje papiery. Zobacz, jaka sarta. Nazbierało się tego trochę, synu. Dobrze, że Rex Buchanan i jego prawnicy zawsze znajdowali sposób, żeby wyciągnąć cię z więzienia. Zobaczmy, co tutaj mamy. Pijaństwo i bójka. Prowadzenie samochodu bez prawa jazdy. A to mi się nie podoba - jakaś mała dziewczynka poskarżyła się, że ją śledziłeś i zaglądałeś przez okno, ale oskarżenie wycofano. Pamiętasz to? Nazywała się Tammi Nichols. Pamiętasz ją? - Znowu się uśmiechnął. - Co tam robiłeś, Willie? Chciałeś sobie za darmo popatrzeć?

- Nie. - Willie potrząsnął gwałtownie głową.

- Lubisz patrzeć na rozebrane dziewczyny?

Gluchy krzyk rozległ się w jego głowie. Przelykał nerwowo ślinę. To nie wróżyło nic dobrego. Nie kłam. Nie kłam.

- Cholera, Willie, wszyscy to lubimy. To nie przestępstwo. O ile nie podgląda się tam, gdzie się nie powinno. - Oparł się na krzesło, odchylił do tyłu i żuł gumę. - Chyba lubisz nagie dziewczyny. Naprawdę cię nie obwiniam, ale... - Przewrócił stronę. Williemu skrzyły się ze strachu wnętrzności. - O, znowu. Następna dziewczyna. Mary Beth Spears. Powiedziała, że podglądała ją przez okno, kiedy była tylko w majtkach i w staniku. - Klasnął. - To ją bardzo zmartwiło. Widzisz, ona jest córką pastora. - Wilson zmarszczył brwi. - Widziałeś jej cycki, Willie?

Williemu pociemniało w oczach i musiał przytrzymać się stołu, żeby nie spaść z krzesła.

- To nie było miłe. Założę się, że pastor miał ochotę wygarbować ci skórę.

Pokój wirował.

- Te oskarżenia wycofano albo oddalono w ten czy inny sposób. - Wilson zamknął teczkę i odłożył ją na bok. - Gdyby było więcej zarzutów i jakieś poważniejsze, jak na przykład ukrywanie dowodów przestępstwa, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, albo nawet udział w przestępstwie, nie wykupiłby cię z więzienia cały majątek Rekxa Buchanana. Nie ma mowy. Nawet cała drużyna jego adwokatów nie dałaby rady wyciągnąć cię z więzienia.

Pot ściekał Williemu po nosie i kapał na stół. Chłopak był tak przerażony, że trząsał się cały w środku. Myślał, że posika się w majtki. Nie poruszył się. Przywarł do stołu, żeby nie zemdleć.

- Ale jeśli będziesz z nami współpracował i opowiesz nam to, co wiesz, są duże szanse, że stąd wyjdiesz. Zgadza się, Gonzales?

- W zupełności - przytaknął kościsty mężczyzna.

- Rozumiesz?

Willie się nie poruszył.

- Układ jest taki. - Przednie nogi krzesła Wilsona uderzyły o podłogę. Mężczyzna oparł się na łokciach. - Ty nam powiesz prawdę i stąd wyjdiesz. Okłamiesz nas albo będziesz milczał, to wsadzimy cię z powrotem do celi obok Bena. Nienawidzę kłamstwa, Willie. A ty, Gonzales?

- Nie cierpię.

- Więc nie należy nas okłamywać. Musisz być wobec nas szczerzy, Willie. Powiedz prawdę, a wypuścimy cię stąd.

Willie z trudem przełknął ślinę. Miał ochotę splunąć. Gdzie jest Rex? Dlaczego pozwala, żeby ci mężczyźni zadawali mu wstrętne pytania?

Detektyw wziął portfel i pomachał nim Willemu przed nosem.

- No, dalej, chłopcze. Wszystko będzie dobrze. Musisz mi tylko wyjaśnić, jak to się stało, że ten portfel znalazł się w twojej kieszeni.

- Cassidy Buchanan przysłała do pana.

Słowa odbiły się echem w małym gabinecie, a Wilson smakował każde po kolei. Wiedział, że wróci. W zasadzie czekał na nią już od kilku godzin. Była dziennikarką, a plotki, że nieznajomy wkrótce zostanie zidentyfikowany krążyły już wszędzie. Wilson bardzo chciał się dowiedzieć, jakim cudem ci cholerni dziennikarze wiedzieli coś prędzej od niego, ale jak dotąd nie był w stanie wykryć ani zlikwidować przecieków ze swojego departamentu.

Drzwi się otworzyły i weszła Cassidy. Wyglądała o wiele lepiej niż wtedy, kiedy widział ją ostatnio. Jej zarumienioną twarz okalały kasztanowe włosy, a z bursztynowych oczu biła wściekłość. Była po prostu cudowna. Wszyscy w mieście nazywali ją brzydszą siostrą, która nie umywa się do Angie Buchanan. T. John nie mógł sobie tego wyobrazić. Wstał. Dobrego zachowania nauczył się od matki, która pochodziła z Virginii.

- Wie pan, kim jest mężczyzna, który leży w szpitalu?

- Dzień dobry. - Wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka i usiadł. - Jeszcze nie, ale wkrótce się dowiem.

- I nie powiedział mi pan tego?

- A powinienem?

- W końcu mnie też to dotyczy. Jestem żoną Chase'a.

- Ale nic panią nie łączy z nieznajomym. Nie rozpoznała go pani.

- Spalił się tartak mojego ojca!

- I co z tego? - Położył nogę na biurku i oparł się na krzesło. - Proszę posłuchać, pani Buchanan. Przywiozłem tu panią na przesłuchanie. Pojechałem z panią do szpitala. Miałem nadzieję, że pomoże nam pani w dochodzeniu, że będzie pani z nami współpracować. Ale nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym pani cokolwiek mówić.

Poza tym, jest pani dziennikarką. Codziennie wydają oświadczenia dla prasy...

- Nie interesuję się tym od strony zawodowej. Nie chodzi o artykuł. Chcę się dowiedzieć, kto spalił tartak i omal nie zabił mojego męża,

- Właśnie tego usiłujemy się dowiedzieć.

- Kto to jest?

- Nie mamy pewności. Proszę się uspokoić. Niech pani usiądzie na krześle, a ja zrobię pani kawy.

- Proszę sobie nie robić kłopotu. Niech mi pan tylko powie, jak się nazywa ten nieznajomy. - Wyglądała na zrozpaczoną, bardziej zrozpaczoną niż powinna, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

- Jak już powiedziałem, jeszcze nie wiemy. Jedno mogę pani powiedzieć - zdobyliśmy kluczową informację i wygląda na to, że tajemniczy mężczyzna zostanie zidentyfikowany. To może trochę potrwać, ale wkrótce się wszystkiego dowiemy.

Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Sprawy przybrały lepszy obrót niż mógł przypuszczać. Jeszcze wczoraj bił głową w mur, a dzisiaj miał portfel, informację o umierającym mężczyźnie i zupełnie nowe spojrzenie na sprawę. Tak, układało się nieźle i jeżeli Floyd Dodds nie będzie miał się na baczności, to T. John wykopie go ze stanowiska, wygrywając następne wybory na szeryfa.

- Dlaczego mi pan nie powie, co się stało? - Cassidy trochę się uspokoiła. Usiadła na krześle. Założyła nogę na nogę. T. John próbował nie zwracać uwagi na długą łydkę w błyszczących rajstopach z lycry.

- Kiedy ustalimy tożsamość tego mężczyzny, sprawdzimy go i powiadomimy jego krewnych. Wtedy ogłoszę jego nazwisko. Do tego czasu pozostanie nieznajomym.

Cassidy rozłożyła ręce. Jej wzrok spoczął na twarzy T. Johna.

- Rozmawiał pan z moim mężem?

- Z tego, co wiem, on nie mówi.

- Ze mną rozmawiał.

Mięśnie karku T. Johna napięły się.

- Kiedy?

- Wczoraj.

Zmrużył oczy.

- I co powiedział?

- Niewiele więcej, niż to, że chce wyjść ze szpitala.

- W tym stanie? - T. John prawie się roześmiał. Chase Buchanan znany był ze swego uporcu. - Spytała go pani, kim jest tamten mężczyzna?

- Twierdzi, że go nie zna, ani że z nim nie rozmawiał.

- Myśli pani, że mówi prawdę?

- Nie wiem, ale mam zaufanie do Chase'a. Od czasu mojej wizyty nie odezwał się do nikogo. Ani do moich rodziców, ani do lekarzy i pielęgniarek, które się nim zajmują. Nie jestem pewna, czy wiedzą, że on może mówić.

Myślał szybciej niż ona. O wiele szybciej.

- Uważa pani, że z nami nie będzie rozmawiał, ale jeżeli powiemy coś pani i pani mu to przekaże, to może zacząć mówić.

- Możliwe.

Uderzył butem o podłogę.

- Pozwolę sobie zauważyć, że nie jest pani urzędnikiem stanu.

- Nie sądzę, żeby chciał rozmawiać z policją.

- Więc zostanie oskarżony o utrudnianie śledztwa.

- Myśli pan, że go to obchodzi? Jest przykuty do szpitalnego łóżka, ma połamane ręce i nogi, twarz trzyma mu się na drutach, może nie widzi na jedno oko. W tej sytuacji chyba nie boi się więzienia.

- Może jest sprytniejszy, niż się pani wydaje.

- Nie, może jest sprytniejszy, niż się panu wydaje. - Jej usta zacięły się z wściekłości. - Niech tylko spróbuje go pan oskarżyć. Zatrudni zespół adwokatów, którzy znajdą odpowiednich lekarzy, a ci stwierdzą, że nie może mówić, bo stracił głos i że gardło zostało uszkodzone przez dym, śpiączkę czy coś innego. Potwierdzą też, że podawano mu środki przeciwbólowe i nawet jeżeli coś powiedział, to nie był tego świadomy. Ściągną ekspertów, którzy podadzą przykłady pacjentów, którzy mieli tyle obrażeń, że nie mogli mówić albo mówili od rzeczy. Chase rozmawiał tylko ze mną, więc tylko ja mogę zeznawać przeciwko niemu, a tego nie zrobię, bo jest moim mężem.

T. John zdobył się na uśmiech, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Usiłuje mnie pani przekonać, że jeżeli będę chciał przesłuchać pani męża, będę musiał zrobić to przez panią.

- Nawet nie wiem, czy będzie jeszcze ze mną rozmawiał.

Był wściekły. Gdyby chciał, mógłby postawić na swoim. Był pewien, że zdołałby przekonać Chase'a, żeby z nim porozmawiał bez pośrednictwa Cassidy, ale może rzeczywiście będzie lepiej, jeżeli posłuży się nią, a przy okazji zobaczy, jak dogaduje się z mężem. Czuł, że w ich związku jest coś nie tak.

- Przyrowadzę dzisiaj do szpitala jego matkę. - Najwyraźniej była zdenerwowana.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym przy tym był?
- Oczywiście, że będę miała. Nie może pan do niego wejść, kiedy będzie tam Sunny. Ale potem - nic nie stoi na przeszkodzie.

- Pani McKenzie, niezależnie od tego, co się pani wydaje, to nie pani prowadzi dochodzenie.
- Pan nie rozumie, prawda? - Ledwie poruszała ustami. Na jej policzkach wystąpiły rumieńce gniewu. - Nie zależy mi na udowadnianiu, kto ma większą władzę. Staram się panu pomóc i mam nadzieję, że będzie pan wobec mnie uczciwy i uszanuje moje wysiłki. - Pochyliła się, opierając pewnie dłonie na krawędzi stołu. Wstała. - Chciałabym wiedzieć, kim jest mężczyzna, który leży na intensywnej terapii. Daję panu słowo, że nie znajdzie się to w mojej gazecie.

Nie ufał jej, ale nie mógł nie zapytać.

- Dlaczego to dla pani takie ważne?

Coś błysnęło w jej oczach, jakiś ból, którego nie rozumiał.

- To chyba jasne? Możliwe, że ten mężczyzna usiłował zabić mojego męża. - Przewiesiła torebkę przez ramię i wyszła, tak samo szybko, jak wpadła do jego biura. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

- Cholera! - T. John otworzył górną szufladę biurka. Wyjął lekarstwo na nadkwasotę. Stracił całą pewność siebie.

Cassidy Buchanan nie była jedynie ponętnym urozmaicheniem sprawy. Wysypał na dłoń cztery tabletki i włożył je do ust. Cały czas rzucała mu kłody pod nogi.

Dlaczego?

Rozgryzł lekarstwa i połknął je, popijając zimną kawą. Wstał, podszedł do okna i spojrzął na parking. Cassidy, której włosy płonęły w blasku słońca, otworzyła jeepa i usiadła za kierownicą. Domyślał się, że coś wie, ale nie mógł zgadnąć, co. Może wiedziała, kim jest nieznajomy, a może mąż powiedział jej, co robił w tartaku tamtej nocy? Jeżeli rzeczywiście mówił. To, że tak twierdzi Cassidy, nie znaczy wcale, że to prawda. Potrząsnął kubkiem z fasami. Jedno jest pewne: ona nie mówi wszystkiego, co wie. I raczej nie dlatego, żeby mieć dobry materiał do gazety. Nie. Chodzi o coś osobistego. Bardzo osobistego.

Zastanawiał się, czy to nie ona wynajęła kogoś, żeby podpalił tartak i zabił jej męża. Dostałaby wtedy niezłe pieniądze z ubezpieczenia. Wszyscy, którzy znali małżeństwo McKenziech twierdzili, że ich związek się walił. Byli o krok od rozwodu.

Wilson wyczyścił zęby językiem. Czy to jedynie zbieg okoliczności, że to podpalenie było podobne do tamtego sprzed lat, kiedy zginęła Angie Buchanan i Jed Baker? Czy w obu przypadkach podpalaczem był ten sam człowiek? A może... ten mężczyzna był przypadkową ofiarą? Może miał się spotkać z Chase'em McKenzie albo był w tartaku z innych powodów? Może to któryś z pracowników? Niezadowolony robotnik? Ktoś, kto chciał wykraść dokumenty z biura, w którym pracowali Chase, Derrick, czasami jego żona Felicity i księgowa? A może włóczęga? Albo sam podpalacz, który zniknął z miasta siedemnaście lat temu?

T. John zmrużył oczy i zagryzł dolną wargę. Przyglądał się odjeżdżającemu z parkingu jeepowi. Może to Chase McKenzie spowodował pożar, żeby coś ukryć albo dostać pieniądze z ubezpieczenia, albo zabić tamtego faceta? Może mu ktoś przeszkodził i dał się złapać we własną pułapkę? A może, do cholery, cały ten pożar był tylko przypadkiem, a tych dwóch durniów w płomieniach po prostu dwoma dupkami, którzy mieli pecha? T. John nie wierzył w to ani przez chwilę.

Niedobrze, że Rex Buchanan wyciągnął Williego, zanim ten się zламаł. Willie nie powiedział wszystkiego, co wiedział. On też był przy pierwszym pożarze. Kolejny zbieg okoliczności? A może to Willie był podpalaczem?

Powinien jeszcze raz przesłuchać Williego. Na pewno. A co do pani Buchanan, cóż, może nie zaszkodzi trochę ją podręczyć. Willie nie pamięta, gdzie był w czasie pożaru.

Akurat.

A Cassidy Buchanan siedziała sama w domu.

Na pewno. A ja jestem kretyńcem.

Odstawił pusty kubek na poobijany stary regał na dokumenty i wrócił do biurka. Usiadł na trzeszczącym krześle, otworzył dolną szufladę i wyciągnął dwie teczki. Jedną tak grubą, że musiała być przewiązana gumką, a drugą ledwie zaczęta. Pierwsza była pełna pożółkłych, od lat trzymany w archiwach papierów i notatek oraz raportów, dotyczących nie rozwiązanej sprawy śmierci Angie Buchanan i Jeda Bakera. W drugiej, nowej teczce ze śnieżnobiałego kartonu były notatki i wydruki komputerowe dotyczące niedawnego pożaru w tartaku Buchanana.

Intuicja mówiła mu, że między pożarami istnieje związek. Pamiętał, że w pierwszym śledztwie było wielu podejrzanych. Zagryzł dolną wargę. Bardzo źle, że pierwsze dochodzenie zakończyło się fiaskiem, że McKenzie zdążył uciec i nie udało się go przesłuchać. Z Briga był kawał drania. Zawsze sprawiał kłopoty. Gdyby zeznał, co miał wspólnego z pierwszym pożarem, wiele by się wyjaśniło.

Ale go nie było. Pewnie nie żył albo siedział gdzieś daleko w więzieniu.

Wilson jeszcze raz przejrzał dokumenty. Serce zaczęło mu mocniej bić, gdy zobaczył prawo jazdy nieznajomego mężczyzny. Z Alaski. To dosyć daleko. W latach siedemdziesiątych było to pustkowie. Facet mógł zaszyć się w dziczy... To nie może być tylko zbiegiem okoliczności. A może i jest?

Wcisnął przycisk telefonu i warknął, żeby przyszedł Gonzales. Po kilku minutach mężczyzna stanął w drzwiach.

- Coś się wyjaśniło z Cassidy Buchanan?
T. John potrząsnął przecząco głową.
- Jeszcze nie, ale chcę ją mieć na oku.
W ciemnych oczach Gonzalesa pojawił się błysk.
- Masz coś?
- Nie za wiele. Chase McKenzie mówi. Przynajmniej ona tak twierdzi. Ale tylko z nią rozmawia.
Gonzales parsknął z niesmakiem.
- Tak, to chyba bzdura. Ale sprawdzimy. Chciałbym porozmawiać z Williem Venturą. Może się zjawić z całą armią prawników, którzy będą próbowali zbić mnie z tropu, ale i tak chcę z nim porozmawiać.
Gonzales się wzdrygnął.
- Przeprowadzę go.
- A potem... To niepewny trop, ale sprawdź w urzędzie meldunkowym Alaski, czy mają kogoś o nazwisku Brig McKenzie albo jakiegokolwiek białego mężczyznę około trzydziestki o nazwisku McKenzie. Sprawdź raporty z wypadków i numery rejestracyjne samochodów we wszystkich wypożyczalniach.
- To może być długa lista. McKenzie to popularne nazwisko.
- Wiem, wiem, ale zrób, co każę.
- Myślisz, że nieznanemu to McKenzie? - Gonzales najwyraźniej w to nie wierzył.
- Nie. - Wilson pstryknął palcami. - Powiedziałem, że to nic pewnego. Szansa jedna na milion. O Boże, to pewnie szukanie gruszek na wierzbie, ale sprawdź, żebyśmy mieli pewność.

Sunny na nią czekała. Ubrana była w długą, czarną suknię. Przyprószone siwizną włosy miała spięte w ciasny kok przy karku. Siedziała na brzegu łóżka, trzymając torebkę na kolanach.

- Cassidy - powiedziała ciepło, wyciągając rękę. Jej skóra była ciemna i gładka, bez jednej zmarszczki. Na prawym oku pojawiła się zaćma, ale Sunny nie zgadzała się na operację. Nie ufała lekarzom ze skalpelami i laserami.

- Pomyślałam, że pewnie chcesz odwiedzić Chase'a. - Cassidy podeszła do niej i ujęła jej dłoń.
- Nie mogłam się doczekać. - Wstała z trudem. Sunny miała gładką skórę i nie wyglądała na swoje lata, ale cierpiała na postępujący artretyzm. Przed laty zwierzyła się z tego Cassidy, bo nie mogła iść do lasu po zioła. Kupiła je w miejscowym sklepie ze zdrową żywnością, ale lekarz pozwolił jej zażywać tylko lekarstwa, które jej przepisał: tabletki z apteki, syntetyczne środki, wyprodukowane przez wielkie koncerny farmaceutyczne. Sunny nie wierzyła w medykamenty wymyślone przez człowieka i często nie zgadzała się na leczenie.

Jej stare palce zacisnęły się na rękę Cassidy.
- Coś jest nie tak.
- Tak, był pożar i...
- Nie, chodzi o coś innego - nie dawała za wygraną. Cassidy ścisnęło w żołądku. Uwolniła dłoń z uścisku Sunny. Nie chciała wierzyć w wizje teściowej, mimo że wyszła za mąż za mężczyznę, którego przepowiedziała jej Sunny. Choć wcale o tym nie myślała.

- Weź laskę. - Podała starszej kobiecie laskę z ciemnego drewna, z rączką w kształcie głowy kaczki.
- Możesz nie poznać Chase'a - ostrzegła ją Cassidy, gdy szły korytarzem, pomiędzy ścianami migdałowego koloru, na których wisały pastelowe akwarele.

- Znam moich synów.
- Ale jego twarz...
- Będę mogła go dotknąć, prawda? - Sunny czekała, aż uśmiechnięta blondynka z recepcji naciśnie guzik pod biurkiem i otworzą się automatyczne drzwi. Zamek ustąpił. Cassidy pchnęła szklane drzwi.
- Jest cały w bandażach i może nie chcieć, żebyś go...
- Jest moim synem. Mogę go dotknąć - powiedziała z uporem. - Chase to dobry chłopak - oznajmiła szybko, jakby chciała przekonać samą siebie.

Cassidy zastanawiała się, jak często Sunny bije się z myślami, czy naprawdę syn, który zamknął ją w szpitalu psychiatrycznym, jest dobry.

Zeszły wolno po schodach na parking, gdzie stał samochód Cassidy. Synowa otworzyła Sunny drzwi. Kilka minut później wyjeżdżały przez bramę. Sunny pomachała strażnikowi.

- O co chcesz mnie zapytać?
Wyczuła, że Cassidy ma wiele pytań, które nie dają jej spokoju. Wystarczył jeden krótki dotyk.
- O... o nic.

To nie było odpowiednie miejsce ani czas na wypytywanie ją o dawnych kochanków. O Reksa Buchanana.
- Nie kłam. - Sunny uśmiechnęła się smutno i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. - Chcesz zapytać o twój ojca.

To było nieprawdopodobne - zupełnie jakby czytała w jej myślach.
- Dowiedziałaś się, że byliśmy kochankami.

Powietrze w jeepie nagle zrobiło się ciężkie.

- Tak. - Cassidy jakby nigdy nic włączyła się w sznur samochodów.

- On ci powiedział?

Na miłość boską, skąd ona to wie? Dłonie Cassidy nagle przykleiły się do kierownicy. Odkaszlnęła.

- On... chyba nie chciał.

- Najwyższy czas.

Serce Cassidy łomotało jak oszalałe. Tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

- Powinnam była o tym wiedzieć, zanim wyszłam za Chase'a. Powinnam była wiedzieć, że miałas romans z moim ojcem.

- Chase wiedział.

Cassidy omal nie straciła panowania nad kierownicą. Zakłęła pod nosem.

- Wiedział?

- Domyślał się. Nigdy się do tego nie przyznałam.

- Na miłość boską, on o tym wiedział? - W głowie jej huczało. Dlaczego jej nie powiedział? Dlaczego?

- Chyba raz widział u mnie twojego ojca. Chase był wtedy dzieckiem. Potem już bardziej uważaliśmy.

W umyśle Cassidy kłębiły się pytania, których nie miała śmiałości zadać, i podejrzenia, których nigdy nie wypowie głośno.

- Nie rozumiem...

- Lucretia była oziębła.

- Ale przecież mogłaś zająć w... to znaczy...

- Zaszłam.

Cassidy zamarła. Prowadziła bezmyślnie, automatycznie zwalniając na zakrętach, z przyzwyczajenia omijając nadjeżdżające z przeciwka samochody. Jej umysł był wyłączony, a działanie odruchowe.

- Synem twojego ojca był Buddy.

- Buddy? - powtórzyła zdziwiona. - A nie Brig?

Sunny westchnęła łagodnie.

- Brig był synem Franka.

- Skąd wiesz?

Sunny spojrzała na Cassidy z wyższością kobiety, która poczęła i urodziła dzieci.

- Wiem.

- O Boże. - Cassidy starała się oddychać głęboko i myśleć logicznie. I co z tego, że Sunny i Rex byli kochankami? To nic nie zmienia. Na szczęście nie była żoną przyrodniego brata. Nie popełniła kazirodztwa. Jej żołądek, tak znękanym przez ostatnie dni, ścisnął się i odbiło jej się sokami żołądkowymi.

- Nigdy nie dopuściłabym do tego, żeby Chase się z tobą ożenił, gdyby był twoim bratem.

- O Boże, o Boże, o Boże - powtarzała Cassidy.

Wjeżdżały do Prosperity. Cassidy opuściła szybę w nadziei, że do środka wpadnie trochę świeżego powietrza, które trochę rozjaśni jej w głowie.

- Co się stało z Buddym? - Cassidy nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Mógł nie żyć, mógł być w zakładzie dla upośledzonych, mógł wegetować jak roślina, która nikogo nie rozpoznaje, nawet własnej matki.

- Buddy jest bezpieczny. - Sunny dotknęła ramienia Cassidy delikatnymi palcami. - Mieszka ze swoim ojcem.

- Co?

Sunny zachichotała, jakby zadowolona, że jej synowa o niczym nie wiedziała.

- Dorastałaś z Buddym.

- Ale... - Wtedy do niej dotarło. Nagle ją olśniło. - Willie - wyszeptwała. Jej wnętrzości ścisnęły się boleśnie. Dlaczego nie domyśliła się wcześniej? Dlaczego nikt w mieście się nie połapał?

- Tak. - Sunny poczuła ulgę. Jej głos lekko zadrżał. - W końcu, po tych wszystkich latach, mogę do niego pojechać.

- Ale dlaczego to ukrywałaś?

Sunny wyjrzała przez okno.

- Tak chciał twój ojciec. Po wypadku, kiedy Buddy o mało nie utonął w strumyku, okazało się, że nie będzie... normalny. Zbyt duże uszkodzenia mózgu na skutek niedotlenienia. Rex zaproponował, że się nim zaopiekuje, że da mu wszystko, co najlepsze. Mógł zapłacić rachunki, a mnie i Franka nie było na to stać... To wtedy Frank odszedł. Nie z powodu Briga, ale przez Buddy'ego.

Wydawało się, że przeszłość jest dla niej jasna i oczywista.

- Jak się dowiedziałaś, że Willie to Buddy?

- Rex mi powiedział wiele lat później, kiedy Buddy był prawie dorosły. Rex dał mi na imię Willie. Oddał go do prywatnego zakładu i opłacił lekarza, który miał się nim zajmować. Szpital zamknięto, bo budynek został sprzedany grupie inwestorów, którzy zamierzali go zburzyć i wybudować pasaż handlowy czy coś takiego... - Machnęła ręką, jakby to nie miało znaczenia. - Wtedy Rex postanowił, że Willie będzie mieszkał z wami. Był

wtedy chłopcem, miał ze dwanaście lat. Ty byłaś małą dziewczynką. Na początku mieszkał z rodziną waszego parobka, Maca jakiegoś tam. Potem Rex dał mu pokój nad stajniami. I chyba tam już został.

Cassidy nie mogła sobie przypomnieć, kiedy Willie pojawił się w domu rodziców. Odkąd pamięta, mieszkał z nimi, kręcił się przy stajniach, stodołach i przy basenie.

- Czy moja matka o tym wie?

Sunny zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nikt nie wie. Tylko Rex i ja. Nie wie nawet Buddy.

Tego już było za wiele dla Cassidy.

- Lepiej nie mów nic Chase'owi. Dopóki mu się nie poprawi.

Sunny rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

- Nigdy nie skrzywdziłabym żadnego z moich synów - powiedziała tak, jakby Cassidy jej nie rozumiała. - Nigdy.

- To dobrze.

Cassidy skrzyła i wjechała na trzypasmową ulicę wiodącą do kliniki Northwest. Zastanawiała się, czy to już cała historia Buddy'ego McKenziego i Williego Ventury, czy jeszcze zostało coś w zanadru. Umysł Sunny sprawiał wrażenie trzeźwego, chociaż nie było tajemnicą, że często błądzi myślami i że czasami miesza fakty z fikcją. Ile to razy Chase niepokoił się o zdrowie matki? Zanim oddał Sunny do zakładu, nieustannie martwił się o jej bezpieczeństwo.

Cassidy wysadziła teściową przy drzwiach wejściowych, zaparkowała samochód i dołączyła do niej przy recepcji.

Wsiadły do windy i wjechały na drugie piętro. Cassidy zatrzymała się przed drzwiami sali, na której leżał mąż. Wiedziała, że będzie wściekły, że mu się sprzeciwiła i przywiozła jego matkę.

- Chase? - Weszła cicho do pokoju, gdzie nieruchomo leżał mąż.

Sunny była spięta. Zobaczyła syna i pewnym krokiem weszła do środka.

- Słyszysz mnie? - spytała Sunny. Zdrowe oko, które było zamknięte, natychmiast się otworzyło. - Tak myślałam.

Zmrużone oko spojrzało na Sunny, a potem oskarżycielsko na Cassidy.

- Chciała cię zobaczyć - wyjaśniła Cassidy.

- Dobrze się z tobą obchodzą? - Sunny podeszła do niego i chociaż Chase próbował się uchylić, dotknęła jego spuchniętych palców swoimi delikatnymi, badającymi rękami.

Zamrugła, zamknęła oczy i wyszeptala coś w języku cherokee. Cassidy nie zrozumiała ani słowa, ale Chase chyba wiedział, o co chodzi. Spojrzał na matkę i złość zniknęła z jego twarzy.

- Wyzdrowiejesz - powiedziała. - Trochę to potrwa, ale wrócisz do zdrowia. - Oczy starszej kobiety zaszczyły łzami. Puściła jego dłoń. - Martwiłam się o ciebie.

Chase odwrócił wzrok i wpatrywał się w białą ścianę. Mięśnie jego twarzy były napięte, choć przez opuchliznę i poparzenia trudno było to dostrzec.

Cassidy otworzyła drzwi.

- Będę na dole w poczekalni. - Wiedziała, że nie powinna przeszkadzać matce i synowi. Nigdy tego nie robiła. Chase na to nie pozwalał.

- Ja się zajmuję moją matką, ty się zajmuj swoją - powtarzał zawsze, gdy były jakieś problemy z Sunny. Wyglądało na to, iż uważa, że jest to jego obowiązek. Zawsze pojmował to w ten sposób, nawet zanim odszedł Brig. Cassidy przeszła przez pokój pielęgniarek i usiadła w małej poczekalni przy panoramicznym oknie. Był to dobry punkt obserwacyjny. Widziała też drzwi do sali Chase'a, więc mogła mieć Sunny na oku. Ona porozmawia z Chase'em później, bo musi mu powiedzieć, że T. John lada moment ustali tożsamość mężczyzny z intensywnej terapii.

Wyrzała przez okno i zobaczyła, że na parking wjeżdża samochód z Biura Szeryfa. Zatrzymał się przy drzwiach wejściowych i zamrugał światłami. Zastępcy szeryfa: Wilson i Gonzales otworzyli drzwi, wysiedli z samochodu i zamknęli je kopniakiem. Szybko wbiegli po schodach. Cassidy była zdenerwowana. Usiłowała się uspokoić. Tłumaczyła sobie, że nic się nie stanie, nawet jeżeli przyjechali, żeby przesłuchać Chase'a. Chciała go ostrzec, że wiedzą, że może mówić, tylko się do nich nie odzywa. Wolą jednak nie rozmawiać z nim przy Sunny.

Teraz nie miało to już znaczenia. Spodziewała się najgorszego. Winda zatrzymała się z cichym sykiem, ale wysiadła z niej tylko para staruszków. Siwowłosego dziadek prowadził zgarbioną kobietę, która powoli dreptała przez korytarz.

Mijały minuty. Pięć, dziesięć... Może Wilson wstąpił na oddział intensywnej terapii? Może przyjechał do szpitala z innego powodu. Przecież zdarzają się inne wypadki, którymi trzeba się zająć... Jednak Cassidy nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak.

Spojrzała na drzwi do pokoju Chase'a. Cały czas były zamknięte. Wyrzała przez okno na parking. Samochód szeryfa stał przed wejściem. Oblizła wargi i próbowała wytłumaczyć sobie, że jest przewrażliwiona i że nie ma żadnego powodu do zdenerwowania... Ale dziennikarska intuicja mówiła jej coś innego. Coś się stało. Coś poważnego. Mogłaby się założyć o wszystkie pieniądze, jakie ma, że chodzi o pożar. Winda zatrzymała się ponownie. Tym razem wysiadł z niej lekarz z surowym wyrazem twarzy.

Cassidy nie mogła znieść niepewności ani minuty dłużej. Podeszła do pokoju pielęgniarek.

- Ja tylko na chwilę wrócę do samochodu - okłamała bez mrugnięcia okiem pulchną blondynkę przy biurku. - Mogłaby pani poprosić moją teściową, jest teraz w pokoju dwieście dwanaście u Chase'a McKenziego, żeby tu na mnie poczekała? Za momencik wracam.
- Oczywiście. - Pielęgniarka nawet nie podniosła głowy.
- Dziękuję. - Cassidy przeszła przez korytarz do windy. Po kilku sekundach znalazła się przed oddziałem intensywnej terapii. Zastanawiała się, jak może się dostać do środka bez obstawy.

Gdy wyciągała rękę po telefon, który łączył bezpośrednio z pokojem pielęgniarek, nagle drzwi się otworzyły. Z oddziału wypadł Wilson, żując zawzięcie gumę. Był wściekły. Tuż za nim wybiegł Gonzales.

Wilson schował okulary słoneczne do kieszeni koszuli i zmierzył Cassidy ciemnymi oczami z taką złością, że cofnęła się o krok i odwiesiła słuchawkę.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy. - Wilson nie ukrywał sarkazmu. - Wygląda na to, że pojawia się pani wszędzie tam, gdzie są kłopoty.
- Kłopoty? - powtórzyła, czując, że ziemia zaczyna jej drzeć pod nogami.

T. John przecesał ręką krótkie włosy i westchnął.

- Ten człowiek tutaj - wskazał kciukiem na wahadłowe drzwi za nim - nie przeżył. Tajemniczy facet umarł dwadzieścia minut temu.

16

Nie! Nie! Nie!

Cassidy nie mogła uwierzyć, że Brig umarł. Chociaż przez lata powtarzała sobie, że odszedł z tego świata, w głębi duszy wierzyła, że żyje i że któregoś dnia znowu go zobaczy. Kiedy dowiedziała się o nieznanym z intensywnej terapii, który trzymał w rękach medalik świętego Krzysztofa, jej wyobraźnia zaczęła pracować i Cassidy nabrała przekonania, że to Brig.

- O Boże - wyszeptała. Łzy napłynęły jej do oczu.
- Hej, nic pani nie jest? - Głos zastępcy szeryfa dobiegał jakby z oddali i był przytłumiony. - Chyba mi tu pani nie zemdleje?
- Nie. - Jej własny głos też brzmiał dziwnie. Otarła ręką czoło i oparła się o ścianę. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.
- Może zawołać pielęgniarkę?
- Nic mi nie jest - sapnęła, nadal oszołomiona.

Wilson przyjrzał się jej dokładnie.

- Powie mi pani, co o nim wie?
- O mężczyźnie z intensywnej terapii? - Pokiwała przecząco głową. - Nic nie wiem.
- To dlaczego kiedy się pani dowiedziała, że nie żyje, wyglądała pani, jakby zobaczyła ducha? Co tu się dzieje?
- Ja... Miałam nadzieję, że on przeżyje. Chciałam z nim porozmawiać i dowiedzieć się, co się stało. - W jej myślach cały czas przewijały się obrazy Briga. Minęło tyle lat, a ona pamiętała go tak wyraźnie, jakby była z nim wczoraj.
- Chyba powinniśmy o tym powiedzieć pani mężowi.

O, Boże!

- On z nami nie rozmawia. Nie powiedział ani słowa, ale jestem przekonany, że wszystko słyszy. Może to rozwiąże mu język.
- Teraz jest u niego matka... - Odruchowo chwyciła Wilsona za ramię. - Proszę mu nic nie mówić, dopóki nie porozmawiają panowie z lekarzem. Nie chcę, żeby Chase'owi się pogorszyło.
- O niego się nie martwię. Martwię się o panią.
- Zaraz mi przejdzie - skłamała. Zamrugła, żeby się nie rozplakać. - Po prostu jestem wstrząśnięta. Panowie wybaczą.

T. John przyglądał się, jak kobieta usiłuje się pozbierać. Zdziwiał się, jak szybko potrafiła się zmienić. Przed chwilą miał wrażenie, że wpadnie w rozpacz, a tymczasem wyprostowała się, otarła łzy i uśmiechnęła się do niego smutno. Potem zniknęła w windzie.

- Ona coś ukrywa - powiedział Wilson do Gonzalesa. - Sięgnął do kieszeni po pierwszą paczkę cameli, jaką kupił od miesięcy.
- Ale co?
- O ile nie myli mnie intuicja, ona wie, kim był nieznajomy.
- A ty nie wiesz?
- Nie mogę tego udowodnić. Dopóki nie dostaniemy wiadomości z Alaski. - T. John odwinął celofanowe opakowanie papierosów. Wyjął jednego, ale go nie zapalił. Trzymał go w ręce, wpatrując się w drzwi windy. Przechodziły obok niego pielęgniarki, lekarze i odwiedzający, ale on ich nie zauważał. Myślami był przy Cassidy Buchanan McKenzie i tajemnicach, których tak zazdrośnie strzegła.

Dowie się, co tu jest grane. To może potrwać i będzie trzeba trochę pogrzebać, ale się dowie.

- Skontaktuj się z lekarzem Chase'a McKenziego - chyba się nazywa Rick albo Richard Okano - i dowiedz się, czy możemy porozmawiać z jego pacjentem.

Podniósł papierosa pod nos i wciągnął zapach świeżego tytoniu, ale zobaczył, że jego ręką bacznie przygląda się pielęgniarka, która tylko czekała na to, żeby odważył się zapalić. Zobaczył na ścianie przy dyżurce pielęgniarek informację o zakazie palenia. Tak, tutaj nie wolno palić. Dobrze, że rzucił palenie.

- Trzymajcie ciało w kostnicy, dopóki ktoś się po nie nie zgłosi. I sprawdź, dlaczego tak się grzebią na Alasce.

- Załatwione - odpowiedział Gonzales.

- I jeszcze zdjęcia. Chcę mieć wszystkie zdjęcia Briga McKenziego, jakie uda ci się zdobyć. - Zastanowił się przez chwilę. - Chcę też porozmawiać ze wszystkimi starymi mieszkańcami miasta. Muszę się dowiedzieć, jakie plotki krążyły siedemnaście lat temu. - Wpatrując się w drzwi windy, wyobraził sobie Cassidy jako niesforną nastolatkę, małą, nie dorównującą urodzie starszej siostrze. - Muszę się dowiedzieć, co działo się w rodzinie Buchananów i McKenziech. Dlaczego Lucretia Buchanan popełniła samobójstwo, dlaczego Frank McKenzie się ulotnił i co było między Brigiem McKenzie a Angie i Cassidy Buchanan. Wiem, że się pobił z Jedem Bakerem, który zginął w pożarze. Trzeba to wszystko sprawdzić.

- Jeszcze coś? - spytał Gonzales.

- Tak. Dowiedz się, gdzie przez cały ten czas był Chase McKenzie. Podobno był dobrym synkiem, takim, co to się troszczy o mamusię, chodzi do szkoły i haruje jak wół. Ale coś mi tu nie pasuje.

- Myślisz, że kłamię?

- On nic nie mówi, ale tak, myślę, że kłamię. Wszyscy kłamią jak z nut. Ale po nitce do kłębka. Musimy tylko pociągnąć za sznurek. Warto zacząć od Williego Ventury. On nie umie kłamać.

Cassidy szła na nogach jak z waty. Nie było żadnego dowodu, że to Brig leżał na intensywnej terapii. Nie miała więc powodu, żeby wierzyć, że on nie żyje. Jednak piekło ją w żołądku, a w sercu czuła pustkę, gdy wracała do pokoju Chase'a.

- Pani McKenzie... - Dyżurna pielęgniarka była najwyraźniej zmartwiona. - Pani McKenzie, próbowałam panią znaleźć.

O Boże, co znowu? Cassidy stanęła.

- Tak? Co się stało? - Dostrzegła troskę w ciemnych oczach kobiety. - Mój mąż...

- Wszystko w porządku. Nie chodzi o niego. Chodzi o pani teściową.

- O Sunny? - Przeraziła się śmiertelnie.

- Tak. - Pielęgniarka rozłożyła ręce. - Nie ma jej z panią?

- Nie, została tutaj, pamięta pani?

- O Boże. Musiała się wymknąć z sali, gdy roznosiłam lekarstwa pacjentom, a druga pielęgniarka zajmowała się kimś innym...

- Chwileczkę. - Cassidy nagle rozjaśniło się w głowie. - Chce mi pani powiedzieć, że jej tu nie ma? Że nie ma jej w szpitalu?

- Nie wiem, czy nie ma jej w szpitalu. - Pielęgniarka o ziemistej cerze usiłowała się bronić. - Ale w tym skrzydle, na tym piętrze jej nie ma.

- Jest pani pewna?

Usta kobiety ułożyły się w prostą linię.

- Tak, pani McKenzie, ale na pewno musi być gdzieś w pobliżu.

- Czy ktoś sprawdzał w łazienkach?

- Nie, ale...

Serce Cassidy waliło jak oszalałe. Sunny nie mogła uciec. Nie mogła odejść daleko. Przecież chodzi o lasce.

- Ona musi gdzieś tu być. Sprawdzę w samochodzie i w poczekalniach. Niech ktoś się rozejrzy po szpitalu, bo może się zgubiła... - powiedziała Cassidy, biegnąc korytarzem do drzwi. Ani przez moment nie wierzyła, że Sunny poszła do jeepa, ale dla pewności poszła sprawdzić.

Na dworze świeciło słońce. Gorące promienie padały na chodnik i rozmiękczały asfalt. Jeep stał tam, gdzie zaparkowała go Cassidy. Już miała wracać do szpitala, gdy dostrzegła kartkę, zatkniętą za wycieraczkę.

Wyciągnęła ją i przeczytała napisane ołówkiem zdanie:

Nie martw się. Duchy są ze mną w mojej wędrówce. Całuję. Sunny.

Cassidy oparła się o błotnik i wpatrywała się w oślepiąco biały papier. Na odwrocie znajdowała się reklama sprzętu ogrodniczego. Była to ulotka, którą przed chwilą rozrzucono na parkingu.

- Boże, pomóż jej. - Osłoniła ręką oczy i przemierzyła wzrokiem morze samochodów. Dokąd ona mogła pójść? I dlaczego? Co za diabeł ją gna? Chase miał rację - pogorszyło jej się. Myśli, że odbywa wędrówkę, jak jej przodkowie.

Chase się wścieknie, kiedy się dowie. Nie chciał, żeby Sunny go odwiedziła. Skończyło się tak, że uciekła. Może zrobić krzywdę sobie albo innym. Cassidy kopnęła z wściekłości oponę. Powoli przeszła między rzędami samochodów, sprawdzając, czy Sunny się gdzieś nie schowała albo nie leży w bagażniku jakiegoś pickupa. Ale

nigdzie nie było po niej ani śladu. Jakim cudem zniknęła? Zadzwoiła po taksówkę ze szpitala? Ktoś ją zabrał samochodem? Ukradła samochód? Wsiadła do autobusu? Pokuśtykała wsparta na lasce i zdana na miłosierdzie Boże? Jak?

Na czoło Cassidy wystąpił pot. Wróciła do szpitala. Nie wiedziała, jak powiedzieć o wszystkim Chase'owi. O wszystkim. O tym, że być może jego brat nie żyje. Ale żyje jego przyrodni brat, chociaż Chase wcale nie miał pojęcia o tym, że są spokrewnieni. I na koniec, że zaginęła jego matka. Przez Cassidy. Kolejny powód, żeby ich małżeństwo, i tak walące się w gruzy, rozpadło się szybciej.

- Od początku mówiłem, żebyś jej tu nie przyprowadzała! - warknął Chase, kiedy Cassidy powiedziała mu o Sunny.

- Pomyślałam, że chciałyby zobaczyć syna.

- Długo tu nie zabawiała.

- Rozmawiałaś z nią?

- Nie.

- Och, Chase... - Podeszła do łóżka i wpatrywała się w niego. Nie spuszczał z niej miotającego gromy oka.

- Nic jej nie będzie.

- Nie byłbym tego taki pewien.

Chwyciła poręcz łóżka i z trudem przełknęła ślinę.

- Przepraszam.

Nie odpowiedział.

Uspokoila się i powoli wypuściła powietrze.

- Powinieneś wiedzieć o czymś jeszcze.

- Więcej dobrych wieści? - zaszydził. Jego słowa ledwie dało się zrozumieć z powodu drutów w szczęce.

- Nie. Złych. - Oddychała nierówno. - Zmarł dzisiaj mężczyzna z intensywnej terapii. Byłam tam i zobaczyłam, jak wchodzi zastępcy szeryfa. Wyczułam, że coś się stało...

Oko zamknęło się, a w pokoju zapanowała grobowa cisza. Chase wyglądał tak, jakby przestał oddychać. Miał zacisnięte usta. Siniaki na twarzy zrobiły się ziemistoszare. Zza drzwi dobiegały przyciszone odgłosy - dźwięk telefonów, brzęk wózków i rozmowy. Wszystko przestało być ważne.

Cassidy przerwała ciszę.

- Chase, oni nadal nie wiedzą, kto to był. Ale oni tu przyjdą, żeby cię przesłuchać, jeżeli tylko doktor Okano nie będzie miał nic przeciwko temu. Chyba... powinieneś się zastanowić nad tym, co im powiesz.

- Powiem im prawdę.

- To znaczy?

Wpatrywał się w nią tak uporczywie, że omal nie krzyknęła. Nie odezwał się ani słowem, ale Cassidy nie miała wątpliwości, że człowiekiem, który umarł, był Brig.

- To będzie ciężkie, Cass. - Pierwszy raz okazał odrobinę czułości, jakiej nie słyszała od niego od bardzo, bardzo dawna. - Dla ciebie. Dla mnie. Dla wszystkich.

Sunny podziękowała farmerowi i wyskoczyła z brudnego pickupa. Po podłodze walały się narzędzia i w samochodzie było straszliwie brudno, ale człowiek był dobry i pocziwy. Zaproponował, że ją podwiezie, więc się zgodziła. Wcześniej zatrzymały się dwa samochody. Najpierw pełen dzieciaków zdezelowany chrysler. Zatrzymali się, uśmiechnęli miło, ale ich oczy błyszczały łobuzersko. Przez okna wydobywała się na zewnątrz chmura dymu marihuany. Jeden z nich zapytał:

- Hej, babciu? A może by tak na wycieczkę do nieba?

Pozostałe dzieciaki, zgniecione jak sardynki w puszcze, zachichotały.

- Już tam jestem - odpowiedziała Sunny z uśmiechem.

- Nie podwieźć pani? Przecież idzie pani o lasce.

- Dziękuję, ale wolę się przejść.

- Wiedzma.

Uprzejmość chłopaka prysła. Okazało się, że intuicja Sunny jej nie zawiodła. Słusznie przypuszczała, że chciał ją podwieźć tylko po to, żeby się z niej ponaśmiewać. Wiedziała, że chłopak, który z nią rozmawia, jest zły i nie ma skrupułów. Zerwał się na ubaw i miałby świetną zabawę, gdyby mógł postraszyć staruszkę. Pozostałe dzieciaki chciały się tylko przejechać. Dwie dziewczyny były zdenerwowane, jeszcze jeden chłopak, kierowca, najwyraźniej przestraszony, bo cały czas spoglądał we wsteczne lusterko.

- Idę do syna.

- A kto to jest? - prychnął chłopak. - Jezus Chrystus?

- Ma na imię T. - skrót od Thomas - John Wilson - skłamała. - Może o nim słyszeliście.

- Cholera, zmywajmy się stąd - rzucił kierowca. - T. John Wilson jest zastępcą szeryfa. Parę razy wsadził mojego starego do więzienia.

- Wiem. - Oczy przywódcy grupy błyszcząły jak twarde, zimne kamienie. - Źle pani robi.
- Nie sądzę. - Nagle wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. Jej palce zacisnęły się na drobnych kościach chłopaka. Zamknęła oczy i zaczęła śpiewać w ojczystym języku swojej matki, bez przerwy, głośno i przejmująco.
- Co to za gówno? - wrzasnął chłopak przerażony.
- Nie podoba mi się to - krzyknęła jedna z dziewcząt.
- To wariatka, chłopaki. - Kierowca nacisnął pedał gazu, Sunny wypuściła ramię chłopaka i samochód odjechał pędem. Zjechała na środek szosy i dopiero po chwili udało mu się wyrównać.

Potem zatrzymała się para młodych ludzi z dzieckiem, zapiętym w foteliku samochodowym. Sunny nie wsiadła do samochodu, bo rozpoznała kobietę - była nią Mary Beth Spears, młoda mężatka, od niedawna matka. Mary Beth była zła. Wydęła wargi i chociaż udawała, że nie poznaje Sunny, nie była zadowolona.

- Podwieźć panią? - Jej mąż, blondyn o pocziwych oczach, wychylił się, żeby wyjrzeć spoza siedzącej sztywno żony.

- Przyjemnie mi się spaceruje.

- Ale jest strasznie gorąco.

- Trochę wieje.

- Będzie nam bardzo przyjemnie, jeżeli będziemy mogli podwieźć panią do Prosperity, czy gdzie pani chce.

Mary Beth rzuciła mężowi pełne nienawiści spojrzenie i wycedziła coś przez zęby - coś o pogaństwie i diable.

- Nie ma potrzeby. Dam sobie radę.

- Da sobie radę, Larry - powiedziała Mary Beth, a dziecko na tylnym siedzeniu zaczęło grymasić. - Jedźmy już. Mama i tata czekają.

- Ja tylko chciałem być dobrym samarytaninem. - Znowu spojrzał na Sunny. - Jest pani pewna?

- Tak.

- Jedź, Larry. - Mary Beth uderzyła palcami w przeczytany egzemplarz Biblii, który trzymała na kolanach.

- Więc miłego dnia - powiedział Larry, a dziecko zaczęło się drzeć wniebogłosy.

- Nawzajem.

- Niech Jezus będzie z panią - powiedziała Mary Beth, zdobywając się na wspaniały, pobożny uśmiech.

- Z panią też.

Samochód odjechał, a Sunny poczuła ulgę, że Chase nie zadawał się z Mary Beth. Umówili się tylko raz, na przyjęcie u Caldwellów, tej nocy, kiedy zginęła Angie Buchanan i ta randka posiała strach w sercu Sunny.

Minęło ją kilku motocyklistów, zostawiając kłęby dymu. W końcu zatrzymał się dobrze zbudowany farmer, który nazywał się Dave Dickey. Od razu wyczuła, że to dobry człowiek. Wyjrzał przez okno i otworzył drzwi kabiny. Miał na nosie okulary fotochromowe, które pociemniały na słońcu, przesłaniając jego jasnobrzowe oczy.

- Podwieźć panią? - Uśmiechał się szczerze, ukazując białe zęby, które kontrastowały z opaloną skórą. Miał zgrubiałe ręce od ciężkiej pracy.

- Byłoby fajnie.

- To proszę wsiadać. - Wysiadł, żeby pomóc jej wsiąść. Włożył jej laskę pod nogi.

Stary ford z sześćdziesiątego szóstego roku, czym nie omieszkał pochwalić się Dave, charczał i podskakiwał na wyboistej drodze. Dave mówił coś o tym, że niedługo musi wymienić silnik. Z radością zawiózł ją do domu Buchanana. Teraz stała tu i patrzyła, jak słońce zachodzi za horyzont. Ostatnie promienie oświetlały biały dach z boku domu, który wyglądał raczej na rezydencję plantatorów z Virginii, niż na dom wybudowany u podnóża gór Cascade.

Była tutaj wiele lat temu, po pogrzebie Angie Buchanan.

Rex Buchanan był w domu sam. Wypił drinka, drugiego wziął z sobą na górę. Stał przed drzwiami pokoju Angie. Zagryzł wargi i zawahał się.

Wejdz. Jesteś sam. Kto się dowie? Do cholery, przecież to twój dom. Cały.

Delikatnie otworzył drzwi i przekroczył próg. Dręczyło go poczucie winy, ale nie zwracał na to uwagi. Dena pojechała do miasta odwiedzić Chase'a i załatwić parę spraw. Wróci dopiero za kilka godzin. Jego żona nigdy się nie dowie.

Przez te siedemnaście lat pokój się nie zmienił. Rex na to nie pozwolił. Dena nalegała, żeby zrobić z niego uroczy pokój gościnny, ale Rex się nie zgodził. To był pokój Angie i zawsze będzie do niej należał. Wpatrywał się tęsknie w portret Lucretii i ich maleńkiej córeczki. Odstawił szklankę na nocny stolik i wyciągnął się na łóżku Angie, które cały czas nią pachniało. Rex płacił służącej za to, żeby spryskiwała pokój Gubionymi perfumami Angie, które kupował w tajemnicy.

Do oczu napłynęły mu łzy. Boże, tęsknił za nimi obiema. Ścisnął dłońmi pościel. W jego umyśle pojawiły się obrazy córki i żony. Czasami obraz ten zamazywał się - ich niebieskie oczy, ciemne błyszczące włosy, pełne usta były prawie identyczne. Kiedy myślał o Lucretii, zawsze się podniecał. Dotknął się, wyobrażając sobie, że to ona go dotyka, delikatnie i czule. Widział jej wilgotne usta i piersi. Przez chwilę walczył z tym obrazem, ale się poddał. W jego wyobraźni ona zawsze była zmysłowa i uwodzicielska. Z zachowania bardziej przypominała ich córkę.

Stworzył sobie własną historię, w której Lucretia go pragnęła, niecierpliwie chciała się z nim kochać, była wilgotna, ciepła i gotowa, wiała się pod nim i rzucała.

Poruszył odruchowo biodrami. Jego skóra była lepka od potu.

- Rex? - Głos, słodki kobiecy głos, dobry i miły. Głos Lucretii...

- Rex?

Znowu go woła. Otworzył oczy i dotarło do niego, gdzie jest. Leży sam. Na łóżku Angie. Jest lekko pijany i wyobraża sobie żonę. Kobieta, która nie żyje od wielu lat. Wstał z łóżka i uderzył kolaniem w nocny stolik. Rozległ się brzęk. Szklanka spadła na podłogę. Markowa whisky z Kentucky rozbryznięta się na ścianę, łóżko i stolik.

Próbował wstać z klęczek. Zastanawiał się, jak się z tego wytłumaczy. Wtedy ją zobaczył.

- O Boże - wyszeptał, podnosząc głowę. Do jego domu, do jego prywatnego życia jakimś cudem wtargnęła Sunny. Stała w drzwiach. Była okrągłejsza niż kiedyś, na jej twarzy pojawiły się zmarszczki, włosy jej posiwiały, ale nadal miała niezniszczalną zdolność zagładania w najgłębsze zakamarki jego duszy. - Co ty tu robisz? - Cały czas klęczał.

- Przyszłam się z tobą zobaczyć.

- Po co?

Stała dumnie w drzwiach.

- Powiedziałaś Cassidy o Buddym. Kim jest i że jest z nią spokrewniony.

- O Boże, Sunny, dlaczego? - niemal jęknął, przerażony. Przejechał rękami po podłodze. Szkło wbiło mu się w rękę. - Zwariowałaś?

Patrzyła mu odważnie w oczy.

- Ty najlepiej ze wszystkich wiesz, że jestem zdrowa.

- Ale obiecałaś...

- Cassidy i tak domyślała się prawdy, z tego co ty jej powiedziałaś. Na pewno powie Chase'owi. - Odetchnęła powoli. - Ona szuka, Rex, chce uporządkować swoje życie, swoje małżeństwo, chce znaleźć rozwiązanie zagadki pożarów. To był najwyższy czas.

- A Dena? - Jego kłamstwa zaczynały kolejno wychodzić na jaw. Krew kapała na podłogę, mieszając się z whisky i kłębami kurzu, który zebrał się pod łóżkiem.

- Dena o nas wie.

- Ale nie wie, że Willie to Buddy.

- Wszystko będzie dobrze, Rex. - Sunny rzuciła laskę na podłogę, weszła wyprostowana do pokoju i pozbierała rzeczy z nocnego stolika do pudełka. Ujęła jego dłoń w swoje, oczyściła ranę i powyciągała kawałki szkła z jego ręki. - Chyba zbyt długo żyliśmy w kłamstwie. - Powoli podniosła jego rękę do swoich ust i złożyła pocałunek na jego dłoni, smakując krew. Pocałunek dawnej namiętności, nowego zaufania i pewności. - Nie bój się, Rex - powiedziała kojącym głosem. Spojrzała na zmiętą pościel i ból przesłonił jej oczy. - Wszystko będzie dobrze. Tylko musisz mi pomóc...

- Mówię tylko, że to nie wypada. - Felicity zapięła na rękę złotą bransoletkę i przejrzała się w lusterku. Pod oczami pojawiły się pierwsze zmarszczki i musiała co tydzień farbować włosy. Jeżeli kurze łapki staną się bardziej widoczne, będzie musiała zrobić sobie operację plastyczną. Ciężko pracowała, żeby utrzymać zgrabną figurę, doskonałą twarz, chociaż wiedziała, że to bezcelowa walka. Jej mąż, pachnący brandy, opierający się zuchwale o futrynę i tak jej nie zauważał.

- Nie obchodzi mnie, co wypada - warknął Derrick. - Zawsze nie cierpiałem Chase'a McKenziego, więc dlaczego teraz miałbym udawać? - Zanurzył rękę w kieszeni i wyjął paczkę marlboro. Zapalił papierosa. Dym unosił się leniwie przed jego oczami.

- Jest twoim szwagrem.

- Moim przyrodnim szwagrem, czy jakimś tam przyszywanym. Ta rodzina jest tak pochrzaniona, że nie mogę się połączyć.

- Uważaj na słowa. Linnie stoi na korytarzu.

- Kiedyś ci się podobały moje brudne gadki.

- W łóżku. Kiedy szeptałaś, a nie wrzeszczałaś jak pijany marynarz.

- Znałaś mnie, kiedy za mnie wychodziłaś. Źle powiedziane. - Wziął szklankę z alkoholem do tej samej ręki, w której trzymał papierosa. - Kiedy mnie zmusiłaś, żebym się z tobą ożenił.

- Ja nie...

- Oczywiście, że tak. Nie musiałaś zająć w ciążę. Pamiętasz? Wcześniej też ci się zdarzyło i się tym zajęliśmy. A potem pobiegłaś do tatusia.

- Chciałam dziecka. - Wyprostowała się z dumą.

- Chciałaś zostać żoną Derricka Buchanana.

- I udało się, prawda? Oboje kochamy dziewczynki.

Nie odpowiedział. Felicity poczuła głuchy ból, jak zawsze, kiedy chodziło o córki. Kochała je rozpaczliwie i

szaleńczo. Były piękne, mądre, wesołe i na tyle domyślne, żeby wiedzieć, że ojciec ich nie kocha, Stłumiła ból. Angela była opryskliwa dla Derricka. Nie miała dla niego szacunku, była nieposłuszna i jawnie się buntowała. Zupełnie jak jej ciotka, kiedy miała szesnaście lat. Ale Belinda, słodka Linnie, nadal ubóstwiała Derricka i wierzyła, że on ją kocha. Na podstawie kłamstw Felicity, stworzyła sobie obraz kochającej się rodziny i nie mogła zrozumieć zgryźliwości Angeli. Linnie miała dobre, wrażliwe serce. Które Derrick na pewno kiedyś złamie.

- Powinieneś... okazywać dziewczynom więcej zainteresowania.

- Zainteresowania?

- No wiesz, zabierać je do kina, bawić się z nimi. Spędzać z nimi trochę czasu, rozmawiać, interesować się nimi. Zadrżały mu nozdrza.

- Nie. Nie mam zamiaru. Wiem, jakiego rodzaju zainteresowaniem mój ojciec darzył moją siostrę. Robiło mi się niedobrze. - Wypuścił kłęb dymu w stronę wanny.

- To, że twój ojciec był...

- Jest, Felicity, on jest pieprzony. Zboczeniec. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią Angie i wiesz, dlaczego.

- Nie chcę tego słuchać.

- Cholera! - Zaciągnął się papierosem i potrząsnął głową w chmurze dymu. - Muszę się napić.

- Już masz dosyć.

- Nie jesteś moją matką... - Zbladł, gdy wypowiedział te słowa. Rzadko wspominał matkę, a Felicity w ogóle nie pozwalała wymawiać imienia Lucretii.

Felicity sięgnęła po wełniany złotokremowy sweter, który leżał na brzegu łóżka.

- Jesteś pijany i nie możesz prowadzić, a za dziesięć minut mamy być u Alonzów.

- Gównu mnie to obchodzi. Wystarczy, że mieszkamy razem i pracujemy razem. Chyba nie musimy jeszcze razem łązić na jakieś nudne spotkania. Nie mogę zrozumieć, po co mnie ciągasz na te beznadziejne imprezy.

- Bo tak trzeba. - Była zmęczona brakiem ambicji męża. Ona i Derrick pochodzili z dobrych rodzin, ale ona miała wrodzony instynkt współzawodnictwa. Jeśli czegoś pragnęła, myślała tylko o tym i zmierzała prosto do celu. Była jedynym dzieckiem sędziego Caldwell'a i miała wszystko, czego chciała. Z wyjątkiem Derricka. Musiała się nieźle napracować, żeby go zdobyć. Raz zaszła w ciążę, ale się uparł, żeby ją przerwał. Zgodziła się, żeby go nie denerwować. Myślała, że bardziej ją pokocha. Poddała się zabiegowi, a potem tego żałowała, bo zaczął nią pomiatać. Jednak nie zerwała z nim. Jeszcze raz zaszła w ciążę, i o to jej właśnie chodziło.

Szkoda, że Angie nie mogła zobaczyć, że udało jej się złapać Derricka. Teraz dalej robiła wszystko, co trzeba. Pracowała nawet kilka dni w tygodniu w biurze, żeby mieć oko na męża i Chase'a. Boże, ależ on był sprytny. Dbała też o to, żeby Derrick obracał się we właściwych kręgach społecznych i w odpowiednim towarzystwie w Prosperity i Portland. Znajomości ojca mogły jej pomóc.

- Bobby Alonzo to dupek. - Derrick wrzucił papierosa do pustej szklanki. Pet zasyczał i zgasł.

- Ale jest bankierem. Jego ojciec jest właścicielem kilku niezależnych banków w okolicy.

- Był też najlepszym przyjacielem Jeda Bakera. - Derrick postawił szklankę na biurku.

- Jed nie żyje.

- Tak, ale powiedz to Bobby'emu. Cały czas mówi o nim jakby był bogiem, dlatego, że zginął pieprząc Angie. Boże, muszę się napić.

Felicity straciła cierpliwość.

- Skąd wiesz, co oni robili. Rozmawialiśmy o tym z tysiąc razy. Co w ciebie wstąpiło?

- Wszystko. Cholera, Chase jutro wychodzi do domu i pewnie będzie chciał znowu zarządzać firmą.

- To go powstrzymaj.

- Nie mogę, bo kiedy się za coś zabiera, jest jak lawina.

- To go wykup. - Spróbowała innego argumentu. Była zmęczona nieporadnością Derricka.

- Nie sprzedaj udziałów. Przynajmniej nie mnie. - Podrapał się w brodę i krzywiąc się, sięgnął po marynarkę. - Wiesz, że nie znaleźli jego matki? Wyszła ze szpitala tego dnia, kiedy umarł facet z intensywnej terapii i od tamtej pory nikt jej nie widział. Dziwne, co?

- Nic nowego. Sunny McKenzie zawsze była dziwna. Chodź, bo się późnimo.

Derrick prychnął z niechęcią, ale wyszedł za nią z sypialni, którą rzadko dzielili. Felicity wiedziała, że jej zwycięstwo jest pozorne. Derrick wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. Pił coraz więcej. Podejrzewała, że znowu ją zdradza. Gdyby tylko mogła cofnąć czas...

Ale nie mogła. I musiała myśleć o dziewczynkach. I, do cholery, kochała Derricka Buchanana. Kochała być jego żoną. Ale byłoby nieźle, gdyby kiedyś jej się odważemnił.

Cassidy zapomniała, jak uparty potrafi być Chase. Jaki bywa zawzięty, gdy w grę wchodzi jego honor. Otworzył drzwi jeep'a, postawił kule na ziemi i stanął na nogach. Pocił się, jego blada twarz wykrzywiła się z wysiłku, ale nie chciał chwycić jej za rękę. Nie chciał też, żeby wywieziono go ze szpitala na wózku. W samochodzie nie odezwał się do niej ani słowem.

Rozumiała go. Nie lubił być od nikogo zależny. Ciągłe był zły, że postąpiła wbrew jego woli i przywiozła matkę do szpitala. Musiał oswoić się z myślą, że do końca życia może być kaleką. Otarł się o śmierć. I znał tajemnicę. On jeden miał pewność, że jego brat nie żyje.

Jednak była zmęczona jego zachowaniem. Sprawiał jej ból. Starła się być rozsądna i wyrozumiała, ale powoli jej cierpliwość się wyczerpywała.

- Otworzę drzwi - powiedziała. Stał na zdrowej nodze i patrzył na dom.

Nie odpowiedział. Minęła go, przypomniawszy sobie, że ma kłopoty z mówieniem. Jeszcze przez miesiąc będzie miał druty w szczęce, a nogę w gipsie pewnie dłużej.

Otworzyła drzwi i czekała w środku. Przeszedł obok niej i skierował się do swojego gabinetu.

- Przyniosę twoją torbę.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Policzyła w myśli do dziesięciu, a potem poszła z powrotem do samochodu. Cały czas przypominała sobie, że Chase mówi z trudem i że jego szczeka nie wydobrzała jeszcze po operacji. Twarz miał nadal spuchniętą i czerwoną, a jedno oko zasłonięte bandażem. Na szczęście rogówka była prawie nie uszkodzona i wkrótce będzie widział i na drugie oko.

Wzięła małą plastikową torbę z tylnego siedzenia, wniosła ją do domu i zostawiła w pokoju przy korytarzu. Weszła do gabinetu i zobaczyła, że usiłuje się z kimś połączyć.

- Co robisz?

Nie odpowiedział.

- Chase...

- Daj mi spokój - powiedział w końcu chrapliwym, stłumionym głosem. Spojrzał na nią jednym okiem z taką nienawiścią, że omal nie cofnęła się o krok. Odwrócił się do niej tyłem. - Tak, chciałbym zamówić taksówkę.

- Na miłość boską, Chase, nie... - przeszła szybko przez pokój.

- Mieszkam za miastem, około czterdzieści kilometrów... - Nie zastanawiając się wcisnęła guzik i rozłączyła go.

- Do cholery, co robisz, Cassidy?

- Nigdzie nie pojedziesz. Nie dzisiaj.

- Nie mogę tutaj zostać.

- Dlaczego? Myślałam, że nie możesz się doczekać, żeby wyjść ze szpitala.

Odłożył słuchawkę i pokuśtykał do barku.

- Wiesz, dlaczego.

- Bo mieliśmy się rozstać?

- Właśnie. - Sięgnął po butelkę whisky i zaczął szukać w szafce kieliszka.

- Nie powinieneś pić. Bierzesz środki przeciwbólowe...

- Nie jesteś moją matką. - Nie zwrócił na nią uwagi. Wyprostowała się. - I nie jesteś moim dyrektorem...

- Chase, proszę...

- ...i kiedy ostatnio na ciebie patrzyłem, nie byłeś też Jezusem Chrystusem, więc chyba nie masz prawa mówić mi, co mam robić.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Więc zostaw mnie w spokoju. O ile dobrze pamiętam, tego właśnie chciałaś.

- Jesteś chory...

- Od tej twojej troski zaczyna mnie już mdlić. Wszyscy wiedzą, że to maskarada, więc może dałabyś sobie spokój? - Stał podparty o ścianę. Nalał sobie whisky, rozlewając trochę na barek. Podniósł szklankę i dostrzegł jej spojrzenie w lustrze nad umywalką. - Zdrówko - zakpił i wypił.

- Co masz zamiar zrobić? Zapić się na śmierć?

- Jeszcze nie wiem.

Podeszła krok bliżej.

- Dlaczego tak się do mnie odnosisz?

Cały był spięty. Odstawił szklankę tak zamasyście, że barek się zatrzęsł.

- A jak myślisz?

- Chodzi o rozwód?

Wpatrywał się w nią z takim uporem, że przestała oddychać.

- Bingo.

- Chase, może byśmy o tym porozmawiali...

- Już rozmawialiśmy. Chcesz odejść. Więc idź. Drzwi otwarte. Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. - Odwrócił się i znowu nalał sobie whisky. Z karku wystawały mu szwy. Trzęsła mu się ręka, w której trzymał szklankę.

- Myślę, że najlepiej byłoby, gdybyś tu została i pomogła ci stanąć na nogi. Miałabym pewność, że wszystko jest w porządku.

- Żebyś wypełniła małżeński obowiązek i miała czyste sumienie? Zapomnij. - Podniósł szklankę jak król wyciągający miecz podczas ceremonii pasowania najlepszego rycerza. - Zwalniam cię. Nie jesteś mi nic winna.

- Chcesz, żebym odeszła?

- Nie, Cassidy. Tak naprawdę, to nie obchodzi mnie, co zrobisz. - Zachwiał się lekko, więc zrobiła krok w jego stronę i wyciągnęła rękę, ale on odskoczył od niej tak szybko, że się potknął i wylądował na ścianie.

- Nie dotykaj mnie, Cassidy. - Jego głos był o oktawę niższy. - Nie wyświadcza mi żadnych przysług, nie próbuj skakać nade mną jak kochająca, oddana żona i, na miłość boską, nie dotykaj mnie.

Kule z trzaskiem uderzyły o podłogę. Cassidy podskoczyła. Chase chwycił się oparcia kanapy. Zgięty w pół, wspierając się na zdrowym ramieniu, powoli przysunął się do Cassidy. Stał tak blisko, że czuła jego oddech pachnący alkoholem. Wbił w nią wzrok, aż zaschło jej w gardle. Może jej się tylko wydawało, ale miała wrażenie, że w jego oczach widzi płomień namiętności, dawnego ognia, który był między nimi.

- Ustalmy jedną rzecz, żono - powiedział chrapliwym, niskim szeptem. - Pożar niczego nie zmienił. Nie kochasz mnie, a ja nie kocham ciebie, więc będziemy tkwili w tym zakłamanym małżeństwie, dopóki nie stanę na nogi. Potem sprzedam moją część udziałów za cenę, jaką podyktuję. I wtedy rozejdziemy się na zawsze. Jasne?

Odsunął się od niej, podniósł kule, włożył w nie ręce i wałnął nimi ze złością o podłogę. Cassidy zacisnęła pięści. Jej serce wypełniły złość i rozpacz, ale wiedziała, że Chase ma rację. Już postanowili, że się rozwiodą. Pożar skomplikował im życie i nieco opóźni rozwód. Była jednak zaskoczona tym, że mąż chce sprzedać swoją część udziałów. Przez lata praca była dla niego wszystkim. Interesowały go jedynie budynki, własności i aktywa spółki Buchanana.

- Słuchaj, Chase. Powinieneś o czymś wiedzieć... Pewnie powinnam ci była powiedzieć o tym w szpitalu, ale nie chciałam cię denerwować.

Zobaczyła, że pod koszulą rękawa napięły mu się mięśnie. Nie odwrócił się do niej.

- Masz kochanka. - W jego głosie słychać było ton porażki.

- Kochanka? - Gdyby sytuacja nie była tak tragiczna, roześmiałyby się w głos. Z wysiłkiem rozluźniła dłonie i złożyła ręce. - Nigdy nie miałam nikogo poza tobą.

- Kłamiesz.

- Od kiedy się pobraliśmy, nie. - Nie dawała za wygraną. Przechodzili już przez to tysiące razy. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale w tej chwili to naprawdę nie ma znaczenia. Chyba powinieneś wiedzieć, że twoja matka opowiedziała mi o Buddym.

- O Buddym?

- Tak, o twoim bracie. Przyrodnim bracie. Po części twoim, po części moim.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Odwrócił się o kulach. Wyszły mu żyły na szyi. Wpatrywał się w nią z taką wrogością, że się cofnęła.

- Buddy - Willie jest synem mojego ojca. Tata i Sunny przez lata mieli romans.

- Kłamiesz!

- Sunny powiedziała, że ty o tym wiesz, bo kiedyś przyłapałeś ich razem.

- Nie... nie pamiętam. Nie mogę w to uwierzyć...

- Buddy żyje, Chase. To dlatego twój ojciec wyjechał z miasta. Nie dlatego, że Brig nie był jego synem. Zesztywniał.

- Znam plotki, słyszałam, co się mówiło przez lata w mieście.

- Było minęło - warknął. Zacisnął palce na kulach. - Jezu, nie mogę Mierzyć w to, co mówisz. Do cholery, insynuujesz kazirodztwo.

- Spytaj Sunny. Spytaj Reksa. To prawda, Chase. Po co miałabym kłamać?

- Bóg jeden wie. - W jego głosie nie było słychać nawet odrobiny żalu.

- Jesteś niemożliwy.

- Staram się, jak mogę.

- Buddy jest twoim bratem!

- I twoim.

- Tak.

Mimo drutów w szczęce, zacisnął zęby. Świdrował ją na wylot pełnym nienawiści okiem. Powietrze świsnęło mu między zębami.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

Rozłożyła ręce.

- A po co miałabym to wymyślać?

- Nie wiem. - Na jego twarzy malowały się emocje, których nie potrafiła nazwać. Zamknął na chwilę oko i nagle wydał jej się niebezpieczny i obcy.

- To prawda, Chase. Naprawdę ci się wydaje, że to bez sensu? Przecież sam mi powiedziałeś, że Buddy prawdopodobnie żyje w jakimś zakładzie. Zawsze się zastanawiałeś, co się z nim dzieje. A tacie tak zależało, żeby u nas pracował...

- Gdzie on jest? - spytał po cichu. Zmrużył podejrzliwie oko. - Gdzie?

- Był w więzieniu, ale właśnie wyszedł.

- W więzieniu? Dlaczego?

- Z powodu pożaru. To on znalazł portfel w pogorzeliisku w tartaku.

Chase nie dowierzał.

- To Willie, Chase. Willie Ventura to Buddy. Jest twoim bratem, jest moim bratem i...

- Dość tego! - zagrział. - Jaki portfel?

- Portfel, który zdaniem wszystkich, również policji, należał do człowieka, z którym spotkałeś się tamtej nocy. Nikt nie wie, jakim cudem znalazł się u Williego. Jest teraz w domu z mamą i tatą. Mama dzwoniła. Jest tym wszystkim mocno wstrząśnięta. Wszystkim.

- Jezu.

- Zastępca szeryfa chce z tobą rozmawiać. Chyba niedługo się tu zjawi. Już przesłuchał Williego i nie wiem, czego się dowiedział. Nawet nie wiem, czy Willie był w tartaku tamtej nocy. Ale Wilson się dowie. Poskłada wszystko do kupy i będzie chciał usłyszeć od ciebie prawdę.

Chase patrzył na nią długo i przenikliwie. Chociaż jego twarz nabrała innego, niemal groteskowego wyrazu, jego spojrzenie było pewne siebie i pobudzało tę sferę kobiecości, o której już dawno zapomniała. Prawie nie mogła oddychać.

- Oczywiście, że usłyszysz prawdę. Niby dlaczego miałbym go okłamywać?

Dena przyglądała się mężowi i Williemu, którzy wysiadali z samochodu Reksa. Coś było nie tak. Domyśliła się tego, widząc, że Rex obrzucił dom nerwowym spojrzeniem, prowadząc Williego między klombami pełnymi białych i czerwonych begonii.

Dena wzięła papierosa i starała się nie skrzywić, kiedy za Reksem wszedł do środka Willie. Miał spuszczoną głowę jak zbity szczeniak, koszulę i spodnie oblepione słomą i Bóg wie czym jeszcze.

Jej wzrok padł na szary wór, który Willie trzymał w dużej ręce.

- Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas, żeby Willie wprowadził się do domu - oznajmił Rex.

Tylko dobre maniery powstrzymały ją, żeby nie powiedzieć, co myśli. Pstryknęła zapalniczką i zapaliła papierosa.

- Mam dużo pokoi i... wiesz, Dena, w końcu powiedziałem Williemu prawdę, że nazywa się Buddy McKenzie i że jestem jego ojcem.

- Jego kim? - Połknęła chmurę dymu i oczy zaszyły jej łzami. Na pewno się przestyszała.

- Willie jest moim synem.

- O mój Boże. - Wpatrywała się w upośledzonego chłopaka. - Ale jak... dlaczego? - Chyba śni. Na pewno coś jest nie tak...

- Pamiętasz ten wypadek, kiedy Buddy McKenzie prawie się utopił? Pracowałeś u mnie. Lucretia jeszcze żyła i...

- Ty... i Sunny mieliście dziecko? - przerwała mu, próbując poskładać w całość strzępy, informacji. - Buddy jest...

- załamał jej się głos. Miała wrażenie, że zemdleje, ale oparła się o kredens. - Słuchaj, Rex, wiem, że to może okrutne, ale nie sądzę... żeby on mógł tutaj zamieszkać, jakby... jakby... To wykluczone. Ludzie będą gadać. Boże, jak ty to sobie wyobrażasz?

Rex miał surowy wyraz twarzy.

- Zaprowadzę Williego do jego pokoju, a potem porozmawiamy.

Willie miał wypieki, gapił się w podłogę i przestępował z nogi na nogę.

- Ja nie chcę sprawiać kłopotów, pani Buchanan. Naprawdę nie chcę. Może powinienem zostać nad stodołą...

- Bzdura. - Rex klepnął go w plecy. - Dawny pokój Derricka od lat stoi pusty.

Willie wykrzywił się i pokręcił głową.

- Derrick. Jemu by się to nie spodobало.

- Jakoś to przeżyje. - Rex uśmiechnął się do syna. Skierowali się w stronę tylnych schodów.

Dena paliła nerwowo. Już widziała wszystko oczami wyobraźni. Słyszała, jak ludzie plotkują w mieście, zaczynając cichym szeptem, który przechodzi w szemranie. Wszyscy będą na nią patrzeć, ludzie z grzeczności będą zasłaniać uśmieški, a z ich oczu będzie biła złośliwa radość, że Buchananowie w końcu dostali za swoje. Następny skandal. Kolejny ból.

Dena wiedziała, że Rex miał romans z Sunny McKenzie. Że związek ten zaczął się za życia Lucretii i ciągnął się jeszcze długo po jej śmierci. Nie była jednak w stanie zrozumieć jego fascynacji półkwi Indianką, w dodatku wróżbitką. Miała nadzieję, że kiedy się pobiorą, Rex porzuci kochankę. Wierzyła, że Rex dopuścił się niewierności tylko dlatego, że jego pierwsza żona była oziębłą suką, która nie była w stanie go zaspokoić. Ale po ślubie Rex jeszcze długo spotykał się z Sunny, aż w końcu Chase, w przypływie zdrowego rozsądku, oddał ją do zakładu. Tej wariatce udało się zniewolić Reksa. Pewnie posłużyła się czarną magią albo rytuałami voodoo. Potworność.

Jednak Denie nie przyszło do głowy, że Rex ma z tą kobietą syna, mimo że kiedy urodził się Brig i odszedł od niej Frank, w mieście krążyło wiele plotek. Dena ich nie słuchała. Nie było wątpliwości, że Brig jest potomkiem McKenziech. Był bardzo podobny do ojca i starszego brata... ale teraz... W końcu zrozumiała. Przez lata błagała Reksa, żeby pozbył się Williego, ale nie chciał o tym słyszeć. Dena tłumaczyła to wtedy filantropijnymi zapędami

męża, a jednak chodziło o coś więcej. Zemdliło ją, gdy usłyszała kroki w pokoju na górze. Willie się wprowadza. Będzie z nimi mieszkał, jadł przy stole w jadalni, spał na górze i płatał się po domu. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Ten chłopak jest nienormalny. Wszyscy o tym wiedzą.

Wszyscy z wyjątkiem Rekxa.

W mieście zaraz zaczną huczeć. Jakby tego było mało, Chase ma coś wspólnego z facetem, który zginął w pożarze. Na dodatek Derrick jest alkoholikiem, a Felicity jężdzą. A żeby było jeszcze lepiej. Sunny McKenzie zaginęła. Dena zaciągnęła się papierosem. Próbowała się uspokoić. Wypuściła chmurę dymu.

Poradzi sobie. Poradzi. Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer córki.

Cassidy znalazła Williego w stajni. Ciężko pracował. Pot zmoczył rękawy i mankiety jego koszuli. Uśmiechnął się do niej blado. Weszła do środka.

- Cześć, Willie.

- Dawno cię tu nie było.

- Bardzo dawno - przyznała, przyglądając się koniom, które zanurzały aksamitne nozdrza w sianie. Rzenie koni, unoszący się kurz i znajomy zapach końskiej skóry, gnoju, potu i suchego siana przywiodły na pamięć wspomnienia z młodości.

- Dena po ciebie zadzwoniła?

- Tak.

- Nie podoba jej się, że mieszkam w domu Derricka.

- To nie jest dom Derricka.

- Jego pokój. - Willie wzdrygnął się i wziął się z powrotem za przerzucanie siana.

Zbliżyła się i dotknęła czarnego końskiego nosa. Koń parsknął i zarzucił łbem. Jego ciemne oczy błysnęły niczym ognie.

- Powinienem zostać tu, z końmi.

- Bardziej ci się podobało?

Pokiwał głową i popatrzył na nią o sekundę dłużej niż wypadało, po czym wrócił do pracy. Pamiętała, że często się gapił. Na nią. Na Angie.

- Jestem pewna, że tata zastanowi się nad tym. On po prostu chce, żebyś był szczęśliwy. - A Denie by ulżyło. Cassidy mało uszy nie pękły, kiedy matka zadzwoniła do niej rozhisteryzowana, bo okazało się, że Willie będzie z nimi mieszkał.

- Derrickowi się nie spodoba, że mieszkam w jego pokoju. Uhu. - Zagryzł wargę.

- Derrick się wyprowadził dawno temu. Mieszka z Felicity i córkami po drugiej stronie posiadłości. Nic ci nie zrobi.

Willie nie był przekonany. Cassidy oparła się o belkę wspornikową.

- Znalazłeś portfel w popiołach w tartaku.

Willie jeszcze mocniej zagryzł wargę i nadział na widły porcję siana.

- Czyj to był portfel?

- Ja go nie ukradłem.

- Wiem, ale do kogoś przecież należał.

Willie popatrzył na podłogę. Jego oczy były niespokojne. Błądził wzrokiem po zakurzonej posadzce, jakby śledził biegające szczury.

- Czyj to był portfel?

- Mężczyzny.

- Jakiego mężczyzny?

- Mówią na niego nieznajomy.

- Tego, który umarł w pożarze?

Willie pokiwał głową, odwrócił się od Cassidy i odwiesił widły na ścianę, obok łopaty. Konie kręciły się i żuły siano, szczerzyły zęby i głośno parskaly. W stajni było gorąco. Przy oknach latały muchy. Pod krokwiami, przy swoich delikatnych gniazdach uwijały się osy.

Serce Cassidy biło mocno, była pewna, że Willie je słyszy. Obiema rękami przeczesala włosy, oparła się o ścianę i zamrugala oczami.

- Wiesz, kim był ten mężczyzna, prawda? - spytała szeptem.

Willie potrząsnął przecząco głową tak gwałtownie, że ślina kapnęła mu z ust.

- Wiesz.

- Nie!

Podeszła do niego powoli.

- Willie?

Poruszał szczęką. Wytrzeszczył oczy.

- To nie był nikt stąd i to nie był Brig. Przysięgam na Boga, Cassidy, to nie był Brig.

Rozpacz zacisnęła jej na sercu zimne macki.

- Nie pytałam cię, czy to był Brig. - Wszystko jej się trzęsło w środku. Willie wybiegł ze stajni. Słońce mocno prażyło. Od ziemi bił skwar, którego nie łagodził nawet najmniejszy powiew wiatru.

Willie wybiegł przez furtkę na zakole strumyka Lost Dog, ku wierzbom, gdzie bawiła się jako dziecko, gdzie przyłapała Derricka z czarnowłosą dziewczyną, gdzie wśród kołyszących się gałęzi znalazł ją Brig.

Usiadł na płaskim kamieniu i wpatrywał się w cienki strumień wody, który spływał w suchym jak pieprz wąwozie. Poczul, że Cassidy stoi za nim, ale nie odwrócił się.

- To się stało tutaj. Przy tym strumieniu. - Powiedział nagle zdławionym głosem. - To dlatego ogłupiałem.

- Nie jesteś...

- Jestem! Wiem, co o mnie mówią. Głupi jak but... półgłówek... porąbany jak kilo gwoździ bez łebka... stuknięty sukinsyn... idiota. Wiem, Cassidy.

Poczula głęboko w sercu ból. Dotknęła jego ramienia, ale strząsnął jej rękę.

- Wiesz, że jestem twoją siostrą?

- Nie rozumiem.

- Mamy tego samego ojca.

- Jestem za głupi, żeby to zrozumieć.

- To... tak jak z końmi, Willie. Wiesz, że jeden ogier może być z różnymi klaczami i...

- Ludzie to nie konie, Cassidy! Aż tak głupi nie jestem!

- Nieważne. Nie wierz we wszystko, co mówią ludzie. To oni są głupi.

Przyklękła przy nim. Pociągnął głośno nosem. Miał czerwone oczy i cały czas mrugał, ale nie płakał. Już dawno temu nauczył się skrywać emocje.

- Opowiedz mi o Brigu. Dlaczego był tam z Chase'em?

Willie potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Ale go widziałeś?

- Ja... byłem w szopie. - Z trudem przełknął ślinę. - Widziałem Chase'a i jakiegoś mężczyznę.

- Briga?

Potańczał mocno nos, jakby ten ruch pomagał mu się skoncentrować. Pisnął.

- Było ciemno.

- Ale go widziałeś.

Willie przestał się ruszać i myślał.

- Co tam robiłeś?

- Patrzyłem.

- Na co?

- Nie wiem. - Odwrócił się do niej twarzą. - Zawsze patrzę. Patrzę na ciebie. Na Chase'a. Patrzyłem na Angie. - Wstał, oparł się o pień drzewa i wskazał ręką w górę na najniższe gałęzie starego konaru. - Widzisz? To też widziałem.

- Co? - Zmrużyła oczy w słońcu. Gałęzie kołysały się na wietrze. Cienie igrały na ziemi. Oczy Cassidy powoli oswoiły się ze światłem. Zobaczyła serce wyryte na pniu drzewa. W sercu wyłobione było imię Angie. Cassidy przypomniała sobie, że pod tym drzewem rozmawiała z Brigiem, a on bawił się kozikiem. Z kołaczącym sercem zastanawiała się, czy to on wyrył imię jej siostry na pniu.

- Nie wiedziałaś, że to tutaj jest, co?

- Nie. Nigdy tego nie zauważyłam.

- Bo nie patrzyłaś.

- Co jeszcze widziałeś, Willie?

Patrzył na nią nieruchomymi, błękitnymi oczami.

Uśmiechnął się. Cassidy poczuła, że zerwał się wiatr.

- Wszystko.

Odwrócił się i ruszył w kierunku stajni.

- Wszystko widziałem.

Przez resztę popołudnia Cassidy pracowała nad artykułem. Pół tego czasu zajęło jej spławianie Billa Laszlo, który kilka razy dzwonił do niej do domu i dwa razy przygwoździł ją w redakcji. Teraz znowu ją dręczył.

- Bez komentarza mi nie wystarczy - ostrzegł.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Mimo że nasz nieznajomy przyjaciel umarł? - Przysiadł na brzegu jej biurka.

- Przykro mi, że nie żyje.

- Twój mąż nic nie powiedział.

- Prawie nie może mówić. Ma szczękę w drutach.

- Trochę to niewygodne?

- Powiedziałałabym, że bolesne.

- Co możesz powiedzieć o tym, że Sunny McKenzie zwała z kliniki Northwest?

- Była tam ze mną i bardzo się o nią martwię. Jeżeli ktoś ją zobaczy, powinien się ze mną skontaktować. Chyba tak napiszesz w swoim artykule, prawda? Gdzie należy zadzwonić, jakby się znalazła.

Cmoknął i spojrzął w sufit.

- Cassidy, olewasz mnie.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Podrapał się w ramię i zmarszczył czoło.

- Byłem wobec ciebie nadto cierpliwy. Bo tak naprawdę jedziemy na tym samym wózku.

- Na tym samym wózku? Zachowaj sobie tę gadkę dla kogoś, kto jeszcze jej nie słyszał.

- Daj jej spokój, Laszlo - pośpieszyła z pomocą Selma, zanurzając rękę w torebce i wyjmując paczkę papierosów virginia slims. - Wiesz, że byłeś o wiele miłszy, kiedy paliłeś? Wyjdiesz ze mną i z resztą brygady na dwór?

- Zabijasz się.

- Kiedyś przestanę. I może zacznę też biegać i mówić wszystkim, co powinni zrobić ze swoim życiem.

- Może ja z tobą pójdę - rzuciła Cassidy.

- Przecież ty nie palisz! - przeraził się Bill.

- Jeszcze nie, ale może będę musiała zacząć, żebyś się ode mnie odczepił.

- Odczepił? - Jego twarz nabrała złośliwego wyrazu. - Przecież wiesz, że to taka robota.

Selma położyła sobie rękę na biodrze. Zwiewny materiał jej spódnicy zadarł się przed kolana.

- Słuchajcie, muszę zapalić. Będziemy tu stać i się klócić, czy wyjdziemy na dwór i się trochę pośmiejemy?

Cassidy dobrze by zrobiło trochę śmiechu. A nawet bardzo dużo śmiechu. Od czasu pożaru żyła w ciągłym napięciu. Miała tak zszarpane nerwy, że nie mogła spać w nocy. Chwyliła torebkę, zostawiła włączony komputer i Billa mruczącego coś pod nosem i wyszła za Selma. Zatrzymały się przy automacie z napojami, wzięły dwie puszki coli i poszły dalej.

Na dworze prażyło słońce. Kilku innych pracowników też zrobiło sobie przerwę.

- Tłum uzależnionych od coca-coli i papierosów - podsumowała Selma i poczęstowała Cassidy papierosem.

Cassidy pokręciła głową i pociągnęła łyk coli.

- Nie czas wpadać w nowy nałóg.

- Myślałam, że ty nie masz żadnych. - Selma zapaliła zapalną i przytknęła ją do papierosa.

- Mam, tylko się kryję..

- Nie mów Billowi. Napisze o wszystkim w następnym wydaniu.

- I trzaśnie mi kazanie.

- Amen. - Selma się roześmiała. Podeszli do nich inni pracownicy i rozmowa zesłała na temat najbliższych wyborów, koszykówki, problemów małżeńskich i uciech życia w stanie wolnym. Oczywiście nie dało się uniknąć spekulacji na temat pożaru. Wrócili do pracy. Bill zarzucił swoje dochodzenie i Cassidy mogła w spokoju dokończyć dwa artykuły - jeden o nowych funduszach dla szkół, a drugi o jednym z kandydatów na gubernatora.

Szybko wyszła z redakcji, zadowolona, że wieczór spędzi w domu. Nie cieszyło ją tylko, że zobaczy Chase'a. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Jak długo jeszcze wytrzyma tę maskaradę? Ile czasu wytrzymają razem? Miała nadzieję, że ich małżeństwo się utrzyma, przynajmniej do czasu, kiedy Chase dojdzie do siebie, wyjaśni się tajemnica pożaru, a ona pozbędzie się złudzeń, że ich związek ma jeszcze szansę.

Czy w ogóle kiedyś miał?

Czy oni się kiedyś naprawdę kochali?

W głębi duszy pragnęła być jego żoną, ale przypomniała sobie ostatnią kłótnię, na którą zanosilo się od dawna, i która wybuchła w dzień pożaru. Wiedziała, że podział firmy jest tylko kwestią czasu. A co potem?

Wsiadła do jeepa, opuściła szyby i ruszyła. Przyszłość jawiła jej się jako droga przez pustynię, nie kończąca się, prowadząca w nieznaną, złuda, fatamorgana, samotna autostrada wijąca się jak wstęga.

Przestań - skarciła samą siebie. Nie może się tak zachowywać. Jak ekliwa idiotka. Musi znaleźć odpowiedzi. Poznać przyczynę pożaru. Tego i poprzedniego. I czy tego chce, czy nie, pomoże jej w tym człowiek, z którym musi sobie poradzić.

Najwyższy czas porozmawiać z mężem.

18

Chase'a nie było w domu. Wołała go i szukała we wszystkich pokojach. Serce biło jej coraz mocniej, bo odpowiadała jej głucha cisza. W domu słyhać było tylko odgłos włączonej lodówki, tykanie zegara i cichy brzęk klimatyzacji. Pustka. Jej kroki dudniły po posadzce i drewnianej podłodze. Ucichły, gdy weszła na dywan.

Nie było kul. Otworzyła szafę i zobaczyła, że rzeczy Chase'a są poskładane i powieszona tak jak zwykle. Więc nie był na tyle głupi, żeby się wyprowadzić. Ale w takim razie, gdzie jest? Jego zielony jaguar stał w garażu. Ciężarówka spłonęła w tartaku.

Poszła z powrotem do gabinetu, chcąc znaleźć jakąś wiadomość albo wskazówkę. Wyrzała przez okno i zobaczyła Chase'a, opierającego się o kamień w cieniu orzecha włoskiego przy stawie, który wykopał w drugim

roku ich życia w nowym domu.

Wyszedł ze szpitala zaledwie dobę temu, zażywał silne środki przeciwbólowe i chociaż mógł się poruszać o kulach, był od niej prawie całkowicie zależny. Nie mógł znieść tej sytuacji. Za każdym razem, gdy się do niego odzywała, widziała w jego zdrowym oku złość. Pod maską zawziętości, kryły się jednak inne uczucia, palące i elektryzujące, nad którymi żadne z nich wołało się nie zastanawiać.

Słońce zaczynało zachodzić. Chase był chyba spokojniejszy. Pomyślała, żeby lepiej nie zawracać mu głowy, przygotować kolację i poczekać, aż wróci. Postanowiła jednak pójść do niego. Może czas zaleczy stare rany. W uszach cały czas pobrzmiwała jej kłótnia sprzed pożaru.

- Nigdy mnie nie kochałeś - zarzuciła mu ze łzami w oczach. - Poślubiłeś mnie tylko po to, żeby stać się... częścią imperium ojca.

- A ty za mnie wyszłaś dlatego, że jestem podobny do Briga.

- Nieprawda.

- Tak? - prychnął. Jego wielka dłoń zacisnęła się na klapach jej kurtki.

- Wyszłam za ciebie, bo byłam przekonana, że cię Kocham. Bo chciałam założyć rodzinę i mieć dzieci. Ale ty myślałeś tylko o tym, żeby tu wrócić i udowodnić, że jesteś tak samo dobry jak bogacze. Pokazać, jaki jesteś mądry. I udało ci się, prawda? Przekonałeś nawet mojego ojca. Osiągnąłeś to, co chciałeś, Chase. Masz to, o czym zawsze marzyłeś - kupę forsy i część fortuny Buchananów.

- A moją żoną jest jedna z najbogatszych kobiet w okręgu.

- O to ci chodziło, prawda? Przez cały czas. To nie mnie chciałeś. - Zacisnęła pięści. Starła się zachować twarz i powstrzymać łzy. - Chodziło ci o moją pozycję i nazwisko.

- Ty tego nie zrozumiesz, bo zawsze miałaś tyle forsy, że nie wiedziałas, co z nią robić. Ja musiałem pracować na dwóch etatach, żeby pomóc stukniętej matce. Musiałem udawać, że nic mnie to nie obchodzi, choć uszy mi wędły od plotek o matce, bracie i ojcu, który pewnego dnia po prostu się zawiął. - Dał upust złości i patrzył na nią oczami pełnymi bólu. - Chcesz się rozwieść?

- Chcę, żebyśmy żyli. Nie musisz pracować po osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Nie musisz wyjeżdżać w delegacje, które trwają tak długo. Nie musisz mi niczego udowadniać. Ani mnie, ani temu miastu.

- Ale po co? Żebym więcej nocy mógł spędzać w domu? Żebyśmy mogli założyć rodzinę?

- Tak. Sądzę...

- To byłby błąd, Cassidy. Nie chcę dzieci. Nigdy nie chciałem.

Poczuła potworny ból w sercu.

- Myślałam, że zmienisz zdanie. Mówiłeś, że to całkiem możliwe...

- Przestań przekreślać moje słowa. Dzieciaki zrujnowały życie mojej matce. Dzieciaki zrujnowały życie twojemu ojcu. Dzieciaki to kłopoty.

- I radość.

- To nie wystarczy.

Wpatrywała się w jego niebieskie oczy i w końcu zrozumiała.

- Nie będziesz szczęśliwy, dopóki nie będziesz miał wszystkiego. Firmy. Filii. Posiadłości.

- Szacunku, do cholery! Nie rozumiesz? Tylko tego chcę i tego zawsze pragnąłem. Sprzedałbym to wszystko, gdybym za to mógł kupić odrobinę szacunku.

- I myślałeś, że go kupisz, żeniąc się z właściwą kobietą...

- Wiem, że tak jest.

Wszystkie jej marzenia legły w gruzach. Nagle z wyobrażeń, których tak naiwnie i mocno się trzymała, nie zostało nic.

- Więc chcę rozwodu, Chase.

- Po moim trupie.

- Ale...

- Posłuchaj, Cassidy - zagroził jej. Wyszła mu żyła na skroni. - Posłuchaj uważnie. Nigdy ci nie dam rozwodu, a jeżeli będziesz chciała mnie zostawić, zrobię wszystko, żeby cię powstrzymać. Zatrudnię prawników, detektywów, zrobię wszystko, co będzie trzeba. Postaram się o to, żebyś została z niczym, jeżeli ode mnie odejdziesz.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Jej twarz wykrzywiła się z bólu.

- Dlaczego?

Żyła pulsowała mu ze złości.

- Dlatego, że, możesz mi nie wierzyć, Kocham cię i wolałbym umrzeć niż cię stracić. - Przeraził ją ogień w jego oczach, ale uwierzyła w to, co powiedział.

A teraz chce rozwodu. I chce sprzedać swoje udziały w firmie. Całkowity zwrot w akcji. Dlaczego? Z powodu pożaru? Dlatego, że w końcu stawiał czoło prawdzie i zrozumiał, że ich małżeństwo się nie zmieni? I to akurat wtedy, kiedy ona postanowiła spróbować jeszcze raz. Co za ironia. Chyba nigdy nie potrafili jednocześnie zdobyć się na wysiłek.

Wyszła na dwór. Minęła wiszące donice z przekwitającymi fuksjami i krzewami obsypanymi kwiatami róż.

Alejką przeszła na ogromny trawnik. Nad brzegiem stawu rosło mnóstwo dzikich kwiatów. Kiedy Chase wykopywał dół pod staw, uparł się, żeby nie projektować ogrodu. Zostawił stary orzech włoski i chciał, żeby przyroda sama zdecydowała o tym, co będzie rosło przy piaszczystym brzegu.

Usłyszał nadchodzącą Cassidy i podniósł głowę. Jego posiniaczona twarz nie wyglądała już tak koszmarnie.

- Przestraszyłeś mnie. - Usiadła na piachu przy wysokiej trawie i wpatrywała się w gładką powierzchnię wody. - Szukałam cię w domu.

- Nie mogę znieść zamknięcia.

- Wiem. - Zrzuciła buty i zakopała palce w białym piachu, który Chase przed laty zwiózł z plaży. Miała nadzieję, że zobaczy jak jej dzieci budują tutaj zamki z piasku, pluskają się i pływają w czystej wodzie, łowią ryby i polują na raki w miejscu, gdzie woda podchodzi pod drzewa. Ależ była naiwna. Głupia, beznadziejnie romantyczna idiotka.

- Powinnaś była mi powiedzieć o Williem od razu, jak się dowiedziałas.

- Chyba tak. Chciałam tylko...

- Mnie ochronić? - zaszydził. Jego głos ciągle jeszcze był niewyraźny z powodu drutów, które podtrzymywały jego szczękę. - Nie potrzebuję, żebyś chroniła mnie przed prawdą.

- Czy ty mnie w ogóle potrzebujesz?

Nie odpowiedział. Zdrową ręką podniósł płaski kamyk i, wykręcając nadgarstek, rzucił go do wody tak, że podskoczył cztery razy, tworząc na powierzchni pomarszczone kółka.

- Słuchaj, myślałam... - Spojrzała ponad wodą na horyzont, gdzie ciemne szczyty gór Cascade sięgały nieba.

- ...Może powinniśmy bardziej się postarać.

- O co?

- Żeby uratować nasze małżeństwo.

Zagryzł zęby. Błądził wzrokiem po wodzie. Po niebie leciały gęsi, przypominając Cassidy, że lato niedługo się skończy. Podmuch wiatru poruszył usychającymi liśćmi i zmierzwił jej włosy.

- Dlaczego?

Dlaczego?

- Bo kiedyś było dobrze.

- Tak?

- Na początku - przypomniała mu. - Kiedyś było nam dobrze. Nawet gdy się tu wprowadziliśmy, jeszcze przez chwilę... - zawiesiła głos.

Gęsi zniknęły na horyzoncie. W powietrzu unosił się zapach wędnących róż. Gdzieś z oddali dobiegał warkot silnika traktora, a wysoko na niebie widać było śnieżnobiały ślad po samolocie.

- Nie musisz się czuć zobowiązana tylko dlatego, że powiedziałem, że nie dopuszczę do rozwodu...

- To nie dlatego. Może po części. Ale nie chodzi o to, co powiedziałas. Ja tego chcę, Chase. Chcę, żeby nam się udało.

Zastanawiał się. Przymknął oko.

- A jeżeli się nie uda?

- Gorzej być nie może. - Chwyciła go za rękę. Zareagował natychmiast.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Nie chcę twojej litości, Cass.

- Ja się nie lituję.

- Nie chcę, żebyś się czuła zobowiązana wobec półślepego kaleki. Nie musisz udawać, że mnie kochasz.

- Ja nigdy bym...

- Oczywiście, że tak. Już to zrobiłaś. Nie kłam, Cass. Rób, co chcesz, ale nie okłamuj mnie. - Miała wrażenie, że przeniosła się w czasie i znalazła się w innym miejscu, w odległej przeszłości, której nie pamiętała.

- Słuchaj, Chase, nie udaję i nie kłamię. - Patrzyła prosto w jego chore oko. - Chcę zacząć od początku, z czystym kontem. Nie będziemy niczego udawać. Wszystko może się zmienić, gdy się o to postaramy. Jeżeli nie będzie się nam układać, porozmawiamy.

Prychnął, jakby wynik był z góry przesądzony.

- Powiedz tylko, że spróbujesz, Chase.

- Jeżeli to cię uszczęśliwi...

- Obiecuj. - Wstała. Wiatr zadarł jej spódnice, piach zasypał stopy i poruszył gałęziami. - Obiecuj.

Zawahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Dobra. Zgoda. Spróbuję.

- Dobrze. - Poczowała ulgę. Jest szansa, że znowu będą razem, że odnajdą to, co stracili.

- Ale chyba powinniśmy trzeźwo patrzeć na rzeczywistość, więc na razie będę mieszkał w pokoju gościnnym. - Musiał dostrzec ból w jej oczach. Odwrócił wzrok. - Tak będzie lepiej.

- Na razie? - Pamiętała, że nie lubił jej dotykać. Od czasu pożaru ani razu nie wyciągnął do niej ręki, wzbraniał się przed jakimkolwiek fizycznym kontaktem i upierał się, żeby trzymała się od niego z daleka.

- Tak. - Wziął głęboki oddech. - Dopóki nie przekonamy się, jak się wszystko potoczy.

- To znaczy, że mi nie ufasz.

Postawił kule na piachu i wstał. Patrzył na nią z góry.

- To znaczy, że nie ufamy sobie nawzajem.

Zjedli razem kolację, chociaż Chase mógł tylko wciągać papkę przez słomkę. Cały czas brał środki przeciwbólowe i nie za bardzo smakowały mu przetarte ziemniaki i mielone mięso.

- Czuję się jak niemowlę - narzekał.

- Niedługo będzie lepiej.

- Tak? - spytał z krzesła przy oknie. Wiedziała, że nie chodzi mu o jedzenie. Za nim, w blednącym słońcu, słychać było stukanie dziecięcia.

- Na pewno. Od jutra zaczynasz rehabilitację, za kilka tygodni zdejmą ci szwy i druty i...

- I nadal będziemy w tym samym miejscu. W kropce.

Zebrała naczynia i zaniosiła je do zlewu. Po powrocie do domu miała zamiar wyjaśnić wszystko do końca, zadać mu pytania, na które do tej pory nie chciał odpowiedzieć, ale zrezygnowała. Dlaczego? Dlatego, że boi się prawdy?

- Nie trzeba niczego poganiać - powiedział.

O mało nie upuściła talerza. Bardzo się mylił. Od czasu pożaru miała wrażenie, że czas ucieka nieubłaganie, jak piasek w klepsydrze. Że nigdy już nie wróci. Jak Brig. Poczuli ból w sercu.

Chase oparł się na krześle i położył nogę na stoliku. W milczeniu obserwował Cassidy.

- Wydawało mi się, że chciałaś porozmawiać?

Zmarszczyła czoło. Włożyła brudne talerze i salaterki do zmywarki.

- Nie chcę stąpać po niepewnym gruncie.. W nocy, kiedy wybuchł pożar, powiedziałaś, że mnie kochasz, ale przedtem... Pamiętasz... Oddaliliśmy się od siebie.

- Miałaś romans - powiedział cicho.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy cię nie zdradziłam, Chase i nigdy tego nie zrobię. Dopóki jesteśmy małżeństwem, będę ci wierna. - Zamknęła drzwi zmywarki, odwróciła się, oparła biodrami o kredens i wytarła ręce. - I tego samego oczekuję od ciebie. Jeżeli nie potrafisz mi zaufać, to powiedz od razu.

Wymamrotał coś pod nosem. W gabinecie zadzwonił telefon. Spojrzeli na siebie i poczekali, aż włączy się automatyczna sekretarka. Bez przerwy wydzwaniali dziennikarze. Cassidy nie miała ochoty się z nimi użerać. Później odsłucha wiadomości i razem zdecydują, do kogo oddzwonić.

- Jutro będę musiał porozmawiać z ludźmi od ubezpieczenia, z Derrickiem i z glinami. Tartak już za długo jest nieczynny. Ludzie muszą wrócić do pracy. Znajdziemy budynek w pobliżu tartaku na tymczasowe biuro, a może postawimy jakieś prowizoryczne pomieszczenie. - Potarł oko, wstał i wyjrzał przez okno, jakby wypatrywał czegoś albo kogoś.

- Niech się tym zajmie Derrick - poradziła Cassidy. - W tym stanie nie możesz zbyt wiele zdziałać. Dopóki nie staniesz na nogi...

Włożył ręce w kule i wstał.

- Już stoję na nogach. Doskonale sobie ze wszystkim radzę i jeżeli nie będę za długo brał końskich dawek lekarstw doktora Okano, jestem w stanie normalnie funkcjonować.

- Powinieneś odpoczywać.

- I patrzeć, jak Derrick doprowadza firmę do ruiny?

- On nie...

- Twój brat jest kłamcą i oszustem. Wyłudza pieniądze od firmy.

- Masz dowody? - Nie była tym zaskoczona. Chase już dawno odkrył, że Derrick oszukuje, ale nikomu o tym nie powiedział.

- A jak myślisz? - Spojrzał na nią i z trudem przełknął ślinę.

- To dlatego tamtej nocy byłeś w tartaku? Żeby coś sprawdzić?

Nie odpowiedział.

- Myślisz, że to on podpalił tartak, żeby zniszczyć dowody?

- Nie wiem, co myśleć. W głównym biurze, w komputerze, są kopie wszystkich dokumentów. O ile ktoś ich nie skasował. Ale książki były w tartaku.

- Nie mogę uwierzyć, że Derrick byłby w stanie...

- Nie twierdę, że to on. Nie chcę tylko stracić firmy. Ani życia. - Wyjrzał znowu przez okno, spoważniał i pokuśtykał do gabinetu, a Cassidy za nim. W jej umyśle kotłowało się od domysłów. Chase sugerował, że to Derrick podpalił tartak, żeby zniszczyć książki... albo go zabić. Albo wszystko naraz. Derrick był okrutny już jako chłopak, ale żeby podpalił tartak? Chciał zamordować?

Stała w drzwiach gabinetu i patrzyła jak Chase przewija taśmę na automatycznej sekretarce. Czekał niecierpliwie, a potem odsłuchiwał wiadomości, które zostawili dziennikarze. Była jeszcze jedna od Deny i jedna od

Felicity, ale nie było tej, na którą czekał. Od matki.

- Gdzie ona jest, do diabła? - mruknął. W pokoju rozległ się głos zastępcy szeryfa, T. Johna Wilsona, który oznajmiał, że niedługo wpadnie.

Twarz Chase'a spochmurniała jeszcze bardziej. Kiedy taśma się skończyła, wyszedł z pokoju. Wspaniale, pomyślała sarkastycznie Cassidy. Tego nam tylko brakowało. T. Johna Wilsona we własnej osobie.

- Przyszedł zastępca szeryfa. - Cassidy stanęła w drzwiach gabinetu. Chase leżał na kanapie. W szpitalu nie odezwał się do policji ani słowem. Na pytania odpowiadał jedynie twierdzącym lub przeczącym ruchem głowy.

- Niech wejdzie - powiedział Chase.

Kilka minut później T. John Wilson podziękował Cassidy za kawę i usiadł na poręczu kanapy.

- Może pani zostać - zwrócił się do niej. - To może zainteresować i panią.

- Co?

- Nasz nieznajomy w końcu został nazwany. Pośmiertnie, ale zawsze.

Cassidy nie zwróciła uwagi na kołatanie serca i była gotowa usłyszeć prawdę.

- Tak?

- To Marshall Baldwin. - Po raz pierwszy od czasu wypadku głos Chase'a był wyraźny.

T. John uśmiechnął się szeroko.

- Podejrzewałem, że pan go zna.

- Kto to jest?

- Oto pytanie za milion dolarów. Wygląda na to, że stary Marshall spadł z kosmosu.

- Był przedsiębiorcą. Prowadził wycinkę lasów na Alasce.

- Tak. Pucybut, który stał się milionerem.

- Co on tu robił? - spytała Cassidy, przyglądając się mężowi oczami okrągłymi ze zdziwienia. Ile tajemnic ukrywał przed nią przez lata? Była pewna, że niezującym mężczyzną jest Brig. Poczowała niesamowitą ulgę.

- Chciał mi sprzedać drewno. Interesowało go nawet kupno tartaku Buchanana albo jakiegoś innego w pobliżu.

Cassidy nie wierzyła własnym uszom.

- Teraz? W Oregonie? Kiedy wszystkie tartaki w całym stanie plajtują? To bez sensu...

- Wiem. To mu właśnie powiedziałem. Ale stwierdził, że ceny są korzystne. Mógł zrobić niezły interes.

- Dlaczego umówiłeś się z nim w nocy? - Podejrzenia nie dawały jej spokoju.

- To chyba oczywiste?

- Nie.

Odkaszlnął.

- Nie chciałem, żebyś o tym wiedziała, ani żeby dowiedział się Derrick. Zaproponowałem, żebyśmy spotkali się w Portland, ale on chciał najpierw zobaczyć interes, więc umówiliśmy się w tartaku, a potem mieliśmy jechać do miasta.

- Ukrywałaś to przede mną? - W jej głosie było gorzko. Nie powinna być zaskoczona, przez lata powinna się była przyzwyczaić, że Chase chodzi własnymi ścieżkami. A jednak czuła się zdradzona.

- Chciałem tylko mieć wszystko czarno na białym. Potem, gdybym zdecydował, że sprzedamy tartak...

- Gdybyś ty zdecydował? A ja nie mam prawa głosu? Na miłość boską, Chase... - Dostrzegła ostrzegające spojrzenie Chase'a i umilkła. To nie był odpowiedni czas ani miejsce. Zwrócił jej dyskretnie uwagę, żeby nie robiła scen przy zastępcy szeryfa.

- Baldwin był zainteresowany kupnem. To wszystko.

- Więc spotkaliście się w tartaku i co? - spytał Wilson.

- Wyszliśmy z biura i skierowaliśmy się do pierwszego budynku. Wtedy nastąpił wybuch. Był taki huk, jakby wybuchł dynamit w tunelu. Ściany zaczęły się walić, próbowaliśmy uciekać...

- Czy Marshall trzymał coś w ręce?

- Nie pamiętam.

T. John się poruszył.

- Miał na szyi łańcuszek z medalikiem świętego Krzysztofa?

- Nie zauważyłem.

- A co miał na sobie?

- Cholera, nie pamiętam.

- Garnitur?

- Nie wiem.

- Marynarkę sportową i dzinsy?

- Może dzinsy, ale na marynarkę było za gorąco. Ja swoją zostawiłem w biurze.

- Dlaczego nie miał portfela w kieszeni? - naciskał Wilson.

- Nie mam pojęcia.

Wilson powoli odwinął z papierka gumę do żucia. Patrzył na kominek, ale Cassidy podejrzewała, że kątem oka

obserwuje Chase'a.

- Wyjaśnijmy to. Chciał się pan spotkać późno w nocy w tartaku z facetem, którego nigdy wcześniej pan nie widział, żeby porozmawiać o sprzedaży interesu.

- Albo kupieniu od niego drewna.

- Z tego, co mi wiadomo, Rex Buchanan traktuje pana jak syna. Pracuje pan po osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo. Wielu ludzi myśli, że tartak jest dla pana ważniejszy niż wszystko inne, nawet rodzina. I nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, chce pan go sprzedać?

- Sprzedać można zawsze, jeżeli cena jest korzystna.

- A co by na to powiedział pański teść?

- Nad tym się nie zastanawiałem.

- Ale przecież on pana wspierał, pożyczył panu pieniądze na studia, zatrudnił pana w kancelarii jako adwokata, a potem zrobił pana starszym wiceprezesem zarządu. Dał panu więcej niż własnemu synowi.

- Wcale nie więcej. Nawet nie tyle samo. Ale prawie. Rex bardzo ceni moją fachowość.

- A pan za jego plecami kombinuje i myśli o sprzedaży swoich udziałów?

- Tak. - Spojrzenie Chase'a było zimne jak lód.

- Dlaczego? Cholera, nie jestem biznesmenem, tylko przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, ale to nie ma sensu.

Cassidy zamarła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Chase rozważa możliwość sprzedaży udziałów. Nie w noc ich ostatniej kłótni.

- Może chciał pan wyjechać? - drążył prokurator. - Opuścić miasto z powodów rodzinnych?

- Chwileczkę... - przerwała Cassidy, ale Chase podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

- To sprawa osobista i nie ma nic wspólnego z tartakiem.

Krew się w niej wzburzyła. Nie miał prawa z nikim o tym rozmawiać. Nawet z policją.

- Mam nadzieję, że wszystko się ułożyło?

- Wszystko się ułożyło - powiedział Chase bez urazy.

T. John chwilę się zastanawiał, a potem wzruszył lekko ramionami, jakby pytając: Kto zrozumie miłość?

- Dobrze. Niech będzie.

Cassidy wiedziała, że on się nie podda, że wycofuje się tylko na chwilę. Założył nogę na nogę i objął rękami kolano.

- Więc pan i Baldwin jesteście szefami wielkich firm. Do diabła, Dan jest uznanym prawnikiem. I co? Żaden z was nie pamiętał, że na spotkanie w sprawie interesów należy się ubrać w wyprasowaną koszulę, garnitur i zabrać teczkę?

- To nie było oficjalne spotkanie.

- A jakie?

- Niezobowiązujące.

Wilson zmarszczył brwi.

- Pan to powiedział. Dla mnie to wszystko brzmi jak żart.

- Na miłość boską, nie jesteśmy na Wall Street. Codziennie ważniejsze rzeczy załatwia się na kortach tenisowych albo na polach golfowych. Nie zawsze trzeba być oficjalnym, przynajmniej dopóki nie zapadną żadne decyzje. A to były rozmowy wstępne. Już powiedziałem, że mogły się skończyć tak, że przetwarzałbym jego drewno.

Cassidy przyglądała się mężowi. Patrzyła, czy się poci albo denerwuje. Ale nie zauważyła nic niezwykłego. Twarz miał bez wyrazu, prawie znudzoną. Zdrową rękę trzymał na poręczy krzesła. Nie stukał palcami, nie miał tików nerwowych, które świadczyłyby, że jest zdenerwowany.

T. John podrapał się po jednodniowym zarościu.

- O czym rozmawialiście?

- Prawie o niczym. Gdy tylko wszedł, przedstawiłem mu warunki.

- Nie chciał obejrzeć tartaku? Wie pan, maszyn, upewnić się, czy wszystko działa prawidłowo, sprawdzić listy pracowników, żeby zobaczyć, czy przychodzą do pracy na czas i nie wychodzą wcześniej? Przyjrzeć się, jak pracują brygady, jak zwozicie ciężarówkami drewno i jak je rozładowujecie, jak tniecie materiał?

- O tym rozmawialibyśmy później. Gdyby się zdecydował na kupno tartaku, a ja chciałbym go sprzedać. Po co tyle zachodu, jeżeli mogło stanąć tylko na tym, że kupię od niego trochę drewna? Jego interesowały jedynie warunki i cena. - Chase rzucił Wilsonowi świdrujące spojrzenie. - To nie byłby wcale taki wielki interes.

Zastępca szeryfa zastanawiał się.

- Myśli pan, że osoba, która podpałiła tartak, chciała zabić Baldwina?

- Nie mam pojęcia.

- Bo inaczej wygląda to na nieprawdopodobny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

- Nie potrafię panu nic powiedzieć.

Cassidy przyglądała się, jak Wilson zwodzi i podchodzi Chase'a, usiłując go sprowokować, żeby powiedział coś, czego powiedzieć nie chce.

- Chase, może powinniśmy wezwać prawnika?
- Ja jestem prawnikiem - powiedział bez zastanowienia.
- Wiem, chodzi mi o adwokata. - Sprawy toczyły się zbyt szybko. Potrzebowała czasu do namysłu. - Panie szeryfie, mój mąż dopiero co wyszedł ze szpitala i łatwo się męczy...
- Nie jestem zmęczony. I nie sądzę, żeby zastępca szeryfa przychodził tu dlatego, że mnie podejrzewa. - Oparł się na krzesło. - Ale może się mylę.
- Oczywiście, że nie. - Na twarzy Wilsona pojawił się dobrotliwy uśmiech. - Ja tylko zbieram informacje o przestępstwie.
- Więc mogę panu powiedzieć, że nie wiem, kto podpalił tartak, ani dlaczego to zrobił. Nie mam pojęcia, czy wybuch miał kogoś zabić, czy był to tylko wybryk. Na pewno ktoś chciał narazić nas na straty. Tylko nie jestem pewien, jak wielkie.
- Nie widział pan tamtej nocy nikogo więcej w tartaku?
- Nie.
Cassidy wytarła ręce w dzinsy. Miała spocone dłonie. Trzęsła się w środku. A co z Williem? Przecież tam był. T. John założył nogę na nogę i zuł gumę.
- Wie pan, byłem rozczarowany, gdy w końcu ustaliliśmy tożsamość Baldwina.
- Dlaczego?
- Bo byłem gotów ręczyć odznaką, że nieznanym był pana brat.
Cassidy nie drgnęła.
- Mój brat? - powtórzył Chase bez cienia emocji.
- Tak. Miałem przeczucie, można to nazwać intuicją czy nosem, że Brig wrócił do miasta i się z panem spotkał.
- Późno w nocy w tartaku? - Głos Chase'a był pełen drwiny.
- A dlaczego by nie? Przecież cały czas jest poszukiwany. Nie paradowałby ulicami Prosperity w biały dzień. Chase nawet nie spojrział na żonę.
- Brig nie żyje.
- Skąd pan wie?
- Dla mnie nie żyje. Nie pokazał się od czasu pierwszego pożaru.
- Ten pierwszy pożar bardzo mnie zastanawia. Cały czas chodzi mi po głowie, że te dwa wypadki mają ze sobą coś wspólnego. Wielka szkoda, że nie mogłem porozmawiać z Baldwinem, żeby się dowiedzieć, po co przyszedł do tartaku.
- Mówiłem panu, po co.
- Tak, tak. - T. John przestał zuć. - A nie przyszło panu do głowy, że Baldwin mógł być pana bratem?
Chase prychnął.
- Myśli pan, że bym go nie poznał?
- Nie wiem.
Cassidy ledwie mogła oddychać. Co innego było mieć obawy, a co innego je słyszeć.
- Podejrzewa pan, że Baldwin to Brig?
- To nie był Brig. Przecież tam byłem - uciał Chase.
T. John podrapał się w brodę.
- Mówię, że to nic pewnego. Na razie. Widzi pan, Marshall Baldwin nie miał żadnej rodziny, w każdym razie chłopaki z Alaski żadnej nie znaleźli. Podobno pochodził z Kalifornii. Sprawdziliśmy akty urodzenia w okolicach Los Angeles. Z dokumentów wynika, że nie miał żony, brata ani siostry. Nie znaleźliśmy nawet żadnego kuzyna. A można by pomyśleć, że ktoś chciał położyć łapę na jego pieniądzech. Trochę grosza miał, prawda?
- Wspominał pan o tym. - Cassidy wiedziała, że Wilson jest na tyle inteligentny, że może powtórzyć wszystko, co powiedział.
- Tak. Zjawił się na Alasce w 1977 roku. Nikt go nie znał. Dostał pracę w rurociągach, w ekipie remontowej. Chyba już wtedy istniały. Ukończono je rok wcześniej. Pracował tam przez trzy albo cztery lata, a potem wykupił tartak od jakiegoś faceta i pracował po dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby postawić go na nogi, tak jak pan - zwrócił się do Chase'a. - Nie prowadził życia towarzyskiego. Pracował na dwie zmiany, siedem dni w tygodniu. Udało mu się - wkrótce wykupił następny tartak, potem następny... Zainwestował w przetwórnictwo ryb, w kopalnię i nawet w jakąś farmę... - Wykrzywił twarz, a potem pstryknął palcami, jakby mu się coś nagle przypomniało. - Uprawa ziemniaków. Nie jestem pewien, czy to już wszystko.
- A mało panu? - zakpił Chase.
- W każdym razie Baldwin nie robił wokół siebie szumu, ale podobno był anonimowym darczyńcą. Łożył zwłaszcza na ochronę lasów i podobne akcje.
Chase wyraził swój niesmak.
- Wiem, że pan Briga nie pamięta, ale on... do filantropów z całą pewnością nie należał.
- Przecież był dzieckiem, kiedy uciekł z miasta.
- Ale śmiał się z ojca Cassidy. Mówił, że stary Buchanan chce zbawić świat i że daje pieniądze na zbożne cele po

to, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia.

- Nie... - odezwała się Cassidy.

Chase nie zwrócił na nią uwagi.

- Brig nie był ambitny. Często miał zatargi z prawem. Chyba ma pan to w swoich dokumentach?

- Za to nasz Baldwin był czysty jak lza. - T. John położył ręce na kolanach i wyprostował się. - Władze Alaski twierdzą, że nigdy nawet nie dostał mandatu za przekroczenie prędkości. Uwierzy pan? Jak to możliwe, żeby ktoś mieszkał gdzieś przez dwadzieścia lat, zarobił obrzydliwie dużo forsy i pozostał praktycznie niezauważony?

- Pan myśli, że to Brig.

- Całkiem możliwe.

Cassidy czuła, że pot cieknie jej wzdłuż kręgosłupa.

- A co z dokumentacją dentystyczną? - T. John podszedł do kominka i oparł się o zimne kamienie. - Nie mogę znaleźć żadnego dokumentu, z którego wynikałoby, że pan i pana brat chodziliście do dentysty.

- Bo nie chodziliśmy. Nie było pieniędzy, za to mieliśmy zdrowe, mocne zęby.

- Śmieszne. Baldwin też nie miał dentysty w Anchorage. Ani w Juneau, ani w Ketchikan, ani nigdzie, z tego, co wiemy. Nie mogę uwierzyć, żeby człowieka przez trzydzieści lat nie zabolał ząb. Ale cały czas szukamy. Szkoda, że miał rozwaloną szczękę i połamane zęby. Jak pan.

- A co z odciskami palców?

- Zdjęliśmy, co się dało. Miał prawie całkiem spalone ręce. Na razie nic nie wiemy.

Cassidy nie mogła trzeźwo myśleć.

- Brig siedział w więzieniu, tu, w Prosperity. Powinny być jakieś dokumenty.

- To jest właśnie interesujące, pani Buchanan. Brigowi nigdy nie zdjęto odcisków palców. Ani razu. Był w więzieniu, dużo mu nagadali, nawrzeszczeli, dali po łapach, ale nigdy nie kazali zanurzyć palców w atramencie. Bo zawsze pomagał mu pani ojciec i jakiś śmieszny prawnik. Bardzo rozsądnie, prawda?

- A Baldwin?

- Nie ma żadnych dokumentów z wojska. Ani z więzienia. Nie ma odcisków. Jak powiedziałem, cholernie rozsądnie. Żaden krewny nie zgłosił się po jego ciało ani po pieniądze. Zgodnie z testamentem część pieniędzy dostaną pracownicy, żeby mogli wykupić tartak i przetwórnię ryb, jeżeli będą chcieli. Reszta ma iść na fundację na rzecz ochrony przyrody na Alasce, która powstała z inicjatywy Baldwina. W dokumentach nie figuruje jego nazwisko, ale wydawał mnóstwo pieniędzy na ten cel.

- To na pewno nie mój brat.

T. John się wzdrygnął.

- Może się zmienił. Nieszczęście zmienia ludzi.

Chase wydał gardłowy odgłos niedowierzania.

T. John to zignorował.

- Pomyślałem, że może go pan rozpoznać, więc przyniosłem zdjęcia, które zdobyliśmy. - Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął szarą kopertę. Serce Cassidy zaczęło łomotać, kiedy zdjęcia, jedno po drugim, lądowały na biurku. Czy to był Brig? Starając się powstrzymać drżenie rąk, wzięła do ręki jedną fotografię i przyjrzała się jej dokładnie. Patrzył na nią nieufnie ciemnowłosy mężczyzna z zarostem i głęboko osadzonymi, zamyślonymi oczami.

- Rzeczywiście, jest trochę podobny do Briga - przyznał Chase.

- Powiedziałbym, że jest jak sobowtór.

- Ale Baldwin nie miał brody.

- Nie dziwi to pana? Na Alasce nosił brodę przez siedemnaście lat i zgolił ją, gdy miał się spotkać z panem. - T. John uśmiechnął się i potrząsnął głową. Potem wyjął kolejną kartkę. Szkic. - Jeden z naszych ludzi narysował faceta bez brody, próbując komputerowo zrekonstruować twarz, a potem porównaliśmy to ze zdjęciami pana brata. Problem w tym, że mamy tylko kilka zdjęć ze szkolnej książki pamiątkowej.

- Pan mówi poważnie? - Chase wpatrywał się w Wilsona.

- Bardzo poważnie.

Cassidy po raz pierwszy zobaczyła prawdziwe oblicze T. Johna. Uśmiechał się zrozumiale. Oczy mu nie błyszczały. Był zimny. Przemawiała przez niego jedynie ślepa ambicja.

- Dlaczego pan chce za wszelką cenę udowodnić, że Baldwin to Brig?

- Bo coś w tym jest. Pański brat uciekł z miasta po jednym z najstraszniejszych pożarów w historii Prosperity, a potem zjawiał się po siedemnastu latach i zginął w pożarze bardzo podobnym do pierwszego. Użyto prawie identycznego zapalnika. Ciekawy zbieg okoliczności. Jeden wielki zbieg okoliczności. - T. John przetasował zdjęcia i spojrzał groźnie.

- Poznałbym Briga. - Chase wziął do ręki czarno-białe zdjęcie Marshalla Baldwina i przyjrzał mu się badawczo.

- Rozmawiał pan wcześniej z Baldwinem?

- Tylko przez telefon.

- Jak pana znalazł?

- Był zainteresowany tartakiem, zadzwonił i spytał o mnie.
- A nie o Rekxa Buchanana? Przecież to on jest prezesem zarządu, czy jak tam teraz nazywacie dyrektora.
- Baldwinowi powiedzieli, że to ja prowadzę firmę. Rex jest właściwie na emeryturze, a Derrick nie ma nic do gadania.
- Mimo wszystko jest synem Rekxa. - T. John zagryzł dolną wargę. - Więc nie przeszło panu nawet przez myśl, że to może być Brig?
- To nie był Brig.
- Jasne. - T. John zebrał zdjęcia, wyprostował się i uśmiechnął do Cassidy. Patrzył na nich jak na łgarzy. Żując gumę, skierował się do drzwi. - Może chcą państwo jedno? Mam tego dużo w biurze. - Wręczył Cassidy zdjęcie Marshalla Baldwina, na którym stał na skalistym zboczu, mrużąc oczy w słońcu. - Wiem, że są państwo zmęczeni. To był cholernie ciężki tydzień. Jeżeli będziecie mi mogli powiedzieć coś więcej o Marshallu Baldwinie, to będę wdzięczny.
- Chase wstał z trudem.
- A jeśli pan dowie się czegoś o mojej matce, to proszę o telefon.
- Wilson cmoknął.
- To też jest dziwne, nie sądzi pan? Wygląda na to, że zapadła się pod ziemię. A może pan wie, gdzie ona jest?
- Chase mocno zacisnął zęby.
- Znajdź ją, Wilson.
- Staram się - powiedział zastępca szeryfa z zimnym uśmiechem na twarzy. - Robię, co mogę.

19

Co wiesz o Baldwinie? - spytała stanowczo Cassidy następnego ranka, gdy Chase wszedł do kuchni. W nocy nie chciał z nią rozmawiać. Zostawił ją w gabinecie i poszedł do swojej sypialni, ale ona nie miała zamiaru po raz kolejny dać się splawić. Na stole leżał otwarty „Times”. Obok artykułu Billa Laszlo znajdowało się zdjęcie Marshalla Baldwina.

- Byłaś przy rozmowie. Słyszałaś, co mówiłem. - Chase spojrział na gazetę i wykrzywił się. - Sępy już krążą.
- Bill wykonuje swoją pracę.
- Racja. To gówniany sposób zarabiania na życie.
- Ja też to robię.
- Nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała. Wspierając się na kuli, nalał sobie kawy do filiżanki i poszukał słomki.
- Słyszałam, co powiedziałeś zastępcy szeryfa. A teraz chcę usłyszeć prawdę.
- Myślisz, że kłamałem? Boże, Cassidy, daj spokój.
- Nie tylko ja tak myślę. Wilson też jest tego pewien. On to wie. Może i mówi jak wieśniak, co przed chwilą spadł z wozu z sianem, ale jest sprytny. Sprytny, pracowity i nieugięty. Chodzą plotki, że chce zostać szeryfem po Floydzie Doddsie. Potrzebuje tylko dobrej reklamy. Właśnie takiej.
- Ja mu jej nie dam. - Odstawił kawę i chciał wyjść z kuchni, ale Cassidy zagroziła mu drogę. Wsunęła podbródek. Wyprostowała plecy i spojrzała na niego wyzywająco.
- Odsuń się, Cass.
- Drżała w środku, ale próbowała zapanować nad emocjami. Bądź zawodowcem. Nie angażuj się. Zachowaj dystans i obiektywnie spójrz na sytuację. Bez emocji. Jakbyś była na wizji i relacjonowała wydarzenia. Ale to było niemożliwe. Gdy coś miało związek z Chase'em, dostawała niemal skrętu kiszek z przejęcia.
- Słuchaj, Chase. Jeżeli mamy zacząć od początku, musimy mówić sobie prawdę.
- Tak jak ty to robiłaś wobec mnie.
- Staralam się...
- Jak cholera. - Chciał się prześlizgnąć obok niej, ale Cassidy się nie ruszyła. Pierś wznosiła mu się i opadała, a skóra poczerwieniała z wściekłości. - A poza tym ja nigdy nie powiedziałem ani słowa o zaczynaniu od nowa. Raczej zgodziłem się mieszkać z tobą pod jednym dachem, dopóki mnie nie zostawisz w spokoju. Zgodziłem się spróbować jeszcze raz. Bez zobowiązań. Bez obietnic.
- Ale nie uda nam się, jeśli nie będziesz szczery.
- To dotyczy dwóch stron, Cassidy.
- Co masz na...
- Wiem, że prowadzisz własne dochodzenie. Dzwonisz, zbierasz informacje o pożarze sprzed siedemnastu lat, o śmierci Angie. O nagłym zniknięciu Briga. - Wycedził przez zęby imię brata, jakby się nim brzydził. Nozdrza drżały mu z wściekłości. - Nie udawaj takiej niewinnej. Wiem, dlaczego chcesz wyjaśnić tę cholerną sprawę. Miałabyś bombowy materiał.
- Poczuła się tak, jakby dostała od niego w twarz.
- Nigdy...
- Widziałem teczkę, Cassidy. Czytałem twoje notatki w komputerze. Zaczynam się zastanawiać, czy chcesz, żebyśmy włożyli w to trochę wysiłku tylko po to, żebyś mogła rozwiązać zagadkę i stać się bohaterką miasta.

- Jesteś stuknięty. Nie pracuję nad artykułem. Do informacji na temat pożaru wyznaczono Laszlo. - Skinęła głową w stronę otwartej gazety.

- A ty byłabyś wniebowzięta, gdybyś mogła mu pokazać, że jesteś lepsza. To powinna być twoja działka. Przecież chodzi o twoją rodzinę. Widzę to w twoich oczach, Cassidy. Jesteś wkurzona, że Laszlo dostał tę robotę, tylko dlatego, że jest mężczyzną.

- Na miłość boską, Chase, uwierz mi, że naprawdę nie szukam rozgłosu.

Nie odpowiedział, tylko pochylił głowę i spojrzał na nią z góry.

- Myślisz, że chciałam, żebyś tu został, bo chodziło mi o karierę?

- A po co innego?

- Bo... - zamilkła. Nie chciała wypowiedzieć niebezpiecznych słów, które miała na końcu języka. - Bo... - chcę się w tobie zakochać, krzyczał jej umysł, chociaż nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie w stanie go pokochać, ani czy on pokocha ją. Tak bardzo przyzwyczaili się do tego, żeby się ranić i żyli w oczekiwaniu kolejnej awantury, że nie potrafili sobie ufać, nawet odrobinę.

- A przy okazji, on dzwonił.

- Kto?

- Laszlo. Rano. Kiedy pływałaś.

Była zaskoczona, że Chase wie, co ona robi o szóstej rano.

- Bardzo chciał ze mną porozmawiać. Zupełnie, jakby nakłoniła go do tego moja żona. Nie podniosłem słuchawki. Gadał do automatycznej sekretarki. Był niespokojny, bo chciał nowych faktów do następnego artykułu.

- Powiedziałam mu, żeby przestał mnie naciskać. Jeżeli chce informacji, będzie musiał zadzwonić do ciebie.

- Wspaniale. - Nie ruszył się. Przyglądał się Cassidy tak natarczywie, że ledwie mogła oddychać i prawie nie była w stanie myśleć. Stała tak blisko niego, że czuła na twarzy jego ciepły oddech. - Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać, czy będziemy tu stali cały dzień?

Zadała mu pytanie, które dręczyło ją od dnia pożaru, bo Chase zachowywał się dziwnie.

- Czego się boisz, Chase?

Zawahał się.

- Czego? - Mijały sekundy. Cassidy nie wystraszyła się jego spojrzenia. Oddychał szybko, tak jak ona. Słyszała cichy szmer powietrza, uchodzącego z jego płuc.

- Ciebie. - Ledwie usłyszała to jedno słowo. - Boję się ciebie, Cassidy.

- Mnie? Dlaczego?

- Nie chcę znowu za bardzo się do ciebie zbliżyć - przyznał się. - To jest niebezpieczne.

Patrzyła na niego w milczeniu, z łomoczącym sercem.

Mięśnie na karku Chase'a napięły się. Odwrócił wzrok.

- Cholera, Cass.

- Chcesz odejść, prawda? - zgadła z bólem.

Jego twarz posmutniała.

- Nie mam wyboru. Odsuń się, Cassidy. Nie rób ze mnie więźnia.

- Chase...

Odepchnął ją.

- Przestań robić z igły widły. Zgodziłem się na tę twoją błazenadę. Mieszkam z tobą. Pod jednym dachem. Cholera, postanowiłem nawet, że będę udawał, że jesteśmy szczęśliwi. Ze względu na twoich rodziców. Ze względu na policję. Ze względu na całe to pieprzone miasto. Jeżeli tego chcesz... Ale kiedy jesteśmy sami chcę, żebyś dała mi święty spokój.

Instynktownie podniosła rękę. Chciała bić, wrzeszczeć i kopać w mur, który między nimi wyrósł.

Roześmiał się. Ponury, sarkastyczny śmiech złowieszczo poniósł się echem po pokoju. Cassidy opuściła rękę.

- Pobiłabyś kalekę?

- Ty użalający się nad sobą bydlaku!

- No, teraz już lepiej.

- Naprawdę nie wiem, co się z nami stało. - Nie chciała się poddać. - Ale wierzę, że to da się naprawić.

- Małżeństwo to nie stary zepsuty pontiac, Cassidy. Obie strony muszą chcieć coś z tym zrobić.

- Możesz mówić, co chcesz, Chasie McKenzie, ale ja nas nie przekreślę.

- Już raz to zrobiłaś.

Wzdrygnęła się. Mówił prawdę.

- I dlatego nigdy mi nie wybaczysz.

- Nagromadziło się między nami tyle rzeczy, że nie możemy zacząć wybaczać wszystkiego naraz.

- Moglibyśmy spróbować.

- Tak. Znasz przysłowie: Co nagle, to po diable. - Postawił kule przed sobą i przeszedł obok niej szybko, ale jakoś dziwnie.

Duszę Cassidy ścisnęła rozpacz, ale nie chciała tracić nadziei. Do cholery, potrafi być tak samo uparta jak on.

Znajdzie sposób, żeby się przebić przez mur, jakim się otoczył. Obawiała się jedynie, że kieruje nią poczucie winy, a nie miłość.

- Opowiedz mi o Marshallu Baldwinie.

Bill Laszlo dopadł Cassidy, kiedy nalewała sobie kawy z ekspresu do kubka. Spojrzała na poranne wydanie „Timesa”, to samo, które widziała na stole w kuchni. Chase wyszedł z domu od razu po sprzeczce. Nie chciał, żeby go podwoziła. Wziął pickupa z automatyczną skrzynią biegów i jakoś udało mu się dojechać do miasta.

- Baldwin zginął w pożarze.

- Tyle to i ja wiem. Cholera, w końcu to ja napisałem ten artykuł. - Ruchem głowy wskazał krótką notkę zatytułowaną: „Businessman z Alaski zidentyfikowany”. - Ale kto to naprawdę był?

Cassidy wsypała do kawy śmietankę w proszku.

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz. Lepiej uważaj. To cię zabije. Pełno w tym konserwantów i innych świństw. Nie widzisz napisu: bezmleczne?

- Dziękuję za radę. - Wsadziła patyczek do mieszania do jednorazowego kubka.

- Słuchaj, Cassidy. Na pewno coś wiesz o Baldwinie.

- Wiem tylko to, co przeczytałam w gazetach, czyli to, co ty napisałeś. Był przemysłowcem z Alaski. Miał kilka tartaków, uprawę ziemniaków, chyba jakąś przetwórną rybą i sporo ziemi. Dawał dużo pieniędzy na cele charytatywne.

- Tak twierdzi jego agent od reklamy.

- A miał takiego?

Laszlo nie dał się zbić z tropu.

- Chcę wiedzieć, jakim był człowiekiem. Kim naprawdę był? Z tego, co słyszałem, nie miał rodziny. Czy to nie bezsens? Tyle forsy, a spadkobiercy nie ma. Ani nawet testamentu.

- Ktoś się upomni o jego pieniądze.

- Mam nadzieję. Chciałbym się dowiedzieć o nim czegoś więcej. - Wziął kubek z górnej półki. - A co mówi Chase?

Cassidy była ostrożna, ale uznała, że może powiedzieć Billowi to, czego dowiedziała się od Chase'a.

- Wiem tylko, że Baldwin przyjechał zaproponować Chase'owi, żeby obrabiał jego drewno.

- Wierzysz w to? Czy my wysyłamy drewno do Japonii? Na Alasce nie ma tartaków? Przecież on sam miał kilka.

- Laszlo nalał sobie trochę gorącej wody i zamoczył w kubku torebkę ziołowej herbaty.

Zadawał pytania, które i ją dręczyły. Nie chciała mówić mu o tym, że Chase nosił się z zamiarem sprzedania swoich udziałów w firmie Buchanana. Jeszcze nie teraz.

- Daj spokój, Cassidy, nie nabieraj nabieracza. Wiem, że jeszcze przed pożarem chciałaś od niego odejść. Chase ożenił się z fortuną Buchanana, a nie z tobą. A teraz nagle wszystko pięknie, ładnie? Małżeństwo kwitnie, a ty starasz się go chronić?

- Jeżeli mi nie wierzysz, zadzwoń do Chase'a - powiedziała ostrym, poirytowanym głosem.

- Dzwoniłem. Nie jest zbyt rozmowny.

- Może dlatego, że ma w szczęce druty.

- A może dlatego, że ma coś do ukrycia.

Wzięła kawę i poszła w stronę swojego biurka. Bill ruszył za nią.

- Zostaw mnie w spokoju, Bill. Mam robotę.

- Ja też.

- Więc się za nią zabierz i przestań mnie dręczyć, bo ja naprawdę nie mam informacji, o które ci chodzi.

Nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała. Cassidy przeszła między biurkami do swojego stolika. Selmy jeszcze nie było. Bill usiadł obok Cassidy. Spojrzała na komputer i chciała go wyłączyć. Straszny facet. Nie był złym dziennikarzem. Do tego cholernie uparty. Wzięła do ręki kubek z kawą i pociągnęła łyk. Była dla niej trochę za mocna. Zabrała się za artykuł, który zaczęła poprzedniego dnia.

Bill wyrzucił torebkę z herbatą do popielniczki Cassidy.

- Marshall zjawia się na Alasce w 1977 roku.

- I?

- Niecałe dwa miesiące po pożarze.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz. - Serce łomotało jej jak młotem i bała się, czy Laszlo tego nie słyszy.

- Nie miał rodziny. Ani przyjaciół. Nikogo. O ile wiem, przyjechał goły i wesoły. Nie miał nawet porządnego płaszcza. Wiesz, jak jest zimno na Alasce w listopadzie? Dostaje pracę, bierze gdzieś kredyt, żeby kupić sobie ciepłe ciuchy i wprowadza się do najtańszej nory. Twierdzi, że ma dwadzieścia dwa lata. A ile naprawdę, nikt nie wie. Mógł być młodszy.

- Albo starszy, jeżeli kłamał.

- Nie udawaj głupiej.

- Do czego zmierzasz. Bill?

- Pracuję nad hipotezą, że Marshall Baldwin mógł być Brigiem McKenziem.
Czy naprawdę wszyscy się nad tym zastanawiają?
Obserwował jej reakcję. Pił herbatę, nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Przesadziłeś.

- Chciałbym porozmawiać z Chase'em w cztery oczy, a potem z jego matką. Wiesz, że chyba widziano ją w górach?

- Co? - Cassidy omal nie wylała kawy. - Sunny się znalazła?

- To jeszcze nic pewnego, ale dwaj chłopcy, którzy byli na biwaku w lesie, wrócili do domu i powiedzieli matce, że widzieli czarownicę, siwowłosą kobietę, która śpiewała zaklęcia na małej polanie. Rzecz ja sna, może się okazać, że chłopaki kłamią. Będę z nimi rozmawiał, kiedy przesłucha ich policja. Znalazł się jeszcze rolnik, Dave Dickey, który ma gospodarstwo kilka kilometrów za miastem. Przyznał, że podwiózł kobietę z laską. To pewnie była twoja zagubiona teściowa. Wiesz, dokąd ją zawiózł?

- Nie.

- Do domu twoich rodziców. Tego samego dnia, kiedy uciekła. Tego dnia, kiedy zmarł Marshall Baldwin. Będę rozmawiał z tym rolnikiem, Dave'em. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, a „Times” opublikuje ją w mojej rubryce. Więc jeżeli się czegoś dowiesz, byłbym wdzięczny, gdybyś dała mi znać.

- Gdzie jest Sunny McKenzie? - rozległ się donośny głos Deny. Rex był w stajni i przyglądał się jak Mac, parobek, który był przy rodzinie odkąd Dena sięgała pamięcią, wyjeżdża z rancza swoją starą ciężarówką. W powietrzu unosił się tuman kurzu i zapach benzyny.

- Nie wiem, gdzie jest.

- Akurat. - Dena nie panowała nad sobą. Czowała, że ma rozpaloną twarz. Jej usta drżały z wściekłości. Przez ponad tydzień czuła się tak, jakby połknęła szklaną watę, ścisnęła ją w środku i kłuło. Lekarz przepisał jej tabletki, które miały ukoić jej nerwy, ale niewiele pomogły. Chociaż zwiększyła dawkę. - Słuchaj, Rex. Znosiłam o wiele za dużo przez te wszystkie lata. Wiedziałam o tobie i o Sunny...

Zrobił groźną minę i odwrócił wzrok, jakby nagle zainteresowały go kłaczki i ogiery, pasące się w drugim końcu pastwiska.

Dena nie dawała za wygraną. Do cholery, to było też jej życie.

- Przymykałam na to oczy, chociaż mnie to bolało. Ale nie pozwolę, żeby Sunny szwendała się przy domu. Na miłość boską, ona uciekła ze szpitala psychiatrycznego!

Rex podrapał się w kark i wpatrywał się w ogrodzone pastwiska, na których pasły się najdroższe konie w okręgu.

- Sunny jest najzdrowszą osobą, jaką znam.

- O Matko Najświętsza. Czy ty siebie słyszysz, Rex? Ona jest zdrowa? Kobieta, która zarabiała na życie wróceniem z ręki, słyszała głosy z zaświatów i miała wizje? Zdrowa? Dlatego podcięła sobie żyły? Na miłość boską, jak myślisz, dlaczego Willie jest nienormalny?

- Bo prawie się utopił. Dlatego. - Na policzki Rekxa wystąpiły rumieńce. Spojrzał na żonę. - To była moja wina.

- Twoja wina?

- Powinienem być od razu przyznać się, że jestem jego ojcem, a przynajmniej zapłacić Frankowi McKenziemu tyle, żeby mógł kupić odpowiedni dom dla swojej rodziny. - Rex zamknął oczy. - Byłem tchórzem, Dena. Bałem się, że stracę reputację. Ale teraz jest inaczej. Zadzwońię do Cassidy do redakcji. Niech to wydrukuję.

- O, Boże, Rex, nie...

- Najwyższy czas, Dena. - Uśmiechnął się do niej łagodnie, tak jak uśmiechał się do narwańców i nerwowo chorych. Nie był tym samym człowiekiem, za którego wyszła trzydzieści lat temu. Wtedy był silny. Mocny. Był najpotężniejszym człowiekiem w trzech stanach. Teraz, na starość, osłabł, szukał spokoju, czekał na to, żeby na zawsze przenieść się na cmentarz i uwolnić od przeszłości.

- Bóg mnie ukarał za moje tchórzostwo. Najpierw Lucretia, potem wypadek Buddy'ego, a potem... potem Angie.

- Głos mu się załamał.

- Bóg cię nie karze.

- Oczywiście, że tak. - Rex zdjął kapelusz, przyglądał włosy i zmarszczył czoło, zakładając kapelusz z powrotem na głowę.

- Nie pozwolę, żebyś zrujnował mi życie. Ani Cassidy.

- Prawda nie rujnuje.

- Prawda jest taka, że twoja pierwsza żona była zimną suką, która postanowiła skończyć ze sobą w garażu. Sunny McKenzie jest tylko stukniętą dziwką...

- Przestań! - syknął. Przestraszył żrebaka, który stał w sąsiednim boksie. Koń zarżał przerażony i wierzgnął nogami. Wielkie dłonie Rekxa zacisnęły się w pięści. - Nigdy, ale to nigdy, nie waż się obrażać Lucretii, Sunny ani Angie. - Podszedł do niej. Z wściekłości drżały mu nozdrza. Był sztywny i wyprostowany, dlatego wydawał się o pięć centymetrów wyższy niż przed kilkoma sekundami. W jego oczach pojawił się dawny blask. - Jeżeli jeszcze

raz usłyszę, że źle o nich mówisz, to osobiście wleję ci pasem, a potem się z tobą rozwiodę.

- Nie zrobiłbyś tego. Przecież jesteś wierzący.

Uśmiechnął się szyderczo.

- W porządku. Jeżeli się nie rozwiodę, to cię zabiję. Proste. Myślę, że Bóg mi jakoś wybaczy. - Odwrócił się i wszedł do stajni. Dena, która ledwie nad sobą panowała, przyglądała się, jak wybiera numer wewnętrzny telefonu. Oparła się o płot i z przerażeniem usłyszała urywki rozmowy Rekxa z Cassidy, ich córką, której prawie nie zauważał, gdy żyła Angie. Kazał jej wydrukować wszystko o Sunny McKenzie i o tym, że urodziła Reksowi Buchananowi dziecko, Buddy'ego McKenzie, znanego jako Willie Ventura, który od tego dnia będzie uznany za jego syna. Będzie się nazywał Willie Buddy Buchanan.

- O Boże, nie. - Pod Dena ugięły się kolana. Oczami wyobraźni już widziała skrywane uśmiešky, które zauważy kątem oka, gdy będzie klękać na mszy, szepty na tyle głośne, że idąc przez miasto bez przerwy będzie słyszeć imię Sunny, chrząkanie i chichoty na oficjalnych spotkaniach. Część jej duszy umarła. Była przerażona i poniżona. Nie dawała jej spokoju myśl, że jest tylko sekretarką Rekxa, która miała na tyle rozsądku, żeby zająć w ciążę po śmierci Lucretii, świętej Lucretii, i zostać następną panią Buchanan. Ale zawsze była tą następną. Żoną numer dwa. Nigdy nie miała takiego wpływu na męża, jaki nawet zza grobu miała Lucretia. Ani nie fascynowała Rekxa tak, jak Sunny McKenzie, półkrwi Indianka, wróżka.

Usłyszała, że Rex odkłada słuchawkę. Znowu stanął przy niej, mrużąc oczy w ostrym słońcu. Jego wściekłość zniknęła. Zachowywał się tak, jakby dopiero co odszedł od konfesjonału albo dał na cele charytatywne czek wartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Ulżyło mi, Dena - przyznał, uśmiechając się zyczliwie. Nie przypominał w niczym człowieka, który przed chwilą groził, że ją zabije. - O wiele za długo z tym zwlekałem.

Ale z niego prostak. Już dawno stracił wigor, dzięki któremu tak dobrze mu się wiodło.

- Boże, Rex, nie masz pojęcia, co zrobiłeś.

- Oczyszciliem sumienie, kochanie - wyjaśnił jej czule, zupełnie jakby mówił serio. - Odzyskałem spokój.

- I co teraz?

Spojrzał w czyste i błękitne niebo.

- Teraz mogę umrzeć w każdej chwili, gdy Bóg zechce mnie zabrać do siebie.

Czasami w domu atmosfera była tak napięta, że Cassidy nie mogła tego znieść. Groźne spojrzenia, krótkie odpowiedzi, wszechobecne wrażenie nadciągającej burzy, która może rozszałeć się w każdej chwili, kiedy byli razem w pokoju. Chase zatopił się w pracy, którą posłaniec przynosił z biura, albo zajęty był ćwiczeniami rehabilitacyjnymi z terapeutą, który przychodził dwa razy dziennie, rano i po południu. Zawziął się, żeby dojść do formy najszybciej jak to możliwe.

Starał się nie przebywać z Cassidy sam na sam, ale nie miała wątpliwości, że czasami się jej przygląda bez wrogości. Nie potrafił być nieczuły na jej wdzięki tak, jak by tego chciał. Czula żar jego spojrzenia na plecach, gdy pływała w stawie.

Każdego lata, wcześniej rano, zaraz po wschodzie słońca, kiedy woda była jeszcze lodowata, a gwiazdy zaczynały dopiero znikać, zabierała ręcznik i szła nad staw. Zrzuciła szlafrok na brzegu i pływała nago. Robiła tak zawsze, odkąd mieli staw. Na początku Chase często wchodził za nią do wody. Przez kilka minut się jej przyglądał, a potem do niej podpływał. Kochali się w wodzie albo zanosił ją roześmianą do domu i rzucał mokrą i zziębniętą na łóżko.

Po latach przestał do niej przychodzić, przestał okazywać jej zainteresowanie, przestał się z nią kochać. Zastanawiała się, czy ma kochankę, ale to nie było w jego stylu. Nie miała zresztą żadnego dowodu, ani nie słyszała plotek o tym, że ma romans. Raz go nawet o to spytała. Wyśmiał ją. A potem się z nią kochał. Nie czule, ale dziko, ze złością, jakby starał się wyrzucić z siebie demony, które trzymał w tajemnicy przed nią.

Teraz znowu zwracał na nią uwagę. Zawięzała mocno pasek szlafroka talii i wyszła tylnymi drzwiami, które zamknęły się z trzaskiem. Szła boso alejką, która przecinała ogród i trawnik. Płytki się skończyły i Cassidy znalazła się na piaszczystej ścieżce, wijącej się wśród spalonej słońcem trawy, która łaskotała ją w łydki i kolana, kołyszając się na wietrze.

Jak zawsze, odkąd zrobiło się gorąco, zostawiła szlafrok pod drzewem, zrobiła trzy kroki na piaszczystej plaży i wbiegła do wody. Była zimna niczym arktyczny prąd. Paliła ją w skórę. Zanurkowała głęboko i opłynęła staw. Poczula mrowienie na ciele. Wyplnęła na powierzchnię lodowatej wody, odgarnęła włosy z oczu i wzdrygnęła się z zimna.

- Fajnie? - Miała wrażenie, że głos Chase'a poniósł się echem w porannym powietrzu. Stał na brzegu, wsparty na kuli, w znoszonych dżinsach bez jednej nogawki z powodu gipsu. Nie miał na sobie koszuli. Dwa tygodnie temu zdjęli mu opatrunek z oka.

- Wspaniale. - Szła przez wodę, świadoma, że jej piersi są białe w ciemności, a okrągłe brodawki widać spod fal. Tak samo, jak Angie, kiedy przed laty zwabiła Briga do basenu. - Może się przyłączyć?

- Chyba nie. Z gipsem mógłbym utonąć.

- Uratowałabym cię.
Twarz Chase'a nieco się odprężyła.
- Nie musisz być moją wybawicielką, Cass. Nie jesteś mi nic winna.
Wiatr szemrał nad stawem i marszczył powierzchnię wody. Szare światło świtu nad szczytami gór na wschodzie szybko zamieniło się w złoto.
- Jestem twoją żoną.
Przeszył ją wzrokiem. Jego twarz zaczynała odzyskiwać dawny kształt. Nie był taki sam, ale przynajmniej stawał się do siebie podobny. Podobny do człowieka, któremu przysięgała, że będzie z nim na zawsze.
- Nie powinienem był tu przychodzić.
- To dlaczego przyszedłeś? - Podpłynęła do brzegu.
- Nie mogłem spać. - Nie spuszczał z niej wzroku. Nawet w zimnej wodzie czuła jego gorące spojrzenie. Dostała gęziej skórki. Jej stopy znalazły dno. Żadne z nich nie mogło wyprzeć się pożądania, ale oboje je ignorowali. Tak było bezpieczniej.
- Ja też nie. - Wyszła z wody, wykręcając mokre włosy. Zachowywała się tak, jakby nie było nic niezwykłego w tym, że stoi przed nim naga.
- Nie popływałaś sobie.
- To nic. - Szlafrok leżał na ziemi, ale ona nie zwróciła na niego uwagi. Przyglądała się Chase'owi i poczuła dławienie w gardle, bo uświadomiła sobie, że się zmieniła i że nie potrafi powstrzymać uczuć, których nawet nie jest w stanie zrozumieć. Przeszedł ją dreszcz. Chase nie odwrócił od niej wzroku.
- Chase...
Zamknął oczy.
Objęła go w pasie zmarzniętymi ramionami. Zadrżał pod dotykiem jej mokrej skóry.
- Ubierz się, Cassidy - wymruczał bez przekonania. - Nastawiłem kawę.
- Nie chcę kawy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. - Podniosła głowę i zobaczyła błysk ciekawości w jego oczach.
- Czego chcesz?
Nie odpowiedziała. Czekala.
Chase zacisnął mocno szczęki, chociaż częściowo były jeszcze unieruchomione.
- Ja nie mogę...
Pocałowała go. Przycisnęła mokre usta do jego klatki piersiowej. Miał na skórze blizny, ślady poparzenia i zadrapania, które już się zagoiły. Nie drgnął.
- O Boże. - Wydał z siebie gardłowy dźwięk. - Nie...
Nie przestała. Odnalazła językiem jego brodawkę.
Westchnął rozpaczliwie i zanurzył palce w jej mokrych włosach. Odepchnął jej głowę ze złością.
- Nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz dokończyć. Cass, ja...
Jej palce znalazły guzik rozporoka. Pasek odpiął się z głośnym trzaskiem, a potem rozległ się głuchy odgłos rozpinanych guzików.
- Nie... Mówiłem ci, żebyś mnie nie dotykała. - Zgrzytające, raniące słowa. Kłamstwa.
- Chase, proszę, pozwól mi...
- Nie!
Czuła jednak, że się poddaje. Metalowa kula zachwiała się i z hukiem upadła na piasek. Oparł się o nią i utrzymał na nogach, obejmując ją zdrową ręką. Przyciągnął ją bliżej.
- Jesteś niebezpieczna - wymruczał.
- Ty też.
Upadli na ziemię. Cassidy zaczęła całować jego pokiereszowaną twarz. Czuła jego usta na swoich, smakowała go i zupełnie straciła panowanie nad sobą. Chase był ciepły, twardy i podniecony. Świt przepędził gwiazdy i budził się letni poranek, a ona leżała przy nim, kochała się z nim, zanurzała się w jego usta i czuła, jak jego ręka dotyka jej stwardniałej brodawki.
Błądziła palcami po jego skórze, opinającej żebra i silne mięśnie. Pod jej dotykiem ciało Chase'a stawało się jeszcze twardsze.
- Nie wiesz, co robisz. O, Boże...
Wsunęła mu ręce w slipy. Opuszkami palców musnęła jego umięśnione udo. Ujęła jego męskość w zimne palce.
Jęknął i zamknął oczy. Przycisnął ją mocniej do siebie i przyciągnął. Siedziała na nim okrakiem. Jej piersi podskakiwały i kołysały się nad nim. Dotknął jej, najpierw delikatnie, a potem bardziej śmiało. Przytrzymał ją poparzoną ręką, a zdrową pieścił jej ciało. Zaczęła się wyginać w swoim rytmie, dając mu siebie. Dwie dumne piersi ze stwardniałymi brodawkami kołysały się nad jego twarzą.
Kiedy dotknął jej językiem, przeszedł ją dreszcz. Westchnęła tak delikatnie, jakby to wiatr zaszemrał. Czuła na plecach pierwsze promienie słońca.
- Cassidy. - Jego głos był przepełniony uczuciem, którego nie rozumiała. - Nie możemy...
Uspokoila go pocałunkiem. Słowa były niepotrzebne. Mogły zniszczyć piękno poranka. Zamknęła oczy i

przysłuchiwała się swojemu ciału, pożądaniu, które płynęło w jej żyłach, uniesieniu, które przepelniało jej serce.

Najpierw ssal jej pierś delikatnie, całując i smakując, a potem zaczął robić to bardziej namiętnie. Przyciągnął ją szybko do siebie. Serce Cassidy waliło jak młotem, miała przyspieszony, urywany oddech.

- Słodka Cassidy. - Wyszeptał ochryplym, spragnionym głosem.

Jej palce czyniły cuda. Dotykała go, całowała, kochała. Wiedziała, że gdy jego chora noga wydobrzeje, nie wystarczy jej samo dotykanie. Nie próbował jej powstrzymać. Poddawał się czarowi jej dotyku, wyciągając się, gnąc i walcząc z nieuniknionym. W końcu znalazł się u szczytu, który okazał się krótką konwulsją. Oderwał się od ziemi, a potem opadł na nią z powrotem.

Chwycił mocno Cassidy i przyciągnął do siebie.

- Nie musiałaś...

- Ćśś... - wyszeptała mu w pierś. - Przyszedł na to czas.

- Ale ty nie...

- Nie szkodzi.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Połóż się na plecach.

- Co...?

- Twoja kolej.

Roześmiała się.

- Nie liczę punktów. - Wyciągnęła rękę po szlafrok. - Nie musi być remisu.

- Oczywiście, że musi. - Przytrzymał rękę Cassidy swoją silną dłonią. Materiał ześlizgnął jej się z ramienia.

- Chase...

Był nieugięty. Szybko przewrócił ją na plecy i przytrzymał ją przy ziemi nogą w gipsie. - Zaczął swoje misterium. Dotykał jej powoli. Jednym palcem błędził wzdłuż kręgosłupa, a wargami odnajdował miejsca i zagłębienia, o których istnieniu dawno zapomniała.

Badał ją doświadczonymi palcami i językiem. Zalewało ją ciepło przenikające do głębi. Jej ciało, od dawna lekceważone, zaczęło płonąć. Była spocona. Chase powoli rozchylił jej nogi i zanurzył palce w jej ciepłej kobiecości. Świat zaczął wirować wokół niej. Wygięła się na piasku niecierpliwie, a on całował jej brzuch, piersi i uda. Nie mogła tego powstrzymać. Poczula, że zbliża się do szczytu. Wyszeptał jej imię.

- Cassidy, och, kochanie...

Świat eksplodował.

Przed jej oczami wybuchły światła i rozprysnęły się w miliony kolorowych iskier, które zmieszały się głęboko w jej sercu i pobiegły daleko, na krańce wszechświata. Leżała zdyszana, upajając się widokiem Chase'a i zastanawiając się nad ich przyszłością. Razem? Osobno? Paliło ją pragnienie poznania przyszłości, chęć zaufania mu i kochania go. Chciała zapomnieć o wszystkim innym.

- Zadowolona? - spytał opanowanym głosem. Siedział na piasku obok niej. Jakoś udało mu się pozapinać guziki u spodni. W oczach miał żal.

- Tak, ale...

- Tego chciałaś, prawda? - Słowa raniły jak ostrze noża. Na jego twarzy malowało się coś więcej niż złość. - Teraz jedynie tyle mogę ci dać.

- Nie rozumiem...

Patrzył na staw.

- Chciałaś mnie uwieść i udało ci się.

- Ja, uwieść ciebie? - Nagle otrzeźwiała. Złość zduśliła ostatnie promyki rozkoszy. - Przecież to ty za mną tutaj przyszedłeś.

- Tak, jak chciałaś. Wiedziałaś, że nie mogę się powstrzymać.

- Ja nie...

- Nie kłam, Cassidy. - Stał, wspierając się na kuli i patrzył na nią z góry. Jego usta, przed chwilą takie ciepłe i kochające, teraz były zacięte i tworzyły płaską, złowrogą linię. - To nie w twoim stylu.

Czar poranka prysł.

- Ubierz się. - Wbił kulę w piach. - Jeszcze cię ktoś zobaczy i dostaniesz więcej, niż chcesz.

- Ty arogancki, samolubny sukiny! - wrzasnęła. - Myślisz, że ja...

- Nie wiem, co myśleć, Cassidy. Dlatego, że tak naprawdę cię nie znam.

- Chase...

- A ty nie znasz mnie.

Pokuśtykał do domu. Została sama. Wpatrywała się w napięte mięśni śnie jego pleców. Nie miały blizn, były gładkie i przypomniały jej, jak bardzo pragnie jego dotyku, jak bardzo chce się z nim kochać i jak jest zdesperowana.

Idiotka - wymruczała do siebie. Kopnęła piach, zarzuciła szlafrok na ramiona i zawiązała pasek. Patrzyła, jak Chase znika za patio i opanowało ją dziwne wrażenie. Poczula coś innego niż wściekłość. Coś głębszego i

niepokojącego, czego za żadne skarby świata nie była w stanie zrozumieć.

20

Cassidy rzuciła torebkę na kanapę w gabinecie i zdjęła buty. Była sama. Znowu. Jak przed pożarem.

Chase trzymał się z daleka. Od niej. Od domu. Spędzał całe godziny w biurze w mieście albo u terapeuty, albo gdziekolwiek indziej, byle nie w domu. Często wychodził zanim ona wstała i nie było go do północy albo dłużej.

Czuła, że coraz bardziej się od niej oddala. Chciała z nim porozmawiać, ale wymawiał się pracą. Twierdził, że musi odbudować tartak i doprowadzić do tego, żeby robota szła pełną parą. W pożarze spłonęły plany budowy nowego biura, które miało zastąpić metalowy barak. Dział rachunkowości starał się odtworzyć wydatki, przychody i rubryki zysków i strat, przeszukując ocalałe dokumenty, dzwoniąc do firm, które kupowały drewno, do przedsiębiorstw transportowych i dostawców drewna, próbując w ten sposób zebrać dane. Chase twierdził, że nie widać końca tej pracy, ale Cassidy podejrzewała, że szuka wymówki, żeby jej unikać.

Może jest już dla nich za późno?

Pływała każdego ranka, ale Chase nigdy więcej za nią nie wyszedł, a kiedy go dotykała, zawsze szybko się odsuwał. Nie chciał rozmawiać o tym, co zaszło między nimi tamtego poranka przy stawie. Kiedy poruszała ten temat, wychodził z pokoju albo stwierdzał dosadnie:

- To był błąd. Nie rób z tego wielkiego halo.

Czasami jednak przestawał się pilnować, a wtedy widziała jego inne oblicze, skromnego człowieka z poczuciem humoru, któremu nieobce są wyrzuty sumienia.

Jego stan fizyczny stopniowo się poprawiał. Mógł już swobodnie jeździć samochodem do miasta, bez problemów poruszał się po domu i patrzył obojętnie. Wyglądało na to, że wszystko będzie dobrze. Blizny na twarzy były jeszcze widoczne, bo poparzona skóra nie zdążyła się zagoić, ale kiedyś Chase będzie wyglądać jak dawniej, będzie chodził bez kul, będzie tym samym człowiekiem, od którego postanowiła odejść.

A kiedy całkowicie wydobrzeje, nie będzie żadnego powodu, żeby mieszkał w tym domu. Nie będzie żadnego powodu, żeby utrzymywać to małżeństwo. Nie miała pojęcia, dlaczego nagle stało się to dla niej takie ważne. Przed pożarem była o krok od tego, żeby się z nim rozwieść. Ale dopiero to straszliwe wydarzenie uświadomiło jej, jak niewiele brakowało, żeby straciła męża na zawsze. Wiedziała też ponad wszelką wątpliwość, że jego brat nie żyje.

Potwornie bolała ją głowa. Wzięła dwie aspiryny i przyniosła sobie kawę do gabinetu. Nie zwracała sobie głowy kolacją. Zbyt wiele wieczorów czekała chociażby na telefon od Chase'a, na darmo podgrzewając kolację na wolnym ogniu. Godziny mijały, ona traciła apetyt, a świeceki się dopalały.

Pomasowała sobie kark, wybrała kilka ulubionych płyt kompaktowych i wsunęła je do odtwarzacza. Muzyka wypełniła pokój. Cassidy otworzyła teczkę i włożyła dyskietkę do komputera. Nucąc piosenkę razem z Paulem McCartneyem, drukowała informacje zebrane w pracy. Informacje o obu pożarach i o Marshallu Baldwinie. Kilka ostatnich dni spędziła w redakcji, łącząc się za pomocą poczty elektronicznej z agencjami prasowymi z całego kraju, zwłaszcza z terenu Los Angeles w Kalifornii i z Alaski. Miała nadzieję, że dowie się czegoś o wcześniejszym życiu Baldwina, ale jak na razie na nic się nie natknęła. Wyglądało na to, że ten człowiek nie istniał, zanim przeprowadził się na północ.

Jego życie zaczynało się od momentu, kiedy dostał pracę przy rurociągu. Cassidy zamknęła pióro i przejrzała notatki. Kiedy Bill Laszlo pytał ją o Marshalla Baldwina, niewiele o nim wiedziała, jednak z każdym dniem dowiadywała się coraz więcej. Skontaktowała się z kolegą, z którym pracowała w Denver, a który potem przeniósł się do stacji telewizyjnej w Juneau. Zadzwoiła do gazet, na policję, do urzędu meldunkowego, a nawet do człowieka, który podobno miał zdolność odnajdywania ludzi. Nazywał się Michael Foster, był przykuty do wózka inwalidzkiego i miał system komputerowy połączony z agencjami na terenie całych Stanów Zjednoczonych i świata. Słyszał z tego, że jest w stanie odnaleźć ludzi, nawet jeżeli nie chcą zostać znalezieni. Cassidy nie miała pojęcia, czy miał dostęp do baz danych urzędu statystycznego, Biura Bezpieczeństwa Narodowego czy telekomunikacji, ale nie ulegało wątpliwości, że sparaliżowany Foster jest genialny. Dowiedziała się o nim pięć lat temu i chciała do niego zadzwonić, żeby pomógł jej odnaleźć Briga, ale doszła do wniosku, że to nie najlepszy pomysł, bo i bez tego nie było jej łatwo w małżeństwie. Jednak teraz nic nie stało na przeszkodzie, żeby zadzwonić, zapytać o Briga i wszystkich, którzy mieli jakkolwiek związek z Marshalllem Baldwinem.

Wynajęła również prywatnego detektywa z Anchorage, który był gotów zbadać każdy szczegół z życia Marshalla Baldwina, prześledzić jego historię od początku, od czasów, kiedy był nikim i pracował przy rurociągu.

Oswald Sweeny, prywatny detektyw, był człowiekiem niepozornym, ale dociekliwym. Niedawno w Oregonie pomagał odnaleźć zaginionego spadkobiercę. Sweeny zapewnił Cassidy, że nie będzie szczędził sił i przekopie całą tundrę, żeby dowiedzieć się wszystkiego o samotnym milionerze z Alaski.

Nikt, nawet Chase, nie wiedział, że wszczęła takie poszukiwania. Bo tak naprawdę nikt nie zrozumiałby, co nią kierowało. Nie powodowała ją próżna ciekawość. Chciała dowiedzieć się prawdy, bo wiedziała, że nie znając odpowiedzi na pytania, które dręczyły ją od siedemnastu lat, bez poznania przyczyn niedawnego pożaru i historii Marshalla Baldwina, ona i Chase nigdy nie zdołają na nowo się odnaleźć.

Ich małżeństwo było zbudowane na piasku, nie na skale. Dlatego teraz powoli i w sposób nieunikniony zaczęło się walić. Wiedziała, że nigdy nie będą w stanie sobie zaufać i wyjść z potrzasku, jeżeli nie poznają prawdy.

Kiedy przeglądała notatki, włączył się fax i zaczęły z niego wychodzić zadrukowane kartki. Zmarszczyła czoło i przeczytała wiadomości. Sweeny powoli rozgryzał Baldwina. Dotarł do kobiety, z którą Baldwin spędzał czas w Fairbanks. Była skłonna opowiedzieć wszystko, za pięć tysięcy dolarów. Emerytowany parobek z załogi zatrudnionej do pracy przy rurociągu pamiętał Marshalla jako porządnego, pracowitego, spokojnego i przystojnego mężczyznę, który musiał opędać się od kobiet. Były też inne wątki, w większości prowadzące donikąd, bo tak naprawdę chyba nikt nie poznał Baldwina. Sweeny nie przestawał szukać.

Cassidy westchnęła, spięła kartki i dołączyła je do rosnącej sterty w szufladzie biurka. Wyciągnęła gruby plik dokumentów - wycinki z gazet, raporty policyjne i straży pożarnej, zdjęcia i wszystko, co znalazła na temat pożaru, w którym zginęli Angie i Jed. Zawsze gdy patrzyła na fotografię Angie, ogarniało ją poczucie wszechogarniającego smutku. Nigdy nie lubiła Jeda Bakera, ale nie życzyła mu śmierci. Jego rodzina nie przeboleła straty syna. Kiedy okazało się, że nie znaleziono sprawcy pożaru, Bakerowie zarzucili szeryfowi nieudolność. Potem przeprowadzili się do Oregonu i osiedli gdzieś na Środkowym Zachodzie, z dala od wspomnień i bólu. Cassidy wołała zostawić ich w spokoju, żeby nie wywoływać duchów przeszłości. Zwróci się do nich o pomoc, dopiero gdy będzie musiała. Jeśli będzie to konieczne, żeby odnaleźć sprawcę obydwu pożarów, albo jeżeli dzięki temu mogłaby się dowiedzieć czegoś więcej o Marshallu Baldwinie. Albo o Brigu.

Trzymając w ustach koniec pióra, przekartkowała dokumenty. Jej palce natrafiły na zdjęcie Marshalla Baldwina, zamyślnego i tajemniczego. Kim był? Może to nie Brig. Może był tylko podobny do McKenziech i z jakichś powodów ukrywał swoją przeszłość. Może miał trudne dzieciństwo, może uciekał przed prawem albo przed obowiązkami wobec żony i dzieci, z którymi nie chciał mieć do czynienia. Mógł być zamieszany w jakąś nielegalną działalność i uciekać przed mściwym współnikiem, przed mafią lub milionem innych rzeczy.

Albo był to Brig McKenzie, a Chase kłamie. Znowu.

Zamknęła na chwilę oczy i słuchała McCartneya, śpiewającego *Yesterday*, dawny przebój Beatlesów. Ścisnęło ją w gardle.

Wczoraj tak łatwo było kochać...

Czego mógł chcieć Baldwin? Dlaczego ze wszystkich tartaków na Północnym Zachodzie wybrał akurat tartak Buchanana i dlaczego, jeżeli chciał zrobić interes z korporacją Buchanánów, nie zadzwonił do Derricka albo do ojca? To nie mogła być cała prawda. Chase, który spotkał się z Baldwinem, nie mówił wszystkiego.

Och, wierzę we wczoraj.

- Przestań - wymruczała sama do siebie i zmieniła płytę na mniej melancholijną.

Zrobiła kilka notatek. Spisała pytania, na które chciała znaleźć odpowiedź. Potem przepisała je na komputerze, sprawnie poruszając pacami po klawiaturze. Czy istnieje związek między dwoma pożarami?

Czy Marshall Baldwin był sprawcą, czy ofiarą? Co z Chase'em? Co z Williem? Z innymi członkami rodziny Chase'a? Gdzie jest Sunny? Czy zaplanowała ucieczkę ze szpitala? Z tego, co Cassidy wiedziała, jakiś rolnik podwiózł Sunny do posiadłości Buchanánów, ale Rex i Dena twierdzą, że jej nie widzieli. Może pojechała odwiedzić Williego? Pytania mnożyły się. Jej myśli zataczały szerokie kręgi, ale w końcu i tak wracała do punktu wyjścia.

W uszach pobrzmiwały jej słowa Felicity. Co ona mówiła? Cassidy skupiła się. Coś o tym, że ma nadzieję, że ten facet ze szpitala umrze, żeby oni nie musieli się bać kolejnego pożaru. O ile to Marshall Baldwin był podpalaczem i jeżeli działał sam. Ale jeśli był w zмовie? Może przyjechał, żeby zemścić się na Chasie... Ale za co?

Była tak pochłonięta pracą, że nie zauważyła, kiedy wszedł. Muzyka grała głośno i Cassidy nie usłyszała hałasu silnika, odgłosu opon na żwirze ani trzasku szklanych drzwi. Wydawało jej się, że na ekranie komputera zobaczyła ducha, ale zorientowała się, że to odbicie Chase'a. Serce w niej zamarło. Odwróciła się i zobaczyła, że czyta jej notatki.

- Zajęta jesteś, co? - spytał ostrym tonem. - Więc znowu zabawiasz się w dziennikarkę i detektywa? Wiedziałem.

Próbował ją sprowokować do kłótni. Miał surowy wyraz twarzy i zaciskał palce na kuli.

- Nie robię tego dla gazety.

- Oczywiście.

Nie uwierzył jej.

- Wiedziałeś, że jestem dziennikarką, kiedy się ze mną żeniłeś.

- A ty z zalem zostawiłaś pracę przed kamerą, żeby się tu przeprowadzić i pracować dla gazety.

- Nigdy nie robiłam z tego problemu.

Mruknął z niesmakiem i pokręcił głową.

- Zawsze się zastanawiałem, jak to się stało, że dziewczyna, która więcej czasu spędzała z końmi niż z rówieśnikami, została dziennikarką.

- Przecież wiesz. Musiałam wyjechać. W domu po śmierci Angie było... było nie do zniesienia. - Dlaczego znowu mu to wszystko tłumaczy? Na obronę powiedziała: - Słuchaj, próbuję zrozumieć, co się stało. - Nacisnęła klawisz

klawiatury, zapisała notatki w pamięci komputera i wyłączyła go.

Chase jedną ręką opierał się o futrynę. Ciągle wspierał się na jednej kuli, ale szczękę miał już zdrową. Jego stan polepszał się z każdym dniem. Coraz bardziej stawał się podobny do człowieka, za którego wyszła za męża. Doktor Okano uprzedził ją, że nigdy nie będzie wyglądał tak samo, że będzie musiał przejść skomplikowane operacje plastyczne, żeby jego złamany nos, zmiażdżone kości policzkowe i szczęka wyglądały jak kiedyś, ale że będzie niczego sobie mężczyzną. Już teraz można było tak o nim powiedzieć. Mimo blizn i zaczerwienień, Chase był przystojny.

Kiwnął głową w stronę komputera.

- Nie możesz zostawić tego policji? Stary T. John robi wszystko, żeby złapać tego faceta.

- To mi właśnie nie daje spokoju, Chase. Dlaczego tobie nie zależy na tym, żeby się dowiedzieć, co się stało i dopaść tego sukinsyna, który ci to zrobił.

- Zależy mi. Ale nie chcę, żeby to stało się moją obsesją. Spójrz. - Wskazał ręką biurko, zarzucone notatkami i artykułami, wśród których stała filiżanka z kawą. - Chyba nie jesteś w stanie myśleć o niczym innym. - Jego wzrok spoczął na zdjęciu Marshalla Baldwina. Zaciął usta. - Nie wiem, czego chcesz się dowiedzieć, Cassidy, ale obawiam się, że się rozczarujesz.

- Dlaczego?

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią gniewnie.

- Usiłujesz odnaleźć Briga, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Nie, ale...

- Nie? - Nie dawał za wygraną. Jego głos był stanowczy i zagadkowy.

- Chcę poznać prawdę.

- Tak? - Zmarszczył brwi. - A jeżeli okaże się, że Baldwin to był Brig i że nie żyje? Co wtedy?

- Przynajmniej będę miała pewność.

- Jesteś beznadziejna! - Czy pod tymi oschłymi słowami mogła kryć się tęsknota? - Grzebiez w popiołach.

- Ten mężczyzna, gdy umierał, ścisnął w ręce medalik świętego Krzysztofa.

- I co z tego?

- Ja... Dałam Brigowi taki medalik tej nocy, kiedy uciekł. - Dygotała, a serce waliło jej jak młotem, bo w końcu wyznała to, o czym nie wiedziała żadna żywa istota na tej ziemi, nawet jej własny mąż. Podejrzewał, że oddała dziewictwo jego bratu, ale nigdy jej o to nie zapytał, zresztą oboje unikali tego tematu. Nie rozmawiali o swoich dawnych miłościach.

- Byłam z nim tamtej nocy, Chase. Widział pożar i przysięgał, że to nie on podpalił tartak. Uwierzyłam mu, namówiłam, żeby wziął Remmingtona i... i dałam mu łańcuszek z medalikiem.

- Jezu... - Pokuśtykał do barku i wziął butelkę. - Nie chcę słyszeć nic więcej.

- Wydawało mi się, że go kochałam.

- Robi się coraz lepiej - zakpił. - Przypuszczam, że i on kochał ciebie. - Chase nalał alkohol do szklanki.

- Nie sędzę.

- Więc jak? Myślisz, że cię nie kochał, a wspominasz go przez wszystkie te lata? To nie do wiary, Cassidy. Całkiem nie do wiary. - Pociągnął duży łyk, a potem otarł usta rękawem. Jego twarz była blada i wykrzywiona, jakby toczył z góry przegraną bitwę z długo skrywanymi uczuciami.

- Słuchaj, wiem, że popełniłam błąd. Wiem, że ty i ja mieliśmy niepisaną umowę, że nie będziemy rozmawiać o naszych doświadczeniach sprzed małżeństwa, ale...

- Ty naprawdę z nim spałaś. - Stwierdził bez żadnego potępienia.

- Tak.

- Boże. - Jego oczy spotkały jej wzrok w lustrze nad barkiem.

- Domyślałaś się tego.

- Nie chcę słuchać obscenicznych szczegółów.

- Słuchaj. - Podeszła do niego. Zauważyła, że zeszywniał. - To wszystko musi się skończyć. Choć jestem przekonana, że T. John ma najlepsze intencje, nie jestem pewna, czy będzie w stanie to wszystko poskładać. - Wzięła od niego szklankę i pociągnęła łyk. Whisky podrażniła gardło i zaczęła palić w przetyku. - Chcę to po prostu doprowadzić do końca. Dla nas.

Jego oczy pociemniały.

- Dla nas?

- Tak trudno ci w to uwierzyć?

- Cholernie trudno. - Zabrzmiało to jednak bez przekonania. Wpatrywał się w nią długo i uporczywie. Przyglądał się jej twarzy, jakby zobaczył ją po raz pierwszy od lat. Podeszedł do niej i dotknął jej policzka lekko drżącymi palcami. Czule. Wtuliła się w jego dłoń.

- Wielu ludzi nosi medaliki, naszyjniki, krzyżyki, gwiazdy - tłumaczył. Oddychał nierówno.

- Wiem.

Dotknął kciukiem jej kości policzkowej.

- Nie możesz wiązać nadziei i marzeń z kawałkiem metalu.

- Wiem.

Jego dłoń powoli zsunęła się do zagłębienia szyi. Przyglądał się jej badawczo. Była pewna, że ją pocałuje. Czowała bicie serca w szyi. Wzrok Chase'a spoczął na jej ustach. Jej serce zaczęło łomotać w oczekiwaniu. Dawno nie patrzył na nią z takim pragnieniem. Tak dawno...

Zaschło jej w gardle. Zwróciła ku niemu twarz.

- Możemy się postarać.

- Dlaczego tego chcesz?

- Bo... cię kocham.

Spojrzał na nią chłodno.

- Nie kręć, Cassidy. Nie wierzę... Nie mogę uwierzyć... Cholera! Dłużej tego nie wytrzymam! - Gwałtownie wyrwał jej z rąk drinka i pociągnął duży łyk, a potem ze złością wstawił szklankę do porcelanowego zlewu, za który zapłacił tysiące dolarów. Na powierzchni zrobiła się rysa, ale najwyraźniej nie przejął się tym bo nawet nie drgnęła mu powieka. - Rysy zejdą. - Odsunął się od niej, jakby zapomniał, co przed chwilą było między nimi.

Cassidy nie mogła tak tego zostawić. Wyciągnęła do niego rękę.

- Chase...

- Nie, Cass... - ostrzegł, ale w jego głosie nie było złości, a jedynie ból.

Zagryzła wargę.

- Jak długo masz zamiar mnie odtrącać?

Postawił kulę przed sobą i pokuśtykał do drzwi.

- Daj spokój, Cassidy. Dla dobra nas obojga. Na razie lepiej będzie, jeżeli oboje damy sobie spokój.

Derrick otworzył szklane drzwi prowadzące na piętro Korporacji Buchananów. To było to. Jego imperium. Dorastał w przekonaniu, że stanie się dziedzicem. Powtarzano mu, że któregoś dnia to wszystko będzie jego. Nie miało znaczenia, że Rex Buchanan miał dwie córki. To jego syn miał zostać następcą cara.

Gdyby Chase McKenzie nie wszedł mu w paradę. W dodatku stary Buchanan szanował tego mieszkańca z prawniczym dyplomem. Derrick nigdy nie przypuszczał, że będzie miał do czynienia ze szwagrem, którego zżera ambicja. Może i miał szczęście. Ma tylko jednego szwagra wspinającego się po drabinie społecznej. Gdyby żyła Angie, może musiałby użerać się z jeszcze jednym.

Angie.

Kiedy o niej myślał, w głębi duszy czuł ból. Dzięki Bogu, z biegiem lat myślał o niej coraz rzadziej. Niedobrze żyć przeszłością. Lepiej skupić się na teraźniejszości i swoim dziedzictwie - Korporacji Buchanana.

To biuro było wyjątkowe. Mimo że nie było tak wysokie jak drapacz chmur, dobrze spełniało swoją rolę. Budynek wybudowany pod koniec lat sześćdziesiątych z betonu i stali z zewnątrz był niepozorny. Wyglądał jak zwykły czteropiętrowy blok ze szklanymi ścianami, które odbijały późnopołudniowe letnie słońce. Jednak w środku był imponujący. Wokół marmurowych stołów stały skórzane meble. W doniczkach rosły drzewa, zasilane słońcem, które dostawało się przez świetliki w suficie. Wnętrza zdobiły mosiężne rzeźby i lśniące kamienne posadzki.

Nie przejmując się znakami zakazu palenia, Derrick zapalił papierosa i wsiadł do windy. Wjechał na czwarte piętro, gdzie znajdowały się biura zarządu. W jednym końcu mieścił się kompleks biur ojca, a w drugim gabinety Derricka. Derrickowi przydzielono te pomieszczenia, gdy został wiceprezesem. Jego gabinety były lustrzanym odbiciem biur Reksa Buchanana. Miał do dyspozycji identyczną poczekalnię, biuro, łazienkę, przebieralnię i sypialnię. Pomiędzy dwoma kompleksami biurowymi z jednej strony windy mieściła się sala konferencyjna, a z drugiej gabinet Chase'a. Chase był jedynym pracownikiem, który miał biuro na piętrze zarządu, i to bardzo Derricka denerwowało. Nieustanna obecność Chase'a była dla niego niczym wrzód na dupie.

Niedobrze, że nie załatwił go pożar.

Derrick zgasił papierosa w popielniczkę i mijał już pokój Chase'a, gdy usłyszał swoje imię.

- Derrick. - Przez ostatnie tygodnie znienawidził ten szorstki głos. - Miałem nadzieję, że się dzisiaj zjawisz.

W głosie Chase'a pobrzmiwała ta sama kpina, co dawniej. Derrick nie zwracał na to uwagi, ale nienawidził wszystkiego, co miało związek z McKenziemi. Bękarty. A ten Buddy czy Willie, czy jak mu tam, nie jest wcale od nich lepszy. Ale się okazało, że są ze sobą spokrewnieni. Przewracało mu się w żołądku, gdy sobie przypominał, że ten półgłówek należy do rodziny.

Przeklinając po cichu swojego szwagra sukinsyna, wszedł do biura Chase'a. Na wielkim biurku leżały poukładane stosy dokumentów. Na jednej ścianie wisiały oprawione dyplomy prawnicze, przy drugiej stał regał sięgający do sufitu, pełen oprawionych w skórę tomów. W otwartym oknie z widokiem na ulicę stały kwiaty w doniczkach, wyciągając liście do słońca. Róg biurka zajmował kolorowy portret Cassidy. Nie była to fotografia, jaką na zeszłe Boże Narodzenie podarowała mu Felicity, przedstawiała Cassidy siedzącą na koniu.

- Chcesz coś? - Derrick spojrzał w róg pokoju, gdzie stała kula Chase'a.

- Tylko pogadać.

W głowie Derricka zapaliło się ostrzegawcze światło. Chase wyglądał fatalnie. Od pożaru minęło sześć tygodni, a on jeszcze nie wrócił do siebie. Nie miał już tak spuchniętej twarzy, ale po metalowym aparacie na twarzy zostały czerwone ślady. Oczy miał już żywe, jasnoniebieskie, kpiące. Chase zawsze był na tyle bezczelny, żeby patrzeć na szwagra z góry. Derrick nie mógł tego zrozumieć. To on jest bogaty, to on się urodził w tej rodzinie. Chase jest przybłądą, jego matka jest półkrwi Indianką, w dodatku czarownicą, a ojciec zwał. Jakim prawem, do cholery, jakim prawem lekceważy fakt, że Derrick zawsze będzie stał wyżej od niego?

Chase pokuśtykał w stronę sofę stojącej w rogu pokoju i zmierzył Derricka spojrzeniem, od którego przeszły go ciarki.

- Usiądź.

Derrick opadł na wypchane krzesło. Poczł się nieswojo. Miał wrażenie, że Chase coś na niego ma. Jak zwykle. Boże, wpatrywał się w niego człowiek, który niemal wyleciał w powietrze. Twarz miał taką, jakby wczoraj wygarbowali mu skórę. W zdrowej ręce trzymał pióro. Mimo obrażeń miał czelność patrzeć na niego z góry. Derrick jeszcze nie wiedział, dlaczego.

- Właśnie przeglądałem księgi. Trochę trwało, zanim doprowadziłem je do porządku po pożarze i kłopotach z dyskietykami.

- I? - Derrick czekał na sensację.

- Wygląda na to, że jesteśmy trochę do tyłu. Zaciągnąłeś kilka osobistych kredytów na sumę... spójrzmy. Ile? Czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Derrick zaczął się pocić.

- Wiesz, że Felicity przemeblowuje dom. Przecież to tylko kilka tysiaków. - Derrick był na skraju wytrzymałości nerwowej. Założył nogę na nogę, opierając kostkę na kolanie.

- A, tak. Nie kończące się przemeblowanie. Wspominała o tym kilka razy, gdy wpadała do pracy. - Chase się z nim bawił w kotka i myszkę. Na jego czerwonej twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech. Przyprawił Derricka o dreszcze. - Wiesz, że jeżeli tych pieniędzy nie ma na twoim koncie albo nie zapłaciłeś nimi kontrahentowi, niektórzy mogą zacząć się zastanawiać.

- Zastanawiać nad czym? - Derrick wiedział, do czego zmierza Chase. - Felicity wszystko sprawdza. Przecież wiesz. Pracuje w księgowości...

Chase podniósł dłoń, powstrzymując go od dalszych mizernych wyjaśnień.

- Felicity jest twoją żoną. I nie pracuje codziennie. Tylko kiedy coś w nią wstąpi.

- Jest córką jednego z najbardziej szanowanych sędziów w całym tym cholernym stanie.

- A moja matka wróży z kart. Wielkie halo. To, co robi stary Ira, czy siedzi na ławie sądowej, czy gra w golfa ze swoimi przyjaciółmi, nie ma znaczenia, gdy w grę wchodzi łapówki.

- Łapówki? - Derrick nie rozumiał, ale z niemej złości w oczach Chase'a domyślił się, że chodzi o coś złego.

Chase pochylił się.

- Dla tego łajdaka, który to zrobił.

- Co?

- Podpalił tartak na twoje polecenie.

- Zwariowałeś? Po co miałbym podpalać tartak?

- Jest wiele powodów. Zaczniemy od pieniędzy z ubezpieczenia. To jedna z wersji Biura Szeryfa. Gdyby tartak spłonął, miałbyś w kieszeni trzy miliony w gotówce, zgadza się?

- Tartak jest wart o wiele więcej, gdy działa.

- Tak, ale to może nie trwać wiecznie, zważywszy na obwarowanie prawami ziem stanowych i zużycie lasów Buchanana. A drewno Buchanana można by sprzedawać innym tartakom i im zostawić ryzyko.

- I pieniądze - wyrzucił z siebie Derrick.

- Stare przysłowie mówi, że lepszy wróbel w garści. - Chase ledwie poruszał ustami.

- Nie.

- A co z zemstą?

- Na własnym tartaku? Cholera, odbiło ci.

- Na mnie. - Oczy Chase'a były chłodne jak Morze Północne. - Nigdy nie kryłeś, że nienawidzisz mojej rodziny, Briga i mnie. Nie chciałeś, żebym się ożenił z twoją siostrą i do szalu doprowadzało cię, że pracuję dla twojego ojca. Teraz mam trochę władzy i byłoby ci o wiele łatwiej, gdybyś się mnie pozbył.

Derrick oparł się i poszukał w kieszeni paczki marlboro.

- Cholera, Chase, gdybym chciał cię zabić, zwłaszcza jeżeli miałby to zrobić ktoś trzeci, nie podpalałbym całego tartaku. Wywleklbym cię gdzieś i nikt by się nie dowiedział, a ja miałbym tartak.

- Ale nie miałbyś pieniędzy.

- Ty naprawdę jesteś stuknięty. To pewnie rodzinne. Twoja matka się jeszcze nie znalazła? - Derrick przytknął zapalniczkę do papierosa i mocno się zaciągnął, nabierając uspokajającego dymu do pnie. Do czego Chase zmierza? Derrick był zaskoczony rozmową w cztery oczy. Chase jest przebiegły. Za plecami robi swoje, ale twarzą

w twarz się podlizuje.

- Moja matka nie ma z nami nic wspólnego.

- Tak? Przez lata pieprzyła się z moim ojcem. Skończyło się tym, że mamy wspólnego brata kretyna. Poza tym jesteś mężem jedynej siostry, jaka mi została. To dotyczy nas obu. Mam nadzieję, że szybko znajdą Sunny i z powrotem zamkną.

- Nie liczylibym na to. - Oczy Chase'a błyszczały, jakby znały jakiś niesamowity sekret. - Znajdą ją, gdy będzie chciała dać się znaleźć.

Patrzył na Derricka tak, że przyprawiał go o dreszcz. Młody Buchanan czasami zastanawiał się, czy Chase przypadkiem nie odziedziczył po Sunny jej szczególnej wrażliwości. Cholera, może Willie też to miał? Derrick przypomniał sobie wszystkie sytuacje, kiedy był okrutny dla półgłówka i stwierdził, że Willie, gdyby miał choć niewielkie zdolności jasnowidzenia, unikałby go albo przynajmniej rzucił na niego jakieś przekleństwo. Jednak było mu niedobrze. Ta cała pieprzona rodzina przyprawiała go o mdłości. A on do niej należał.

- Myślę, że powinieneś zwrócić pieniądze. Inaczej policja może nabrać podejrzeń.

- Wiedzą, co z nimi zrobiłem.

- Tak? I wiedzą, że tamtej nocy byłeś w tartaku?

- Ja? Człowieku, naprawdę przesadzasz. Mam alibi!

- Twoją żonę, wiem. - Chase odłożył pióro i złożył ręce. - Ale ja cię widziałem w tartaku. Z pół godziny przed wybuchem.

- Nie było mnie tam. - Derrick miał nadzieję, że jego słowa brzmią przekonująco. Pot ciekł mu wzdłuż kręgosłupa. Przecież uważał. Nikt go nie widział i był tam na długo przed pożarem.

- Oczywiście, że byłeś. Nie powiedziałem o tym naszemu przyjacielowi, T. Johnowi Wilsonowi tylko dlatego, że chciałem zebrać dowody przeciwko tobie i najpierw porozmawiać z tobą w cztery oczy, żebyś nie był zaskoczony, kiedy przyjdzie po ciebie policja i żebyś wiedział, że to ja ich nasłałem.

Derrick zamarł. Wciągnął dym z papierosa, ale nie poczuł kojącego działania nikotyny.

- Wrabiasz mnie.

- Sam się wrobiłeś.

- Wykluczone. Zaprzeczę. Mam żelazne alibi.

- Tak? - Chase zmarszczył ciemne brwi. - Twoja żona będzie za tobą stała niezależnie od wszystkiego? Będzie dla ciebie kłamać? Dlaczego? Bo tak ją wspaniale traktowałeś?

Derrickowi nagle zaschło w gardle. Nie mógł przelknąć śliny. Chase chciał go zniszczyć. Nadeszła jego wielka chwila. Ten bydlak chce zrobić go w pożar. Chce zrobić z niego kozła ofiarnego.

- Nie wyjdiesz stąd, McKenzie - zagroził Derrick, który zawsze i był skory do bójk. - Tylko z czymś wyskocz, a ukręcę ci łeb.

Zwykły facet by się wycofał. Ale Chase nie był zwykłym facetem.

- Nie boję się ciebie.

- Nie? Zastanów się. - Derrick zgasił papierosa na podstawce doniczki z kwiatem. - Może ciebie nie obchodzą inni, może w ogóle wszystko cię gównem obchodzi, ale Cassidy się przejmuje, twoja matka też. Z tego, co widzę, boją się... żeby znowu się coś nie stało.

Chase, mimo obrażeń, natychmiast przeskoczył przez biurko. Doniczka się przewróciła, zdjęcie Cassidy spadło na dywan, a książki i pióra rozsypały się. Chase nawet tego nie zauważył. Przycisnął Derricka do ściany.

- Przemyśl to. - Chase mocno zacisnął rękę w gipsie na gardle szwagra. - Dobrze to sobie przemyśl. - Tak mocno przyciskał swoje twarde, napięte ciało do ciała Derricka, że ten ledwie mógł oddychać. - Spróbuj tylko z czymś wyskoczyć, a przysięgam ci, Buchanan, że będziesz tego żałował do końca swoich dni. - Gorący oddech Chase'a łaskotał Derricka w twarz. Jego oczy płonęły. - Przrzekam, że za każdy ból, który zadasz, zapłacisz po stokroć. Ta sprawa dotyczy ciebie i mnie. I nikogo więcej.

- Nie pogarszaj sytuacji. - Derrick przypomniał sobie, że Chase jest tylko kaleką chodzącym o kuli, który przechodzi rekonwalescencję. Więc dlaczego czuł strach? Zimny, dręczący strach. Krew w nim zastygła. Z całej siły odepchnął Chase'a z drogi, kopiąc go w chorą nogę.

Chase zbladł, gdy nagły ból przeszył jego ciało. Dobrze.

- Nie próbuj mi grozić, McKenzie. Jesteś pętakiem i lepiej o tym pamiętaj. Twoja matka jest indiańską dziwką, a twój stary padalec, który porzucił rodzinę. Ciężko pracowałeś, ciągle się uśmiechałeś i żeby znaleźć się tu, gdzie jesteś, włożyłeś w dupę tylu ludziom, że nie byłbym w stanie ich zliczyć. Ale jesteś tylko nędznym mieszkańcem w drogiej marynarce, która kosztowała więcej pieniędzy niż twoja matka zarobiła przez te wszystkie lata, kiedy się puszczała z moim ojcem.

Chase gwałtownie wypadł do przodu i zacisnął ręce na szyi Derricka. Derrick kopnął go w zdrową nogę. Chase z hukiem uderzył o ścianę i zaczął skręcać się z bólu. Derrick bez trudu go wyminął.

- Żałosne, McKenzie. Zawsze byłeś i będziesz żaloszny - powiedział i splunął Chase'owi w twarz.

Cassidy pracowała przez większość popołudnia. Przyzwyczała się do tego, że od kilku tygodni Chase i ona żyją

obok siebie. On spędzał czas na rehabilitacji, u lekarza albo w biurze, a ona pracowała w redakcji „Timesa”. Od czasu klótni w gabinecie starali się zachować pokój, chociaż nie było to łatwe, dzielili wspólną przeszłość, a przed nimi rysowała się mglista i niewyraźna przyszłość.

Nie było czułości. Nie było delikatnych dotyków. Ani żartów. Ale tego nie było od dawna. Nie z powodu pożaru, ale dlatego, że się od siebie oddalili, poszli oddzielnymi ścieżkami i dążyli do różnych celów. Teraz byli razem, ale tylko pozornie.

W domu odnosili się do siebie uprzejmie i uczyli się ufać sobie od nowa, ale cały czas panowało między nimi napięcie, które mogło wybuchnąć w każdej chwili. Przyłapała go, jak się jej przypatrywał, kiedy myślał, że ona tego nie widzi. Czowała, że wodzi za nią wzrokiem. Sprawdzał ją i przeszukiwał jej biurko, gdy nie było jej w domu. Była tego pewna. Nigdy jej nie zaufa.

Ale najgorsze były noce. Wiedziała, że Chase jest na dole i pewnie nie może spać, tak samo jak i ona. Pragnie. Cierpi. Wspomina. Udaje. Przed jej rodziną. Przed światem. Przed nią.

- Tak się cieszę, że starasz się coś z tym zrobić - powiedziała jej Dena któregoś ranka, kiedy do nich wpadła. - W małżeństwie zawsze pojawiają się problemy.

- Chyba tak.

- Nam też nie jest łatwo - przyznała. - Od kiedy Rex oznajmił, że ten Willie jest jego synem i dał mu pokój na górze w naszym domu. Wiedziałaś o tym? Dawny pokój Derricka. Mówię ci, ciarki chodzą mi po skórze, gdy jestem z nim sama w domu.

- Willie nie jest groźny.

- Nie? No, nie wiem. Pamiętam, że kiedy dorastałyście, zawsze się przy was kręcił, chował się w krzakach i podglądał. Bóg jeden wie, co robił, ale kilka razy go przyłapałam w rododendronach przy basenie, jak gapił się w okno Angie. Pewnie chciał ją zobaczyć w staniku i w majtkach. Boże, to obrzydliwe. - Wzdrygnęła się i sięgnęła do złotej cygarnicy po papierosa. - I pomyśleć tylko, że byli przyrodnim rodzeństwem. To... To nie do pojęcia. Wstrętne. - Wyciągnęła wiceroya. - Wszyscy najwyraźniej zapomnieli, że Willie był przy obu pożarach.

- Wiesz o tym?

Dena zapaliła i wypuściła dym w sufit.

- Na to wychodzi. Po pierwszym pożarze miał zwęglone brwi, pamiętasz? Więc musiał go widzieć. A co do drugiego... Wszyscy wiedzą, że znalazł portfel Marshalla Baldwina. Policja go nie znalazła, a on tak? To raczej mało prawdopodobne. Musiał tam być przed pożarem.

- Myślisz, że to on podpalił... Willie? On jest za... za grzeczny i za łagodny. Mamo, mówisz poważnie? - Cassidy nie mogła uwierzyć.

- Śmiertelnie poważnie. I nie tylko ja tak myślę. Wiele osób w tym mieście jest zdania, że Willie byłby do tego zdolny. Do podpalenia. Spójrz prawdzie w oczy, on nie ma mózgu. On... powiedzmy, że nie jest normalny. To wstyd, kochanie, ja pierwsza to przyznaję. Ten wypadek w strumyku był tragedią. Nie jestem na tyle mściwa, żeby twierdzić, że Bóg chciał dać Sunny nauczkę, ale... Wydaje się, że to coś więcej niż zbieg okoliczności, że był przy obu pożarach. Myślę, że twój ojciec wyświadczyłby przysługę rodzinie i całemu miastu, gdyby umieścił Williiego w zakładzie, z ludźmi takimi jak on. Nie czułby się takim potworem.

- On nie jest potworem, mamo. On jest...

- Stuknięty. - Owinęła sobie sznurek pereł wokół palców. - Pomyśl o tym. Mieszkać z nim w tym samym domu? Przykro mi to mówić, ale muszę być stanowcza. To także mój dom. Postawię sprawę tak: albo on, albo ja.

- Mamo...

Papieros drżał w ustach Deny. Popiół spadł na podłogę. Schyliła się żeby go sprzątnąć.

- Nie wiem, co innego mogę zrobić. - Wyprostowała się. W oczach lśniły łzy. - Twój ojciec zrobił się ostatnio nieobliczalny.

- Uspokój się. Nie jest aż tak źle...

- Jest, Cassidy - powiedziała w końcu łamiącym się głosem. Przytknęła palce do kącików oczu, żeby otrzeć łzy, nie rozmazując makijażu. - Bycie żoną Reksa Buchanana to istne piekło. Zaczynam rozumieć, dlaczego Lucretia odebrała sobie życie.

21

T. John zatrzymał samochód i strząsnął piach z buta. Przez ostatnie dwa tygodnie szukał śladów Sunny McKenzie. Coraz bardziej był przekonany, że szanse na odnalezienie Sunny są takie, jak na przejażdżkę statkiem kosmicznym, który, jak twierdził stary Pederson, wylądował na środku jego pola, spalił trawę i śmiertelnie przestraszył jego stado czarnych owiec. T. John był zdania, że Pederson wypił za dużo piwa własnej roboty.

Strzyknęło mu w plecach, gdy się wyprostował. Wszedł na chodnik przy Seven Eleven. Kilkoro dzieciaków grało w barze na automatach. Jakiś chłopak usiłował zajrzeć do czasopism dla dziewcząt, zatkniętych za ladę. Kobieta z płaczącym niemowlęciem kupowała paczkę jednorazowych pieluch.

Wszystko po staremu.

Uśmiechnął się do sprzedawczyni, Dorie Reader, kobiety około pięćdziesiątki, z nogami jak patyki, wielkim ciałem i tapirowanymi blond włosami, wymęczonymi trwała. Kupił hot doga i poprosił o musztardę djon.

- Już panu mówiłam, panie T. John, że jeżeli chce pan coś wykwintnego i wyszukanego, to trzeba pójść na drugą stronę, do Burleya.

T. John prychnął. To był stały żart. Burley, miejscowy bar ze striptizem, zamykano za każdym razem, gdy był otwierany. Sam T. John zamykał go parę razy.

Trochę cebuli, trochę korniszonów, żółta musztarda i już miał lunch. Nie mógł się napić piwa, więc zadowolił się największą coca-colą. Poprosił o paczkę cameli i lekarstwo na nadkwasotę.

- Smacznego - powiedziała Dorie.

T. John butem otworzył drzwi.

- Nawzajem.

Na zewnątrz, w blasku południowego słońca, zauważył, że przed drzwiami Burleya kręci się kilku nastolatków, i że tylko kwestią czasu jest kolejne zamknięcie lokalu. Źle. Burley był porządnym facetem, starał się płacić alimenty na dzieci trzem byłym żonom i dostarczał Prosperity nie do końca przyzwoitej rozrywki. Dziewczyny na scenie zarzucały cyckami i kręciły tyłkami, ale klienci trzymali się w bezpiecznej odległości. Tan cerki miały maski i kryły się pod pseudonimami. Burley dbał o to, żeby nikomu nic się nie stało i dobrze płacił dziewczynom za ich trudy.

Jednak, mimo najlepszych intencji Burleya, zdarzały się kłopoty. Za dużo alkoholu, za dużo męskich hormonów, rozebrane dziewczyny i wszechobecna broń. Do tego zestawu należy dodać ostre, oskarżycielskie kazania pastora Spearsa. Burley nigdy nie miał ani chwili spokoju. Jeżeli nie dawali mu się we znaki klienci, robili to religijni fanatycy. T. John uważał, że Burley powinien sobie odpuścić, ale on najwyraźniej uważał, że jego powołaniem jest prowadzenie lokalu ze striptizem.

Spears mógł grzmieć z kazalnicy, organizować marsze przeciwko lokalowi i skazywać jego właściciela na piekło, ale T. John wiedział, że kilku najbardziej religijnych członków jego kościoła mogło mieć porządnego kaca na niedzielnych nabożeństwach, bo w sobotę trochę sobie wypili, patrząc na wyginające się prawie nagie tancerki.

Zmierzył wzrokiem okolicę zza okularów słonecznych, powoli przeżuając hot doga. Dzisiaj nie martwił się Burleyem. Nie. Dzisiaj był pochłonięty, jak zresztą przez ostatnie dwa miesiące, sprawą cholernego pożaru w tartaku Buchanana. Floyd Dodds naciskał, bo chciał rozwiązania sprawy. Oczekiwał, że T. John wskaże mu sprawcę albo przynajmniej znajdzie kozła ofiarnego, a on jeszcze nic nie miał.

Nawet tej wariatki nie mógł znaleźć. To go gryzło. Cholera, nawet psy dały się wyprowadzić w pole. Wzięli do lasu dwa psy gończe. Dali im powąchać nocną koszulę Sunny z zakładu, w którym zamknął ją Chase, i wypuścili psy tam, gdzie dzieciaki twierdziły, że widziały czarownicę. Od razu pognały, ale zaczęły krążyć wkoło, ujadając przeraźliwie. Nie opuściły polany, nie wyczuły tropu w lesie. Wyglądało na to, że Sunny zniknęła. Zupełnie jakby rzeczywiście była czarownicą, za jaką ją uważano. Może któryś z przyjaciół Pedersona wyskoczył na Ziemię i porwał ją, a potem zabrał na drugą stronę wszechświata?

A może jednak nie była wariatką? Może była sprytniejsza od tych, którzy starali się ją odnaleźć?

A sprawa podpalenia tartaku i morderstwa nadal była nie rozwiązana.

Żadne alibi nie zostało podważone. Starzy Buchananie byli w Kalifornii, Derrick i Felicity w domu razem z dziećmi, Sunny była zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, a Willie pił w mieście. Wielu ludzi widziało go, zanim poszedł grzebać w pogorzelsku. Tylko Cassidy była sama w domu. Pracowała przy komputerze, a przynajmniej tak twierdzi.

Ale ona raczej nie wyglądała na podejrzaną. T. John przekonywał samego siebie, że wcale nie dlatego, że ma tak piękne złote oczy i wspaniałe włosy. Uważał, że tego rodzaju osoba nie mogłaby podpalić własności ojca.

- Tracisz trop, Wilson - wymamrotał do siebie, kończąc hot doga. Wytarł usta serwetką, zmiął ją i wyrzucił zatłuszczony papier do śmietnika, z którego się wysypywało. Wsiadł do nagrzanego służbowego samochodu. Sprawy posuwały się do przodu, ale wolno. Za wolno dla Doddsa. Za wolno dla T. Johna.

Co tydzień dostawał nowe informacje z Alaski na temat Marshalla Baldwina. Obserwował wszystkich Buchanarów i McKenziech. Miał nadzieję, że popełnią błąd. Ale podejrzenia okazały się bezpodstawne. Nie udało mu się sprowokować ich do ani jednego kłamstwa, które mógłby udowodnić. Jego ludzie przeszukiwali okoliczne szpitale i kliniki, próbując ustalić, jakie blizny miał Brig McKenzie. W dzieciństwie na pewno coś sobie złamał albo tak się pokaleczył, że trzeba było go szyć. Gdy T. John znajdzie stare dokumenty szpitalne, porówna je z raportem z sekcji zwłok Marshalla Baldwina. Jak dotąd jednak nie znaleziono nic, co mogłoby mu pomóc. Widocznie Brig nie miał przejść z lekarzami.

- A do cholery z tym!

Kiedyś zazdrościł bogatym. Był synem rolnika, który cały czas żył w strachu, że straci kilka marnych akrów ziemi. Jego żona pracowała od świtu do nocy, żeby zarobić na życie. T. John był najstarszy z sześciorga dzieci i zawsze mu się wydawało, że pieniądze rozwiązałyby większość jego problemów. Teraz nie był już tego taki pewien. Coraz lepiej poznawał Buchanarów i nabierał coraz większego przekonania, że nie widział smutniejszych i bardziej nieszczęśliwych ludzi.

Wziął duży łyk coli, połknął dwie tabletki przeciw nadkwasocie i otworzył paczkę cameli. Czuł, że ta sprawa wpędzi go z powrotem w nałóg. Nie czuł się ani trochę winny, gdy zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Od

kiedy rzucił palenie, przytył trzy kilogramy. Wiedział, że gdyby palił, schudłby i myślałby trzeźwiej. Rozwiąże sprawę i znowu rzuci palenie - postanowił. Da odpocząć płucom.

Z papierosem w ustach uruchomił stacyjkę i wyjechał z parkingu. Gonzales zadzwonił, że ma nowe informacje o Marshallu Baldwinie. Może w końcu coś się wyjaśni.

Cassidy weszła do domu. Było zupełnie cicho, jedynie z gościnnego pokoju dobiegał odgłos lejącej się wody. Z pokoju Chase'a. Wyobraziła go sobie, jak próbuje się umyć i nie zamoczyć gipsu. Wiele razy chciała mu pomóc, ale się nie zgadzał. Nie chciał, żeby oglądała jego nagi tors, biodra, pośladki, jakby się bał, że popełni nieodwracalny błąd, pozwalając, by znowu znaleźli się w tak intymnej sytuacji.

Rzuciła torebkę i kluczyki na kuchenny blat i zeszła na dół. Do cholery, w końcu jest jego żoną. Ma prawo patrzeć na jego ciało i dotykać go. Była zmęczona głupimi gierkami i poczuciem winy, że mogłaby zakłócić jego prywatność.

Nawet nie pofatygowała się, żeby zapukać. Przekręciła klamkę i uśmiechnęła się, gdy się okazało, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Przez otwarte okno wpaadał gorący wiatr. Drzwi łazienki były niedomknięte. Przez szparę widziała zaparowane lustro nad umywalką. Spod prysznicy dochodził hałas - szum wody, ciche uderzenie upuszczonego mydła i przekleństwa Chase'a, który usiłował je podnieść.

Gdy zobaczy ją w pokoju, pewnie powie, że się do niego włamała. No i co z tego. W ogóle się tym nie przejmowała. Serce jej łomotało. Usiadła na brzegu łóżka. Jego łóżka. Tego, którego nie chciał z nią dzielić. Przez sekundę miała ochotę zdjąć ubranie, wślizgnąć się pod pościel i czekać, aż Chase wykuśtyka z łazienki i zastanie ją nagą, gotową mu się oddać. Opamiętała się. Łatwo zgadnąć, jak by zareagował.

Szum wody nagle ustał. Cassidy ledwie mogła oddychać. Patrzyła w stronę łazienki. Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Chase. Biodra miał owinięte ręcznikiem. Czarne, kręcone włosy sięgały mu za uszy. Skóra mocno opinała gładkie, twarde mięśnie brzucha. Wokół płaskich brodawek kręciły się czarne włosy. Nie miał już gipsu. Nawet jej nie powiedział, że dzisiaj mu zdejmują. Zrobiło jej się przykro.

- Co ty tu robisz, do cholery?

Patrzyła w zdumieniu na jego rękę i nogę, które do dziś ukryte były pod gipsem wydawały się troszkę szczuplejsze i bledsze od zdrowych.

- A jak myślisz? - zareagowała za szybko jak na jej gust. - Czekam na ciebie. Nie powiedziałeś mi, że idziesz do lekarza, ani że...

- Wydawało mi się, że się dogadaliśmy. Ten pokój jest mój...

- Jestem twoją żoną, Chase. - W jej głosie słychać było niecierpliwość. - W tym domu nie ma krat więziennych, kłódek, bram ani kluczy. Nie ma linii na podłodze, która oddzielałaby ciebie ode mnie. Żyjemy razem.

- Do niedawna nie przeszkadzał ci nasz układ.

- Może zmieniłam zdanie? - Serce waliło jej jak młotem. Czowała, że musi zrobić ten krok i zdobyć go. Albo go stracić. Po raz pierwszy od wielu lat nie mogła znieść tej myśli.

- Ale może ja nie zmieniłem. To nie jest dobry pomysł.

Przypomniała sobie, jak się kochali przy stawie. Wiedziała, że kłamie. Podeszła do niego.

- Nigdy nie musiałam cię prosić. Nigdy. - Odważnie patrzyła mu w oczy. - To ty nalegałeś. Kiedy się pobraliśmy, nie mogłeś się mną nacieszyć.

Zaciął usta.

- Nie chcę tego słuchać.

- Nie pamiętasz?

- To było dawno.

- Nie tak dawno - przypomniała mu, wypinając wyzywająco biodro.

Wciągnął powietrze.

- Wiele się zmieniło.

- Nie, Chase. To my się zmieniliśmy, ty i ja. Ciebie całkowicie pochłonęła praca, a ja ci na to pozwoliłam. Tak samo jak ty ponoszę winę za... kryzys w naszym małżeństwie, ale chcę to zmienić.

- Tutaj? Teraz?

- Tak. - Zadarła głowę prowokująco, patrząc mu zuchwale w oczy. Jej ciało było na wyciągnięcie ręki. - Chyba najwyższy czas.

- Jestem kaleką - przypomniał jej. Jego oczy ciemniały. - Może ty nie pamiętasz, ale zapewniam cię, że twój brat pamięta świetnie.

- Nie jesteś kaleką. Jesteś moim mężem. - Podeszła do niego odważnie. Czowała zapach mydła na jego ciele. - Chase... - Zamknęła oczy i dotknęła jego nagiego ramienia.

Nie odsunął się.

- Tylko mnie przytul - wyszeptwała, wtulając się w niego. Jego mięśnie napięły się, jakby walczył z własnym ciałem.

- Nie mogę - powiedział szorstko.

- Proszę.

- O Boże, Cassidy. - Otoczył ją ramionami, silnymi i kojącymi. - Źle robimy.

- Nieprawda. - Przycisnęła usta do jego szyi. Jęknął. Ich ciała drżały w tym samym rytmie. Napięte mięśnie Chase'a rozluźniły się. Pochylił głowę, przywarł ustami do jej warg i zaczął ją całować z taką pasją, że zabrakło jej tchu. Długo tłumione pragnienie zaczęło trawić jej wnętrze, rozpałało w niej krew i wylewało się na zewnątrz. Objęła go rękami za szyję i odwzajemniła pocałunek, dając mu poczuć, jak go pragnie.

- Cass, myślę...

- Nie, Chase. Nie myśl. Po prostu czuj.

Objęła jego usta swoimi. Jej wargi rozchyliły się zapraszająco. Chase wsunął język między jej zęby, a jego ręce delikatnie przesunęły się do góry po jedwabnej bluzce. Zmiał materiał, gdy dotknął jej piersi.

Brodawki od razu stwardniały. Ocierała się o niego jęcząc, a on całował ją w oczy, policzki i kark. Rozpiął jej bluzkę i zsunął z niej spódnicę. Jej piersi nie kryły się już pod przezroczystym stanikiem. Dotykał ich, wodząc szorstkimi palcami po odcisniętym śladzie koronki. Podniósł Cassidy i przytulił, opierając się plecami o ścianę. Językiem delikatnie pieścił jej obojczyk.

- Cassidy. Cassidy.

Pocałowała go mocniej. Czowała, że się opiera.

- Kochaj mnie.

Jęknął i położył ją na łóżku. Jego łóżku. Oczy mu pociemniały.

- Nie mogę. Jeszcze nie.

Poczowała się poniżona i rozczarowana.

- Czy my mamy jakiś rozkład, o którym nie wiem? - Drżał jej głos. - Na miłość boską, Chase, nie odpychaj mnie...

Ale on już zdążył się od niej odwrócić. Przez chwilę widziała jego plecy. Ze złością wsunął ręce w rękawy koszuli. Zrzucił ręcznik i szybko włożył bokserki. Przez moment widziała jego nagie pośladki. Znalazł dzinsy i warknął, bo o mało się nie przewrócił, gdy chciał je założyć. Oparł się o ścianę.

- Cholera - mruknął. Z trudem zgiął chorą nogę.

- Nie musisz się ubierać.

- Przecież nie mogę paradować nago, prawda?

Zapiął rozporek i przeszył ją wzrokiem.

- Mam coś dla ciebie.

- Co?

- Ostrzeżenie.

- Jakie ostrzeżenie?

- Poważne ostrzeżenie. Od twojej rodziny.

- Mojej rodziny? Oj, przestań...

Chase wsunął pasek w szlufki i szybko go zapiął. Chyba był zły na nią, na siebie, zły na cały świat.

- Czyżbyś nie słyszała najnowszych wieści?

- Jakich?

Prychnął z niesmakiem. Zarumienił się, zakładając adidas.

- Znając skłonność Felicity do rozsiewania plotek, myślałem, że zadzwoni do ciebie, jak tylko się o tym dowie. Pobitem się wczoraj z twoim bratem. W biurze. Żeby nie gadać zbyt wiele, powiem krótko: groził tobie i mnie.

- Derrick? Przecież on nie mógłby...

- Mógłby, Cassidy, i zrobił to. Byłem głupi, że zwołałem go do mojego gabinetu. Usiłowałem go zmusić, żeby się przyznał, że to on podpalił tartak.

- Derrick? Ale przecież on był wtedy z Felicity...

- Może i był, przez chwilę. Ale on był w tartaku, Cassidy. Widziałem go z pół godziny przed pożarem.

Zaczęła myśleć gorączkowo.

- Powiedziałaś Wilsonowi?

- Jeszcze nie. Nie wszystko pamiętam. Lekarz mi powiedział, że mogę mieć trudności z przypomnieniem sobie niektórych rzeczy. Może nie sądziłem, że to ważne.

- Wydaje mi się, że z twoją pamięcią jest wszystko w porządku - powiedziała Cassidy podejrzliwie.

- Ja też tak myślałem. Do wczoraj. Nie mogę iść na razie do Wilsona, bo nie mam świadków. Mam jednak dowody, że Derrick defraudował pieniądze.

- Musisz zadzwonić na policję.

- Zadzwonię. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

- Ale...

- Nie martw się, Cass. Poradzę sobie.

- Co powiedział Derrick? - Nie mogła uwierzyć, że jej brat mógłby podpalić tartak, zabić człowieka albo... Dlaczego nie? Zawsze był okrutny i myślał, że inni żyją tylko dzięki jego wspaniałomyślności. I że Felicity zrobi

dla niego wszystko. Nawet skłamię, żeby ukryć, że jest mordercą. Wzdrygnęła się na tę myśl.

- Jak na razie Derrick jest górą. Stłukł mnie. Potraktował moją twarz jak worek treningowy.

Westchnęła w proteście.

- I nic nie mogłem na to poradzić.

- Jak myślisz, co on może nam zrobić? Napaść nas?

- Nie wiem. Ale nie poddam się bez walki. Chodź, coś ci pokażę.

Rzucił jej swoją bluzę. Założyła ją i wyszła za nim. Chase otworzył drzwi ciężarówki i z samochodu wyskoczył czarny, lśniący owczarek niemiecki.

- Stój! - Rozkazał Chase i pies zamarł. - Cassidy, poznaj Ruskina.

Roześmiała się na widok zwierzęcia, które usiadło i wpatrywało się w nią jasnymi, złotymi oczami.

- Poznajcie się dobrze. Ruskin sprawi, że każdy, kto zachce się tu zakraść, najpierw porządnie się nad tym zastanowi.

Felicity spojrzała na zegarek i po cichu klnąc na męża, otworzyła drzwi pokoju córki. Angela spała jak niemowlę, oddychając miarowo i głęboko. Okno sypialni było otwarte, a zasłony powiewały na wietrze. Felicity zorientowała się, że coś jest nie tak, i chociaż czuła się jak szpieg, przeszła na palcach po dywanie, podniosła kołdrę i zobaczyła, że jej pierworodna córka jest ubrana w obcisłe dżinsy, czarną koszulkę bez rękawów i tenisówki.

- Wiem, że nie śpisz.

Angela nie zareagowała, nadal udając, że śpi.

- I wiem, że chcesz się wymknąć i spotkać z tym chłopakiem od Cutlerów. - Usiadła na krześle przy oknie. - No to sobie udawaj dalej, ale ja będę tu siedziała całą noc i dopilnuję, żebyś nie wyszła z domu.

- Na miłość boską, mamoo...

- Nigdy więcej nie bluźnij, gdy się do mnie zwracasz.

Angela usiadła i odgarnęła z oczu ciemne włosy.

- A ty nie nazywaj Jeremy'ego tym chłopakiem od Cutlerów, jakby był gorszy.

- Jest gorszy. Niewystarczająco dobry dla ciebie. Nazywałeś się Buchanan.

- Pieprzenie!

- Właśnie! Jeszcze raz użyjesz takiego języka i tak oberwiesz, że nie ujrysz już światła dziennego, nie wspominając o tym Cutlerze - Jeremym.

Angela groźnie spojrzała na matkę.

- Nie powstrzymasz mnie!

- Nie? - Felicity nie miała zamiaru pozwolić, żeby szesnastoletnia córka dyktowała jej warunki. - Jeśli będę musiała, wynajmę prywatnego detektywa, żeby cię śledził i robił zdjęcia. Jeżeli ten chłopak cię dotknie, pójde na policję i będę tak głośno wrzeszczała, że cię zgwałcił, że usłyszą w Nowym Jorku.

- Nie zrobisz tego!

- Oczywiście, że zrobię. Zrobię wszystko. Nie chcę, żebyś popełniła błąd.

- Jeremy nie jest błędem.

Felicity rozumiała naiwne myślenie córki. Czy nie czuła tego samego do Derricka, kiedy była w jej wieku? Różnica była jednak taka, że Derrick nazywał się Buchanan i pochodził z dobrej rodziny. Przynajmniej dokonała dobrego wyboru.

- A jeżeli zdecyduję się pójść na policję?

Felicity zamarło serce.

- A po co miałabyś to robić?

Angela uśmiechnęła się chytrze, ukazując w ciemności białe zęby.

- Bo wiem o tacie - powiedziała z tonem wyższości, który wstrząsnął Felicity.

- Co wiesz? - Zmroziło ją.

Angela potrząsnęła głową.

- Nie zdradzam sekretów, mamoo. Chcę tylko, żebyś zrozumiała. Jeżeli powiesz choćby słowo przeciwko Jeremy'emu, odpłacę ci tym samym.

- Ty mała...

- Aaa. Uważaj, mamoo - zakpiła. Cieszyło ją, że wodzi Felicity za nos.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że wiesz, mamoo. Zastanów się. Może byś już sobie poszła? Przyjmijmy, że śpię i nabieram sił przed jutrzejszym dniem w szkole.

- Nie spotkasz się z tym chłopakiem.

- Jasne. Myśl, co chcesz. Ale jeżeli nie zostawisz mnie natychmiast w spokoju, tata będzie miał problem. Poważny. Pomyśl, co się wtedy stanie z twoją reputacją?

- Nie mam zamiaru dać się szantażować, Angelo.

- Trudno. I tak dawałaś się przez lata.

Felicity wstała szybko i przeszła przez pokój. Chwyciła córkę za ramiona i uderzyła ją w twarz. Angela odchyliła głowę i uderzyła się o poręcz łóżka.

- Ty suko! - krzyknęła dziewczyna. - Ty pieprzona suko!

Następny porządny policzek. Felicity zabolęła ręka. Skrzywiła się, gdy Angela mocno uderzyła głową w zagłówek. Dziewczyna zaczęła płakać. Felicity udawała, że nie widzi przerażenia w oczach córki, ani że zuchwałość szesnastolatki znika.

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Angelo. - Felicity ledwie poruszała ustami. - Nie masz pojęcia, z czym walczysz. Nie spotkasz się z tym chłopakiem i koniec. A we wrześniu pójdziesz do szkoły świętej Teresy w Portland. Uczy tam jeszcze kilka zakonnice. Może one będą umiały nauczyć cię odpowiedniego zachowania. - Wyszła wyprostowana z pokoju. Chciało jej się wymiotować. Nigdy wcześniej nie uderzyła córki. Skręcało ją, gdy o tym myślała.

Dorastała podziwiana przez ojca, który jednak nie miał żadnych oporów, żeby bić ją płaską stroną szczotki do włosów. Robił to, dopóki nie wyszła za Derricka. Ojciec chciał nauczyć swoją upartą córkę szacunku.

Doświadczenia z dzieciństwa zrobiły swoje. Felicity obiecała sobie, że nie użyje przemocy wobec swoich dzieci, choćby nie wiem, co zrobiły. Czasami jednak kobieta musi wziąć na siebie nieprzyjemny obowiązek. Czasami trzeba złamać zasady. Jak dziś. A jeżeli Angela kiedykolwiek spróbuje wymknąć się do tego wstrętnego przyszczonego typka, to Jeremy Cutler będzie miał takie kłopoty, że się z nich nie wygrzebie.

Felicity zbyt dobrze wiedziała, do czego kobieta może się posunąć dla mężczyzny. Doświadczyła już wszystkiego. Dała się poniżyć, czuła potworny strach, ból, wściekłość i palącą zazdrość. Ale przeżyła. I da sobie radę z takim gnojkiem jak Jeremy Cutler.

- Zadzwonisz? - Derrick usłyszał miękki kobiecy głos, gdy w pośpiechu szedł do samochodu. Obejrzał się przez ramię, zobaczył ją w drzwiach taniego motelu przy rzece Willamette. Była boso, ubrana jedynie w czarne jedwabne bikini. Miała dopiero szesnaście lat. Jej czarne włosy, błękitne oczy i uśmiech przypominały mu Angie, jego siostrę. Miała na imię Dawn.

- Zastanowię się.

- Derrick, powiedziałaś, że zadzwonisz.

- Zapłaciłem ci, tak? - Wsiadł do ciężarówki. W środku było strasznie duszno.

- Nie robię tego dla pieniędzy.

Opuścił szybę.

- Jasne.

- Robię to, bo cię kocham.

Boże! Mógł to usłyszeć każdy cierpiący na bezsenność w tym obskurnym motelu. Okna były pootwierane. Było po pierwszej w nocy. Włożył kluczyki do stacyjki i uruchomił silnik.

- Dobrze. Masz jak wrócić?

- Nie martw się o to. Tylko zadzwoń. - Dawn odgarnęła włosy niesamowicie zmysłowym ruchem. Było to niemal jawne zaproszenie. Stanik zsunął się jej lekko, ukazując jedną małą pierś.

- Zadzwoń - obiecał. Wiedział, że Felicity zabiłaby go, gdyby dowiedziała się, że pieprzy się z dziewczyną, która jest w tym samym wieku, co ich córka. Z dziewczyną podobną do jego siostry, dziewczyną, która może pobiec na policję i wpędzić go w bardzo poważne kłopoty. Ale nie zrobi tego. Za bardzo lubiła biżuterię, ładne ciuchy i nowy mały kabriolet.

Jej matka też pracowała w interesie i kiedy czasem Dawn nie było pod ręką, zajmowała się nim Lorna. On nigdy nie prowokował sytuacji, ale też nigdy nie odmawiał. Nie była tak młoda i ponętna jak jej córka, ale miała wprawny język i umiała gadać. Kiedy nie miał zbyt chęci, Lorna była naprawdę twórcza. Wynajdowała rozmaite stroje - stanik z otworami na brodawki, majtki bez kroku, i skórzany pas z podwiązkami, zdobiony metalowymi ćwiekami. Kusila go, smagała batem, który łaskotał i ciął, pociągał i zadawał ból. Skóra Lorny nie była już jędrna. Przytyła, straciła szczupłą talię i chociaż miała o wiele większe piersi niż jej córka - olbrzymie góry ozdobione tatuażem kolibra, on wolał młody tyłek i uda, które potrafiły godzinami obejmować go w pasie. Nawet drobne piersi Dawn były podniecające, kiedy ścisnęła je i gięła się nad nim, pozwalając, żeby brodawki drażniły jego usta, a zaraz potem je cofała. Z Dawn mógł grać ostro. Uwielbiał, kiedy mówiła do niego: Tatusiu i błagała, żeby ją bił. Płakała, a on całował ślady po uderzeniach.

Którejś nocy Dawn zaproponowała, żeby zostali w domu, zamiast jechać do motelu. Derrick zgodził się. Mieszkanie było zniszczone, dlatego sądził, że dziewczyna będzie zadowolona, że pojedą do hotelu, gdzie będą mieli obsługę. W pokojach śmierdziało dymem z papierosów i tłuszczem, który przywarł do piekarnika. Ale tej nocy Dawn była bardzo podniecająca - ubrana jak mała dziewczynka, z włosami związanymi w kitki. Nie sprzeciwiał się. Zaprowadziła go do pokoju matki. Rzucił ją na łóżko. Kiedy w najlepsze się z nią pieprzył, do pokoju weszła Lorna. Przyglądała się. Potem wkroczyła do akcji. Pochyliła się nad nim i przytrzymując swoje wielkie piersi, podsunęła mu balony z brodawkami wielkości półdolarówek.

- Spróbuj tych, kochanie.

Potańił je językiem i poczuł dziwny smak.

- To koka, skarbie. Nie blefuję. Spodoba ci się.

Zaczął je łakomie ssać, wyginając się do góry. Naga Dawn, jedynie z wstążkami na kitkach, siedziała na nim okrakiem.

- Dalej, kochanie - krzyczała Lorna coraz wyższym głosem, głośniejszym niż kiedykolwiek. Myślał, że pęknie mu kręgosłup albo że się udusi, kiedy wcisnęła mu mocniej cycek do ust. Krzycząc, zaczął wchodzić w młode, jędrne ciało, ssąc ogromne piersi Lorny. Od lat nie był tak podniecony. Potem zrobił to jeszcze raz, z matką i córką. Kokaina podkręciła jego zmysły. Narkotyk i wielkie cycki podziały na niego tak bardzo, że prawie przestał myśleć.

Potem Lorna dała mu więcej. Przez lata unikał narkotyków, ale teraz był strasznie podniecony. Wciągnął tylko trochę, ale od tej nocy brali razem i czasami robili to w trójkę. Zawsze na olbrzymim łóżku Lorny. Podniecał się na samą myśl o tym, mimo że właśnie wracał z Oregonu do Prosperity.

Dzisiaj było inaczej. Dawn zgodziła się z nim wyjechać i dała mu to, czego chciał, a nawet więcej, ale wyczuł w niej jakiś niepokój, jakby skrywała tajemnicę.

Jesteś zbrojeńcem, Buchanan. Zbrojeńcem. To, co robisz jest perwersją. To jeszcze dziecko.

Zły na siebie, włączył radio. Miał nadzieję, że usłyszy wiadomości albo muzykę country, która zagłuszy wyrzuty sumienia. Ale ktoś, pewnie któraś z córek, zmieniła stację na starego rock and rolla.

Wszystko w nim zamarło, gdy z głośników popłynęły słowa piosenki, które wdarały się do jego umysłu. Piosenki, którą pamiętnej nocy śpiewał Elvis. Której melodię Derrick tak bardzo starał się zapamiętać.

Love me tender, love me true

All my dreams full fill...

Kochaj mnie czule, kochaj mnie prawdziwie, spełnij wszystkie moje sny...

Miał wtedy siedem lat. Obudził go koszmar. Zawołał matkę, ale Lucretia się nie zjawiła. Pociągając nosem i starając się ukryć łzy, poszedł po ciemku do jej pokoju, ale nie odezwała się, kiedy zapukał.

- Mamusiu, mamusiu! - popłakiwał. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Łóżko było pościelone. Mimo późnej nocy matki nie było ani w sypialni, ani w łazience, ani w garderobie. Poszedł do pokoju ojca na końcu korytarza. I wtedy usłyszał jej ulubioną piosenkę, śpiewaną przez Elvisa. Poszedł za dźwiękiem. Nie prowadził do jadalni, gdzie zwykle ją słyszał, ale na korytarz, a potem do garażu. Długi kabel biegł przez cały korytarz, niczym brązowy wąż, którego tam nie powinno być.

Bo cię kocham...

Wziął kilka głębokich oddechów i powoli szedł za niskim, kojącym głosem Elvisa.

- Mamusiu? - zaczął się denerwować. Przesuwał się z plecami przy ścianie. Wiedział, że ten wąż to nic dobrego. Piosenka nagle skończyła się. W domu zaległa cisza. Słychać było jedynie warkot pracującego silnika samochodu.

- Mamusiu?

Elvis znowu zaczął śpiewać tę samą piosenkę. Derrick zauważył otwór na dole drzwi garażu, przez który sznur wchodził do środka.

- Mamusiu? Tato? - Zaszło mu w gardle. Chciało mu się wymiotować. Pociągnął mocno drzwi. Otworzyły się. Ze środka wydostała się chmura błękitnego dymu. Serce mu kołatało. Smród był potworny. Jak przez mgłę zobaczył ich nową wieżę stereo na przenośnym stoliku. Widocznie mama chciała ją mieć w garażu. Z łomoczącym sercem podszedł do samochodu i zobaczył ją w środku. Jej głowa leżała na kierownicy nowego, lśniącego samochodu, który dostała na urodziny. Próbował otworzyć drzwi od strony kierowcy, ale były zamknięte. Krzyczał do niej i walił w szybę. Zaczął się dusić.

Muzyka grała tak głośno, że ledwie mógł ją przekrzyczeć. Gryzący dym nabrał mu się do przełyku.

- Mamo! - Dlaczego śpisz w samochodzie? - Obudź się! Obudź się, mamo! - Nie ruszyła się. Oczy zaczęły mu łzawić od dymu. Był przerażony jak nigdy dotąd. Coś było nie tak. Uderzył pięściami w szybę. Drzwi garażu otworzyły się. Odwrócił się i zobaczył ojca w krzywo zawiązanym krawacie, z rozczochranymi włosami. Na szarej twarzy malowało się niedowierzanie.

- Co tu się dzieje? Derrick, co ty robisz? Lucretia?

Twarz Reksa wykrzywiła się z przerażenia.

- O, Boże, nie!

Podbiegł do samochodu. Spróbował otworzyć drzwiczki samochodu swoimi kluczykami, ale żaden nie pasował. Chwycił młotek z półki ściennej i walnął w szybę od strony pasażera. Szkło wpadło do samochodu, rozbryznięte się po cementowej podłodze i poleciało w powietrze.

... I zawsze będę cię kochać

- Lucretia! Och, kochanie, co ty zrobiłaś? Co ja zrobiłem?

Przez dziurę w szybie włożył do środka rękę i zwolnił blokadę drzwi. Otworzyły się. Wyłączył silnik i wyciągnął żonę z samochodu - prezentu urodzinowego, który stał się jej zabójcą.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczał. Elvis śpiewał w tle. Rex wyciągnął żonę na zewnątrz i położył ostrożnie na trawie przy garażu. Pochylił się nad nią i usiłował robić sztuczne oddychanie, wdychając powietrze w jej rozchylone usta i

naciskając klatkę piersiową.

- Zadzwoń po policję!

Derrick stał jak wryty.

- Cholera, Derrick, wezwij policję!

- Ja... nie wiem, jak. - Drżała mu broda, trząsał się ze strachu i od płaczu. - Tatusi, ja nie...

- Zadzwoń do informacji, na miłość boską. Powiedz, żeby wezwali pogotowie do Buchanana.

Derrick z trudem przełknął ślinę.

- Ja... ja... tatusiu, czy mama umrze?

- Nie, jeżeli natychmiast wezwiesz pogotowie! Szybko!

Derrickowi jakoś udało się dotrzeć do domu. Wszedł na krzeselko, żeby dosięgnąć do telefonu w kuchni. Wykręcił zero. Poczul, że po nodze cieknie mu ciepła strużka.

- Musicie przysłać pogotowie i uratować mamusię! - szlochał tak głośno, że kobieta po drugiej stronie linii prawie go nie rozumiała. - Ona umiera! Umiera!

Choć minęło wiele lat, na wspomnienie tamtej nocy Derricka ogarniał potworny niepokój. Wszyscy mu tłumaczyli, że to nie jego wina, że był mały i mógł nie pamiętać adresu. W końcu był tylko dzieckiem. Ale nigdy sobie nie wybaczył. Nie wybaczył mu też ojciec. Od tamtej pory zaczął odnosić się do niego inaczej. Syn przestał być najpiękniejszy i najmądrzejszy w oczach Rekxa Buchanana. Całą swoją ojcowską troskę przeniósł na maleńką córkę, żywą kopię matki.

Derrick, nie rozumiejąc, co się dzieje, robił wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę ojca. Próbował dobrego i złego. Przekonał się, że złe rzeczy przynoszą lepsze efekty i są o wiele bardziej zabawne. Było wiadomo, że jest dziedzicem Buchanana, ale nigdy już nie był kochany. Nie tak, jak kiedyś. Nie był uwielbiany tak, jak kiedyś. Tej nocy, kiedy Bóg odebrał mu matkę, Derrick Buchanan stracił również ojca.

22

Oswald Sweeny potwierdził to, co Cassidy już wiedziała. Marshall Baldwin był człowiekiem bez przeszłości. Nie miał dzieciństwa, nie miał młodości, nie miał pierwszej miłości. Nie znalazła się babcia, która odpowiedziałaby na pytania, ani zapomniana siostra, która poprosiłaby o więcej informacji. Nie pamiętał go też żaden nauczyciel szkolny.

- Tak. - Głos Sweeny'ego było dobrze słychać, chociaż dzwonił z Alaski. - Wygląda na to, że nasz facet pojawił się tam, gdy miał dziewiętnaście lat. Sprawdziłem dokumenty w Kalifornii i wie pani, co? Rzeczywiście w Glendale w 1958 roku urodził się Marshall Baldwin, ale kiedy poszukałem dalej, okazało się, że zmarł pół roku później. Zespół nagłej śmierci noworodka. Rozmawiałem z jego matką. Mieszka teraz we Fresno.

Cassidy ścisnęły się wnętrzości. Nie były to zaskakujące nowiny, mniej więcej to samo usłyszała od Michaela Fostera. A to oznaczało, że wkrótce Bill Laszlo będzie miał te same informacje.

- Nie było innych facetów o tym samym nazwisku?

- Było wielu, ale wszystkich sprawdziłem. Żyją albo umarli, ale nie można ich brać pod uwagę. Po niemowlaku z Glendale ktoś bez trudu mógł przyjąć nazwisko.

O Boże.

- Zachodzę w głowę, czy Baldwin to Brig McKenzie. - Sweeny jakby odgadł jej myśli.

- Całkiem możliwe. - Zaszło jej w gardle.

- Nie byłby tak podobny, zwłaszcza po wypadku.

- Po wypadku? - powtórzyła.

- Tak. Baldwin miał potworny wypadek w tartaku. Coś wybuchło i kawałek drewna uderzył go w lewą stronę twarzy. Miał operację. Ale to wcale nie wyklucza tego, że ten facet to McKenzie. Chce pani, żebym się tym zajął? - Był zniecierpliwiony, jakby w końcu znalazł coś, na czym może położyć łapę.

- Nie, dziękuję... - Ledwie mogła się skupić na rozmowie. - Zrobił pan nawet więcej niż trzeba. Proszę mi przysłać rachunek. Tutaj, na adres redakcji.

- Nie ma sprawy.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała znad biurka na Billa Laszlo. Oparty o ściankę działową, wpatrywał się w Cassidy.

- Złe wieści? - spytał z chytrym uśmieszkiem.

- Cały ty. - Selma podjechała na krzesło obrotowym do przepierzenia. Bill musiał się szybko odsunąć, żeby na niego nie wpadła. Selma przeczesła sobie palcami loki. - Jeżeli nie przestaniesz jej zdręzczać, naprawdę będzie musiała zacząć palić.

Laszlo nie zwrócił na nią uwagi. Wziął przycisk do papieru z biurka Cassidy.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Czego chcesz, Bill?

- Potwierdzenia.

- Czego?

- Że Marshall Baldwin to naprawdę Brig McKenzie.

- Tego nie wiem.

- Że McKenzie był sprawcą pierwszego... - Podniósł do góry jeden palec. - ...i drugiego pożaru. - Podniósł drugi palec.

- Teraz to już wymyślasz, a nie informujesz.

- Nie powiesz mi chyba, że to zbieg okoliczności, że był przy pierwszym i przy drugim pożarze?

- Nic ci nie powiem. Nie znasz faktów, Bill. To tylko twoje domysły, a o ile mi wiadomo, „Times” nie publikuje spekulacji.

- Przecież ty też się nad tym zastanawiałaś. Policja również. Każdy myślał, że poszkodowany facet to Brig. Potem się okazało, że nazywa się Baldwin, ale myślę, że to tylko zasłona dymna. Prawdziwą zagadką jest, dlaczego twój mąż kłamie.

- Nie wiesz, że...

- Powiedz mu, że wpadnę.

- Nie będzie z tobą rozmawiał.

- Będzie.

- Jak go zmusisz? Zastosujesz metody gestapo?

- Daj jej spokój - mruknęła Selma. - Chodź, Cassidy. Czas na małą przerwę na raka pnie. - Zabrzęczała bransoletkami, przewieszając sobie torebkę przez ramię.

W kącikach ust Billa malowała się irytacja.

- Nie możesz mnie unikać. Albo będziesz mi pomagać, albo będziesz przeciwko mnie. Możesz firmować wiadomości swoim nazwiskiem albo być źródłem informacji.

- Rezygnuję. Z obu rzeczy. - Cassidy wyłączyła komputer i wzięła teczkę i torebkę. - Biorę kilka dni wolnego. Nie wytrzyma w redakcji ani chwili dłużej. Nie chciała wykręcać się od stanowczych pytań Billa. Wiedziała również, że bezskutecznie będzie starała skupić się nad innym artykułem, który jej w ogóle nie obchodzi.

Myślała jedynie o tym, że Brig nie żyje, a Chase skłamał. Ile razy pytała go o Briga? Jak często podsuwała mu myśl, że facet, który zginął, mógł być jego bratem? A on kłamał. Bo przecież wiedział. Musiał wiedzieć.

Jechała do domu. Miała w głowie mętlik. Jeżeli Brig mieszkał na Alasce pod przybranym nazwiskiem, to po co wrócił do Prosperity? I kiedy przyjechał? Od jak dawna Chase znał prawdę o swoim bracie, który - jak twierdził - nie żył? Czy zaplanowali spotkanie z Brigiem? Czy Sunny o tym wiedziała?

Łupało ją w głowie, kiedy wjeżdżała do garażu. Nie starała się uspokoić, nie policzyła do dziesięciu. Chciała natychmiast usłyszeć odpowiedzi. Dosyć kłamstw! Dosyć gier.

- Chase! - wrzasnęła, wchodząc do domu tylnymi drzwiami. Miała ściśnięty żołądek i wrzała w niej krew. Ruskin, który leżał pod kuchennym stołem, podniósł się, żeby ją przywitać. Poglaskała go po głowie, a potem ruszyła dalej. - Chase?

Zobaczyła, że wychodzi ze swojego pokoju. Był nagi do pasa, miał na sobie szare spodnie, mokre przy pasku. Był spocony. Miał czerwoną twarz i poczochrane włosy po wysiłku i bolesnych ćwiczeniach rehabilitacyjnych, które miały wzmocnić jego mięśnie. Od czasu bójki z Derrickiem, codziennie ćwiczył do granic wytrzymałości. Teraz stał, opierając się o ścianę.

- Nie było żadnego Marshalla Baldwina - oznajmiła wprost, patrząc na niego chłodno.

- O czym ty mówisz?

- Sprawdziłam to. Sprawdziło też Biuro Szeryfa, Bill Laszlo i Oswald Sweeny.

- Sweeny... Detektyw, którego wynajęłaś?

- Sweeny mieszkał w Portland, a potem przeprowadził się do Anchorage. - Zrobiła dwa kroki w stronę męża. - Marshall Baldwin, zanim skończył dziewiętnaście lat i zaczął pracować przy remoncie rurociągu, nie istniał. Ani na Alasce, ani w Kalifornii. I wiesz, co? Jedyne Marshall Baldwin, jaki w tym mniej więcej czasie urodził się w Kalifornii, umarł jako niemowlę. Na zespół nagłej śmierci noworodka.

- A kto twierdzi, że Baldwin urodził się w Kalifornii?

- Nie okłamuj mnie, Chase! - prawie krzyknęła. - Wiem. - Uderzyła się w pierś. - Wiem, że nieznajomy, czy Marshall Baldwin, czy jak go tam zwać, to był Brig. To tylko kwestia czasu, żeby to udowodnić.

- Boże, Cassidy, posłuchaj siebie...

- Ja to wiem, do cholery! - Trzęsła się ze złości. Chwyciła go za ramiona. Jej paznokcie wbiły się w jego mięśnie. Zacisnęła zęby, potem rozluźniła szczękę, a jego oczy nabrały koloru nocy. Wyglądał jak skazaniec. Westchnął i zamknął oczy.

- W porządku. Skoro tak bardzo chcesz to usłyszeć... Baldwin to był Brig.

Jej świat runął. Przygniotła ją długo ukrywana prawda.

- O Boże - wyszeptała. Jej ręce oderwały się od Chase'a. Mało się nie potknęła, próbując odsunąć się od niego. Nie potrafiła poradzić sobie z zalem. Objęły ją silne ramiona.

- Wiedziałaś. - Miała ściśnięte gardło. Targały nią emocje. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jak mogłeś kłamać... Mocno ją ścisnął. Szarpnęła się, chcąc się uwolnić.

- Dlaczego, Chase? - Rozplakała się. Łzy popłynęły jej po policzkach. Obiecała sobie, że nie uroni ani jednej łzy

z powodu Briga McKenziego, że będzie zachowywała się tak jakby nie żył, ale zawsze tlił się w niej płomyk nadziei.

- On tego chciał.

- Nie rozumiem.

- Bał się, że gdybyś wiedziała, że on żyje, nigdy nie ułożyłabyś sobie życia, nigdy nie odnalazłabyś siebie.

- Wiedziałeś przez cały ten czas? - Jej głos był ledwie szeptem. Ustami dotykała jego klatki piersiowej, bo przyciągnął ją do siebie.

- Od dawna.

- Zanim się pobraliśmy?

Zawahał się. Westchnął.

- Tak.

- O Boże.

- Zmusił mnie, żebym mu przysięgł.

- Chase... - Zadarła głowę i poczuła jego usta na swoich. Czula własne lzy i zapach jego potu. Czula ciepło i mimo bólu albo z powodu tego bólu, poddała się pragnieniu, które zrodziło się głęboko w niej.

Instynktownie zarzuciła mu ręce na szyję. Jego język zderzył się z jej zębami. Niecierpliwie otworzyła usta. Przez myśl przeszło jej, że nie powinna się z nim kochać, bo jeżeli mu się odda, będzie to znaczyło, że przebacza mu jego kłamstwa. Nie dopuszczała jednak do siebie nic poza bliskością jego silnych mięśni, męskim zapachem, który drażnił jej nos i smakiem jego skóry. Podniósł ją i z wysiłkiem zaniósł do sypialni. Położył ją na łóżku.

Nie przestając jej całować, niecierpliwymi palcami rozpinął guziki bluzki.

- Cassidy - wyszeptał jej w skórę.

Rozchylił bluzkę i wilgotnymi, rozpalonymi ustami pocałował ją w mostek. Poczul szybkie bicie jej serca.

Oddychała z trudem. Usłyszała delikatny szmer rozpinanego zamka w spodniach i zamknęła oczy. Tak długo na to czekała. Błądziła palcami po jego twardym ciele, napiętych mięśniach, gładkich biodrach.

Rozpiął jej stanik i zanurzył głowę w piersiach, oddechem łaskocząc jej brodawki. Drażnił je językiem, ssał i szczypał zębami. Rosnące podniecenie zawładnęło jej ciałem.

- Zapomniałem, że jesteś taka piękna.

Pocałował ją znowu. Dotknął jej pośladków i zaczął pieścić palcami wewnętrzną stronę ud. Drżała z podniecenia i wila się pod nim. Poczula, że rozchyła jej nogi kolanami. Ułożył się tak, żeby ciężar jego ciała opierał się na zdrowej nodze.

- Chcesz mnie, Cass?

- Tak. - Ledwie mogła mówić.

- Od kiedy?

- Od zawsze.

W jego oczach pojawił się cień.

- Gdyby tylko... - Zacisnęła zęby i gwałtownie w nią wszedł. Ogniecie. Zachłannie. Jakby w ten sposób mógł wymazać przeszłość, ból i kłamstwa. Jakby chciał wyrwać z niej duszę. Jej ciało odpowiedziało podobnie, gorąco i niecierpliwie.

Wbiła mu palce w ramiona i przywarła do niego. Krew w niej wrzała. Wygięła się w łuk i objęła go nogami w pasie. Miała wrażenie, że pokój znika, dom nie istnieje i są tylko oni i wszechświat. Mężczyzna. Kobieta. Miłość.

Chase. Brig. Miłość. Obrazy wirowały jej przed oczami.

- O Boże, nie mogę przestać... - krzyknął.

Jego ciało zeszywniało. Jęknął rozpaczliwie.

Wstrząsnęły nią konwulsje. Świat eksplodował, a wszystkie gwiazdy zaczęły migotać. Było tak duszno, że nie mogła oddychać.

Chase opadł na nią sapiąc, a ona z rozkoszą przyjęła jego ciężar. Objęła jego spocony tors, palcami dotykając umięśnionych pleców.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptała ze łzami w oczach.

- A ja za tobą. Gdybyś wiedziała, jak bardzo...

Nadal oddychał z trudem, a jego słowa przepelnione były beznadzieją, której nie rozumiała.

- Przytul mnie.

- Będę cię przytulał, dopóki będę mógł - wyszeptał w spocone kosmyki jej włosów. - Dopóki tylko będę mógł.

Sunny spojrzała w ołowiane niebo. Chmury przesłoniły słońce. Wiał złowrogi wiatr i mimo upału, który był nie do zniesienia - po południu temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni - Sunny poczuła podmuch zimny jak śmierć. Każdego ranka przenikał ją do szpiku kości. Potem krążył jak pies, aż w końcu cichł. Niemordowany. Niezaspokojony.

Nie chciała dłużej być więźniem. Wydawało jej się, że wszędzie otaczali ją strażnicy. Najgorzej było w szpitalu. Potem chciał jej pilnować Rex. Nalegał, żeby została na jego ziemi, w małym domku u podnóża gór, gdzie ją

ulokował. Gdzie odwiedzał ją Willie. Gdzie czuła się prawie bezpiecznie. Dopóki nie zrozumiała, że Rex jest słaby i że w końcu wyjawi władzom, gdzie ona jest.

Wtedy stamtąd odeszła i zaczęła się włóczyć po lesie. Wiedziała, że jest potrzebna synom. Znowu przed oczami miała obraz ognia i wody. Kłopoty. Straszliwe. Spojrzała na księżyc i gwiazdy, ale nie było ich widać. Las pogrążony był w całkowitej ciemności.

Nie bała się. I była cierpliwa. Czekwała na znak.

Cassidy przeciągnęła się w łóżku i zorientowała się, że jest sama. Chase już wyszedł, ale to nie miało znaczenia. Tej nocy nadrabiali stracony czas. Kochali się i zasypiali tylko po to, żeby kochać się znowu. Swędziało ją całe ciało i czuła pieczenie między nogami.

Narzuciła na siebie jego koszulę i zapinając ją, poszła bosą do kuchni. Kawa była już zaparzona. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Chase stoi przy stawie i wpatruje się w wodę. Czekał na nią.

Nie chciała go rozczarować. Wybiegła na dwór. Koszula wiała jej się między nogami. Czuła łagodną pieczęć powietrza na nagiej skórze. Zobaczył, że idzie, ale nie uśmiechnął się do niej. Zastanawiała się, czy wszystkie stare mury, które zburzyli zeszłej nocy, powstały na nowo.

- Kto ostami, ten fujara! - zawołała.

Odwrócił się do niej. Na minutę zamarło jej serce. Był tak podobny do Briga, że zaparło jej dech w piersi.

- Coś się stało?

- Nie. Ja... - Ale z niej idiotka. Zbyt wiele emocji naraz. - Chodź!

Rozpięła guziki i koszula ześlizgnęła się na ziemię. Cassidy wbiegła do lodowatej wody. Nie pozwoliła błędzić niebezpiecznie swoim zdradzieckim myśleniem. Zanurkowała głęboko, dotknęła dna, a potem wynurzyła się, żeby złapać oddech.

Chase nie stał pod drzewem. Nie było go.

Wyczuła ruch. Nagle wynurzył się przy niej z otwartymi ramionami, rozbryzgując wodę.

- Jesteśmy nienormalni.

Z brody kapała mu woda. Wziął ją w ramiona.

- Ej, bo się utopię!

- Nie. Ja cię uratuję.

Odnalazł jej usta. Objął ją rękami i nogami. Poczwała, że jego męskość wzbiera, mimo lodowatej wody. Krew w niej wrzała. Nagle zawładnęło ją pożądanie.

Zamknęła oczy, otrząsnęła się z wątpliwości i na nowo poddała się temu mężczyźnie, swojemu mężowi.

Dopiero później zrozumiała, że popełniła błąd. Siedzieli na ganku, trzymając w rękach kubki z gorącą kawą i przyglądali się koniom Cassidy, które pasły się na trawie za stawem. Promienie słońca przedzierają się przez chmury i ozłacały boki klaczy i ogierów, które oganiały się ogonami od much i skubały suchą trawę.

Nigdy nie kupiła sobie żrebaka ani ogiera. Remington był ostatnim.

Siedziała na krześle w szlafroku, opierając stopy na stole. Ruskin warował przy niej na podłodze. Chase leżał wyciągnięty na sofie, z lekko uniesioną chorą nogą. Miał na sobie opuszczone nisko na biodrach wyblakłe dzinsy i koszulę którą ona narzuciła, wychodząc z łóżka. Miejscami była mokra. Nie zwracał sobie głowy, żeby ją pozapinać.

- Czekasz - powiedział w końcu, biorąc łyk kawy - żebyś powiedział ci o Brigu.

- Chyba powinnam się dowiedzieć?

Utkwił w niej niebieskie oczy, a potem spojrzał na horyzont.

- Chyba tak. - Zawahał się przez moment i potarł kark. - Brig skontaktował się ze mną cztery czy pięć lat po tym, jak wyjechał. Znalazł mnie w Seattle. Powiedział, że mieszka w Anchorage, że kilka lat pracował przy rurociągu, potem w tartaku, a w końcu sam kupił tartak. Chciał, żeby wszyscy, ty, mama, całe to cholerne miasto, myśleli, że zginął, zmarł albo jak tam chcesz sobie to nazwać. Nigdy nie miał zamiaru wrócić.

- To było zanim, czy po tym, jak się ponownie spotkaliśmy?

Zanim. Ale przez bardzo długi czas nie dawał znaku życia. Wtedy już byliśmy ze sobą i... kazał mi tobie powiedzieć, że nie żyje.

- On tak powiedział? - wyszeptwała, próbując zlekceważyć ból, który znowu odezwał się w jej sercu.

- Myślał, że tak będzie najlepiej.

Zrozumiała. Chase od samego początku wszystkich okłamywał.

- On... A co powiedział na to, że się spotykaliśmy?

Jego oczy były okrutne.

- Nic.

- Nie próbował wybić ci tego z głowy?

- Mówię ci, że w ogóle go to nie obchodziło. Cassidy, nie możesz się z tym pogodzić?

Coś się nie zgadzało. Czuła to w kościach. Dziennikarska intuicja mówiła jej, że Chase nie mówi prawdy. Znowu. Ręce jej lekko drżały i wylało się trochę kawy. Poparzyła sobie rękę.

- Powiedział mi, że to nie on podpalił tartak.

- Wiem.

- Ale nie wiesz, co się stało.

- A ty wiesz? - wyszeptła. Serce łomotało jej jak szalone. Kim jest ten człowiek, który tyle wiedział i cały czas milczał? Kim jest jej mąż, z którym się kochała? Ile tajemnic miał przed nią przez te wszystkie lata? Ile myśli zachował tylko dla siebie?

- Brig pojechał do tartaku, żeby załatwić sprawę z Jedem Bakerem. Pobili się u nas w domu, ale Brig był przekonany, że Jed jeszcze nie dostał za swoje. Przyjechał za późno. Tartak stał już w płomieniach. Zobaczył Williego, wbiegł do środka i go wyciągnął. Wrócił po Jeda i starał się go wydostać. - W jego oczach nagle pojawił się mrok. Mówił ledwie słyszalnym szeptem. - Nie udało mu się, bo między nimi była ściana ognia.

- A Angie?

Chase odwrócił wzrok i patrzył w dal.

- Brig przysięgał, że nie wiedział, że ona tam jest. Nie widział jej z Jedem. Dowiedział się później.

- O Boże. - Cassidy nagle zrobiło się zimno. Poczula się tak, jakby weszła do ciemnego, lodowatego jeziora. Przypomniała sobie pożar, sięgającą nieba ścianę płomieni, chmury dymu i wstrętne, oslepiający strach...

Chase znowu na nią spojrzął.

- Powiedział, że pomogłaś mu uciec. Uparłaś się, żeby wziął twojego konia.

Pokiwała w milczeniu głową.

- I dałaś mu medalik świętego Krzysztofa. - Wpatrywał się w nią tak uporczywie, że nie mogła odwrócić wzroku.

- Chyba nosił go cały czas. Miał go tej nocy, kiedy wrócił.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zaciśnęła zęby, żeby się nie rozplakać. Kubek wypadł jej z rąk na ganek i stoczył się między paprocie i azalie.

- On nigdy cię nie zapomniał, Cass.

- Dlaczego wrócił akurat teraz?

Odwrócił wzrok.

- Chase? Co powiedział?

Chase podniósł się z kanapy i usiadł na ławie, na której Cassidy trzymała bose stopy. Ujął je w ciepłe dłonie, które niosły pocieszenie.

- Bo nadszedł czas. Wrócił, bo chciał się dowiedzieć, kto podpalił tartak. Wiedział, że oskarżono jego. Postanowił poznać prawdę. Miał pieniądze i sądził, że nikt go nie rozpozna. Prosił, żebym mu pomógł. Kupno drewna i cała reszta, to był tylko kamuflaż.

- Ale przecież ludzie by go rozpoznali? Zgolił brodę...

- Na początku nikomu by się nie pokazywał. Poza tym wyglądał inaczej. Miał złamany nos, bo przytrafił mu się wypadek, gdy pracował w tartaku. Twarz mu się trochę zmieniła.

- A ty go poznałaś?

Przełknął z trudem ślinę, mocniej ścisnął jej łydkę, a potem się podniósł i pociągnął ją, żeby wstała.

- Oczywiście.

- A ja bym go poznała?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, która wydawała się wiecznością. Odezwał się niskim, pełnym uczucia głosem, którego nie była w stanie pojąć.

- Nie sądzę, Cass.

Chmury odpłynęły, odsłaniając słońce.

- Może chciałabym się z nim pożegnać.

Objął ją mocniej i przyciągnął do siebie.

- Ja też.

Chwyliła go rękami w pasie i trzymała mocno.

- Ja... Przepraszam, za cały ból, jaki ci zadałam. Przez Briga...

- Ćśśś. To już za nami. - Jego oddech poślaskotał ją we włosy.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Tak? - Zastanawiała się, czy kiedyś naprawdę o wszystkim zapomną, czy duch Briga McKenziego będzie ich dręczył zawsze.

- Musimy pozwolić, żeby to umarło.

- Ale jak? Dopóki nie dowiemy się, kto podpalił tartak, kto zabił Angie, kto... - Wzdrygnęła się, i przesunęła rękami po jego plecach. Poczula silne mięśnie pod koszulą. - Kto był ojcem jej dziecka?

- Myślisz, że to on? - spytał Chase. Stał nieruchomo, a jego ciało nagle zeszywniało.

- Nie wiem, o Boże, nie wiem. - Przywarła do niego rozpaczliwie, głaszcząc go po ramionach. Pocałował ją. Jego oczy jaśniały z przejęcia.

- Cass, kocham cię. - Zamrugnął, jakby wstydził się do tego przyznać. Jakby te dwa słowa miały nadać kurs ich życiu.

I wtedy ją olśniło. Jak grom z jasnego nieba. O Boże, nie! Nie teraz!

- Co? - wyszeptala tak cicho, że ledwie ją było slychać. - Jak do mnie powiedziales?

- Cassidy...

- Nie... nie... - Miała wrażenie, że ganek przesuwaja jej się pod nogami. - Od czasu pożaru mówisz do mnie Cass, a nigdy przedtem... O Boże... - W jej umyśle zaczęły wirować obrazy. Chase wychodzący spod prysznicza z ręcznikiem wokół bioder, ubrany w spodnie od dresu, bez koszuli, nagi w łóżku zeszłej nocy, w stawie dziś rano. Zaczęła drzeć.

- Co?

Przesunęła rękami po jego ramionach, badając je palcami i nic nie znalazła. Nic!

- Cassidy?

- Puść mnie! - Wyrwała mu się, patrząc na niego z przerażeniem. Miała spocone ze strachu ręce, a serce waliło jej jak oszalałe. - Zdejmij to - nakazała.

- Po co?

- Zdejmij koszulę! - niemal wrzasnęła. Bała się, że oszaleje.

- Po co?

- Wiesz, po co.

Zatopił w niej niebieskie oczy, zdjął koszulę i trzymał ją w wielkiej dłoni.

- Odwróć się.

- Zwariowałaś?

- Odwróć się, do cholery!

Zrobił to posłusznie, unosząc ręce nad głowę, jakby nie miał nic do ukrycia. Jego plecy były idealnie gładkie. Miał tylko kilka świeżych blizn, ale nie było śladu po kuli, którą jako dziecko przez przypadek wystrzelił w niego Brig. Śladu, który dotykała tysiące razy.

- Jak mogłeś?

Splunął i spojrzał jej w twarz. Przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Wydawało jej się, że trwa to całą wieczność. Ledwie stała. W uszach szumiało jej tak głośno, jakby słyszała ryk morza. Z niedowierzaniem patrzyła na jego dumny podbródek i wyprostowane plecy. Nagle dotarła do niej prawda. Tak oczywista, że nie mogła pojąć, dlaczego nie domyśliła się jej wcześniej. Zresztą nikt się nie domyślił.

- Nie jesteś moim mężem. Nie jesteś Chase'em... - Ugięły się pod nią kolana. Oparła się o ścianę. Czowała straszny ciężar. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Cass...

- Nie. Nie nazywaj mnie tak! - Ogarnęła ją histeria. Nie widziała nic, poza przerażającą prawdą. Jak mogła być tak ślepa? Jego uporczywe spojrzenie, linia szczęki, ostry rysunek warg, sposób, w jaki zakładał koszulę. - Chase nie żyje, tak? - Łzy nabiegły jej do oczu. - Mój mąż. On nie żyje!

Chciał jej dotknąć, ale się wyrwała, bojąc się jego dotyku, jego spojrzenia, jego samego.

- Nie!

- Cass, posłuchaj, proszę, spróbuj zrozumieć...

- Zrozumieć? Zrozumieć? Zastanów się, o co prosisz, na miłość boską!

Jego dłoń zacisnęła się w pięść.

- Nie chciałem...

- Jasne! To była część twojego planu! O Boże, co ze mnie za idiotka! Skończona idiotka! - Jej głos stał się o oktawę wyższy. Powietrze kłuło ją w płucach. Nie mogła oddychać, nie mogła się ruszyć, nie była w stanie myśleć.

- Oczywiście, że chciałeś! Przez cały czas znałeś prawdę i ukrywałeś ją przede mną. Przed swoją matką. Przed wszystkimi. - Załamał jej się głos. Czowała, że drżą jej wargi. - Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia i tak cholernie ślepa.

Przysunął się do niej, a ona potknęła się, odskakując od niego.

- Nigdy więcej nie próbuj mnie dotknąć - ostrzegła. Przytrzymując się ściany, podeszła do drzwi. Skóra dłoni ocierała się boleśnie o mur.

- Gdybyś poczekała chwilę i posłuchała...

- Nie chcę niczego słuchać!

- Musisz!

Stała nieruchomo. Miał rację, chociaż ciężko jej było to przyznać. Nie mogła uciec. Stała na ganku, podniosła głowę i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Na miłość boską, Brigu McKenzie, co ty zrobiłeś?

- Nie skłamałem. To ty uważałaś, że jestem Chase'em.
- Twoja tożsamość... medalik... - jej głos brzmiał już pewniej. Pełen był nowej, zadziornej siły.
- Zamieniliśmy się. Chase leżał przywalony drzewem. Chciałem go wydostać, ale nie mogłem. To był jego pomysł. - Tamta potworna noc prześladowała go od czasu pożaru.

Chase miał zakrwawioną, wykrzywioną z bólu twarz. Bela na plecach wyciskała z niego życie. Brig zamknął oczy, ale nie mógł pozbyć się obrazu brata błagającego, żeby zamienili się portfelami i żeby dał mu coś swojego. Brig się nie zgodził. Gdy chciał odsunąć drzewo, które przygniatało brata, Chase wyciągnął rękę i jednym ruchem zerwał Brigowi łańcuszek z szyi.

- Zrób to dla mnie - błagał. Jego twarz, tam gdzie nie była poparzona, była śmiertelnie blada. - I dorwij sukinsyna, który to zrobił.

Zrozpaczony, spocony Brig robił wszystko, żeby go uratować. Trzymał go za rękę.

- Wyjdiesz z tego! Musisz!
- Na miłość boską, Brig! To już koniec.
- Sprowadzę pomoc!
- Daj mi ten cholerny portfel! I weź moją obrączkę. Zrób to dla Cassidy!
- Nie, Chase, sprowadzę...
- Zamknij się i rób, co mówię. Dla Cassidy i dla mnie! - Chase oddychał z trudem. Z nosa i z ust leciała mu krew. Zaciskał z bólu zęby. - Choć raz w życiu nie bądź egoistą!

Uległ. Szybko wyjął portfel z kieszeni Chase'a i zdjął mu z palca obrączkę, a potem wcisnął mu do ręki swój portfel, zaciskając jego palce na wytartej skórze.

- Dobrze. - Głos Chase'a był przytłumiony. Przewrócił oczami.
- Wytrzymaj! Zaraz wracam. - Śmiertelnie przerażony Brig pobiegł z powrotem do biura. Sięgające czarnego nieba płomienie trzaskały i syczały, pożerając trociny, wióry, kawałki drewna i wszystko, co napotkały na swej drodze. Serce Briga łomotało. Kaszlał. Czarny, dławiący dym, który wzbijał się do nieba, dusił go w płuca.

- Proszę, Boże...

To nie może być prawda! Nie znowu! Otworzył drzwi do biura. Gorące powietrze wtargnęło do płuc. Tartakiem wstrząsnęła kolejna eksplozja, która wyrwała mu drzwi z ręki. Iskry wzbijały się w powietrze niczym fontanna ognistych węgli. Stopy Briga oderwały się od ziemi. Upadł na plecy. Oświetlone płomieniami niebo wyglądało jak wielka czarno-pomarańczowa plama i było nieziemsko gorące! Próbował się podnieść. Znowu uderzył o ziemię. Rękę i kolano przeszył ból. Krzyknął. Lecący kawałek metalu uderzył go w głowę.

- Chase! - jęknął. Zamroczyło go. Skroń przy prawym oku pulsowała od bólu. Krzyknął. Pogрузzył się w ciemności. Nim stracił przytomność, poczuł ulgę, że nie będzie cierpiał meczami w płomieniach, które z pewnością go strawią.

Ocknął się w szpitalu. Wszyscy zwracali się do niego imieniem brata.

Musiał wszystko wyjaśnić. Obiecał sobie, że gdy wyjdzie ze szpitala i stanie na nogach, opowie, jak było.

- Kto to zrobił? - dopytywała Cassidy. - Kto jest podpalaczem? Derrick? - Zamrugła oczami. Brig zauważył, że ledwie może utrzymać się na nogach.

- Nie wiem. Ale się dowiem. Obiecałem to Chase'owi.

- Kłamiesz, Brig - oskarżyła go. Była blada, drżała i wpatrywała się - w niego, jakby miała przed sobą wcielonego diabła. - Byłeś tam! I przedtem, i teraz!

- Nie podpałiłem tartaku ani wtedy, ani teraz! Przysięgam na Boga!

Patrzyła na niego, jakby rozpaczliwie chciała mu uwierzyć.

- Kto mógł chcieć zabić Chase'a?

Przygniatało go poczucie winy, ciężkie niczym ołów.

- Wielu ludzi. Wiedział, że Derrick zagarnia pieniądze, wiedział o Reksie i Sunny, wiedział o wiele za dużo. Przez lata narobił sobie wrogów. Ale wtedy, gdy wybuchł pierwszy pożar, nikt nie życzył mu śmierci. - Brig wsadził ręce do kieszeni. - Myślę, że w pożarze, w którym zginęła Angie, miałem zginąć ja. Tylko ktoś pomylił mnie z Jedem Bakerem. To ja miałem być tamtej nocy z Angie. Byłem z nią na przyjęciu u Caldwell.

- Myślisz, że to ciebie chcieli zabić? - powtórzyła, jakby coś zaczęło świtać jej w głowie.

- Może tym razem również.

- Wtedy i teraz też? Ale kto? Nikt nie wiedział, że wróciłeś...

- Ktoś wiedział.

- Kto? - Myślała o wszystkich wrogach, jakich Brig miał w Prosperity.

- Willie wiedział. Był przy obydwu pożarach. Widział mnie.

Cassidy pociemniało w oczach.

- Chyba nie masz zamiaru winić tego biednego chłopaka, który nie mógłby...

- Moja matka też wiedziała. Chyba to czuła. Wiedziała, kim jestem, kiedy odwiedziła mnie w szpitalu. Wzięła mnie za rękę i nawet nie mrugnęła. Powiedziała tylko, że od dawna chciała mnie zobaczyć. Zwróciła się do mnie

po imieniu.

Brig powoli przysuwał się do Cassidy, zmniejszając odległość między nimi. Zabolalo go, gdy Cassidy odsunęła się i zmierzyla go dzikim, przerażonym wzrokiem.

- Sunny nie podpałiła tartaku. Na miłość boską, Brig, posłuchaj siebie!

- Oczywiście, że nie. Ale skoro wiedzieli Willie i Sunny, inni też mogli wiedzieć.

- Albo ktoś chciał zabić Chase'a. Nie udało mu się i może spróbować jeszcze raz. - Spojrzała na niego ze strachem w oczach. - Ciebie też zabiją.

- O ile im nie przeszkodzimy. - Dotknął jej policzka. Zamknęła na chwilę oczy. Poczul, że drży. Po chwili odskoczyła od niego.

- Ja... ja nie mogę... Brig... ja... na miłość boską, proszę cię, nie dotykaj mnie. Nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam.

Ale wiedziała. Podświadomie wyczuwała, że ten mężczyzna jest inny, że to nie jest jej mąż. Chociaż uparcie temu przeczyła, widziała różnicę. Nie tylko w nim, ale i w swoim zachowaniu. Dlaczego nie zdecydowała się na rozwód, chociaż przed pożarem była pewna, że tego chce? Dlaczego prosiła go o drugą szansę? Dlaczego tak rozpaczliwie do niego lgnęła, kiedy on chciał ją utrzymać na odległość? Z powodu wybujałego poczucia lojalności? Dlatego, że dzięki pożarowi zobaczyła, jak bardzo kocha męża? Dlatego, że wiara nie pozwalała jej na rozwód? A może dlatego, że szósty zmysł podpowiadał jej, że to Brig?

Czuła się podle. Dręczyło ją straszliwe poczucie winy. Minęła go i poszła do gabinetu Chase'a. Wzięła do ręki butelkę whisky. W lustrze nad barkiem zobaczyła swoją twarz i odbicie Briga stojącego w drzwiach.

- Chcesz się napić?

- Tak, ale chyba nie pora na to.

- C... co masz zamiar zrobić? - Drżały jej ręce. Schowała je głęboko w kieszeniach szlafroka. Dobry Boże, i co teraz? Jest żoną Chase'a, który nie żyje. Sypia z Brigiem. Oddała mu się, przymykając oczy na kłamstwa, tak jak w przeszłości.

- Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił. Poczekaj tu. - Niepewnym krokiem wszedł do hallu. Cassidy usiadła na brzegu kanapy. Ukryła twarz w dłoniach i czekała aż minie jej dudnienie w skroniach i rozdzierający ból serca. Zawsze kochała Briga, ale teraz miała wrażenie, że za niewinną, dziewczęcą fantazją stoi sam diabeł.

Choć tak bardzo go kochała, nigdy, przenigdy nie poświęciłaby dla niego Chase'a. Brata dla brata. Zrobiło jej się niedobrze. Pobiegła do łazienki, zamknęła drzwi i zwymiotowała wszystko, co miała w żołądku. Upadła na zimną posadzkę. Drżała. Otarła ręką usta. Łzy spływały jej po policzkach. Chyba nigdy w życiu tak nie płakała.

- Cass?

Zapukał do drzwi. Serce zaczęło jej łomotać. Brig! Och, Brig! Zmrużyła oczy i starała pozbyć się wyrzutów sumienia z powodu zdrady. Zdrady własnego męża.

- Nic ci nie jest, kochanie?

Jezu, niech on nie będzie dla mnie miły. Nie zniosę teraz czułości.

- Cassidy. - Jego głos stał się ostrzejszy. Powinna była się domyślić... Skręcało ją w środku, trzęsły jej się ręce i nie była w stanie myśleć...

- Jeżeli się nie odezwiesz, wyważę te cholerne drzwi i...

- Daj mi spokój!

- Daję słowo, Cassidy. Albo natychmiast wyjdiesz, albo je wyważę.

- Zostaw mnie w spokoju, Brig! - Znowu pochyliła się nad toaletą. Usłyszała, że Brig klnie pod nosem. Chociaż nie mogła zrozumieć poszczególnych słów, ich znaczenie nie pozostawiało wątpliwości.

Wstała. Ból między nogami przypominał jej o tym, jak długo, namiętnie i gorąco się kochali.

- Och, Chase, przepraszam - wyszeptwała, a potem pochyliła się nad umywalką i umyła usta. Zobaczyła w lustrze swoje odbicie, śmiertelnie bladą twarz i bursztynowe oczy, które patrzyły z potępieniem, w milczeniu oskarżając ją o najgorsze zbrodnie. - Odejdź - powiedziała do swojego odbicia. Przemyła twarz zimną wodą. To, że będzie się oskarżała i żyła w poczuciu winy do końca swoich dni, nic nie zmieni. Nic. Tylko wykrycie zabójcy Chase'a może zagłuszyć poczucie nieświadomej zdrady. Grzechu, że nie kochała męża tak, jak powinna była.

A co będzie, jeżeli to Brig? Co będzie, jeżeli okaże się, że to ten człowiek, który przez kilka tygodni udawał twojego męża? Mężczyzna, który cię zostawił? Który cię oszukał? Który zdradził samego siebie, własną matkę i swojego brata? Człowiek, który się z tobą kochał i wyrzucił twój świat do góry nogami? Co ty tak naprawdę o nim wiesz? Nic! Nic!

Ale nie bała się. Bez względu na wszystko, nie będzie bała się Briga McKenziego.

Był w gabinecie. Czekał z whisky w ręce. Spojrzała na szklankę bursztynowego płynu.

- Pomyślałem, że jest okazja. Nie potrzebuję już kul.

- Podobno chciałeś mi coś pokazać.

- Kiedy ty przeprowadzałaś dochodzenie na temat Marshalla Baldwina, wykorzystując informacje od Oswalda Sweeny'ego i twoich znajomych z pracy, ja też trochę kopałem. Podrzuciłem Sweeny'emu trochę informacji, które

potem miał dostarczyć tobie. On o tym nie wiedział, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła chłodno. Co to za człowiek?

- Zadzwoiłem do paru osób w Anchorage, Fairbanks i wszędzie, gdzie mieszkałem jako Baldwin. Do ludzi, którym ufałem. I którzy ufali mnie. Udzielili Sweeny'emu, Wilsonowi i Laszlo informacji, które chciałem, żeby mieli.

- Jesteś prawdziwym draniem.

Uśmiechnął się chytrze.

- Bez wątplenia. Ale nie mogłem dopuścić do tego, żebyście - ty, zastępca szeryfa czy Bill - dowiedzieli się za dużo, zanim będę gotowy.

- To dlatego nie powiedziałeś nikomu, że widziałeś Derricka w tartaku? Dlatego, że prędzej czy później ktoś by cię rozpoznał, a ty nadal jesteś podejrzany o zabójstwo Angie. - Słyszała dzikie łomotanie swojego serca. Ta rozmowa wydawała jej się nierealna. Po tylu latach. Po tylu cholernie długich latach.

Pokiwał głową i obrócił szklankę w rękach.

- Kiedy ty szukałaś gruszek na wierzbie, zajmując się Marshalllem Baldwinem, ja prowadziłem dochodzenie na własną rękę.

- Tak? - Usiadła na krześle i przyglądała mu się, wsłuchując się w jego głos. Zastanawiała się, dlaczego tak długo nie domyślała się prawdy. Brig McKenzie był zupełnie inny niż Chase. Podwinęła nogi pod siebie i bez sprzeciwu wzięła od Briga szklankę z whisky.

- Jedno jest pewne: ten, kto za pierwszym razem podpalił tartak cały czas mieszka w Prosperity. I...

- I Angie była w ciąży. - Nie miała pojęcia, dlaczego wyskoczyła z tym akurat teraz, ale to było dla niej ważne i dręczyło ją przez lata. Serce w niej zamarło. Patrzyła na Briga. Mocno zacisnęła palce na szklance, aż ją zabolęły ręce.

- Słyszałem. - Patrzył nieruchomo. - Ja nie byłem ojcem, Cass.

- Skąd wiesz?

- Ja nie...

- Jak mam ci wierzyć? Okłamywałeś mnie. Cały czas. Każdego dnia. Nie zadzwoniłeś, nie napisałeś, nie spróbowałeś się ze mną skontaktować, żeby mi powiedzieć, że żyjesz i... Kłamałeś, co tu dużo gadać. Więc dlaczego niby miałabym ci wierzyć, że...

- Nie byłem ojcem - powtórzył. Był wściekły.

- Ale...

Upuścił szklankę na podłogę i przeszedł pokój trzema długimi krokami. Chwycił ją za ramiona.

- Ja tego nie zrobiłem, Cass, i możesz wierzyć, w co tylko chcesz, ale nie kochałem się z twoją siostrą. Parę razy niewiele brakowało, bardzo niewiele, ale nie zrobiłem tego. A wiesz, dlaczego?

Nie umiała odpowiedzieć. Nie mogła się ruszyć.

- Wiesz?

Zaschło jej w gardle, a serce waliło jak oszalałe.

- Przez ciebie, do cholery. Najlepsza panienka w okręgu sama chciała mnie uraczyć swoim tyłkiem, robiła wszystko, żeby mnie uwieść, a ja nie mogłem myśleć o nikim innym poza jej kościstą, piękną, stukniętą siostrą!

- Nie wierzę...

- Cholera. - Przyciągnął ją do siebie i przywarł do niej ustami. Jego smak, zapach i dotyk były boleśnie znajome. Jej ciało przylegało do niego. Całowała go namiętnie i łakomie. Brig jedną ręką rozwiązał pasek jej szlafroka. Silne dłonie objęły ją w talii, dotykając rozpalonej skóry, wzniecając w niej ogień, tak jak przed laty. - Cass - wyszeptał. - Słodka, słodka Cass.

Westchnęła głośno i przeciągle. Przepelniało ją ogromne pragnienie i była tym przerażona. Zarzuciła mu ręce na szyję. Rozchyliła wargi. Czowała mrowienie między nogami. Brig pieścił jej włosy. Miał gorące, spragnione i rozpalone wargi. Zanurzył język w jej ustach. Jęknęła gardłowo. Ze strachem zdała sobie sprawę z tego, co robi.

- O mój Boże.

Uderzyła go w twarz. Zmrużył oczy z bólu, bo jego szczeka jeszcze nie całkiem się wygoiła.

- Au! - Wciągnął powietrze, złapał się za twarz i tupnął nogą z bólu.

- Chase... Brig... o Boże, nie chciałam... - Odsunęła się od niego.

Wpatrywał się w nią z napięciem, a potem odwrócił się i podszedł do okna. Zaklął, zaciskając pięści.

- Koniec z zasadami, Cass. Ja ci nie będę mówił, co masz robić, a ty nie będziesz mi rozkazywać. Będę się do ciebie zwracał, jak mi się podoba. Ty możesz robić to samo. Ale nie będziemy ze sobą sypiali, nie będziemy się dotykali i nie będziemy się zachowywali, jak byśmy byli małżeństwem.

Rozprostowywał i zaciskał palce, jakby w ten sposób ćwiczył cierpliwość.

- Wytrzymaj ze mną jeszcze kilka dni, aż doprowadzę sprawę do końca, a wtedy... wtedy wszystko wyjaśnimy i wyjadę.

Wyjedzie? Znowu? Przeszył ją potworny ból. Zamarła. Nie mogła znieść myśli, że nigdy więcej go nie zobaczy.

- Nie wiem, czy chcę, żebyś wyjeżdżał.

Spojrzał na nią. Miał surowy wyraz twarzy.

- Nie wiesz, czego chcesz. Kiedy byłaś żoną Chase'a, chciałaś mnie. Teraz, gdy nie żyje, chcesz go z powrotem.

Wykrzywiła usta w proteście.

- Potrzebuję tygodnia, może trochę więcej...

- Na wyjaśnienie sprawy, która pozostaje zagadką od siedemnastu lat? Ty ją rozwiążesz w ciągu tygodnia?

Przestań...

Uniósł mu się jeden kącik ust.

- Długo nad tym pracowałem. Jak myślisz, dlaczego przyjechałem akurat teraz?

- Wiesz, kto podpalił tartak?

- Jeszcze nie, ale chyba niedużo mi brakuje. Ktoś się denerwuje. - Westchnął i zmrużył oczy. Przerwał, jakby zastanawiając się nad własnymi słowami.

Co teraz? Nie mogła znieść szalejących emocji.

- Zjawiłem się wtedy w tartaku z jeszcze jednego powodu.

Zamarła.

- Jakiego?

- Wróciłem po ciebie.

- Co?

Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i przyglądał się jej.

- Chase mi powiedział, że masz dosyć małżeństwa. Że nalegasz na rozwód. Uwierzyłem mu. Wiedział, że to koniec i... i miał zamiar się wycofać, Cassidy. Gdybym ja chciał ciebie, a ty mnie, nie miał zamiaru stawać nam na drodze.

- Jezu... - Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Tego było już za wiele.

- Ale nie za darmo. Po tylu latach ciężkiej pracy nie zamierzał po prostu sobie odejść. Chciał całą resztę. - Brig wskazał ręką w stronę okna. - Tartak, ziemię, drewno, biura.

- Nie mogę uwierzyć, że chciał mnie sprzedać.

- To nie było dla niego łatwe. I nie było zbyt szlachetne, ale wiedział, że nie może mieć ciebie, że go nie kochasz i że nigdy nie pokochasz, i to go zabijało każdego dnia. Stał się obojętny, rzucił się w wir pracy. - Brig potarł kark i odwrócił wzrok.

- To nie wszystko - domyśliła się Cassidy.

Westchnął.

- Brig?

- Cholera. - Oparł się o parapet i odchylił głowę. - Prawda jest taka, że nie byłaś jego pierwszą wybranką.

- C... co? - Czuli, że huczy jej w uszach.

- To ironia, Cass. - Odwrócił się do niej twarzą. - Chase się z tobą ożenił, bo byłaś jedyną żywą córką Buchanana. Kiedyś on też był zakochany w Angie. Jak wszyscy w tym przeklętym mieście.

- Powinni wam odebrać odznaki! - Rex Buchanan był wzburzony, gdy wszedł do kuchni i zastał tam T. Johna pijącego kawę z jego żoną. - Wszystkim z biura szeryfa! Czy wy robicie coś poza zamieszaniem, pić kawy i pokrzykiwaniem do dziennikarzy: żadnych informacji? Kto spalił tartak? Kto usiłował zabić mojego zięcia? Gdzie jest Sunny McKenzie? I kto to, do cholery, jest Marshall Baldwin?

T. John westchnął głośno.

- Pracujemy nad tym. Zaczniemy od pani McKenzie. Wzięliśmy psy gończe do lasu, ale ona jest sprytna. Psy ujadały i kręciły się w kółko, a potem zaczęły ciągnąć, jak oszalałe. Myślałem, że znajdziemy ją w domku przy jeziorze Hayden, na pańskiej posiadłości przy wzgórzach.

- Wiem, gdzie jest ten domek. Łowiłem tam ryby w dzieciństwie.

- Był pan tam ostatnio?

- Hm... - Rex nerwowo spojrzał na żonę.

- Och, Rex, nie. - Dena sięgnęła po papierosy.

- Przecież musiała gdzieś mieszkać, do diabła! Gdyby ją znaleziono, Chase znowu zamknąłby ją w zakładzie. Jest matką Williego...

- I twoją kochanką! - wybuchnęła Dena, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co sobie kto pomyśli. I tak była tematem plotek całego miasta.

T. John wstał.

- Nie ma jej już w tym domku.

- Wiem. Dlatego tu jestem. - Rex oparł się o stół, a potem usiadł ciężko na kuchennym krześle. Patrzył przez okno na pola i basen. Przez lata starał się zatrzymać ulotną młodość, wrócić do czasów, kiedy żyła Lucretia, ale mu się to nie udało. Niestety.

- Myślałem, że może pan wie, gdzie ona jest.

Rex zdjął z głowy czapkę z daszkiem i miał ją w palcach.

- Nie - przyznał. - Odeszła ode mnie.
- Och, Rex. - Dena na próżno starała się powstrzymać fasy.
- Jak Lucretia.
- Wie pan, zastanawiałem się nad tym. To znaczy, nad pańską pierwszą żoną. Nie było mnie wtedy tutaj.
- Odeszła ode mnie.
- Odeszła? Ale chyba...
- Odeszła do nieba - wyjaśnił Rex. Zmarszczki na twarzy świadczyły o jego wieku. - Nie mogła tego dłużej znieść. Przez Sunny.
- To mnie zawsze zastanawiało - wyznał T. John. Wpatrywał się w człowieka, który kiedyś był najpotężniejszym mężczyzną w okręgu Clackamas. - Choć był pan tak straszliwie zakochany w pierwszej żonie, dlaczego kręcił się pan koło innej kobiety?
- Bo Lucretia była oziębłą suką, która nie wpuszczała go do swojego łóżka.
- Dena! - Rex wstał, ale ona posłała mu spojrzenie, które roztopiłoby górę lodową.
- Tak było. Wiem. Musiałam usuwać zamki z drzwi, kiedy się tu wprowadziłam. Nie wiem, co się stało, Rex, ani jak ci się udało mieć z nią dwoje dzieci, ale wiem, że ona cię zniszczyła. Traktowała cię jak trędowatego, a potem, kiedy znalazłeś sobie inną kobietę, odeszła na zawsze, włączając silnik swojego nowego samochodu i słuchając Elvise!
- To nie było tak.
- Nawet dzieci jej nie obchodziły. Znalazł ją Derrick. Mała Angie była wtedy w kołysce. Co by się stało, gdyby wybuchł pożar albo Angie wypadła z kołyski i spadła ze schodów? Zastanawiałeś się kiedyś, jak czuł się Derrick, gdy znalazł martwą matkę za kierownicą jej cholernego prezentu urodzinowego?
- Dena!
- Nic dziwnego, że wyrósł na skurwiela. Każdy by wyrósł. Lucretia zasłużyła na śmierć. Każda przyzwoita kobieta najpierw zatroszczyłaby się o dzieci, a potem puszczała magnetofon w samochodzie. Była samolubna za życia i samolubnie umarła, a ty przez ostatnie trzydzieści lat bez przerwy się o to obwiniasz!
Rex pobladł. Nie czuł nic, bo cały był odrętwiały.
- Lucretia była aniołem.
- Na miłość boską, Rex, otwórz oczy!
- Znajdźcie Sunny - zwrócił się Rex do T. Johna. Ignorował żonę i jej gadanie, zupełnie jak przez ostatnie trzydzieści lat. - Nie mogę jej stracić.
T. John wsunął okulary słoneczne na czubek nosa.
- Gdzie jest Willie Ventura?
- Teraz nazywa się Buchanan.
- Jakkolwiek się teraz nazywa, zniknął. Wie pan coś o tym?
- Dena go wyrzuciła.
T. John spojrział na drugą panią Buchanan.
Dena potarła ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno, a potem wzięła zapalniczkę i zapaliła papierosa. Płomień zadrżał.
- Dostawałam gęziej skórki, kiedy się tu kręcił. Parę razy dobrał się do alkoholu Rekxa, z gabloty z bronią zginęła jedna strzelba i znalazłam go w pokoju Angie, jak wpatrywał się w ten przeklęty portret Lucretii. Wiem, że wszyscy uważają, że on jest nieszkodliwy, ale ten chłopak to diabeł. Wcielony diabeł. I nie jest tak głupi, za jakiego uchodzi.
- Zamknij się, Dena! To mój syn. - Rex zadarł głowę i spojrział na zastępcę szeryfa. - Jego też proszę znaleźć. Jeżeli się panu uda, to dam pieniądze na pańską kampanię wyborczą. Wiem, że zamierza pan kandydować na szeryfa. Najwyższy czas, żeby Floyd Dodds miał godnego konkurenta. Znajdzie pan mojego syna i Sunny, a ja będę pana sponsorem. Legalnie albo nielegalnie. Nieważne. Nie mogę stracić nikogo więcej z rodziny.
- Przecież oni nie są twoją rodziną! - wrzasnęła Dena.
Rex uśmiechnął się blado do żony.
- Mylisz się, Dena. Zawsze się myliłaś.

Cassidy nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zdoła uczestniczyć w tej maskaradzie. Prawie nie odzywała się do Briga, od kiedy dowiedziała się, kim naprawdę jest. Uzgodnili plan działania, ale nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie mogła udawać, że wszystko jest po staremu. Całe jej życie stanęło na głowie. Prawie nie widywała się z Brigiem. Mieszkali w tym samym domu i poświęcali czas tej samej sprawie - chcieli znaleźć sprawcę pożarów, ale niewiele mieli ze sobą wspólnego. Tak było bezpieczniej. Nie zjawiał się rano przy stawie, kiedy Cassidy pływała, ale upierał się, żeby chodziła tam z Ruskinem. W domu Cassidy celowo unikała Briga. Nie mogła dłużej ciągnąć tej farsy. Jej życie legło w gruzach.

Jej matka była zdenerwowana. Sunny i Willie zaginęli. Rex był w paskudnym nastroju. Felicity i Derrick znowu się kłócili. Ona natomiast udawała, że jest żoną szwagra, którego wszyscy uważali za zmarłego, a tymczasem to jej

mąż nie żył, a jego ciało odesłano statkiem na Alaskę.

- Uwaga! - powiedziała, wchodząc do redakcji i kierując się w stronę biurka Billa Laszlo. - Mam coś dla ciebie - oznajmiła. Z takim zapałem stuknął w klawisze, że nie usłyszał, że Cassidy do niego podeszła, toteż prawie podskoczył, kiedy się odezwała.

- Co?

- Chyba najpierw powinniśmy omówić to z Mike'em. - Nie czekając, skierowała się do gabinetu redaktora naczelnego.

Gillespie był wniebowzięty. Chociaż raz „Times” wyprzedzi inne stanowe gazety, nawet „Oregonian”. Założył kciuki za szelki i wypiął pierś z taką dumą, jakby był pierwszym mężczyzną na ziemi, który miał rodzić.

- Więc Chase chce oznajmić, że Marshall Baldwin to był Brig McKenzie.

- Tak.

- Powiem tyle: całe miasto odetchnie z ulgą - stwierdził Laszlo. - Z tego, co wiem, mało kto lubił Briga. Miał bez przerwy kłopoty z prawem, z dziewczynami, z wszystkim i ze wszystkimi. Czarna owca.

Cassidy zdobyła się na lakoniczny uśmiech.

- Był moim szwagrem - przypomniała. - Przy Chasie nie wyskakiwałabym z takimi rewelacjami. Mogłoby mu się to nie spodobać.

- Oczywiście. - Mike rzucił Billowi ostrzegawcze spojrzenie. - Tylko dlatego, że w młodości trochę było o nim słychać...

- Było o nim głośno - zauważył Bill. - Powinieneś usłyszeć pastora Spearsa. On go nienawidzi. Hm, za bardzo nie przepada też za twoim mężem.

- Ani za mną. - Cassidy wyprostowała plecy.

- Nazwał Briga poganinem.

- Brig pewnie też nie szczędził mu wyzwisk - stwierdził Mike. - Dobra, trzeba kuć żelazo, póki gorące. Czy Chase dzisiaj chce złożyć to oświadczenie?

- Tak. W biurze korporacji. O pierwszej. Powinien być już wtedy po rozmowie z szeryfem.

- Musimy tam być! Trzeba zdobyć oświadczenie od szeryfa Doddsa i Wilsona. Boże, dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie wcześniej? - Bill poderwał się z krzesła.

Cassidy nie dała się sprowokować.

- W firmie. O pierwszej. Jeżeli się zjawisz w biurze szeryfa, to stracisz wyłączność. - Ale...

- W porządku. - Mike był czerwony na twarzy i był tak zły, że mało mu piana z ust nie poszła. - To Cassidy ustala reguły gry. Musimy się na nie zgodzić.

- Boże, Mike...

- Powiedziałem coś! - ryknął naczelny.

Bill z wściekłości kopnął kosz na śmieci, który potoczył się pod ścianę.

- Ale nie będzie tam żadnej innej agencji informacyjnej? - Gillespie chciał postawić sprawę jasno.

- O ile wy ich nie ściągniecie, to nie - obiecała Cassidy.

- Długo pan czekał z tym wyznaniem. - T. John zmierzył Briga podejrzliwie. Wydał dolną wargę i przyglądał się twarzy Briga, jakby szukał na niej kłamstwa. - Od samego początku wypytywałem pana o tożsamość nieznanego vel Marshalla Baldwina.

- Wiem. Chroniłem go.

- Przed prawem?

- Cały czas był przecież podejrzany o zabójstwo Angie Buchanan i Jeda Bakera, prawda?

- Fakt. - T. John oparł się na krzesło. Nie wierzył w ani jedno słowo Briga.

- Wrócił, bo chciał wszystko wyjaśnić. Tak, chciał ubić ze mną interes, ale...

- To była tylko przykrywka.

- Tak.

- Powinien pan z tym przyjść o wiele wcześniej.

- Mój błąd. - Brig oparł się na krzesło. Trochę się pocił, bo wyczuwał, że T. John jest zawzięty tak samo jak on i że zrobi wszystko, żeby dostać to, czego chce.

- Można to zakwalifikować jako ukrywanie dowodów.

- Można.

- A wiedział pan, gdzie on jest?

- Niezupełnie. Dzwonił od czasu do czasu i domyślałem się, że jest w Kanadzie albo na Alasce.

- Skąd? - T. John obserwował każdy jego ruch.

- Po sporadycznych uwagach na temat pogody.

- Ale nie pytał pan ani nie sprawdził wyciągów z telekomunikacji, żeby dowiedzieć się, skąd dzwonił.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie za bardzo chciałem się z nim zobaczyć.

- A to dlaczego?

- Bo był zakochany w mojej żonie.

T. John przestał oddychać.

- W pana żonie? Cassidy?

- Tak.

- Ale przecież miał romans z tą drugą dziewczyną, jej starszą siostrą przyrodnią?

Brig wzruszył ramionami tak, jak to często robił Chase. Za każdym razem, gdy myślał o bracie, czuł się tak, jakby mu założono pętlę na szyję. Część jego umarła wraz z Chase'em. Trawiło go poczucie winy, wściekłość i chęć zemsty, ale udało mu się nie okazać emocji.

- Brig umiał sobie radzić.

- Miał nie najlepszą reputację. Rozmawiałem z kilkoma kobietami, z którymi miał romans. Teraz wszystkie mają mężów, dzieci i nie za bardzo chcą mówić, ale z tego, co się dowiedziałem, był cholernym kobieciarzem.

Brigowi zrobiło się niedobrze, kiedy usłyszał te słowa.

- Był młody.

- I napalony.

- Zgadza się. I napalony.

- A pana żona? Ona też na niego poleciała?

Zastępca szeryfa nie popuszczał.

- Tak.

Czuł się niezręcznie, mówiąc o Cassidy. Nie chciał wciągać jej w całe to zamieszanie, ale nie miał wyboru.

- Ale ożenił się z nią pan.

- Myślała, że Brig nie żyje.

- A pan wiedział, że jest inaczej?

- Tak.

- Czy ona przestała go kochać?

Brig spojrział Wilsonowi prosto w oczy.

- Tak. - Był tego pewien. Wiedział, że kilka dni temu sam zabił tę miłość.

Derrick odłożył słuchawkę drżącą ręką. Już po nim. Zadzwoiła Lorna. Powiedziała, że ma kasety wideo z małymi sesjami z jej córką, która, jak zauważyła, nie ma piętnastu ani szesnastu lat, ale czternaście, a tylko wygląda nad wiek dojrzałe.

Zawartość żołądka podeszła mu do gardła. Czternaście! Boże, jest młodsza niż twoja córka. Jesteś zboczeńcem, Buchanan, jak twój stary.

Usiadł przy biurku boga imperium Buchanana. Dotarło do niego, że wszystko się wali. Będzie zrujnowany, zhańbiony, wystawiony na pośmiewisko. Felicity się z nim rozwiedzie, dziewczynki nie będą chciały go widzieć, a ojciec go wydziedziczy, choć sam przez całe lata pieprzył się z innymi kobietami i pociągała go własna córka. Boże, to było chore.

Znowu zaburczało mu w brzuchu. Wstał zza biurka. Czterdzieści osiem godzin. Tyle czasu mu dała. Potem skopiuje kasety nagrane w jej wielkim łóżku i przekaże je stacjom telewizyjnym, jego żonie i pieprzonemu szeryfowi.

Ani przez chwilę nie wątpił, że Lorna spełni swoje groźby. Od razu zagięła na niego parol. Chciała miliona dolarów, ale powiedziała, że nie jest zachłanna i że może jej wypłacać w ratach, po pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie przez kilka lat, doliczając odsetki. Na wszelki wypadek, gdyby postanowił skazać się na potępienie, stracić reputację i rodzinę, Lorna ostrzegła go, że ma przyjaciół, między innymi ojca Dawn, oszusta z paskudnym temperamentem.

- Cholera - warknął. Wyglądał przez okno. Czuł wstręt do siebie samego i pożądania, przez które zawsze pakował się w kłopoty. Co ma zrobić? Jest przyciśnięty do muru. A jego rodzina? Boże, co się stanie z jego córkami? Może nie poświęcał im tyle uwagi, ile życzyłyby sobie Felicity, ale je kochał. Na swój sposób. Dla ich dobra trzymał się od nich z daleka. Wiedział, że jego ojciec pożył Angie i nie chciał popełnić takiego samego błędu. Nigdy.

- Derrick?

Zerwał się na równe nogi. Z rozmyślań wyrwał go głos Felicity. Stała przy biurku i wpatrywała się w niego, jakby chciała go zabić. O Boże, ona wie. Zaschło mu w gardle.

- Coś się dzieje. - Felicity dostrzegła nerwowy tik w lewym oku Derricka i przygotowała się na najgorsze. - Co?

- Nic. Nic się nie dzieje.

Nie uwierzyła mu. Znowu ma tajemnice, jak kiedyś. Podejrzewała, że miał romanse i nie była na tyle głupia, żeby sobie wmawiać, że to nic nie znaczy. Za każdym razem, gdy ją zdradzał, czuła ból. Piekielny ból. Oddała mu wszystko, ryzykowała dla niego wszystkim. Wszystkim. A on i tak jej nie chciał. Tak naprawdę nie chciał jej nigdy, ale uważała, że przynajmniej mógłby być wierny. Chyba jednak i to było zbyt wiele.

Zwykle czuła się swobodnie w biurze i we wszystkich posiadłościach Buchanana, ale dziś po południu coś było nie tak. Spojrzała na zegarek, a potem znowu na męża. Był spocony i za wszelką cenę starał się zachowywać normalnie. Coś się kroilo.

I miało to coś wspólnego z Chase'em. Kątem oka dostrzegła, że uśmiechnął się blado, pierwszy raz od pożaru. Był to cierpki uśmiech, który zmroził jej krew w żyłach.

- Na pewno o niczym nie powinnam wiedzieć? - Wpatrywała się przez korytarz w otwarte drzwi gabinetu Chase'a.

- O co ci chodzi, Felicity? - Derrick nie ukrywał irytacji. - Słuchaj, jestem zajęty. Jeżeli chcesz o czymś porozmawiać...

Felicity odwróciła wzrok od drzwi Chase'a i spojrzała na męża. Bezcelnie spojrzał na zegarek i zapalił papierosa.

- Chciałam z tobą porozmawiać o Angeli.

- Tutaj? Teraz? W pracy?

- Nie chce iść do liceum świętej Teresy. Chce zostać tutaj, przez tego chłopaka, z którym się spotyka...

- Jakiego chłopaka?

- Jeremy'ego Cutlera. Nikt taki, zwykły napalony dzieciak, który... Co ona tu robi, do cholery?! - Felicity dostrzegła Cassidy, wchodzącą do biura Chase'a w towarzystwie dziennikarza, Billa Laszlo, wysokiego faceta, którego Felicity parę razy spotkała na siłowni.

Derrick spojrzał w tę samą stronę.

- Cassidy jest żoną Chase'a. Nazywa się Buchanan. Ma prawo tu przychodzić. Tak samo jak i ty.

Felicity odwróciła się gwałtownie i rzuciła mężowi mordercze spojrzenie.

- Ale Laszlo nie ma. Mówię ci, że coś się kroi. Coś wielkiego. I mam zamiar dowiedzieć się, co. Może ty też pójdziesz, bo to ma pewnie coś wspólnego z pożarem?

- A co mnie to obchodzi?

Felicity podeszła do drzwi i zamknęła je. Oparła się o zimną futrynę.

- Oboje wiemy, że nie było cię w domu tej nocy, kiedy wybuchł pożar. A chyba nie chcemy, żeby zastępca szeryfa nabrał podejrzeń, że byłeś w tartaku.

- Nie byłem. - Wsunął zapalniczkę do kieszeni spodni.

- Więc gdzie byłeś, kochanie, co? - Założyła sobie ręce na piersiach i pukała palcami w ramię. - I gdzie byłeś wtedy, gdy wybuchł pożar, w którym zginęła Angie? Wszyscy są przekonani, że byłeś ze mną. Dwa razy cię kryłam. - Ścisnęła dwa palce, starając się opanować wściekłość, ale wybuchło wszystko, co w sobie dusiła: lata kłamstw, noce, kiedy się zamartwiała i dni, kiedy się modliła, żeby udało jej się utrzymać przy sobie niespokojnego męża. Nazbierało się w niej złości, do tego problemy z Angelą... - Nigdy cię nie pytałam, gdzie byłeś tamtej nocy siedemnaście lat temu. Kłamałam jak z nut, chociaż wiedziałam, że byłeś zakochany w swojej siostrze.

- C...co?

- Nie udawaj niewiniątka. Myślisz, że nie wiem, kto był ojcem dziecka Angie?

- Nie wiem, o czym mówisz. - Derrick wyglądał na zgorzsnego. Nie ma co, nieźle mu idzie oszukiwanie. Prawie tak dobrze jak jej.

- Widziałam cię z nią, Derrick. Wiem, że pieprzyłeś się ze swoją siostrą. Domyśliłam się, że to ty byłeś ojcem jej dziecka i dlatego cię kryłam tej nocy, kiedy wybuchł pożar.

- Myślisz, że ja to zrobiłem... że jaja spaliłem?

- Ja to wiem, kochanie. Nie rozumiem tylko, po co podпалиłeś tartak kilka miesięcy temu. Chyba że byłeś zazdrosny o Cassidy.

- To obrzydliwe!

- Chcesz mi powiedzieć, że nie pieprzyłeś swojej przyrodniej siostry, ani że cię nie pociągała?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - W jego oczach było niedowierzanie, ale Felicity dostrzegła cień poczucia winy. Jest tak samo zboczony, jak jego ojciec. Myślała, że po śmierci Angie się zmieni, ale myliła się.

- Weź się w garść - powiedziała jakby nigdy nic, chociaż cierpiała katusze. Nigdy wcześniej mu tego nie zarzuciła. Nigdy tak się nie bała. - Tym będziemy martwić się później, a teraz trzeba się dowiedzieć, co mówi twój szwagier, żebyśmy mogli uzgodnić wspólną wersję.

- Ja nie...

- Zamknij się! Nie mamy czasu na kłamstwa!

Derrick spojrzał groźnie zza chmury dymu.

- Chase nic nie wie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale były przecież ślady twojej ciąży. Lepiej pójde i sprawdzę.

Nad lasem zapadła ciemność. Tylko nikły blask srebrnego księżycy i garstki gwiazd rzucał światło na strumyk płynący wzdłuż wąwozu Lost Dog. Sunny zamknęła oczy i poczuła, że zbliża się do niej noc. Wiatr zmierzwił jej włosy, poruszył gałęziami drzew i wzbilił tuman kurzu z piaszczystego brzegu. Słychać było głos sowy, samotnie

śpiewającej nocną pieśń. Z lasu dobiegał odgłos cichych kroków. Nocne istoty. Nie człowiek. I nie pies. Zachowała się lekkomyślnie, dając się zobaczyć tamtym dzieciakom. Biuro Szeryfa ściągnęło psy, które miały ją znaleźć, ale łatwo je wykiwała.

Miała wyraźne wizje, czuła przyływ mocy i wiedziała, że nadszedł czas prawdy, choć prawda była najgorsza z możliwych. Od tego zależy życie jej synów. Nie ma wyboru. Kłamstwa muszą się skończyć. Czuła, że ziemia drży od środka. Czuła zapach nadciągającej burzy. Ułożyła gałęzie i suche liście w kamiennym kręgu. Sięgnęła do przepastnych fałd spódnicy i znalazła pudełko zapalek i pierwszą stronę wczorajszego wydania „Timesa”: „Przemysłowiec z Alaski zidentyfikowany jako Brig McKenzie”. Przy kolumnie umieszczono czarno-białe zdjęcie Briga z dzieciństwa i Marshalla Baldwina. Artykuł porównywał pożar sprzed lat do niedawnej katastrofy, w której zginął Brig. Tylko że on wcale nie zginął. To Chase stracił życie w płomieniach.

Zapłakała cicho nad synem, który przez tyle lat był dla niej dobry i przysięgła w ojczystym języku matki, że zemści się na jego zabójcy.

Wizje stały się bardziej wyraziste. Zobaczyła synów w pożarze, wszystkich trzech. Była tam też inna twarz. Zła twarz, twarz mordercy.

- Śmierć tobie i tym, których kochasz - wyszeptala.

Rozległ się szmer, zapachniało siarką i płomienie buchnęły w niebo, ozłacając ziemię.

Pohukiwanie sowy ucichło. Nocne stwory rozbiegły się. Las przestał szumieć. Sunny, uśmiechając się, patrzyła na skwierzące liście.

24

Nie mogę żyć w kłamstwie. - Cassidy stała w drzwiach z walizką. W zeszywniałych palcach trzymała kluczyki jeepa. Konferencja prasowa była ciężką próbą, ale trudniej było powiedzieć rodzicom. W dodatku wiedziała, że kłamie na temat Briga. I Chase'a. Rex zaklął, gdy dowiedział się, że Marshall Baldwin był naprawdę Brigiem McKenziem, Dena stwierdziła, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, a Cassidy czuła się największą hipokrytką na ziemi. Od pierwszej rozmowy z Laszlo dwa dni temu, powiedziała policji, rodzinie, krewnym i przyjaciółom taką masę kłamstw, że nie byłaby ich w stanie zliczyć.

Potrzebowała czasu, żeby wszystko przemyśleć. Czasu, żeby poskładać na nowo swoje życie. Czasu na żalobę po Chasie i czasu, żeby pogodzić się z tym, że Brig jest... No właśnie, kim? Przecież nie może wiecznie udawać, że jest jej mężem. Niedługo będą chcieli wszystko wyjaśnić i wtedy prawda wyjdzie na jaw, że mieszka ze swoim szwagrem, który jest jej kochankiem i ukrywa fakt, że jej mąż nie żyje.

Życie z Brigiem było za bardzo skomplikowane. Przyszłość mglista. Cassidy nie miała pojęcia, co zrobi. Chwyciła kłamek.

- Wyjeżdżasz? - Głos Briga ją zmroził. Odwróciła się i zobaczyła, że podchodzi do niej, lekko utykając. Miał kamienną twarz. Był ogolony. Blizn prawie nie było widać. Był przystojny i sprawiał wrażenie szorstkiego i nieprzystępnego niczym góry Alaski, gdzie przeżywał piekło przez siedemnaście lat.

Zadzwoił telefon, ale nie zwrócili na to uwagi. Znowu dziennikarze. Co za ironia losu, pomyślała. Ile to razy ona była po tej drugiej stronie i z zaciśniętymi zębami modliła się, żeby osoba, którą była zainteresowana odebrała telefon, żeby potwierdziła albo zweryfikowała jej informacje. Teraz wydawało jej się to nieludzkie.

- Dlaczego? - Wskazał ręką na walizkę.

- Czuję się tutaj jak w więzieniu.

- Przeze mnie?

- Przez kłamstwa.

- To już nie potrwa długo. - Jego oczy były jasne jak letni dzień.

- Skąd wiesz?

Odwrocił wzrok od jej oczu i spojrzał na kącik jej warg.

- Wiem.

- Brig... - Ugryzła się w język. Bardzo pilnowała się, żeby zwracać się do niego jak do męża, jednak rzadko mówiła do niego Chase, bo było to poniżające i obłudne. Bała się, że może pomylić się przy ludziach. Dla niej było oczywiste, że jest to Brig. Różnił się od brata nie tyle wyglądem, co zachowaniem, dlatego była pewna, że ktoś w końcu domyśli się prawdy.

- Chcę, żebyś została.

Dom wydawał się pusty. Było cicho. Panował upał. Wzrok Briga zatrzymał się na pulsującej szyi Cassidy. Tak samo pulsowało jej w głowie.

Musi odejść. Dopóki jeszcze potrafi.

- Nikomu nie powiem, jeżeli o to się martwisz. Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Nie było żadną tajemnicą, że moje małżeństwo z Chase'em się rozpadało. Nikogo nie zdziwi, że byłam przy tobie, dopóki nie wyzdrowiałeś, a kiedy doszedłeś do siebie, zdecydowaliśmy się rozjeść.

- Tylko, że nie jesteśmy małżeństwem, co niedługo wyjdzie na jaw.

- W końcu.

- Niedługo.

Patrzyła mu w oczy. Żałowała, że ich życie tak bardzo się skomplikowało. Że siedzą w kłamstwach po uszy. Częstka jej cały czas go kochała i pewnie będzie go kochała do śmierci. Reagowała na niego jako mężczyznę w najbardziej pierwotny sposób. Nie mogła ufać sobie do końca. Nie miała wyboru. Musi odejść.

- Muszę przemyśleć kilka spraw.

- Wrócisz? - Nie starał się ukryć nadziei w głosie.

Myślała, że pęknie jej serce.

- Nie wiem. Mam nadzieję.

Otworzyła drzwi, żeby wyjść. Dokąd? Do domu rodziców? Do obskurnego hotelu w wielkim mieście, gdzie mogłaby patrząc w sufit, zastanowić się nad swoim życiem? Do domu dawnych przyjaciół w Seattle? Do mieszkania Selmy przy rzece? Do któregoś z domów ojca na Zachodnim Wybrzeżu? Nie miała pojęcia. Po raz drugi w życiu nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Nie było go w Prosperity. Ani z Brigiem. Ani bez niego.

Gdzieś w oddali zaszczekał głośno pies i rozległo się wycie syren.

- Do widzenia, Brig. - Otworzyła drzwi, ale zagroził jej drogę ramieniem.

- Nie! - Odwrócił ją twarzą do siebie. - Nie odchodź, Cass. - Jego oczy przepelniało uczucie. - Raz cię już straciłem. Nie chcę, żeby znowu tak się stało.

- Ale...

- Kocham cię.

Te słowa poniosły się echem po domu i dudniły w jej umyśle. Miłość. Jak długo czekała, żeby usłyszeć, że mu na niej zależy? Całe życie.

- Nawet mnie nie znasz - wyszeptała.

Jego ręce opadły bezwładnie. Walizka wypadła Cassidy z ręki i uderzyła o podłogę.

- Kocham cię tak, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestanę. - Z dumą podniósł głowę. - Cholera... - Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Nie chciał, żeby go odrzuciła. Objął i przyciągnął do siebie. Chciała zaprotestować, ale słowa uwięzły jej w gardle. Pewne, zmysłowe usta Briga miażdżyły jej wargi. Było jej dobrze przy jego napiętym ciele o ostrych kształtach i płaszczyznach, którymi do niej przywierał. Cofnął się do ściany. Ich biodra ściśle do siebie przylegały. Przez materiał dzinsów wezbrana męskość Briga naciskała niecierpliwie jej brzuch. Cassidy miała ściśnięte piersi i brakowało jej tchu. Zdjął gumkę z jej włosów.

Kluczyki, które trzymała w ręce, upadły na parkiet. Objęła go. Pocałunek stał się bardziej namiętny. Odezwała się w niej kobiecość, obudziła się zmysłowa bestia, wzbudzając fale gorąca.

Zawsze tak było między nimi. Gorąco. Pożądliwie. Łakomie.

Jęknął, uniósł głowę i spojrzał jej głęboko w oczy. Zamglony wzrok Briga przeszywał ją do głębi duszy.

- Nie opuszczaj mnie - wyszeptał szorstko, pocierając kciukiem jej brodę. - Cass, proszę, nie opuszczaj mnie nigdy.

- Brig... - Nie mogła myśleć, bo znowu zaczął ją całować. Nic nie widziała, nie była w stanie oddychać i nic nie słyszała. Mogła jedynie czuć.

Jęknął i oderwał od niej usta.

- Do diabła, Cass. Nie mogę... Nie stracę cię znowu. Nigdy. - Zanurzył palce w jej włosach, odchylił jej głowę i pieścił ustami szyję. Zadrżała z pragnienia, gdy przez bluzkę pocałował ją między piersiami, zostawiając na materiale mokry ślad. Wygięła się. Jej ciało było spragnione. Przestała słuchać tego, co mówił rozsądek.

- Zostań ze mną na zawsze. - Podniósł ją. Była wściekła na siebie za swoją słabość, ale przywarła do niego. Całowała, dotykała, badała jego ciało i wiedziała, że tym razem będzie się kochać z Brigiem.

Drżącymi palcami szybko ją rozebrał i położył na łóżku, które kiedyś dzieliła z Chase'em. Całował jej piersi, pępek, uda, a ona wyginała się po więcej, krzyczała jego imię, pragnęła więcej... o wiele więcej. Palce Briga czyniły cuda na jej skórze. Wszystkie wątpliwości Cassidy rozwiały się. Zapraszała go do swojego łóżka i serca. Dobrze robisz, krzyczało jej ciało. Poddała się, wiedząc, że ta noc należy do nich, ale jak skończą się kochać, odejdzie. Zamknie drzwi i zostawi mężczyznę, który udawał jej męża. Kiedy znajdzie dość siły, otworzy je ponownie.

- Wrócę późno - oznajmił Derrick.

Felicity i dziewczynki siedziały w pokoju jadalnym. Felicity z takim przejęciem czytała gazetę, że między jej perfekcyjnie wyregulowanymi brwiami utworzyła się głęboka bruzda. Linnie jak zwykle paplała z przyjaciółką przez telefon, a Angela, w czarnych butach na koturnie leżała wtulona w róg kanapy. Miała smutną minę, którą Derrick widział już wiele razy. Na przemian spoglądała na powtórkę filmu Roseanne i rzucała pełne nienawiści spojrzenia matce. Widać było, że myślami jest daleko od domu. Ostatnio nie najlepiej się układało między nią a Felicity. Ale nikomu się nie układało. Od czasu wywiadu Chase'a z Billem Laszlo, Felicity była w potwornym nastroju.

- Gdzie idziesz? - spytała Angela i zmarszczyła czarne brwi, zupełnie jak jej imienniczka.

- Na spotkanie z klientem.

Załóżył marynarkę. Felicity nawet nie podniosła głowy znad gazety, tylko zagryzła w zamyśleniu dolną wargę.

Angela wychyliła się do przodu, nagle zainteresowana.

- Ile lat ma ten klient?

Co to za pytanie?

- Cholera, nie wiem. - Derrick poklepał się po kieszeni marynarki, chcąc się upewnić, czy ma papierosy.

- A jakiej jest płci?

- Słucham? - Derrick dostrzegł błysk w oczach córki. Tak bardzo przypominała mu Angie...

- Twój klient jest mężczyzną czy kobietą?

- Do niedawna Oscar Leonetti był na pewno mężczyzną. Nie sądzę, żeby zrobił sobie operację zmiany płci.

- A gdzie to spotkanie? - spytała niewinnie.

Felicity podniosła głowę znad gazety i spojrzała na męża. Derrick myślał, że zapadnie się pod ziemię od podejrzliwego spojrzenia córki.

- W Portland. W Heritage Club.

- Złapię cię tam w razie czego? - spytała Felicity, a Derrick pokiwał głową. Członkowie i obsługa Heritage Club zawsze go kryli. Jak zresztą każdego. Jeżeli ktoś z rodziny był na tyle odważny, żeby tam do niego dzwonić, pracownicy klubu dawali mu znać przez telefon komórkowy i wracał do żony w ciągu piętnastu minut. Nigdy niczego nie podejrzewała.

- Czy dla Heritage Club pracuje Lorna? - spytała Angela.

Felicity pobladła.

Derrickowi zamarło serce. Tylko bez paniki.

- Nie wiem. Może jest kelnerką, albo hostessą. Często się zmieniają. - Skąd, do diabła, Angela dowiedziała się o Lornie? Zbieg okoliczności? Raczej nie. O ile można wierzyć wrednemu błyskowi w oczach córki.

- Ach. Pomyślałam, że może chciałbyś się z nią zobaczyć, bo dzwoniła dzisiaj. Powiedziała, że ma dla ciebie paczkę.

- Przesyłkę? - Derrick starał się szybko myśleć. Lorna była zdesperowana i nie miała żadnych oporów. Szczytem głupoty i nierozwagi było dzwonić do niego do domu.

- Chyba zdjęcia. - Angela uśmiechnęła się do ojca i odgarnęła włosy z oczu. Wiedziała, co robi, i przyprawiała go tym o mdłości. Jego córka jakimś cudem dowiedziała się o jego tajemnicach.

- A niech mnie. - Felicity zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

Derrick wpadł w panikę. Ona też wiedziała.

- Nie mogę uwierzyć, że też nikt na to nie wpadł!

- Na co? - Na ładnej młodej twarzy Angeli malowała się rozkosz.

- Na nic. - Felicity z gazetą w ręku wstała i skierowała się do gabinetu. - Powinieneś to chyba zobaczyć - powiedziała ściszym głosem.

Derrick nie miał wyboru - musiał iść za nią. To był problem ich małżeństwa. Felicity upierała się, żeby ciągnęli to przedstawienie. Zawsze nim dyrygowała i dyktowała, co ma robić. Twierdziła, że jest bezmózgowcem. Zmuszała, żeby chodził na nudne przyjęcia. Zapraszała przyjaciół ich rodziców na obiady i wiodła z nimi polityczne dyskusje, których nie znosił. Czuł się tak, jakby miał w nosie koło, do którego był przyczepiony łańcuch, za który ciągała go Felicity. Pomyślał o Lornie i jej wielkich, miękkich cycach. Teraz na niego nie działały. Dotarło do niego, że od miesięcy go zwodziła, podsyłając swoją córkę jako przynętę, żeby potem nagrać wszystko na wideo. A on się na to nabrał.

Felicity zamknęła drzwi. Derrick czekał, kiedy wybuchnie bomba. Może i dobrze. Czas przestać się chować i kłamać.

- Chase to nie Chase - wyszeptła z błyskiem w oku.

- Co? - O czym ona mówi? Znowu miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Nerwowo potarł kciukiem palec wskazujący.

- Wiedziałam, że coś jest nie tak - powiedziała do siebie, jakby coś knuła. Lekko zmrużyła oczy. - Dobrze mi się wydawało, wtedy, na tym cholernym wywiadzie. Cassidy wyglądała, jakby zobaczyła ducha, a Chase... nie był sobą. Chase nie żyje. Na pewno.

- Hej, chwileczkę - Derrick nie nadążał za jej tokiem myślenia, ale poczuł ulgę, że tym razem nie chodziło o jego mały brudny sekret. - Mówisz niejasno. Co masz na myśli, mówiąc, że Chase to nie Chase?

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś tak ciemny. - Podsunęła mu gazetę pod nos. - Sam zobacz. Brig McKenzie mógł się ukrywać pod nazwiskiem Marshalla Baldwina, ale teraz zasłania się innym. Ten bydlak podszywa się pod swojego brata.

Zaczynał rozumieć.

- Myślisz, że Chase to w rzeczywistości Brig? - Boże, ona naprawdę zwariowała.

- Tak! Tak! Spójrz tylko. - Pomachała mu gazetą przed nosem. - Siedziałam! - Na jej ustach pojawił się błądy uśmiech. - Dobrze by było to sprawdzić.

Derrick wyrwał jej gazetę z ręki i przyjrzał się z niedowierzaniem zdjęciom. Oczywiście, było pewne

podobieństwo, ale wyglądało na to, że Felicity wymyśla niestworzone historie.

- Skąd wiesz? Byli do siebie bardzo podobni.

- Ale nie byli bliźniakami, na miłość boską. Oczywiście, że byli do siebie podobni, mieli podobny styl mówienia i podobne głosy, ale różnili się sposobem bycia. Stosunkiem do rodziny i w ogóle do wszystkiego. Na początku myślałam, że to z powodu pożaru. Myślałam, że Chase mówi trochę inaczej z powodu operacji twarzy. I że się zmienił, bo otarł się o śmierć. Ale to nie wyjaśnia jego zachowania. Tego chamskiego, zarozumiałego stosunku do ludzi. A Cassidy? Cofnęła się do lat osiemdziesiątych. Pamiętasz, że przed pożarem miała zamiar rozwieść się z Chase'em i nie wracać do przeszłości? I że Chase nie poświęcał jej w ogóle czasu przez ostatnie lata? Na początku myślałam, że twoja kochana siostrzyczka ma takie dobre serce z powodu poczucia winy, bo jej mąż o mało nie zginął. Myślałam, że chce zachować twarz przed ludźmi, żeby nie uważali jej za sukę, która rozwodzi się z kaleką. To tłumaczyło, że przy nim jest. Ale chodzi o coś więcej. Ona nie składa pozwu o rozwód, bo jest z Brigiem. Zawsze ci mówiłam, że ona coś do niego czuje.

Derrick wpatrywał się w zdjęcie w gazecie. Głęboko w sercu czuł, że Felicity ma rację.

- Szkoda, że nie wpadłam na to wcześniej, ale naprawdę nie rozumiałam, o co chodzi, dopóki nie zobaczyłam, jak on rozmawia z Laszlo. Był za zimny. Za bardzo wyluzowany. Nie miał na sobie nawet krawata. To nie był Chase. To nie był wykrochmalony i zapięty na ostatni guzik Chase McKenzie. Wiedziałam, do cholery! - Najwyraźniej była zadowolona z siebie. Derrick musiał przyznać, że zawsze była czujna i podejrzliwa. Przecież udało jej się go złapać.

- Jak sądzisz, dlaczego Baldwinowi zawsze robili zdjęcia z brodą? Dla zmyłki, na wszelki wypadek!

- Nie jestem przekonany... - skłamał Derrick. Było mu niedobrze. Jeżeli to, co mówi Felicity jest prawdą, to będzie niezła afery.

- Popatrz, na miłość boską! - Wyrwała mu gazetę z ręki i położyła na biurku. Jaskrawo pomalowanym paznokciem wskazała zdjęcie Baldwina. - To Brig, do cholery! A Cassidy go chroni. Tak jak przedtem.

- Ona nie...

- Och, Derrick, dorośnij. Oczywiście, że tak. Ona ostatnia go widziała przed laty, prawda?

- Tak, ale...

- A on odjechał na jej koniu, na cennym Winchesterze.

- Remmingtonie - odruchowo poprawił ją Derrick.

- Co za różnica. Wrócił. Jest z twoją siostrą. A to nie wróży nic dobrego. Po tym zakłamanym mieszańcu nie można spodziewać się niczego dobrego. - Powinna być wściekła, ale wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jakby w zanadrzu miała jakąś tajemnicę.

Po raz pierwszy od miesiący Derrick był tego samego zdania, co jego żona. To prawda, że nienawidził Chase'a McKenziego, ale Chase był przynajmniej na tyle mądry, że znał swoje miejsce. Zawsze piął się do góry, prześladował go sen o Ameryce, ale w głębi duszy wiedział, że nic nie zmieni tego, że urodził się w nieodpowiedniej rodzinie. Mógł chodzić do najlepszych szkół, zostać prawnikiem, ożenić się z córką bogatego człowieka i piąć się po drabinie sukcesu, ale pewne szczeble były dla niego niedostępne, bo pochodził z biednej rodziny i był synem zwariowanej półkrwi Indianki, wróżbitki i ojca padalca. Ale Brig... On to co innego. Derricka złapał skurcz w szyi. Brig nie uznawał zasad. Nic go nie obchodziły przywileje związane z urodzeniem.

- Czy ty wiesz, co to znaczy? - Oczy Felicity błyszczały.

- Nie... ja...

- On tu nie wrócił bez powodu, Derrick. Wrócił, żeby oczyścić się z zarzutów.

- Ale nie może. Zabił Angie. - Nie był tego pewien, ale powtarzał to tyle razy, że prawie w to uwierzył. Prawie. W jego krwi zawrzała stara zazdrość. Gdy myślał o Brigu i Angie, wściekłość zaślepiła mu umysł. Felicity coś wie. - Prawda?

- Musimy donieść policji - oświadczyła Felicity. Zmrużyła oczy. Derrick widział, że rozważa problem ze wszystkich stron. Podziwiał żonę za jej spryt. Lubiła mieć wszystko przemyślane, zawsze miała na uwadze przyszłość. Ich przyszłość. - Przecież jest ścigany.

- O ile zabił Angie.

- Nie tylko Angie, ale też dziecko. - Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie wiesz...

- Że mogło to być twoje dziecko? Wierz we mnie trochę, dobrze? Dziecko mogło być Briga McKenziego, twojego ojca, Jeda Bakera albo twoje. - Zmarszczyła czoło, bo nie znała odpowiedzi. - Znam cię na tyle dobrze kochanie, iż podejrzewam, że było to twoje dziecko.

- Zwariowałaś? Co ty wygadujesz? Że Angie sypiała z Brigiem...

- Tak! Szmaciła się. Nie bez powodu. Na początku nie mogłam tego zrozumieć, ale potem pojęłam wszystko.

- Co to znaczy: wszystko? - Tak naprawdę nie chciał słuchać jej wyjaśnień.

- Potrzebowała jelenia. Kogoś, kogo mogłaby obwinić. Nie kogoś znaczącego, a już na pewno nie własnego ojca czy brata... - Twarz Felicity wykrzywiła się w zadawnionej, bolesnej wściekłości. - Była w ciąży i nie mogła nikomu o tym powiedzieć, więc musiała uwieść kogoś, kto miał już tak zaszarganą reputację, że nikt by się nie

zdziwił, gdyby Angie zgłosiła gwałt.

Derrick wpatrywał się w nią zszokowany.

- Myślisz, że chciała zrobić Briga?

- Och, oczywiście, że Brig ją pociągał. Pociągał wszystkie dziewczyny. Był przystojnym awanturnikiem. Najprzystojniejszym facetem w mieście. Pociągał wszystkie dziewczyny.

- Ciebie też? - Derrick nie chciał tego słuchać. Od lat nienawidził Briga. Był przekonany, że na zawsze zniknął z jego życia. Ale nigdy nie wymazał go ze swej pamięci. Gdy Cassidy wyszła za brata Briga, w Derricku znowu odżyła dawna wrogość. Ale Chase znał swoje miejsce, a... Cholera, Felicity miała rację. Chase, gdy został sprowokowany, przeskoczył przez biurko, żeby mu wlać. Już wtedy wydało się to Derrickowi dziwne. Chase raczej nie był porywczy, a przynajmniej nie w ostatnich latach. Zawsze rozwiązywał problemy w cywilizowany sposób. Złość wyrażał słowami, które mogły wyrządzić większą krzywdę niż bójka. Natomiast Brig zawsze był porywczy, nie bał się wskoczyć mu na głowę i wymachiwać pięściami. Derrick nabrał pewności. Co, do diabła, Brig McKenzie robi w Prosperity? Felicity znowu coś mówi... tylko co?

- Czy mnie pociągał? Brig? Tylko jako samiec, a to mi nigdy nie wystarczyło. Pamiętaj, kochanie, że miałam ciebie. Nie zawracałam sobie głowy Brigiem McKenziem, Jedem Bakerem, Bobbym Alonzo, ani żadnym chłopakiem, który z radością by mnie zaliczył. Byłam wierna. Zawsze byłam i zawsze będę. Jestem córką jednego z najbardziej szanowanych sędziów w tym stanie! - Na jej twarzy widać było zmarszczki, wyłobione przez wiek i rozpacz. - W przeciwieństwie do ciebie, nie muszę się zachowywać jak zwierzę. Nigdy nie byłeś wobec mnie uczciwy.

Nie miał zamiaru się kłócić. Wiedział, że to bez sensu.

- Wracając do rzeczy - ciągnęła, opanowując łzy - z jakiegoś powodu Angie zawzięła się, żeby przespać się z Brigiem. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak jej na tym zależy. Każdy chłopak z miasta skwapliwie skorzystałby z takiej propozycji...

- Dość! - Derrick chwycił ją mocno i przycisnął ją do ściany. Uderzyła głową o mur. - Nie mów tak o niej!

- A ty mnie nie bij!

- Obrażasz Angie i...

- Na miłość boską, Derrick, spójrz prawdzie w oczy! - Oddychała nierówno. Prychnęła głośno. - Tłumaczę ci tylko, że Angie potrzebowała mężczyzny, którego mogłaby nazwać ojcem dziecka. - Felicity była czerwona na twarzy, a jej oczy błyszczały. - O ile rzeczywiście nie był nim Brig.

Derrick zamknął oczy. Niewiele brakowało, żeby zemdlał. Potrząsnął głową.

- Nie.

- Twój ojciec?

- Nie... nie sądzę. Chociaż Rex za nią szalał, nigdy by nie... Naprawdę nie sądzę, żeby jej dotknął. Nigdy. Mimo że chciał. On... on... Znalazł sobie inne kobiety. - Puścił jej rękę i Felicity uderzyła plecami o ścianę.

- Ale chyba to nie ty, co, kochanie? Powiedz mi prawdę. Angie była w ciąży z tobą, tak? - spytała zdławionym głosem, w którym slychać było nadzieję, że zaprzeczy, chociaż była niemal pewna, że to on.

Zamrugnął szybko.

- Może ja. - Jego głos był szorstki. - Była przerażona. Bardzo przerażona. Dziecko... mogło nie być normalne, a ona nie uznawała aborcji i...

Felicity zadrzały wargi, które wykrzywiły się w pogardzie.

- Tak myślałam! - Z jej oczu popłynęły łzy. - Ty draniu - powiedziała szeptem. - Ty skończony draniu! Robiłeś skoki w bok, zdradzałeś mnie i pieprzyłeś się z własną siostrą! - Odskoczyła od niego, jakby nagle stał się dla niej obrzydliwy. - Mógłbyś przynajmniej temu zaprzeczyć. Zrzucić winę na swojego ojca. Albo na Briga! Na kogokolwiek!

- Robiłem to. Przez siedemnaście lat. - Wiedział już, co musi zrobić. Odwrócił się. Usłyszał, że płacze, ale nie przejął się tym. Z determinacją zrobił to samo, co siedemnaście lat temu. Wprawdzie był w innym domu, ale tutaj też była gabłota z bronią. Przystanął tylko po to, żeby wziąć naboje, a potem otworzył oszkloną szafkę i wyciągnął swoją ulubioną strzelbę. Tę, którą ustrzelił mnóstwo jeleni, zajęcy i saren.

- Nie! - Felicity poszła za nim, zobaczyła winchestera i potrząsnęła głową. - Nie możesz!

- Nie mam wyboru.

- Nie rób tego, Derrick. Poradziłam sobie z tym. Już się tym zajęłam... - Rzuciła się na niego, ale bez trudu ją odepchnął. Była zgrabna, ale niska, i to w niej lubił, bo bez trudu mógł się od niej uwolnić. Upadła pod ścianę, ale szybko się podniosła. - Nie wiesz, co robisz.

Załadował naboje do magazynka i zamknął strzelbę z głośnym i trzaskiem.

- Derrick, proszę cię, nie rób głupstw. - Była spanikowana. Derrickowi podobało się szaleństwo, które pojawiało się w jej zielonych oczach zawsze, gdy była przerażona. Wtedy miał nad nią całkowitą władzę. Nad każdym, kto stanął mu na drodze.

- Powinienem być załatwić tego bydlaka dawno temu.

- Nie możesz. Pomyśl o dziewczynkach. - Chwyciła broń, ale ją wyrwał. Syknęła, bo złamał się jej sztuczny

paznokiec.

- Mamusiu? - Nagle w korytarzu pojawiła się Linnie. Derrick zamarł. - Co... Tatusiu... Nie...
- Kochanie, wszystko w porządku - uspokoiła dziecko Felicity, a Derrick zobaczył, że zjawiła się też starsza córka, ładną podobną do jego zmarłej siostry.
- O, mój Boże, co tu się dzieje? - Angela przyglądała się strzelbie.
- Nic. Tatuś się trochę zdenerwował. - Felicity westchnęła i przyglądała sobie włosy. - Przestań, Derrick, przestraszyłeś dziewczynki. Odłóż broń i...

- Znowu cię bił. - Na twarzy Angeli widać było pogardę. - Jesteś odrażający - powiedziała do ojca. Jej słowa były echem słów, które powiedział sam do siebie po tym, jak pierwszy raz był ze swoją siostrą, przy strumyku. Wtedy tak bardzo chciał poczuć jak obejmuje go swoim ciepłem, że nie zauważył postaci ukrytej w wierzbach. Cassidy? Willie? Nie przejął się tym. Chciał jedynie zatracić się w pociągającym wilgotnym cieple Angie. Był pod wrażeniem jej bujnych piersi, szczupłej talii, trójkątnej kępkę ciemnych kręconych włosów na zwieńczeniu wspaniałych nóg. Kiedy w nią wszedł, jej niebieskie oczy szeroko otworzyły się w ekstazie i przerażeniu z powodu tego, co robili. Brutalnie odebrał jej dziewictwo, a ona oddała mu je tak słodko. Jeszcze teraz podniecał się na wspomnienie tego, jak razem przekroczyli tę granicę.

Thumaczył sobie, że to się więcej nie powtórzy, że to tylko ten jeden jedyny raz, że wódka, którą zabrał z barku ojca, zamieszkała mu w głowie, że był skołowany, dlatego, że widział swoją zmarłą matkę, a Angie była do niej tak podobna, tak nieziemsko pociągająca. Ale nie był w stanie trzymać się od niej z daleka, a ona tego pragnęła... Cholera, błagała o to, przytulała się do niego, szałowywała łzy z jego twarzy, kochała go jak nigdy żadna kobieta...

Pociągnął nosem i uświadomił sobie, że płacze. Ciężkie łzy wstydu spływały mu po policzkach. W końcu Angie zrobiła z niego idiotę, flirtując z każdym chłopakiem, próbując za wszelką cenę uwieść Briga McKenziego. Mówiła mu to wprost wiele razy. Zmęczyła się Derrickiem i szukała kogoś nowego. Pojawił się problem z dzieckiem... Jak tylko znalazłaby kogoś, kto dałby jej nazwisko, odeszłaby z nim. Zostawiłaby Derricka. A on ją kochał całym sercem. Nie mógł pozwolić jej odejść...

Nie mógł. Należała do niego.

- Nie - błaganie Felicity sprowadziło go brutalnie na ziemię. Na jej twarzy w miejscu, którym uderzyła o ścianę już pojawiły się siniaki. - Derrick, wszystkim się zajęłam. - Podniosła dłoń i spojrzała na córki. - Nie.

Nie usłyszał nic więcej. Zaciśnął palce na strzelbie. Wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Myślał o Brigu i o tym, jak szybko Angie zainteresowała się tym chłopakiem, jak z nim flirtowała, wdzięczyła się przed nim, mając nadzieję, że uwiedzie tego drania. Myślała, że w nim znajdzie ucieczkę od zaborczego brata.

Wrzucił broń na tylne siedzenie samochodu.

Felicity wybiegła z domu, wrzeszcząc na niego, chwytając za klamkę u drzwi.

- Nie rób tego, Derrick. Proszę. Nie musisz nic robić. Nie będzie ci już więcej zwracał głowy. Nikt nie będzie...

Przekręcił klucz w stacyjce, włączył wsteczny bieg i nacisnął pedał gazu. Felicity trzymała się ciężarówki, a on włókł ją po asfalcie.

- Derrick! - krzyczała.

Zmienił bieg, opony zapiszczały, wrzucił jedynkę i przejechał tak blisko koło niej, że odskoczyła. Twarz miała śmiertelnie bladą, a w oczach przerażenie. Ale on nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Nic go nie obchodziła. Teraz chciał tylko dorwać McKenziego. Mruczając ponuro, myślał o poważnym, nieodwracalnym zniszczeniu, jakiego miał zamiar dokonać. Wziął paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. Poszukał zapalniczki i włączył radio.

... a teraz, w hołdzie dla niezapomnianego Elvisa, jeden z jego największych przebojów... - zapowiedział spiker, a wkrótce potem z głośników rozległy się pierwsze dźwięki *Love me tender*. Derrick pomyślał, że nawet pasuje to do sytuacji. Zapalniczka kliknęła. Zaciągnął się mocno dymem marlboro. Elvis śpiewał tę samą piosenkę, przy której jego matka oddała ostatnie tchnienie. Lufa strzelby błyszczała w odbiciu zielonego światła deski rozdzielczej.

Derrick palił papierosa i myślał o nocy, która go czeka. Da nauczki temu śmieciowi i w ten sam sposób załatwi sprawę z Lorną. Jeżeli będzie miał trochę szczęścia, dopadnie jeszcze przyrodniego brata, półgłówka, i nieźle go nastraszy. Zachichotał nerwowo. W oczach stanęły mu łzy. Czas, żeby wszyscy się dowiedzieli, że Derrickowi Buchananowi nikt nie podskoczy.

Wyglądała strasznie. Miała we włosach liście, a na spódnicy piach. Jakby kilka tygodni włożyła się po lesie.

- Pani pozwoli, że to wyjaśnimy - powiedział T. John.

Sunny siedziała w jego gabinecie, trzymając w rękach kubek ziołowej herbaty. Czekala na obiad, który zamówił dla niej zastępca szeryfa.

- Rozpaliła pani ognisko, żeby się ze mną skontaktować. Pozostałe, które zgasił w lesie, rozpaliła pani również z tego powodu?

- Tak. - Pociągnęła łyk herbaty. Wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć.

- Następnym razem proszę skorzystać z telefonu. Łącząc telefoniczne są o wiele bezpieczniejsze niż ogniska w lesie.

Nie miała zamiaru słuchać wykładów. Widział to w jej oczach. Znowu coś mamrotała, częściowo w ojczystym

języku Indian amerykańskich, częściowo po angielsku. Z tej paplaniny mógł wywnioskować jedynie, że się boi.

- Stanie mu się krzywda, on może go nawet zabić. - Drżał jej głos, a ciemne oczy pełne były bólu.

- Kogo? Pani syna?

- Obu! Buddy'ego i Briga.

- Chwileczkę, myślałem, że dotarło do pani, że Brig już dawno nie żyje. - Będzie musiał zadzwonić po lekarzy i zamknąć ją znowu w szpitalu dla psychicznie chorych. Nic do niej nie docierało. Kubek wypadł jej z ręki i gorąca herbata wylała się na kolana. W ogóle tego nie zauważyła. Zamknęła oczy i kołysała się w tył i w przód, jak w transie. Przyprawiała T. Johna o dreszcze. Sięgnął po papierosy. Widział już w życiu wielu szarlatanów i oszustów, którzy wyłudжали od ludzi pieniądze, twierdząc, że są lekarzami. Ale niewielu potrafiło przepowiadać przyszłość, a ci byli przerażający, naprawdę przerażający. Nie podobała mu się myśl, że ktoś pozna jego przyszłość. Może Sunny była jedną z takich osób? A może była po prostu wariatką, osobą psychicznie chorą.

Nie mógł znieść jej zawodzenia. Zapalił papierosa i poczuł z rozkoszą, jak dym napelnia mu płuca.

Przyniesiono jedzenie z pobliskich delikatesów: kanapki z szynką i chipsy ziemniaczane. Sunny nie zwróciła na to uwagi. Nie przestawała zawodzić. Cały czas w jej ustach przewijało się imię Briga i Buddy'ego. Bez przerwy. Ale ani razu nie padło imię Chase'a.

- Co się dzieje? - spytał Gonzales, patrząc na Sunny.

- Jest w transie. Myśli, że jej synowie są w wielkich kłopotach, ale ciekawe, że nie martwi się o Chase'a. Tylko o Briga i Buddy'ego.

- Myślałem, że Brig to był Baldwin.

- Bo był. - T. John wziął pół kanapki i ugryzł ją, ale prawie nie poczuł smaku szynki, musztardy i cebuli, bo jego umysł pracował w przyspieszonym tempie, coraz szybciej i szybciej. W końcu wszystko zrozumiał.

- Cholera! - Wstrząsnął nim dreszcz, jakby ktoś przejechał mu wzdłuż kręgosłupa lodowatym palcem. - Chyba wystawiliśmy akt zgonu nie temu McKenziem!

- Co? Zwariowałeś? - Gonzales spojrzał na starą kobietę.

T. John zerwał się na równe nogi.

- Niech Doris z nią zostanie. Jedziemy pogadać z McKenziem.

Zawodzenie ustało.

- Jadę z wami. - Sunny otrzeźwiała w jednej chwili. Cholera, czy to wycie miało jakieś znaczenie?

- Nie ma mowy.

- Chodzi o moich synów, panie szeryfie. O moich synów. Ich życie jest w niebezpieczeństwie. Jadę z wami. Nie traćmy czasu. - Chwyciła laskę, wsadziła kanapkę do kieszeni i wyszła. Na korytarzu na chwilę przystanęła.

- O Boże... - Oparła się ciężko o ścianę. - Już... już za późno. - Patrzyła nieruchomo przed siebie. Jej twarz wykrzywiła się z przerażenia. - Mój Boże, Brig! Brig! - zaczęła przeraźliwie krzyczeć. T. John zawołał o pomoc. - Zabierzcie ją do szpitala. Biegiem.

Zastępca szeryfa Doris Rawlings wybiegła zza biurka.

- Nie! O nie! Oni się palą! Palą!

- Zajmij się nią! - przykazał Wilson, wskazując na Sunny. - Jedziemy do Chase'a McKenziego. Może potrzebować pomocy. Zadzwoń.

- Załatwione. - Doris podeszła do Sunny, która szlochała, drapała ścianę i siebie, jakby dręczył ją potworny psychiczny ból.

- Śmierć... On umrze.

T. John zostawił ją i zbiegł na dół. Jego kroki niosły się echem po budynku. Gonzales biegł za nim. T. John Wilson był przerażony, jak jeszcze nigdy w życiu. Otworzył zamasyżycie drzwi i popędził do samochodu. Usłyszał przeciągłe wycie syreny.

- Cholera, straż pożarna - zauważył Gonzales.

T. John usłyszał dźwięk klaksonów, warkot silników i pisk opon. Spojrzał na wschód, w stronę gór, i zobaczył w ciemności pomarańczową lunę.

- Dalej! - Uruchomił silnik i włączył wsteczny bieg, zanim Gonzales zdążył zamknąć drzwiczki. Z poczuciem porażki wyjechał z parkingu na sygnale i na światłach.

Bez wątplenia Sunny miała rację. Jest za późno.

Cassidy z ciężkim sercem zostawiła Briga w łóżku. Spał. Napisała mu kilka słów wyjaśnienia. Pocałowała go w czoło. Chciała pożegnać się z Ruskinem, ale pies gdzieś zniknął. Dziwne, bo zawsze był przy niej albo leżał na ganku przy drzwiach wejściowych. Trocheja to zaniepokoiło, ale nie poznała jeszcze nocnych obyczajów psa.

Nie wiedziała, dokąd jedzie. Chciała znaleźć się jak najdalej domu. Wydawało jej się, że połyskująca w ciemności obrączka z niej szydzi.

- Och, Chase - wyszeptwała. Czowała się jak straszna zdrajczyni. Zależało jej na nim i była mu wierna, ale nigdy go nie kochała. Nie tak, jak Briga.

Idiotka - powiedziała do siebie i zacisnęła palce na kierownicy. Jechała do miasta. Do Prosperity.

Dlaczego wyjeżdżasz? Przecież zawsze chciałaś Briga, a teraz jest twój. On cię kocha. Powiedział, że cię kocha. Dlaczego wyjeżdżasz?

Bo muszę. Jestem żoną Chase'a.

Już nie. Chase nie żyje. Ty go nie zabiłaś. Nie zabił go Brig. Po prostu tak się stało. Kochasz Briga! Do cholery, dlaczego wyjeżdżasz?

Muszę. Spojrzała we wsteczne lusterko, zobaczyła w nim swoje oczy i zwolniła pedał gazu.

Wyjeżdżasz, bo się boisz, Cassidy Buchanan. Boisz się, że kochasz za bardzo, boisz się przyznać, że Brig był zawsze w twoim sercu, boisz się przyszłości, o której nawet nie śmiałaś marzyć. Przyznaj się, Cassidy, jesteś gówniarą.

O Boże!

Nacisnęła hamulec i jeep zjechał na pobocze. Samochodem zarzuciło, a opony zostawiły ślad przy linii na drodze. Cassidy znowu spojrzała w lusterko, we własne oczy.

Nigdy nie uciekałaś od walki, Cassidy McKenzie, i na pewno nie będziesz robić tego teraz.

Kochała Briga. On kochał ją. Nic nie mogło stanąć im na drodze. Cokolwiek los im zdarzy i jakkolwiek się czują z powodu śmierci Chase'a, mogą przez to przejść. Zapomnieć o przeszłości. Stawić czoło przyszłości. Razem! Radość zagościła w jej sercu. Wróci, zanim Brig się obudzi. A kiedy otworzy oczy, kiedy świt rozjaśni im twarze, powie mu, jak bardzo go kocha. A potem mu to pokaże.

Skręciła kierownicę i nacisnęła z całej siły pedał gazu. Jeep zawrócił przechylając się na bok. Jechała do domu. I wtedy zobaczyła pomarańczową lunę na horyzoncie, złote światło, którego nie powinno być o tej porze nocy.

Serce w niej zamarło. Na chwilę przestała oddychać. Nie! To niemożliwe!

- Proszę, Boże, nie!

W głębi duszy wiedziała, że coś się stało, ale nie mogła uwierzyć, że wybuchł następny pożar - w jej domu... O Boże, proszę, tylko nie Brig!

- Wyłaż z łóżka, łajdaku! - Trzask ładowanej strzelby przerwał ciszę w pokoju.

Cassidy? Gdzie jest Cassidy?

Brig podniósł głowę i strach chwycił go za serce. Patrzył w lufę strzelby, którą trzymał Derrick Buchanan. Zaciskał palce na spuście.

- Powinienem być to zrobić dawno temu!

- O czym ty mówisz? - Brig natychmiast otrzeźwiał. W pokoju było ciepło, ale Briga mroził strach. Widział jedynie lufę strzelby wycelowaną w jego głowę. Nie było przy nim Cassidy. Dzięki Bogu. Chyba że...

Chyba że Derrick już ją znalazł.

- Wkładaj portki, McKenzie. - Derrick splunął. Jego twarz wykrzywiła się w gwałtownej złości, aż Brig skulił się. Zaschło mu w gardle i z trudem oddychał. Chociaż była noc, w pokoju było dziwnie jasno. I gorąco. Unosił się przejmujący zapach strachu. Gdzie jest pies? Powoli, żeby nie zdenerwować brata Cassidy, Brig założył dzinsy. Cały był spięty, gotowy uchylić się w razie potrzeby.

- Gdzie jest Cassidy?

Derrick wzruszył ramionami.

- Nigdy nie mogłeś połąpać się w swoich kobietach, co?

- Była tu ze mną.

Musi być bezpieczna. Na pewno jest. Strach przenikał go do szpiku kości.

- Ale jej nie ma. Nie ma też jeopa. Kochasiu, nie masz kogo zawołać na pomoc.

Poczuł ulgę. Jeżeli Cassidy jest bezpieczna, to nic więcej go nie obchodzi. Nic więcej nie ma znaczenia. A wyglądało na to, że Derrick nie kłamie. Nie w takiej chwili. Był pełen nienawiści do Briga. Skłamałby z rozkoszą, że już zrobił jej krzywdę, żeby sprawić mu ból.

- A jeżeli chodzi o psa, to albo zeżarł truciznę na szczury, albo Cassidy zabrała go ze sobą, bo też go tu nie ma. Na szczęście dla mnie. Nie cierpię kundli. Brudnych mieszańców.

Oczy Derricka zrobiły się ciemniejsze. Brigowi napięły się mięśnie. Chciał chwycić broń i wycelować Derrickowi w łeb, ale był na przegranej pozycji. Derrick strzeliłby do niego pierwszy, więc się powstrzymał i gorączkowo myślał, co robić. Starał się zyskać na czasie.

Derrick skinął głową w stronę drzwi i warknął:

- Jak to jest pieprzyć się z obiema moimi siostrami? - Jego oczy wąskie jak szparki, patrzyły z furią.

- Co?

Derrick pomachał bronią w stronę drzwi. Brig zrozumiał że ma wyjść z sypialni. Wyszedł na korytarz z łomoczącym sercem. Czuł, że podniósł mu się poziom adrenaliny.

- Może mi powiesz, która była lepsza? Angie czy Cassidy? Zawsze mnie to ciekawiło. Z Cassidy się nie zadawałem.

- Zamknij się!

- Nie będziesz mi rozkazywał, McKenzie! - Zimny koniec lufy dotknął nagiego torsu Briga, przypominając mu,

kto tu jest górą.

Myśli Briga krążyły jak szalone. Jedynym śladem po Cassidy był list na nocnym stoliku. Derrick go nie zauważył. Może mówi prawdę i Cassidy jest bezpieczna? Brig modlił się w duchu do Boga, w którego od lat nie wierzył. Miał nadzieję, że Cassidy postanowiła odejść i że jest już daleko stąd.

- Rusz się!

Brig z rękami nad głową poszedł boso korytarzem. Podłoga, zwykle chłodna, była teraz gorąca. Usłyszał rzenie przerażonych koni. Coś było nie tak. Chodziło o coś więcej niż strzelbę Derricka...

- Co ty wyprawiasz?

- Wiem kim jesteś, Brig. Felicity na to wpadła.

Brigowi szpik zastygł w kościach, ale nie przestawał się pocić. Zobaczył za zasłonami pierwsze migoczące cienie pomarańczowego blasku.

- Ona jest zdania, że powinniśmy poczekać, żeby policja aresztowała cię za zabójstwo Angie i Jeda, ale ja nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- Bo to ty byłeś sprawcą pożaru, w którym zginęła Angie.

Pożar? O Boże! Następny pożar! Derrick znowu podpalił, tym razem dom. Ale co on tu robi?

- Nie, do cholery. Ja jej nie zabiłem. Możesz w to wierzyć albo nie, ale to ty będziesz moją pierwszą ofiarą i bardzo się z tego cieszę. - Lufa uderzyła w nagie plecy Briga. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę. - Nigdy nie zrobiłbym Angie krzywdy. Nawet gdyby pieprzyła się ze wszystkimi chłopakami z miasta.

- Włącznie z tobą?

- Ona była moja, do diabła! - Głos Derricka był ostry. - Moja. Straciliśmy matkę i ojciec się od nas oddalił, kiedy ożenił się z tą suką, Deną. Angie i ja byliśmy parą.

Dym wdzierał się przez otwarte okno, ale Derrick w ogóle nie zwracał na to uwagi. Brig zaczął kasłać.

- A ty i Felicity?

Znowu dostał lufą w plecy. Spocił się. Było potwornie gorąco. Żar wlewał się do środka przez otwarte okno. Gdy skręcili i znaleźli się z tyłu domu, Brig zobaczył ogień w całej jego niszczącej, szatańskiej furii. Wściekłe płomienie, gnane wiatrem, sunęły od brzegu stawu, zajmując po drodze pień starego orzecha i zмирzając wytrwale w stronę domu i stajni.

- Do cholery, co ty chcesz wywinąć, Buchanan? - Brig starał się panować nad głosem, chociaż ogarniała go panika. - Zadzwoń po straż pożarną!

- Co? - Derrick w końcu zobaczył płomienie i poczuł dym. W pokoju słychać było głośne rzenie przerażonych koni, odgłos kopyt i dobiegające z daleka wycie syren.

- Cholera. Co tu się dzieje? - Widok ognia najwyraźniej go zdziwił. - Nie wiedziałem...

Brig poczuł, że strzelba lekko się przesunęła i zimny metal oderwał się od jego spoconych pleców. Uskoczył, padł na podłogę, przeczołgał się w ciemności, podniósł się i pobiegł co sił w nogach.

- Ej! Stój! - wrzasnął Derrick. Potknął się. - Ty pieprzony gnoju, zabiję cię...

Brig, kulejąc, podbiegł do frontowych drzwi. Chora noga ciążyła mu jak ołów. Czuł rozdzierający ból w udzie.

Chwycił za klamkę i pchnął drzwi, ale Derrick był szybszy. Dopadł go i wciągnął z powrotem do środka. Brig błyskawicznie walnął Derricka pięścią w twarz. Z nosa trysnęła krew.

- Ty sukinsynu... - Derrick chwycił się za nos.

Brig znowu mu przyłożył. Dostał cios w głowę. Krew obryzgała ścianę i pierś Briga.

Strzelba upadła na podłogę. Od gorąca wypadło okno. Szyba się rozbiła i szkło rozprysnęło się po domu. Gorące płomienie trzaskały i ryczały. Brig wybiegł z domu. Asfalt był już gorący.

- Tym razem mi nie uciekniesz, głupi dupku! - wrzasnął Derrick histerycznie.

Rozległ się huk. Ciałem Briga szarpnęło. Poczuł straszliwy ból w boku. Upadł ciężko na chodnik. Zadrapał sobie twarz. Z brzucha trysnęła mu krew. Powietrze było parne i gorące. Paliło go w środku.

- Ha! Dostałeś, bydlaku.

Zamroczony Brig walczył, żeby nie stracić przytomności. Zaczął się czołgać, byle do przodu, z daleka od tego piekła i szwagra.

- Pomóż Brigowi. - Usłyszał w pobliżu głos Williego. Brig nagle zdał sobie sprawę, że stoi i że ktoś ciągnie go ku drzewom po drugiej stronie posiadłości. To tylko pięćdziesiąt metrów, ale jemu wydawało się że tysiące kilometrów.

Dym i płomienie były wszędzie. Od ognistego żaru migotało powietrze. Brig nie mógł oddychać.

- Musisz biec, Brig. Biegnij. - Willie nie dawał za wygraną. Wielkimi dłońmi oddzielał go od napastnika i od ognia, popychając ku drzewom, których jeszcze nie dosięgły płomienie. - Derrick jest wściekły, a to się spali. Spali się.

- Dwóch za jednym zamachem! - wrzasnął Derrick.

Willie przezornie padł na ziemię, pociągając za sobą Briga. Brig poczuł rozdzierający ból w nodze. Winchester znowu trzasnęła i kula przeleciała ponad ich głowami.

- Dalej! Szybko! - Willie miał oczy szeroko otwarte ze strachu. Był przerażony. Ciągnął za sobą Briga. Drzewa

były coraz bliżej. Jakieś trzydzieści metrów. Może im się uda. Brig zebrał w sobie siły, żeby się ruszyć. Nocną ciszę rozdarł strzał. Willie upadł z jękiem. Uderzył głową o chodnik.

- Nie! - krzyknął Brig.

Powietrze świszczą w płucach Williego.

- Neeeeeee! - Brig odwrócił się. Zobaczył Derricka na ganku. Cały dom stał w płomieniach. - Będzie dobrze - odezwał się do umierającego mężczyzny. - Tylko trzymaj się mnie. - Z ust i nosa Williego pociekła krew. Łała się też z rany w piersi. Brig chciał zatrzymać krwawienie, ale nie mógł. - Willie, trzymaj się!

Willie miał szeroko otwarte oczy. Patrzył na Briga.

- Brig... - wyszeptał. Z jego ust pociekła krew i ślina.

- Nie mów...

- Bracie. Dobrze.

- Tak, Willie, dobrze.

- Ona spaliła.

Cassidy? O, nie, Boże, nie!

- Willie...

- Felicity. Spaliła Angie. Spaliła Chase'a. I ciebie....

- Nie, Willie, nie wiesz, co mówisz - wyszeptał Brig. - Nic nie mów, dobrze? Wytrzymaj. Zaraz tu będzie pomoc. O, cholera, nie!

Z płuc Williego wydostał się przeraźliwy świst, a jego niebieskie oczy zaszły mgłą.

- Nie! - Brig trzymał głowę przyrodniego brata, nie chcąc dopuścić do siebie oczywistej prawdy. - Nie! - Spojrzał w niebo, a potem na rozszalałe piekło, które pożerało ziemię jego brata, i zagotowało się w nim. Wściekłość wzbudziła w nim chęć zemsty. - Dorwę go - przysiągł. - Choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Dorwę go, Willie, i dostanie za swoje...

Brig zanosił się od kaszlu, z boku leciała mu krew. Z trudem, ale zdołał się podnieść. Derrick nie ruszył się z ganku. Nie zwracał uwagi na płomienie, sięgające dachu nad jego głową i na wstrętny kłębiący się dym. Nie przejmował się, że z okien wypadają szyby. Suche jak pieprz drewno szybko się zajmowało. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, pożerając wszystko, co napotkał. Kierował się w stronę stajni i szop. W pobliżu słychać było wycie syren i głośny dźwięk klaksonów.

Straż pożarna.

Było za późno. O wiele za późno.

Derrick, wiedząc, że ma niewiele czasu, zeskoczył z ganku i wycelował strzelbę prosto w pierś Briga.

- Najwyższy czas, żebyś poszedł prosto do piekła, McKenzie - wrzasnął. Dusił się, ale rozpierała go beztroska, głupia pycha. - I chcę, żebyś wiedział, że jestem dumny z tego, że to ja cię tam poślę.

- Ty morderco, zabiorę cię ze sobą! - ryknął Brig. Pobiegnął przed siebie. Konie rżały przeraźliwie. Zapiszczały opony. Syreny przestały wycić i wszędzie zaczęli biegać ludzie.

- Ej, ty!

- Stój!

- Co tu się dzieje, do diabła?! O, cholera, on ma broń!

Derrick nacisnął spust.

Brigowi zahuczkało w uszach. Zrobił jeszcze krok, ale wybuch zwałił go z nóg. Płomienie wystrzeliły w niebo, a potem opadły kaskadą iskier. Dom rozleciał się. Pozostały po nim tylko szkło, kawałki metalu i drewna, betonowe płyty. Brig czuł, że umiera. Z boku leciała mu gorąca, lepka krew. Brakowało tchu. Do płuc dostawał mu się dym, który dosięgał księżycy. Brig miał wrażenie, że zaraz pochłonie go ciemność. Dotknął karku, szukając palcami łańcuszka z medalikiem, który nosił przez lata, ale nie znalazł go.

- Cassidy - wyszeptał chrapliwie. - O Boże, Cassidy. Tak mi przykro. - Zamknął oczy i zobaczył jej piękną twarz. - Kocham cię. Zawsze cię kochałem...

Cassidy zaparkowała jeepa przy ogromnym wozie strażackim. Nacisnęła hamulec i z przerażeniem zobaczyła pożar i Briga. I Derricka z bronią... O Boże.

- Przestań! - krzyknęła. Otworzyła drzwi i żar uderzył ją w plecy. - Brig!

Pobiegnął pod pień starej jabłonki. Upadł bez sił na ziemię.

- Nie! - krzyknęła. - Brig, nie!

- Niech się pani odsunie!

Nie zwróciła uwagi na strażaka i podbiegła do Briga. Usłyszała ostatnie słowa, które zdołał z siebie wykrztusić, głośniejsze niż wycie syren.

- Brig! Brig! Kocham cię! - krzyknęła i opadła przy nim na kolana. Położyła jego głowę na swoich kolanach. Pocałowała go i poczuła pot i krew. Chciała tchnąć w niego życie. - Kocham cię. Zawsze cię kochałam. Nie możesz umrzeć, cholera, nie możesz!

Jej głos zagłuszało wycie syren i warkot silnika wozu strażackiego, który stał tuż obok niej. Trzymała Briga i

modliła się, żeby przeżył, bo kochała go przez całe życie. Z oczu popłynęły jej łzy, a serce ścisnęła rozpacz.

- Kocham cię... o Boże, zawsze cię kochałam.

Pojawili się przy nich ludzie. Strażacy, lekarze, policjanci i kobiety. Zjawiała się nawet Felicity, która wrzeszczała w rozpacz i wołała Derricka.

- Nie chciałam tego zrobić! - krzyknęła Felicity, szukając męża. Zatrzymał ją strażak. - Nie chciałam go zabić. Nie Derricka. Tylko Briga. On musi umrzeć. Jak Angie! O Boże, proszę, niech ktoś uratuje Derricka!

- Niech pani tu zostanie. Zawołajcie policjanta. Jej mąż...

- Raczej nie ma szans. Chyba nie żyje.

- Nie! On nie może umrzeć! Nie może! O Boże, co ja zrobiłam? - wrzeszczała Felicity.

- Chyba powinniśmy przeczytać tej kobiecie, jakie ma prawa.

- Uratujcie go! Uratujcie Derricka. On... o Boże!

Komendant straży pożarnej nie zwrócił na nią uwagi.

- Niech podjedzie wóz numer dwa i zacznie gasić stajnie, trójka niech się zajmie domem. Co, u licha? Skąd tu się wziął pies?

- Znaleźliśmy go zamkniętego w stajni. Wygląda na to, że ktoś mu dał narkotyki albo coś podobnego....

- Ma pani prawo milczeć...

Słowa były ciężkie i niewyraźne. W głuchym ryku pożaru słychać było rżenie koni, szczekanie psa i krzyki mężczyzn. Strach ścisnął serce Cassidy. Przytuliła do siebie Briga. Jedynego mężczyznę, którego kochała. Mężczyznę, którego zostawiła...

Cassidy siedziała nieruchomo. Trzymała go mocno przy sobie.

- Ej, jest tutaj... - Cassidy poczuła ciężką rękę T. Johna na ramieniu. - Zobaczmy, co z nim.

Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę, którego od dawna uważała za wroga. Zamrugowała przez łzy.

- Uratujcie go - błagała. - Proszę, musicie go uratować...

- Chłopaki z karetki zrobią to najlepiej.

- Kocham go.

- Wiem, złotko.

- To jest...

- To też wiem. A teraz szybko. Trzeba się śpieszyć. Zanieście go do lekarza.

Wstała, chociaż nie czuła nóg. Nic do niej nie docierało. Patrzyła, jak kładą Briga na noszach i niosą do karetki.

- Jest w szoku. Zabierzmy ją do szpitala.

Cassidy jednak strząsnęła delikatną rękę ze swojego ramienia. Nie przejmując się kłębam dymu, przeszła pomiędzy wężami lejącymi wodę na dom, który zbudował dla niej Chase. Chciała być z Brigiem. Wiedziała, że może go już nie zobaczyć żywego. Karetka odjechała na sygnale. Cassidy trzymała jego ręce w swoich dłoniach. Ich palce spłotły się. Nie mogła powstrzymać łez. Patrzyła na Briga i żałowała, że nie może cofnąć czasu.

- Proszę cię, Brig. Obudź się i kochaj mnie.

Leżał bez ruchu. Przez bandaż, którym opatrzone mu bok, sączyła się krew. Twarz miał spoconą i brudną. Była zadrapana tam, gdzie otarł się o asfalt.

Łzy spływały jej po policzkach. Karetka puła w ciemności. Nie można jechać szybciej? Brig jest taki blady, jakby lada moment miał umrzeć.

- Kocham cię. Nie waz się umierać, Brigu McKenzie - załamał jej się głos. - Przysięgam na Boga, że jeżeli umrzesz, nigdy ci nie wybaczę!

Poruszył się. Nieznacznie, ale się poruszył. Na chwilę otworzył oczy i spojrzał jej prosto w twarz.

- Nie mam najmniejszego zamiaru, Cass - wyszeptał. Nie mógł mówić.

- Brig! - Serce Cassidy łomotało.

Zacisnął rękę na jej dłoni, żeby dodać jej otuchy.

Po twarzy spływały jej gorące łzy. Pochyliła się, żeby pocałować Briga w odrapany policzek.

- Nie opuszczaj mnie.

- Nigdy. Od tej pory będziemy zawsze razem, dziecinko.

- Obiecujesz?

Spojrzał jej w oczy, a potem spuścił wzrok.

- Obiecuję.

Epilog

Mrużąc oczy w zachodzącym słońcu, Brig wbił gwóźdź w ścianę i nasłuchiwał odgłosu nadjeżdżającego samochodu. Nie był to znajomy warkot silnika jeepa Cassidy. Na starym podjeździe, gdzie przez lata stawiała samochód matka, zatrzymało się auto z Departamentu Szeryfa. Wsunął młotek do pasa z narzędziami i podszedł wyprostowany do miejsca, w którym niedługo staną drzwi nowego domu. Teraz był to tylko szeroki otwór w ścianie, podpartej belkami.

T. John wysiadł z samochodu. Brig zeszytniał. Nie potrafił pozbyć się nieufności do władzy. Przez całe życie uciekał i nadal, gdy tylko widział mundur, odzywał się w nim sygnał ostrzegawczy. T. John wszedł po kładce

położonej nad rowem wokół fundamentów nowego domu, który Brig budował dla Cassidy.

- Pomyślałem, że może będzie pan chciał zobaczyć parę rzeczy. - T. John uśmiechnął się, mierząc wzrokiem ściany murowanego domu, postawione niedawno na miejscu starego baraku Sunny. Wręczył Brigowi kopertę i czarne pudełko z kasetą. Po podłodze wałały się gwoździe i trociny. Dach był już prawie skończony. Belki pachniały świeżym drewnem.

- Dlaczego? Co to jest?

- Może odda to pan właścicielom.

Koperta zawierała dwa чеki, każdy na sto tysięcy dolarów, wystawione na T. J. Wilsona. Jeden od Reksa Buchanana, drugi od Sędziego.

- Łapówki?

T. John wzruszył ramionami.

- Można tak powiedzieć.

Przyjechała Cassidy i wysiadła z jeepa. Brig nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się na jej widok. Była szczupła i opalona. Jeszcze nie było po niej widać, że nosi w sobie dziecko. Ich dziecko. Podeszła do nich. Postawiła papierową torbę i napój na podłodze przyszełego korytarza.

Brig pokazał Cassidy чеki.

- Powiedzieli mi, żebyм wykorzystał je na moją kampanię wyborczą albo przeznaczył na emeryturę. Jak chcę. Ale jednym zajmuje się okręg, a drugim się nie martwię. Rozwiązałem sprawę dwóch pożarów i morderstw i wygląda na to, że stałem się miejscowym bohaterem. Coś podobnego. - T. John się uśmiechnął. Cassidy spojrzała na чеki i podała mu piwo.

- Jestem na służbie.

- Ale jest pora lunchu. Jako bohater może pan świętować.

- Właściwie tak.

- Co to jest? - Brig wskazał na plastikowe pudełko.

- Pornografia. Z Derrickiem w roli głównej.

- Cudownie. - Cassidy westchnęła. - Co ma pan zamiar z tym zrobić?

- Oddam Sędziemu. Chce ją mieć. Wie pan, Felicity odsiaduje wyrok, a Derricka nie ma już między nami, więc Caldwell chce zniszczyć wszystkie kopie. Ich autorkę oskarżyliśmy o szantaż. Sędzia się boi, że może być więcej kopii, a wolałby, żeby jego wnuczki tego nie zobaczyły.

- Całkiem nieźle sobie radzą - wtrąciła Cassidy. - Angela spędza bardzo dużo czasu ze swoim chłopakiem, a Linnie... Linnie dużo czyta. Mówiłam jej, że może zamieszkać z nami, ale chyba dobrze jej u Caldwellów. - Westchnęła. - Cały czas mówi, że Felicity niedługo wróci do domu.

- Nie sądzę. Choć jej adwokatem jest stary wyga, to i tak sobie posiedzi.

Cassidy zrozumiała słowa T. Johna. Dowody przeciwko Felicity były oczywiste. Naczytała się o zapalnikach z książek z biblioteki. Kilka lat później, bojąc się, że straci Derricka przez Angie, postanowiła ją zabić, gdy będzie z Brigiem. Chciała udowodnić Derrickowi, że jego siostra była niewierna, ale skończyło się tym, że zamiast Briga zginął Jed.

Cassidy myślała o tym ze wstrętem. Zrozumiała, że skoro Brig nie dał się złapać na uwodzicielskie sztuczki Angie, jej siostra musiała znaleźć innego mężczyznę, który mógłby być ojcem dziecka. Wybrała Jeda, niestety w nieodpowiedniej chwili i w nieodpowiednim miejscu. Po latach gdy wznowiono dochodzenie, Felicity chciała nie tylko zabić Chase'a ale również zniszczyć dowody w firmie. Miała nadzieję, że nikt się nie dowie, że Derrick defrauduje pieniądze. Wtedy jeszcze nie wiedziała o Brigu ani nie miała pojęcia, że Chase miał się z kimś spotkać w tartaku. Chciała pozbyć się obu McKenziach i prawie jej się udało. Żeby dokończyć dzieła potrzebny był trzeci pożar. Chciała zabić Chase'a, ale zorientowała się, że to Brig. Ucieszyła się, że w końcu się go pozbędzie. Wraz z McKenziemi umarłyby wszystkie tajemnice Derricka.

- Obawiam się, że Felicity nie szybko wyjdzie na wolność. I nie tylko ona. Lornę i jej byłego męża oskarżyliśmy o handel narkotykami. Chyba chętnie oddadzą kopie kasety, żeby skrócić wyrok. Sędzia nie ma się czym martwić. Może spokojnie wychowywać wnuczki.

Brig otworzył piwo i pociągnął łyk. Było zimne. Październik był za to gorący, tylko liście zaczęły już opadać. Martwił się, że przyjdzie mu wykańczać dom zimą. Na szczęście dach był już prawie gotowy, dlatego pomyślał, że nawet nieźle by się stało, gdyby deszcz i wiatr zrobiły porządek na budowie.

Myślał o Felicity. Nigdy jej nie ufał, ale nigdy też jej nie podejrzewał. Pewnie dlatego, że była bardzo oddana Derrickowi, Brig dał się zrobić w konia. Nie przypuszczał, że jest zdolna posunąć się tak daleko, żeby chronić to, co do niej należy. Czy kobieta, którą mąż pomiata, popełniłaby morderstwo, żeby ocalić małżeństwo? Idiotyzm. Właśnie tak: idiotyzm.

- Co z pana matką? - spytał T. John Briga. Cassidy otworzyła butelkę mrożonej herbaty.

- Będzie tutaj mieszkać.

- Z wami? - Brwi T. Johna zbiegły się nad oprawkami okularów słonecznych.

- W domku gościnnym. Zbudujemy go... tutaj... - Wskazał ręką mostek. Za nim po drugiej stronie strumyka był

dół.

T. John pociągnął długi łyk piwa z puszki.

- Jest pan pewien, że nie powinna wrócić do szpitala?

- Będzie dobrze - uciął Brig. - Mama ciężko przeżyła stratę Chase'a, ale wierzy, że go zobaczy w przyszłym życiu. Poza tym, kiedy Buddy wyjdzie ze szpitala, będzie musiała się nim opiekować.

- Miał chłopak szczęście. Wszyscy mieliśmy. - Cassidy uśmiechnęła się do Briga.

- Dzięki Bogu. - Podrapał się w brodę. - Mama chce być też blisko Rekse, bo Dena go zostawiła.

Cassidy przeczesała palcami włosy.

- Moja matka była przekonana, że Rex miał romans z Angie.

- Jezu...

- Wielu ludzi tak myślało - przyznał Brig.

- On twierdzi, że nigdy jej nie dotknął, a Sunny mu wierzy.

Cassidy wpatrywała się w odległe wzgórze. Do tej pory nie zdołała uporządkować swoich uczuć. Dziwnie było myśleć o rozwodzie rodziców, chociaż wiedziała, że ich małżeństwo nigdy nie było zbudowane na trwałej opoce. Miała tylko nadzieję, że od kiedy dusza Angie spoczywa w spokoju, oni będą szczęśliwsi.

- Nie sądzę, żeby tata kiedykolwiek tknął Angie. Przynajmniej nic takiego nie pamiętam. Tata ją kochał, owszem, ale jego jedyną prawdziwą miłością była Lucretia. Po prostu czasem zlewała mu się w jedną całość z Angie, ale nie do tego stopnia, żeby... - Nawet nie potrafiła tego wypowiedzieć. Kazirodztwo. Coś wstrętnego. Gdyby tak się stało, to na pewno by wiedziała. Ale przecież nie domyśliła się, co łączyło Derricka i Angie. Ale Rex wiedział. Kiedy ich romans okazał się prawdą, stary Buchanan niemal przyplacił to życiem. Na szczęście Sunny pomogła mu przez to przejść. Na myśl o przyrodnim bracie i Angie, Cassidy poczuła mdłości i musiała szybko napić się herbaty. Teraz, kiedy była w ciąży, jej żołądek często chciał się pozbyć swojej zawartości. Zauważyła, że obaj mężczyźni się jej przypatrują, czekając, żeby powiedziała coś więcej. - Tata... On był, jak każdy mężczyzna w tym mieście, prawie zakochany w Angie.

- Nie każdy mężczyzna - przypomniał jej Brig, uśmiechając się szelmowsko.

- W porządku. Nie każdy, ale większość. Nieważne. Mama jest o wiele szczęśliwsza w Palm Springs - z daleka od skandalu i z dala od plotek. Tam nikt nie wie, co się stało.

Brig mrugnął do żony porozumiewawczo.

- Chyba się bała, że moja mama ją przeklnie.

- Oj, ty! - Cassidy skrzywiła się, ale wybuchnęła śmiechem.

Zastępca szeryfa też uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę nie winię Deny. Sunny jest inna i... cóż, ten jej dar...

- Może się przydać następnemu szeryfowi, jeżeli się nauczy z nią współpracować, a nie działać przeciwko niej - stwierdził Brig.

- Hm. - T. John wypił resztę piwa i zgniół puszkę w dłoni. - Zastanowię się nad tym.

- Proszę nie zapomnieć.

- Jasne. - Pomachał ręką i poszedł. Brig przyglądał się kasecie i czekom. Samochód Wilsona wyjechał z podwórka. Brig mrugnął do żony. Był dumny że w końcu nosi jego nazwisko. Pani McKenzie, żona Briga.

Cassidy dotknęła brzucha. Już wybrali imiona. Jeżeli urodzi się chłopiec będzie się nazywał Chase William McKenzie i czasami będą na niego wołać Buddy. Jeżeli będą mieli córkę, też pewnie będą nazywać ją Buddy. Tylko tak mogą odwdziżyć się Buddy'emu za to, że uratował Brigowi życie.

Przeżyli wiele bólu, ale teraz czeka ich szczęśliwe życie. Cassidy wpatrywała się w figlarne oczy męża. Nie mogła pozwolić, żeby gnębił ją żal. Poczuła, że kąciki jej ust unoszą się do góry.

- Wiesz, wpadłem na niesamowity pomysł. - Brig przyciągnął ją delikatnie do siebie.

- Tak? - spojrzała na niego złotymi oczami, które wiele lat temu zawładnęły jego duszą. - Niebezpieczny?

- Oczywiście.

- Czy trzeba się do tego rozbierać?

- Zdecydowanie. - Wziął ją za rękę i wprowadził do koryta strumyka Lost Dog, gdzie wiele lat temu prawie utopił się Buddy. Teraz, późną jesienią, płynęła tu zaledwie struzka wody. Brig zgarnął nogą trochę suchych liści i patyków na błotnisty brzeg, a potem uklęknął. Z łobuzerskim błyskiem w oku położył czeki i kasetę wideo na przygotowanym stosie. Polał je płynem do zapalniczki.

- Co robisz?

- Pozbywam się śmieci. - Pstryknął zapalniczką i patrzył, jak stos zajmuje się płomieniem. Małe płomyki syczały i trzaskały, pożerając czeki. Papier i drewno poszły z dymem. Kasetę wideo stopiła się od gorąca. Potwornie śmierdziało. Brig zdeptał nogą popiół i ogień szybko zgasł.

Koniec. Wreszcie. Czuł ból z powodu Chase'a, z powodu lat straconych na Alasce, ale wreszcie był w domu. Z Cassidy. Tu, gdzie jego miejsce. Na zawsze. Ogromny ciężar spadł mu z serca.

Wstał i zaborczo objął Cassidy w pasie.

- A teraz, żono... - rozkoszował się tym słowem. Ogień tlił się w popiele. - Co ty na to, żeby dokonać otwarcia

naszej sypialni?

- Trudno to na razie nazwać pokojem. - Odwróciła się i spojrzała na konstrukcję domu. Otwór w ścianie miał się stać drzwiami prowadzącymi na werandę z widokiem na strumyk.

- Przeszkadza ci to?

Roześmiała się w głos.

- A jak myślisz?

Uważnie przyjrzał się Cassidy. Rumieniec zalał jej szyję. Brig podniósł żonę i zaniósł do domu. Do ich domu, w którym będą mieszkali z rodziną i żyli godnie, z podniesionymi głowami, nie zważając na plotki o przeszłości. Miłość przetrwa to wszystko. Będą mieli szczęśliwe życie. Był tego pewien. W końcu spełniły się ich pragnienia.

Wargi Briga dotknęły ust Cassidy. Obudziły pożądanie.

- Myślę, kochanie... - wyszeptał jej do ucha, pociągając ją na podłogę - ...że jestem najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi.

- Hm. Czyżbym ja była najszczęśliwszą kobietą?

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Właśnie.

Szczególne podziękowania dla Nancy Bush, Marilyn Katcher, Jacka i Betty Pedersen, Sally Peters i Debbie Todd za pomoc i zachętę do pracy nad tą książką